Objawienie się i cuda Najśw. P. Maryi w Lurd

Cudowna grota i posąg »Niepokalanego Poczęcia« w Lurd,
dłuta polskiego rzeźbiarza Fabisza.

Objawienie się i cuda w Lurd

Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej.

Na podstawie dzieł Dra Boissarie,
naczelnego lekarza kliniki w Lurd,

opracował

X. * * *

Wydanie jubileuszowe, ozdobione 92 ilustracyami.

Kraków.
Nakładem Autora.
Czcionkami drukarni A. Koziańskiego.
1904.

L. 990.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

Z KSIĄŻĘCO-BISKUPIEGO KONSYSTORZA.

Kraków, d. 22 lutego 1904.

(L. S.) *† J. Kard. Puzyna.*

KRÓLOWEJ NIEBA I ZIEMI

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNIE

NIEPOKALANIE POCZĘTEJ

W 50-LETNIĄ ROCZNICĘ JUBILEUSZU

OGŁOSZENIA DOGMATU

JEJ NIEPOKALANEGO POCZĘCIA

JAKO HOŁD

UWIELBIENIA I WDZIĘCZNOŚCI

PRACĘ TĘ

POŚWIĘCAM.

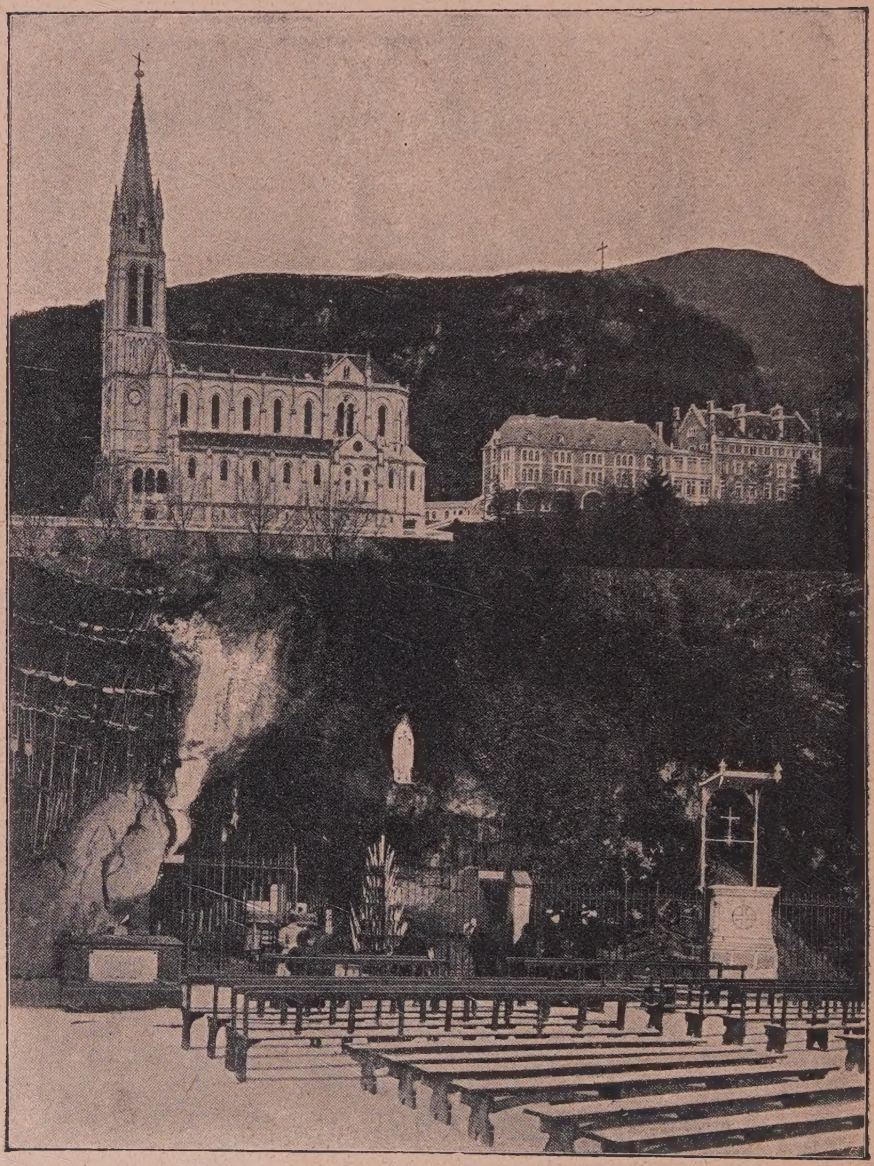

Kościół i grota cudowna w Lurd.

PRZEDMOWA.

W tym roku cały świat katolicki obchodzi uroczysty 50-letni jubileusz ogłoszenia przez ś. p. Papieża Piusa IX. na dniu 8 Grudnia r. 1854 dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny. — Ojciec św. Pius X. wezwał wszystkich czcicieli Maryi, aby czem kto może, przyczynił się do podniesienia i jak najuroczystszego obchodu jubileuszu. Niechże i ta praca przyczyni się do tego; a mam niepłonną nadzieję, że dając w cudach Maryi lepiej do poznania Jej wielką dobroć i potęgę, tem samem i niejedno serce, może nawet od Maryi zdawna już oddalone, ku tej Matce najlepszej, a przez Nią i do Jezusa pociągnę!

Lurd![1]) Kto tego słowa nie słyszał!... A jednak w naszej polskiej ziemi znalazłem tylu, co jeszcze albo dokładnie, albo całkiem nawet nie znali historyi cudownego zjawienia się Najśw. Maryi Panny w Lurd i tych prawdziwie niepojętych cudów, zdziałanych tamże, a i gdzieindziej, przez Matkę Bożą za pośrednictwem wody ze źródła, które na tem, przez Maryę wybranem miejscu, cudownie wytrysło. We francuskim i wielu innych językach wyszło już bardzo wiele obszernych i naukowych dzieł o Lurd, że wspomnę tylko choćby o dziele Henryka Lasserre, które on napisał jako hołd wdzięczności za cudowne odzyskanie wzroku. Dzieło to wyszło już w kilkudziesięciu wydaniach, w przeszło pół miliona egzemplarzach, i w kilkudziesięciu tłumaczeniach, nie wyłączając polskiego. Natomiast nie mieliśmy dotychczas po polsku żadnej z prac Dra Boissarie, napisanych, bardziej niż inne, wyczerpująco i fachowo, — choć, z boleścią duszy przyznać muszę, że jest już tłumaczony bluźnierczy pamflet Zoli!

Otóż niechże to nowe obszerniejsze dzieło polskie o zjawieniu się Najśw. Maryi P. i Jej cudach w Lurd przyczyni się do lepszego poznania i czci Maryi w naszym narodzie, który taką niegdyś czcią ku

[1]) Lurd, po francusku *Lourdes*, będziemy pisać po polsku, tak, jak się wymawia.

Maryi się odznaczał, — a zarazem niech będzie i z mej strony hołdem wdzięczności dla Niej za cudowne odzyskanie życia i zdrowia, jakiego przed ćwierć wieku za pomocą wody z cudownego źródła zaczerpniętej sam na sobie doznałem — co po dziś dzień żyjący prof. uniwersytetu krakowskiego Dr. Domański poświadczyć może, jak niegdyś poświadczył, posyłając do Lurd pisemne sprawozdanie, które też w *Annales de Lourdes* w r. 1876 wydrukowano.

Byłem ciężko chorym na zapalenie otrzewnej *(peritonitis)*, i bliskim śmierci, i już z polecenia lekarza, który mi żadnej nadziei wyzdrowienia nie robił, na śmierć zaopatrzonym. — Przyznam się, że życia nie tylko nie pragnąłem ani też o nie nie prosiłem, ale owszem nawet pragnąłem umrzeć. Bo raz człowiek żyje, i raz umiera, a największa to łaska Boska dobra śmierć. Byłem na nią dobrze przygotowanym — i dlatego pragnąłem jej. Wtedy przyszedł do mnie mój profesor teologii, św. p. ks. Teodozy Sozański, i poradził mi, abym użył wody z Lurd. Na razie nie chciałem, — bo jak wspomniałem, — pragnąłem śmierci. Ale po namyśle zawahałem się... Byłem bowiem wtedy już 14 lat w zakonie i bliskim ukończenia nauk kapłańskich... Pragnąłem, prawda, śmierci... ale też pragnąłem i pracy dla Boga i dusz zbawienia! Poradziłem się więc mego spowiednika, św. p. ks. Mikołaja Baworowskiego, przed którym przed godziną zrobiłem spowiedź, jakby ostatnią, z całego życia, — i spytałem się go: co mam zrobić? On mi na to: »Weź tę cudowną wodę, ale Matki Boskiej o życie nie proś, niech ona sama wybiera, co dla ciebie i chwały Bożej będzie lepszem«... W tej też intencyi pomodliłem się, polecając się Matce Najświętszej, i wziąłem parę kropel cudownej wody, — zdając się zupełnie na wolę Niepokalanej Dziewicy. Dodać muszę, że przedtem, oprócz drobnych kawałeczków lodu, żadnego nawet lekarstwa przyjąć i zatrzymać nie mogłem... następowały zaraz wymioty. Woda jednak cudowna była pierwszem lekarstwem, którem zatrzymał. Boleści, jakie przedtem ustawicznie miałem, — a były straszne — w tejże chwili ustały... Wkrótce zasnąłem... i nazajutrz... obudziłem się całkiem zdrów! Lekarz rano przyszedłszy, pyta u furty, czy żyję? Powiedziano mu: że nie tylko żyję, ale żem zdrów zupełnie. — »Co, zdrów? Jeśli z tej choroby wyjdzie i za parę tygodni zdrów będzie, to będzie i tak dobrze,... bo z tego cierpienia na 100 wypadków ledwie dwóch wychodzi, a nigdy nagle«, — odpowiada lekarz i spieszy do mnie i znajduje, żem zdrów całkowicie! Zdziwiony więc pyta mnie, co i jak się stało? Ja mu na to: »Panie doktorze, wziąłem jeszcze inne lekarstwo«. — »Jakie«? — »Cudowną wodę z Lurd«. — »Księże! — odrzecze mi — żeś z tej ciężkiej choroby wyszedł, i w ten sposób, nagle, bez rekonwalescencyi, to cud widoczny«!

Gdym właśnie opis tego uzdrowienia mego drukował, przyszedł do mnie przypadkiem, wyżej już wspomniany świadek tego cudownego zdarzenia, profesor Domański. »Panie profesorze — pytam — czy Pan pamięta moje cudowne uzdrowienie«? — Na to on: »Takich rzeczy nie zapomina się nigdy... będę to pamiętał do śmierci«! Natenczas dałem mu opis mego uzdrowienia, pytając, czy rzecz się tak miała, jak ją tu podaję? Przeczytawszy, odrzekł mi: »Wszystko jest najzupełniej zgodnem z prawdą.«

Książkę tę wydaję na podstawie dzieł Dra Boissarie, dyrektora kliniki w Lurd: *Lourdes depuis 1858 jusqu'à nos jours* i *Les grandes guérisons de Lourdes*, które już wyszły w kilku wydaniach i tłumaczeniach. Są to dzieła męża nauki, ściśle naukowe i autentyczne, — bo zdarzenia i fakta w Lurd należą już dziś do historyi i powinne być naukowo, umiejętnie badane, podobnie jak wszystkie inne donioślejsze zdarzenia. Pół wieku już prawie upływa, od chwili gdy cuda w Lurd jedne po drugich następować poczęły i to jawnie, publicznie, w oczach setek i tysięcy świadków, pod kontrolą mężów wiedzy i nauki: nie są to więc tylko legendy i baśnie! To, co się działo na ziemi za życia Boskego Zbawcy naszego Jezusa Chrystusa, — to dzieje się i tymi czasy w Lurd: *Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą* (Mat 11. 5.): chorzy na raka, suchotnicy w najwyższym stopniu rozwiniętych suchot i już bliscy śmierci, bywają w jednej chwili do życia i zdrowia przywróceni. Bierz, czytaj, badaj i przekonaj się!

Jednym z największych i najniebezpieczniejszych błędów naszych czasów jest zaprzeczenie wszystkiego, coby się nazywało nadprzyrodzonem, nadnaturalnem, — zaprzeczenie nietylko istnienia cudów, ale nawet ich możebności! Słowo cud jest wyszydzane i wyśmiane, jako zabobon i przesąd, — jako zupełnie »wiedzy i nauce« przeciwne.

Fakta w Lurd są zbyt jawne i dowiedzione; niechże umiejętny rozbiór tych faktów będzie odpowiedzią na pytanie: czy fakta te są rzeczywiście wynikiem nadnaturalnego działania Bożego za pośrednictwem Maryi, — czy też dadzą się (jak usiłują niektórzy) naturalnym sposobem rozumnie wytłumaczyć. Sąd będzie należał do sumienia każdego z Czytelników. Niech nowoczesna tak zwana »wiedza i nauka« wynajduje jakie chce nowe tłumaczenia i hipotezy, niech kuje nowe wyrazy i nazwy, mieniąc to: histeryą, suggestyą, autosuggestyą, religijnem wzruszeniem, — mimo tego wszystkiego nikt zaprzeczyć nie będzie mógł najwidoczniejszego wpływu i działania Bożego i Maryi, jeśli tylko zechce rozumnie i uczciwie postępować i sądzić. A to, co powiedział Archanioł Rafał do Tobiasza: *Sprawy Boskie objawiać i wyznawać poczciwa rzecz jest,* (Tob. 12. 7.) — da się też zastosować do działań Bożych i Maryi w Lurd.

Dzieło to niech będzie dla nas wierzących katolików utwierdzeniem i wzmocnieniem we wierze — a dla tych, którzy już się w niej zachwiali, niech będzie nowem światłem, aby błąd swój i winę poznawszy, powrócili do wiary Męczenników i Świętych, do wiary swych ojców, co nie wahali się w jej obronie krwi własnej przelewać, do wiary, której ich w dzieciństwie matka uczyła.

* * *

Nie od rzeczy będzie na wstępie podać tu zdania niektórych lekarzy o dziełach Dra Boissarie (czytaj: Boasari).

1. Dziekan uniwersytetu w Lille, Dr. Duret, tak się wyraża:

»Lekarz, który ma jeszcze ochotę i zamiłowanie do swej sztuki i który chce religijne swe przekonania oprzeć na poważnych dowodach, znajdzie w Lurd wszystko, co jest godnem jego uwagi: znajdzie tam klinikę osobliwszego rodzaju, znajdzie szczerych i uczonych kolegów, znajdzie też uleczenia chorych takie, z jakiemi się gdzieindziej nie spotka.

»Kliniką kieruje od r. 1892 Dr. Boissarie, były asystent szpitali paryskich. — Jest to klinika przeznaczona dla lekarskich badań i stwierdzeń, jakie w podobnych wypadkach posiadają przekonywającą siłę dowodu: dokładność sprawdzań i dokumenta niezbite. Rocznie przybywa do Lurd kilkuset lekarzy, którzy przeważnie są zazwyczaj badaniu chorych w salach kliniki obecni. Między nimi było w ostatnich latach 30 profesorów uniwersytetu, 15 profesorów wydziałów lekarskich, 15 lekarzy szpitali paryskich, 20 członków Akademii lekarskiej, 15 lekarzy profesorów uniwersytetów zagranicznych [1]).

»Ale zapyta może niejeden: czy uzdrowienia w Lurd mają tę wartość i znaczenie, jakie się im przypisuje? czy nie padamy ofiarą złudzeń i porywającego zachwytu całego otoczenia? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba uwagę zwrócić tylko na uleczenia, mające widoczne znamiona działania nadprzyrodzonego, które Dr. Boissarie nazwał »wielkiemi«, a które na kilka grup podzielił.

»Na pierwszem miejscu są tu suchotnicy. Gdy się mówi o uleczeniu tych chorych, należy to uczynić oględnie. Suchotnicy z Lurd mają najczęściej w płucach wielkie rany, kawerny, bakcyle; znajdują się w najwyższym stopniu bezsilności i wycieńczenia. Uwzględniamy zatem te tylko wypadki, w których choroba stanowczo zbadaną i rozpoznaną została. U tych więc, którzy w wodzie w Lurd całkowicie uzdrowieni

[1]) W r. 1901 brało 350 lekarzy udział w posiedzeniach biura sprawdzań — *bureau des constatations*. (Dopisek tłumacza).

zostali, znikają znane chorobliwe objawy natychmiast i w biurze sprawdzań nie znajduje się potem z nich ani śladu! Uleczonym wracają siły i zdrowie, a uleczenie pozostaje widocznem przez lata całe. Można sobie łatwo jasny sąd wyrobić, gdy się czyta uwagi i spostrzeżenia Dra Boissarie.

»Drugi szereg uleczeń, zbadanych w Lurd, zdolny jeszcze bardziej umysł i ducha »szczerze usposobionych« niewierzących wzruszyć. Do niego należą uleczenia: ropnych wrzodów, naruszeń kości, tuberkulicznych zapaleń stawów, które bywają usunięte w jednej chwili. Aby sobie wyrobić dokładny sąd o ważności tych natychmiastowych, niespodziewanych wyników, potrzeba sprawozdania Dra Boissarie samemu czytać, tembardziej, że nic są one zarazem pozbawione literackiego wdzięku [1])«.

2. Dr René Le Fur z Paryża w sprawozdaniu towarzystwa lekarskiego ś. Łukasza, (do którego należą najznakomitsi lekarze katoliccy z całej Francyi), tak pisze:

»Dwa razy byłem w Lurd i przyłączyłem się do chorych, których stan choroby śledziłem tak podczas podróży, jak i podczas pobytu mego na miejscu — i nabrałem całkiem dokładnych wiadomości. Byłem tak szczęśliwym, żem na własne oczy widział wiele z tych cudów, jakie mi Dr Boissarie uprzejmie pokazał. Niektóre z nich sam bardzo dokładnie badałem i nie bez wielkiego zainteresowania się, a często nawet nie bez rzeczywistego wzruszenia znajdowałem w dziełach Dra Boissarie mistrzowską ręką opisane wypadki uzdrowień tych chorych, których sam oglądałem i wypytywałem, a które na mą wiarę głębokie wywarły wrażenie.

»Nie potrzeba dodawać, żeśmy dalecy od tego, aby wszystkim rodzajom uzdrowień w dziele Dra Boissarie przytoczonych, tę samą doniosłość przypisywać, choć niektóre rozdziały dzieła dłużej mą uwagę zatrzymywały. Wszystkie chirurgiczne wypadki, osobliwie rany, złamania kości, tuberkuły w stawach lub kościach, jątrzące zapalenia kości itp. najbardziej mnie zainteresowały. I lubo nie da się zaprzeczyć, że niekiedy w uzdrowieniach w Lurd suggestya ma swój wpływ, to z obowiązku, jaki mamy dla prawdy, musimy wyznać, że sposób, w jaki mają miejsce te uzdrowienia, (jak to Dr Boissarie trafnie zauważył), zupełnie jest różny od uzdrowień osiągniętych drogą naturalną«.

3. Jeden z wybitnych lekarzy niemieckich pisze w *Augsburger Postzeitung* z dnia 27. lutego 1902:

»Z zadowoleniem wspominamy o dziele francuskiem Dra Boissarie, tembardziej, że dzieło to nie jest tylko objawem miłości ku Matce

[1]) Ustęp z mowy inauguracyjnej przy otwarciu uniwersytetu w Lille r. 1900.

Najświętszej, pochodzącem z łatwowiernego usposobienia umysłu, lecz jest pracą naukowej powagi, dyrektora kliniki w Lurd, dostępnej wszystkim lekarzom.

»Wiara w cuda jest dziś silnie zachwianą, nietylko w kołach uczonych, (u których z powodu panującego kierunku usposobienia umysłów nie jest to rzeczą dziwną) — lecz nawet w wielkiej części i u ludu... Przez pospieszną łatwowierność, która w każdem nadzwyczajnem wydarzeniu widzi zaraz działanie siły nadprzyrodzonej, — zachwiała się nawet wiara w cuda najbardziej udowodnione. Tu może pomódz tylko surowa krytyka, która właśnie w Lurd rzeczywiście istnieje, jak to Dr Boissarie w dziele swem wykazał. Rozpoznawanie chorób i ich uzdrowienia nie dzieje się powierzchownie, lecz poprzedza je badanie prowadzone sumiennie, umiejętnie i naukowo, po większej części w obecności i za świadectwem stałego lekarza osoby uzdrowionej.

»Nic nie pomoże tu wszelkie występowanie przeciw cudom! W Lurd okazuje się najwidoczniej, że Pan Bóg swojego błogosławieństwa i łam udziela, gdzie wiedza nasza już środków nie ma. I właśnie dlatego, że dzieło to opiera się na faktach, z lekarskiego stanowiska udowodnionych, staje się ono czynnikiem, który ze strony umiejętności lekarskiej nie powinien być zapoznanym. Najsławniejsze powagi lekarskie złożyły już broń przed temi tak znanemi wydarzeniami. Inni, »nie mający uprzedzenia«, powinni naprzód uwzględnić znaną zasadę: *Audiatur et altera pars!* t. j. dzieło takie należy im czytać w interesie wielce sławionej »bezstronności«. — Reszta sama nastąpi.«

4. Dr Cabanis, naczelny redaktor lekarskiego czasopisma *Chronique médicale* w Paryżu, pisze w n. z d. 15 grudnia 1900:

»Dr Boissarie ma zaszczyt, prawdziwy zaszczyt, że stoi na czele biura sprawdzań w Lurd. Ma on za zadanie: w imieniu umiejętności i nauki badać cuda, które P. Bóg tam od czasu do czasu działa.

»Czy cud jest faktem nie dającym się zaprzeczyć?... Z pewnością tak, jeśli się chce wiarę dać tym, którzy tego naocznymi świadkami byli. Czy można go wytłumaczyć jako działanie siły wyobraźni, przez suggestyę, używając wyrazu, który teraz wszedł w modę?... Suggestya z pewnością nie byłaby w stanie tego dokazać, aby tych chorych uleczyć, o których Dr Boissarie takie nadzwyczajne, zdumiewające sprawozdania nam daje. Wszystkie te wyniki są stanowczo bardzo dziwne i uderzające, i zasługują na to, aby były badane!... Przypuściwszy nawet, iż po zbadaniu znalazłyby się dowody, któreby można przeciwstawić dowodom podawanym przez Dr. Boissarie, to w każdym razie trzyma się on tradycyi wiedzy, — i jeśli my, niestety, nie mamy siły jego wiary, to jednak bez trudności musimy przyznać, że Kościół ma prawo być

dumnym z takiego obrońcy, który zasługuje na cześć, za tak szczere i otwarte objawianie swoich przekonań«.

5. Dr Jerzy Schnell, lekarz w Schönbergu, wyznaje: »Uzdrowienia, które nam Dr Boissarie w dziele swem opowiada, są wiedzy lekarskiej całkiem obce. Suchoty tuberkuliczne 2-go i 3-go stopnia, *lupus* (wilk), trupieszenie kości, jątrzące się zapalenia stawów, rak w różnych swych przejawach, tuberkuliczne skrzywienia kości pacierzowej, itp. — są to choroby, w obec których lekarze tak często czują z przykrością swą bezsilność! Natychmiastowe uzdrowienie, które fizyologicznym prawom wprost jest przeciwne i jakby im urąga, — na podstawie suggestyjnego tylko wpływu żadną miarą wytłumaczyć się nie da, jest niepojęte i nosi charakter cudu!«

6. Dr Hilaris w *Passauer theol. prakt. Monatschrift* — w zeszycie z marca r. 1902, tak się odzywa: »Usiłowano dotychczas cuda dawnych czasów uważać za bajki; dla osłabienia wiary w cuda tłumaczono je brakiem krytycznej obserwacyi, brakiem wiarogodności opowiadających i łatwowiernością ludzi... I my ze stanowiska naszego powołania lekarskiego nie jesteśmy łatwowierni: odróżniamy jaknajstaranniej między faktem krytycznie dowiedzionym, a pobożnem tylko jakiemś mniemaniem; we wszystkich zdarzeniach szukamy naprzód kluczy do rozwiązania zagadki, a przedewszystkiem zapatrujemy się nadzwyczaj skeptycznie (powątpiewająco) na wszystkie uzdrowienia, mające za tło cierpienia nerwowe, i to tembardziej, jeśli te uzdrowienia wydarzyły się na miejscu »świętem«. Tu powinna nauka iść tak daleko, jak daleko iść może. Lecz jest granica, u której i nauka stanąć musi... Granicę tę stanowią f a k t a, które z jednej strony są niewątpliwie stwierdzone i pewne, a z drugiej strony żadnego naturalnego tłumaczenia nie dopuszczają. I to widzimy w Lurd! Nie daleka jakaś przeszłość, (usuwająca się z pod kontroli), opowiada nam o miłości Matki Najśw. ku ludziom — bo świadkowie tego związku pomiędzy niebem a ziemią są nam współczesnymi, żyją pośród nas;... nie zwolennicy jakichś przestarzałych, ograniczonych zapatrywań lekarskich upewniają nas o uleczeniach, przechodzących granice działania sił naturalnych, — lecz lekarze najbardziej nowocześni, często przedstawiciele umiejętności lekarskiej, nie stojący bynajmniej na stanowisku religijnem. I nie są to zwykli tylko lekarze z prowincyi, którzyby z pokorą wyznawali, że wypadki w Lurd usuwają się z pod umiejętnego wytłumaczenia, lecz są także pomiędzy nimi przodownicy wiedzy lekarskiej, profesorowie wydziałów lekarskich, którzy wprost oświadczają, że na mocy dzisiejszej wiedzy medycznej uzdrowienia w Lurd zwykłym przebiegiem i działaniem natury bezwarunkowo wytłumaczyć się nie dadzą. Najbardziej interesującą jest ta okoliczność, że długoletni leka-

rze tych uzdrowionych, którzy nieraz przy pomocy drugiego, a nawet i trzeciego lekarza całej swej nauki i sztuki lekarskiej na tych nieszczęśliwych chorych próbowali, — przyznają sami, że ludzka siła tam nic nie pomogła. Przed tymi dowodami niech się wymyka, kto może!

»Mało kto jest takim niedowiarkiem, powątpiewającym o uleczeniach histeryi, epilepsyi itd., jak ja. Wypadki przemawiają wymownie za tem, by w podobnych razach postępować z całą ostrożnością, gdyż aż zbyt często uzdrowienie naturalne podobne jest do cudownego, jak dwie krople wody. Lecz gdy się zdarzy jeden z wypadków, jakie się w Lurd często zdarzają, że sparaliżowani n a g l e uzdrowieni zostali, a to uzdrowienie jest s t a ł e i t r w a ł e, — to wtedy powinniśmy bardzo się zastanowić, czy to nie jest działaniem siły wyższej, nadprzyrodzonej. A pewności nabieramy wtedy, gdy wypadki uzdrowienia mają miejsce w chorobach wymagających zabiegów chirurgicznych, w wypadkach organicznych, względnie patologiczno-anatomicznych, jak złamanie kości, rak, zgniłe płuca i inne tym podobne, — bo wtedy wspaniała teorya »suggestyi«, (której zresztą w innych wypadkach nie odmawiamy zupełnie słuszności),— w tych wypadkach jest *terra incognita* czyli nie ma zupełnie podstawy i zastosowania. Dr Boissarie wziął sobie za zadanie, żeby ogłosić wraz z całym materyałem dowodowym wybitniejsze wypadki uzdrowień, które nie podlegają żadnej wątpliwości. Witamy to poważne dzieło, tak w interesie katolickiego sumienia, jak też w interesie wiedzy, gdyż obu odda ono znakomite usługi.

»Katolik wykształcony z dzieła tego pozna, że siła cudowna Kościoła, oparta na Boskiem jego założeniu, zawiera się nietylko w starych, pożółkłych księgach, lecz że żywe dowody wiecznego, ponad prawami natury stojącego i działającego Boga, — i dziś jeszcze istnieją.

»A i wiedza też z drugiej strony pozna, że wobec tego dzieła »zarozumiałe ignorowanie« nie jest na miejscu; — rozumna nauka i wiedza muszą o tych faktach sąd swój wydać! Uprzedzenia, tak często ganione u katolickich uczonych, nie powinny mieć miejsca i po przeciwnej stronie! Nie wystarczy tu zbywać płytko-satyrycznemi kpinami i niedowierzająco ramionami ruszać! Wiedza lekarska stoi tu przed: a l b o... a l b o!... Innego wyjścia niema. A l b o potrzeba te fakta niewątpliwe w rozumny sposób wytłumaczyć, — czego na podstawie wiedzy lekarskiej absolutnie nie możemy, — a l b o też otwarcie i uczciwie przyznać, że działały tam siły, które istnieją poza sferą naszej mocy ludzkiej, a które nie są na razie tylko i do czasu jakiemiś ukrytemi przed okiem naszem siłami ziemskiemi, lecz siłami działającemi poza obrębem sił natury. Przyznać to dla wielu jest niestety trudnem, — lecz byłoby pożądanem dla obu stron zarówno«.

Pomijam sprawozdania bardzo pochlebne licznych czasopism, które mam przed sobą, spodziewając się zresztą, że łaskawy czytelnik sam sobie sąd właściwy wyrobić potrafi.

Dr. BOISSARIE
Naczelny Dyrektor kliniki w Lurd.

Biuro sprawdzań *(Bureau des constatations)* w Lurd.

WSTĘP.

POJĘCIE CUDU. — CZY CUDA SĄ MOŻEBNE? — CZY MOŻNA JE NIEKIEDY NA PEWNO POZNAĆ? — CZYJEM ONE SĄ DZIEŁEM?

Chciałbym na wstępie tego dzieła wpierw słów kilka powiedzieć o cudach — w ogólności. Znajdzie się może bowiem niejeden, jadem niewiary zarażony, któremu gdy ta książka do rąk wpadnie, pomyśli sobie albo może i powie: co za głupota! na początku 20-go wieku, wieku oświaty i postępu, mówić jeszcze o cudach!... A ja na to odwrotnie tem samem zdaniem odpowiem: co za nierozum i zła wola! — po 19-tu wiekowem, tylu cudami otoczonem cudownem istnieniu Kościoła katolickiego, co tylu Świętych wydał, których życie P. Bóg tyloma cudami wsławił, i po tylu tak jasnych i widocznych a tak wielkich cudach w Lurd jeszcze wątpić o możności, prawdziwości i istnieniu cudów! Kto z nas ma słuszność, okaże się w dalszym ciągu tej książki.

I. Pojęcie cudu.

Postawmy sobie naprzód jasno pytanie: co to jest cud? Lud bowiem, zwłaszcza prosty i nieoświecony, wszystkie nadzwyczajne, niezwykłe zjawiska cudami nazywa; a jednak nie wszystko, co jest choćby najbardziej dziwnem i nadzwyczajnem, tem samem jest już i cudownem. Należy więc dobrze rozróżnić dwa rodzaje zjawisk: jedne, choć dziwne i nadzwyczajne, ale nie przekraczające granic tych sił jakie są przyrodzie właściwe, a tem samem nie będące cudami w ścisłem tego słowa pojęciu i znaczeniu, — drugie, zjawiska prawdziwie cudowne, tj. granice sił przyrody przekraczające. Niekiedy takie zjawiska dziwne i nadzwyczajne mogą być i cudownemi, ale niekoniecznie takiemi być muszą. Póki w tem wątpliwość choćby najmniejsza zachodzi, niema potrzeby uważać ich za cudowne.

I tak np. słyszałem o następującem zdarzeniu: Umarła pewna panienka, imieniem Marya. Ojciec jej, człowiek bogaty, postawił córce wspaniały nagrobek, a na nim dał następujący napis łaciński: *Maria optimam partem elegit, quae non auferetur ab ea,* to znaczy: »Marya najlepszą cząstkę obrała, która od niej odjętą nie będzie.« — Wkrótce potem uderzył piorun w ten nagrobek, stopił i zniszczył 4 litery napisu, a mianowicie: w drugiem słowie trzy pierwsze litery: *opt,* — i w piątem słowie pierwszą literę *q* — i tak został napis: *Maria imam partem elegit, uae non auferetur ab ea* — co znaczy: »Marya najgorszą cząstkę obrała, biada od niej odjętem nie będzie!«

Dziwne to, bo dziwne, ale czy cudowne? — nie wiem.

Cóż więc trzeba rozumieć przez cud w ścisłem znaczeniu?... Przez cud w ścisłem znaczeniu rozumie święty Tomasz: »zdarzenie rzeczywiste i jawne, pod zmysły podpadające, którego powstanie i istnienie przewyższa wszelki zwyczajny porządek przyrody i wszelką siłę tejże przyrody.« Żeby to pojęcie szerzej rozwinąć i lepiej zrozumieć, zastanówmy się trochę nad niem, — a zwłaszcza nad działaniem sił przyrody i nad prawami przyrody.

Prócz Boga samego wszystkie istoty ziemskie, jako ograniczone, mają też siły ograniczone i posiadają przeto tylko pewien ograniczony zakres działania. A chociaż nie zawsze dobrze znamy granice tych sił i nie zawsze wiemy, ile zdziałać mogą, natomiast nieraz wiemy i to z pewnością, czego zdziałać nie mogą. I tak np. nie znamy dokładnie granic sił człowieka i nie wiemy ile on ciężaru podnieść może. Niedawno czytałem o kimś, co podnosił na plecach swoich kilkanaście centnarów. Wiemy jednak z pewnością, że żaden człowiek siłą swą góry przenieść nie zdoła ani biegnącego pociągu kolei żelaznej ani rozhukanej rzeki w biegu swym nie zatrzyma, — ani morza na dwie strony nie rozdzieli samym tylko rozkazem swoim tak, żeby woda jak mur po jednej i po drugiej stronie stanęła. Gdyby więc podobny wypadek się zdarzył, byłby to cud oczywisty.

Na zarzut więc, nieraz przez niewierzących w cuda dawany, że sił przyrody nie znamy i nie wiemy, co zdziałać mogą, odpowiedź z powyższego bardzo prosta i łatwa. Tak, nie wiemy nieraz, co siły przyrody zdziałać mogą, ale często wiemy najdokładniej, czego zdziałać nie mogą! Jeśli więc są skutki takie, o których wiemy, że siły przyrody zdziałać ich nie mogą, tedy musimy przypuścić w podobnych wypadkach wkroczenie i wdanie się siły wyższej, niż przyroda, czyli przyznać działanie Boga i cud. Zobaczymy to zresztą dokładniej w dalszym ciągu tej książki.

Wiemy dalej z doświadczenia i nauki fizyki, że wszystkie siły przyrody, pozbawione wolnej woli, postawione w tych samych wa-

runkach, działają zawsze jednakowo, czyli podlegają stałym i nieodmiennym prawom. I tak żelazo, jak i wszystkie ciała cięższe od wody, na niej swobodnie położone, zawsze toną; ogień zawsze pali i ciała np. ludzkie, na wpływ ognia wystawione, a w jakiś sposób nieochronione od ognia, muszą się spalić; człowiek w zwykłych warunkach życia potrzebuje powietrza dla płuc, a pokarmu dla żołądka, — a choć nie wierny, ile dni człowiek bez pokarmu żyć może, to jednak pewna, że np. przez rok cały, a tembardziej lat kilka bez pożywienia obejść się nie zdoła. — Wiemy z całą pewnością, że żadna większa rana ani kość złamana i pruchniejąca w zwykłych warunkach, wedle zwykłych, nam znanych praw przyrody, nigdy nagle w jednej chwili nie goi się ani zrasta.

Ten stały sposób działania znanych nam sił przyrody, na mocy których w tych samych warunkach powtarzają się te same skutki i zjawiska, nazywamy prawem natury.

Gdyby więc zdarzył się jakiś wypadek, przekraczający granice znanych nam sił przyrody albo tem bardziej siłom i prawom tej przyrody wprost przeciwny — byłoby to tem, co my cudem nazywamy. I tak, gdyby człowiek we wielki ogień wrzucony, (jak n. p. trzej młodzieńcy w piecu Babilońskim), w tym ogniu uszkodzonym nie został tak, żeby mu się ani jeden włos nie spalił — byłoby to cudem. Gdyby człowiek n. p. rok, a tembardziej kilka lat zupełnie żył bez pokarmów, (jak niedawno temu w Belgii żyła przez 13 lat świątobliwa Ludwika Lateau, badana przez wiele tygodni pod ustawiczną kontrolą potrójnej komisyi, a między innemi i Akademii medycznej w Brukselli,) — byłoby to cudem. — Gdyby rany wielkie lub kości złamane goiły się i zrastały w jednej chwili, nagle, (jak to się działo nieraz za pomocą zwykłej wody w Lurd), byłoby to cudem. — Proszę uważać i pamiętać, że tu na razie nie wchodzę w możebność i prawdziwość tych zdarzeń, chodzi mi tylko o samo pojęcie cudu.

A czy takie wypadki są możebne, czy rzeczywiście i z wszelką pewnością zdarzały się i zdarzają i czy z takąż pewnością bez najmniejszej wątpliwości poznane być mogą, o tem... w następujących pytaniach. Wykaże to zresztą całe niniejsze dzieło.

2. Czy cuda są możebne?

Niewierzący mówią: cuda są niemożebne... Na wstępie mogę im dać jedną, prostą odpowiedź: jeśli cuda istnieją, to tem samem są i możebne! *Contra experimentum, nullum argumentum,* mówi filozofia, t. j. przeciw oczywistemu dowodowi, zaczerpniętemu

z doświadczenia, nie ma już innych dowodów przeciwnych, czyli — gdzie fakta przemawiają, tam już dowodów nie potrzeba. A cudownych faktów historycznych, najpewniejszych, jest w całem istnieniu Kościoła i obecnie w Lurd tyle, że istnieniu ich żaden rozumnie myślący człowiek zaprzeczyć nie może, jeśli tylko chce być uczciwym, a nie uparcie i zuchwale oczy na prawdę, jasną jak słońce, zamykać.

Ale dlaczego niewierzący mówią, że cuda są niemożebne? Bo przypuściwszy cuda, musieliby działanie Boże i samego Boga przypuścić, a tego nie chcą!... A na czemże oni to przeczenie swoje opierają?... Oto na tym niby pewniku, że prawa przyrody są absolutnie stałe i niezmienne i wyjątku mieć nie mogą. — Lecz to jest właśnie, co bez najmniejszego dowodu twierdzą! Wszakżeż każdy rozumny człowiek, kiedy coś twierdzi, powinien zdać sobie i innym sprawę, na jakiej podstawie to czyni. Prawdziwie rozumny i myślący człowiek takiej niezmienności praw przyrody, a b s o l u t n e j i z u p e ł n e j, bez żadnego wyjątku, — przypuścić nie może! Bo aby prawa przyrody były tak absolutnie niezmiennemi i przez to cud niemożliwy, to musiałyby prawa one wynikać ze samej k o n i e c z n e j istoty przyrody, t. j. że cała przyroda taką, jaką jest, musiałaby być koniecznie i innąby być nie mogła; — tymczasem widzimy, że przyroda i jej siły absolutnie k o n i e c z n e m i nie są, bo są zmienne i zmianom podległe; ulegają one bowiem zawsze sile większej i wyższej. Para porusza pociąg kolei żelaznej, ale silniejsze od niej hamulce mogą pociąg i w jednej chwili w biegu zatrzymać. Trucizna śmierć sprawia, ale dane lekarstwo może jej działanie osłabić lub zupełnie nieszkodliwem uczynić... Ogień pali,... ale gdy się ręce środkiem przeciwdziałającym zabezpieczy, to trawiąca siła jego ustaje...

Proszę dobrze uważać, o co mi chodzi, — by mnie ktoś tak fałszywie nie rozumiał i nie tłumaczył, jak jeden ze sprawozdawców dziennikarskich, który dając sprawozdanie z odczytu mego o cudach, napisał potem, że według mnie wypadki te, w których jedna siła wstrzymuje drugą, są cudami!! Tu chodzi mi tylko jedynie o stwierdzenie tego faktu, że prawa i działania sił przyrody nie są absolutnie niezmiennemi, — i że w odmiennych warunkach one też inaczej działać mogą i istotnie w danych wypadkach działają inaczej i inaczej się objawiają....

Jeśli więc siły przyrody i ich działanie a b s o l u t n i e n i e z m i e n n e m i n i e s ą, — i jedne przez drugie powstrzymane i zmienione być mogą, toć tem samem widocznem jest, że tem bardziej Dawca i Twórca tych sił, Bóg wszechmogący, który z niczego całą przyrodę do bytu powołał i siły jej nadał, może też w danym razie, wszechmocą Swą działanie naturalne tych sił powstrzymać i zmienić i takowe pod wyższy ład, pod wyższe cele podporządkować.

Jeśli P. Bóg tak wielki jest i potężny, że niezmierzone światy stworzył i utrzymuje je w ruchu i ustawicznej harmonii — to trzeba Mu i to przyznać, że On, bez ujmy i naruszenia porządku świata i praw przyrody przez siebie nadanych, jest w stanie wszechpotężną mocą Swą Boską chorego próśb wysłuchać i nagle go wbrew prawom tej przyrody uleczyć!

Wszystkie zatem zarzuty przeciw możebności cudów wobec tak jasnej i widocznej prawdy upaść muszą!

Lecz jeżeli rozum tej mocy i władzy Bogu odmówić nie może, to tak samo nie może Bogu odmówić i prawa, by On, jako Bóg wszechpotężny i wszechmocny, mając tę moc i tę władzę, a zarazem słuszne do tego powody, użył Boskiej Swej siły — i działał cuda! I tembardziej to przyznać należy, że w danym razie Bóg wszechmogący nie działa kapryśnie i praw przez Siebie danych w rzeczywistości nie zmienia, lecz tylko je chwilowo zawiesza, działanie ich powstrzymuje i wyższym Swym prawom i celom podporządkowuje. Jeśli cesarz, jako najwyższy prawodawca w państwie, może użyć swej władzy i skutki prawne zawiesić i kogoś, co na karę zasłużył, od tej kary uwolnić, to tembardziej może to Istota Najwyższa, Prawodawca świata całego! Uznał logiczność tego twierdzenia filozof francuski, Rousseau, człowiek zresztą nie wierzący, gdy tak w jednym z listów swych pisze: *Czy może Bóg działać cuda, t. j. czy może naruszać prawa, które sam ustanowił? Pytanie to, jeśli je traktować będziemy poważnie, byłoby bezbożnem, gdyby nie było niedorzecznem.* A jednak tej niedorzeczności dopuszczają się wszyscy, co możebności cudów przypuścić nie chcą!

3. Czy zjawiska cudowne można na pewno poznać i jako takie uznać?

Na wstępie szczerze wyznam, że w wielu wypadkach jest to trudnem i niepewnem, a mianowicie wtedy, kiedy zachodzi choćby najmniejsza wątpliwość, czy dane zdarzenie jest rzeczywiście ponad wszelkie znane nam siły naturalne. Więcej powiem i chętnie to przyznam, — że bardzo często ludzie łatwowierni i mniej wykształceni nie jedno zdarzenie mają za cudowne, gdy rzeczywiście, w ścisłem znaczeniu, cudownem ono nie jest; nie jedną nawet wysłuchaną swą prośbę lub otrzymaną łaskę mają za cud, podczas gdy objaw ten dobroci Bożej, chociaż jest Jego łaską, ale do rzędu ścisłych cudów zaliczyć się nie da.

Dlatego Kościół św. w badaniu i uznaniu cudów tak jest krytycznym, oględnym, ostrożnym i wymagającym. Na setki otrzymanych łask nieraz ani jednego faktu nie uznaje za rzeczywiście cudowny.

Niech to objaśni zdarzenie następujące: Do jednego z kardynałów przyszedł znajomy mu Anglik, nie będący nawet z liczby wierzących. Kardynał musiał wyjść na jakieś posiedzenie, a chcąc tymczasem zająć gościa, dał mu do czytania proces cudów, zdziałanych za pośrednictwem wielebnego sługi Bożego, Jana Regisa, kapłana Towarzystwa Jezusowego, który dziś już w poczet Świętych jest zaliczony. Nie wierzący ów Anglik z wielkiem zajęciem czytał akta tego procesu. Kiedy kardynał powrócił, spytał się gościa swego, co sądzi o tych cudach. A ten tak się odezwał: »jeśli wszystkie cuda tak są dowiedzione i pewne, jak te, tobym o nich nie miał najmniejszej wątpliwości.« Na to mu kardynał: »Otóż wiedz, mój kochany, że komisya ani jednego z tych cudów za dostatecznie dowiedziony nie uznała!« A jednak Kościół św. od czasu do czasu na podstawie ściśle dowiedzionych cudów zalicza ludzi świątobliwych w poczet Świętych.

W ostatnim 19-tym wieku policzył Kościół między Błogosławionych, oprócz 264 Męczenników, także 38 Wyznawców, a w liczbę Świętych, oprócz 47 Męczenników, — 24 Wyznawców i 7 Panien; a uczynił to na podstawie najkrytyczniej zbadanych i dowiedzionych cudów, jakie zostały zdziałane za przyczyną tych Świętych. Cuda te bada zaprzysiężona komisya, złożona z najuczeńszych nietylko kardynałów, ale i lekarzy, prawników i innych uczonych.

Tak, cuda można z wszelką pewnością poznać i jako cuda uznać! Bo czegóż do tego potrzeba? Potrzeba naprzód poznać i wiedzieć:

1) czy ten lub ów fakt, za cudowny podawany, rzeczywiście się zdarzył?

2) czy ten fakt, o którem dowiedziono, że istotnie miał miejsce, jest też rzeczywiście cudownym, t. j. czy przewyższa znane nam siły przyrody i naturalnemi jej siłami zdziałanym być niemógł.

A jedno i drugie, choć nie zawsze, ale nieraz z wszelką pewnością, bez najmniejszej wątpliwości rozpoznanem i dowiedzionem być może. Zastanówmy się nieco nad tem, a mianowicie:

1): czy można sam fakt, jako rzeczywisty rozpoznać i uznać?...

Niedawno zmarły pisarz francuski, Henryk Laserre, który pierwszy napisał obszerną historyę zjawisk i cudów zdziałanych przez Najśw. Maryę Pannę w Lurd, od dłuższego czasu był prawie pozbawionym wzroku. Znała go takim rodzina, znali przyjaciele, znali najsławniejsi lekarze okuliści, u których rady i ratunku przez dłuższy czas nadaremnie szukał... Za poradą jednego ze swych przyjaciół, nie będącego nawet katolikiem, przemył oczy wodą z Lurd... i w jednej chwili przejrzał i wzrok najdoskonalszy napowrót odzyskał. Czyż zdarzenie to jest trudnem, a tembardziej niemożebnem do poznania? Zdarze-

nia takie można poznać, podobnie jak wszystkie inne; wystarczy albo samemu być świadkiem naocznym albo mieć świadków wiarogodnych. Trzeba mieć tylko oczy ku widzeniu, uszy ku słyszeniu, rozum ku rozpoznawaniu... A przecież ogół ludzkości rozumnej to wszystko posiada.

Weźmy n. p. pod uwagę sposób rozpoznawania i badania cudownych uzdrowień przez Najśw. Maryę Pannę z Lurd, w dziele tem opisanych. Od wielu lat znajduje się w Lurd osobna komisya lekarska, dla zbadania tych cudów. Komisya ta składa się nieraz z kilkudziesięciu lekarzy. Jest tam rodzaj szpitala przystępnego dla wszystkich, do którego napływają chorzy badani przez lekarzy, wierzących i niewierzących, — z całego świata. Codzień od 8-ej do 11-ej i od 1-ej do 6-ej godziny lekarze się schodzą. Chorzy są wpierw najdokładniej badani i egzaminowani, oraz wszystkie o ich stanie szczegóły spisane, zanim ich do cudownej wody dopuszczą. Gdy zdarzy się jakie uzdrowienie chorego, wtedy następuje ponowne badanie, najbardziej szczegółowe, porównywanym zostaje stan obecny ze szczegółowo już przedtem zanotowanym opisem pacyenta i ze stanem jego choroby, poczem następuje badanie świadków, lekarzy, którzy przedtem chorego w swej opiece mieli, ogólna umiejętna dyskusya lekarska, ściśle krytyczna, i to tem więcej, że udział w niej bierze tylu lekarzy, nieraz z zasady najbardziej cudom przeciwnych!...

Często nie zadawalniają się lekarze badaniem jednorazowem, ale każą choremu wracać przez jakiś czas ponownie, dla nowego badania i dla przekonania się czy uzdrowienie jest zupełnem, czy też było może chwilowem tylko polepszeniem. — Jaśniej pokaże się to w toku całego tego dzieła. —

Otóż, czy w podobnych wypadkach może zachodzić najmniejsza wątpliwość, co do samego faktu? Przecież wydarzeń takich naocznymi widzami są liczni świadkowie, którzy osobę przedtem oddawna dobrze znali; przecież wypadki te bada tylu najrozmaitszych, najuczeńszych, wierzących i niewierzących, lekarzy, — czyż więc możebną jest pomyłka co do rzeczywistości samego zdarzenia, samego faktu? Absolutnie nie!... Ktoby więc o tem wątpił, musiałby się rozumu zaprzeć... albo niegodziwie, li tylko z uporu i złej woli, wątpić lub przeczyć...

2) Ale czy te zdarzenia, te uzdrowienia tak zbadane, są rzeczywiście cudowne — czy są cudami?

W cudownych zdarzeniach i uzdrowieniach w Lurd, jak wspomniałem już wyżej, bada te uzdrowienia komisya z tylu lekarzy złożona, którzy przecież znają prawa przyrody, którym przebieg choroby, sposób jej zwykłego leczenia i warunki uzdrowienia nie są obce. Weźmy więc pod uwagę wyniki ich badań, zestawione w tem dziele, — a przekonamy się łatwo, czy te uzdrowienia są czy też nie są cudownemi.

W przeciągu lat przeszło 40 mamy tam około 5 do 6 tysięcy uzdrowień. Podczas jednej tylko pielgrzymki w r. 1892 w przeciągu trzech dni przeszło 100 chorych przedstawiło się komisyi lekarskiej, jako nagle uzdrowionych i to z najrozmaitszego rodzaju chorób. Zwracam więc uwagę na niektóre zwłaszcza uleczenia w tem dziele obszerniej rozbierane.

Henryk Busquet miał od kilku lat na szyi ranę skrofuliczną, sięgającą aż do piersi. Wszystkie lekarstwa nic nie pomagały. Przyłożył na noc płatek płótna namoczony w cudownej wodzie z Lurd... zasnął... i rano... obudził się z raną zupełnie zagojoną!...

Magdalena Rizan, lat 58, była sparaliżowaną, przez lat 24 leżała jak kłoda, z ręką wyschłą, nawet sama jeść nie mogła, karmiono ją tylko pokarmami płynnymi. Lekarz odchodząc od niej nad wieczorem, zapowiedział, że umrze w nocy, a najdalej rano. Tymczasem chora z natchnienia szczególniejszego żąda wody z Lurd — i w jednej chwili zostaje uzdrowioną; skóra nawet przybiera całkiem zdrowy wygląd... Wstaje i ubiera się sama... czuje głód, żąda pokarmu... je chleb i mięso, słowem odrazu znajduje się tak zdrową, jakby wcale nie chorowała!

Joachima Dehant miała od 12 lat na nodze ranę na 32 centymetrów długą i 13 centymetrów szeroką, bardzo głęboką i już zgangrenowaną. W jednej chwili zostaje nagle uzdrowioną, rany ani śladu, świeża skóra, jak u nowonarodzonego dziecięcia, pokrywa w jednej chwili całą zagojoną ranę! Chora zapytana o szczegóły, sama przyznała, »wierzyłam, że będę uzdrowioną, myślałam jednak, że w przeciągu 3 do 4 godzin, ale żeby w jednej chwili, tego nie przypuszczałam.« Czyż takie uzdrowienie nie jest cudownem!?

Panna Montagnon miała przez lat 12-cie wodną puchlinę. Dr Chetail 12 razy wodę z niej wypompowywał, za każdą razą około 20 litrów... Otóż ta chora robi na noc okład wodą z Lurd, zasypia... i budzi się zupełnie zdrową. Puchlina ustąpiła bez śladu!... »Kto mi powie, pyta Dr Chetail, gdzie się ta woda z chorej podziała!?«

Piotr Rudder, robotnik, miał nogę złamaną i rany wielkie, jedną na nodze, z której kość złamana sterczała, a drugą na pięcie, skąd się ropa sączyła. Noga spuchnięta jak kłoda. Przez 8 lat szukał u różnych lekarzy nadaremnie pomocy. W jednej chwili, bez użycia nawet wody z Lurd, i kość mu się zrosła i rany zgoiły i puchlina znikła!! Wielu lekarzy to poświadczyło, bo żył potem zdrów jeszcze długie lata. Czytałem o tem uzdrowieniu osobne dzieło, napisane przez trzech lekarzy, jest poniżej fototypia tej uzdrowionej kości, zdjęta po jego śmierci...

Panna Emilia Maignan de Laverie, suchotniczka, a przytem zreumatyzowana, zapadła prócz tego na wadę serca. Lekarze nawet nie chcieli

pozwolić jej wejść do cudownej kąpieli, mówiąc, że to szaleństwo. Z wielką wiarą i ufnością nalega na to... wchodzi do wody... i w jednej chwili zupełnie uzdrowioną zostaje — bez śladu dawnych chorób! Dziś najlepszem cieszy się zdrowiem, jest mężatką i matką kilkorga dzieci. Naoczny świadek, Dr Jouon, powiedział, że cud ten był jednym z największych cudów N. Maryi Panny w Lurd!

Panna Vachier od 17-tu lat sparaliżowana, nie opuszczała łóżka, a ciało jej pokryło się głębokiemi ranami... Wnoszą ją do cudownej sadzawki w Lurd i natychmiast zostaje uzdrowioną, rany zgojone najzupełniej.

Jan Tombridge, (jak o tem świadczą dwaj lekarze protestanci: Dr Thorens i Dr Greven — którzy chorego do Lurd przywieźli), sparaliżowany, cały ranami pokryty, prawie konający, zanurzony do wody w Lurd, w jednej chwili uzdrowionym został zupełnie tak, że sam mógł się ubrać... i już pójść piechotą na kolej.

Na razie niech tych kilka faktów, krótko wspomnianych, wystarczy; obszerniejsze ich badanie i rozbiór będzie w dalszym ciągu tego dzieła.

A teraz zapytuję się, czy te fakta, te uzdrowienia tak pewne, tak autentyczne, przez tylu świadków naocznych oglądane, przez tylu lekarzy zbadane i stwierdzone, a wszelkim prawom przyrody przeciwne, nie dowodzą, że cuda można poznać i jako takie uznać i że one rzeczywiście istnieją?... Upartego jednak, zaślepionego i złej woli człowieka nikt i nic nie przekona. P. Jezus o takich powiedział, że »choćby kto zmartwychwstał, nie uwierzą!«

Nieraz tacy prawią, a i sam słyszałem ten zarzut: »ja już tyle lat żyję, a jeszcze żadnego cudu nie widziałem, — a czego sam nie widziałem, to dla mnie nie istnieje, — i żeby mi nie wiem kto opowiadał o cudzie, ja w to nie uwierzę.«

Co do pierwszego, żeś sam może cudu nie widział, to wcale z tego nie wynika jeszcze, że cudów nie ma, boś i tyle innych rzeczy, które opisuje historya naturalna, geografia i historya powszechna, na własne oczy nie widział, a nie wątpisz jednak, że są. A więc mówić »czego sam nie widziałem, to dla mnie nie istnieje,« jest wielkim brakiem logiki i rozumu! Raz takie zdanie słyszałem z ust jednego dość wykształconego profesora i odpowiedziałem mu na to jego własnym argumentem: ja pańskiego rozumu nie widziałem, a więc w pański rozum nie wierzę, bo on dla mnie nie istnieje!...

Co do drugiego, że czegoś sam nie widział, to w to nie uwierzysz, na to już środka nie mam, — bo na głupotę, a jeszcze bardziej na upór, jak mówi przysłowie, niema lekarstwa! Tacy podobnie postępują, jak ów książę indyjski, któremu gdy misyonarz opowiadał, że w Europie

nieraz woda tak stwardnieje i lodem się pokrywa, iż można przez rzeki suchą nogą przechodzić, a nawet wozami jeździć, on nietylko w to nie uwierzył, ale całe zaufanie, jakie miał przedtem do misyonarza, stracił. Żyjąc bowiem w gorących krajach, gdzie woda nigdy nie zamarza, pierwszy raz o tem usłyszawszy, wierzyć nie chciał... i myślał, że misyonarz go okłamuje. A jednak u nas każde dziecko wie o tem. Podobnie, jak ten książę indyjski, powtarzam,postępują i przeciwnicy cudów.

Przyjmować i uznawać cuda bez powodu i dowodu, jest nierozumem, ale też również nielogicznem i nierozumnem jest bez należytego zbadania dowodów, przemawiających niezbicie za istnieniem cudów, z góry istnieniu ich przeczyć,... przeczyć zaś li tylko dlatego, że przypuściwszy cuda — trzebaby koniecznie i sprawcę tychże — Boga — przypuścić, — to największy nierozum!

4. Czyjem dziełem są cuda?

Pomijając cuda Starego Zakonu, wiemy że cuda działał P. Jezus, że je działali Święci, a szczególniej Najświętsza ze Swiętych, Matka Boża Marya... Ale oprócz P. Jezusa, który jest nietylko człowiekiem, lecz i Bogiem zarazem, wszystkie te cuda działali Święci nie mocą swą własną, lecz mocą Boga samego, — bo cuda tylko Bóg sam działać może. Są one bowiem ponad siły przyrody i przeciw jej siłom, może więc je działać tylko ten, który jest sam jeden Panem i Twórcą przyrody, który wszystkie siły tej przyrody ma w zupełnej Swej mocy, a takim jest tylko Bóg...

Stąd nowy wniosek: Jeśli są cuda, to są one zarazem i dowodem istnienia kogoś, co jest ponad przyrodą, kogoś, który siły przyrody ma w swej władzy i mocy i któremu ta przyroda posłuszną jest i uległą, czyli że cuda są dowodem istnienia P. Boga!.. I takie przekonanie o cudach miała i ma ludzkość cała.

CZĘŚĆ I.

LURD I BERNADETA.

ROZDZIAŁ I.

Historya a legenda.

HISTORYCY LURD. – NIEWIERZĄCY I WIERZĄCY. – CHOROBY I UZDROWIENIA. – ŁASKI I CUDA. – CHOROBY ORGANICZNE I CHOROBY NERWOWE. – KAŻDY PISZE WEDŁUG SWEGO ZDANIA HISTORYĘ LURD. – NIEUNIKNIONE OMYŁKI. – PODZIAŁ TREŚCI.

Historya wydarzeń i cudownych uzdrowień w Lurd pisaną była bardzo często, a pisaną przez ludzi, którzy osobiście znali Bernadetę, byli świadkami jej objawień i widzieli na własne oczy pierwsze uzdrowienia.

Historya Lurd pisaną była przez historyków, znanych ze swego talentu, jak n. p. Henryk Lasserre, przez uczonych i samychże lekarzy. Oprócz »Roczników« *Annalles de Lourdes,* których ogłoszenie sięga roku 1858, a które stanowią zbiór, obejmujący dwadzieścia kilka tomów, — mamy jeszcze i »Dziennik urzędowy« wszystkich wypadków w Lurd — wypadków o treści tak nieraz bogatej, że żaden historyk dostatecznie wyczerpać ich nie zdoła. Są tam zebrane dzień za dniem wszystkie wydarzenia w ich porządku chronologicznym, z całą tą barwą świeżości, która się nie da odtworzyć wtedy, gdy się już pisze po upływie pewnego czasu. Pierwszym, który zajmował się badaniem i opisywaniem uzdrowień był X. Sempé, Przełożony OO. Misyonarzy Niepokalanego Poczęcia w Lurd.

To ustawiczne następstwo faktów, choć nieco jednostajne, więzi jednak uwagę i pociąga mimo woli. Redaktorowie, świadkowie, osoby ciągle się zmieniają, lecz fakta zachowują swój charakter właściwy.

Dziewica Niepokalana, która się ukazała Bernadecie i w zachwyt ją wprowadziła, pozostawiła w jej umyśle pamięć doskonałego, niezmiennego ideału, a ręka tej Dziewicy — od lat blisko 50-ciu — zdaje się nadawać wszystkim swym cudom i łaskom jeden niezmienny charakter.

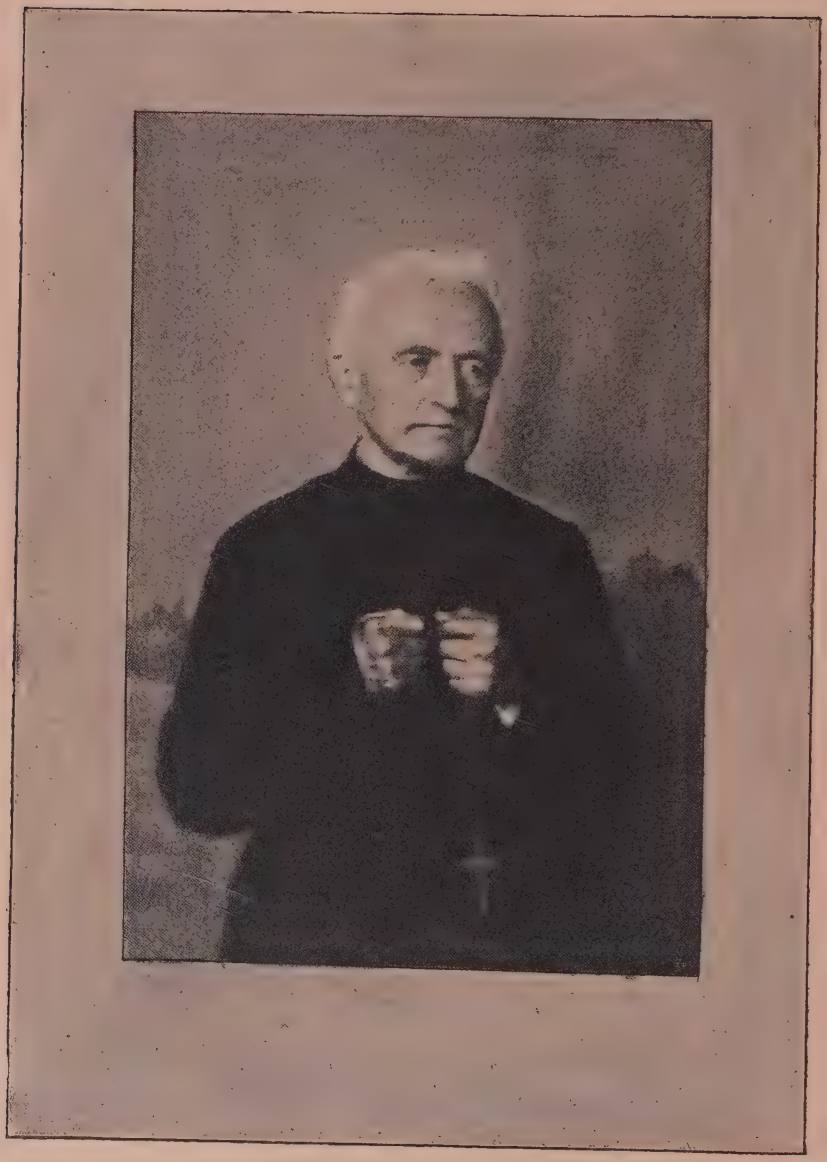

WIEL. X. SEMPÉ,
Przełożony OO. Misyonarzy Niepokalanego Poczęcia w Lurd.

Szukając w »Rocznikach« wyniku najważniejszych spostrzeżeń, znalezionoby tam materyały do olbrzymiego dzieła. Znalazłby się tam dowód jasny, że fakta w Lurd, nie zapożyczają od nauki ludzkiej ani swych środków działania, ani metody, która bywa jak wszystko, co ludzkie, powolną, stopniową, a jej wyniki często niepewne. Wyciągniemy z tego archiwum wszystkie ważniejsze zdarzenia, spostrzeżenia, aby je ułożyć, wystawić na widok publiczny i oddać pod sąd lekarzy, którzy nadadzą im dopiero właściwe znaczenie. Wtedy będzie to praca, mogąca sobie rościć prawo do największego zaciekawienia. Jesteśmy jeszcze zbyt blizkimi tych zdarzeń, które czas dopiero we właściwem świetle ukaże. Dziś jeszcze nieraz trudno oddzielić od tej pracy zdania osobiste i sądy nieraz uprzedzone. Każdy pisze podług swego osobistego zapatrywania, więc też i historya przybiera nieraz charakter osobisty.

Podług niewierzących, jak n. p. Zola, w Lurd kończy się panowanie rozumu. Według nich człowiek najrozumniejszy błądzi w tem siedlisku „suggestyi«, a obłęd rządzi tam stale umysłami ludzkimi. — I to jest właśnie ujemna, ciemna strona wieku naszego, tego wieku niby postępu.

„Ogniska przesądów, — mówi nam Dr Diday — są podobne do ognisk zaraźliwych; jeśli w nich jest podobny sposób rozwoju, mają też podobną siłę niszczącą. Cel wyższy nakazuje nam zniweczenie takich przesądów, choćby kosztem największego nawet bolu, sprawionego tym, którzy z jakichbądź powodów upierają się przy ich rozszerzaniu«.

Dla pielgrzymów zaś, którzy przychodzą ze wszystkich części świata, Lurd jest ziemią cudów, na której wszyscy znajdują widoczne dobrodziejstwa. Idą oni jednak nieraz za daleko — zanadto daleko i oświadczają, że wszystkie uzdrowienia są cudowne. Mówią i sądzą o faktach dokonanych, przyznając wszystkim cudowność, czasem lekceważąc nawet uzdrowienie ważne, a wielką wagę natomiast przywiązują właśnie do wypadku nieraz czysto naturalnego.

Wrażenia te są opowiadane w gazetach, w codziennych potocznych rozmowach i uwagach, powtarzanych po sto razy, a za każdym razem w inny sposób, tak, że często jest rzeczą trudną, a nieraz nawet niepodobną, fakt omawiany rozpoznać w jego pierwotnej formie, tak się tenże zmienia, przechodząc z ust do ust.

Tak więc, gdy wielu niewierzących przeczy z góry odrazu wszystkiemu, bez sprawdzenia, — inni znów twierdzą niejedno bez dostatecznych dowodów i zabierają się do badania tej ważnej sprawy z umysłem nieprzygotowanym do rozstrzygania tak ważnych kwestyj.

Ztąd to pochodzi, że obok prawdziwej historyi Lurd, zrodziły się niekiedy i legendy, zastosowane do upodobań i zasad każdego. Stąd

pochodzi owo zamięszánie, które trwa nieraz i dziś jeszcze, rodząc w wielu umysłach niedowierzanie niczem nieprzezwyciężone.

Lekarze myśleli przez czas długi, (dziś są oni mniej stanowczymi w swych twierdzeniach), — jakoby w historyi Lurd zachodziła tylko kwestya wiary i wpływu religijnego. Uzdrowienia nadzwyczajne na pozór nie miały być według wielu z nich niczem innem, jak tylko zaburzeniami i wstrząśnieniami nerwowemi, źle tłumaczonemi. Ale największa część z tych, co krytykują i sądzą fakta w Lurd, — albo wcale nie zna owych wypadków lub je zna zupełnie źle i sądzi o nich podług swych teoryj, swych systemów — albo podług tego, co o tych faktach słyszeli, bez żadnego upewnienia, czy to jest prawdą lub nie. Najbardziej zaciętymi i nieubłaganymi przeciwnikami Lurd i jego cudów są ci najczęściej, którzy nigdy nie byli z tłumem tak licznie dążącym do groty, nigdy szczerze nie szukali prawdy i nie zasięgali jej u poważnego źródła.

Najbardziej więc idzie o to, aby pokazać jasno, co się w Lurd dzieje i dać dobrze poznać sposoby dochodzenia wszystkich wydarzeń i uzdrowień. Na tych tedy podstawach i zasadach oprze się opowiadanie następujących wypadków.

Historya Lurd ciągnie się od 11 lutego 1858 r. aż do naszych czasów, a dzieli się na cztery główne epoki:

I. Pierwszą zapełniają zjawienia i historya Bernadety.

II. Druga obejmuje wszystkie uzdrowienia, które się odbywały pod okiem Dra Dozous'a i Vergez'a — oraz prace komisyi śledczej.

IIII. Trzecia rozpoczyna się z chwilą ogłoszenia »Roczników« w r. 1868 i trwa do naszych czasów.

IV. W czwartej — mamy ostatnie badania faktów w biurze sprawdzań *(bureau des constatations)*, mamy otwarcie kliniki w Lurd podczas wielkich pielgrzymek.

I te 4 epoki historyi Lurd będą przedmiotem dalszego naszego szczegółowego badania.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsi świadkowie w Lurd.

LEKARZE, KTÓRZY BYLI PIERWSZYMI ŚWIADKAMI FAKTÓW W LURD. — HISTORYA LURD OPIERA SIĘ NA FUNDAMENCIE NAUKOWYM. — BERNADETA. — LEKARZE BADAJĄ JEJ STAN UMYSŁOWY. — ICH SPRZECZNE ZDANIA. — OBJAWY NADPRZYRODZONE.

Jeśli się bada z uwagą i szczegółowo historyę Lurd od r. 1858 — aż do naszych czasów, jeśli się zważy, na jakich podstawach naukowych spoczywają uzdrowienia, o których nam piszą »Roczniki«, jest się tem ude-

rzonym, z jaką surową metodą niejeden fakt został przedstawionym, omówionym i opracowanym.

Od pierwszych objawień się Najśw. Maryi Panny Niepokalanie Poczętej kontrola lekarska nigdy z oka nie spuszczała tego wypadku, który miał być najważniejszem ze zdarzeń religijnych w stuleciu. Lekarze, począwszy od pierwszych dni, czuwali nad Bernadetą we wszystkich szczegółach i drobiazgach jej życia. Jej rodzina, jej dzieciństwo, jej wychowanie, wszystko podlegało szczegółowemu rozbiorowi i dochodzeniu. Nie było prawie godziny w jej życiu, którejby nie badała surowa krytyka. Niebyło twarzy, którąby podlegała większym studyom, jak twarz tego dziecka. Dr. Diday z Lugdunu ogłosił Bernadetę z początku za podlegającą grze wyobraźni. Dr. Voisin ze szpitala Salpêtrière twierdził, że się kwalifikuje do zamknięcia w domu waryatów. Z drugiej znów strony, Dr. Dozous opisuje nam wszystkie przymioty jej serca i umysłu. Odsuwa z całą stanowczością wszystkie przypuszczenia, któreby mogły podać w wątpliwość normalny stan jej umysłu. Lekarz z Nevers, który ją widywał każdego dnia, zostawił nam szczegóły zupełnie historyczne, a zarazem nadzwyczaj ważne.

Wszystkie przeciwne nawet zdania rzucają na tę postać światło tak żywe, że dziś możemy bez najmniejszego cienia wątpliwości skreślić jej żywot ręką pewną; nigdy jeszcze lekarze nie brali tak bezpośredniego i ciągłego udziału w wypadkach tego rodzaju. Możemy ustalić nasz sąd z największą pewnością, że objawienia Bernadety nie były ani złudzeniem zmysłów, ani wynikiem pomięszania jej władz umysłowych. Postawmy z jednej strony zdolności tego dziecka, tak naiwnego, nierozwiniętego, a nawet tak ograniczonego, — a z drugiej zjawienie tej Dziewicy idealnej, o cechach jej nieznanych, jakie z trudem tylko zdołali odtworzyć artyści prawdziwie natchnieni, — a zobaczymy jaka przestrzeń dzieli to zjawisko od tego dziecka i jego szczerych wyznań. Imię tej Dziewicy: »Niepokalane Poczęcie«, słowa Jej nauki stoją również w nienależytym stosunku do umysłu tego dziecka.

Jest więc rzeczą jasną, że zarówno umysł jak i pamięć Bernadety nie mogły otrzymać skądinąd tego obrazu, ani posłyszeć echa słów słyszanych w grocie. Bez opierania się na łączności, która istnieje między objawieniami a następującemi po nich uzdrowieniami, sam fakt objawienia każdy nieuprzedzony i nieuparty musi uznać za cudowny — bo tego nawet sami lekarze środkami naturalnymi wytłumaczyć nie mogą. Lecz nie uprzedzajmy sądu, zanim jasne damy dowody. Sąd ten okaże się dostatecznie uzasadnionym.

Jeśli przeniesiemy nasz wzrok dalej — i zechcemy objawienia te zestawić z wszystkiemi zdarzeniami, jakie zaszły w Lurd — to wtedy rzecz cała przybierze kształty olbrzymie.

Od 25 lutego 1858 r., t. j. od dnia, w którym zapomocą ręki Bernadety woda zaczęła sączyć się ze skały, a następnie wypływać z wnętrza groty w tak olbrzymiej ilości, choć lat blisko 50 już minęło, — uzdrowienia nie ustają i powtarzają się ciągle za dotknięciem tej wody błogosławionej.

»Udrowienia w Lurd zadziwiają swą niezliczoną liczbą, swą ciągłością, która z nich czyni jakby nieprzerwany łańcuch aż do naszych czasów, zadziwiają pominięciem i usunięciem wszystkich metod naukowo-leczniczych, a nadewszystko tem, że uzdrowienia te są natychmiastowe, dokonywające się w jednej chwili, choć choroby nieraz były zastarzałe i uporczywe. Jest w tem jakaś siła wyższa, odmienna od siły natury, siła nieznana, obca zupełnie wodzie, którą się posługuje dla objawienia swej potęgi i mocy«. Tak pisze Dr. Vergez w swem sprawozdaniu.

My dodamy, że jest w tym zbiorze faktów, które następują po sobie od lat tylu, widok, jak na nasze czasy, niezwykły.

W wieku, w którym umysł ludzki jest tak dumny ze swych wynalazków i zdobyczy, kiedy sztuka lekarska wnosi w naukę badanie chorób i zastosowywanie środków z dokładnością matematyczną — nazajutrz prawie po odkryciach Pasteur'a — widzimy we Francyi, kraju najbardziej cywilizowanym, wypadki nadzwyczajne, będące w zupełnem przeciwieństwie z tem, co się codziennie widzi, co zwykle obserwują lekarze — a co najważniejsza, stojące w zupełnem przeciwieństwie z wynikami medycyny.

Uczeni obiecali nam, że nasze czasy zabłysną takiem światłem, iż w jego jasności upadną wszystkie przesądy suggestyonowane przez wiarę. I w tym przyobiecanym tryumfie rozumu ludzkiego spotykamy w Lurd zagadkę nie zgadzającą się całkiem z teoryami niby-naukowemi. Ta nadzwyczajność, te cuda, nie ukazują się w cieniach zamierzchłej przeszłości, lecz teraz w naszych czasach, w tak jasnem świetle prawdy, że zaprzeczyć im nie podobna. Wypadki w Lurd miały bardzo nieznaczne początki. Oto głos dziecka zwoływał tłumy, a kontrolował go wtedy jeden jedyny tylko lekarz. Niedługo potem spieszy mu z pomocą drugi — Dr. Vergez. Następnie przybywa większa ilość lekarzy z różnych krajów i różnych przekonań - są oni świadkami pierwszych cudów i opowiadają sami nadzwyczajność wydarzeń zauważanych u chorych.

»Roczniki« zawierają opisy owych cudownych wydarzeń oraz świadectwa licznych lekarzy. I oto za namową Dra de Saint-Maclou — ostatni nader ważny postęp w tym względzie został w czyn wprowadzonym.

Przedtem istniało tylko podanie pisemne, teraz mamy ustalone podanie ustne i naukowe. Praca ta chwyta fakt każdy świeżo w tych ramach, jakie go otaczają, ze wszystkiemi okolicznościami, uzupełniającemi tok całej sprawy — a liczni świadkowie dodają mu mocy i autentyczności.

Dzieło to więc dalekiem jest od czczego tylko uniesienia, usuwającego się z pod kontroli i dyskusyi.

Cuda w Lurd zresztą, jak wszystkie dzieła wielkiego znaczenia, miały swych przeciwników i podlegały ciągłemu a zasadniczemu przeczeniu, lecz jemu właśnie zawdzięczają one, iż są pewnie i należycie stwierdzone.

I za naszych czasów niejeden cuda, jakie mają miejsce w Lurd, brał za hypnotyzm, co dla wielu z lekarzy było powodem, że fakta jakie mają miejsce w Lurd, zapragnęli sami zbliska zobaczyć i zbadać, by na podstawie własnego doświadczenia wyrobić sobie zdanie osobiste, podług swych osobistych teoryi i zapatrywań.

Będą więc zadowoleni, gdy znajdą w tej pracy nazwiska sławnych swych kolegów, którzy ich uprzedzili i utorowali im drogę, po której mogą postępować bezpiecznie.

ROZDZIAŁ III.

Objawienia.

PIERWSZE ZJAWIENIA SIĘ NAJŚW. MARYI PANNY W LURD. — ZACHWYCENIA. — TAJEMNICZE WEZWANIE. — „JESTEM NIEPOKALANE POCZĘCIE".

Lurd, niegdyś miasto małe w południowej Francyi, położone w górach Pirenejskich, dziś całemu światu znane jest i słynne. Czemu to zawdzięcza? Zjawieniu się Najśw. Maryi Panny i cudownemu źródłu, jakie tam wytrysło, i cudom, które Ona za pośrednictwem tej wody czyni i tam i wszędzie.

Bernadeta (Bernarda) Soubirous (czytaj Subiru), córka ubogiego młynarza, było to dziecię bardzo pobożne i skromne, ale mało rozwinięte na ciele, a nawet i umysłowo, tak dalece, że choć miała już lat 14, wyglądała znacznie młodziej i nie była jeszcze nawet przypuszczoną do pierwszej Komunii św. — Nie mówiła po francusku, tylko prostem narzeczem ludowem, używanem w tamtejszej okolicy. Otóż dziecię to było tem narzędziem, przez Boga wybranem, dla okazania potęgi i łaski Maryi. Jestto właściwem dziełom Bożym, że dla okazania działania Swego wybiera On narzędzia, po ludzku mówiąc, najmniej do

tego odpowiednie i zdolne, aby tem jaśniej okazało się, że nie jest to dzieło ludzkie, lecz Boże!

Dziecię to ubogie chodziło nieraz do pobliskiego lasu, położonego nad rzeką Gaw *(Gave)*, dla zbierania suchych gałązek na opał, a zarazem miało zwyczaj w tym czasie odmawiać różaniec. W takim celu poszła mała Bernadeta i dnia 11 lutego 1858 r. do lasu. Cisza była zupełna... Nagle czuje około siebie powiew wiatru i staje zdziwiona, — bo nigdzie około niej ani jeden listek na drzewach nie zadrgnął... Po chwili powiew ten ponowił się po raz drugi, a wtedy przerażona mimowolnie rzuca okiem na skałę i grotę w niej będącą i widzi, że wielki krzak dzikiej róży, podówczas na brzegu groty rosnący, lekko się porusza... W mgnieniu oka grota i krzak róży zabłysły jasnem, cudownem, niebiańskiem światłem, cała grota napełniła się jakby złotą chmurą, a w środku tej jasności — widzi Bernadeta w grocie »jakąś Panią«, młodą, nadzwyczajnie piękną, w białej sukni i z białym welonem na głowie, przepasaną niebieskim pasem, z przodu spływającym ku ziemi; na ręce miała zwieszony różaniec. Pani ta uprzejmem, pełnem wdzięku skinieniem powitała Bernadetę, uśmiechając się do niej mile i wzywając ją jakby ku sobie. Bernadeta nie wiedziała jeszcze podówczas, że to Matka Najświętsza — przerażona i zdziwiona upadła bezwiednie na kolana i jakby parta jakąś wewnętrzną siłą, sięgnęła po swój różaniec... Chce rękę podnieść, by się przeżegnać, ale brak jej sił do tego, ręka — jakby zdrętwiała.

Naówczas nieznajoma Pani wzięła swój różaniec, który miała zawieszony na prawem ramieniu, i zrobiła nim wielki znak krzyża, a wtedy już i Bernadeta mogła pójść za jej przykładem — i poczęła odmawiać różaniec.

Zaczem Najśw. Marya Panna ujęła także swój różaniec, złożyła ręce — i w miarę, jak Bernadeta przesuwała paciorki różańca, i Ona też poczęła przesuwać w swych palcach różaniec, nic jednak nie mówiąc, aż dopiero na końcu każdego dziesiątka powtarzała razem z Bernadetą: »Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu«. Widzenie to trwało około ćwierć godziny. Wreszcie po skończonej modlitwie Najśw. Marya Panna wyciągnęła Swe dłonie ku Bernadecie, skłoniła głową, jakby na pożegnanie, uśmiechnęła się i znikła w grocie, a z Nią i złote chmury, któremi była otoczona. Bernadeta widzi wtedy znowu tylko szarą skałę, ciernisty krzak głogu i pustą grotę... Po chwili nadeszły towarzyszki, z któremi przedtem zbierała drewka. Bernadeta spytała się ich, czy czego w grocie nie widziały? Odpowiedziały, że nic. Po drodze opowiedziała Bernadeta swoje widzenie najpierw siostrze, a potem, powróciwszy do domu, i matce. Matka usiłowała w nią wmówić, że

BERNADETA SOUBIROUS.

było to tylko prostem złudzeniem, nawet może pochodzącem od złego ducha.

W dwa dni następne, w piątek i sobotę, Bernadeta, pomimo pragnienia i pociągu, nie poszła ku grocie. Dopiero 14. lutego, w niedzielę po południu, uczuła silny, wewnętrzny popęd, pociągający ją w tamtym kierunku. Matka z początku nie chciała pozwolić... wreszcie ustąpiła. »Nie wiem, co to za Pani — mówiła Bernadeta naiwnie, idąc ponownie ku grocie — może to widzenie złego ducha, wezmę więc wodę święconą«. — I gdy się »ta Pani« znów pokazała, Bernadeta, zbliżając się ku grocie, wyjęła flaszeczkę z wodą święconą i poczęła nią grotę kropić, mówiąc do zjawiska: »Jeśli pochodzisz od Boga, to zbliż się«. — A »Pani« uśmiechnęła się i zbliżyła ku dziewczynce, która wtedy przestała kropić wodą święconą... Chwilę wpatrywała się w widzenie z zachwytem i poczęła przemawiać do swych towarzyszek: »Pani ta jest... patrzy na nas... uśmiecha się... o jakże ona piękna!«. — I zaczęła odmawiać różaniec. Przy końcu modlitwy widzenie znikło.

Dwa te pierwsze objawienia stanowią jakby wstęp do dalszych wypadków, — owych dwu wielkich tygodni, w ciągu których każdy dzień niemal zaznacza się nowemi poleceniami i wskazówkami.

Na pierwszy rzut oka historya ta ma jakby pozór prostej tylko legendy, lecz oparta na prostych, szczerych, a zawsze takich samych opowiadaniach Bernadety o której prawdomowności rozumnie powątpiewać nie można — nosi cechy zupełnej wiarogodności i prawdy.

Dnia 18 lutego poszły do groty z Bernadetą dwie panie; jedna z nich przełożona kongregacyi dzieci Maryi. Za namową tych pań Bernadeta przyniosła z sobą papier, atrament i pióro, — i ośmielona prosiła Najśw. Pannę, aby napisała, czego sobie życzy. Najśw. Marya Panna odpowiedziała łagodnie: *tego, co ci mam powiedzieć, nie potrzebuję pisać... zastosuj się do mego życzenia i przychodź tu przez dni piętnaście.*

— Przyrzekam to — odpowiedziało dziecię.

— *A ja ci przyrzekam,* — odpowiada Najśw. Marya Panna, — *że uczynię cię szczęśliwą, ale nie w tem życiu, lecz dopiero w przyszłem.*

Przyjaciółki Bernadety poprosiły ją, aby się spytała, czy mogą także razem z nią przychodzić.

— *Mogą przychodzić* — odpowiedziała N. Marya Panna — *i wy, i inni, gdyż pragnę widzieć tu wiele ludzi.*

Po raz pierwszy »Pani« ta przemówiła, żądając od dziewczęcia, aby przychodziło codziennie w przeciągu dni piętnastu, a z niem i inni ludzie. Wierna swej obietnicy dziewczynka będzie odtąd rzeczywiście przychodziła do groty każdego dnia, aż do 4 marca, wiedziona jedynie

tajemniczym głosem, który ją tam wzywa, i to wśród przeszkód rozmaitego rodzaju, pomimo zakazu i gróźb ze strony policyi, wówczas, gdy wszystko zdaje się przeciwko niej sprzysięgać, a nawet duchowieństwo okazuje się raczej nieprzychylnem, niż życzliwie usposobionem dla jej posłannictwa.

Zjawiona Dziewica przyrzeka, że ją uczyni szczęśliwą, ale nie na tym świecie, tylko na tamtym. — Czyż w czternastym roku, na samym progu życia, gdy wszystko jeszcze bawi i nęci nas ku sobie, a tysiące uroczych marzeń kołysze naszą wyobraźnię, zastanawiamy się kiedykolwiek nad śmiercią? Połóżcie rękę na sercu dziecka i powiedzcie, czy bije i żyje ono już dla wieczności? Natura nie tak łatwo praw swych się wyrzeka.

Pierwszy poryw tych młodych dusz, mogących wybrać dowolnie warunki swego szczęścia, zgadza się zwykle z ich wiekiem i wykształceniem. Była to zaś nauka zbyt poważna na to, by mogła się wytworzyć w tym, tak mało wówczas jeszcze rozwiniętym, umyśle dziewczęcia.

Chcę widzieć tu wiele ludzi — rzekła jeszcze Marya wówczas, gdy były tam trzy tylko osoby. — Nazajutrz dnia 19 lutego przeszło sto osób już o wschodzie słońca znalazło się przed grotą. Dnia 20 lutego ilość ich doszła do kilkuset. Dnia 21 lutego rachowano je już na tysiące. Dnia 4 marca, to jest w ostatnim dniu owych pamiętnych dwóch tygodni, zebrało się dokoła groty około dwudziestu tysięcy ludzi!

Jeżeli zaś dalej sięgniemy wzrokiem, to dnia 4 kwietnia 1864 r., w chwili objęcia groty w posiadanie przez duchowieństwo, ujrzymy sześćdziesiąt tysięcy pielgrzymów, ugrupowanych dokoła ks. Biskupa z Tarb. W lipcu 1876 roku, kiedy Pius IX ukoronował statuę Najśw. Panny z Lurd, przeszło sto tysięcy ludzi wzięło udział w tym uroczystym obchodzie. Za naszych zaś czasów corocznie przybywa do Lurd około miliona pielgrzymów i ciekawych.

Czyż można rozumnie sądzić, że słaby głos dziecięcy mógł wydać takie wyniki?... Jeżeli potrzeba bardzo silnego prądu wichru, aby poruszyć aż do dna fale oceanu, o ileż silniejszych potrzeba prądów, ażeby wstrząsnąć całą ludzkością! Wobec tego bezprzykładnego uniesienia i zapału, wzrastającego z każdym rokiem, innej, daleko wyższej należy szukać przyczyny. Słowa najbardziej nawet genialnych mężów nie wywołują nigdy tak doniosłego echa.

Podczas tych objawień z wyjątkiem samej Bernadety, nikt nic nie widział, ale wszyscy widzieli po zmianach, jakie zachodziły w jej twarzy i w całej jej istocie, będącej w zachwyceniu, że w rzeczywistości jest ona pod wpływem niebiańskiego widzenia. Na widok

przemienionej dziewczynki, matka jej zawołała: »Ja nie poznaję mej córki!«

Zbliżając się do groty, Bernadeta za każdym razem wpadała w zachwycenie, twarz jej cudownej ulegała zmianie, cały zaś tłum, zdumiony jej niezwykłą pięknością i niesłychanem skupieniem, nie mógł od niej oczu oderwać.

»Była ona piękną — opowiadają nam »Roczniki« — nie tą świeżością i wdziękiem, jaki cechuje twarze dziecęce, ale jakąś tajemniczą, nadziemską pięknością. Oblicze jej było nadzwyczajnie bladem, oczy wzniesione ku niebu i szeroko otwarte, najlżejsze zaś nawet drgnięcie nie poruszało jej powiek. Na całej twarzy dziewczęcia malowała się głęboka cześć i uwielbienie. Obecni starali się znaleść w jej rysach jakiś odblask widzenia, które przypadło jej w udziale, wlepiali w nią oczy, jakby w zwierciadło, aby odszukać w niej to, co ją czyniło tak uroczą, poczem nie mogąc dostrzedz nic zgoła, z trwogą wpatrywali się w grotę.«

W chwili zachwycenia odchodziła Bernadeta zupełnie od zmysłów i stawała się na wszystko nieczułą, tak, jakby nie żyła, tylko jasno świecące jej oczy i wyraz twarzy świadczyły o tem, że żyje... ale jakby nie na tym świecie.

Do jakiego stopnia stawała się wtedy pozbawioną wrażenia na całe otoczenie i na wszystko, przekonali się później lekarze przy pomocy różnych doświadczeń. I tak jednego dnia podczas zachwycenia Bernadety dr. Dozous wyjął dużą szpilkę i wbił ją jej głęboko w ciało, — dziewczynka nie poruszyła się nawet i ani jedna kropelka krwi nie pokazała się pod wpływem ukłucia. Innym razem zapuścił jej do oczu atropinę, ostry, gryzący płyn, na który oko ludzkie bardzo jest wrażliwe i zaraz się kurczowo zamyka, przyczem źrenica się rozszerza: Bernadeta nawet nie drgnęła! Jak miała oczy wpatrzone w grotę, takiemi bez zmiany w źrenicy, pozostały i nadal do końca widzenia.

Podczas objawienia z dnia 7 kwietnia dziecię klęczało, trzymając w ręku świecę, która opartą była na ziemi. W chwili zachwytu dziewczynka zbliżyła do siebie obie swe ręce tak, że palce ich skrzyżowały się ponad płomieniem, tworząc nad nim niby dwa łuki, oddzielone malutką przestrzenią. Świeca się paliła, koniec płomienia ukazywał się niekiedy pomiędzy palcami, gdyż był wówczas miotany nader silnym podmuchem wiatru. Pomimo tego jednak zdawał się nie wywierać żadnego wpływu na skórę, której ciągle dotykał.

»Zdziwiony tym niezwykłym faktem, pisze p. Dozous, prosiłem obecnych, aby nikt go nie przerywał, sam zaś z zegarkiem w ręku śledziłem go bacznie w przeciągu kwadransa. Po skończonej modlitwie Bernadeta wstała, aby odejść z powrotem do domu, ale ją zatrzyma-

łem, prosząc, by mi pokazała rękę, której się bacznie przypatrzyłem. Nigdzie jednak nie znalazłem najmniejszego śladu oparzenia. Kiedy zaś postarałam się niespodzianie dotknąć płomieniem jej ręki, cofnęła ją natychmiast, wołając: »Pan mnie parzy!«

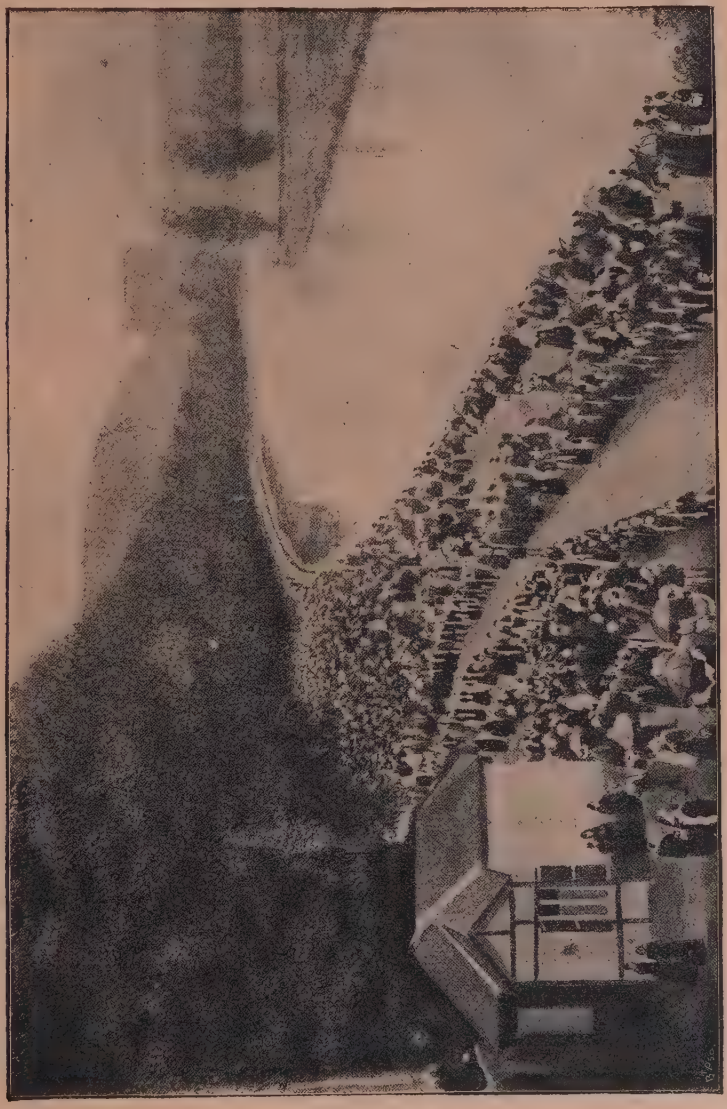

Pierwotne biuro lekarskie nad rzeką Gaw.

Wszystko to powinno było wystarczyć, aby ludzi nieuprzedzonych i dobrej woli, o prawdzie przekonać; — i znaleźli się też w ich liczbie najbardziej nawet uczeni i wykształceni, tacy, którzy przedtem w nic nie

wierzyli i tem bardziej nie dowierzali tym objawieniom i cudom, a którzy pod wpływem uzdrowień widzianych u groty hołd oddali prawdzie.

Takim między innymi był Dr. Dozous, lekarz z Lurd. Z początku przypisywał on te widzenia chorobliwym wyobrażeniom czyli ułudom zboczenia umysłowego. Jednak pod wpływem tego wszystkiego, co się w Lurd działo i czego sam był świadkiem, nawrócił się zupełnie i umarł w późnej starości jako wierzący i pobożny chrześcijanin. Między innymi i on także opisał później, z całkowitem jawnem uznaniem prawdy, te nadzwyczajne zjawiska i cuda w Lurd przez siebie widziane.

Bądź co bądź jednak ogół ulegał zawsze do pewnego stopnia wpływowi tej cudownej zmiany, jaka zachodziła w twarzy Bernadety podczas zachwycenia. Cisza stawała się wtedy jeszcze głębszą, wszyscy obecni znajdowali się mimowoli w stanie większego, niż kiedykolwiek, skupienia. Pan Estrade, jeden z wybitnych urzędników podatkowych w Lurd, odmalował nam nader wymownie wrażenia, jakich sam doznał na ten widok. Jak się następnie przyznał, był on przedtem całkiem niewierzącym i wszelkie opowiadania o cudach obracał w drwiny.

Oto jak opisuje widzenie z d. 23 lutego:

»Znajdowałem się przy grocie, podczas czwartego objawienia. Wśród tłumu, miotanego najrozmaitszemi uczuciami, byłem zupełnie spokojny i myślałem sobie, że to, co nastąpi, musi być zupełnie naturalnem.

»Wreszcie przybyła Bernadeta i upadłszy na kolana, uczyniła wielki znak krzyża świętego. Nie spuszczałem z niej oczu ani na chwilę, aby nie stracić żadnego jej ruchu.

»Nagle twarz jej, postawa i cała istota, w cudowny przemieniły się sposób, dziwne bowiem, niebiańskie życie zdawało się ją ożywiać. W oczach jej widać było jakby odblask tego światła, które oświecało ją wewnętrznie. To dziecię ludu, tak skromne i proste w ubiorze i ruchach, nie różniące się niczem od swych towarzyszek, stało się nagle inną zupełnie istotą i wyróżniało się wybitnie na tle całego tłumu. Jakiś nadziemski blask zdawał się ją otaczać.

»Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czynię, mimowoli odkryłem głowę i spostrzegłem to dopiero wówczas, gdy już miałem kapelusz w ręku. Przez cały czas trwania zachwytu nie mogłem oderwać oczu od dziewczęcia. Nieruchomy, jak ono, starałem się uchwycić cośkolwiek z tej tajemniczej rozmowy, której odcienie zdradzała cała jej postać.

»Od tego dnia miałem już wyrobione w tej mierze przekonanie i wszelkie moje wątpliwości rozprószyły się bez śladu. Znalazłszy się

wieczorem w towarzystwie przyjaciół, podzieliłem się z nimi doznanemi wrażeniami i przekonałem się ze smutkiem, że zupełnie inaczej, niż ja, zapatrywali się na całą sprawę.

»Bądź cobądź jednak — dodaje — ilość naszych stronników wzrastała z dniem każdym i po upływie kilku miesięcy stanowiła już znaczną większość, cyfra zaś niewierzących zmniejszyła się prawie do zera«.

Czytając te słowa pana Estrade, odczuwa się mimowoli trochę tego wzruszenia, jakiego musiał on doznać na widok Bernadety, zatopionej w zachwyceniu.

Opowiada on o tem, co widział, z wielką naturalnością i prostotą, widok zaś ten wystarczył mu na to, aby oświecić jego duszę i opromienić całe dalsze życie. Rzec można, że pewien odblask objawień przylgnął do niego i udzielił mu tego nieporównanego uroku, jaki się łączył z ich wspomnieniem.

Zachwycenie jednak nie pozbawiało Bernadety własnej jej woli; powtarzała ona bowiem lub dawała sama rozkazy, prosiła, by jej zapalono gromnicę, i w chwili ocknięcia się zachowywała zupełną przytomność. Nie była ona pod wpływem żadnej szalonej gry wyobraźni ani tej ruchliwości myśli i uczuć, jakie cechują choroby nerwowe; nie znajdowała się w stanie nadzwyczajnego podniecenia, zdarzającego się zwykle przy hipnotyźmie, ani wreszcie tego upojenia, które dają narkotyki i trucizny. Przeciwnie odbywał się w niej jakiś potężny, miarowy i pociągający rozwój działalności umysłowej.

Samo zachowanie się osób, pogrążonych w zachwycie, nie może służyć wprawdzie za dowód nadprzyrodzonego charakteru jakiegoś widzenia albo objawienia. Wyraża ono zdumienie, uwielbienie lub przestrach, każdy zaś objawia te uczucia zapomocą środków, jakimi rozporządza.

U Dra Luys, w szpitalu Sióstr Miłosierdzia, była pewna osoba, która natychmiast wpadała w zachwyt, skoro tylko złożono jej ręce jakby do modlitwy, a całą swą postawą wyrażała wówczas jak najgłębszą pobożność i skupienie ducha.

Pierwszy ten objaw nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, lecz skoro jej powiedziano, aby spojrzała na sufit w kącie pokoju, natychmiast dostrzegała tam Najświętszą Pannę z Lurd, którą opisywała z rozmaitymi waryantami, dając jej naprzykład suknię niebieską, zamiast białej itp. Było to zachwycenie doświadczalne, z suggestyonowaną grą wyobraźni, słowem było to wynikiem obcych wpływów. Kobieta owa opowiadała o swych widzeniach tak, jak gdyby recytowała lekcyę, której się poprzednio dobrze nauczyła; wszystko w niej było machinalnem, wyszukanem lub narzuconem z góry. Wprawdzie w rysach jej malował się pewien odblask jakiegoś wewnętrznego uczucia, lecz nic

w tem nie było naturalnego, szczerego i swobodnego; przy obudzeniu się zaś wszystko bywało zapomnianem.

W rogu sufitu ukazywała się niezmiennie Najświętsza Panna z Lurd, a podczas widzenia stan hipnotyczny był całkiem widocznym, osoba bowiem jemu podlegająca, odrywała się całkowicie od świata zewnętrznego, wszystkie zaś jej wrażenia były wywołane lub wyuczone.

Lekarz, będący świadkiem takich doświadczeń, utworzyłby sobie o nich natychmiast należyte pojęcie, nie kładłby zaś z pewnością tych objawów na równi ze zjawiskami, spostrzeżonemi u Bernadety.

Nie wystarczało przyprowadzić Bernadetę do groty, jak chorą ze szpitala Sióstr Miłosierdzia do owego kąta w pokoju, aby wywołać dowoli cudowne objawienia. Nieraz przychodziła ona do groty na modlitwę, Najświętsza Panna zaś nie ukazywała się ani podług jej życzenia, ani na miejscu przez nią obranem.

Bernadeta nie zdradzała najmniejszego objawu, najmniejszego śladu jakiejkolwiek choroby nerwowej i aż do czternastego roku jej życia nikt nie domyślał się nawet, że mogła mieć usposobienie podobnego rodzaju. W przeciągu dwóch miesięcy miała ona ośmnaście widzeń, poczem nagle wszystko ustało i wróciła do zwykłego, codziennego życia, i aż do końca ziemskiej swej pielgrzymki nie okazywała już nigdy podobnych objawów.

Czy można jednak stać się na czas krótki, bez żadnego przygotowania, nerwową i skłonną do zachwytów, następnie zaś bez najmniejszego fałszywego kroku odzyskać zupełną równowagę? Byłoby to nową i bardzo wygodną chorobą, wynalezioną na poparcie teoryi, poprzedzającej poważne zbadanie faktów.

Jeżeli Bernadeta miewała zachwycenia — czego dowodzą tysiące świadków i badania naocznych lekarzy — jeżeli podczas nich miała cudowne widzenia — o czem świadczą jej prostoduszne opowiadania i przytoczone przez nią słowa, dawane jej rozkazy, i wszystkie wypadki, jakie potem nastąpiły — jeżeli z drugiej strony umysł jej znajdował się w stanie zupełnej równowagi — czego dowodem jest całe jej poprzednie i następne życie, tudzież twierdzenia lekarzy, którzy ją badali — w takim razie trzeba szukać innego, nieznanego czynnika dla wytłumaczenia tych faktów.

W takich warunkach niepodobna zrozumieć i wytłumaczyć zachwytu i widzenia. Umysł Bernadety, dotąd zupełnie prawie dziecięcy i uśpiony, musiał doznać gwałtownego wstrząśnienia, ujrzeć światło, którego punkt wyjścia i ognisko bynajmniej nie w niej samej się znajdowały.

Jakże uboga ta pasterka, dotknięta nagle chorobliwym zachwytem i grą wyobraźni, mogłaby zachować taką świeżość pamięci i zdolność poj-

mowania, jakich po jej wykształceniu i w jej wieku nie można było się spodziewać?... Czyż chęć upatrywania w tem wszystkiem naturalnego i codziennie niemal zauważanego zjawiska nie byłaby poprostu torturą dla zdrowego rozsądku i rozumu?...

Ach, gdyby wśród pewnych kół nie utarło się zdanie, że chcąc mówić o rzeczach nadprzyrodzonych, trzeba chorować na newrozę, oraz że wszedłszy na to pole, wpada się mimowoli w średniowieczne cie-

Dom rodzinny Bernadety Soubirous.

mności, — wówczas możnaby było szukać wznioślejszego wyjaśnienia, możnaby twierdzić, że nigdy umysł chory lub niespokojny, a tembardziej dusza, ciemnej i niewykształconej czternastoletniej pasterki, nie zdołałaby wznieść się do urobienia sobie tak czystego i tak jasno określonego ideału, ani też przypisać tej Dziewicy, jaśniejącej blaskiem nadziemskiej piękności, słów, tak doniosłe posiadających znaczenie!

Choroba zwykła może wytwarzać tylko nieporządek, nie może zaś nigdy stworzyć ani talentu ani geniuszu. Jeżeli chodzi o wywołanie

podobnego zjawiska, któreby wywarło na całym świecie tak doniosłe wrażenie, — jakie wywarły wszystkie wypadki w Lourd, — to duch ludzki, pozostawiony własnym siłom, nie byłby zdolnym do spełnienia tego zadania. Czyż więc możnaby przypisać coś podobnego niewykształconemu wcale umysłowi czternastoletniego dziecięcia?...

Dnia 23 lutego Najśw. Marya Panna poleciła Bernardecie, aby poszła do księży i oświadczyła im w Jej imieniu, że: *Pani ta życzy sobie, aby w tem miejscu wystawiono kaplicę.*

Po skończonem widzeniu Bernadeta przyspieszonym krokiem podążyła wprost na probostwo. Proboszczem podówczas i zarazem dziekanem był zacny i świątobliwy ks. Peyramalle (czytaj: Pejramal). Z jego rozkazu księża parafialni trzymali się dotychczas w całej tej sprawie z niedowierzaniem, na uboczu, — żaden dotychczas razem z Bernadetą przy grocie nie był. Ks. Peyramalle mawiał do księży: »Czekajmy cierpliwie.... aż się wypadki doskonale wyjaśnią, aż będziemy wiedzieli, co w tem prawdy. Jeśli z jednej strony mamy obowiązek śledzić wypadki, — to z drugiej strony prosta roztropność wymaga, abyśmy, my kapłani, nie mając jeszcze pewnych danych o naturze tych zjawisk, udziału w tem nie brali,... bo potem jeszczeby powiedziano, jakobyśmy to sami obmyślili dla omamienia łatwowiernych umysłów«... Z drugiej strony polecił jednak ks. proboszcz osobom wiarogodnym i zaufanym śledzić cały przebieg wypadków i codzień sobie sprawę zdawać, — zwłaszcza o całem zachowaniu się Bernadety. —

Otóż, gdy ta z polecenia Najśw. Maryi Panny przed ks. proboszczem stanęła, — on nietylko przyjął ją chłodno i ozięble, ale zapytał nawet gniewnie i z pewnem oburzeniem: *Czego chcesz?*

— *Księże proboszczu* — odpowiedziało dziecię nieśmiele — *ja przychodzę z poleceniem od tej niebiańskiej Pani, co mi się w grocie pokazuje...*

— *A, tak;* — odrzekł ks. proboszcz — *ty udajesz, że masz widzenia... całe miasto poruszasz... Co to wszystko ma znaczyć?... Co ci się stało?...*

Surowa, i gniewna postawa, tak zwykle łaskawego kapłana, zdziwiła, a nawet smutkiem przejęła dziewczynkę. Ze ściśniętem sercem, choć z wypogodzonem czołem i ze spokojem — jaki jej nadać mogło tylko czyste sumienie i pewność prawdy tego, co mówiła — Bernadeta z całą prostotą opowiedziała wszystko, co się jej dotychczas przydarzyło... Z całego opowiadania przebijała szczerość, prawda i prostoduszność.

Ksiądz proboszcz czuł się przekonanym o prawdzie, ale nie wyjawił tego... i zapytał z obojętnością:

— *I nie wiesz, kto jest ta Pani, — i jak się nazywa?*

— *Nie wiem,* odpowiedziało dziecię spokojnie, *bo mi tego nie powiedziała. Ludzie mówią, że to Najśw. Panna.*

— *Tak, ci, co dowierzają tobie, mówią, że to Najśw. Panna. Ale wiesz, co ja ci, twój pasterz, powiem* — dodał z powagą, a nawet groźnym i nieco podniesionym głosem — *oto, jeśli łudzisz wiernych, mówiąc, że na własne oczy widzisz Boską Dziewicę, to moje dziecko, taką idziesz drogą, która z pewnością nie zaprowadzi ciebie na miejsce, gdziebyś po śmierci wiekuiście oglądać Ją mogła... Powiadam ci, jeśli kłamiesz, to tak stanie się z tobą: podczas gdy inni oglądać Ją będą w niebie, ty pozbawiona szczęścia Jej widzenia, na zawsze będziesz od Niej odepchnięta i poniesiesz za fałsz wieczną karę w piekle!*

— *Ja nie wiem, księże proboszczu* — odpowiedziało dziecię spokojnie — *czy to jest Najśw. Panna, ale to jest rzeczą pewną, że objawiającą mi się Panią widzę tak wyraźnie, jak teraz ks. proboszcza — i tak słyszę każde Jej słowo, jak to, co ks. proboszcz do mnie mówi. A teraz właśnie przyszłam do ks. proboszcza z polecenia tej Pani, która żąda, aby postawiono kaplicę na tem miejscu, gdzie się objawia.*

Ks. proboszcz w pierwszej chwili dziwnie był wzruszony... po chwilce jednak niedowierzanie wzięło górę... zawahał się. Po namyśle, rzekł do dziewczęcia:

— *Jeśli ta Pani, o której mówisz, jest w istocie Królową nieba, przyłożę się, o ile mi sił starczy, do zbudowania Jej kaplicy. — Ależ moje dziecko, skądże ja ci mam wierzyć?... Słowa twoje nie są żadnym jeszcze dowodem ani żadną powagą poparte, więc nie mam obowiązku wierzenia tobie... Daj mi jakiś dowód... Powiedz tej Pani, aby mi dała jakiś dowód Swojej potęgi... Wedle twego opowiadania, na miejscu, gdzie się ta Pani objawia, jest krzew dzikiej róży... Otóż powiedz tej Pani odemnie, że jeśli chce mieć kaplicę, niech pierwej sprawi, aby ten krzak róży teraz zakwitł.* (A był to miesiąc luty).

Nazajutrz, 24 lutego, już o wschodzie słońca liczne rzesze cisnęły się koło groty. Nadeszła i Bernadeta — i jak zwykle, uklękłszy przed grotą, poczęła odmawiać różaniec. Po chwili wpadła w zachwyt, lecz wyglądała całkiem inaczej niż zwykle. Wprawdzie i dziś oczy jej błyszczały dziwnym blaskiem, nadającym jej wyraz anioła... i popatrzeć na nią wystarczyłoby, dla ludzi dobrej woli, aby być przekonanym o prawdzie.. Po chwili jednak rozpromienienie i radość znikły z jej twarzy i dziwny smutek, przygnębienie, boleść odmalowały się na niej... Zalana rzewnemi łzami, poczęła się na kolanach czołgać ku grocie, od czasu do czasu całując ziemię. Po chwili odwraca się ku ludziom i śród łez i łkania po trzykroć głośno powtarza: **„pokuty! pokuty! pokuty!“**

Po jakimś czasie widzenie znikło, twarz dziewczęcia przybrała zwykły swój wyraz... Krzew róży nie zakwitł!... Bernadeta powstała, — i nic nie mówiąc, wróciła do miasta, śpiesząc znów wprost do ks. proboszcza.

Ks. proboszcz zapytał się ją od razu: *Cóż widziałaś dzisiaj — i z jakiem poselstwem przychodzisz do mnie?*

— *Ks. proboszczu!* — odrzecze dziecię — *skoro dziś tę Panią ujrzałam, powiedziałam, co mi ks. proboszcz oznajmić Jej polecił, że ks. proboszcz żąda odemnie i od Niej, jako dowodu, żeby ten krzak róży zakwitł... Pani ta uśmiechnęła się tylko na to i nic mi nie odpowiedziała, ale poleciła mi zbliżyć się na klęczkach ku grocie i kazała modlić się za grzeszników i po trzykroć ze smutkiem zawołała głośno: pokuty! pokuty! pokuty! Gdym była w grocie, powierzyła mi tajemnicę, mnie samej tylko się dotyczącą... i potem znikła.*

Proboszcz nic nie odrzekł, tylko głęboko się zamyślił i naradzał się z księżmi. Zadziwiło go, dlaczego Najśw. Marya Panna w odpowiedzi na jego żądanie się uśmiechnęła?... Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że nie my mamy Bogu i Maryi przepisywać, jak mają działać i jakie dawać dowody, i że zapewne żądany dowód zakwitnięcia róży był dla potęgi Maryi za małym i nic nie znaczącym... Wzywanie do pokuty miało być przygotowaniem do otrzymania łask Maryi. — Róża ta cudownie zakwitła, jak tego sobie ks. Peyramalle życzył — ale nie wtedy, lecz o wiele później. dopiero już po śmierci jego i Bernadety — w rocznicę objawienia, w miesiącu lutym 1901, podczas bardzo ostrej zimy! A tem N. Marya P. pokazała, że i ten cud dla Niej nie był niemożebnym.

Dziś, gdy to piszę, jest tak samo piątek po pierwszej niedzieli postu — jak był wtedy, kiedy Najśw. Marya Panna miała dać dowód prawdziwości Swego objawienia. W dzisiejszej Ewangelii czytamy, że za czasów Pana Jezusa była cudowna sadzawka, zwana Bethsaidą, około której *leżało mnóstwo wielkie niemocnych, ślepych, chromych, wyschłych, którzy czekali poruszenia wody. Anioł Pański zstępował czasu pewnego w sadzawkę i wzruszała się woda. A kto pierwszy wstąpił do sadzawki po wzruszeniu wody, stawał się zdrowym, jakąbykolwiek zdjęty był niemocą* (Jan 5. 2—4). — A wczoraj w brewiarzu na jutrznię w Ps. 76 czytałem: *Wspomniałem na sprawy Pańskie, bo będę pamiętał na dziwy* (cuda) *Twoje od początku... Boże! w świętości droga Twoja. Któryż Bóg wielki, jako Bóg nasz! Tyś jest Bóg, który dziwy* (cuda) *czynisz! Oznajmiłeś między narody moc Swoją... Ujrzały Cię wody, Boże! ujrzały Cię wody,... i wzruszyły się przepaści ..*

Otóż taką cudowną wodę, taką sadzawkę, miała dać Najśw. Marya Panna w Lurd, jako dowód, że to Ona się zjawiła i postawienia

kościoła żądała — a przygotowaniem do tego było wzywanie do pokuty!

Nazajutrz, d. 25 lutego, poszła Bernadeta znowu ku grocie. Co się tam wtedy działo, opowiadam wedle opisu naocznego świadka, p. Estrade. — »Cud się stał — pisze p. Estrade — ale patrzący nań nie zrozumieli go w pierwszej chwili — a nawet dla wielu stał się on z początku rozczarowaniem i zgorszeniem. Ja sam, który byłem naocznym świadkiem tajemniczego tego zdarzenia, jakie mam zamiar opisać, czułem przykre wrażenie i osłabienie mej wiary. — 25 lutego poszedłem w kierunku groty i starałem się być jak najbliżej Bernadety, aby zwracać uwagę na każdy jej ruch. Była ona tuż przy mnie, w swej postaci anielskiej... Po kilku minutach powstała, aby się przybliżyć ku grocie,... odsunęła gałęzie suchej róży i pocałowała ziemię, potem zeszła poniżej i po chwili wpadła w zachwycenie. Po upływie czasu 2 albo 3 dziesiątków różańca, powstała na nowo... i zdawała się być zakłopotaną,... z pewnem wahaniem zwróciła się ku rzece Gaw, płynącej u stóp skały, i uszła kilka kroków... Nagle zatrzymała się, popatrzyła wstecz tak, jakby ją ktoś wołał, jakby nadsłuchiwała głosu polecenia, które zdawało się do niej dolatywać z groty... i zwróciła się nazad ku niej. Tam pochyliła się i poczęła kamienie, na dnie groty leżące, odsuwać, a rękami drapać ziemię;... zrobiła małą jamkę, która wnet napełniła się wodą... Poczęła dalej rączkami grzebać — wody przybyło. Po chwili napiła się tej wody i obmyła się nią, następnie wzięła odrobinę ziela, które tam leżało na ziemi, i poczęła je jeść. Wszyscy, patrzący na nią, nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć, spoglądali na to z przykrem uczuciem pewnego zdziwienia. — Bernadeta powstała i powróciła na swe miejsce, mając całą twarz powalaną wodą błotnistą. Na widok ten powstał krzyk, jakby rozczarowania, i wielu zawołało, że biedne dziecko zwaryowało! Obecni obtarli jej twarz — Bernadeta nie zdawała sobie z tego sprawy. — Po chwili widok jej twarzy był znów rozjaśniony, bardziej niż zwykle, uśmiech anielski okazał się na jej ustach i była znów w zachwyceniu, wpatrzona w niebiańskie zjawisko. Obecni patrzali na nią z pewnem współczuciem... wielu poczęło z rozczarowaniem odchodzić. Około godziny siódmej widzenie znikło. Bernadeta przeżegnała się wielkim znakiem krzyża, oprzytomniała... i po chwili szła z powrotem do domu. — Ja sam byłem pod wpływem uwag przykrych i zniechęcających. Bernadeta zwaryowała, mówiłem sam do siebie... A jednak, — to nie ona zwaryowała, ale ja byłem niemądrym i zaślepionym!«...

Osoby, co Bernadecie z powrotem towarzyszyły, nie zauważyły w niej żadnego śladu zboczenia umysłowego. Ona, jak zwykle, rozmawiała spokojnie i rozumnie. Powiedziano jej: »Ależ Bernadeto, tyś się tak dziwnie

zachowywała przy grocie, — byłaś jakoś bardzo roztargniona. Co ci się stało? Dlaczego grzebałaś ziemię? Dlaczego piłaś wodę tak mętną, co przecież musiało ci być wstrętnem?«...

— »Oto — odrzekła Bernadeta — gdym się modliła, Pani powiedziała mi: Idź, napij się i obmyj we źródle... — Gdym nie wiedziała, gdzie jest to źródło,... zwróciłam się ku rzece Gaw. Wtedy ta Pani zawróciła mnie i ręką dała mi znak, żebym się zbliżyła ku lewej stronie groty. — Nie wiedząc, skąd mam się wody napić — (bo w grocie nigdy żadnej wody nie było) — zaczęłam pod wpływem natchnienia —

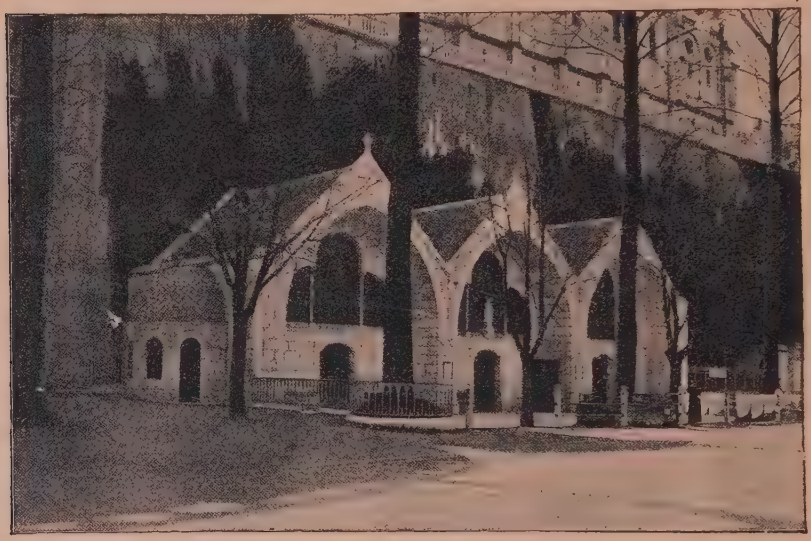

Sadzawka z wodą cudowną w Lurd.

ziemię grzebać — i wtedy z pod palców woda wytrysnęła. Napiłam się tej wody i nią się obmyłam, jak mi ta Pani poleciła!«

— Ale tyś jadła jakieś zioła — a to dlaczego?

— Nie wiem — Pani ta dała mi takie polecenie...

I od tej chwili ze skały, w której nigdy przedtem żadnej wody nie było, poczęło bić cudowne źródło,... które tryskało coraz silniej i silniej — i płynęło z groty strumykiem na dół. **Po dziś dzień tryska tam to źródło ogromnie obfite, wydając na minutę 85 litrów wody, 5 tysięcy litrów na godzinę, a 122 tysiące litrów na dzień!**

Pierwsza wieść o tem wywarła wielkie wrażenie w całem mieście. Wszyscy niemal jego mieszkańcy wyruszyli ku grocie, dla sprawdzenia faktu... Wtedy dopiero zrozumiałem stało się każdemu poranne zdarze-

nie: że źródło to, pod rączkami dzieciny ze skały wytryskające, jest cudownem, — jest tym znakiem danym od Najśw. Maryi Panny, jest jakby tą cudowną sadzawką — jakiemi za czasów P. Jezusa były sadzawki Bethsaida i Siloe. — Tysiące i tysiące chorych, na najrozmaitsze nieuleczalne choroby, odzyskało i odzyskuje po dziś dzień w tem cudownem źródle swe zdrowie!

Pierwszym, który doznał cudownego skutku nowego źródła — był biedny robotnik, Ludwik Bouriette (czyt. Buriet).

Przed przeszło 20 laty wybuch w kamieniołomach zabił brata jego na miejscu, a jemu całą twarz poranił tak, że wzrok w prawem oku stracił prawie zupełnie. Z czasem stan oka jego tak się pogorszył, że nietylko miał w niem wielkie boleści, ale nic na nie prawie nie widział. Dowiedziawszy się o cudownem źródle, posłał zaraz córkę swą do niego po wodę... Ta wnet mu jej przyniosła, a on z wiarą i ufnością westchnął do Matki Najświętszej, przemył nią chore oko.... i w tej chwili w wielkiem wzruszeniu krzyknął na cały głos,... bo w jednym momencie stał się cud... oko zostało uzdrowione! [1]).

Wieść o tem rozeszła się wnet lotem błyskawicy po całem mieście i tem większe wywołała zdziwienie i wrażenie, że Bouriette był dobrze znanym, a chorym na oczy od lat dwudziestu!... Podobne cuda działy się zaraz potem tegoż samego dnia w całem mieście. Mnóstwo osób, od wielu lat chorych na różne choroby i od wielu lat przykutych do łoża boleści, — powstawało zdrowych. Tak Marya Daube, Bernard Soubie, Julian Baron i inni. Jan Crassus zanurzył we wodzie rękę sparaliżowaną i wyschniętą od lat 10-ciu — i w jednej chwili odzyskał ją zdrową! Komisye lekarskie i biskupie wszystkie te uzdrowienia następnie sprawdzały i stwierdziły...

Nic więc dziwnego, że całe miasto było pod ogromnem wrażeniem. Tegoż samego dnia jeszcze, wieczorem, kamieniarze z Lurd wykuli w skale schody, ułatwiające przystęp do groty i cudownego źródła, i zrobili zbiornik na wodę, rodzaj studzienki. Po zachodzie słońca całe prawie miasto wyszło ku grocie — niosąc świece lub lampy, i grota zajaśniała wspaniałą illuminacyą... tysiącem świateł... Brakowało kapłanów, którzy jeszcze trzymali się na uboczu. — Lud z tysiąca piersi zaśpiewał litanię do Matki Boskiej i z tysiąca ust leciał głos: »Matko przedziwna!... Przyczyno naszej radości!... Pocieszycielko strapionych!...| Uzdrowienie chorych!... módl się za nami!«

Dalsze objawienia się Najśw. Maryi P. ponawiały się co dzień — i co dzień miały miejsce nowe cudowne uzdrowienia... W jednym z na-

[1]) Obszerniejsze sprawozdanie o tym cudzie damy poniżej.

stępnych dni Najśw. Marya Panna dała Bernadecie ponowne polecenie, by poszła do kapłanów i żądała wystawienia kaplicy na tem miejscu i żeby odbywały się procesye do groty. — Bernadeta poszła więc z tem do ks. proboszcza. Dziś mogła już stanąć z dowodami, jakich on żądał. Źródło cudownie wytrysło, a woda ta już tylu uleczyła. Teraz już jej proboszcz uwierzył bez trudności, nie żądał nowych dowodów i odpowiedział: że się odniesie z całą tą sprawą do biskupa... Jednego tylko jeszcze na pewne nie wiedział, choć się domyślał, t. j.: kto jest ta Pani i jak się nazywa, — przeto polecił Bernadecie, aby się Ją o to zapytała.

Dzień 3-go Marca był przedostatnim zapowiedzianych Bernadecie objawień. Dnia tego było przy grocie około 20 tysięcy ludzi! Bernadeta przyszedłszy, uklękła jak zwykle, i wnet wpadła w zachwycenie... Wtedy, wypełniając polecenie proboszcza, zapytała się Najśw. Maryi P.: kto jest i jak się nazywa?... Tą razą nie otrzymała jeszcze na to żadnej odpowiedzi, — ale ponowne polecenie: aby się napiła wody ze źródła,... aby tu zbudowano kaplicę i aby tu procesye przychodziły, wskazując tem niejako jeszcze raz na cel tego zródła.

Po południu tegoż samego dnia u źródła w grocie stał się znowu cud wielki — na dowód prawdziwości objawień i poleceń Maryi. Biedni wyrobnicy, Jan i Kroazyna Bouhohort, mieli 2-letniego synka Justyna, jedynaka, sparaliżowanego od urodzenia, bezsilnego kalekę, a teraz w dodatku ciężko chorego i blizkiego już śmierci. Im nieszczęśliwszem było to dziecię, tem bardziej matka je kochała. Widząc jedyne kochane swe dziecię konającem, biedaczka była niepocieszoną. Nagle ma szczególniejsze natchnienie i mówi sama do siebie: »Matka Boska, w grocie zjawiona, syna mi uzdrowi«! Bierze więc dziecię konające — prawie już bez życia — zawija w fartuch i spieszy do groty. Ojciec widząc to, a nie mając tej żywej wiary i ufności, co jego żona, rzecze do niej: »Czyś zwaryowała? przecież dziecię już kona — dobijesz je«! Pomimo oporu ze strony męża, matka wychodzi i przyspieszonym krokiem, raczej biegnąc, niż idąc, spieszy do groty. Po drodze głośno się modli i wzywa pomocy Matki Najśw. Ludzie myśleli, że zwaryowała. Około groty było wtedy kilkaset osób. Biedna matka, przybywszy do groty z dziecięciem, pada na kolana i modli się rzewnie... Potem, na klęczkach czołgając się i głośno wzywając Maryi, przybliża się do zbiornika, w skale już wykutego... wydobywa z fartucha nagie ciało konającego prawie dziecięcia, robi nad niem znak krzyża św. i zanurza je aż po główkę w lodowatej wodzie!... Jeden wielki krzyk oburzenia rozległ się w tej chwili: »Waryatka ! szalona!«... Ludzie chcieli dziecko jej wydrzeć i wyjąć z wody. «Zabijasz dziecko!« — wołano do niej... »Zostawcie mnie, zostawcie!... P. Bóg i Najśw. Panna dziecko uzdrowią«!... Dziecię

było zsiniałe, sztywne, bez najmniejszego znaku życia... »Dziecię już nie żyje, — wołali ludzie — dajmy więc jej pokój«. Biedna matka, z wyższego natchnienia, czuła, że się ucieka do drugiej Matki... w niebie! a stąd miała nieograniczoną wiarę i ufność. — Niektórzy z obecnych dziwili się i szydzili z biednej kobiety, a ta wciąż się głośno modliła o uzdrowienie dziecka i trzymała je w zimnej wodzie dłużej niż przez całe ćwierć godziny! Po ludzku mówiąc — w zwykłym porządku przyrodzonym — musiałaby dziecko przezto zabić. Wreszcie wyjmuje je z wody, nawet na nie nie patrzy, bo wierzy i ufa, że dziecię będzie zdrowe, zawija je napowrót we fartuch i spieszy do domu. Gdy je kładła do kołyski, Justyś był jeszcze nieruchomym, zimnym jak trup. Ojciec, widząc dziecko w tym stanie, mówi do żony: »nie mówiłem ci, że zabijesz dziecko, widzisz, nie żyje«. — »Żyje i żyć będzie i będzie zdrowem« — odpowiada żona, ufna w pomoc Matki Najświętszej. — »O niewiasto! wielką jest wiara twoja« — można o niej powiedzieć słowa Pana Jezusa, wyrzeczone do niewiasty Chananejskiej! — Po chwili matka widzi, że Justyś jej oddycha... Dziecię rzeczywiście oddychało i spało spokojnie głębokim snem aż do rana. Matka całą noc czuwała nad kolebką dziecięcia i wyglądała chwili przebudzenia. Justyś obudził się nad ranem — miał twarzyczkę rumianą, usta uśmiechnięte, był zupełnie zdrów! Zażądał piersi matczynej i ssał bardzo długo, potem rwał się na ziemię — do chodzenia, chociaż od urodzenia był sparaliżowany i dotąd jeszcze nie chodził. Matka, pomimo napierania się dziecka, położyła je przemocą napowrót do kołyski. Po chwili wyszła z izdebki. Wtedy mały Justyś sam wydostał się z kołyski i począł chodzić po izdebce, po raz pierwszy w swem życiu, poruszać stołki itd. Gdy matka weszła, na widok ten o mało nie padła bez zmysłów! Serce każdej matki odgadnie, co się wtedy działo w sercu uradowanej i uszczęśliwionej kobiety. Gdy dziecię matkę ujrzało, pobiegło samo żwawo ku niej... matka się zniżyła, a Justyś zawisł na jej szyi... Uradowana słowa powiedzieć nie mogła, rzewnie tylko płakała łzami radości, składając gorące dzięki Matce Najświętszej!

Doktor Peyrus, który przedtem chore dziecię miał w swej opiece, przyznał otwarcie, że to cud! Dwaj inni lekarze, Dr. Dozous i Vergez, badali każdy z osobna historyę chorego dziecka i stan jego obecny, i obaj uznali cud widoczny, zważywszy zwłaszcza pięć okoliczności: 1) stan chorobliwy dziecka od urodzenia; 2) stan bliski śmierci, w jakim dziecię było, gdy je matka do groty poniosła; 3) tak długie zanurzenie w zimnej, lodowatej wodzie; 4) uzdrowienie nagłe, bez powolnego przejścia do zdrowia; 5) władzę chodzenia, której nigdy przedtem

nie miało, będąc sparaliżowane,... a którą uzyskało w całej pełni, od razu — i objawiło zaraz po obudzeniu się!

Jedną jeszcze uwagę pozwolę sobie tu zrobić. Nie wierzący w cuda mówią: suggestya, wiara głęboka, mająca wpływ na wyobraźnię i na nerwy, — uzdrawiają!... Otóż w tem uzdrowieniu dziecka dwuletniego nie może być ani mowy o suggestyi i o wpływie wiary matczynej na jego wyobraźnię i nerwy!... A i kąpiel taka nie była w stanie go uzdrowić... owszem nawet zanurzenie chorego, konającego dziecka, przez tak długi czas, w tak zimnej wodzie, powinno było, zdaniem lekarzy, od razu je o śmierć przyprawić!... Każde dziecię uczy się chodzić powoli, nabywa wprawy, żadne nie chodzi od razu, tymczasem mały Justyś, który przedtem, zwłaszcza że był sparaliżowanym, tego nie umiał, teraz począł chodzić od razu, jakby już nauczony, — wszystko to — wedle orzeczenia tych trzech lekarzy — cud! — cud widoczny, dzieło Maryi! — Mały Justyś od tego czasu był zdrów zupełnie, nigdy potem już nie chorował i wyrósł na człowieka tęgiego, czerstwego i silnego.

* * *

Nie we własnej tylko woli znajdowała Bernadeta siłę, potrzebną do tego, aby mogła pozostać wierną danej obietnicy. Nie zdołałaby nawet z pewnością przezwyciężyć wszystkich przeszkód, napotykanych na swej drodze, i nie wiedziałaby zresztą o dniu i godzinie, w której Najświętsza Panna miała się jej objawić, gdyby jakaś tajemnicza, lecz niezaprzeczona siła, nie uprzedzała jej o tem i nie popychała jej do groty. — Siła, jaka kierowała krokami naszego dziewczęcia, podobną była do tej, która podnosiła chorych na ich noszach, ułomnym zaś, a nawet konającym pozwalała powstać i pewnym chodzić krokiem.

Panna Gimard, chora obłożnie już od lat dziewiętnastu, leżała nieruchoma na swojem posłaniu w pobliżu groty, gdy nagle w chwili, w której obok niej niesiono Przenajświętszy Sakrament, uczuła się jakby uniesioną przez jakąś potężną i olbrzymią falę, która gwałtownie nią wstrząsnęła; wstrząśnienie to stało się pierwszą oznaką jej wyzdrowienia. »Takiego ruchu, jakby jakiejś fali — opowiadała później — która mię całą porwała i uniosła, nie czułam jeszcze nigdy w mem życiu i nie mogę tego ruchu zrozumieć ani też wytłumaczyć. Był on niezależnym od mojej woli i silniejszym od mej natury«.

Małgorzata Savoye przybyła do Lurd blada, milcząca i tak zmieniona, że sam jej widok przerażał każdego. Mając już lat dwadzieścia pięć, ważyła ona zaledwie 40 funtów, to jest tyle, ile waży dziecko. Od szóstego roku życia nie opuszczała wcale łóżka i nie przyjmo-

wała żadnego stałego pokarmu. W piątek dnia 16 września 1892 r. położono ją na noszach przed grotą. Nagle jakieś gwałtowne wstrząśnienie podniosło ją na łożu i zrzuciło gwałtownie na ziemię. Po chwili znalazła się na klęczkach obok swego posłania i zawołała ze wzruszeniem: »Jestem uzdrowioną!« Było to już jednak nietylko uzdrowienie, ale jakby zmartwychwstanie. Oczy jej jaśniały niezwykłym blaskiem, dotąd u niej nieznanym, wszystko zaś zdawało się w niej odradzać do nowego życia.

Podobnie tajemnicza, a jednak widoczna siła uprzedzała Bernadetę zawczasu o wezwaniach »pięknej Pani« i popychała ją do groty. Odczuwała ona codziennie te wezwania, ale czasami silniej niż kiedykolwiek.

Dwukrotnie podczas owych paru tygodni zabrakło objawień, nie ulega więc wątpliwości, że gdyby te widzenia istniały tylko w wyobraźni Bernadety, to nie ustałyby tak nagle, bez żadnej przyczyny. Bernadeta znajdowała się wówczas na tem samem miejscu, na którem codziennie się modliła, otoczona tym samym, co zwykle, tłumem, który również gorąco, jak ona, pragnął obecności »pięknej Pani«. Napróżno jednak, bardziej niż kiedykolwiek, przedłużała tym razem swoją modlitwę; nic się nie ukazało. Dziecię to więc nie mogło samo przez się wywołać widzeń w grocie podług upodobania.

W całym układzie i planie objawień istniał jakiś porządek, którego młode nasze dziewczę nie mogło ani zmienić ani nawet zrozumieć.

Najświętsza Panna powierzyła dziecku trzy tajemnice, Bernadeta nigdy, nawet w gronie najbliższych sobie osób, nie zrobiła jednak najmniejszej choćby wzmianki o otrzymanych zwierzeniach.

Nie sądzę, żeby gdziekolwiek indziej znalazło się czternastoletnie dziewczę, któreby przez całe życie, z taką niezachwianą wiernością, zachowało w głębi serca cały szereg poleconych jej tajemnic. Z tego powodu niechże więc nikt nie mówi o szaleństwie lub złudzeniach, gdyż natura zepsuta, wrażliwa albo nerwowa, nie zdołałaby się uchronić od licznych pod tym względem wykroczeń i zboczeń.

Podczas owych dwóch tygodni Bernadeta zbierała i zachowywała skrzętnie w swem sercu wszystkie słowa Zjawionej, a słowa te, donioślejsze niż cokolwiek innego, nie miały pozostać bez echa i doczekały się spełnienia jak najściślejszego, jako rozkazy otrzymane wprost z nieba.

W imieniu tej tajemniczej, a sobie nieznanej »Pani«, dziecię żąda wybudowania kościoła, — wkrótce potem wznosi się w Lurd mnóstwo świątyń i domów zakonnych; żąda procesyj — i niebawem dokoła groty zaczynają się wić niezliczone tłumy z płonącemi ciągle świecami. Potem odkrywa źródło i każe pić jego wodę oraz nią się obmywać, —

i po niejakim czasie cały świat spieszy do tego źródła, jego wodę pije i nią się obmywa. Wreszcie, wznosząc się w dziedzinę życia du-

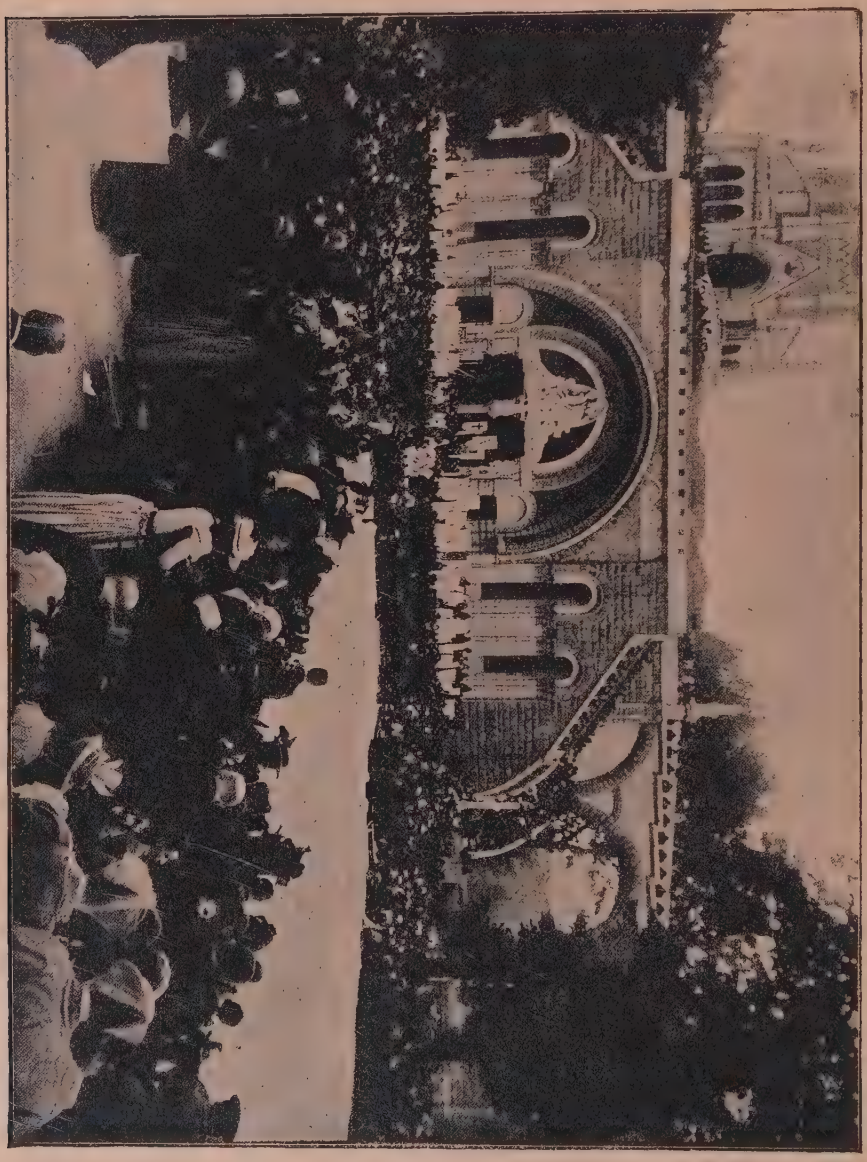

Procesya 350 uleczonych w r. 1897.

chownego, zachęca ona nas do pokuty i modlitwy za grzeszników, oraz daje objawieniu nazwę dogmatu »Niepokalanego Poczęcia«, Bernadecie dotychczas zupełnie nieznanego, a zaledwie określonego przez Kościół.

Jakże wszystko to jest dalekiem od zwykłych zatrudnień tego dziewczęcia i jak dalece przekracza widnokrąg jego dziecięcego umysłu!

* * *

Po upływie dwóch tygodni objawienia ustały. Napróżno Bernadeta codziennie przychodzi do groty w towarzystwie niezliczonego tłumu i odmawia tam różaniec, podobnie jak i przedtem, — nie widzi już nic szczególnego. Daremnie modli się na tem samem miejscu, co i poprzednio, — »piękna Pani« już się nie ukazuje. Nieraz przychodzi sama potajemnie i zagłębia się we wnętrzu groty, aby odmówić różaniec, lecz nie odczuwa już wówczas żadnego tajemniczego wezwania, aż dopiero znów na dniu 25 marca.

Dnia 25 marca dziecię słyszy znowu ów głos wewnętrzny, który z niezwyciężoną siłą popycha je i wiedzie do groty. Natychmiast więc podąża do skał Massabielskich.

»Twarz jej promieniała nadzieją. Czuła ona w głębi duszy, — pisze Lasserre — że raz jeszcze przed olśnionym jej wzrokiem niebo miało otworzyć wieczyste swe bramy. Radosne to przeczucie nie zawiodło jej wcale. Głos, który ją wzywał, był rzeczywiście narzędziem Najświętszej Dziewicy. Skoro tylko dziecię upadło na kolana, natychmiast nadziemskie ukazało się zjawisko. Jak zawsze, dokoła niego jaśniał jakiś niewysłowiony blask, którego świetność przechodziła wszelkie granice, a piękność i słodycz była nieskończoną. Jak zawsze welon i szata Najświętszej Dziewicy, układające się w malownicze fałdy, śnieżną odznaczały się białością, pas zaś był niebieskim, jak firmament« [1]).

Bernadetta kilkakrotnie już prosiła ową tajemniczą Panią, aby jej powiedziała, jak się nazywa, ale łagodny uśmiech bywał zwykle całą na to pytanie odpowiedzią.

Przypomniawszy sobie w tem nowem zachwyceniu, że ksiądz proboszcz nalegał na nią usilnie, aby raz jeszcze o to zapytała, — rzekła: *Pani, czy będziesz łaskawą powiedzieć mi, kim jesteś?... i jak się nazywasz?...*

Zjawiona uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Wówczas dziecię po trzykroć powtarza pytanie. Za trzecim razem Najświętsza Panna odrywa wzrok od dziecka, rozchyla dłonie i spuszcza na prawe ramię różaniec, następnie zaś, utkwiwszy oczy w niebo, z wyrazem niewysłowionej miłości, wypowiada te słowa: »Jestem Niepokalane Poczęcie«. Potem, nie spojrzawszy już ani razu na Bernadetę, nie uśmiechnąwszy się i nie pożegnawszy jej jak zwykle — znika w tejże samej postawie.

[1]) *Lasserre.* Bernadette. str. 173.

Nazwy tej dziewczę nie mogło zrozumieć. Wracając do domu, powtarzała ją więc sobie ciągle przez całą drogę, aby módz ją powtórzyć dokładnie księdzu proboszczowi, do którego się udała, aby mu powiedzieć słowa z ust Zjawionej słyszane. — Teraz już ks. proboszcz Peyramalle wiedział: kto jest ta Pani i czego żąda...

Tak więc Najświętsza Panna potwierdziła ostatni dogmat, ogłoszony przez Piusa IX. Przybierając to miano, potwierdziła Ona zarazem chwalebny przywilej, który, jako dogmat wiary, cały świat katolicki wyznawał wtedy od lat trzech, a którego ogłoszenia 50-letni jubileusz cały Kościół w tym roku uroczyście obchodzi. Słowa z nieba stanowiły przeto jakby echo dla radośnych okrzyków z ziemi, — pielgrzymki zaś do Lurd łączyły się z najuroczystszym aktem, jakiego dopełnił Kościół święty na cześć Bogarodzicy.

»Tegoż samego dnia popołudniu, — mówi pan Estrade — Bernadeta odwiedziła mnie i moją siostrę i opowiedziała nam całą poranną scenę, powtarzając zarazem słowa Zjawionej. Zamiast *„Conception“* (czytaj Kąsepsją), mówiła ona *„Concheption“* (czytaj Kąszepsją), tak, że musieliśmy ją nauczyć wymawiać należycie ten wyraz. Potem zapytała nas z właściwą sobie prostotą, co znaczyło to wyrażenie. Wiedziała ona, że ta nazwa dotyczy Najświętszej Panny, lecz nie rozumiała dokładnie jej znaczenia. Naiwne to pytanie dowodziło, że powyższe słowa nie były bynajmniej wymysłem dziecięcia; »bo jeżeli ktoś kłamie, dodaje p. Estrade, to używa słów sobie znanych, ale nie takich, których sam nie rozumie«.

W przeciągu dni dwudziestu Najświętsza Panna pozostawiła swą posłanniczkę i całą ludność w ciągłem oczekiwaniu. Dnia 25 marca, podczas objawienia — daleko bardziej pamiętnego od innych i które powinno zostać odosobnionem od wszystkich poprzednich — wymienia Ona Swą nazwę, uświęcając jakby Swym podpisem wszystkie dane przez Siebie polecenia.

Potem ukazuje się jeszcze dwa razy, dnia 6 kwietnia i 16 lipca. Dwa razy staje przed Bernadety oczyma, cicha, milcząca, lecz otoczona całym blaskiem swej aureoli, — poczem żegna ją zwykłem skinieniem ręki i właściwym sobie łagodnym uśmiechem — na zawsze!

Ośmnaście więc razy Najświętsza Panna objawiła się w jednej i tej samej postaci, oblana potokiem tegoż samego światła, i prawie za każdym razem zaznaczyła swe przybycie jakiemś wyłącznem poleceniem lub dokładną nauką i wkazówką.

ROZDZIAŁ IV.

Prześladowania.

BERNADETA PO OBJAWIENIACH. — PRZEDMIOT OGÓLNEJ CIEKAWOSCI. — OPOWIADANIA BERNADETY WOBEC NIEZLICZONYCH ŚWIADKÓW. — JEJ UBÓSTWO. — JEJ BEZINTERESOWNOSĆ. — PRZEŚLADOWANIA. — KOMISARZ. — P. ESTRADE. — PROKURATOR. — KS. PROBOSZCZ W LURD.

Posłannictwo Bernadety już się spełniło. Nigdy odtąd, aż do końca życia, nie miała ona żadnych widzeń ani objawień. Wróciła też do reszty tłumu i nic od tego czasu nie odróżniało jej od innych towarzyszek. Jeżeli umysł jej odznaczał się zdrowym rozsądkiem, to nie miała ona jednak żadnych wybitnych zalet, któreby to uwydatniły, i z trudnością nawet zdołała sobie przyswoić bardzo zresztą skromne elementarne wykształcenie.

Oto jaką była ta posłanniczka, wybrana przez Boga i Maryę, aby nam powtórzyć Jej rozkazy, które w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia wstrząsnęły Francyą i całym światem, wskrzeszając dawne, wielkie pielgrzymki, niepamiętne we Francyi od czasów wojen krzyżowych. Oto jaką była ta posłanniczka, która stawszy się stałem narzędziem woli Bożej, tak krótko spełniała swe posłannictwo i nie zachowała nawet żadnego odblasku tego wzniosłego dzieła, jakie jej na chwilę było powierzonem.

Z tą pokorą jednak i tem dobrowolnem poniżeniem zachowała ona pewien promyk wielkości, którego nic zaćmić nie zdołało. Będąc w Lurd w przeciągu dalszych lat ośmiu przedmiotem ogólnej ciekawości, nie straciła ona bynajmniej swej naiwności i prostoty, owszem takiemi samemi słowami i w takiż sam sposób, jak z początku, powtarzała zawsze swe opowiadania, nie zmieniając ich ani na jotę. Wszystkie subtelności musiały ustąpić wobec dokładności, wierności, pewności, niezmienności jej wspomnień.

Cóż to za dziwny jednak świadek! Dziecię, które widzi i słyszy to, czego nikt dokoła niego nie widzi i nie słyszy; twierdzenia jego, choć pozbawione wszelkich materyalnych rękojmi i dowodów, wywołują jednak dokoła niej potężne ogólne wzruszenie. Jakże nikłemi wobec tego wydają się wszelkie dane ludzkiej mądrości!

»Rozumiem — pisze Dr. Boissarie — ogólny prąd wątpliwości i niedowiarstwa, szyderstwa i pogardy, który stanowił jakby odgłos owych gorących objawów wiary, niesłychanych już w naszym wieku. Rozumiem, że wielu niedowiarków i uczonych zaprzeczało temu wszyst-

kiemu, rozumiem, że i katolicy z początku nie bez pewnego wahania uznawali rzeczywistość owych objawień, rozumiem wszelkie zastrzeżenia

Pielgrzymka mężczyzn przed kościołem Różańcowym w Lurd.

i wszystkie wątpliwości, — bo i sam nawet przez długi czas je podzielałem. Rzadko się zdarza podobny fakt, przeczący wszelkim danym zwykłego ludzkiego rozumu«!

W Bernadecie, są, że się tak wyrazimy, jakby dwie zupełnie odrębne i niezależne od siebie osobistości. Z jednej strony dziecię, bez wykształcenia i z bardzo miernemi zdolnościami, — z drugiej zaś dziecię, odznaczające się niezwykłym rozsądkiem i sądem tak pewnym, oraz tak wyrobionym, że nie można mu nigdy najmniejszej sprzeczności zarzucić, ani też wpłynąć na jego zmianę.

»Wyuczona lekcya!« — powie może ktoś. Strzedz się należy tego porywczego i nieuzasadnionego sądu!

Bernadeta spędza w Lurd całych lat osiem. W przeciągu tego czasu bywa poddaną, niemal co chwilę, coraz to nowym śledztwom i badaniom różnych komisyi, kościelnych, lekarskich i sądowych, i musi niekiedy po kilkanaście razy dziennie opowiadać o wszystkiem, co widziała i słyszała, tudzież odpowiadać na tysiączne zarzuty i niezliczone wątpliwości. Nigdy jednak, wśród tych sideł i pułapek, nieraz i umyślnie jej, na każdym niemal kroku, zastawianych, nie zmienia swych objaśnień; umysł i sąd jej nie pozostają ani na chwilę zachwianymi w swoich wspomnieniach, jak też i serce jej umie wytrwale się opierać wszelkim ponętom i pokusom.

W przeciągu lat ośmiu była ona przedmiotem rozmaitych rozmów i sporów, a nawet jakby otwartą księgą, którą każdy mógł czytać. Nigdy jeszcze nie analizowano w ten sposób duszy dziecka lub młodego dziewczęcia.

Biografowie jej mówią [1]), że Bernadeta będąc w Lurd, jakby nie należała wcale do siebie, gdyż ludzie obcy zabierali jej bardzo dużo czasu i zupełnie pozbawiali ją swobody. Nikt może wtedy na świecie nie widywał u siebie tylu gości, ilu ich miewało codziennie to wątłe i ubogie dziecię. Wszystkich ogarnęła namiętna żądza ujrzenia jej i zamienienia z nią choćby słów kilku. Całe jej życie w przeciągu tego czasu składało się z przyjmowania u siebie coraz to nowych osób, opowiadania im o swych widzeniach, odpowiadania na tysiące pytań, wątpliwości, zarzutów, jak również z ciągłych pochwał z jednej strony, a drwin i upokorzeń z drugiej. Niemało ją to kosztowało, że musiała co chwilę niemal pokazywać się obcym ludziom. Cierpiała ona z powodu krępujących ją więzów, ale nie skarżyła się na to i bez najmniejszej oznaki znudzenia lub niechęci robiła wszystko, czego od niej żądano. A chociaż niekiedy przyspieszony jej oddech zdradzał zmęczenie płuc. nie oszczędzała ona jednak ani swej osoby ani swoich sił lub głosu.

Wygłaszała też spokojnie i skromnie zwykłą swoją opowieść, jednostajną, po tysiąc razy powtarzaną, a następnie milkła. Na wszystkie

---

[1]) »Roczniki«. *(Petite histoire de Notre Dame de Lourdes).*

jednak pytania miała zawsze trafną, niekiedy nawet świetną odpowiedź; czynione jej zarzuty budziły w niej widocznie pewne zajęcie, często zaś nawet zdumiewała jasnością i trafnością sądu. Młoda ta pasterka budziła podziw i mimowoli przelotnymi błyskami rozsądku i dowcipu zamykała usta ludziom wykształconym, którzy walczyli przeciwko niej, przewyższając ją nieskończenie łatwością i biegłością w wyrażaniu swych myśli.

Tak, Bernadeta, stawszy się żywym świadkiem cudownych objawień, przestała już być tą nieśmiałą pastuszką, jaką była poprzednio. Jeżeli usiłowano obalić jej twierdzenia, wówczas jakiś promień, jakiś odblask nadprzyrodzony, oświecał nagle jej umysł. W tem dziecięciu, zwykle powolnem, flegmatycznem i bez życia, odbywała się zdumiewająca zmiana, ilekroć chodziło o obronę prawdy i czci należnej dla tych świętych wspomnień, jakie spoczywały w głębi jej duszy. Zmiana ta uderzała wszystkie poważniejsze umysły, wyrazowi zaś twarzy dziewczęcia, a zwłaszcza jej oczom, nadawała wyraz szczególny i bardzo zajmujący.

Bernadeta była ubogą, bardzo ubogą, ubóstwo to zaś mogło się stać dla niej narzędziem pokusy lub zguby. Fortuna uśmiechała się do niej pod najrozmaitszemi postaciami, a zwłaszcza pod maską delikatności i współczucia. Nic jednak, nawet największy niedostatek nie zdołał zachwiać ani na chwilę jej bezinteresowności. Nie przyjęła ona nigdy żadnego, choćby najmniejszego daru, nietylko dla samej siebie, ale także ani dla ubogich swych rodziców.

Jakąż rękojmię moralną stanowi ta cnota, posunięta do tak wysokiego stopnia! Tak szlachetne rysy charakteru nie cechują nigdy zwyrodniałych lub upadłych natur. U szalonych lub dotkniętych hallucynacyą nie napotykamy nigdy takiej delikatności uczuć, świadczącej o zupełnej zgodzie pomiędzy fizycznemi, a umysłowemi władzami.

Z początku wszystko się sprzysięgło przeciw Bernadecie. Lekarze uznali ją z razu za osobę podlegającą złudzeniom, a cudowną wodę za zwykłe źródło mineralne; prefekt zaś kazał zamknąć grotę pod pozorem, że lud bez upoważnienia ze strony władz rządowych urządził z niej sobie kaplicę.

Biedne to dziecię sto razy powinnoby było upaść na duchu i uledz w walce z przeciwnościami, tembardziej, że nawet duchowieństwo z początku usunęło się od niej, pozostawiło ją samą, bezbronną, nie wtrącając się wcale, lecz czekając wyświetlenia sprawy. Na domiar złego, jakby dla większego jeszcze zaciemnienia rzeczy — zaczęto mówić w Lurd i jego okolicach o jakichś fałszywych, obłudnych objawieniach.

Gdyby umysł Bernadety nie stał na równym poziomie z przekazanemi nam przez nią naukami, to i wola jej nie mogłaby zwyciężyć wszystkich tych przeszkód, jakie stanęły na jej drodze. Wola jej nie miała nigdy sposobności do wyrobienia się i rozwoju. Od dzieciństwa była Bernadeta posłuszną rodzicom, spełniając wszelkie ich życzenia. Następnie w ręku Najświętszej Panny stała się bezgranicznie uległą niewolnicą, czołgała się na klęczkach, całowała ziemię i maczała usta w błotnistej wodzie. To dziecię, podobne do wątłej trzciny, musiało znieść pierwsze ciosy ogólnego oporu.

Była to walka słabej i nieumiejętnej dzieciny — z siłą i nauką. Biedna dzieweczka musiała się posuwać coraz dalej drogą zaledwie utorowaną, wśród podwójnego szeregu przeciwników. — Jeżeli odniosła tryumf, to jest on prawdziwą porażką rozumu — na sobie samym tylko się opierającego.

Zresztą wypadki te nie były w wiekach średnich, w wiekach gorącej wiary, ale w XIX stuleciu, w którem racyonalizm panował wszechwładnie w naszych szkołach.

Z początku opowiadania Bernadety wywołały tylko pogardę i lekceważenie, następnie zaś zupełny i stały opór.

Walka była długą i bardzo ożywioną, tem więcej, że przeszła przez wszystkie stopnie władzy. Od komisarza bowiem doszła aż do samego cesarza Napoleona, nie pominąwszy ani prefekta ani ministra wyznań.

Prefekt uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, aby wytępić w zarodku to, co nazywał nierozsądnym zabobonem. W nocy z dnia 3 na 4 marca kazał zbadać szczegółowo wszystkie rozpadliny w grocie, aby się przekonać, czy się tam ktokolwiek nie ukrywa lub czy niema jakichkolwiek scenicznych dekoracyj, mających się przyczynić do utrzymania legendy o objawieniach. Polecił też ogołocić grotę ze wszystkich wotów i otoczyć ją parkanem. Wreszcie poddał Bernadetę badaniu komisyi lekarskiej; znalazłszy zaś w sprawozdaniu lekarzy wyraz »hallucynacya« (złudzenie), chciał zamknąć biedne dziewczę w więzieniu lub szpitalu, jako waryatkę. Gdyby nie niespodziewany opór ze strony ks. proboszcza w Lurd, który mu, w razie wykonania tego zamiaru, zagroził procesem, byłby go z pewnością doprowadził do skutku.

Wreszcie cesarz Napoleon III, zmęczony temi walkami, które jątrzyły ludność do najwyższego stopnia, wydał prefektowi surowy rozkaz, aby pozwolił wiernym modlić się swobodnie przed grotą.

Aby dać pojęcie o przykrościach rozmaitego rodzaju, jakie Bernadeta miała do zniesienia, możemy tu przytoczyć cały przebieg jej ze-

znań, składanych już d. 21 lutego wobec komisarza policyjnego, Jacomet'a, który sobie od tego czasu zyskał niezwykłą popularność.

Był to człowiek bardzo rozumny i obeznany dokładnie z obyczajami i zwyczajami miejscowej ludności. Nie wątpił też ani na chwilę, że odkryje pobudki niezwykłego zachowywania się dziewczęcia lub znajdzie wspólników, którzy ją do tego skłaniali.

Badanie jego było, że się tak wyrazimy, arcydziełem w swoim rodzaju.

Przedewszystkiem komisarz ten wysłuchał bardzo uważnie opowiadania dziecięcia. Bernadeta w sposób prosty, lecz pełen uroku, opisała mu pierwsze swe widzenie, mówiąc szczegółowo o wieku, ubiorze, postaci i wyrazie twarzy tej »Pani«, i to z tak głębokiem przekonaniem, — jak mówił p. Estrade, świadek obecny przy tem przesłuchaniu — że szczerość jej zdawała się nie podlegać najmniejszej wątpliwości.

— Ale czy znasz tę panią, — zapytał komisarz.

— Nie, nie znam.

— Mówisz, że jest piękną. Jak kto naprzykład?

— Piękniejszą od wszystkich pań, które widziałam.

— Czy ta pani robi cośkolwiek, czy mówi, czy też może stoi nieruchomo na jednem miejscu, jak posąg w kościele?

— O nie, rusza się, uśmiecha się nawet i mówi tak, jak my. Pytała mię, czy zechcę przychodzić codziennie do groty w przeciągu dni piętnastu.

— Cóżeś jej odpowiedziała?

— Że przyjdę.

Komisarz wziął do ręki książeczkę z notatkami i starał się niepostrzeżenie wyciągnąć od Bernadety jakieś sprzeczne odpowiedzi.

— Mówisz, że twoja Pani wyglądała na lat 19 lub 20?

— Nie, — powiedziałam, że na 16 lub 17.

— Że miała na sobie niebieską suknię i biały pas?

— Nie, przeciwnie, białą suknię i pas niebieski.

W taki sposób Bernadeta musiała powtarzać wszystkie szczegóły swego poprzedniego opowiadania, nie zmieniła ich wszakże ani na włos.

Jacomet spostrzegł, że to go jeszcze do niczego nie doprowadzi. Z początku próbował użyć spokojnej perswazyi, następnie zaś uciekł się do gróźb.

— Przyrzecz mi, że już nie wrócisz do groty.

— Nie mogę, panie, bom przyrzekła tamtej Pani, że wrócę.

— Jeżeli mi nie przyrzeczesz, że już więcej tam nie pójdziesz, to cię wsadzę do więzienia.

Dziecię obojętnie przyjęło tę groźbę.

Swiadkiem powyższego badania był tylko pan Estrade, poborca podatkowy, który mieszkał w domu komisarza. Opowiadanie dziecka wydało mu się bardzo dziwnem i nadzwyczajnem.

— Wszystko zanadto dobrze jest ułożonem — odparł Jacomet na uwagę p. Estrade — aby można było sądzić, że od niej samej pochodzi.

— A jednak obraz przez nią widziany — ciągnął dalej p. Estrade — stoi jeszcze tak żywo przed jej oczyma, że zdaje się go jakby malować z jak największą ścisłością.

— To mylne mniemanie, ona powtarza po prostu lekcyę, której się dobrze nauczyła.

— Lecz wszakże odcienie głosu nie dadzą się naśladować! — A zresztą jakiż cel miałaby cała ta historya?

— Przyszłość to okaże.

P. Estrade przekazał nam wszystkie szczegóły tego badania; sam on wówczas zrazu nie wierzył jeszcze w działanie nadprzyrodzone i w objawieniach tych widział tylko zwodnicze złudzenia bujnej wyobraźni Bernadety.

Co się tyczy Jacomet'a, to był on zupełnie szczerym. Wtedy jeszcze nie mógł on uwierzyć w rzeczywistość owych zjawisk. Dziesięć dni zaledwie upłynęło od chwili, w której Bernadeta miała pierwsze swe widzenie. W rodzinie jej i całem otoczeniu zadawano sobie jeszcze pytanie, czy było ono tylko złudzeniem czy rzeczywistością.

Czyż mamy ubolewać nad surowością, z jaką śledztwo przeprowadzonem zostało?... O nie, to śledztwo, którego wszystkie akta przechowują się w archiwach w Lurd, stanowi niezaprzeczone świadectwo; posiada ono tem większą wagę, że zostało złożonem przez rozumnego i dobrze poinformowanego przeciwnika, który musiał uznać siebie za zwyciężonego. Tenże sam komisarz, który z początku, jakeśmy widzieli, groził dziecku więzieniem i zabronił mu przychodzić do groty, — później, dnia 5 października tegoż samego roku, oświadczył, że podziela przekonania ludu i publicznie przeprosił za stawiane przez siebie trudności.

Zresztą wszyscy przeciwnicy byli z początku szczerymi. Przedstawiciele administracyi i władz rządowych mniemali, że czynią to, czego obowiązek ich wymaga, i rzeczywiście starali się wywiązać jak najlepiej ze swego zadania. Dzięki im, twierdzenia nasze opierają się istotnie na śledztwach i urzędowych sprawozdaniach, którym nic nie można mieć do zarzucenia.

W ostatnich latach swego życia p. Dutour, prokurator rządowy w Lurd, mawiał niekiedy: »Bernadeta nawet przez jedną chwilę nie mo-

głaby się nam opierać, gdyby nie miała za sobą Najświętszej Panny. Za pomocą rozmaitych środków, jakimiśmy rozporządzali, odkrylibyśmy od pierwszej niemal chwili tajemnicę owych objawień i bodźca, który to dziewczę i jej rodzinę popychał do działania, gdyby ten bodziec i ta tajemnica w ludzkich znajdowały się rękach«! — Dla prokuratora, urzędnika nader biegłego w poszukiwaniach takiego rodzaju, mającego do czynienia z czternastoletnią dziewczynką, na którą oczy wszystkich były zwrócone i która się znajdowała wśród niewierzącej po większej części ludności, w nader ciasnem otoczeniu, — wynik tych badań nie mógł być wątpliwym.

Przeciwnicy Bernadety mieli jednak do czynienia ze stroną daleko silniejszą, bo ze światem nadprzyrodzonym, chociaż z początku bynajmniej nie domyślali się tego.

»Najlepszym dowodem tego — mówi p. Estrade — że wszyscy pierwsi przeciwnicy wchodzili w skład planu, osnutego przez Opatrzność, jest fakt, iż Najświętsza Panna nigdy nie przestała otaczać ich macierzyńską swą opieką.

»Prefekt Massy, burmistrz Lacadé, komisarz Jacomet i Dr. Dozous umarli śmiercią prawdziwie chrześcijańską, z kapłanem przy swem łożu śmiertelnem i z krucyfiksem w rękach«.

Duchowieństwo z Lurd nie brało z początku najmniejszego udziału w całej tej sprawie, samo nie uczęszczało do groty i radziło wszystkim innym kapłanom pójść za tym przykładem. X. Biskup z Tarb wahał się długo wprzód, niż o tem zawyrokował, a nawet ulegając namowie prefekta i pragnąc przywrócenia jak najprędzej zakłóconego chwilowo spokoju, polecił Bernadecie chodzić do groty tylko wówczas, gdy będzie czuła do tego nieprzezwyciężony pociąg.

Biskup czekał przez całych sześć miesięcy wprzód, nim wyznaczył komisyę śledczą, i dopiero we cztery lata później wygłosił swoje zdanie o owych objawieniach. Trudno byłoby zaiste posunąć dalej rozsądek i ostrożność.

Najciekawszą stosunkowo jest rola, odegrana przez miejscowych lekarzy. Od samego bowiem początku postawiono tę sprawę na gruncie, na którym dzisiaj po kilkudziesięciu latach badań jeszcze ją znajdujemy.

ROZDZIAŁ V.

Bernadeta wobec Lekarzy.

LEKARZE W LURD. – DOZOUS ODŁĄCZA SIĘ OD SWYCH KOLEGÓW. — SPRAWOZDANIA LEKARSKIE. – LEKARZE Z POCZĄTKU MÓWIĄ O HALLUCYNACYI i EKSTAZIE. — NIE PRZYPUSZCZAJĄ JEDNAK OBŁĄKANIA. — HALLUCYNACYA I DR. DIDAY. – INSYNUACYE I FANTASTYCZNE ZESTAWIENIA. – HALLUCYNACYA NAUKOWA. — JEJ PRAWA I ZASADY. — HISTORYK I RZEŹBIARZ. – NAJSWIĘTSZA PANNA, JEJ SŁOWA I ROZKAZY. — SŁABOŚĆ NARZĘDZIA. – WIELKOŚĆ WYNIKU. – HALLUCYNACYA U WIELKICH LUDZI. – ROZUM I SZALEŃSTWO.

Objawienia w grocie od pierwszej niemal chwili ogromne wywołały wrażenie. Lekarze, zapytywani o to nietylko przez swych przyjaciół i klientów, ale także przez władze administracyjne i sądowe, uznali za właściwe zająć w tej kwestyi pewne stanowisko i wypowiedzieć swe przekonanie.

Czy byli niedowiarkami? Nie, raczej obojętnymi dla religii, ale bez systematycznej nieprzychylności. Jeden z nich mawiał często: »Nabożeństwo do Najświętszej Panny zostało mi przekazanem jakby tradycyą rodzinną, nie myślałem jednak nawet przez chwilę, żeby te widzenia mogły mieć jakąś nadprzyrodzoną przyczynę«.

Pierwsze ich słowa były potępieniem i to potępieniem bez żadnego badania. Zaprzeczyli wszystkiemu i na tem koniec.

Atoli jeden z lekarzy w Lurd, Dr. Dozous, nie zgadzał się w tej mierze z przekonaniami innych swych kolegów. Obojętny i niedowierzający z natury, spędził on większą część życia nie troszcząc się wcale o religię, lecz ciekawość i wrodzona prawość charakteru pobudzały go do tego, iż zawsze starał się sam wszystko zbadać. Dnia 21 lutego znajdował się on w pobliżu Bernadety i pozostał tam aż do końca, śledząc starannie wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły objawieniu. Dozous był jednym z najlepszych lekarzy w Lurd, znajdował się w sile wieku i miał zostać profesorem wydziału medycznego w Montpellier. Ponieważ zaś znał wybornie zwyczaje i obyczaje tamtejszej ludności, a był zarazem stałym lekarzem rodziny Bernadety, zdanie więc jego o powyższej kwestyi szczególne posiadało znaczenie.

Pewnego razu, żegnając się ze swymi kolegami, rzekł im po prostu: »Takie zjawiska są rzadkie i co do mnie, to nie omieszkam skorzystać z tej sposobności, aby starannie je zbadać. Zwolennicy nadprzyrodzonych objawów i przyczyn zbyt często robią zarzuty medycynie, żebym mając teraz te rzeczy przed oczyma, nie chciał gruntownie ich zbadać i nie wyczerpał do dna, na podstawie własnego doświadczenia, tej tak ważnej i zajmującej sprawy«.

Pragnąc określić dokładnie rzeczywisty stan naszego dziewczęcia, Dozous z niezmordowaną wytrwałością zaczął teraz śledzić wszystkie jego kroki. »Badałem, mówił, z jak największą uwagą jej umysł i usposobienie moralne, długie zaś i liczne spostrzeżenia w tym kierunku dały mi następujące wyniki: oto Bernadeta posiadała dużo zdrowego rozsądku i odznaczała się rzadką dobrocią charakteru, ale zarazem tak zwykłym poziomem umysłu, że nie pozwalał on nawet przypuszczać żadnej skłonności do egzaltacyi w pojęciach i praktykach religijnych«.

Zbadawszy i stwierdziwszy wszystkie te fakta — aby obalić w samym zarodku wszelkie uprzedzenia przeciwko Bernadecie — Dozous mógł udać się do groty z umysłem zupełnie wolnym od wszelkich innych myśli. Był on świadkiem cudu ze świecą, o którym wspominaliśmy już wyżej.

Fakt ten niejednokrotnie mylnie sobie tłumaczono. Zawiera on dwa zupełnie odrębne rysy, to jest nieczułość ciała i brak oparzenia. W chwili zachwycenia Bernadeta mogła utracić władzę uczucia bolu; jest to zjawisko znane i spostrzegane nader często w chorobach nerwowych, pod wpływem hypnotyzmu, chloroformu lub kokainy. Nieczułość może być wywołaną w pewnych stale określonych fizycznych warunkach i wytłumaczoną w sposób zupełnie naturalny; ale oparzenie, czyli zniszczenie tkanek przez gorąco, ma miejsce zawsze, bez względu na uczucie bolu lub nieczułość. Proszę dotknąć trupa rozpalonem żelazem, a z pewnością spalą się tkanki; toż samo rozpalone żelazo, dotykające osoby uśpionej za pomocą chloroformu, zwęgli jej ciało. Proszę potrzymać przez kwadrans swą rękę w jak najbliższem zetknięciu się z płomieniem świecy, bez względu na to, czy się to uczuje czy nie, naskórek jednak, skóra, a nawet i tkanki głębiej leżące, zostaną zawsze okopcone, poczernione, zwęglone, spalone i zniszczone.

Chociażbyśmy szukali wszelkich możliwych wyjaśnień i wynajdywali najrozmaitsze przypuszczenia, nie zdołamy tego jednak wytłumaczyć w sposób, zgadzający się z zasadami zdrowego rozsądku i nauki, jak w podobnych warunkach ręce Bernadety mogły pozostać nietknięte, nieuszkodzone, a nawet nieokopcone!

Nietylko zresztą Dr. Dozous był świadkiem powyższego zdarzenia, ale także i wszystkie osoby, które mogły dostrzedz Bernadetę, widziały płomyk przesuwający się pomiędzy jej skrzyżowanymi palcami, i gdyby nie prośba doktora, to ludzie, klęczący najbliżej dziewczynki, byliby jej z pewnością z rąk świecę wyjęli. Fakt ten opisujemy i rozbieramy szczegółowo, ponieważ był on często źle zrozumianym lub mylnie tłumaczonym, w pojęciach zaś naszych czytelników powinien posiadać rzeczywiste swe ważne i doniosłe znaczenie.

Dr. Dozous mówi nam jeszcze o odkryciu źródła i dodaje: »Czyż można myśleć, że wszystkie czynności, wykonane przez Bernadetę w celu osiągnięcia tego wyniku, były tylko wytworem chorego mózgu? Czyż pod wpływem choroby opuściłaby miejsce, jakie zajmowała na szczycie skały, aby zwrócić się naprzód do rzeki i tam napić się wody, oraz twarz nią umyć, następnie zaś wrócić do zródła, skoro »Pani« powiedziała jej, że się omyliła? Jakiż zamęt w myślach lub obłęd mógłby wskazać jej tak dokładnie miejsce, skąd miało wytrysnąć zródło, które później tak wielką okryło się sławą?«

Przed źródłem cudownem w Lurd.

Podczas gdy Dr. Dozous odbywał wytrwale swe badania nad powyższemi zjawiskami, dokoło niego ścierały się zawzięcie rozmaite zdania i mniemania.

Koledzy jego, lekarze, trwali w swem przekonaniu i nie myśleli bynajmniej udać się do groty, aby sprawdzić wszystko na miejscu. »Znamy się na tem — powtarzali uporczywie — to dziecię zwaryowało lub jest pod wpływem gry wyobraźni i w przeciągu miesiąca straci bez wątpienia rozum do reszty.«

Takiem właśnie było ich usposobienie, gdy prefekt zapytał, co myślą o umysłowym stanie Bernadety. Gdyby uznano, że mózg jej był

chory, umieszczonoby ją w szpitalu w Tarb, całe zaś wzburzenie umysłów wśród ludności samo przez się ustaćby musiało.

Sprawozdanie, podpisane przez trzech miejscowych lekarzy, jest ułożonem bardzo starannie, przez rozumnego człowieka, któremu najnowsze naukowe teorye bynajmniej nie były obce. I dzisiejsi lekarze, którzy dobrowolnie nie chcą widzieć prawdy i przeczą wszystkiemu, co nadprzyrodzone, nie inaczej zwykli się wyrażać.

Sprawozdanie to nosi datę 31 marca 1858 roku i wśród wydarzeń, o które nam chodzi, stanowi jakby osobną epokę.

W pierwszej jego części jest mowa o Bernadecie, jej stanie fizycznym i moralnym, oraz o jej rodzinie. Nie znajdujemy tu jeszcze nic szczególnego, coby nas zastanawiało.

»Dziewczę, — mówią lekarze — ma lat trzynaście, lecz wygląda zaledwie na jedenastoletnią. Jest niskiego wzrostu, o pociągającym wyrazie twarzy i bardzo kształnej główce«.

Potem następuje opis znanych już nam zjawisk, skreślony podług opowiadań dziewczęcia.

»Nic nie wskazuje — głosi sprawozdanie — żeby Bernadeta chciała innych w błąd wprowadzić! Owszem szczerość jej, jak się zdaje, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

»To dziecię mogło być ofiarą złudzenia; jakiś odbłysk światła od strony groty musiał bez wątpienia ściągnąć na siebie jej uwagę — wyobraźnia zaś jej nadała mu kształt, jaki najbardziej uderza dzieci, to jest kształt statuy Najświętszej Panny«.

Zaznaczamy formę wątpliwą tego świadectwa: »mogła«... w zestawieniu z wyrazem: »bez wątpienia«. Ostrożność ta aż nadto jest uzasadnioną. Grota leży na północy, tak, że słońce nigdy jej nie oświeca. Jesteśmy w lutym, w dzień chłodny, wilgotny ; gęsta mgła zaciemnia powietrze. Ten odbłysk światła — postawiony jako pewnik — ma niby dopomódz do obrony twierdzenia, nader trudnego do uzasadnienia, i istniał chyba tylko w umyśle sprawozdawcy! »Mogła być ofiarą złudzenia«... Gry wyobraźni nie można przypuszczać z góry, *a priori*, lecz trzeba ją wykazać, dowieść — tem, co ją poprzedziło, charakterem osoby, jak również i charakterem samego widziadła.

»Wszystko to — głosi dalej sprawozdanie — niewiele zajmuje Bernadetę i gdyby towarzyszki nie radziły jej wrócić znowu do groty, to prawdopodobnie słabe tylko o tem wszystkiem zachowałaby wspomnienie«.

Dziwna to zaiste gra wyobraźni, która powstaje bez żadnego powodu, w umyśle zupełnie do tego nieprzygotowanym, i nie pozostawia po sobie żadnego śladu, a jednak powtarza się tak regularnie, metodycznie niemal!

»Tłumy nadchodzą — czytamy dalej w sprawozdaniu — wszyscy wołają, że się stał cud! — i moralna strona dziecka zaczyna ulegać egzaltacyi. To, co z początku było tylko prostą grą wyobraźni, staje się stanem ekstatycznym (zachwycenia) i poddaje Bernadetę pod panowanie myśli, która pochłania ją zupełnie«.

Nie tłum jednak wywołał pierwsze widzenia. Wówczas Bernadeta była prawie zupełnie samą — tłumy zaś dopiero później zaczęły się gromadzić. Można powiedzieć, że Bernadeta pociągnęła tłumy, ale nie to, że tłumy pociągnęły Bernadetę!

To przeinaczenie ról wskazuje u sprawozdawcy pewną walkę pomiędzy jego myślą, a rzeczywistością. Lekarz miał teoryę, którą pragnął zastosować, miał zaś przed oczyma wypadki, do których ta teorya zastosować się nie dawała. Trudno mu więc było pogodzić to wszystko. Stąd właśnie pochodził ów brak logiki, który nie należał jednak wcale do charakterystycznych cech jego umysłu.

Wogóle mamy przed sobą dziecię, które ma nadzwyczajne widzenia, wpada w zachwycenia, pociąga za sobą tłumy, — nikt zaś nie może nam wyjaśnić naturalnej przyczyny tego zjawiska.

Sprawozdanie kończy się twierdzeniem, że wszystko to nie może wywrzeć na zdrowie dziecka żadnego ujemnego wpływu. »Prawdopodobnie, — dodaje sprawozdawca — skoro Bernadeta nie będzie już drażnioną i podniecaną przez tłum, wtedy przestanie myśleć o grocie i o wszystkich tych cudownych rzeczach, które teraz opowiada«.

Zawsze więc obracamy się w tem samem błędnem kole!

Ponieważ jednak gra wyobraźni i obłęd umysłu stanowiły dwa główne zarzuty, stawiane przez lekarzy, idźmy więc dalej za nimi na tym gruncie, a zobaczymy, czy powyższa hypoteza posiada jakiekolwiek prawdopodobieństwo.

* * *

Objawienia były, wytrysło źródło, od pierwszego zaraz dnia były liczne uzdrowienia i powtarzały się z dniem każdym niemal, coraz bardziej zdumiewające, — na wszystkie zaś odnośne pytania i wątpliwości przedstawiciele »urzędowej, oficyalnej wiedzy« odpowiadali jednem tylko słowem: »hallucynacya« — gra wyobraźni!

Widzenia, słowa Najświętszej Panny i dawane przez Nią polecenia, wszystko to było według nich tylko urojeniem Bernadety, podobnem do tych, jakie się przesuwają w naszym umyśle podczas spoczynku; wszystko to było tylko snem, ale snem w stanie czuwania. Osoba, podlegająca hallucynacyom, widzi obrazy, słyszy głosy, chociaż dokoła niej niema nic zgoła, coby mogło wywołać takie wrażenia wzrokowe lub słuchowe.

Tak więc od razu rozstrzygnięto kwestyę i znaleziono szczęśliwie odpowiedni dla niej wyraz: »hallucynacya«. Nazwa ta, nie dość ściśle określona i nieznana ogółowi, czyniła wszelką dyskusyę zupełnie zbyteczną i wszelkiemu wkroczeniu w dziedzinę nadzmysłowego świata przeciwstawiała zasadę, postawioną z góry, *a priori*, — wyssaną z palca.

Tak postępując, nie badano ani charakteru Bernadety, ani zjawisk, ani faktów ze wszelkimi ich szczegółami, które mogły im nadać właściwe znaczenie. W całem tem rozumowaniu była wielka luka, która dawała pole do poważnych zarzutów. Zrozumiał to Dr. Diday z Lugdunu, i posunął się w swych badaniach nieco dalej, poruszył samo jądro kwestyi.

Coraz bardziej rozszerzające się pogłoski, w których rozbrzmiewała wszędzie nazwa »Lurd«, drażniły go i niepokoiły.

»Wiedziony naturalną zupełnie ciekawością, — mówi on — pragnąłem być jak najlepiej poinformowanym. Wziąłem więc do rąk dzieło p. Lasserre'a i przeczytałem je od początku do końca. Potem porwany tem nadludzkiem opowiadaniem, skreślonem czarującym stylem, i — że się tak wyrażę pokonany nadzwyczajnemi uzdrowieniami, w które ono obfitowało, zapytywałem przez chwilę samego siebie: ale czyż niema w tem widocznej prawdy?... Przez chwilę też wierzyłem... że wierzę... Atoli obok olśnionego człowieka czuwał lekarz i on to, on jedynie, miał prawo ująć do ręki pióro«.

Rzeczywiście lekarz miał największe prawo do zbadania poważnie i dokładnie tych wypadków, gdyby zaś Dr. Diday pozostał wiernym zamierzonemu programowi, to dziełu swemu olbrzymią mógłby nadać wartość, bo utrzymałby cały spór na właściwym dla niego gruncie.

Dla rozstrzygnięcia kwestyi należało tylko się otoczyć rozmaitymi żywiołami, któreby mu mogły udzielić wskazówek. Dr. Diday mógł zażądać od swych kolegów z Lurd najdokładniejszych szczegółów, podnieść i rozwinąć wszystkie punkta sporne, zobaczyć się z Bernadetą, która wówczas jeszcze żyła, kazać jej powtórzyć sobie całą historyę objawień i za pomocą zestawienia, które się samo przez się nasuwało, wykazać, w jaki sposób we wszystkich tych danych znalazł powszechnie znane symptomata hallucynacyi czyli prostej gry wyobraźni.

Czy uczynił to?... Nie!... Cóż jednak zrobił?... Oto wyciął strzępki z rozdziałów, a nawet okresów w książce Lasserre'a, i zestawił je ze zdaniami, zaczerpniętemi w takiż sam sposób, z pracy Dra Brierre de Boismont. »Dr. Brierre, — mówi on nam — jest człowiekiem religijnym, świadectwo więc jego nie może się naszym przeciwnikom wydać podejrzanem«. Przyjmujemy je też chętnie, nie mając nic przeciwko wyborowi autora. Cały jednak sposób opracowania przedmiotu dy-

skusyi wydaje nam się zbyt dziecinnym, a przynajmniej za mało naukowym.

Lasserre powiedział: »Do lat czternastu Bernadeta spędzała dni całe na samotnych górskich stokach, na których pasała swą trzódkę. Nie umiała ona ani czytać ani pisać, mówiła tylko ludowem pirenejskiem narzeczem. Chociaż skończyła już rok czternasty, niktby jednak nie dał jej więcej, niż lat jedenaście lub dwanaście«.

Czy to wszystko jest istotnie tak niewinnem, jak się wydaje? Ostrożnie! Dziesięcioma wierszami, wyrwanymi tendencyjnie z dzieła jakiegoś autora, można go zawsze skompromitować.

Ze swej strony Dr. Brierre głosi: że »samotność wywołuje często pewien rodzaj złudzenia, że na wsi przybiera ona cechę zabobonu, że się spostrzega zarówno u ludzi o słabo rozwiniętych władzach umysłowych, jak i u najbardziej rozumnych, oraz że ofiarami jej bywają często niekiedy bardzo młode osoby«.

Z tego jednak nie wynika, że wystarczy być tylko pasterką, młodą i nieoświeconą, żeby już miewać widzenia lub chwile zachwytów! Jest to tylko zestawienie sztuczne, wyszukane, insynuacya, nie upoważniająca bezpośrednio do żadnego wniosku. A jednak Dr. Diday zestawia tylko te dwa cytaty, p. Lasserre'a i Dra Brierre, i snuje z nich wnioski, do których logicznie nie był całkiem upoważniony.

»W kościele w Lurd — pisze Lasserre — wszystkie ołtarze są poświęcone Najświętszej Maryi Pannie«; — Brierre zaś zaznacza: że obrazy lub statuy, widywane w świątyniach, bywają źródłem kształtów osób, widywanych podczas objawień. — Czy Najświętsza Panna była już przed objawieniami przedstawianą w kościołach w Lurd tak, jak Ją widziała Bernadeta?... Nie! Zasada, przypomniana czytelnikom przez Diday'a, sprzeciwia się wyraźnie głoszonej przezeń zasadzie. Zaraz też podniesiemy znowu ten jego niby dowód, aby go należycie rozwinąć.

Również nieszczęśliwym jest Dr. Diday w następującym cytacie; w miarę bowiem, jak się stara być coraz bardziej dokładnym, wychodzą na jaw coraz wyraźniej rozmaite sprzeczności.

»Dnia 5 kwietnia — pisze on — Bernadeta przez cały kwadrans trzymała ręce nad zapaloną świecą, nie spostrzegając tego wcale. »Hoffmann — dodaje dalej Dr. Diday — sprawdził, że podczas hallucynacyi podlegające jej osoby stają się nieczułemi na wszelki ból fizyczny«. — Zdaniem naszem lekarz nie powinien tak identyfikować utlenienia czyli spalenia jakiegokolwiek członka ludzkiego ciała — z wywoływanym przez to bolem. Zwęglają się naprzykład tkanki trupa, a same zwłoki nic nie cierpią. Nie brak uczucia bolu, ale brak spalenizny stanowi niewyjaśnioną stronę spostrzeżenia u Ber-

nadety! Żałujemy, że z pod pióra lekarza wyszły słowa, świadczące o takiem zupełnem zmięszaniu tych pojęć!

Po kilku wyciągach z książki pana Lasserre, dokonanych w powyżej opisany sposób, Dr. Diday wycina z odezwy X. Biskupa z Tarb rozmaite urywane zdania, aby mógł je przeciwstawić twierdzeniom owego autora.

Biskup zaznacza, że Bernadeta widziała cudowne zjawisko nie raz jeden tylko, ale dwadzieścia razy, — Diday zaś, nie podnosząc bynajmniej tego regularnego następstwa objawień, (które się powtarzały jakby podług jakiegoś z góry oznaczonego planu) odpowiada, że u pewnej kobiety, obserwowanej przez Hoffmanna, napady zachwytu powtórzyły się przeszło sto razy w przeciągu dni czterdziestu. Zdaje się więc jakby wcale nie wiedzieć, że tu nie chodzi tylko o ilość zjawisk, ale o ich stały porządek i sposób następowania po sobie i o dalsze ich następstwa.

Biskup mówi jeszcze; »Widywała ona rzeczy, których nigdy przedtem nie widziała, słyszała mowę, której nigdy przedtem nie słyszała i której wspomnienie zachowywała wiernie, nie rozumiejąc nawet jej znaczenia«.

»Hallucynacya, — twierdzi Brierre — podnosi do bardzo wysokiego stopnia rozwój władz umysłowych«. — Mnie się jednak zdaje, że z przytoczonego powyżej ustępu wypływa raczej wniosek, iż umysł Bernadety nie sięgał nigdy bardzo wysoko, ponieważ nie rozumiała tego, co do niej mówiono. Co się zaś tyczy widzenia tego, czego nigdy przedtem nie widziała, i słyszenia tego, czego nigdy nie słyszała, to fakt ten wydaje się nam wyższym nad potęgę snu hypnotycznego i urojenia, choćby nawet w stanie czuwania, snu, który nie może podnieść w jednej chwili stopnia naszego wykształcenia, ani zbogacić naszego umysłu takiemi pojęciami, jakich przedtem nigdy nie miał. Wszystko to wydaje się nam zupełnie przeciwnem temu, co zwykle spostrzegamy.

Na zakończenie Dr. Diday zwraca się do pana Lasserre, — mówiąc, że dostatecznie mu wykazał, iż wszystko, co on nam przedstawia w swej pracy, jako dowód rzeczywistości objawienia, daje się podług Brierre'a wytłumaczyć bardzo naturalnie za pomocą hallucynacyi.

Następnie mówi X. Biskupowi z Tarb, że zapoznał on w swej odezwie cechy, właściwe takiemu stanowi duchowemu, i że zrobiłby mądrze w interesie wszystkich, gdyby zasięgnął rady jakiegoś specyalnego lekarza chorób umysłowych. — Oto cały jego dowód!

Wnioski te oparte są na tak wątłych podstawach, że na nich nie mogą się ostać.

Lekarz powinien nadać swoim argumentom daleko poważniejszą i bardziej naukową formę, oraz określić dokładniej istotny przedmiot

sporu. Hallucynacya jest dzisiaj rzeczą dobrze znaną. W dziełach wszystkich autorów obok uwag i poglądów, podlegających roztrząsaniu, znajdujemy także prawa i przepisy, dające wybornie poznać pole hallucynacyi naukowej.

Nietylko w dziele Dra Brierre de Boismont, który pisał przed czterdziestu pięciu laty, ale i w pracach daleko świeższych rozmaitych autorów-specyalistów przepisy te zostały zformułowane tak dokładnie, wyczerpująco i jednozgodnie, że nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Krępują nas one, gdyż nie powinny służyć za podstawę osobistym naszym poglądom.

Hallucynacya bywa zwykle tylko wspomnieniem doznanego już poprzednio wrażenia. Nie może ona nigdy dać obrazu dokładnego nieznanej nam przedtem rzeczy. Nie można widzieć w naszych snach n. p. kościoła świętego Piotra, jeżeliśmy go nie zwiedzali albo jeżeli przynajmniej obraz jego narysowany nie wyrył się w naszym umyśle. Nie można odtworzyć w naszej wyobraźni dzieł sławnych malarzy, jeżeli nigdy poprzednio te obrazy nie przesunęły się przed naszemi oczyma. Hallucynacya nie stwarza i nie wywołuje nigdy nic nowego; nie istnieje więc u takiego, który się urodził ślepym albo głuchym. Wyobraźnia więc pierwszego nie zdoła odtworzyć rysunku, a drugiego powtórzyć dźwięku, zupełnie im przedtem nieznanego. »Sto razy już może, — mówi Christian — zadawałem pytania chorym, którzy widywali Boga, Najświętszą Pannę i Świętych; wszystkie te święte osoby ukazywały im się zwykle w takim kształcie, w jakim je widzieli bądź w książkach do nabożeństwa, bądź na obrazach, zdobiących świątynię w ich wiosce«.

Stosownie do poziomu umysłowego danej jednostki — hallucynacya może być mniej lub więcej skomplikowaną. Rafael lub Tasso wkładają własny geniusz do swoich utworów i muszą odnaleźć w swych snach lub marzeniach odbłyski tego geniuszu; — u osób jednak dotkniętych hallucynacyą, zwykle nie znajdujemy nic nowego albo nieznanego; bywamy nawet nieraz uderzeni ubóstwem ich wyobraźni i jałowością pomysłu, jaka się u nich spostrzega.

Wszystkie te zasady, zupełnie prawdziwe i niezaprzeczone, posłużą nam za niezmienne prawidło w ocenianiu widzeń Bernadety.

Oto mamy przed sobą wiejską dziewczynkę, której jedyne charakterystyczne cechy stanowi nieświadomość i prostota. Pewnego dnia temu dziewczęciu niebiańskie ukazuje się zjawisko. Jeżeli ono jest tylko hallucynacyą, to musi odtwarzać jakiś wymalowany lub wyrzeźbiony wizerunek, który się przedtem już wyrył w wyobraźni biednej pasterki. W tym utworze wyobraźni musimy odnaleźć szczegóły, harmonizujące

z poziomem umysłowym niewykształconej i ograniczonej czternastoletniej dziewczynki.

Tymczasem wcale tak nie jest! Wdzięk, czystość, świętość, słodycz i nadprzyrodzona piękność odbiły się przedziwnie w cudownym obrazie Najśw. Panny. Jak możemy przypuścić choćby na chwilę, że zachwycająca Dziewica z Lurd była utworem artystycznym biednej Bernadety. W hallucynacyi wyobraźnia nie ma tej dokładności i pewności, co w obrazach; są to tylko kształty mgliste i chwiejne. Tu przeciwnie, już od pierwszego objawienia mamy typ doskonały i niezmienny. Żaden rys nie ulega przeobrażeniu i nic nie zdoła zmienić wspomnienia lub śladu, pozostałego w umyśle jasnowidzącej. Obserwujmy ją zresztą w obecności rzeźbiarza Fabisza lub biografa jej Lasserre'a.

BERNADETA SOUBIROUS.

Znakomity rzeźbiarz, Fabisz (polak), podjął się nader trudnego zadania, a mianowicie postanowił odtworzyć w marmurze tę piękność Najśw. Dziewicy, która zachwycała Bernadetę. Przybył więc do Lurd, zajęty wyłącznie myślą o swem dziele. Niepokoił się też z powodu opowiadania, jakie miał usłyszeć z ust dziewczęcia, zupełnie pozbawionego wykształcenia, i obawiał się, że dla swej Najświętszej Panny znajdzie tu tylko typ pospolity, banalny, w ubiorze nie mającym najmniejszego odcienia wdzięku i godności. Cała twórczość wyobraźni tej młodej pasterki musiała się zamykać w ciasnych granicach.

To zaniepokojenie zdradzało u artysty głęboką znajomość swej sztuki. Widok Bernadety nie przyjął go bynajmniej otuchą. Atoli już po

pierwszych pytaniach niepokój artysty znikł bez śladu. Zapytał on o ruch i postawę Najświętszej Panny; w chwili, gdy wypowiedziała te słowa: »Jestem Niepokalane Poczęcie« i gdy dziewczę wykonało ten gest niebiański, (który już tyle osób zdumiewał i tyle łez wycisnął) — »było to dla mnie jakby objawieniem, — mówi Fabisz — statua zaś moja zarysowała się wyraźnie przed oczyma mej duszy. Nie, — dopóki żyję, nie zapomnę tego zachwycającego wyrazu Bernadety! We Włoszech i innych krajach widziałem arcydzieła wielkich mistrzów, Perugina, Rafaela, którzy celowali w odtwarzaniu porywów miłości Bożej i zachwytu, — w żadnym z nich jednak nie znalazłem tyle słodyczy i nadziemskiego uroku! Ilekroć prosiłem Bernadetę o przybranie tej postawy, zawsze tenże sam nadziemski wyraz zmieniał, rozjaśniał i przeobrażał jej rysy«.

Rzeźbiarz poprawiał ciągle swą pracę, stosownie do uwag dziewczynki, aż dopóki ta ostatnia nie rozpoznała w niej wiernej kopii Niepokalanie Poczętej. Znakomity artysta mniemał, że już posiada ten niebiański ideał, który stanął tak żywo przed oczyma Bernadety. Kiedy postawiono przed nią po raz pierwszy statuę Najświętszej Panny, wyrzeźbioną z marmuru, dziewczynka zawołała: »To bardzo piękne, ale to nie »Ona«! O nie! różnica jest taka, jak między ziemią a niebem!«

W kilka lat później Bernadeta, niezadowolona z rozmaitych wizerunków, które jej się wydawały niezdolnymi do odźwierciedlenia tego, co widziała, — rzekła: »O gdybym była malarzem i to dość biegłym, abym mogła odmalować to, co mam w myśli i w pamięci!« Cóżby wtedy zrobiła? — zapytamy... Gdyby mogła rzucić na płótno lub wyrzeźbić z marmuru ideał, przez siebie widziany i dobrze wyryty w swej pamięci, to podałaby nam z pewnością postać, bardziej opromienioną aureolą boskości, niż była ta, którą ręka ludzka zdołała wytworzyć!

Jakże myśl tego dziecka mogła się wznieść jednym porywem, jakby jednym ruchem skrzydeł do wytworzenia sobie tak czystego ideału, którego nie mógł doścignąć wydoskonalony w swej sztuce artysta? Jak w chwili sennego marzenia lub hallucynacyi mogłaby widzieć to, czego rozum ludzki pojąć nie jest w stanie, gdyby nie była ujrzała własnemi oczyma czy ciała czy duszy tego, czego talent geniusza sam przez się ujrzeć nie zdoła?

Skoro Bernadeta poznała Henryka Lasserre'a, przyszłego swego biografa, wówczas opowiadanie jej zaczęło nabierać większej dokładności i jasności. Nie dość już było naśladować ruchy lub postawę, ale należało jeszcze odtwarzać słowem wszystkie wyrazy fizyognomii, odmalować i wyrazić w odpowiedni sposób wszelkie odcienie postawy i ubioru, a w dodatku trzeba było zharmonizować słowa i ruchy Najświętszej Maryi Panny. To też w przeciągu całych tygodni, a nawet miesięcy,

Bernadeta musiała odpowiadać na jedne i te same pytania, stawiane jej w najrozmaitszy sposób przez człowieka obdarzonego niezwykle badawczym umysłem. Była to ciężka próba dla tak młodziutkiego dziewczęcia, mówiącego zaledwie łamaną francuzczyzną, nie wiedzącego nic zgoła o sposobach ubarwienia swego opowiadania i nie mającego dotychczas żadnego zetknięcia się ze światem.

Jakżeby mogła, miewając tylko przelotne hallucynacye, zachować nieskazitelnie wspomnienie tak stałego i tak czystego typu? Podczas śledztwa, niejednokrotnie powtarzanego, miewała ona niekiedy w swem wysłowieniu się niespodziewane zwroty, które na całe jej opowiadanie rzucały zdumiewające niemal światło. Nigdy też nie czerpała swych porównań zpośród osób lub rzeczy, codziennie przez siebie widywanych.

Najświętsza Dziewica miała wszystkie kształty i cechy ludzkie, ale pomimo tego pozostawała zawsze daleko czystszym i doskonalszym ideałem, niż wszystkie wzory, jakie dziewczątko to spostrzegało dokoła siebie. Jasność, która Ją otaczała, nie była wcale podobną do żadnych świateł ziemskich. Obok białości dziewiczej Jej szaty, każda białość wydawała się zbyt bladą, a każda tkanina za grubą. Wszelkie możliwe odcienie niebieskiego koloru przesunięto kolejno przed oczyma Bernadety, lecz nie znalazła ona wśród nich właściwej barwy pasa. Koncha perłowa i kryształ okazały się mniej przezroczystemi, niż paciorki różańca, złoto zaś w łańcuchu było zupełnie innem i daleko piękniejszem od naszego.

»Powiedz mi jednak nakoniec, — rzekł pewnego razu Lasserre, obsypując ją bardziej, niż kiedykolwiek, swojemi pytaniami — ile lat miała ta Pani?« — Bernadeta zaś, rzuciwszy nań spojrzenie, pełne niewinności i szczerości, odparła bez wahania: »Ależ mój panie, wszak ta Pani nie miała żadnego wieku«. Dziwne te słowa tłumaczy i rozwija pan Lasserre w następujący, przedziwny sposób: »W rysach Jej, o liniach niebiańskich zlewały się do pewnego stopnia wszystkie piękności czterech pór życia ludzkiego, to jest niewinna prostota dziecięcia, nieskalana czystość dziewicy, powaga i najwznioślejsza tkliwość macierzyństwa, oraz mądrość wyższa nad mądrość wszystkich wieków«.

Jakiż nieproporcyonalny stosunek istnieje między tem cudownem zjawiskiem, tą idealną Dziewicą, której ani rzeźba ani poezya nie zdoła należycie odtworzyć, — a tem dziecięciem ludu, przed którem się odsłania i objawia swą piękność, jakiej nigdy nie widziano. Czyż nawet, pozostawiając jak najrozleglejsze pole wyobraźni i różnorodnym fizycznym przyczynom, możemy przypuścić, że Bernadeta zdołałaby osiągnąć podobne wyniki? Zresztą, jeżeli świadkami objawień są dzieci, czyż poza tymi świadkami nie należy szukać jakichś rękojmi innego zupełnie rodzaju?... Owszem, potrzeba poddać krytyce i samo cudowne zjawisko,

oraz jego słowa, cel, czyny i skutki. Wówczas uciekamy się do dowodów, wyższych od samego świadka!

Słowa i polecenia Najświętszej Panny, wypowiedziane do Bernadety, a odznaczające się ścisłością i treściwością, zostały wykonane jak rozkazy, wprost z nieba otrzymane. Nazwa Dziewicy, objawiona Bernadecie, nigdy jeszcze przedtem ogłoszoną ani jej ani nikomu nie była. Powtarza ona ją sobie, aby dobrze zapamiętać, nie rozumiejąc nawet jej znaczenia. A to źródło nieznane, wytryskające z głębi skały?... Któż wiódł do niego myśl i rękę dziecka?...

Wreszcie ogólny prąd i nastrój umysłów, jaki nastąpił po objawieniach, był prądem nieznanym już w Europie od czasów wojen krzyżowych. Zawsze wprawdzie istniały jednostki, miewające różne widzenia, lecz nigdy jeszcze ich wizye nie miały takich następstw i takiego rozgłosu. Jakże jesteśmy daleko od punktu wyjścia! Jakże słabość narzędzia uwydatnia tu widocznie działanie wyższej, nadziemskiej siły.

Nigdy objawienia nie były zależnemi w swoim rozwoju od działalności Bernadety, lecz następowały po sobie podług jakiegoś z góry ustanowionego planu i po dwakroć zawiodły jej oczekiwania. Po ośmnastem objawieniu wszystko się skończyło i Bernadeta wróciła do reszty tłumu, nie zostawszy zaszczyconą żadnym szczególnym darem. Była ona świadkiem tego, co się stało, lecz posłannictwo jej zostało już spełnionem, i dzieło utrwaliło się wówczas właśnie, gdy narzędzie jego, Bernadeta, — znikła z widowni. Dziwna to zaiste »hallucynacya«, która opanowuje tak nagle umysł dziecka i znika po upływie sześciu tygodni, nie pozostawiając w niem żadnego śladu po sobie; hallucynacya nie zastosowana bynajmniej do wyobraźni osoby, której przypadła w udziale, a która daje nam idealny typ nieznanej jej przedtem Dziewicy i przekazuje nam rozkazy, wstrząsające całym światem, a których następstwem dalszem było tyle cudów!

Zaliczając Bernadetę do rzędu osób dotkniętych hallucynacyą, umieszczono ją bądź co bądź w dobrem towarzystwie. Bo podług słownika nauk lekarskich: »hallucynacya zmieniła nagle zamiary świętego Pawła na drodze do Damaszku, następnie odniosła tryumf nad ostatniem wahaniem się Konstantyna Wielkiego, wspierała Joannę d'Arc, dodała jej energii i odwagi, potrzebnej do opuszczenia rodzinnej wioski, i postawiła ją na czele wojska, tudzież objawiła świętemu Ignacemu Loyoli wzniosłe jego posłannictwo(!) Bez względu na to, czy to dzieło Boże, czy też dzieło szatana, zdarzają się jednak w dziejach naszych takie okresy, w których cały kraj, cały lud zdaje się żyć w stanie ciągłej hallucynacyi«. Artykuł, z którego ten ustęp przytaczamy, nosi podpis jednego z najznakomitszych lekarzy-specyalistów w tym kierunku, Dra Christiana.

Wygodny to zaiste sposób zamknięcia w takich ramach historyi całego świata i pozbycia się krępujących nas faktów lub osób.

Dr. Diday mówi nam, że Bernadeta była dotknięta hallucynacyą, zgadzającą się wybornie z rozumem. W rzeczywistości jednak taka forma hallucynacyi nie istnieje i została tylko wynalezioną na poparcie tezy, której obrona wielkie przedstawia trudności. Nigdy też żaden prawdziwie uczony lekarz, biegły w naukowych badaniach chorób umysłowych, nie mógłby ani jej przyjąć, ani opisać. Nową tę odmianę hallucynacyi stworzono tylko dlatego, aby się pozbyć niewygodnych faktów, począwszy od czasów świętego Pawła, aż do Bernadety! Co się tyczy utopij, widzeń lub tak zwanych »idées fixes«, które niekiedy opanowywały umysły niektórych historycznych postaci lub znakomitych uczonych, to wiemy, że gdy się one zgadzały z rozumem, wówczas pozostawiały danej jednostce wolne pole do sprostowania swego sądu i zdania sobie sprawy z tego, co w nich było rzeczywistością, a co urojeniem.

Bardzo rzadko hallucynacye oponowują jednocześnie wszystkie zmysły; przeciwnie hallucynacye wzroku, słuchu lub zmysłu dotykania bywają zwykle odosobnione. Taka jednak hallucynacya, którąby owładnęła wszystkimi zmysłami Bernadety, byłaby pozostawiła na jej umyśle ślad głęboki, niezatarty, przyprawiając ją o nieuleczalne obłąkanie; biedna dziewczyna po prostu musiałaby oszaleć.

Dr. Voisin, lekarz z Salpêtrière, bardzo zresztą biegły w tej dziedzinie medycyny, biorąc także objawienia w Lurd za zwykłe hallucynacye, niewahał się twierdzić, bez żadnego nawet zbadania tej kwestyi, że Bernadeta została obłąkaną. Idzie on nawet dalej jeszcze, gdyż podaje nam adres szpitala, w którym ją zamknięto! Twierdzenie jego zanadto jest lekkomyślnem i zuchwałem; w następnym rozdziale pomówimy o tem obszerniej, teraz zaś przychodzi nam ono w porę, jakby na poparcie bronionej przez nas tezy.

Dr. Voisin sądzi, a nawet utrzymuje *a priori*, że mózg dziecęcy w normalnych warunkach nie może znieść podobnych wstrząśnień i że niepodobna przypuścić, ażeby Bernadeta zachowała w należytym stanie wszystkie duchowe swe władze, to jest zdrowy rozsądek, jasny pogląd na rzeczy i zupełną równowagę umysłu. — Jeżeli więc aż do końca życia cieszyła się ona tymi wszystkimi darami, to musiała być świadkiem rzeczywistych objawień, których wierne zachowała wspomnienie, i z pewnością nie była obłąkaną, jak to o niej niewierzący bez najmniejszego dowodu twierdzą.

ROZDZIAŁ VI.

Bernadeta wobec lekarzy.

(Ciąg dalszy).

DR. VOISIN. — DR. VOISIN TWIERDZI, ŻE ZOSTAŁA ONA ZAMKNIĘTĄ W SZPITALU DLA OBŁĄKANYCH. — WYKAZUJĄ MU, ŻE TO FAŁSZ. — ON JEDNAK NIE CHCE COFNĄĆ SWEGO TWIERDZENIA. — DR. ROBERT SAINT-CYR OŚWIADCZA, ŻE BERNADETA JEST WZOREM ZDROWEGO ROZSĄDKU. — DR. VOISIN NIE WIDZIAŁ NIGDY BERNADETY. — DR. ROBERT SAINT-CYR WIDYWAŁ JĄ CODZIENNIE W PRZECIĄGU OSTATNICH DZIESIĘCIU LAT JEJ ŻYCIA. — DR. DOZOUS I DR. BALENCIE. — LEKARZE Z LURD I LEKARZE ZAGRANICZNI.

W czasopiśmie *Union médicale* z dnia 27 czerwca 1872 r. umieszczono jedną z konferencyi Dra Voisin o chorobach umysłowych. W konferencyi tej Dr. Voisin, lekarz z Salpêtrière, rozwija tezę, że prawie zawsze hallucynacye kończą się obłąkaniem i na dowód wygłasza co następuje:

1. »Cud w Lurd został ogłoszony na podstawie słów dziecka, które podlegało hallucynacyom, obecnie zaś zostało zamkniętem w klasztorze Urszulanek w Nevers.

2. Dziś jeszcze mam w jednej z mych sal kobietę, która od młodości widzi Najświętszą Pannę w niebie, i która w ten sposób odegrała główną rolę w cudzie, jaki miał miejsce w La Salette«.

Natychmiast jednak, po ogłoszeniu powyższego artykułu, X. Biskup z Nevers przesłał do redaktora dziennika *L'Univers* następujący list:

Drogi Panie!

Wiesz Pan dobrze, że pewien profesor z Salpêtrière, rozwijając swe teorye o hallucynacyach, utrzymywał niedawno temu, iż Bernadeta Soubirous, nosząca w zakonie imię siostry Maryi Bernardy, była zamkniętą jako obłąkana w klasztorze Urszulanek w Nevers. Chciej więc łaskawie ogłosić ten list, w którym mam zaszczyt oświadczyć:

1. Że Siostra Marya Bernarda nie przestąpiła nigdy progu klasztoru Sióstr Urszulanek w Nevers.

2. Że mieszkając rzeczywiście w Nevers, w macierzystym domu Sióstr Miłosierdzia, wstąpiła tamże i pozostaje tam zupełnie swobodnie, jak każda inna Siostra zakonna.

3. Że nietylko nigdy nie była obłąkaną, ale się odznacza niezwykłym rozsądkiem i niezrównaną łagodnością.

Nadto pozwalam sobie zaprosić owego sławnego profesora, aby zechciał sprawdzić osobiście dokładność mego twierdzenia.

Gdyby był łaskaw zawiadomić mię o dniu swojego przybycia, postarałbym się ułatwić mu o ile możności widzenie się z Siostrą Maryą

Bernardą; aby zaś usunąć wszelką wątpliwość co do tożsamości jej osoby, prosiłbym samego pana Prokuratora Rzeczypospolitej, aby mu ją przedstawił. Następnie pozwolonoby mu przypatrywać się jej i z nią rozmawiać tak długo, jakby mu się podobało.

Co do mnie, to przyrzekam wystąpić wówczas w roli jak najbardziej uprzejmego gospodarza.

Dnia 3 października 1872 r. † *Augustyn*, biskup z Nevers.

Ze swej strony p. Artus, katolik »wojujący«, że się tak wyrazimy, który w polemice i rozumowaniu nie rachował się bynajmniej ze słowami, ogłosił publicznie odezwę do wszystkich niewierzących w rzeczy nadprzyrodzone i cuda.

Rozmaite broszury pana Artus'a, pełne dowcipu i niewyczerpanej werwy, ogromną zjednały sobie popularność. Pierwsza z nich, zawierająca jakby wotum nieufności dla wszystkich niedowiarków, doczekała się aż dwudziestu pięciu wydań.

Otóż do Dra Voisin pan Artus pisał co następuje:

»Złożyłem dziesięć tysięcy franków u mego notaryusza, pana Turquet'a, ofiarując się dowieść: 1. że Bernadeta, jasnowidząca z Lurd nie jest i nie była nigdy zamkniętą w klasztorze Urszulanek w Nevers. 2. Że Melania, która odegrała główną rolę w cudzie spełnionym w La Salette, nie jest i nie była nigdy w pańskich salach szpitalnych«.

List powyższy został umieszczonym w czasopiśmie *Le Monde* z dnia 16 sierpnia 1872 r. i w dzienniku *L'Univers* z dnia 18 tegoż miesiąca. Dr. Voisin nie odpowiedział nań wcale, podobnie jak nie raczył odpowiedzieć X. Biskupowi z Nevers. Dzienniki *Le Siècle* i inne, które pisały szumne komentarze z powodu twierdzeń p. Voisin'a, nie podały wcale odpowiedzi pana Artus'a. Nadaremnie też pan Artus napisał drugi list, który się kończył następującą odezwą do sumienia owego uczonego:

»Dobrze więc, Panie, nie proponuję ci zakładu, ale robię coś lepszego, to jest zobowiązuję się wypłacić ci dziesięć tysięcy franków, jeżeli po gruntownem badaniu, dokonanem przez trzech twoich kolegów z wydziału lekarskiego w Paryżu, nie zostanie stwierdzonem:

1. że Melania, pasterka z La Salette, nie była nigdy w twoim szpitalu;

2. że Bernadeta, jasnowidząca z Lurd, nie była nigdy zamkniętą w klasztorze Urszulanek w Nevers.

Nie mów pan, chcąc przeszkodzić temu badaniu, że nie potrzebujesz moich dziesięciu tysięcy franków. Przechodzisz pan codziennie przez

ulice zaludnione przez ubogich, szpital zaś Salpêtrière mieści również w swych murach bardzo wielu nieszczęśliwych. Nie odmawiaj więc przyjęcia kwoty, której tak pożytecznie można użyć. Pretekst pański nie oszuka ani mnie, ani nikogo. Postanowiłem nie zostawić panu pola do żadnych wykrętów. Pozostaje więc panu do wyboru albo proste i szczere przyznanie się do winy, albo milczenie, będące poniekąd takiem samem wyznaniem, — albo wreszcie śledztwo, które wypadnie z pewnością na pańską niekorzyść. Innego wyjścia dla pana niema!«

Ponieważ Dr. Voisin zachował głuche milczenie, nie chcąc ani cofnąć swych słów, ani też odpowiedzieć na czynione sobie zarzuty, dał przeto prawo panu Artusowi do następującej surowej odezwy:

»Pozwól mi pan zakończyć uwagą, dotyczącą wszystkich tych, którzy podobnie jak pan mają zaszczyt piórem lub słowem przemawiać do publiczności.

»Każdy, kto w takich warunkach wydaje sądy twierdzące lub przeczące w rzeczach tak wielkiej wagi, nie zbadawszy i nie sprawdziwszy ich dokładnie, popełnia występek społeczny, oszukując lub niepokojąc sumienie tych niezliczonych jednostek, które nie mają ani czasu ani sposobności do zbadania osobiście tej sprawy i w swej nieświadomości zwracają się do tych, co się im narzucają na kierowników i nauczycieli.

»W sprawach dotyczących nauki można przypuścić dobrą wiarę, a nawet można wierzyć w szczerość przekonań autora, chociażby fałszywe wygłaszającego tezy. W sprawach jednak, odnoszących się do faktów rzeczywistych, prawda jest łatwą do zbadania. Nie można więc powiedzieć o jakimś człowieku, że umarł, jeżeli żyje, lub o jakiejś osobie, że została obłąkaną i zamkniętą w szpitalu, jeżeli w rzeczywistości znajduje się ona w naukowym zakładzie, mającym za cel wychowywanie panienek, i cieszy się zupełnie normalną działalnością wszelkich władz umysłowych.«

Jeżeli więc Dr. Voisin miał jeszcze jakiekolwiek wątpliwości po otrzymaniu listu X. Biskupa z Nevers, tudzież twierdzeń pana Artus'a, popartych licznymi dowodami, to wystarczało mu tylko zasięgnąć zdania swego kolegi, Dra Roberta Saint-Cyr z Nevers, lekarza Bernadety.

Dr. Damoiseau, prezes Towarzystwa lekarskiego w Rue, napisał do Dra Roberta Saint-Cyr, prezesa Towarzystwa lekarskiego w Nevers, prosząc o dokładne wskazówki co do stanu umysłowego Bernadety i otrzymał od niego następującą odpowiedź:

Nevers d. 3 września 1872 r.

Drogi mój Kolego!

Nie mogłeś lepiej uczynić, jak uczyniłeś, zwracając się do mnie po pożądane dla ciebie wiadomości o młodem dziewczęciu z Lurd, zna-

nem obecnie pod nazwą Siostry Maryi Bernardy. Będąc oddawna lekarzem w jej Zgromadzeniu, pielęgnowałem przez czas długi tę młodą Siostrę, której nader wątłe zdrowie budziło w nas częstokroć poważne obawy. Dziś stan jej się polepszył; z dawnej chorej stała się ona obecnie moją infirmarką, opiekującą się chorymi, i wywiązuje się wybornie ze swego zadania.

Jest ona nizka, szczupła, wątła i liczy lat dwadzieścia siedem. Będąc z natury spokojną i łagodną, pielęgnuje chorych z wielką znajomością rzeczy, stosując się jak najściślej do wszelkich przepisów, i dlatego też ze strony osób, powierzonych swej pieczy, cieszy się ona wielką uległością, z mojej zaś zupełnem zaufaniem.

Widzisz więc, kochany mój Kolego, że młoda ta Siostra jest bardzo daleką od obłąkania. Powiedziałbym nawet, że prosta, spokojna i łagodna jej natura nie usposabia jej bynajmniej do chorób tego rodzaju.

Bardzo się cieszę, kochany Kolego, z tej sposobności porozumienia się z tobą i zrobienia ci choć małej przysługi, dając ci wskazówki i wiadomości, jakich odemnie żądałeś.

Robert Saint-Cyr,
prezes Towarzystwa lekarskiego w Nevers.

Powyższy list powinien był położyć tamę dalszym sporom, gdyż każdy rozsądny człowiek uznałby już tę sprawę za rozstrzygniętą. Zuchwałe twierdzenia Dra Voisin'a pozostawiają po sobie bardzo ujemne wrażenie i napróżno szukamy bądź jakiegokolwiek wyjaśnienia, bądź też przynajmniej jakiejkolwiek łagodzącej okoliczności, aby wytłumaczyć ich znaczenie lub zrozumieć ich pobudki. Atoli w sprawie tak ważnej, doniosłej i ciekawej, głównem naszem zadaniem jest wykazanie prawdy; nie zatrzymując się przeto dłużej na osobistych zapatrywaniach rozmaitych jednostek, przypatrzmy się lepiej, jak wypadł ogólny wyrok, wydany przez lekarzy o Bernadecie.

W chwili rozpoczęcia objawień, — pisze Dr Boissarie — znajdujemy wśród grona lekarskiego w Lurd dwóch ludzi, których można nazwać zupełnie dojrzałymi, zarówno pod względem wieku, jak pod względem zdolności, umysłowego rozwoju i wykształcenia lekarskiego.

Jeden z nich jest katolikiem z pochodzenia i przekonania, — drugi sceptykiem i niewierzącym.

Dr. Dozous był niedowiarkiem, lecz porwany właściwym swemu temperamentowi zapałem, chce widzieć i poznać wszystko.

Kolega jego, Dr. Balencie, bardziej zimny i metodyczny, choć wierzący katolik, nie życzy sobie wcale towarzyszyć Bernadecie. Cóżby tam mógł zobaczyć? Wszystko to, wedle niego, było dobrem »w wie-

kach zabobonów i ciemnoty«, — ale dzisiaj są to już rzeczy aż nadto dobrze znane. W imieniu więc nauki i opierając się na jej pewnikach, miał on własne zdanie.

Dr. Dozous został podbitym prostotą i szczerością dziecięcia i olśnionym cudowną przemianą w jej twarzy, która zdawała się odźwierciedlać jakby promień bóstwa. Wszystkie więc jego uprzedzenia powoli upadły i znikły same przez się, gdyż dotykając niemal namacalnie rzeczy nadprzyrodzonych, mimowoli je uznał.

Następnie poddawał on ścisłemu badaniu w sposób jak najbardziej skrupulatny wszystkie fakta, jakie zaszły przed jego oczyma, był

Pierwotne biuro sprawdzań w Lurd.

nadto świadkiem tylu niepojętych uzdrowień, dokonanych jedynie za pomocą wody, która wytrysła w jego obecności, że cały jego sceptycyzm rozwiał się bez śladu. W kilka zaś lat później streścił swe spostrzeżenia w książce, w której jako *motto* położył następujące słowa: »Uwierzyłem, bom widział«.

Kolega jego, Dr. Balencie, był również nieraz zapytywanym o zdanie w tej mierze. Wyraził więc je w sprawozdaniu, skreślonem na żądanie zarządu miasta Lurd. Sprawozdanie to jest nader ważnym dokumentem, nad którym wartoby się zastanawić z całą swobodą umysłu.

Nader zajmującym zaiste był cały przebieg sporu pomiędzy tymi dwoma ludźmi, zarówno wykształconymi i szczerymi. Ostatecznie mu-

siało dojść pomiędzy nimi do jakiegoś porozumienia, gdyż mieli oni ciągle przed oczyma wszystkie fakta i okoliczności kwestyi spornej.

Cóż się stało?

Dr. Dozous, pomimo przekonania o nadprzyrodzonym charakterze badanych przez siebie zjawisk, nie stosował do tej wiary swojego postępowania, ale przez większą część życia pozostał obojętnym dla religii. Dopiero znacznie później nawrócił się i umarł jako wierzący i praktykujący chrześcianin...

Kolega jego, Dr. Balencie, wyrażał się z początku o uzdrowieniach tak samo, jak o objawieniach, to jest widział w nich tylko zdarzenia zupełnie naturalne. Wobec jednak dziwnych faktów, jakie codziennie niemal przed nim się powtarzały, jakieś niespodziewane światło zaczęło przenikać do jego umysłu. I on więc z czasem ujrzał i uznał, a nawet, że się tak wyrazimy, dotykał się nadprzyrodzonych rzeczy.

»Nie powiedziałbym, — dodaje Dr. Boissarie — że Dr. Balencie jest obecnie bardziej odemnie o tem przekonanym, ale podziela on najzupełniej moje przekonanie i jest naszym współpracownikiem, naszym przewodnikiem, jako człowiek wierny tradycyi, żyjący świadek przeszłości. Obok niego, a raczej z nim razem, można zawsze z jak największą łatwością odtworzyć dzieje tych zjawisk, które zna on ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami.

»Podczas ostatnich pielgrzymek, wśród licznego, otaczającego nas audytoryum, złożonego przeważnie z ludzi uczonych lub korespondentów rozmaitych dzienników, starano się utworzyć sztuczną legendę o Bernadecie, uważając ją jakby za jakąś ofiarę, za biedne dziecię, odosobnione okrutnie od reszty świata i każąc jej żyć i umierać zdala od pola sławy.

»Widzieliśmy wówczas, jak zacny nasz współpracownik wyprostował się żywo i wlepiwszy wzrok w swych oponentów, odpowiedział im z tą pewnością siebie, jaką tylko głębokie przekonanie dać może. »Bernadeta odosobniona! — zawołał — ależ to prosty wymysł, bynajmniej niezgodny z rzeczywistością! Wszak należała ona do wszystkich; w każdej porze dnia można było widzieć się z nią i rozmawiać. Gdybyście wy naprzykład do niej przyszli, nie odmówiłaby wam z pewnością chwili rozmowy. Byłem lekarzem szpitalnym i musiałem nader często dokładać rozmaitych starań w celu poratowania jej nadwątlonego zdrowia, nadużywano bowiem jej sił, tak, że gdyby nie odjechała do Zgromadzenia, to zapewne byłaby umarła z powodu przeciążenia pracą. Odjechała jednak dobrowolnie, sama bowiem zapragnęła żyć i umrzeć daleko od Lurd«.

Wszystkie te wypadki są jeszcze nam prawie współczesne, nader ciekawą więc rzecz stanowią zeznania ostatnich, żyjących jeszcze świadków.

Dr. Dozous, choć sam niewierzący, jakeśmy już widzieli, wydał o tem dziecku świadectwo publiczne niezaprzeczonej doniosłości. Wydał je zaś wobec wszystkich świadków owych wydarzeń, a zwłaszcza wobec wszystkich lekarzy w Lurd. Była to zaiste nader odpowiednia chwila do rozpoczęcia poważnego śledztwa, które trwało lat kilka, wówczas, gdy wzburzenie umysłów, usposobionych za i przeciw, zupełnie się już uspokoiło.

Koledzy Dra Dozousa chcieli upatrywać w tych zjawiskach tylko grę chorej wyobraźni, utworzyli więc pierwszą grupę przeciwników i zaprotestowali »w imieniu wiedzy«, której byli przedstawicielami. W Lurd wszakże nie mogli pozostać zupełnie obcymi tym wypadkom, jakie dokoła nich się działy, lecz musieli, chcąc nie chcąc, być świadkami i sędziami uzdrowień, które weszły niemal na porządek dzienny. Wobec tych dziwnych faktów, jakie prawie ciągle się powtarzały i przeciwne były wszystkim, znanym dotąd prawom i zasadom, wyznali oni otwarcie swój błąd i złożyli hołd prawdzie. Podobnie więc, jak ich kolega Dr Dozous, choć w kilka lat później, uchylili czoła przed ilością i jakością otrzymanych dowodów. Iluż lekarzy poszło następnie za ich przykładem! Zaprotestowawszy nader głośno w imieniu wiedzy, nie wahali się oni wyznać w jasnych i wyraźnych świadectwach, bez żadnych zastrzeżeń, że uzdrowienia, jakie zaszły w Lurd, sprzeciwiają się wszystkim znanym dotąd prawom przyrody!

Tak więc wszyscy, którzy widzieli i poznali to dziecię, od Drów Dozous'a i Vergez'a aż do Roberta Saint-Cyr, wszyscy współcześni Bernadety, wszyscy ludzie wykształceni, jacy się do niej zbliżali, składają jednogłośnie hołd przymiotom tej skromnej i ubogiej pasterki, która, stawszy się nagle przedmiotem ogólnej uwagi i znalazłszy się mimowoli na pierwszym planie, potrafiła zachować najrzadsze i najtrudniejsze cnoty, to jest prostotę i bezinteresowność.

Dr. Boissarie, mówiąc o hołdzie, złożonym przez lekarzy nadziemskim zjawiskom w Lurd, opowiada rozrzewniający szczegół:

»Przed kilkoma miesiącami jeden z moich przyjaciół, sekretarz lekarskiego towarzystwa, rzekł do mnie: W ostatnich dniach otrzymałem list od pewnego lekarza z północnej Francyi, którego wcale nie znam. W liście tym kolega ów pisze mi co następuje: »Chcę pana prosić o bardzo ważną usługę, a chociaż nie mam żadnego prawa żądać jej od pana, lecz zacność pańskiego charakteru i pańskie przekonania pozwalają mi się spodziewać, że zechcesz pan łaskawie spełnić moją

prośbę. Przed wielu laty, pisząc rozprawę lekarską, umieściłem w niej złośliwe zdanie z powodu pielgrzymek do Lurd. Był to jakby hołd, oddany zaczerpniętym w szkole zasadom i przekonaniom. Poza obrębem wiedzy, i to jedynie takiej, jakiej nam udzielono, widziałem tylko przesąd, zabobon, nieświadomość lub złą wiarę. Zdanie powyższe zaciężyło jak wyrzut sumienia na całem mem życiu. Chciałbym więc je wymazać, — jeżeli to możliwe. Niema już wprawdzie egzemplarzy mojej rozprawy, ale jeden z nich, niestety, jeszcze pozostał i nie w mojem znajduje się posiadaniu. Mam tu na myśli ten, który musiałem złożyć wydziałowi lekarskiemu. Czy zechcesz więc pan udać się łaskawie do biblioteki i zażądać zbioru rozpraw z roku... miesiąca... i dnia...? Doszedłszy do oznaczonej przezemnie stronicy, chciej pan zatrzeć wszelkie ślady owego nieszczęsnego zdania, które teraz stanowczo potępiam. Zrobiwszy zaś to, o co proszę, zechciej donieść mi o tem. Odtąd bowiem będę już spokojnym, dla pana zaś dozgonną zachowam wdzięczność!«

»Jakże wielką wartość posiada to poufne wyznanie, zrobione zupełnie spokojnie i bezinteresownie? Jest to zaiste hołd, złożony prawdzie z zupełną niezależnością i samodzielnością serca i umysłu, lub jakby okrzyk sumienia, które długo cierpiało, teraz zaś pragnie uznać i naprawić swe błędy.

»Powyższe opowiadanie podaję jako przedmiot do rozmyślań dla moich kolegów, a zarazem dla wszystkich tych, którzy dotąd jeszcze uważają lekarzy za sceptyków i niedowiarków. Zobaczą oni bowiem, jakiej żywości i zapału nabierają niekiedy pomiędzy nami rozumne religijne przekonania, oraz jak często umiemy otrząsać się z przesądów, które nas długo trzymały w swem jarzmie«.

CZĘŚĆ II.

UZDROWIENIA.

ROZDZIAŁ I.

Chorzy w Lurd.

DO LURD PRZYJEŻDŻAJĄ CHORZY NA NAJROZMAITSZE CIERPIENIA FIZYCZNE I MORALNE. — NIE WSZYSTKIE UZDROWIENIA SĄ JEDNAKOWEGO RODZAJU I ZARÓWNO CUDOWNE. – LEKARZE MOGĄ SIĘ CZASAMI MYLIĆ. – ICH ŚWIADECTWA NIE ZAWSZE WIARYGODNE. – NIE OSŁABIA TO JEDNAK PRAWDZIWOSCI ROZPOZNANIA CHOROBY I CUDOWNEGO UZDROWIENIA. – WYSTARCZA JEDEN FAKT NIEZBICIE UDOWODNIONY.

Chorzy w Lurd są podobni do wszystkich chorych w szpitalach. Podczas wielkich pielgrzymek »narodowych« bywa ich zawsze kilka tysięcy, zebranych około groty; są oni tam liczniej zebrani, niż w *l'Hôtel-Dieu*, największym szpitalu Paryża.

Pominąwszy choroby ciężkie, gwałtowne, np. gorączki połączone z wyrzutami, zapalenia płuc, tyfusy, — widzimy wkoło różne odmiany chorób chronicznych, jak suchoty, skira, choroby żołądkowe w rozmaitych formach, choroby nerwowe we wszystkich swoich postaciach. Widzi się panie z wyższego stanu, które były już we wszystkich kąpielach i radziły się wszystkich powag lekarskich. Widzimy i ubogie chore ze szpitalu Salpêtrière, które znajdowały się na liście nieuleczalnych, a były już przedmiotem różnych doświadczeń naukowych.

Ci, co sądzą, że tam nie spotyka się innych chorych, jak tylko na choroby nerwowe, — chyba nigdy nie widzieli tych tłumów! Są tam nagromadzone wszystkie fizyczne niedole: dzieci skrofuliczne, z ranami, puchlinami i próchnieniem kości, nieszczęśliwi suchotnicy, którzy się zbliżają do końca swych ziemskich cierpień, są tam wszystkie odmiany paralityków, głuchoniemi od urodzenia i ślepi.

Obok kalek fizycznych znajdują się tam i cierpiący moralnie; słowem przedstawiciele wszystkich bied, jakie spadają na ludzkość. — Oto ciemny i ponury obraz, który nam przypomina, że cierpień więcej znajduje się na świecie, niż szczęścia. Jest to wielce zajmujący przedmiot do badań dla tego, który tam przychodzi bez uprzedzeń, a szuka nauki i prawdy. Obraz wprawdzie smutny, ale rozjaśniony tem słodkiem światłem nadziei bez granic, która przepełnia serca tych nieszczęśliwych.

Mówią zbyt często, że tylko chorzy na zaburzenia organiczne albo na cierpienia nerwowe doznają samo przez się silnych wrażeń w Lurd, że one są dla nich uzdrawiającym środkiem, ale że to złudzenie nie trwa długo — więc i krótkie bywają owoce pielgrzymki.

Że w Lurd jest wielka nawet liczba i takich uzdrowień, które nie sprzeciwiają się prawom natury, to prawda. Dla chorych są jednak i takie uzdrowienia łaską, nieraz i wielką; ręka Boża może przyjść w pomoc pod każdą formą, lecz dla lekarza nie przedstawiają te uzdrowienia charakteru nadnaturalnego. I te właśnie fakta, źle tłumaczone przez tłum, a do których on przywiązuje nieraz wielką wagę — bywają dla ludzi myślących powodem rozczarowań. Ale nie trzeba zapominać, że takich uzdrowień nikt rozumny nie myśli nikomu narzucać jako cudownych i zwać ich nadnaturalnemi!!

Dr. de Saint-Maclou w artykule: »O łasce i cudzie« mówi o tem, jak ważną rzeczą jest umieć odróżniać cud — od zwykłego uzdrowienia, nadzwyczajnego wprawdzie, ale które spotyka się wszędzie po szpitalach i którego nie można zaliczyć do rzędu uzdrowień nadnaturalnych.

W rzeczywistości spotyka się w Lurd uzdrowienia natychmiastowe najrozmaitszych chorób. Są też uzdrowienia chorób nerwowych, uzdrowienia wprawdzie nadzwyczaj zajmujące, które, choć z jednej strony mogą bardzo zastanowić, lecz z drugiej nakazują zarazem pewną ostrożność w wyrokowaniu. Te rezultaty różnie są oceniane i roztrząsane przez tłum, który się tłoczy u groty cudownej. Lekarze, będący w Lurd, badają z uwagą wszystkie odmiany chorób przesuwających się przed ich oczyma. Lecz tu może jedynie z całą kompetencyą decydować tylko osobisty i stały lekarz chorego. Między świadkami — i tak różnymi pomyłki i błędy są nieuniknione. Z pewnością byłoby do życzenia, aby wszyscy byli jednego poziomu wykształcenia i rozsądku, ale ten ideał nie może być nigdzie osiągniętym.

Lekarze, znajdujący się w Lurd, mogą się również nieraz mylić. »Ja sam, — mówi Dr Boissarie – byłem niekiedy zdziwiony różnemi mimowolnemi pomyłkami. Czyż może być inaczej między chorymi, których nie znamy, których chorób nieraz na razie nie możemy dokładnie oznaczyć, ani ich rodzaju i czasu trwania ani ich doniosłości?

»Muszę i to powiedzieć, że jeśli pewna ostrożność jest potrzebną dlatego, aby była nam tarczą przeciw wszelkim rozczarowaniom, — to znów z drugiej strony i świadectwa lekarzy są czasem pisane tak zdumiewająco pobieżnie, że widocznie choć w części prawdę umyślnie zamilczają albo ukrywają. Niektórzy czasem starają się nawet umyślnie nas w błąd wprowadzić. — Przypominam sobie, że podczas jednej pielgrzymki narodowej kobieta silna, z której zdrowie tryskało, chciała w nas wmówić, że była uleczoną z trzech chorób śmiertelnych, między innemi z raka i puchliny. Lekarz jej, żyd, oświadczył, że stwierdził u niej te choroby. Tego było mi zanadto! Jej tusza i dobry wygląd świadczyły, że jeśli była ona kiedy chorą, to już chyba może bardzo dawno temu; pułapka była zanadto bijącą w oczy. Z wielkim trudem zdołaliśmy ją odpędzić, bo chciała być zaliczoną do rzędu cudownie uzdrowionych. — Widoczny był tu podstęp ludzi złośliwych.

»Czasem się też zdarza, że uzdrowienia nie są trwałe. Jeden zakonnik sparaliżowany od długich miesięcy wstał i chodził zdrów po wyjściu ze sadzawki, lecz po kilku miesiącach zapadł na tę samą chorobę: był to wypadek paraliżu nerwowego.

»Chorzy często przynoszą nam świadectwa tak sprzeczne, że w przeciwieństwach tych nieraz nie możemy sobie wyrobić zdania osobistego. Czasami nawet jesteśmy zmuszeni odłożyć na bok ważne obserwacye. Są to jednak fakty wyjątkowe. Bywały i takie uzdrowienia, które dopiero po szeregu lat zaliczyliśmy do rzędu nadzwyczajnych. Niejednokrotnie żądają od nas pośpiechu w wypadkach, w których informacye są niedokładne. Opinia niecierpliwa nas nagli i stąd pomyłki w drobiazgach i szczegółach — lecz to się zdarza tylko w czasie wielkich pielgrzymek, podczas których miewają miejsce liczniejsze nadzwyczajne uzdrowienia i w wypadkach, gdy lekarz decydujący nie zna chorego osobiście.

»Gdyby kto jednak, o jednym z takich chorych, zasięgnął zdania tego z naszych kolegów, który chorego znał od szeregu lat, leczył go i badał, znał jego organizm i cały przebieg choroby, wtedy otrzymałby niechybnie wyjaśnienie sumienne i pewne.

»Lekarz nie przychodzi sam ze swojem świadectwem, ale wyrokuje wobec innych świadków faktu, a zdanie jego jest pod kontrolą innych przywołanych lekarzy. — W takich gruntownie zbadanych i udowodnionych wypadkach wszystkie przypuszczenia teoretyczne o hypnotyzmie i suggestyi są bez rozumnego naukowego znaczenia. Krok za krokiem trzeba iść za sądem ludzi kompetentnych — a na takich dopiero podstawach napisana historya uzdrowień w Lurd staje się autentyczną i niewruszoną.«

Przeciwnicy nadnaturalnej siły i cudu czepiają się niekiedy tego, że choroby były źle rozpoznane lub że uzdrowienia były źle tłumaczone, albo że one nie stoją w sprzeczności do praw naturalnych. I na uzasa-

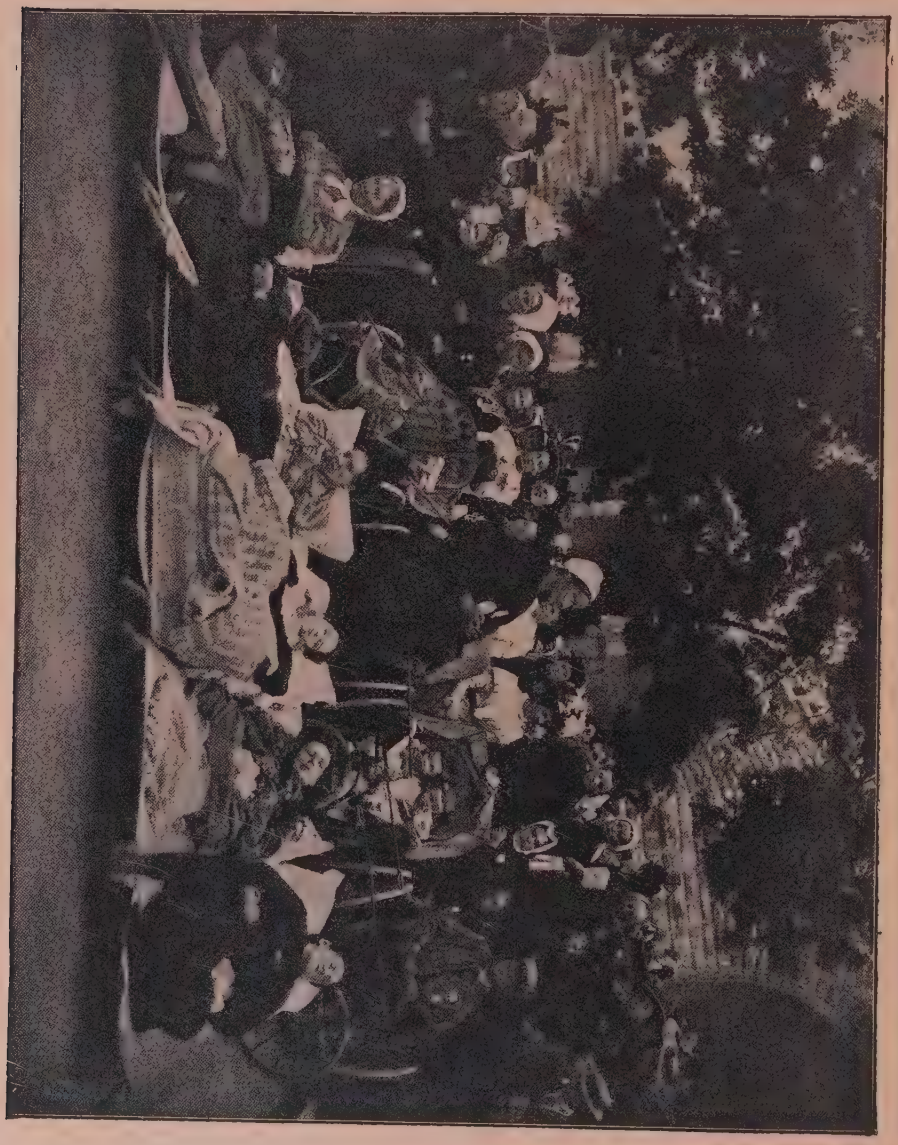

Chorzy w Lurd.

dnienie tego stawiają niektóre przykłady, mogące im przyjść na pomoc w ich niby dowodach — przedstawiając je pod dogodnym dla nich kątem widzenia.

Ale ten sposób rozumowania nie jest logicznym i nie dowodzi niczego. Nie chodzi bowiem o to, aby dowieść, że niektóre z pomiędzy tylu tak licznych uzdrowień dadzą się rzeczywiście w naturalny sposób wytłumaczyć, (i my na to najchętniej się zgadzamy) — lecz chodzi li tylko o ustalenie zdania, choć co do niektórych uzdrowień — i mniejsza o to, w jakiej liczbie, czy jest ich n. p. sto, dwadzieścia albo dziesięć, — a nawet — choćby to był jeden tylko wypadek, lecz któryby przedstawiał się jako pewny i niezbity dowód działania siły nadnaturalnej, — Bożej. Krótko powiedziawszy, chodzi o to, aby przekonać się i być pewnym tego, czy my możemy dojść przez dowód ściśle rozumowy i naukowy do poznania istnienia cudu. Powtarzam: Tu nie chodzi o liczbę, lecz o zasadę. Można nam zarzucić pomyłki w spostrzeżeniach — nie mamy nic przeciwko temu i nie będziemy tem dotknięci, — jeśli choćby na jednym tylko przykładzie, jasnym, dokładnym, pewnym, niezbitym, wykażemy fakt pewny choroby, — i również pewne uleczenie jej — wszystkim znanym nam prawom fizyologicznym przeciwne, jeśli nam uda się dowieść, że wyniki tego uzdrowienia są poza możnością sił fizycznych — takich, jakie obecnie znamy.

Historya Lurd i jego uzdrowień nie jest zatem pobożną tylko legendą. Pełno tam poważnych wskazówek, które się narzucają do rozmyślania i rozwagi ludziom dobrej woli.

Lekarze powinni się nią szczerzej zająć, niż nawet sami sądzą. W tych badaniach bowiem są świadectwa ściśle naukowe, których nie podobna nie uznać, lecz należy je przedstawić w świetle właściwem. I to jest właśnie celem niniejszej pracy.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsze uzdrowienia.

NADZWYCZAJNE UZDROWIENIA, POTWIERDZAJĄCE RZECZYWISTOŚĆ I CHARAKTER NADPRZYRODZONY OBJAWIEŃ. – KOMISYA ŚLEDCZA I DR. VERGEZ. – BŁAŻEJKA SOUPENNE. HENRYK BUSQUET (RANA LIMFATYCZNA). – TEORYA TWORZENIA SIĘ TKANEK. – DR. DIDAY SZUKA NATURALNEGO WYJASNIENIA. – JEGO ZAKŁOPOTANIE. – CHOROBY ORGANICZNE I NERWOWE. — DR. DIDAY UZNAJE, ŻE TE UZDROWIENIA PRZECHODZĄ ZAKRES NATURALAYCH ŚRODKÓW. — WODA Z LURD. – JEJ ROZBIÓR. — HYPNOTYZM. – DR. VERGEZ.

Gdyby historya Lurd zatrzymała się tylko na pierwszym okresie, zapełnionym całkowicie objawieniami i Bernadetą, to echo powyższych zjawisk prędkoby przebrzmiało, zawzięta zaś walka polemiczna w tej kwestyi oddawnoby ucichła.

Zresztą jakżebyśmy zdołali zrozumieć plan i cel objawień? Takie zjawiska nie mogą być przedmiotem prostej tylko ciekawości i dzieło Boże, dokonane w Lurd, byłoby niezrozumiałem, gdyby się ograniczało do samego faktu objawień. Wypadki jakie po nich nastąpiły, miały je jakby uświęcić w sposób trwały i głęboki.

Liczne uzdrowienia, następujące po sobie od lat blizko pięćdziesięciu, stanowią w naszej epoce fakt nader doniosły. Jeżeli można sprzeczać się co do ich przyczyny, rozstrząsać je lub podporządkowywać pod pewne prawa natury, to jednak, bądź cobądź, niepodobna zaprzeczyć ich dziwnemu istnieniu. Stoją one przed nami, poparte przez rękojmię i tę surową kontrolę, jakąśmy już zaznaczyli w pierwszej części niniejszej pracy. Zdumiewające te wypadki dokonywają się w oczach lekarzy, stanowiąc jakby kartkę z dziejów kliniki, nader ciekawą do zbadania, której teraz dłuższą poświęcimy wzmiankę.

* * *

1. Pierwszym z tych faktów było dziwne uzdrowienie Ludwika Bourriette, (o którym wspomnieliśmy już powyżej,) jednego z najdawniejszych pacyentów doktora Dozous'a. Bourriette pracował wraz ze swym bratem Józefem przed 20 laty w kamieniołomach w pobliżu miasta Lurd. Pewnego razu mina, źle skierowana, pękła obok nich tak nieszczęśliwie, że Józef na miejscu padł trupem, Ludwik zaś, obalony gwałtownie na zwłoki swego brata, pozostał przez parę godzin w stanie nieprzytomnym, a twarz jego i ręce zostały przy tem okropnie poparzone. Następnie nieszczęśliwy ten dostał silnego zapalenia błony mózgowej, połączonego z gatunkiem szału, który dochodził niekiedy do zupełnej wściekłości.

Chociaż mózg jego tylko w przeciągu trzech miesięcy dotknięty był chorobą, wywiązał się wszakże potem straszny rozstrój nerwowy, który zmusił biednego Bourriette'a do pędzenia przez lat parę bezczynnego życia. Wzrok jego był tak osłabionym, iż praca przy ciosaniu kamieni stała się dla niego prawdziwem niepodobieństwem. Udał się więc o radę i pomoc do doktora Dozous'a. Ten zauważył, że oko prawe odniosło głęboką ranę w dolnej części obwodu rogówki, to jest w miejscu, gdzie ta ostatnia łączy się z błoną, otaczającą oko, i że źrenica, zanadto skutkiem tego rozszerzona, stała się prawie zupełnie nieczułą na działanie światła. Rzeczywiście nawet wśród największego oświetlenia oko to dostrzegało tylko tu i ówdzie mgliste i blade światełka. Po wielu daremnych próbach lekarz musiał dać Bourriettowi do zrozumienia, że oko prawe było stracone i że mu nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się ze smutnym losem. Był to tak wielki cios dla nieszczęśliwego, iż się zdawało, że go przeżyć nie zdoła. Paraliż oka, wynikły z odniesionej

rany i ogólnego wstrząśnienia nerwowego, nie dałby się już uleczyć za pomocą żadnych środków, jakimi wiedza ludzka rozporządza. »Jak można sobie wyobrazić, mówi Dr. Dozous, aby to oko, pozbawione wzroku już od lat dwudziestu, mogło odzyskać w jednej chwili dawną zdolność widzenia? Jest to fakt olbrzymiej doniosłości, a zarazem widoczny dla wszystkich i pozwalający nam ocenić całą potęgę czynnika leczniczego, użytego przez nieszczęśliwego wyrobnika«.

Usłyszawszy o źródle, które w sposób cudowny wytrysło nagle z groty, Bourriette woła swą córkę: »Przynieś mi tej wody — mówi do niej — Najświętsza Panna, jeżeli rzeczywiście to Ona, potrzebuje tylko zechcieć, aby mię uleczyć«. W pół godziny później dziecię przyniosło trochę wody, jeszcze nieco mętnej. Ojciec obmywa nią chore oko i prawie jednocześnie wydaje radosny okrzyk, drżąc przytem cały z niezwykłego wzruszenia. Podczas bowiem obmywania sobie oczu tą dobroczynną wodą uczuł, że światło dzienne coraz jaśniejszem mu się wydaje, wszystkie zaś przedmioty coraz wyraźniejsze przybierają kształty.

Nazajutrz, spotkawszy doktora Dozousa, bieży do niego. »Jestem uzdrowiony!« — mówi. — »Ależ to niemożliwe — woła doktór, — masz bowiem porażenie organiczne, które czyni twą chorobę zupełnie nieuleczalną«. Jednocześnie lekarz wydobywa z kieszeni notes i pisze kilka słów ołówkiem, poczem, zasłoniwszy całkowicie jedną ręką lewe oko Bourriette'a, (na które jeszcze nieco widział) przysuwa do prawego oka, uważanego już za stracone, napisane przez siebie wyrazy: »Bourriette ma nieuleczalny paraliż oka i nigdy nie wyzdrowieje«. Bourriette zaś swem tak niedawno obumarłem jeszcze okiem widzi ten napis i odczytuje go głośno bez najmniejszego wahania.

W tem tak nagłem uzdrowieniu Dr. Dozous bez wahania uznał i ogłosił publicznie działanie wyższej jakiejś potęgi.

»Zbadałem, — mówi — oba oczy Bourriette'a, które, jak mi się wydało, nie różniły się niczem nawzajem od siebie pod względem kształtu i organizacyi rozlicznych swych cząstek. Obie źrenice działały regularnie i prawidłowo pod wpływem światła. Na prawem tylko oku istniała jeszcze blizna, która jako jedyny ślad wpływu gojącego czynnika, pozostał na tym organie« [1]).

»Od tej chwili — mówi nam jeszcze Dr. Dozous — zacząłem zwracać baczną uwagę na chorych, którzy codziennie całemi setkami podążali do groty Massabielskiej. Z wielką też starannością i wytrwałością badałem wszystkie uzdrowienia, otrzymane pod wpływem wody ze źródła.

---

[1]) Tekst niniejszej uwagi i następnych zaczerpnęliśmy z dzieła p. Lasserre p. t. *Histoire de Lourdes.*

Ochotnicy, obsługujący chorych podczas pielgrzymki narodowej.

Gdyby nie tak częste przykłady, to umysł mój, niezbyt skłonny do przyjmowania jakichkolwiek cudownych wyjaśnień, nie łatwoby uległ, choćby nawet wobec tak ważnego faktu, zasługującego ze wszech miar na uwagę«.

Nie nadeszła jednak jeszcze odpowiednia pora do badania wszystkich tych faktów na podstawie danych, jakich nam dostarcza rozum i nauką.

Tak upłynęło osiem miesięcy, w przeciągu których wzburzone umysły uspokoiły się nieco. Uzdrowienia, jakie miały miejsce w tym czasie, stawszy się przedmiotem wszystkich rozmów i sporów, zostały osądzone i ocenione przez świadków naocznych. Dopiero dnia 17. listopada komisya, wyznaczona przez X. Biskupa z Tarb, udała się do Lurd w celu przeprowadzenia ścisłego śledztwa, co do uzdrowień nadzwyczajnych, dokonanych za pomocą wody z Massabielskiej groty.

W owej też epoce wystąpił na widownię lekarz, otoczony już pewnym blaskiem sławy, wziętości i uznania, a mianowicie dr. Vergez, lekarz zakładowy wód w Barèges, a zarazem profesor wydziału lekarskiego w Montpellier.

Barèges chlubiło się wówczas znakomitą kliniką dla dyagnozy chorób chronicznych. Sława doktora Vergez rozeszła się już bardzo daleko, w tem zaś śledztwie, jako ogólnie ceniony i poważany obserwator, miał on złożyć nowe dowody niezwykłych swych przymiotów. W przeciągu też lat przeszło dwudziestu był ciągłym świadkiem i sędzią ważnych wypadków, o których mowa.

Zdumiony tak zupełnie nowymi dla siebie faktami, uczuł on, że umysł jego jakiemś zdumiewającem rozjaśnia się światłem, i przepysznym stylem odmalował pierwsze swe wrażenie. Ponieważ w ręce jego złożono wszystkie sprawozdania o najważniejszych uzdrowieniach, skreślone przez prywatnych lekarzy, on więc podzielił je na następujące trzy kategorye:

1) Fakta, dające się wytłumaczyć w jakikolwiek naukowy sposób;

2) Wypadki, przedstawiające tylko pewne prawdopodobieństwo cudu;

3) Uzdrowienia, które bez żadnej wątpliwości przechodzą zakres zwykłych praw natury i które cudownemi nazwać potrzeba.

Następnie z komisarzem wyruszył do miast i wiosek, aby na miejscu z ust naocznych świadków i samych chorych, uleczonych w nadzwyczajny sposób, badać wszystkie szczegóły ich chorób i uzdrowień.

W tem śledztwie, dokonywanem w domach prywatnych, zajmowano się tylko faktami, uznanymi już za nadprzyrodzone przez rozmaitych lekarzy. Z pośród mnóstwa nadzwyczajnych wypadków, jakie zaszły w ciągu 1858 roku i za cudowne były uważane, Komisya wy-

brała siedem, które się jej zdawały przechodzić zakres praw natury i lekarskiej wiedzy. Pierwszym z nich było uzdrowienie Ludwika Bourriette'a.

2. Drugim z powyższych wypadków jest cudowne uleczenie niejakiej Błażejki Soupenne z Lurd. Przebieg tego uzdrowienia jest zupełnie zrozumiałym nawet dla osób nie wtajemniczonych w dziedzinę medycyny.

Pięćdziesięcioletnia Błażejka Soupenne dotkniętą była już od lat trzech zapaleniem oczu, połączonem z wywróceniem powiek. Te ostatnie, pozbawione rzęs, pokryte były czerwonymi prążkami i mięsistemi narośłami, łzy zaś ciągle niemal spływały na policzki. Odznaczała się ona tą szczególną, odpychającą i wstrętną powierzchownością, jaką posiadają chorzy, których oczy ciągle są otwarte i otoczone jakby czerwonem kółkiem, utworzonem z poranionego i krwawiącego się ciała.

Chora ta nadaremnie szukała uzdrowienia u wód w Barèges, Cauterets i Gazots. Choroby takie wymagają długiej, systematycznej kuracyi i bywają często nadzwyczaj uporczywe. Tymczasem opłukanie wodą z groty, dokonane w kilka godzin jedno po drugiem, wystarczyło do zupełnego uzdrowienia. Oczy przestały się łzawić, powieki się wygoiły i wyprostowały, prążki zaś czerwone znikły bez śladu. Wkrótce też potem rzęsy odrosły po dawnemu.

Zeznanie owej kobiety zostało potwierdzonem uroczyście przez lekarza, który nadaremnie walczył z tak trudną do uleczenia chorobą, a następnie był świadkiem uzdrowienia. Zresztą wszyscy lekarze, wezwani do badania chorej, uznali, że uleczenie jej nadprzyrodzony posiadało charakter. Choroba jej była głęboko zakorzenioną, a zarazem aż nadto widoczną. Jakże więc można sobie wytłumaczyć fakt, że w jednem mgnieniu oka powieki odzyskały dawny wygląd, giętkość i ruchliwość? Choroba ta wymagała albo zupełnego wycięcia krwawiących się prążków, albo przynajmniej energicznego wypalenia ich i zabliźnienia. Tymczasem dwukrotne tylko opłukanie wodą wystarczyło do całkowitego usunięcia wszelkiego śladu choroby!

3. Trzeciem cudownem uleczeniem, przez Komisyę zbadanem, było uzdrowienie małego Justysia Bouhohorts, o czem powyżej już obszerniej mówiliśmy.

4. Dalszem, stwierdzonem uzdrowieniem, było uzdrowienie Katarzyny Latapie. Doświadczała ona od lat dwóch w całej prawej ręce wielkiego osłabienia, wynikającego ze zwichnięcia łopatki. Dwa ostatnie zaś palce jej ręki były ciągle zgięte i skurczone, tak, że ich wcale nie mogła wyprostować. Zanurzyła tylko rękę w cudownej wodzie z groty i natychmiast palce jej otwarły się bez żadnego wysiłku, a ręka odzyskała niezwłocznie utraconą elastyczność i siłę.

Nie chodziło tutaj o nagłe sparaliżowanie, ale o paraliż postępowy, wynikły ze zwichnięcia łopatki. Ręka więc oddawna nieruchoma i sztywna, w zwykłym porządku rzeczy dopiero bardzo powoli i stopniowo mogła nabrać siły i zdolności do ruchu.

5. Piątym z powyższych wypadków jest uzdrowienie Henryka Busquet'a z Nay. Jest to bezwątpienia jeden z faktów, najbardziej zasługujących na uwagę. Chłopak ten dostał po tyfusie mnóstwo gruczołów na szyi, które ciągle się odnawiając, wywołały nareszcie ogromną ranę, posiadającą wszelkie cechy skrofulicznego wrzodu. Rana ta ciągnęła się przez całą długość piersi. Od dwóch czy trzech lat wszelkie środki, używane w celu jej zagojenia, okazywały się daremnymi. D. 28 kwietnia 1858 r. chory ranę obmył i przykrył płatkiem płóciennym, umaczonym poprzednio w cudownej wodzie z Lurd. Następnie spokojnie zasnął. Po przebudzeniu rana okazała się zupełnie zagojoną! Szczyt płuc miał wprawdzie jeszcze na sobie ślady okropnej choroby, która w przeciągu lat dwóch dręczyła chorego, lecz blizna zagojonej rany nic nie pozostawiała do życzenia.

Matka, modląca się obok chorego dziecka.

Lekarze, którzy badali Busquet'a, mówią nam co następuje:

»Choroby tego rodzaju są nader trudne do wyleczenia, posiadają one bowiem charakter dyatoniczny, to jest zdradzają stałe usposobienie organizmu do pewnego cierpienia, a mianowicie do skrofułów. Szybkość więc i trwałość uzdrowienia świadczą, iż fakt ten usuwa się całkowicie z pod zwykłych praw nauki; zaliczamy go więc do wypadków, posiadających zupełną i widoczną nadprzyrodzoną cechę«.

* * *

Bourriette, ze swem okiem straconem od lat dwudziestu, tudzież rozszerzoną i skutkiem blizny nieruchomą źrenicą, Błażejka Soupenne, z oczyma otoczonemi półkolem, składającem się z krwawych prążków,

i Busquet ze swym ogromnym skrofulicznym wrzodem, który już od lat blizko trzech opierał się wszelkim środkom leczniczym, dostarczają nam materyału do nader ciekawych spostrzeżeń i wniosków.

Wobec niezaprzeczonych uszkodzeń organicznych, które każdy na pierwszy rzut oka może spostrzedz i ocenić, wnioskowanie logiczne żadnych nie przedstawia trudności. Wiemy, jakim prawom podlegają tak głębokie rany i cierpienia fizyczne, tak zakorzenione pod względem swego rozwoju. Na gruncie tym uzdrowienia, dokonywane przez wyobraźnię, posiadają pewną granicę, i granica ta nie sięga nawet zbyt daleko, stanowi ją bowiem po prostu samo prawo powolnego tworzenia się tkanek organicznych.

Siła samych tylko nerwów nie może w przeciągu jednej chwili odtworzyć na nowo zniszczonych już tkanek, potrzeba im bowiem nowych materyałów, jedynie przez krew dostarczanych. W pewnych okolicznościach zwykłe siły żywotne są zupełnie niezdolne do takiego zagojenia ran. Członek odcięty nie może odrosnąć, wyjęte zaś oko również nie może wrócić na dawne miejsce i działać po dawnemu. W takich warunkach uzdrowienie bywa zawsze cudownem.

Dla tkanek wszakże, które mogą znowu się wytworzyć, jak naprzykład skóra, mięśnie lub kości, to nagłe ich odnowienie i odrośnięcie stoi również poza obrębem znanych nam praw natury i sił organizmu. Tkanki się odnawiają w takiż sam sposób, w jaki się utworzyły, to jest za pomocą nowych komórek, na dawnem miejscu powstałych. Do tego zaś działania organicznego potrzeba, ażeby krążenie krwi dostarczyło niezbędnych materyałów; wszystko to więc nie może być natychmiastowem. Oto dlaczego szeroka, zadawniona rana, której krawędzie wcale nie stykają się ze sobą, nie może siłami samej tylko natury zostać wyleczoną w przeciągu kilku godzin, a tem mniej w jednej chwili. Gdyby ktoś chciał przypisywać ten wynik moralnemu wzruszeniu, (jak to czynią niektórzy lekarze, mówiąc o uzdrowieniach w Lurd) — lub gdyby ktoś mniemał, że wyobraźnia posiada siłę, zdolną odmienić nawet prawo powolnego tworzenia się tkanek, byłoby to stanowczo przeciwnem wszelkim niezaprzeczonym podstawom lekarskiej wiedzy.

Dr. Diday, pragnąc zwalczyć i obalić nadprzyrodzony charakter uzdrowień w Lurd, zrozumiał wybornie niebezpieczeństwo, jakie mu z tej strony groziło; aby go więc uniknąć, uciekł się do nader subtelnych argumentów, świadczących wymownie o jego zakłopotaniu. »Są to, — mówi on — choroby nerwowe, na które zetknięcie się z wodą z Lurd największy wpływ wywiera«. Jednocześnie jednak wystrzega się starannie najmniejszej nawet wzmianki o chorobach organicznych.

Stosownie do tego założenia rozszerza Dr. Diday dobrowolnie zakres chorób nerwowych, obejmując tą nazwą wszystkie wypadki, które z tym rodzajem cierpień jakikolwiek zdają się mieć związek. »Rozumiem przez to — dodaje on — wszelkie wypadki, będące tylko po prostu objawem rozstroju nerwowego, jak również i takie, których źródło leży w systemie nerwowym«. Tak więc wystrzał z rewolweru w głowę w zamiarze samobójczym, wrzód lub tuberkuły, niszczące pewną część mózgu, głuchota lub ślepota od urodzenia, wszystko to są według niego choroby, mające źródło w systemie nerwowym! Zaiste zanadto elastyczna to i zupełnie nieuzasadniona formuła!

»Bourriette — mówi on nam niedbale — miał paraliż oka, chorobę nerwową«; zapomina zaś, że ten nieszczęśliwy podczas wybuchu miny omal nie postradał życia, że miał bardzo silne zapalenie błony mózgowej, że oko jego głęboko zostało zranionem i że w przeciągu lat dwudziestu był niewidomym. Wszystko to zasługiwało przynajmniej na wzmiankę. Tymczasem dwa te wyrazy »choroby nerwowe«, stanowią u niego jakby wyrok bez apelacyi!

Lecz z kolei napotykamy dalej rany rozmaitego rodzaju, wrzody itp. Jakże dr. Diday pogodzi natychmiastowe ich uzdrowienie z wymienionemi przez nas powyżej prawami odnawiania tkanek? Oto będzie szukał, że się tak wyrazimy, okoliczności łagodzących, lub zacznie ganić Pana Boga za sposób, w jaki te cuda zostały dokonane. Pomimo bowiem całej bystrości umysłu zaczyna widocznie wikłać się w swych rozumowaniach. »Jeżeli u osób, dotkniętych chorobami nerwowemi — mówi — uzdrowienie było natychmiastowem, to natomiast tam, gdzie organiczna istniała choroba, skutek nie tak rychło następował. (?) Dla niejakiej Careaux potrzeba było do jej uleczenia tylko jednej czy dwóch szklanek wody, — dla Busquet'a zaś całej nocy«!

Na uleczenie więc ogromnego wrzodu, od kilku lat istniejącego, jednej tylko nocy było potrzeba! Noc, godzina, lub minuta nie znaczą już nic zgoła w rozstrzygnięciu tej kwestyi, gdyż na wypełnienie ogromnej luki, powstałej skutkiem tak wielkiej straty substancyi, potrzebaby nie jednej nocy, lecz całych tygodni! Na uleczenie zaś poranionych powiek biednej Soupenne, i to uleczenie bez żadnej operacyi i bez żadnych środków leczniczych, wystarczyły dwie doby! Jest to również przeciąg czasu niedostateczny ani dla lekarza, ani też dla natury, pozostawionej własnym siłom.

»Co się tyczy Bouhohorts'a, owego dwuletniego dziecka, które w trwającej około kwadransa kąpieli z zimnej wody, odzyskuje życie, zdrowie i siły, to powyższe uzdrowienie, — mówi Diday — daje się wytłumaczyć w sposób zupełnie naturalny, za pomocą czynnika, używanego

codziennie przez zwykłą medycynę«. Wątpię jednak, ażeby w podobnych warunkach jakiś rozumny lekarz środka takiego używał! System nerwowy tak małego dziecka wydaje mi się zbyt delikatnym, ażeby mógł znieść bezkarnie taką zimną kąpiel i tak silne wstrząśnienie całego organizmu! — Dr. Diday jednak znajduje się w niemałym kłopocie z powodu blizn lub innych śladów, jakie te uzdrowienia pozostawiają po sobie. »Jeżeli działała tu ręka Boża, to jednak pomimo tego pozostał ślad czysto ludzki«, mówi on nam właściwym sobie stylem, którego tajemnicę sam tylko posiada. Następnie zaś dodaje: »Gdyby materyalne ślady dawnego cierpienia znikły u Bourriette'a zupełnie, gdyby u skrofulicznego dziecka wrzód się zamknął, nie pozostawiając żadnej po sobie blizny, wówczas wszelkie badania i śledztwo stałoby się zbytecznem; nie chcąc bowiem przeczyć istnieniu wrzodu, nie można byłoby również zaprzeczyć temu, że się stał cud«. W przeciwnym więc zaś razie Dr. Diday zaprzeczyłby istnieniu wrzodu!... Może i dlatego właśnie pozwolił Pan Bóg, aby pozostał ślad działania wszechmocnej Jego ręki!

Zresztą któż z nas śmiertelnych ludzi może być na tyle zuchwałym, aby przepisywać P. Bogu sposób, w jaki ma potęgę Swą okazywać!... Różne mógł P. Bóg mieć powody, dla których zostawia zwykle bliznę, jakby pamiątkę po zgojonej ranie...

Następnie dr. Diday żądał podobnie, jak ks. proboszcz z Lurd, aby wśród zimy zakwitł krzak głogu. Gdyby zaś ten krzak zakwitł był rzeczywiście, to i ten cud z pewnością nie przekonałby dra Diday, gdyż nawet i taki fakt nie posiadałby wówczas dla niego żadnego znaczenia.

Bądź co bądź wnioski p. Diday nie zgadzają się bynajmniej z jego założeniami. Warto jednak zanotować i podnieść końcowe jego wyznanie, które, jako pochodzące z ust człowieka, zupełnie w cuda niewierzącego, zasługuje na uwagę szczególniejszą. »Wyznaję — mówi on — i powtarzam bez wahania, że uzdrowienia, przytoczone przez pana Lasserre, są zdumiewające, nadzwyczajne i przewyższają niesłychanie wszelkie wyniki, jakie my lekarze zwykle spostrzegamy i otrzymujemy. Oświadczam też szczerze, iż fakta tego rodzaju mogą wprawić w zdumienie najwykształceńszych nawet widzów, i rozumiem wybornie zdziwienie świadków, oraz wdzięczność szczęśliwych uprzywilejowanych«.

Oto wyznanie, wychodzące z pod pióra człowieka, który zwalczał najzawzięciej uzdrowienia w Lurd. Lekarz, zwyciężony przez rzeczywistość, mimowolnie składa hołd prawdzie i tenże sam lekarz, posługuje się subtelnymi odcieniami, aby uniknąć logiki faktów. Sprzeczność tę wykazał dobitnie pan Artus w swojej polemice z tym znakomitym skądinąd lekarzem.

»Dobrze więc, mój panie, — mówi on — o ile uznaję kompetencyę lekarza, gdy chodzi o stwierdzenie materyalnej rzeczywistości jakiegoś faktu, o tyle odmawiam jej tak zwanym ludziom wolnomyślnym. Nie należy stąd wnioskować, że ich nie uważam za najbardziej inteligentnych. Przeciwnie, są oni niezwykle zręczni, czasem nawet zanadto. Znam jednak wypadki, w których filozof nakazywał milczenie uczonemu, a wolnomyślny doktryner lekarzowi, fakta bowiem tego rodzaju zdarzają się nader często wśród waszych kolegów«.

Przeciwnicy nadprzyrodzonego charakteru uzdrowień poruszyli wszelkie możliwe sprężyny, aby usiłować w zupełnie naturalny sposób je wytłumaczyć. Wiemy, jak z góry powzięte uprzedzenia, czynią nas niekiedy przezornymi i wytrwałymi w zaprzeczaniu nawet najpewniejszych faktów, sprzeciwiających się naszym teoryom.

Jak z jednej strony utrzymywano, że zjawiska cudowne przy grocie w Lurd były tylko zwykłą grą światła, tak z drugiej strony chciano, ażeby woda z tamtejszego źródła stała się zwykłą wodą mineralną.

Pewien miejscowy aptekarz, pan Latour de Trie, przyjaciel prefekta i chemik słynny w całej okolicy, poddał tę wodę pod rozbiór chemiczny i wyciągnął następnie powyższy wniosek!

Atoli pan Filhol, najbardziej doświadczony chemik ówczesny w poddawaniu wód mineralnych analizie, wykazał, że woda ze źródła, pod względem składu chemicznego, nie różniła się niczem zgoła od wody w rzece Gave.

Gdyby się jednak nad tą kwestyą poważniej zastanowiono, to nawet rozbiór chemiczny byłby zupełnie zbytecznym, gdyż woda ta nie działała bynajmniej w ten sposób jak działają zwykłe mineralne wody. Żadna bowiem woda mineralna nie leczy natychmiastowo i jednakowo najrozmaitszych chorób.

Wody np. w Krynicy nie służą do usunięcia tych samych chorób, przeciw którym służą wody w Vichy lub Karlsbadzie, lecz każda z nich odrębne posiada własności. Tymczasem woda z groty leczyła bez różnicy najróżnorodniejsze cierpienia. Skutek jej bywał często bezpośrednim, niezwłocznym, natychmiastowym. Leczono się pijąc ją, lub obmywając się nią, nawet w znacznej odległości od miejsca cudownego, oraz w najrozmaitszy sposób i odmawiając przy tem jakiekolwiek modlitwy; woda więc była jakby środkiem leczniczym, ale nie jedynym. Jedno i toż samo wyjaśnienie nie mogłoby wystarczyć do wytłumaczenia wszystkich tych wyników. W ostatnich bowiem czasach nowe sposoby zastosowania hypnotyzmu, tudzież głębsza, niż przedtem, znajomość chorób nerwowych, otwarły przed nami nowe, niezbadane dotąd drogi. Zdawało się niektórym, że na tym gruncie znajdzie się najlepszy środek do wyjaśnienia

dokonanych w Lurd uzdrowień. Charcot i Bernheim próbowali wytłumaczyć całą tę rzecz w sposób mniej lub więcej jasny i dokładny, za przykładem zaś ich wielu lekarzy przyjęło powyższą tezę, jako rzecz już osądzoną, uznaną i dowiedzioną. Rzeczywiste jednak dowodzenia ich nie są prawdziwym, rozumowo i naukowo uzasadnionym dowodem, jak to zobaczymy w dalszym ciągu niniejszego dzieła.

W wypadkach, jakie nastąpiły po roku 1858, napotykamy niektóre okoliczności, zasługujące ze wszech miar na uwagę. W kilka lat po objawieniach w Lurd rozpoczęły się studya nad hypnotyzmem i sug-

Kościoły dolny i górny w Lurd.

gestyą. — Z początku niektórym się zdawało, że odkrycia hypnotyczne i suggestyjne zbliżały się prawie »do cudów« i że przyrodzone siły dosięgły nieznanych nam dotąd granic i że w tem chyba trzeba szukać tajemnicy uzdrowień w Lurd!... Tymczasem w rzeczywistości wszystkie te odkrycia wykazały w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości, jak dalece uzdrowienia w Lurd różnią się od tych uzdrowień, otrzymywanych w naszych szpitalach, za pomocą hypnotyzmu i suggestyi, i że żadną miarą za pomocą tego nie można otrzymać podobnych rezultatów, jakie bywały w Lurd!

Od lat kilkudziesięciu odbywają się ciągle równocześnie studya z jednej strony nad uzdrowieniami w Lurd, a z drugiej strony nad wypadkami otrzymanymi za pomocą hypnotyzmu i suggestyi, i od lat kilkudziesięciu uzdrowienia w Lurd odznaczają się coraz wyraźniej całkiem odrębnym swoim charakterem.

Z początku po prostu im zaprzeczano lub dobrowolnie zamykano na nie oczy i nie chciano ich nawet widzieć — teraz zaś zwolennicy tych cudownych zjawisk z dniem każdym niemal się mnożą.

Zwolennicy zaś hypnotyzmu ulegli zniechęceniu, do czego sam Charcot przyznał się nawet otwarcie w ostatnich dniach swego życia. »Dość już hypnotyzmu — mówił on na kilka dni przed śmiercią — doprowadził on bowiem umysły do szału, a żądze do rozkiełznania».

Nikt nie śmie przeczyć, że zastosowywanie hypnotyzmu pociąga za sobą wiele niebezpieczeństw i nadużyć. Co do jego korzyści, to wydają się one coraz bardziej wątpliwemi. Możemy w tej mierze przytoczyć nawet zdanie pewnego lekarza, który w powyższej kwestyi odznacza się wielką kompetencyą i należy do najwybitniejszych uczniów Charcot'a.

»Hypnotyzm, — mówił mi on do dra Boissarie — został zbadanym bez żadnych prawideł i metody, przez ludzi za mało przygotowanych do tego rodzaju studyów, to jest przez prawników, uczonych, nie znających jednak wcale medycyny i przez empiryków. Stąd też wynikły badania bardzo fantastyczne i rozmaite nąder sprzeczne dane.

»W szpitalach naszych nie widzimy wszystkich tych »cudów«, o jakich nam opowiadają, jako o zjawiskach, będących niemal na porządku dziennym. Do dziejów hypnotyzmu wiele zakradło się baśni.

»Co się tyczy uzdrowień nagłych i owych niezliczonych niespodzianek, jakie nam sprawia historya tych widocznych zmian, obalających wszelkie prawa, i innych tym podobnych objawów, to i tu również musimy spuścić z tonu. Histeryczki nasze leczą się źle i niedokładnie, pomimo bowiem suggestyi i wielu innych najnowszych środków, jak dawniej, tak i teraz pozostają długo w szpitalach, zachowując zawsze przynajmniej pewien zaród chronicznej swej choroby.

»Uzdrowienia cudowne« i nadzwyczajne zmiany są często prostem złudzeniem lub nadzieją, lecz bardzo rzadko rzeczywistością«.

A jednak pomimo tego wszystkiego chciano na takich podstawach zbudować nową teoryę, mającą posłużyć za klucz do tajemniczych uzdrowień w Lurd!

Już podczas pierwszego śledztwa, dokonanego pod kierunkiem Dra Vergez, słyszymy o uzdrowieniu pani Rizan z Nay i panny Moreau. Są to przykłady nader ważne i zasługujące na zachowanie ich w pamięci.

W takiej formie uzdrowienia w Lurd bardzo często się zdarzają i należą do faktów stosunkowo najpospolitszych, chociaż ich badanie przedstawia nieraz rozmaite trudności z powodu niezwykłej ostrożności, z jaką do nich zabierać się należy. Te również uzdrowienia są po większej części przedmiotem rozmaitych zarzutów ze strony naszych przeciwników.

Opowiemy tu w streszczeniu charakterystyczną historyę uzdrowienia wdowy Rizan, podług opisu pana Henryka Lasserre [1]), który cały przebieg najdokładniej sam badał i spisał.

»Od przeszło dwudziestu czterech lat życie biednej tej kobiety było tylko jednem pasmem cierpień. Zachorowawszy w r. 1832 na cholerę, została następnie sparaliżowaną w całej lewej połowie ciała. Jedna jej ręka straciła zupełnie wszelką władzę i czucie, cały zaś organizm ucierpiał również niemało z powodu tej choroby, gdyż nieszczęśliwej dokuczały niemal ciągle gwałtowne wybuchy krwi, a żołądek nie znosił żadnego pożywienia. W takim stanie żyła lat dwadzieścia kilka! Od ośmnastu ostatnich miesięcy stan jej się pogorszył, nietylko bowiem nie mogła już wstawać z łóżka, ale nawet wykonać najmniejszego ruchu. Musiano ją więc przewracać od czasu do czasu, aby zmieniła pozycyę. Była to już tylko bezwładna kłoda, członki zaś jej w najokropniejszy sposób powykrzywiały się i powyginały.

»Z powodu ciągłego przymusowego leżenia i złego obiegu krwi na ciele nieszczęsnej chorej utworzyły się dwie rany: jedna na piersiach, druga w pachwinie. Na boku w kilku miejscach zdarła się skóra, z powodu ciągłego tarcia łóżka tak, że pod nią widać było nagie, krwawiące się ciało. Chora prawie zupełnie przestała już mówić, na wychudłej zaś jej twarzy trupia rozlała się bladość. Dnia 16 października Dr. Subervielle, wychodząc z domu pani Rizan, rzekł do jej rodziny: »Umrze tej nocy lub najdalej jutro rano o świcie«.

»Około północy, wśród głębokiej ciszy, przerywanej tylko utrudnionym oddechem chorej, ta ostatnia zawołała swą córkę i rzekła do niej:

— Idź do naszej sąsiadki, pani Nassans, i poproś ją o szklankę wody z Lurd. Ta woda musi mię uzdrowić, bo Najświętsza Panna chce tego.

— Moja Matko, odparła córka, już jest bardzo późno; pójdę więc jutro rano, o ile możności jak najwcześniej. — Chora zamilkła i noc przeszła spokojnie, chociaż obu tym nieszczęśliwym okropnie wydała się długą. Rano dziewczę pobiegło do sąsiadki i przyniosło stamtąd natychmiast butelkę wody z Lurd. Pani Rizan przyłożyła do ust szklankę i przełknęła kilka łyków.

---

[1]) *Notre Dame de Lourdes, par Henri Lasserre, livre IX.*

— O moja córko! — zawołała — ja piję życie! Ta woda, to samo życie! Natrzyj mi nią twarz... rękę... całe ciało!

»W miarę, jak dziecię wilgotnym, w cudownej wodzie umaczanym ręcznikiem nacierało sparaliżowane członki chorej, puchlina stopniowo ustępowała i znikała, skóra zaś, przedtem naprężona i lśniąca, do zwykłego, zdrowego powracała stanu.

»Pod palcami dziewczęcia wracało zdrowie i odradzało się życie zupełnie i bez żadnego przejścia. Wszystko to dokonało się jakby w jednej chwili, w przeciągu kilku minut, obumarłe już prawie ciało pani Rizan odzyskało w całej pełni swe siły. »Jestem uzdrowioną!« — zawołała uszczęśliwiona kobieta, poczem zwracając się do córki, dodała: »Jeść mi się chce, daj mi mięsa i chleba, których już od dwudziestu czterech lat nie jadłam«. W domu znalazło się wtedy tylko jakieś zimne mięsiwo i trochę wina, co też pani Rizan z apetytem jadła i piła. — »Teraz zaś, rzekła, chcę wstać«, i to mówiąc zażądała sukień. Odzież jej już oddawna schowaną była w szafie, gdyż myślano, że chora nigdy nie będzie mogła jej użyć. Dziewczę więc wyszło po nią, ale za powrotem zatrzymało się zdumione na progu, widząc matkę, która, wyskoczywszy z łóżka, klęczała przed statuą Najświętszej Panny.

»Było to już około siódmej godziny rano. Kilka przyjaciółek i sąsiadek weszło do domu, aby pocieszyć i uspokoić biedne dziewczę, widząc zaś na jej twarzy łzy i wyraz niezwykłego wzruszenia, zapytały: „A więc umarła dobra twoja matka? Zobaczysz ją w niebie, nieszczęśliwe dziecię!« — »Moja matka zmartwychwstała!« — odparło dziewczę głosem drżącym z niewysłowionego wzruszenia. Pani Rizan zaś, która już się ubrała, zbliżyła się także, mówiąc: »Jestem uzdrowioną! podziękujmy teraz wszystkie Najświętszej Pannie«!

Streszczając powyższy fakt, widzimy naprzód, że niepodobna prawie określić jednem słowem wszystkich oznak choroby biednej pani Rizan.

Oto widzimy przed sobą pięćdziesięcioośmioletnią kobietę, której życiu zdawało się nieuniknione zagrażać niebezpieczeństwo, gdyż od lat dwudziestu pięciu stan jej zdrowia prawie z dniem każdym się pogarszał. O odżywianiu się normalnem nie było już nawet mowy, paraliż połączył się w jej organizmie z wodną puchliną i dokuczliwemi ranami. Nieszczęśliwa oddawna już przykutą była do łoża i tak okropnie skurczoną, że piersi jej opierały się o kolana.

Zaiste! Czyż wszystko to może ustąpić w jednej chwili, jak nieraz owe przelotne cierpienia, znikające z szybkością błyskawicy? Czyż ta kobieta, przykuta już lat dwadzieścia kilka do łoża boleści, mogła nagle wyskoczyć z łóżka i odzyskać, bez żadnego widocznego przejścia, zdrowie, które już na zawsze zdawało się być straconem? Żaden lekarz, ma-

jący choć trochę doświadczenia w swoim zawodzie, nie odpowiedziałby twierdząco na to pytanie.

Mamy tu rany zagojone, wynikłe z długiego leżenia w łóżku, wodną puchlinę, ustępującą w mgnieniu oka, i t. d. Pomijając już jednak te pomniejsze chorobliwe objawy, cała ta choroba przedstawia dla sumiennego badacza faktów, a zwłaszcza dla lekarza, napotykającego codziennie podobne cierpienia, jedną tylko zagadkę, nader trudną do rozwiązania! Oto mamy do czynienia z zupełnym paraliżem, którego ostateczny wynik musi być fatalnym, i który się opiera niezachwianie wszelkim środkom leczniczym. Do nagłego jego usunięcia potrzeba potęgi, przewyższającej znacznie nasze siły i właściwe nam środki działania!

Jakże, dla ludzi nieuprzedzonych i dobrej woli, przekonywającym zaiste dowodem są te uzdrowienia, które wiele osób lekkomyślnie krytykuje, nie starając się należycie ich poznać i ocenić. Sam tylko lekarz może im nadać właściwe znaczenie, a nawet dla uniknięcia błędów należy się starać o to, aby nie były one przedwcześnie przez gmin ocenianemi. Wówczas bowiem, niestety, przedstawiają się one nieraz w fałszywych kolorach i z odcieniami źle uwydatnionymi. Tracą przeto właściwy sobie charakter i znaczenie, stając się źródłem, na pozór uzasadnionem, wielu objawów nieufności lub sądów wydawanych dorywczo.

Wspomnieliśmy już, że z pomiędzy mnóstwa nadzwyczajnych wypadków, jakie się zdarzyły już w pierwszych latach po objawieniach w Lurd, lekarze wybrali siedem, które, jak sądzili, wychodziły poza zakres wszelkich znanych dotąd praw i zasad wiedzy lekarskiej, oraz w sposób naukowy wytłumaczyć się nie dawały. Między nimi było także i natychmiastowe uleczenie ran. Pierwszych zaś tych uzdrowień nie zdołały przeinaczyć ani wywody dra Diday, ani teorye o suggestyi.

Dr. Vergez, w obec faktów tak zupełnie nowych i niespodziewanych, uczuł, że jego oddawna powzięte przekonania i zasady wniwecz się obracają i nie znalazłszy dawnych punktów oparcia, wyznał nieudolność swej nauki i zachwianie się jej praw.

Pierwsze swe wrażenia z tego powodu naszkicował też w sposób nader wymowny, słowami, które poniżej przytaczamy, nigdy bowiem jeszcze nikt nie rzucił przed nim tak jaskrawego światła na te wielkie i trudne zagadnienia.

»Jeżeli zechcemy przypatrzeć się baczniej powyższym siedmiu wypadkom, — mówi on między innemi — to uderzy nas naprzód nadzwyczajna łatwość i szybkość, z jaką te uzdrowienia nastąpiły po wywołującej je przyczynie. Możnaby to niemal nazwać jawnem pogwałceniem i zupełnym przewrotem dotychczasowych metod leczniczych lub stanowczem sprzeciwia-

niem się wszelkim naukowym zasadom i przewidywaniom. Fakta te zdają się z pewną pogardą igrać swobodnie z zadawnieniem, zakorzenieniem i siłą choroby. To tajemne, a jednak rzeczywiste staranie, z jakiem wszystkie okoliczności bywają ułożone i skombinowane, świadczy, że w dokonywającem się uzdrowieniu działa jakiś czynnik, który się znajduje poza obrębem praw przyrody. Zjawiska tego rodzaju przewyższają skalę ludzkiego umysłu! Jakże on bowiem może zrozumieć podobne sprzeczności, jak naprzykład: taka prostota środków— a taki ogrom wyników; tożsamość lekarstwa — a rozmaitość chorób; taka krótkość zastosowania tu leczniczego czynnika, — a taka

Chorzy przed grotą.

długość zwykłych kuracyj, przedsiębranych przez wiedzę — i natychmiastowy skutek pierwszego, a długa bezowocność drugich; wreszcie chroniczny, długotrwały charakter choroby, a szybkość uzdrowienia!

»Działa więc w tem niezaprzeczenie jakaś siła wyższa od wszelkich znanych nam sił przyrody, a zarazem nie mająca bezpośrednio nic wspólnego z wodą, której używa tylko jako narzędzia do objawienia swej potęgi«.

Tak więc Dr. Vergez, zdumiony niespodziewanemi zjawiskami i jakby olśniony niezwykłem światłem duchowem, przewidywał już tę wielką prawdę, której aż do końca życia miał pozostać wiernym. Od

pierwszej też chwili zaznaczył on w sposób niewątpliwy rzeczywisty charakter tych wypadków i we dwadzieścia lat później mawiał jeszcze:

»Gdyby mię zapytano, co widziałem w Lurd, odpowiedziałbym bez wahania: Zbadawszy najbardziej autentyczne fakta, przewyższające znacznie zakres wiedzy i sztuki, widziałem dzieło Boże, cud, i przekonałem się niemal namacalnie o jego istnieniu!

»Widziałem naturalną wodę, obdarzoną mocą, wyższą od wszystkich sił, jakiemi rozporządza przyroda, i objawiającą w sposób bardzo bezwzględny swoją działalność. Woda ta, zawsze ta sama, niezmienna, wywoływała nadzwyczajne i nader różnorodne skutki, nie mające między sobą najmniejszego podobieństwa.

»Tak naprzykład wydarła ona z objęć śmierci malutkie, konające dziecię; przywróciła wzrok oku, na działanie światła, skutkiem głębokiego paralitycznego porażenia, zupełnie przedtem nieczułemu; leczyła chroniczne, ogromne i bardzo uporczywe rany i przywracała czucie oraz zdolność do ruchu zupełnie sparaliżowanym członkom. Wszystkie powyższe przykłady były pierwszymi objawami jej działalności, te zaś, które po nich nastąpiły, są również znamienne i zdumiewające.

»Kilka z nich dotyczy chorób, uznanych ogólnie za nieuleczalne, jak naprzykład suchoty w ostatnim już okresie, rak i gorączka nerwowa, posunięte do najwyższego stopnia.

»Żniwo było bogate, obfite i trwałe. Odbywa się zaś ono jeszcze i teraz pod sumienną kontrolą pewnego uczonego badacza, zamieszkałego w tym celu w pobliżu groty. Jest to jakby ciągły, ustawiczny cud, który jest na porządku dziennym«!

W powyższem oświadczeniu odzwierciedla się dusza, miłująca prawdę i prawdziwie chrześcijańska. Zresztą dr. Vergez korzystał z każdej sposobności, w której mógł wyznać jawnie swą wiarę.

Twierdzenia jego napotkały z początku pewien opór ze strony niewierzących lekarzy, usposobionych nieprzychylnie dla religii i wszystkiego, co z nią ma związek, ale i ci ostatni musieli niebawem uchylić czoła przed nieubłaganą logiką faktów.

ROZDZIAŁ III.

Ogólny rzut oka na dalsze uzdrowienia w Lurd w pierwszych latach.

TRZY GŁOWNE KATEGORYE: 1. NABRZMIAŁOŚCI I RANY: PANNA MONTAGNON, CHORA NA WODNĄ PUCHLINĘ. — PIOTR RUDDER, MAJĄCY ZŁAMANĄ NOGĘ, ULECZONY NAGLE PO OŚMIU LATACH CHOROBY. — MARYA MARCELLIN, MAJĄCA OLBRZYMIĄ NABRZMIAŁOŚĆ. — 2. CHOROBY ORGANICZNE: PANNA COUPEL, SUCHOTNICA. — PANNA LAVERRIE Z NANTES. — 3. ZABURZENIA W FUNKCYACH ORGANICZNYCH I CHOROBY NERWOWE: CHOUAT, PARALITYCZKA. — JAKÓB TOMBRIDGUE, CIERPIĄCY NA CHOROBĘ POTT'A. — MARYA SOUCHET, WRZÓD W ŻOŁĄDKU.

Na każdej prawie karcie *Roczników* z Lurd napotykamy fakta bardziej jeszcze zdumiewające, niż te, o których powyżej mówiliśmy, a które dr. Vergez tak podniósł w swem dziele.

1. Wpośród ran, nabrzmiałości i innych cierpień fizycznych najrozmaiszego rodzaju, spostrzegamy wyniki, nie dające się wcale w sposób naukowy wytłumaczyć. Nietylko przekraczają one nieskończenie siły przyrody, ale sprzeciwiają się także zasadniczo znanym dotychczas prawom. Nadprzyrodzony ich charakter żadnej nie ulega wątpliwości. Do wyjaśnienia ich nie potrzeba ani przygotowawczych studyów ani specyalnej wiedzy; nadto zaś przejmują one całe tłumy najwyższem zdumieniem i nadają historyi Lurd cudowną prawdziwie cechę.

Dr. Chétail z Saint-Etienne pielęgnował już od lat dwunastu pewną młodą osobę, cierpiącą na wodną puchlinę, pannę Montagnon. Dokonał już na niej kilkunastu pompowań i wydobył za każdym razem dwadzieścia litrów wody. Daremne były jednak wszelkie jego usiłowania, po każdem bowiem pompowaniu żołądek znowu się rozszerzał — woda na nowo się zbierała.

Wreszcie biedne dziewczę rozpoczyna nowennę, kładzie sobie zimny okład z wody z Lurd, zasypia prawie natychmiast — i budzi się uzdrowioną! Żołądek jej, tak niedawno jeszcze olbrzymi i naprężony, był zupełnie próżnym.

»Któż mi powie — woła dr. Chétail — gdzie się podziała tak znaczna ilość wody, nie pozostawiwszy po sobie najmniejszego śladu?! Dodajmy nadto, że żołądek i żebra wróciły na właściwe miejsce, okropne boleści natychmiast ustały, wszystko to zaś dokonało się po jednym okładzie wody z Lurd, w ciągu jednej nocy, podczas dobroczynnego, ożywczego snu«.

Zdaje mi się, że trudno chyba znaleźć fakt bardziej zdumiewający, niż uzdrowienie belgijskiego robotnika, Piotra Rudder'a w r. 1875, sprzeciwiający się całkowicie wszelkim naukowym pewnikom.

Piotr Rudder z Jabbeke w roku 1867 złamał nogę i od owego czasu pomimo wszystkich możliwych zabiegów wielu lekarzy, noga ta zamiast się zrosnąć, pozostała ruchomą we wszystkich kierunkach. W głębi ogromnej rany, z której ciągle sączyła się materya, widać było jeszcze dwa odłamy pruchniejącej kości, odległe od siebie o trzy centymetry. Nie mając już nadziei w pomocy ludzkiej, postanawia chory udać się do pomocy Matki Najśw. — i wlecze się z wielkiem trudem, oparty na ramieniu swej żony do cudownej kaplicy Najśw. Panny w Oostacker, (w Belgii), gdzie się znajduje podobizna groty w Lurd. — Tam po kilku minutach gorącej modlitwy, zbliżonej do stanu zachwycenia, Piotr nagle powstaje sam o swoich siłach i przyłącza się do pobożnej pielgrzymki...

Noga jego została nagle uleczoną, rozdzielone cząstki jej zrosły się, rany zaś znikły natychmiast. Malutka tylko blizna wskazywała miejsce, gdzie noga była złamaną. Ponieważ fakt ten na obszerniejszą i bardziej wyczerpującą zasługuje wzmiankę, wrócimy więc jeszcze do niego, niżej pomówimy o nim obszerniej, aby go w należytem świetle i ze wszelkimi niezbędnymi szczegółami przedstawić naszym czytelnikom.

Dr. Audibert, dyrektor kliniki szpitalnej w Marsylii, znajdował się w Lurd w r. 1886, w chwili przybycia panny Maryi Marcellin, która pragnęła zostać uzdrowioną z olbrzymiego wewnętrznego nowotworu (*tumor ovarii*). Opisuje on nam obszernie objętość i położenie tej narości. Po upływie chwil kilku wszystko znikło. Uzdrowienie to dokonało się w jego obecności, nie pozostawiając najmniejszego śladu choroby, przed chwilą przez niego zbadanej.

Zaiste umysł ludzki nie może prawie uwierzyć w rzeczywistość podobnych faktów! I dlatego też rozumiem, że ludzie, przyzwyczajeni w ciągu zwykłych swych studyów do szukania przyczyny faktów i związku pomiędzy nimi, nie mogą przyjąć od razu, bez stopniowego przejścia, takiego przewrotu wszelkich praw natury. Do obalenia zakorzenionych już głęboko przekonań niejednemu nie wystarczy sam tylko fakt bezbarwny i niedokładny opis jakiegoś uzdrowienia, przekazany częstokroć ustnie lub piśmiennie przez niezbyt kompetentnego człowieka, lecz trzeba mu, żeby to widział sam, zbadał dokładnie i użył wszelkich władz swego umysłu, aby zdać sobie sprawę ze zrobionych osobiście spostrzeżeń.

2. W drugiej grupie znajdujemy choroby wewnętrzne. Uzdrowienia w takich razach wymagają naukowego przygotowania i głębokiej znajomości przedmiotu, sami więc tylko lekarze mogą w tej mierze pewnych

udzielić wskazówek, czas zaś musi potwierdzić pierwsze otrzymane wyniki.

Niema już tutaj tak widocznych zmian, jakie widzimy w ranach, zamykających się w jednej chwili, i w nabrzmiałościach lub narościach, znikających nagle pod wpływem cudownej wody, albo u paralityków, którzy niespodzianie dźwigają się, prostują, odrzucają laski i pewnym idą krokiem.

Jednakże, gdy przybędzie naprzykład suchotnik, trawiony gorączką, ledwie trzymający się na nogach, nie mogący znieść żadnego pożywienia, z zapadłemi oczyma, wychudłą twarzą i charakterystyczną cerą, będący widocznie blizkim śmierci, wówczas wszyscy na pierwszy rzut oka poznają, z kim mają do czynienia. Gdy zaś ten nieszczęśliwy zanurzy się odważnie w zimnej jak lód wodzie, wtedy oczy wszystkich zwracają się na niego z mimowolnem uczuciem przerażenia. Lekarze z Lurd starają się zawsze odwieść podobnie chorych od tak nierozsądnego zamiaru, lecz skoro chory pomimo tego wejdzie do sadzawki i wyjdzie z niej jakby zupełnie odrodzonym, z nowym zasobem sił i energii, oddawna już straconej, gdy nowe życie zaczyna krążyć w jego organiźmie, czyż nie jest to jakby cudownem zmartwychwstaniem, zdolnem wprawić w najwyższe zdumienie wszystkich świadków tego cudu! Niech zaś czytelnicy nie sądzą, że odmalowany przez nas przed chwilą obrazek został zaczerpniętym tylko z wyobraźni. Przeciwnie, zeszkicowaliśmy go z natury. Posłuchajmy tylko Dra Régnault'a, profesora medycyny z Sennes, i Dra Jouon'a profesora z Nantes. Są to dwie lekarskie powagi, których świadectwo nie może nikomu wydać się podejrzanem.

»Panna Coupel, — mówi nam Dr Régnault — już od lat trzech przeszło przykutą była do łoża, miała bowiem tuberkuły w płucach i doszła do najwyższego stopnia osłabienia i wycieńczenia. Nazajutrz zaś po jej pielgrzymce do Lurd przekonano się, jak najdokładniej zbadawszy płuca, że cały stan chorobliwy znikł bez śladu!«

Panna Emilia Le Maignan de Laverrie miała nader ciężką pleurę (chorobę płuc), reumatyczne dolegliwości sparaliżowały jej nogi, serce również dotknięte było chorobą tak, że w opłakanym prawdziwie stanie nieszczęśliwa przybyła do Lurd i dwa razy zanurzyła się w sadzawce. Z lekarskiego punktu widzenia kąpiel zimna dla osoby, mającej pleurę, chorobę sercową i reumatyzm, jest prawdziwem szaleństwem. Tymczasem po dwukrotnem zanurzeniu się w wodzie nastąpiło niezwłoczne i zupełne uzdrowienie! »Uzdrowienie to, — mówi dr. Jouon — jest wielką łaską, jaką Najświętsza Panna wyjednywa niekiedy wiernym swoim sługom, i przyznać należy, że z tego właśnie względu młode to dziewczę zasłużyło sobie na tę tak wielką łaskę«.

»Widziałem w Lurd, podczas pielgrzymki narodowej — dodaje Dr. Boissarie — pana Le Maignan de Laverrie, ojca cudownie uzdrowionej. Opowiedziawszy mi w głównych zarysach wszystkie szczegóły tego nadzwyczajnego wypadku, uszczęśliwiony ojciec rzekł: »Córka moja jest już teraz zamężną i matką rodziny, zdrowie zaś jej od owego czasu nic nie pozostawia do życzenia i nie daje nam żadnego powodu do niepokoju«. Od owej chwili upłynęło lat dziesięć, czas zaś zdaje się ciągle potwierdzać i jakby uświęcać ten wypadek ze wszech miar zasługujący na uwagę«.

W powyższym wypadku nie możemy upatrywać chwilowego tylko polepszenia, przypadkowego zbiegu okoliczności lub ulgi, pochodzącej tylko ze wstrząśnienia nerwowego, a skutkiem tego nietrwałej i przelotnej, jest to bowiem całkowite i zupełne uzdrowienie, sprzeciwiające się wszystkim dotąd przyjętym przepisom i zasadom medycyny.

3. Trzecia wreszcie kategorya, chorób nerwowych bywa zwykle ofiarą wszystkich krytyk i zarzutów.

Wiele osób dotąd jeszcze głosi i powtarza, że jedynie choroby nerwowe bywały leczone w Lurd i że te właśnie cierpienia również łatwo i szybko dają się usunąć za pomocą środków, jakimi rozporządza wiedza lekarska. Jest w tym podwójny błąd.

Do rzędu chorób nerwowych zaliczają niektórzy najcięższe nawet i najdokładniej stwierdzone cierpienia organiczne i sądzą, że jeden ruch, słowo lub rozkaz wystarcza, aby zatrzeć wszelkie chorobliwe objawy tego rodzaju. — Czemuż więc należy przypisać i jak można sobie wytłumaczyć fakt, że nieszczęśliwe ofiary tej okropnej newrozy spędzają większą część życia w szpitalach?

Choroby nerwowe stanowią nader skomplikowaną grupę, złożoną z najrozmaitszych żywiołów, i częstokroć bywają najuporczywszemi, najtrudniejszemi do uleczenia. — Atoli ogół, który zwykle jednostronnie na wszystko się zapatruje i zbyt prędko wysnuwa wnioski, przyjmuje tę tezę w całości, jako rzecz już dowiedzioną i uświęconą przez naukę, nie zgadzając się na jej rozstrząsanie lub zgłębianie. Zobaczymy niebawem, że uzdrowienia z chorób nerwowych, jakie widzimy w Lurd, różnią się również od wszelkich znanych w tym względzie zasad.

Podług ogólnego mniemania paraliż pochodzi z zaburzenia w funkcyach organicznych i jako stan, z natury przejściowy, nie może służyć za dowód nieuleczalności jakiejś choroby. Zdaje się nam jednak, że do zwykłych w tej mierze zasad trudnoby było zastosować następujący wypadek:

Dr. Payon z Aix, członek-korrespondent akademii medycznej, opowiada nam, że panna Vachier, dotknięta paraliżem nóg, leżała w łóżku już od lat siedemnastu. Miała ona głębokie rany, częścią za-

bliźnione, częścią jeszcze jątrzące, lecz w chwili wyjścia z sadzawki członki jej odzyskały ruch i życie, rany się zagoiły i wszystkie organa zaczęły działać po dawnemu w sposób zupełnie normalny.

Dr. Thorens, protestant, lekarz biura dobroczynności i towarzysz jego, Dr. Mac Greven, również protestant, opowiadają nam, że pacyent ich, Jakób Tombridge cierpiał na paraliż w nogach, wówczas zaś, gdy go

Chorzy, uzdrowieni w czasie pielgrzymki z Arras w r. 1899.

do Lurd zaniesiono na noszach, miał prócz tego jeszcze chorobę Pott'a, wrzody i głębokie rany, ciągły zaś kaszel wskazywał, że i stan jego płuc także bardzo wiele pozostawiał do życzenia.

Zanurzono go w sadzawce, będącego już prawie bliskim śmierci. Po chwili podniósł się on o własnych siłach, a nawet sam się ubrał. Przybył do Lurd, leżąc cały czas w wagonie, — opuścił zaś to miasto pieszo, niosąc

sam sobie koc i torbę podróżną, idąc krokiem pewnym i śmiałym!

6. Czyż możemy tu opuścić jeszcze wzmiankę o rozmaitych chorobach żołądkowych, których nagłe uleczenie nosi niekiedy na sobie charakter jakby prawdziwego zmartwychwstania?

Panna Marya Souchet przybyła z Cochin w sierpniu 1885 roku. Była ona dotkniętą od lat sześciu chronicznem zapaleniem kiszek i bardzo często w wymiotach wydzielała zczerniałą krew. Od lat dwóch nie wstawała z łóżka, w ciągu zaś całej podróży z Paryża do Lurd była prawie umierającą.

Wyszedłszy z sadzawki, odzyskała ona apetyt i utracone siły, tak dalece, że przez dzień cały brała udział w rozmaitych procesyach, nie czując najmniejszego zmęczenia!

W chwili przybycia do Lurd chora ta niezwykle chuda skutkiem tak długiego cierpienia, w parę dni po uzdrowieniu wróciła prawie do zwykłej normalnej tuszy. Lekarze i wszystkie osoby, jakie jej towarzyszyły, stwierdzili jednogłośnie rzeczywistość tego faktu. Natura zaś nigdy tak nie postępuje i nie naprawia w ciągu kilku dni uszczerbku, wyrządzonego przez kilka lub kilkanaście lat choroby i cierpienia.

»Zakończyliśmy nasze studyum, — kończy Dr Boissarie — poświęcone pierwszym uzdrowieniom, jakie się dokonały wobec doktorów Dozous'a i Vergez'a; uzdrowienia te posłużyły za temat do wielu sporów i polemik, lecz zostały, że się tak wyrazimy, przez czas uświęconemi i należą już obecnie do historyi. Nie one więc już zwracają teraz na siebie uwagę najzaciętszych przeciwników. Nikt już nie kruszy kopii o te fakta, oraz ich szczegóły i odcienia. Większa część chorych i główniejszych świadków znikła już z widowni. Sądzimy o nich teraz za pomocą analogii, to jest porównywając je ze świeższemi, nowszemi spostrzeżeniami, lub zastosowując do nich pojęcia, teorye i doktryny, jakie nowe prądy z dniem każdym niemal dokoła nas tworzą.

»Fakta, które poniżej przytoczymy, zajmą bardziej naszych czytelników. Znajdziemy tam nazwiska wielu znanych lekarzy kolegów, którzy byli naszymi współuczniami, pozostali naszymi przyjaciółmi lub stali się naszymi nauczycielami.

»Znajdziemy też może dzieje chorych, których samiśmy pielęgnowali lub których cierpienia i przebieg takowych znaliśmy dokładnie w głównych przynajmniej zarysach. Pod kontrolą upoważnionych do tego ludzi, za jasnemi i dokładnemi wskazówkami, będziemy mogli zbadać i roztrząsnąć wszystkie te wypadki, oraz poddać je ścisłej krytyce naukowej. Mam też nadzieję, że będziemy w stanie wyświetlić kwestyę,

oddawna dobrowolnie zaciemnioną, i będącą przedmiotem wielu nieporozumień.

»Nie zamierzamy tu jednak powtarzać wszystkich spostrzeżeń, jakie napotykamy w »Rocznikach«. Możemy tu tylko streścić najważniejsze fakta, oraz przedstawić je naszym czytelnikom ze świadectwem lekarzy, którzy się nie wahali podpisać swe imię pod temi studyami i wyrazić otwarcie swe przekonanie w tej mierze.

»Możemy też tylko ocenić ogólnie główniejsze uzdrowienia, lecz praca ta, dokonana przez lekarza, tem większą dać może rękojmię. Prawdopodobnie skutkiem tego czytanie niniejszego dzieła stanie się może niejednemu mniej zajmującem, tok opowiadania bardziej suchym i bezbarwnym, lecz tem łatwiej można będzie poznać w tych uzdrowieniach punkt wyjścia oraz niezaprzeczoną cechę nadprzyrodzonej działalności.

»Oddawna już domagano się poważnego i ścisłego śledztwa w tej mierze; życzenie to nawet wyraził kilkakrotnie Ojciec św. Leon XIII. — Przeciwnicy nasi zarzucają nam niesłusznie, że rozstrzygnięcie tak ważnej kwestyi pozostawiamy zapałowi gminu.

»Dr. Vergez poświęcił całe życie studyowaniu doniosłych tych zagadnień. Dr. Saint-Maclou, prawdziwy Benedyktyn pod względem pracy i nauki, prowadził dalej dzieło swego poprzednika, czego i my obecnie się podejmujemy.

»Na arenie tej występowali już profesorowie i uczniowie wydziałów lekarskich, tudzież lekarze katoliccy ze wszystkich niemal krajów. My więc teraz wstępujemy tylko w ich ślady, wszystkie zaś nasze połączone usiłowania zdołają z pewnością uświęcić i utwierdzić przymierze pomiędzy nauką a religią.

»Wprzód jednak, nim zaczniemy rozbierać szczegółowo rozmaite uzdrowienia, musimy jeszcze napomknąć o świadectwach, przynoszonych nam przez chorych. Odznaczają się one niekiedy lakonicznością, doprowadzającą niemal do rozpaczy i pozwalającą odkryć tylko pewną część prawdy.

»Chorzy, którzy przybywają do Lurd, aby ozdrowieć, udają się zwykle do stałego swego lekarza z prośbą, by im wymienił w odpowiedniem świadectwie nazwę choroby i wszystkie jej objawy. Lekarz odmawia często spełnienia tej prośby, a jeżeli daje nawet żądane świadectwo, to stara się je zredagować w niejasnych i dwuznacznych słowach. Podobnie, jak w przepowiedniach starożytnych wyroczni, są tam dwa klucze, pozwalające dojść do dwóch zupełnie przeciwnych sobie wniosków. Czy więc chory wyzdrowieje lub nie, wynik ten mniej lub więcej został już z góry przewidzianym.

»Wprzód jednak, niż zganię mych współbraci, muszę wyznać, iż nieraz czyniłem tak samo, jak oni, dzieląc bowiem ich niepewność i niepokój, bardzo często odmawiałem świadectw. Sądzę więc, że podając szczegółowo opis faktu, jaki mnie samemu się zdarzył, dam naszym czytelnikom pewne pojęcie o stanowisku, zajętem w tej mierze przez lekarzy«.

ROZDZIAŁ IV.

Świadectwa lekarskie.

LEKARZE NIE CHCĄ WYPOWIEDZIEĆ SWEGO ZDANIA ANI O CHOROBACH, ANI O UZDROWIENIACH, ANI O TEM WSZYSTKIEM, CO SIĘ DZIAŁO W LURD. – KONSTANTY JAMES I CHARCOT. – ŚWIADECTWA SPRZECZNE I UDZIELANE PRZEZ GRZECZNOŚC. – ROZSĄDEK LEKARZY W LURD.

W ostatnich miesiącach 1871 roku — opowiada Dr. Boissarie — to jest wkrótce po wojnie francuskiej, przełożona pewnego zgromadzenia Świętego Wincentego a Paulo, przyszła do mnie, prosząc, abym stwierdził, wydaniem odpowiedniego świadectwa, uzdrowienie jednej z jej zakonnic. Podczas pielgrzymki zakonnica ta została uzdrowioną w sposób nagły i w warunkach prawdziwie nadzwyczajnych. Przyszła też do mnie wraz ze swą przełożoną, cała zaś jej fizyognomia nosiła na sobie cechę zupełnego i trwałego powrotu do zdrowia.

»Pomimo tego jednak zrobiona propozycya wydawała mi się tak dziwaczną, że nie zdołałem nawet ukryć zdziwienia i przykrości, jaką mi sprawiła. Nie mogłem pogodzić się z myślą podpisania mego nazwiska pod dokumentem tego rodzaju. Naprzód nie dotyczyło mię to wcale i nie wchodziło w zakres mego zawodu. Niech sobie duchowieństwo wydaje taki lub owaki wyrok, bo to do niego należy, ale gdybym ja miał się wtrącać do takich kwestyj, popełniłbym prawdziwe szaleństwo!

»Bądź co bądź jednak znałem dobrze tę młodą Siostrę i nie mogłem wątpić o jej szczerości; pielęgnowałem ją sam w przeciągu wielu miesięcy i wszystkie moje usiłowania, wszystkie użyte przezemnie środki okazały się daremnymi. Miała ona nader ciężką chorobę żołądkową, oddawała wszystkie pokarmy i napoje, nie wyłączając nawet wody, skutkiem tego zaś doszła do najwyższego stopnia osłabienia i wycieńczenia, — teraz zaś stanęła przedemną zupełnie zdrowa, pełna sił i życia... W jaki sposób zmiana tak nagła, a zarazem tak zupełna mogła się dokonać?...

»Nie byłem tego ciekawy i nie chciałem wcale o tem wiedzieć. Od chwili, w której cały ten proces wychodził poza obręb naszej lekarskiej metody, stawał się dla mnie rzeczą zupełnie obojętną. Cóżby zresztą powiedzieli nasi przyjaciele i koledzy, wyczytawszy moje nazwisko pod świadectwem tego rodzaju?... Zdawało mi się, że widzę już szyderczy ich uśmiech. Nie mogłem się odważyć stanąć na drodze, która zdawała się zaznaczać pewne zacofanie pod względem naukowym. Szkolne moje wspomnienia, tradycye, cała przeszłość, słowem wszystko zostałoby wtedy skompromitowanem, ja zaś sam byłbym w ich opinii zgubionym człowiekiem!

Wynoszenie chorego z wagonu.

»Nie mogę stanowczo dać żądanego świadectwa, rzekłem do przełożonej. Naprzód nie stanowiłoby ono żadnej rękojmi, gdyż nie byłem świadkiem tego uzdrowienia i nie znam jego szczegółów. Zresztą cóżbym mógł dodać do tego, o czem dobrze już wiecie? Sami możecie udzielić w tej mierze wszelkich potrzebnych wskazówek; słowa wasze zupełnie wystarczą, ja zaś nie mogę zapuszczać się na grunt, którego za własny, nie uważam, ani też wyrażać mego przekonania o rzeczy, nie wchodzącej bynajmniej w zakres mojej kompetencyi.

»Przełożona próbowała jeszcze na mnie nalegać, ale napróżno gdyż postanowienie moje było niezachwianem. Po wyjściu Sióstr uczułem, że

mi z serca spadł ogromny ciężar. Zdawało mi się, że zdołałem uniknąć niechybnej prawie zguby w opinii ludzkiej. Podpisanie mego nazwiska na świadectwie, stwierdzającem rzeczywisty cud, i umieszczenie tego świadectwa w katolickich tygodnikach i dziennikach byłoby, jak mi się wówczas wydawało, stanowczem skompromitowaniem mego stanowiska i sławy, to jest pogrzebaniem dobrowolnem tego właśnie, co miałem najdroższego na ziemi. Księgę, w której zapisywałem poprzednio spostrzeżenia co do stanu zdrowia mojej pacyentki, zamknąłem chętnie, aby odtąd więcej nie otworzyć kartek.

»Jednakże kwestya ta sama przez się była bardzo ciekawą. W przeciągu sześciu miesięcy pielęgnowałem ową zakonnicę. Miała one ciągłe wymioty i najrozmaitsze zaburzenia w krążeniu krwi, oraz w całym organiźmie, wycieńczoną była tak dalece, że nie mogła nawet utrzymać się na nogach, w przeciągu zaś jednej chwili, bez żadnego przejścia odzyskała zdrowie i siły, chociaż dotąd wszelkie środki lecznicze, użyte przezemnie w tym celu, bezowocnymi się okazywały! Podobne wypadki mogą wprawdzie niekiedy mieć źródło w systemie nerwowym, lecz trzeba było jeszcze o tem się przekonać. Ja zaś nie chciałem wiedzieć o niczem, a zwłaszcza nie chciałem się kompromitować, wtrącaniem się do tej sprawy.

»A jednak nie byłem niedowiarkiem, wcale nie! Odznaczałem się tylko wówczas takiem usposobieniem umysłu, z jakiem wszyscy opuszczamy ławy szkolne po kilku latach, spędzonych wspólnie w salach wykładowych, związani ze sobą krępującą nas solidarnością i przyzwyczajeni uważać otrzymaną naukę za dogmat.

»Czas wykazał, iż uzdrowienie, którego potwierdzić nie chciałem, istotnie było nadnaturalnem. Siostra jest obecnie w Hiszpanii przełożoną jednego z domów swego zakonu. Zdrowie, w jednem mgnieniu oka odzyskane, nic od owego czasu nie pozostawia do życzenia.

»Powiedziałem przed chwilą, że odmówiłem świadectwa. Inni posunęli się jeszcze dalej, ja bowiem tylko nie chciałem stwierdzić uzdrowienia, dzisiaj zaś niektórzy nie chcą nawet stwierdzić choroby. Uzdrowienie to wychodziło poza obręb naszych praw i zasad, miałem więc przynajmniej jakikolwiek pretekst do odmowy. Choroba jednak, właśnie jedynie i wyłącznie, wchodzi w zakres naszego zawodu, nie możemy więc usuwać się od zbadania jej i stwierdzenia.

»Pomimo tego jednak wielu chorych, udających się do Lurd, musi zwalczać rozmaite trudności, aby otrzymać świadectwo od swego lekarza. Nieszczęśliwi wychodzący ze szpitali, nie mogą nawet zdobyć urzędowego dokumentu, uciekają się więc do najbardziej skomplikowanych kombinacyi i podstępów. Opuszczają więc rozmaite zakłady na kilka dni przed

wyruszeniem pielgrzymki, zwracają się do wszystkich lekarzy, którzy ich leczyli od samego początku choroby, i używają najrozmaitszych pretekstów, mówiąc, że potrzebują takiego świadectwa dla otrzymania jakiegoś materyalnego wsparcia, zapewnienia sobie jakiegokolwiek stanowiska, umieszczenia swych dzieci, lub dla innych interesów rodzinnych. Wreszcie po niezliczonych usiłowaniach zdołają niekiedy uzyskać kilka zdań lub nawet kilka zaledwie wyrazów, skreślonych pośpiesznie i bez żadnego przekonania przez lekarzy, którzy czasami nie pamiętają nawet wcale przebiegu choroby i użytych przeciwko niej środków.

»Świadectwa te bywają nieraz prawdziwemi arcydziełami w swoim rodzaju. Nie mówią one nic zgoła i nie mogą w żaden sposób skompromitować swoich autorów.

»Przypominam sobie świadectwo albo raczej notatkę, przyniesioną mi przez Celestynę Mériel. »Oświadczam niniejszem, — pisał jej lekarz — że ta chora nie mówi, nie słyszy i może zmienić miejsce pobytu bez żadnego niebezpieczeństwa dla swego życia«. Otóż ta nieszczęśliwa leżała przez lat pięć czy sześć w sali dla nieuleczalnych chorych, w Salpêtrière, bez głosu, ruchu, a nawet i słuchu, który straciła skutkiem długiego ropienia się uszu i przedziurawienia obu bębenków. Wszystko to więc zostało zawartem w trzech słowach, co się zaś tyczy przyczyny i rodzaju jej choroby, te niech odgadnie, kto potrafi.

»Świadectwo to wszakże miało jeszcze pewną zasługę, mówiło bowiem przynajmniej coś i nie dawało żadnych fałszywych wskazówek. Iluż to jednak nieszczęśliwych chorych, zwłaszcza podczas pielgrzymki narodowej nadaremnie, błagało lekarzy, aby im dali przynajmniej poznać nazwę ich choroby!

»Dr. Konstanty James mówił nam, że Charcot nigdy w swoich wykładach nie wymienił nawet nazwy Lurd. Uczony ten jednak pisał osobiście do jednego z naszych kolegów co następuje: »Szpital Salpêtrière wysyła corocznie pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu chorych do Lurd, ja zaś badam ich wszystkich przed wyjazdem i po powrocie«.

»Dr. Konstanty James dodaje: »Co się tyczy kwestyi, jak mianowicie Dr. Charcot myśli o cudach w Lurd, to już do niego należy; wiem tylko, że nie zamierza on rychło ogłosić światu swoich przekonań w tej mierze«.

»Jeżeli, od lat piętnastu czy dwudziestu, corocznie kilkudziesięciu chorych przybywa z Salpêtrière do Lurd, jakże obfite źródło wskazówek, szczegółów i faktów musi zawierać ten szpital! Spostrzeżenia, czynione pod kierunkiem najznakomitszych lekarzy, rozbierane i roztrząsane z najdrobniejszymi szczegółami, rzucają zapewne na tę sprawę

bardzo jaskrawe światło. Dając chorym szczegółowy opis ich cierpień, oraz badając ich stan za powrotem z Lurd, możnaby ogłosić publicznie osiągnięte wyniki bez obawy jakiegokolwiek błędu lub nieporozumienia. A jednak, pomimo tak głębokiej znajomości przedmiotu, ludzie ci wahają się mówić, zachowują dla siebie swoje zdanie w tej mierze i nie myślą objawić go innym.

»Poco tyle ostrożności i przezorności? Poco to milczenie, zakrawające na spisek? Czyż nie jest to pewnego rodzaju obawą zapuszczenia się na grunt dotąd nieznany, pełen dla nich niebezpieczeństw lub niespodzianek? Byłoby daleko uczciwiej i zgodniej z wymaganiami nauki, gdyby uznano, że nie wszystko daje się wytłumaczyć za pomocą »suggestyi«, i że po za obrębem »rozstroju nerwowego« są jeszcze rozmaite nadwerężenia i choroby organizmu, które niekiedy nagle zostają uleczone. Chcąc jednak zapobiedz pewnemu wynikowi, którego w inny sposób nie możnaby uniknąć, — panowie ci dlatego chyba nie chcą przed odjazdem badać chorych i ich choroby, ażeby po powrocie nie być zmuszonymi stwierdzać ich cudownego uzdrowienia!

»Podczas ostatnich pielgrzymek przybyła do nas pewna chora ze świadectwem swego lekarza, który w niem oświadczył, że jest ona suchotnicą, po pierwszej zaś kąpieli w sadzawce nie znaleźliśmy już w niej ani śladu tej choroby. Bojąc się jakiejkolwiek omyłki lub nieporozumienia, zatelegrafowaliśmy do jej lekarza, aby się dowiedzieć, co myśli o chorobie swojej pacyentki, nie donosząc mu jednak o jej uzdrowieniu. Na zapytanie nasze przesłał on również telegraficzną odpowiedź, że: chora jest s u c h o t n i c ą.

»Niebawem ta kobieta, zupełnie już uzdrowiona, wyjechała i udała się do swych lekarzy, których miała aż trzech. Pierwszy jej odpowiedział, że zachował zaledwie bardzo mgliste wspomnienie i odesłał ją do swych kolegów.

»Drugi rzekł: »A więc odtąd trzeba będzie wysyłać do Lurd wszystkich naszych chorych!?... Z r e s z t ą z o b a c z y m y!...«

»Trzeci wreszcie, — to jest ten, który pierwotnie wystawił świadectwo i wysłał depeszę, — b a d a i w y p y t u j e c h o r ą, całą zaś jego odpowiedź stanowi tylko mruknięcie: »Hm!« — Wreszcie po drugiej czy trzeciej wizycie zgadza się dać świadectwo i uznaje w niem, że chora rzeczywiście została uzdrowioną, dodając wszakże zarazem, że miała ona tylko p r o s t y k a t a r!!

»Tak więc w pierwszem świadectwie, wydanem przed uzdrowieniem, oświadczył, że chora była suchotnicą i potwierdził to depeszą, kiedy zaś chora wróciła zupełnie do zdrowia, zapomniał o swej poprzedniej dyagnozie i orzekł, że miała ona tylko zakatarzenie płuc! Jednocze-

śnie zaś dwaj jego koledzy cofnęli się zupełnie i o niczem nie chcieli wiedzieć. Taki system badania lekarskiego i kontroli zdradza dziwną jakąś obawę. W podobnych warunkach trudno o zebranie dokładnych szczegółów, musimy więc być bardzo ostrożnymi i przezornymi w wypowiadaniu naszego przekonania, gdyż potrzeba nam do tego jak największej ilości dowodów pewnych.

»W październiku roku ubiegłego jeden z naszych kolegów przysłał nam bardzo obszerne sprawozdanie o pewnej chorej, która w Lurd uzdrowioną została. Sprawozdanie to było tak dokładnem i szczegółowem, że zawierało całą historyę choroby niemal dzień po dniu kreśloną.

»Wśród licznych objawów strona »nerwowa« przeważała do takiego stopnia, żeśmy nic nie mogli wywnioskować. Wogóle fakt ten nie był dla nas wcale zajmującym. Przy końcu zaś swego sprawozdania ów lekarz dodał: »Zastrzegam sobie prawo własności całego tego sprawozdania, zakazując stanowczo ogłaszania go publicznie pod mojem nazwiskiem«. Naturalnie niepotrzebnie się o to troszczył, gdyż właściwie mówiąc, nie mieliśmy nic do ogłoszenia. Daje to jednak pewne pojęcie o trwodze, jaką sama nawet nazwa Lurd umie natchnąć niektórych naszych kolegów!

»Gdyby uzdrowienia w Lurd opierały się nie na niezbitych dowodach, ale tylko na wątpliwych danych, oraz nie były przedmiotem jak najściślejszej kontroli, to nie wzywanoby na pomoc przeciwko nam rozmaitych niewzruszonych praw, rządzących światem; nie mówionoby ani o hypnotyzmie, ani o suggestyi, ale pozostawionoby te teorye zupełnie na stronie. Rozbieranoby tylko szczegółowo wszystkie nasze spostrzeżenia i uwagi, aby je roztrząsnąć, wykazać ich nicość i dowieść, że jako oparte na zbyt kruchych podstawach, nie mogą one wytrzymać surowszej krytyki.

»Przeciwnicy nasi atoli nie takiej obecnie trzymają się metody. W ostrożności ich i przezorności, jak również we wszystkich świadectwach tak niechętnie przez nich dawanych, znajdujemy mimowolny hołd, złożony przez nieprzyjaciół rzeczy nadprzyrodzonych temu wielkiemu badaniu, jakie od lat blizko pięćdziesięciu dokonywa się w Lurd.

»Wszystkie te świadectwa odzwierciadlają mniej lub więcej osobiste przekonania ich autorów. Czytając je, odkrywamy ślady wątpliwości i doktryn, jakie je natchnęły, i spostrzegamy z łatwością, że umysł nie jest wolnym pod względem szczerego poszukiwania i wykazywania prawdy.

»Wobec sędziów, tak surowych i tak pełnych różnorodnych uprzedzeń, lekarze w Lurd muszą zachowywać jak największą ostrożność

i przezorność. Wśród tak licznych faktów, przesuwających się przed ich oczyma, pozostawiają oni na stronie wszelkie spostrzeżenia i objawy, przedstawiające jakąkolwiek wątpliwość i dające pole do jakiejkolwiek krytyki. Przezorność ich nawet niekiedy może się wydawać zbyteczną, lecz podjęli się oni obrony zasad i faktów, zbyt często zapoznawanych, i pragną zapomocą nauki wykazać działanie siły nadprzyrodzonej. Na tak wzniosłym gruncie, na którym starają się odnieść zwycięstwo, zamiary ich i środki muszą być wyższymi od wszelkich podejrzeń i zabezpieczonymi od wszelkiego uzasadnionego zarzutu.«

Pielgrzymka zdążająca do Lurd.

CZĘŚĆ III.

ROCZNIKI LURD.

ROZDZIAŁ I.

Lurd od roku 1869 do 1871.

O. HERMAN COHEN (CHOROBA OCZU). – PANI KLOTYLDA DE LA RIVIÉRE (SUCHOTY). – FRANCISZEK MACARY (WRZÓD POCHODZĄCY Z NABRZMIENIA ŻYŁ). – HANQUET Z LEODYUM (CHOROBA SZPIKU).

Przebiegając pobieżnie karty »Roczników« (*Les Annales de Lourdes*) — pisze Dr. Boissarie, i wyjmując z nich tylko główniejsze uzdrowienia, aby określić dokładnie ich znaczenie i doniosłość, — oszczędzimy tym, którzyby pragnęli zgłębić powyższą kwestyę, poszukiwań długich, trudnych i czasem w mylny dokonywanych sposób.

»Muszę wyznać, że praca ta posiada dla mnie samego nieprzezwyciężony urok. Niewielu ludzi, zarówno przyjaciół, jak i przeciwników Lurd, zna dokładnie ten przedmiot, niewielu też chciało dłużej i poważniej nad nim się zastanawiać. — W tym celu nie wystarcza zaiste spędzić kilka godzin u podnóża groty, wśród tłumów, zmieniających się bez przerwy i napływających ciągle od rana do wieczora, i nie wystarcza również przeczytać mniej lub więcej szczegółowy opis główniejszych uzdrowień, trzeba wpierw odszukać i zbadać chorego, przebiedz z nim całe dzieje jego choroby i odczytać świadectwa lekarzy.

»Bez względu na formę, jaką nadamy naszym twierdzeniom, nie będziemy nigdy rościli sobie pretensyi do zupełnego rozstrzygania kwestyi, czy jakiś fakt jest rzeczywistym cudem lub nie. Dekreta Kościoła świętego zabraniają tego surowo. Najbardziej zaś będziemy się mieli na baczności w obec faktów, na któreśmy nie patrzyli własnemi oczyma. Pomimo całej powagi najznakomitszych naszych kolegów, tudzież opisu wszelkich szczegółów lub okoliczności, dokonanego przez naocznych, wiarogodnych świadków, nie zawsze możemy się zabezpieczyć od błędu lub złudzenia, gdyż pomimo najlepszych chęci w kwestyi, opartej głównie

tylko na spostrzeżeniach, bardzo trudno się od tego uchronić, czego mamy codzienne niemal dowody w wykonywaniu obowiązków, jakich nasz zawód wymaga. Zresztą co się tyczy cudownej natury faktów, to nie narażamy się na żadne niebezpieczeństwo popełnienia jakiejkolwiek omyłki, ponieważ nigdy nie będziemy twierdzili w sposób zupełnie bezwzględny, że jakieś uzdrowienie było rzeczywistym cudem«.

O. Herman Cohen, zakonu OO. Karmelitów.

Z pomiędzy faktów, ogłoszonych od 1869 do 1871 roku cztery zwłaszcza zwracają na siebie szczególną uwagę. Postaramy się więc tutaj je opisać, uwydatniając o ile możności charakterystyczne ich rysy.

* * *

1. Jednym z pierwszych wypadków ogłoszonych w »Roczn i k a c h« było uzdrowienie Ojca Hermana Cohen, zakonu OO. Karmelitów, znanego z wielkiej świątobliwości. Zakonnik ten, znużony ciągłą pracą,

czuł już od roku, że wzrok jego z dniem każdym niemal słabnie. Ani zupełny wypoczynek, ani górskie powietrze nie mogły powstrzymać stopniowego postępu choroby. Zabroniono mu bezwarunkowo czytania książek, nie wyłączając nawet brewiarza. Ojciec Herman udał się więc do Bordeaux, aby tam zasięgnąć rady słynnych okulistów, Drów Sous albo Guépin. Zbadano jego oczy z jak największą skrupulatnością i znaleziono w nich nader zatrważające objawy, a mianowicie zamglenie, zagłębienie tarcz nerwów wzrokowych na dnie każdego oka. Ze wszystkich tych symptomatów okulista wysnuł wniosek, iż ma do czynienia z uporczywą chorobą oczu, znaną pod nazwą jaskry *(glaucoma)*. Postanowił więc chwycić się ostatecznego środka, to jest przystąpić do wycięcia tęczówki. Bratu Ojca Hermana, Ludwikowi Cohen Dr. Graefe zdjął również kataraktę za pomocą wycięcia tęczówki.

Za powrotem z Bordeaux, stan chorego coraz bardziej zaczął się pogarszać. Czytanie stało się dla niego zupełnie niemożliwem, organ zaś wzroku nie mógł już nawet znosić żadnego światła. Wówczas właśnie poradzono mu, aby odprawił nowennę do Najświętszej Panny z Lurd. Nowenna rozpoczęta dnia 24 października, zakończyła się dnia 24. listopada w grocie, w pobliżu źródła, gdzie nagle wszystkie symptomata choroby znikły zupełnie. »Odtąd — mówi O. Herman — czytam i piszę ile mi się podoba, bez okularów, bez żadnych środków ostrożności i bez najmniejszego znużenia. Mogę utkwić wzrok nawet w świetle słońca lub gazu, nie doznając żadnego bolu. Otrzymałem więc wszystko, czegom pragnął, gdyż zostałem zupełnie i całkowicie uzdrowionym«.

W uroczystość Wszystkich ŚŚ., gdy przy grocie odmawiał klęcząc ostatni różaniec, którym kończył rozpoczętą przez siebie nowennę — uczuł nagle, że jakieś dziwnie silne, żywe i głębokie wrażenie wstrząsa jego duszą. Nie mogąc nad niem zapanować i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, zwrócił się nagle do osób, które go otaczały i rzekł: »Czuję, że Najświętsza Panna uzdrawia mię w tej chwili«.

Ojciec Herman był dotknięty jaskrą, chorobą oczu, nader łatwą do sprawdzenia. Biegły okulista w Bordeaux oświadczył mu to bez wahania, opisując wszystkie charakterystyczne cechy cierpienia i proponując mu jedyny środek, mogący je usunąć, tj. operacyę.

Powyższa choroba przeszedłszy w stan chroniczny, zwykle bardzo szybkie robi postępy. Rezultat zaś jej jest zawsze opłakanym, gdyż bywa nim najczęściej zupełna i nieuleczalna ślepota. W takich właśnie warunkach Ojciec Herman, nie używszy jeszcze żadnych środków w celu zaradzenia złemu, które dotąd coraz bardziej się rozwijało, spostrzegł nagle, że wszystkie jego cierpienia znikły w jednej chwili, że prze-

szedł niepostrzeżenie, bez wszelkiej rekonwalescencyi, z choroby do zupełnego zdrowia. Oczy jego, które już od roku nie mogły znosić najsłabszego nawet światła i były skazane na zupełny, przymusowy spoczynek, odzyskały nagle normalną zdolność widzenia. Znosiły odtąd bez znużenia czytanie i pisanie, blask zaś najsilniejszego nawet światła żadnej nie sprawiał im przykrości. Nie przywykliśmy dotąd do tak nagłych i doskonałych uzdrowień, gdyż wychodzą one całkowicie po za obręb zasad i tradycyi wiedzy i sztuki lekarskiej. »Co do mnie, — dodaje dr. Boissarie to napróżno staram się odgadnąć, w jaki sposób możnaby zaprzeczać rzeczywistości tego faktu, lub naturalnie sobie go tłumaczyć.«

Ojciec Herman lubiał opowiadać o wszystkich szczegółach swego uzdrowienia. Opowiadania te wygłaszał zawsze w jeden i ten sam sposób, jednemi i temi samemi słowy. Postać Ojca Hermana była bardzo popularną i niezmiernie sympatyczną. Był on z pochodzenia Niemcem, a raczej Żydem nawróconym, lecz z charakteru i usposobienia Francuzem. Nie mogąc podczas ostatniej wojny służyć przybranej swej ojczyźnie w szpitalach, wyjednał on sobie od rządu pruskiego upoważnienie do udzielania religijnej pomocy jeńcom francuskim, uwięzionym w Spandawie. Następnie, podczas zabójczej epidemii, oddał się z nadludzkiem poświęceniem na usługi nieszczęśliwych jej ofiar. Pielęgnując francuskich żołnierzy, umarł po parudniowej chorobie na czarną ospę.

2. Jeszcze ciekawszym jest przebieg choroby i uzdrowienie pani de la Rivière. Zostało ono opisanem jak najdokładniej przez dra Régnault'a, profesora wydziału lekarskiego w Rennes. Dr. Régnault jest jednym z najwykształceńszych i najzdolniejszych współczesnych lekarzy. Posiada on też wielki wpływ i powagę w sferach lekarskich, oraz odznacza się nieposzlakowaną bezstronnością i uczciwością.

On to właśnie miał w swej opiece panią de la Rivière, (znaną następnie w zakonie pod imieniem Siostry Maryi od świętego Pawła), która już od lat kilku dotkniętą była gruźlicą w obu płucach.

Kilkakrotnie też biedna ta chora miała wybuchy krwi; aż wreszcie dnia 11 października roku 1869 dostała silniejszego niż kiedykolwiek krwiotoku, który wyczerpał niemal wszystkie fizyczne jej siły. Dnia 13 października do krwiotoków przyłączyła się jeszcze nader silna gorączka. Nazajutrz zaś stan chorej pogorszył się do takiego stopnia, że tętno pulsu prawie zupełnie ustało, twarz, palce i paznokcie siną przybrały barwę, całe ciało zimnym okryło się potem, oddech stopniowo stawał się coraz krótszym i należało lada chwila niemal obawiać się katastrofy. Dr. Régnault poczytywał sobie nawet za obowiązek uprzedzić przełożoną o tem, że chwile życia chorej są już policzone.

Tymczasem nazajutrz, dnia 15 października, lekarz znalazł swą pacyentkę w jak najlepszym stanie! Uzdrowienie jej dokonało się z niesłychaną i niespodziewaną szybkością; oddech był normalny, gorączka znikła zupełnie.

Jakże się to stało? Oto gdy wszyscy oczekiwali już niemal ostatniego jej tchnienia i gdy ciągłe duszności doszły do ostatecznych granic, chora, z nadludzkim niemal wysiłkiem, wypowiedziała jedno tylko słowo: »Lurd!«. Przyniesiono jej więc łyżeczkę wody cudownej i zaledwie dotknęła jej ustami, natychmiast usiadła na łóżku, rzężenie w piersiach ustało, oddech stał się prawidłowym, chora zaś mogła już mówić i odpowiadać na litanię do Najświętszej Panny Niepokalanie Poczętej. »Jestem uzdrowioną! — rzekła — Matka Boska dokończy swego dzieła«. We trzy dni później z tak niebezpiecznej choroby nie pozostało najmniejszego śladu i bez żadnego leczenia siły fizyczne wraz z odzyskanem życiem wróciły.

»Nie mogąc twierdzić stanowczo, że w tym wypadku objawia się widocznie działalność Najświętszej Panny, mówi dr. Régnault, nie powinienem zarazem pominąć milczeniem, ze nadzwyczajna szybkość uleczenia sprawia, iż fakt ten różni się zasadniczo od innych podobnych wypadków, gdyż podług naukowego prawdopodobieństwa należałoby raczej jak najsmutniejszego spodziewać się końca«.

Nader rozumny i rozsądny to wniosek, któremu też z głębi serca przyklaskujemy. Nie powinniśmy bowiem nadawać naszym twierdzeniom charakteru takiej niezbitej pewności, jakiej sam przedmiot nie posiada. Dr. Régnault pisał zresztą zbyt prędko po uzdrowieniu, aby mógł ręczyć za przyszłość, po prostu więc tylko odmalował wiernie fakt, którego naocznym był świadkiem.

3. Wypadek, którego opis poniżej podajemy, jest jednym z najważniejszych faktów, zawartych w »Rocznikach«. Stwierdzili go trzej lekarze z Lavaur, doktorowie Ségur, Rossignol i Bernet. Jest on zresztą tak łatwym do sprawdzenia, że każdy świadek może śmiało ręczyć za jego rzeczywistość. Opisał go wybornie p. Lasserre i umieścił wśród rozmaitych cudownych epizodów.

Dr. Bernet badał po raz pierwszy niejakiego Franciszka Macary, stolarza z zawodu, z Lavaur w roku 1852. Pod lewem kolanem i golenią chorego znajdował się głęboki wrzód, połączony ze znacznem nabrzmieniem żył i tkanek, co uniemożliwiało wszelkie chirurgiczne zabiegi, przynajmniej jak na owe czasy.

W ośmnaście lat później, to jest w roku 1870, tenże sam lekarz znalazł, że stan nogi bardzo się pogorszył, więc też zalecił choremu długi, zupełny odpoczynek.

Wreszcie dnia 15. sierpnia 1871 roku dr. Bernet znalazł, że wrzód całkowicie się zabliźnił. Nie pozostało ani śladu nabrzmienia, gruczołki zaś z ropą znikły. Na ich miejscu rysowały się jakby sznureczki krótkie, twarde, bez krwi we środku i poruszające się pod palcami. Żyła udowa wróciła na dawne miejsce i normalną odzyskała objętość. Świadectwo dra Bernet'a, skreślone z tego powodu zasługuje na przytoczenie go tu w całości.

»Przed ośmnastu laty Macary wydawał się nam skazanym na dożywotnie kalectwo, tak, że zaleciliśmy mu tylko użycie rozmaitych środków łagodzących, wskazanych mu zresztą i przez kilku innych naszych kolegów. — Przed dwoma laty Macary zjawił się znowu u mnie w celu zasięgnięcia porady lekarskiej. Stan jego nogi wówczas znacznie się pogorszył. Powtórzyliśmy mu więc pierwszą naszą radę, oświadczając zarazem, że jeżeli pragnie wygojenia wrzodu, to powinien na czas dłuższy położyć się do łóżka, i zastosowywać sumiennie rozmaite przepisy lekarskie, a zwłaszcza bandażowanie nogi.

»Dzisiaj, dnia 15 sierpnia 1871 roku Macary przybył po raz trzeci. Wrzód jego zupełnie się zabliźnił, a chociaż żaden bandaż nie krępuje nogi, nie widać na niej ani śladu jakiegokolwiek nabrzmienia! Najbardziej uderza nas zupełne zniknięcie pęcherzyków z ropą, (jakie miał przedtem), na miejscu ich zaś rozpoznajemy za pomocą dotykania jakby krótkie, twarde, bezkrwiste sznureczki, poruszające się pod palcami. Wewnętrzna żyła udowa przybrała dawny kierunek i wróciła do normalnej objętości. Pomimo jak najuważniejszego badania nie widać żadnego śladu operacyi chirurgicznej.

»Na zakończenie dodajemy, że nauka nie może wyjaśnić powyższego faktu. Wszyscy lekarze jednogłośnie na to się zgadzają, że takie nabrzmienia żył, pozostawione samym sobie, bywają zwykle nieuleczalne, przechodzą bowiem w stan chroniczny, który coraz bardziej się pogarsza, oraz że niepodobna nawet marzyć o gruntownej kuracyi bez użycia pewnych chirurgicznych środków, połączonych niekiedy z wielkiem niebezpieczeństwem dla nieszczęśliwych chorych. Chociażby więc nawet opowiadań Franciszka Macary o jego uzdrowieniu nie potwierdzały autentyczne świadectwa innych osób, to bądź co bądź musielibyśmy uważać powyższy fakt za nadzwyczajny, a nawet, powiedzmy szczerze, za nadprzyrodzony!

»Na potwierdzenie tego, cośmy tu wyrazili, podpisujemy niniejsze sprawozdanie«.

Lavaur, dnia 15 sierpnia 1871 roku.

Dr. Bernet,
Lekarz Wydziału paryskiego.

Gruntowne to uzdrowienie dokonało się w przeciągu jednej nocy, jedynie pod wpływem okładu wody z Lurd!

Posłuchajmy jak sam chory opowiada o swem uleczeniu:

»Dostawszy po raz pierwszy do rąk błogosławioną tę wodę, pospieszyłem, o ile mogłem najprędzej, do mego pokoju. Tam upadłem na kolana i odmówiłem krótką, ale gorącą modlitwę do Najświętszej Panny. Następnie zdjąłem obuwie i bandaże, nalawszy zaś na dłoń trochę wody, obmyłem nią obie nogi, wodę zaś pozostałą we flaszce, wypiłem i udałem się na spoczynek.

»Około północy obudziłem się i spostrzegłem, że nie czuję już w nogach żadnego bolu; dotknąwszy się zaś ich rękami, przekonałem się, że nabrzmienie i wrzód znikły bez znaku.

»Żona moja spała w sąsiednim pokoju, którego drzwi były otwarte. Żono, jestem uzdrowiony! zawołałem z radością. — »Czyś oszalał?... brzmiała odpowiedź — śpij lepiej«. Rzeczywiście wkrótce zasnąłem snem tak błogim i spokojnym, jakiego oddawna już nie miałem.

»Nazajutrz po obudzeniu się rzuciłem naprzód okiem na moje nogi i ujrzałem, że wrzód i nabrzmienie nie pozostawiły nawet najmniejszego śladu po sobie, skóra zaś na nogach stała się nawet gładszą niż na rękach, o czem z łatwością można się było przekonać!«

Wszystko w tym wypadku wprawia nas w zdumienie: zarówno uleczenie nabrzmiałości, które nigdy tak szybko nie ustępują i do których nie można zastosować żadnych chirurgicznych operacyi, bez narażenia chorego na wielkie niebezpieczeństwo, — jak i tak nagły powrót do stanu normalnego żyły udowej, która w przeciągu lat dwudziestu nurzała się w ropie i w sposób naturalny nie mogła znaleźć się znowu w normalnych warunkach. Wszyscy trzej lekarze twierdzą jednogłośnie, że żadne naukowe roczniki nie zawierają przykładu podobnego uzdrowienia. Dr. Bernet zaś dodaje, że jest ono rzeczywiście faktem nadprzyrodzonym.

»Któżby mógł zresztą zaprzeczyć rzeczywistości tego uzdrowienia albo je w sposób naturalny wytłumaczyć? pisze Dr. Boissarie. Nikt — zapewne.

»Mylę się jednak; w rozprawie bowiem medycznej Dra Diday'a czytam co następuje. »Człowiek ten został uzdrowionym z nabrzmiałości na nodze, ale na miejscu, jakie zajmowały rozszerzone żyły, pozostały niby małe, twarde sznureczki. Najświętsza Panna działała więc tutaj jakby za pomocą zwykłej chirurgicznej operacyi, używanej przy zniszczeniu żył; zgadzam się przeto, że działała tu — ręka Boża, ale ślad pozostał ludzki«.

»W rzeczywistości jednak ten proceder chirurgiczny, o którym mówi mój kolega, nie był ani zwykłym, ani też często używanym. Sam nawet

mam żylaki i rozszerzenie żył, lecz nigdy nie dałbym sobie zastosować podobnego procederu. Przez cały też przeciąg mego już dość długiego zawodu lekarskiego nie pozwoliłem sobie nigdy na wykonanie tego rodzaju prób na moich pacyentach.

»Nie widzę zresztą nic wspólnego i analogicznego pomiędzy uzdrowieniem, które się dokonało w przeciągu tak krótkiego czasu, podczas dobroczynnego snu, a kuracyą, któraby trwała kilka tygodni albo nawet miesięcy i musiała zostać przeprowadzoną przez biegłego, chirurga. Kiedy chodzi o chorobę widoczną, namacalną, podpadającą pod zmysły, wówczas wszelkie zarzuty, jeżeli nie są uzasadnione, zwracają się przeciw tym, którzy je stawiają, i świadczą raczej o złej woli, niźli o szczerości.

»Dr. Diday zbłądził, postępując tak lekkomyślnie w obec świadectw lekarskich trzech swoich kolegów. Ci ostatni zaś słusznie mogli powiedzieć, że nabrzmiałości tego rodzaju dają się uleczyć, lecz tylko za pomocą najtrudniejszych i rzadko zastosowywanych operacyi chirurgicznych.«

4. Lekarze nieraz zaprzeczyli cudowności wszystkich uzdrowień paraliżu, jakie zaszły w Lurd, zaliczając poprostu wszelkie wypadki tych cierpień do chorób nerwowych. Niepodobna jednak zaiste zaliczyć do tej kategoryi uzdrowienia pana Hanquet'a, które nastąpiło dnia 27. listopada 1870 r.

Na żądanie swych przyjaciół, pan Hanquet opisał sam rozrzewniające dzieje swego uzdrowienia.

»Choroba moja, pisze, trwała przeszło lat dziesięć, w maju zaś 1862 roku doprowadziła mnie do najokropniejszego wycieńczenia organizmu. Miałem wówczas lat 41.

»Od lutego aż do dnia 6. lipca cały mój posiłek stanowiła kawa lub herbata. Spędziłem trzy lata na łożu boleści, nie mogąc się nawet o własnych siłach obrócić na lewo lub prawo. Przenoszono mię z łóżka na fotel tylko na pięć minut i to zaledwie co parę tygodni. Nogi moje wychudłe i pozbawione krwi, były jakby zlodowaciałe.

»Dnia 15. października 1869 roku odczytałem historyę Najświętszej Panny z Lurd, skreśloną przez pana Lasserre, czytanie zaś to obudziło w mem sercu wygasłą już oddawna nadzieję. — W parę tygodni później otrzymaliśmy wodę z Lurd; było to dnia 27. listopada.

»Około wpół do jedenastej godziny wieczorem, gdy już wszyscy w całym domu udali się na spoczynek, brat mój odkorkował flaszkę i nalał mi całą szklankę cudownej wody, którą natychmiast wypiłem. Następnie umaczał ręcznik w tej wodzie i natarł mi nią plecy, poczynając od karku. Kiedy doszedł do okolic serca, wydałem okropny jęk i zacząłem charczeć, jak konający.

Chory, tknięty paraliżem od lat ośmiu skutkiem złamania kości pacierzowej: uzdrowiony d. 21 sierpnia 1898 r.

»Brat mój sądząc, że już ostatnia dla mnie wybiła godzina, chce mię okryć prześcieradłem, ja jednak odrzucam je daleko, dotykam nogą ziemi, chwytam się kurczowo za łóżko, wydając rozdzierające okrzyki. Wkrótce jednak czuję, że mi wraca życie, prostuję się więc, porywam płaszcz i zaczynam biegać po pokojach, szalejąc niemal z radości. Wówczas brat mój wychodzi, aby zwołać całą rodzinę.

»Obmywanie trwało około pięciu minut, uzdrowienie zaś moje dokonało się w przeciągu półtorej minuty.

»Aż do trzeciej godziny rano wszyscy pozostaliśmy na nogach.

»Odtąd do domu naszego zaczęło napływać mnóstwo osób, które pragnęły mię zobaczyć. W przeciągu pierwszych jedenastu dni musiałem przyjąć około pięciuset gości i opowiadać każdemu wszystkie szczegóły mego uzdrowienia«.

Doktorowie Termonia i Davreux twierdzą jednogłośnie, że pacyent ich był dotknięty rozmiękczeniem mlecza pacierzowego. Dowody zaś tego upatrują w zupełnem sparaliżowaniu wszelkiego czucia i ruchu, tudzież w stopniowem wycieńczeniu, które dochodziło aż do zupełnego wycieńczenia sił. Uwzględniwszy wszystkie objawy choroby, widać z tego widocznie, że w tym wypadku nie było to tylko jakieś zaburzenie organiczne, ale naruszenie szpiku, które się odbiło na całym organizmie. I w tych warunkach uzdrowienie, które nastąpiło jedynie po obmyciu wodą z Lurd, w przeciągu półtorej minuty — tak, że nie tylko sparaliżowanie natychmiastowo zupełnie ustąpiło, lecz nawet bez żadnej rekonwalescencyi — i że chory w mgnieniu oka przeszedł ze stanu zupełnego wycieńczenia do stanu zupełnego zdrowia, i że skóra przedtem czerwona, otrzymała dawny swój normalny wygląd — wszystko to w sposób naturalny wytłumaczyć się tu nie da!

Dokończmy to opowiadanie słowy Drów Termonia i Davreux: »Jestto fakt niesłychany w historyi chorób kości pacierzowej! Hanquet był zgubiony bez ratunku — a zawdzięcza swe wyzdrowienie jedynie wodzie z Lurd!«

ROZDZIAŁ II.

Rok wielkich pielgrzymek (1872).

1. LEONIA CHARTRON: (CHOROBA KOŚCI PACIERZOWEJ). — 2. RAJMUND CARAL: (RAK). — 3. AURELIA BRUNEAU: (GŁUCHO-NIEMA). — 4. PANNA GILBERT: (PARALIŻ). — 5. LUDWIKA DELPON: (ANGIELSKA CHOROBA). — 6. FILOMENA SIMONNEAU: (OBRZĘK GRUŹLICZY).

W roku 1872 jakby instynkt jakiś szczególny prowadzi ludność Francyi do groty w Lurd; pociągi kolejowe śpieszą tam jeden za drugim.

Nad brzegami Gawy tłumy napływają bezustannie. Niezliczona ilość chorych odzyskuje zdrowie. »Roczniki« wykazują całe setki uzdrowień w przeciągu krótkiego czasu. Między niemi niektóre są bardzo wybitne, dzięki szczególnemu zbiegowi towarzyszących im okoliczności i nazwiskom słynnych lekarzy, którzy dają swe potwierdzenia. Zbierzemy tu fakta tylko najważniejsze, inne pomijając milczeniem.

1. Na pierwszem miejscu znajdujemy uzdrowienie Leonii Chartron z Lormes. Lekarz jej, Dr. Gagniard z Avallon opisuje ten fakt w *Revue de l' Yonne* w następujący sposób:

»Leczyłem, mówi on, w przeciągu lat pięciu czy sześciu pannę Chartron na chorobę stosu pacierzowego. Wyrostki kolczyste kości pacierzowej utworzyły znaczny garb, skutkiem swego zmiękczenia i osłabienia. Choroba stwierdzoną została przez doktorów Nélaton'a, Piorry'a i Bouvier'a. — Brak zupełny apetytu, całkowite wyniszczenie, ciągła gorączka, doprowadziły chorą do takiego stanu wyniszczenia, że następstwem mogła być tylko blizka, pewna śmierć. W takim stanie panna Chartron przybyła do Lurd. Towarzyszyli jej ciotka i wuj kapłan, uważany powszechnie za świętego. Zawieziono ją do źródła; zaledwie dotknęła się wody, została uzdrowioną i wróciła stamtąd sama, nie potrzebując żadnej pomocy. Skrzywienie kości znikło natychmiast! Odtąd chodziła, a nawet i biegała prędko, a była wesołą, jak nigdy przedtem. Od tego czasu zdrowie jej jest znakomite. Chodziłem z nią z pół godziny i bardziej się tem zmęczyłem, niż ona. Niechby zażądano od którego z lekarzy wykształconych tłumaczenia podobnego faktu, aby cierpienie tak ciężkie, jak choroba Pott'a, trwająca siedem do ośmiu lat, została natychmiast usuniętą i to bez żadnego śladu! Na to (jak słusznie mówi Dr. Gagniard) — niema w nauce żadnego wytłumaczenia!«

Dla lepszego zrozumienia wszystkiego, musimy przytoczyć także świadectwo samej panny Chartron o jej chorobie.

»Do trzydziestego roku życia, nie zaznałam żadnej choroby. Było to w r. 1866; po kilku-tygodniowej słabości, z której nie zdawałam sobie sprawy, dostałam gorączki, oddech mój stał się utrudnionym, nogi wypowiedziały mi posłuszeństwo i nie mogłam bez bolu wykonać żadnego ruchu tak, że musiałam położyć się do łóżka. Naprzód wezwałam Dra Gagniard'a, który, po zbadaniu, stwierdził ropienie kości pacierzowej, silnie już rozwinięte. — Nakazał mi wtedy udać się do miejsca kąpielowego w Salies, dokąd też wkrótce wyjechałam. Jeździłam tam przez dwa lata z rzędu, lecz niestety zawsze bezskutecznie. Udałam się następnie, jak mi zalecono, do kąpieli morskich, — również bez żadnego skutku. Potem zawieziono mię do Paryża, gdzie byłam badaną przez tak znakomitych uczonych, jak Nélaton, Piorry i Bouvier. Wszyscy uznali nie-

bezpieczeństwo mego stanu i przepisywali rozmaite, męczące sposoby leczenia, jak moksy, jodynowania itp., które przez lat trzy zastosowywałam, znosząc niesłychane katusze tak, iż plecy moje były do tego stopnia umęczone i spalone, żem dłużej tych dotkliwych środków leczniczych znieść nie mogła, mimo najszczerszych chęci.—Tymczasem osłabienie i wycieńczenie wzmagały się coraz bardziej. Raz jeden tylko podczas tego roku doznałam nieco ulgi, a to wskutek nowenny odprawionej do Najśw. Panny z Lurd. Wtedy przyszłam do przekonania, że nikt inny mię nie uzdrowi, tylko Matka Najświętsza! Pełna więc wiary i ufności w Jej potęgę, postanowiłam udać się do Lurd. Było to wielkie zadanie dla takiej, jak ja chorej, która o własnej sile nie mogła uczynić kroku, lecz jedynie oparta z jednej strony na lasce, a z drugiej na czyjemś ramieniu. Chodziło tu o przebycie drogi 1.000 kilometrów koleją, a do stacyi w Nevers należało przebyć 80 kilometrów w powozie! Ręka Maryi dała mi już znak, a słodki głos Jej wyraźnie mię wzywał. Wybrałam się więc w poniedziałek dnia 12. lipca 1869 r., towarzyszyły mi w tej drodze życzenia sąsiadów i przyjaciół, którzy nie sądzili, abym była w możności znieść takiej podróży, i byli pewni, że zabiją mię trudy uciążliwej i długiej drogi.

»Przyjechałam do Lurd w następny poniedziałek, dnia 19. lipca.

»Nazajutrz zawieziono mnie w powozie do kaplicy, gdzie wysłuchałam Mszy św. i wróciłam stamtąd bez wielkiego trudu.

»We środę, po Komunii św., sprowadzono mnie do sadzawki. Byłam przedtem naocznym świadkiem tylu cudów. Zaledwiem się dotknęła zimnej wody, — sama, bez niczyjej pomocy, wyskoczyłam z niej natychmiast, ku wielkiemu zdziwieniu mej ciotki, która mi nieodstępnie towarzyszyła. Byłam uzdrowioną zupełnie! Zaczęłam chodzić swobodnie i lekko, choć z pewną obawą. W następne dni byłam na Mszach dziękczynnych, a po tygodniu z radością i wdzięcznością w sercu, wróciłam do domu. Lekarz mój nie mógł ochłonąć ze zdziwienia i nie chciał wierzyć swym oczom. Przekonawszy się jednak o mem zupełnem uzdrowieniu, rzekł do mnie głosem stanowczym: »Kiedy choroba tak niebezpieczna i zawikłana, której nie mogła usunąć staranna opieka mistrzów nauki; gdy choroba ta, która, jak dotąd ciągle tylko zwiększała się i rozwijała, teraz nagle, przez zanurzenie chwilowe w zimnej, jak lód, wodzie ustąpiła bez śladu, trzeba rzec z Ambrożym Paré: »Bóg ją usunął«, a ja dodać muszę: cudem«!

»Od tego czasu minęły już dwa lata, a choroba nigdy się nie powtórzyła. Jestem wprawdzie, jak i dawniej, dość wątłą, tak samo zbudowaną, ale garb zniknął zupełnie, jak i całe poprzednie cierpienie. Mogę chodzić, zstępować po schodach, wstępować pod górę, na której szczycie znajduje się nasz kościół, schylać się i prostować bez

bolu, czego nie mogłam nigdy uczynić przez trzy lata strasznej tej choroby.«

Leonia Chartron.

Dr. Gagniard streszcza w kilku wierszach wrażenie i sąd o chorobie panny Chartron w następujący sposób:

Avallon, dnia 15. grudnia 1872 r.

»Uzdrowienie natychmiastowe panny L. Chartron w Lurd, jest z największą pewnością — cudem. Można zażądać od najpoważniejszych i najbardziej doświadczonych lekarzy, aby wytłumaczyli uzdrowienie w jednej chwili p. Chartron z choroby w najwyższym swoim rozwoju, która ją doprowadziła do szczytu sparaliżowania i gorączki z równoczesnem ropieniem sześciu kręgów pacierzowych, a oświadczą oni jednozgodnie, że jest to jeden jedyny wypadek w nauce!

E. Gagniard, (ojciec)
doktor medycyny.

2. Rajmund Caral, b. urzędnik cłowy, dotknięty został straszną chorobą raka w twarzy. Trzech lekarzy — t. j. Dr. Séméac, Estrémé i Delord, leczyło chorego napróżno. Rana była głęboka, krwawiąca i codzień bardziej się zwiększała. Dr. Delord posyłał chorego do Dra Rességuet, słynnego chirurga i dyrektora szpitala w Tuluzie, gdzie p. Caral miał poddać się operacyi. Zanim pojechał do Tuluzy, udał się za poradą żony do Lurd.

»Wyspowiadałem się, pisze on, przyjąłem Komunię św. i zstąpiłem do groty. Tam odjąłem płótno, zakrywające ranę, i począłem ją obmywać wodą cudowną. Co dnia robiłem to samo, i rana stopniowo się zmniejszała, a po ośmiu dniach znikła zupełnie, tak, że została z niej tylko mała blizna, którą ledwo zblizka dojrzeć było można«.

I jakąż wątpliwość uzasadnioną co do tej choroby i jej wyzdrowienia mieć można?... I jak wyzdrowienie to wytłumaczyć?... O naturze choroby niema wątpliwości. Rak, który mógł zrobić takie spustoszenie, mimo pomocy trzech lekarzy, należy z pewnością do najzłośliwszych chorób. Rany takie — nie goją się nigdy! — a przedewszystkiem w takim krótkim przeciągu czasu i przez obmywanie jedynie zimną wodą.

3. A teraz opowiedzmy uzdrowienie głuchoniemej od urodzenia, co jest w zwykłych warunkach, jak wiemy, zupełnie niemożliwem. I takich uzdrowień w Lurd było kilka. Spostrzeżenia i świadectwo Dra de La Mardelle, domowego lekarza rodziców Aurelii Bruneau, przedstawiają taką rękojmię, że może ona wytrzymać najsurowszą nawet krytykę.

Panienka ta, powierzona opiece lekarskiej Dra de La Mardelle'a, od pierwszych chwil swego dzieciństwa, zdradzała objawy, które budziły obawę że będzie głuchoniemą. Dr. Delot z Paryża, do którego zaprowadzono dzie-

cię, oświadczył, że kalectwo to jest nieuleczalne. Młoda Aurelia została powierzoną naprzód opiece Sióstr z Déols w Châteauroux, które się wyłącznie zajmują nauczaniem głuchoniemych, a następnie została wysłaną do Orleanu, do zakładu dla głuchoniemych. Mając już lat 20 wróciła jako głuchoniema na łono rodziny. Wtedy powzięła myśl udać się do po-

Chore z Tours, uzdrowione podczas pielgrzymki w r. 1899.

1. Filomena Pontonnier (odzyskała wzrok). 2. Ludwika Chupin (6 lat leżała chora na wrzód). 3. Julia Benieux (sparaliżowana od 14 miesięcy). 4. Izabela Basserlan (chora na żołądek od lat 5).

mocy wody cudownej z Lurd i przez 3 dni wpuszczała po kilka kropelek tej wody do uszu. Trzeciego dnia (11 października 1872) nagle w jednej chwili odzyskała słuch zupełny, którego przedtem nigdy nie miała!

Dr. de La Mardelle, zbadawszy Aurelię dokładnie, takie wydał świadectwo: »Panna Bruneau słyszy uderzenia poza drzwiami, akordy fortepianowe w innem mieszkaniu sąsiedniem, — nietylko słyszy, ale nawet zaczyna wymawiać niektóre słowa, dlatego właśnie, że je słyszy. Z tego wnieść muszę, że uzdrowienie to, otrzymane nie środkami zwykłymi, — ma charakter nadprzyrodzony!«

4. Dr. Chrestien, profesor wydziału lekarskiego w Montpellier, poświadczył szczegółowo uzdrowienie jednej ze swych pacyentek, Maryi Ludwiki Delpon, dotkniętej paraliżem członków, wykrzywieniem ust, i osłabieniem władz umysłowych. Gdy śmierć jej zdawała się być już nieuniknioną, woda z Lurd przywróciła jej bezwładnemu ciału życie i usunęła w jednej chwili wszelkie ślady choroby.

Dr. Chrestien świadectwo swoje tak kończy: »Dlaczegóżbym nie miał przyznać, że to uzdrowienie jest cudownem? Dlaczegóżbym nie miał mieć tej odwagi, bez względu na szyderstwa umysłów przeciwnych i wszystkiemu przeczących...? Niech się dzieje, co chce, prawdę powiedzieć muszę!« Dr. Chrestien wiedział dobrze, że znajdzie między swymi kolegami umysły przeciwne wszystkiemu, co święte i nadprzyrodzone, i wiedział, że jego twierdzenia wywołają u wielu tylko uśmiech niedowierzania, lecz przechodzi nad tem wszystkiem do porządku dziennego. Żaden wzgląd nie powstrzymuje go od wypowiedzenia całej prawdy i zupełnego swego przekonania.

5. Dr. Masurel z Lille, potwierdził uzdrowienie pewnej sieroty, mającej lat dwadzieścia, która od lat piętnastu była pozbawioną wszelkiej władzy w członkach. Profesor Parise, zapytany o zdanie, oświadczył, że choroba ta jest absolutnie nieuleczalną. I rzeczywiście z powodu angielskiej choroby, ręce i nogi były powykręcane na kształt łuku, stawy, z powodu nierównego obiegu krwi, coraz bardziej nabrzmiewały, a prawa noga krótszą była od lewej o dziesięć centymetrów. I oto jedna chwila — jedno napicie się wody z Lurd i zmówienie jednego »Zdrowaś« — zmieniło wszystko. Członki się wyprostowały, prawa noga przedłużyła się o 8 centymetrów, kolana odzyskały kształt i wielkość normalną, i sierota zaczęła sama chodzić po raz pierwszy od lat piętnastu!

W tych warunkach umysł ludzki nie może sobie zdać sprawy z faktu; wie tylko, że się jest już zupełnie poza zwykłym obrębem świata przyrodzonego. Przy takich zdarzeniach poważnych potrzeba świadectwa; powaga Dr. Masurel jednak daje nam rękojmię, że fakt przez niego opisany, rzeczywiście za cudowny uważać należy.

6. Dr. Moreau podaje również szczegóły zdumiewającego uzdrowienia jednej ze swoich pacyentek. Filomena Simonneau, mająca lat dwadzieścia, była od lat pięciu dotknięta obrzękiem gruźliczym *(tumor*

albus) stawu skokowego. Rozliczne fistuły potworzyły się wskutek tego w rozmaitych miejscach i sprawiały nieznośne cierpienia. Gdy chora przybyła do Lurd — nietylko, że rany jej się zagoiły, lecz odzyskała zupełną władzę i giętkość w członkach, którą przedtem utraciła; chód zupełnie prawidłowy, chociaż poprzednio przez lat pięć nie mogła wcale nogą poruszyć. Dr. Morau tak mówi o tym fakcie: »Zostawiam mistrzom sławniejszym wytłumaczenie tego za pomocą danych naukowych: jak osoba będąca przez lat 5 bezwładną, pozbawiona od dawna ruchu, mogła tak nagle w jednej chwili, odzykać władzę używania swych członków! Jeżeliby wiara moja napotkała sceptyków, proszę ich, aby osobiście rzecz zbadali, bo to będzie nawet w interesie samej prawdy, i poddaję się chętnie ich wyrokowi.

»Mojem zdaniem panna Simonneau nie mogła być uzdrowioną sposobem naturalnym i nagłe jej wyleczenie, które stwierdzam z całą szczerością duszy i sumiennością, przechodzi możność współczesnej nauki lekarskiej i nie da się absolutnie wytłumaczyć żadną teoryą. Niema też w nauce drugiego takiego faktu.

20 października 1872. *H. Moreau,* doktor medycyny.

Pierwsi lekarze, którzy zaczęli mówić o cudach w Lurd, stawiali im żywy opór. Dziś kwestya przestaje być osobistą, a starają się ją zbijać ze stanowiska naukowego. Wmawiają oni suggestyę, hypnotyzm i rozmaite inne wpływy na umysły i organizmy chore i nerwowe.

Zamiast odpowiedzi przypomnimy tylko w następnym rozdziale najważniejsze uzdrowienia z r. 1873. W roku tym bowiem codziennie niemal spotykamy wielką ilość faktów zajmujących i ciekawych.

ROZDZIAŁ III.

Rok 1873 — 1874.

1. KAROLINA ESSERTEAU: (PARALIŻ). — 2. PANI ANCELIN: (CHOROBA SERCA). — 3. PANI DE LAMBERTERIE: (CHOROBA PRZEWODÓW POKARMOWYCH). — 4. Dr. GALLISON. — 5. TRZEJ LEKARZE Z MILHAU.

W r. 1873 od kwietnia do września pątników pielgrzymujących do Lurd było 140 tysięcy, prawie po ośmiuset na każdy dzień. Cyfra ta nie zawiera osób prywatnie zwiedzających cudowną miejscowość, ani gości kąpielowych z sąsiednich wód, ani turystów lub chorych, którzy nie opuszczają Pirenejów bez oddania hołdu Matce Najświętszej w grocie. Pielgrzymki do Lurd przybierają zupełnie charakter wszechświatowy.

W tej powodzi ludzkiej widzimy codziennie niemal uzdrowienia natychmiastowe, wykluczające w zupełności działanie samych tylko sił naturalnych.

1. Między innemi napotykamy nadzwyczajne uzdrowienie Karoliny Esserteau z Niort. Lat wiele ubiegło od czasu jej uzdrowienia, a choroba już nie wróciła. »Widzieliśmy Karolinę Esserteau w Rzymie w kwietniu r. 1888, — pisze dr. Boissarie — znoszącą dzielnie wszystkie trudy podróży«. Mgr. Pie, biskup z Poitiers, mówiąc o Karolinie Esserteau, orzekł, że nadprzyrodzony charakter jej uzdrowienia jest tak bijący w oczy, iż wątpić o nim niepodobna. »Mojem zdaniem — mówił ów biskup — cud ten jest jednym z największych, jakie zaszły za łaską Boga w przybytku Matki Najśw. w Lurd«!

Karolina Esserteau.

Karolina Esserteau była sparaliżowaną od lat dziesięciu. Podług świadectwa Dra Peyrusse z Narbonny, w chwili przybycia do Lurd była ona podobniejszą do trupa, niż do żyjącej istoty. Lekarz widział chorą przed wejściem do źródła, a potem również oglądał ją po wyjściu z tegoż i mógł zauważyć, jaka nagła zaszła w niej zmiana! Karolina szła teraz krokiem pewnym, nogi jej, dotychczas bezwładne i uschnięte, nabrały nagle siły i wyglądały tak, jak u osoby zupełnie zdrowej. Muszkuły, zanikłe od lat wielu, znowu się odnowiły we wodzie. — Tak nagłe i zupełne odrodzenie tkanek, to objaw nadzwyczajny, który się nigdy nie zdarza. Sam nawet Dr. Charcot uznał, że taki rezultat leży poza obrębem sił natury.

To uzdrowienie miało za świadków wielu lekarzy, którzy dali o niem szczegółowe świadectwa. Dr. Vizerie, protestant, starszy chi-

rurg 10 pułku kirasyerów, wyrzekł otwarcie: »Niezwykłe to uzdrowienie zdaje mi się być wynikiem tej wiary, która góry przenosi«.

Dr. Grimaud z Barèges, który przez dwa lata leczył Karolinę, uznaje również cudowność jej uzdrowienia, pisząc w parę dni po tem do Karoliny: »Smutny stan, w jakim panią pozostawiłem, nie mógł się polepszyć za pomocą ludzkich środków. Jesteś pani wskrzeszoną w całem tego słowa znaczeniu, a co większa, jesteś wybranką Boga, bo Bóg nie czyni podobnych cudów dla serc obojętnych. Niech więc pani w swych modlitwach nie zapomina o tym, który napróżno usiłował cię uzdrowić«.

2. Dr. Eugeniusz Thibault z Nantes, opowiada nam w sumiennem sprawozdaniu uzdrowienie pani Ancelin, siostry Dra Morillon z Oise.

»Leczyłem — mówi on — p. Ancelin już od r. 1859. Organiczna choroba serca, natury reumatycznej, spowodowała u niej ogólną wodną puchlinę. Od roku 1871 życie jej stało się prawdziwą męczarnią. Duszność, kaszel, krwiotoki, poty, gorączka, wszystko to powiększało jej cierpienia.

»Gdy się miała odbyć pierwsza pielgrzymka z Nantes do Lurd, chora zapragnęła gorąco wziąć w niej udział. Projekt ten wydał mi się nierozsądnym i niemożliwym do urzeczywistnienia. Podróż w opłakanych warunkach, gdyż pora roku nie była wcale do tego odpowiednią. Skutkiem ciągłego deszczu ubranie na chorej było przemoczone zupełnie, a nie mogła go wcale zmieniać, aż do powrotu. Wszystko więc tak się złożyło, że mogło tylko stan choroby pogorszyć, a nawet przyśpieszyć śmierć.

Dr. Thibault dodaje: »Zobaczyłem ją po powrocie, była jakby przeistoczona!... Przyszła pieszo z dworca kolejowego w Nantes do domu i nie odczuwała odtąd ani gorączki, ani duszności, ani żadnego z poprzednich objawów. Puchlina znikła, a uzdrowienie natychmiastowe i zupełne pokonało tak długą i bolesną chorobę. Zachodzi tu istotnie wypadek niebywały i nadzwyczajny, bo chociaż choroby takie są czasem możliwe do wyleczenia, (co rzadko się zdarza), to wyleczenie następuje powoli. Ale w tak złej porze i w podobny sposób, jak tu ono miało miejsce, to rzecz niebywała! Od czasu tej pielgrzymki pani owa wybornem cieszy się zdrowiem«.

3. I znowu trzej lekarze z departamentów Corrèz i Lot przyznają, że uzdrowienie pani de Lamberterie nastąpiło w warunkach tak nadzwyczajnych, tak nieoczekiwanych, iż medycyna nie może go sobie przypisać ani też zaprzeczyć nadnaturalnych przyczyn uzdrowienia.

Pani de Lamberterie była chorą od r. 1869, a przyczyną jej cierpień były zaburzenia w organach i przewodach pokarmowych trawienia.

Dr. Brun stwierdził znaczne powiększenie wątroby tak, że brzeg jej dolny występował poza ostatnie »rzekome« żebro na szerokość trzech palców. W roku 1872 na domiar złego, skutkiem silnie rozwiniętej »bębnicy« stan chorej był już tak groźnym, że nasuwał lekarzom najpoważniejsze obawy.

W takich więc okolicznościach pani de Lamberterie zaczęła odprawiać nowennę do Matki Boskiej z Lurd. W siódmym dniu nowenny zauważyć można było łatwo, że wątroba już się zmniejszyła do pierwotnych rozmiarów. Dzięki temu i przyległe organa, tak uciskane, znalazły się w normalnem położeniu i uzdrowienie nastąpiło bez widocznego przejścia, w takich chorobach zwykłego. Odtąd czynności wszystkich organów stały się prawidłowe i ślady choroby zupełnie zostały usunięte.

Niezmierną wagę w tym wypadku ma świadectwo lekarzy, którzy nie wahają się wypowiedzieć swego zdania ze szczerością, przynoszącą im prawdziwy zaszczyt. »Trzech tych lekarzy — pisze dr. Boissarie — znam osobiście, mam z nimi stosunki zawodowe i mogę zapewnić o ich nauce i uczciwości. Dr. Pomarel, dyrektor szpitala w Brive, należy do najwybitniejszych lekarzy Corrèz, a Dr. Brun jest najbardziej popularnym i poszukiwanym lekarzem w departamencie Lot. Któżby mógł jeszcze słusznie wątpić o cudownem uzdrowieniu, jeźli cudowności tegoż nie zaprzeczają lekarze tacy, jak wymienieni. Świadectwa, złożone w podobnych warunkach, mają niezwykłą doniosłość. — Tembardziej, że nie chodzi tu o zwykłą chorą ze szpitala, wmięszaną w tłum chorych na ogromnej sali; pacyentka ta jest osobą z wyższych warstw społeczeństwa, przyjaciółką owych lekarzy, którzy charakter jej znali osobiście a życie jej nie miało dla nich żadnych tajemnic.«

4. Dr Galisson, z departamentu Maine et Loire, podaje nam wyniki swych badań na pewnej chorej, którą leczył przez lat 27, a która była dotkniętą chorobą biodra, *(coxalgia)* połączoną z ukróceniem i opuchnięciem kolana prawego, oraz nabrzmieniem wszystkich przyległych organów.

Dnia 27 sierpnia 1874 roku chorą ta odzyskała w grocie w Lurd giętkość we wszystkich stawach, dawno zamarłych, nogą prawa z tą chwilą niczem się już nie różniła od nogi lewej i nie miałą nawet potem na sobie śladu przebytej choroby.

Przy końcu swego sprawozdania Dr. Galisson pisze, co następuje: »Śledziłem przez czterdzieści trzy lata cały przebieg choroby i wedle mego zdania, uważałem takową za nieuleczalną do końca życia. Mogę to zapewnić z całą świadomością rzeczy i z całą otwartością sumienia, że natychmiastowe to wyleczenie należy do wydarzeń nadprzyrodzonych. Z wyznaniem tego świadectwa czekałem od chwili uzdrowienia

Chory z ranami na szyi uzdrowiony w r. 1898. Przez rany te pokarmy przedostawały się na zewnątrz od lat 12-tu.

jeszcze pięć miesięcy, po upływie których widząc, że choroba nie wróciła, postanowiłem skreślić niniejsze sprawozdanie.

Dr. P. Galisson,
praktykujący w gminie od lat 43.

Rochefort sur Loire d. 30 stycznia 1875.

5. Zakonnica ze Zgromadzenia św. Józefa, sparaliżowana od lat wielu, prosi o pozwolenie odbycia pielgrzymki. Przełożona pragnąc uniknąć wszelkiej nieostrożności, wzywa trzech lekarzy z Milhau. Jeden z nich, dr. Lubac, odpowiada: »Co do zamierzonej podróży i kąpieli, to uważam je za szkodliwe i już nie po raz pierwszy zakazuję tego moim pacyentom. Kąpiel zimna może tylko pogorszyć chorobę. »Dr. Rufin wyraża to samo zdanie, ale w sposób delikatniejszy, mówiąc: »Środek, o którym mi pani mówi, jest bardzo gwałtownym i używając go, można sobie bardzo zaszkodzić, ale czasami osiąga się wyniki zadziwiające... Przezorny lekarz zostawia takie środki do osobistej woli pacyentów«.

Jeden tylko Dr. Bonneviale zaznacza pomyślne wyniki, otrzymane za powrotem z Lurd, uznając, że Najświętsza Panna była mędrszą od lekarzy. Uzdrowienie owej siostry, które nastąpiło po zanurzeniu jej w wodzie w Lurd, uznał on bez wahania za cudowne.

W tym samym roku znajdujemy jeszcze świadectwa uzdrowień, skreślone przez Drów Fabre z Marsylii, Charuau z Nantes, Puech'a z Nîmes, Dumas'a z Cette, Aubry'a z Blois.

Mamy tam również sprawozdanie z uzdrowienia księdza de Musy, opisanego tak pięknie przez pana Lasserre w *Épisodes miraculeux*, które w swoim czasie wielki zyskało rozgłos.

ROZDZIAŁ IV.

Rok 1875.

PIOTR RUDDER. — NOGA ZŁAMANA A NIEZROŚNIĘTA OD LAT OŚMIU. — ZROŚNIĘCIE JEJ NATYCHMIASTOWE. — ŚWIADECTWA. — OSTATNIE BADANIA.

Piotr Rudder urodził się dnia 2 lipca 1838 r. w Jabbeke w zachodniej Flandryi. Pracując jako robotnik u pana Dubus de Ghisignies, 16 lutego 1867 r. wracał on do domu; na drodze spotkał synów Jana Knockaert, którzy ścinali drzewa. Piotr postawił nogę na jednem z drzew ściętych, leżących na drodze; nagle drugie drzewo ścięte pada na niego, łamiąc nogę nieszczęśliwemu robotnikowi. Kość była złamaną na odle-

głość 9 cm. poniżej kolana. Przeniesiono go do domu wśród strasznych męczarni. Dr Affenaer, lekarz z Oudenbergu, złożył nogę i założył bandaże. W pięć tygodni potem utworzyła się wielka rana i kość

Piotr Rudder.

psuć się zaczęła. Kiedy Dr. Affenaer uznał swą bezsilność wobec choroby, Piotr wezwał z Brygi doktorów Jacques'a i Verriet'a, którzy nie byli jednak szczęśliwszymi od swego kolegi. Następnie wezwano jeszcze

trzech innych lekarzy ze Stalhille, Varseny i Brukseli, ale i ci nic nie pomogli.

Biedny robotnik, zniósłszy szalone męczarnie, musiał jeszcze leżeć rok cały, a potem wlec się na kulach przez lat osiem i dwa miesiące.

Piotr od dzieciństwa był pobożnym, a ufność jego ku Matce Najświętszej nie miała granic. Słysząc o cudach, które się działy w Lurd, zaczął się cieszyć większą jeszcze nadzieją i zawołał: »Jeśli odbędę tę pielgrzymkę — Matka Najświętsza uzdrowi mnie, bo to najlepsza matka«!

Ale jak odbyć tę podróż? Dolna część nogi trzymała się słabo — i dała się wykręcać na wszystkie strony.

Piotr złożył całą swą ufność w Dziewicy w Lurd zjawionej, — przygotował się przez żarliwą modlitwę do tak nużącej pielgrzymki. Dnia 7 kwietnia 1875, wsparty na kulach, zawlókł się przy pomocy żony do stacyi kolejowej w Jabbeke, oddalonej o pół godziny drogi od jego mieszkania. Na przebycie tej przestrzeni potrzebował trzech godzin. Trzech ludzi wsadziło go do wagonu i tak zajechał do Gandawy.

Konduktor kolejowy szydził sobie z jego pielgrzymki, a ponieważ rana wydawała woń nieznośną i w dodatku ociekała tak, że materya z rany zanieczyściła wagon, jeszcze mu za to robił wyrzuty. Ze stacyi kolejowej w Gandawie wyniesiono chorego do tramwaju, a następnie do omnibusu, którym pojechał aż do Saint-Amand, i wysiadł na drodze wiodącej do groty w Oostacker, wzniesionej na wzór cudownej groty w Lurd.

Tak więc znalazł się biedny kaleka na drodze ocienionej drzewami, którą szli liczni pielgrzymi z różańcem w ręku. Wyczerpany cierpieniem i znużeniem dotarł Piotr z wielkim trudem do upragnionej groty. Po drodze jeden z pielgrzymów potrącił przez nieostrożność jego chorą nogę, co biednemu Rudderowi sprawiło wielkie boleści. Osłabiony usiadł na ławce, a ponieważ pragnienie mu dokuczało, prosił więc o trochę wody ze źródła i wypiwszy ją, uczuł się pokrzepionym. Inni pielgrzymi, stosownie do przyjętego zwyczaju, obchodzili wkoło grotę trzy razy. Piotr chciał się z nimi połączyć, wziął więc kule i szedł, a doszedłszy do statuy cudownej, usiadł na ławce naprzeciw Niepokalanej Dziewicy. Potem modlić się zaczął sercem gorącem: prosił Boga o przebaczenie za grzechy całego życia, a zwracając na Matkę Najświętszą wzrok pełen ufności i miłości, błagał Ją o przywrócenie zdrowia, aby mógł zarabiać na życie i własną pracą wyżywić swe dzieci i żonę. Wtem, gdy się tak modli, czuje, że całe jego jestestwo przejmuje dziwne wstrząśnienie, traci przytomność — i po jakimś czasie wstaje o własnych siłach, bez kul — biegnie wzdłuż ławek i rzuca się na kolana przed Matką Najświętszą. Po kilku minutach modlitwy Piotr przychodzi do siebie i ze zdziwieniem pyta: »Mój Boże! — gdzie

ja jestem«...? Poznaje, że jest bez kul i że klęczy o własnej mocy. Potem spoglądając na statuę Najświętszej Dziewicy wzrokiem pełnym wdzięczności i miłości, woła do Niej: »O Maryo, oto widzisz mnie przed drogim Twym wizerunkiem — dzięki Ci! dzięki!« Potem spostrzegłszy swe kule zdala leżące, wstaje, bierze je i opiera o grotę...

Żona jego widząc to wszystko omal nie zemdlała ze zdumienia; wszyscy obecni płakali, a Piotr, nic nie słysząc i nic nie widząc wkoło siebie, cały tylko oddany uczuciom wdzięczności, dokończył trzykrotnego pochodu dokoła góry. Następnie tłumy go otoczyły, prowadząc do zamku Courtebourne i oglądając uzdrowioną nogę. Dwie owe przedtem rozłączone części kości zrosły się z sobą zupełnie, rany znikły, a lekka tylko blizna oznaczała miejsce złamania.

Wróciwszy do Jabbeke Piotr, udał się naprzód do kościoła, aby Panu Bogu, Stwórcy wszystkiego dobra, podziękować za doznane łaski. Następnie powrócił do swojej chatki, gdzie go już wyprzedziła wiadomość o jego uzdrowieniu. Córka Sylwia z płaczem rzuciła mu się na szyję. Pobożna ta dzieweczka od wczesnego ranka zapaliła świecę przed obrazem Matki Najświętszej. Mały syn jego August, nie poznał ojca, którego nie widział nigdy chodzącego bez kul.

Dr. Affenaer, badając teraz nogę Piotra, rozpłakał się i zawołał: »Jesteś zupełnie uzdrowiony i twoja noga jest tak zdrową, jak u nowonarodzonego dziecka! Wszystkie środki ludzkie były wobec choroby bezsilne, lecz czego nie potrafili dokonać lekarze, tego dokonała Marya!«

Oddtąd pobożny robotnik powracał nieraz do groty, gdzie na dziękczynnej modlitwie spędzał całe godziny, a najmilszą jego czynnością było głoszenie chwały i potęgi cudownej Opiekunki.

Dnia 9 maja 1879 roku Piotr Rudder przybył jako pielgrzym do Lurd. Tłumacz jego opowiadał o przedziwnych skutkach, jakie cud przez niego doznany sprawił w Jabbeke, rodzinnym zakątku Piotra. Kościół bywał pełen ludzi; bywało tam i po 1500 obecnych na 2000 mieszkańców. Przed cudem Jabbeke słynęło niestety ze złych obyczajów i z niedowiarstwa, a po dokonanym cudzie wszystko się zmieniło; współobywatele Piotra stali się pobożnymi i dobrymi katolikami. Rozgłos tego cudownego uzdrowienia rozszedł się daleko. Dwudziestu dwóch lekarzy, a między nimi jeden z Paryża, przybyli do Piotra Ruddera. Wśród tłumów ciekawych było trzystu księży, czterech biskupów, z których dwóch przybyło z zagranicy.

Piotr chodził prawie każdego tygodnia do groty M. Najświętszej w Oostacker, gdzie był aż 117 razy. Znaleźli się jednak tacy, którzy pewnego razu urządzili na niego zasadzkę, aby go obić. Prześladowanie to wszakże nie wywarło wrażenia na człowieku, który całą swą ufność

położył w Bogu. Prosty ten robotnik, tak wielki przez swą wiarę i miłość, był prawdziwym wzorem wierzącego i pobożnego Belgijczyka.

Lekarz Piotra Rudder'a pisał do doktora Boissarie po dwa kroć, pierwszy raz dnia 21 sierpnia, a drugi raz d. 3 września.

W pierwszym jego liście czytamy co następuje: »Piotr Rudder miał nogę złamaną skutkiem upadnięcia na nią drzewa. Kości w miejscu zgruchotanem były potrzaskane na tak liczne odłamy, że poruszając chorą nogą, słyszeć można było chrzęst taki, jak gdyby ktoś potrząsał workiem napełnionym orzechami. Zrośnięcie więc nigdy nie mogło nastąpić. Napróżno hrabia Dubus leczył go własnym kosztem w przeciągu lat 6. Wreszcie biedny ten człowiek, opuszczony i skazany na dożywotnie kalectwo, był już blizkim rozpaczy, gdym po raz pierwszy zbadał jego nogę. Nie potrzeba tu długich opisów: część dolna nogi wisiała i obracała się na wszystkie strony. Po pielgrzymce stwierdziłem zupełne zrośnięcie się zgruchotanej kości«.

W drugim liście tenże sam lekarz pisze:

»W chwili przedsięwzięcia pobożnej swej pielgrzymki Piotr Rudder już od lat ośmiu wlókł nogę za sobą i z trudnością mógł się poruszać przy pomocy kul — dolna część nogi wisiała zupełnie bezwładnie. Tego samego wieczora Piotr wrócił bez kul, a nawet i skacząc do domu, a nazajutrz zrobił pieszo kilka mil drogi szczęśliwy, że mógł użyć przechadzki, której od tak dawna był pozbawionym. Naturalnie, że poszedłem go odwiedzić, lecz muszę wyznać, że z początku nie wierzyłem w to uzdrowienie. I cóż znalazłem? Oto nogę, której nic nie brakowało tak, że gdybym jej przedtem sam nie był leczył, nie chciałbym wierzyć, że kiedykolwiek była złamaną. Przesuwając powoli palcami wzdłuż kości od góry do dołu, czułem równą zupełnie powierzchnię. Jedynym śladem przebytej choroby była mała blizna na kości i na skórze«.

Na zakończenie tego listu pisze:

»Może list ten przeczyta pan Zola; jeśli tak, to byłbym szczęśliwym i napisałbym do niego następujące słowa: Panie, byłem niewierzącym, jak i Ty, lecz cud dokonany na Rudderze, otworzył mi oczy, zamknięte dotąd dla wyższego światła.

»Czasami jeszcze ogarniało mię zwątpienie, lecz zabrałem się do zgłębiania religii katolickiej i do modlitwy. Otóż wyznaję szczerze że nie mam już wątpliwości i wierzę zupełnie. Dodam też jeszcze, że wiara przyniosła mi szczęście i spokój wewnętrzny, którego dotąd nie znałem. Wreszcie dorzucę jeszcze na zakończenie, że noga owa jest bardzo ciekawym okazem do badania, ze względu na zrośnięcie i wzmocnienie złamanego miejsca. Widocznie Matka Najświętsza nie leczy w zwykły, naturalny sposób«.

»Czytałem często te dwa listy, pisze dr. Boissarie, licznym lekarzom, którzy mię otaczali, i robiły one zawsze głębokie wrażenie, a wielu z lekarzy prosiło o ogłoszenie ich publicznie.

»Belgijczycy chcieli nam rzucić wyzwanie w miesiącu sierpniu roku ubiegłego. Kiedy wobec licznego audytoryum pokazywałem Klementynę Trouvé, która podobnież była uzdrowioną natychmiastowo z próchnienia kości w nodze, obecny tam Zola zawołał: »Jeślibym miał w ręku fakta, o których sądzicie, że je macie, tobym nimi poruszył świat i przyprowadził tu tłumy ludzi«.

Dr. Royer z Lens-Saint-Rémy nie wahał się porzucić swą praktykę, aby się na czas dłuższy przenieść do Jabbeke i zbierać wszystkie możliwe świadectwa, bez różnicy opinii i osób. Wreszcie, pragnąc swym badaniom nadać jak największą cechę prawdziwości, aby nikt go o nic nie mógł posądzić, chciał je przedsięwziąć wspólnie z drugim lekarzem, całkowicie niewierzącym, lecz szukającym w dobrej wierze prawdy. Wskazano mu więc Dra Mottart z Hannut, który odpowiadał postawionym warunkom. Dr. Royer napisał doń list następujący:

Lens-Saint-Rémy, d. 16 grudnia 1892.

Szanowny Kolego!

Posłałem już Panu październikowy zeszyt »Roczników Lurd«, w którym mógł pan odczytać sprawozdanie o uzdrowieniu Ruddera.

Teraz w interesie prawdy chcę Pana prosić, abyś był łaskaw uczestniczyć w badaniu i roztrząsaniu świadectwa żyjącego jeszcze Ruddera. Znane Pańskie zasady są dla wszystkich rękojmią sprawiedliwości, do tego stopnia, ze mieszkańcy Huy chcą opłacić wszystkie koszta podróży, bylebyś Pan tylko był obecnym. Udamy się więc do Jabbeke i będziemy mówili z lekarzami, którzy leczyli Ruddera. Jeśli Szan. Kolega przyjmiesz moją propozycyę, to będziemy razem badali wszystko, aby tem lepiej dojść do prawdy.

Zostaję z szacunkiem *Dr. Royer.*

Dr. Mottart odpowiedział w następujący sposób:

Mój drogi Kolego!

Wyznaję, że nie otrzymałem broszury, o której Szan. Pan piszesz i czytam tylko wyjątkowo to i owo z pomiędzy mnóstwa korespondencyi w dziennikach, broszurach i innych pismach, które o tym fakcie pisały. Pomimo znanych Panu wogóle moich przekonań oświadczam, że w tym względzie ani przeczę temu, ani twierdzę — nie znam bowiem wcale choroby Ruddera. Proszę raz jeszcze o przysłanie tej broszury, abym się zastanowił, jakie mam w tej sprawie zająć stanowisko.

Łączę wyrazy etc...

Dr. Mottart.

Dnia 18 grudnia Dr. Mottart dostał broszurę; nazajatrz spotkał się z Dr. Royer na dworcu w Hannut; powiedział mu, że przeczytał broszurę i przyrzekł rychłą odpowiedź. Dr. Royer nie otrzymał jednak od niego ani słówka, skądinąd dowiedział się tylko, że tenże postanowił nie przyjąć propozycyi. Dr. Royer postanowił więc sam działać i napisał natychmiast do Dra ze Stalhille, oraz do proboszcza w Jabbeke, zawiadamiając ich o swojem przybyciu dnia 18 stycznia.

»Przyjechałem do Brukseli — pisze Dr. Royer — i tam miałem przesiąść się do innego pociągu. Siedząc w wagonie, prowadziłem religijną rozmowę z pewnym kupcem, który jechał do Brygi, leżącej w pobliżu Jabbeke.

»Był on człowiekiem niewierzącym. Ponieważ umiał po francusku, więc po francusku powiedziałem mu o całym moim projekcie i prosiłem go, aby mi towarzyszył. Kupiec zgodził się chętnie na moją propozycyę i obiecał służyć mi za tłumacza. Zyskałem więc niedowiarka, który mi był tak potrzebnym, a którego napróżno dotąd szukałem. Świadectwa te dwóch ludzi, należących do dwóch przeciwnych obozów, dadzą więcej siły naszym wywodom«.

Dr. Royer.

I. Zeznania Dra Van Hoestenberghe ze Stalhille (miejscowości koło Jabbeke).

»Kiedy pokazałem mojemu koledze »Roczniki Lurd« z dnia 12 października 1892, zawierające ustępy z listów, podpisanych jego nazwiskiem, a pisanych do Dra Boissarie, potwierdził mi autentyczność tychże, dodając, że głoszą one jak najściślejszą prawdę. Po chwili rzekł, co następuje:

»Nie byłem lekarzem Piotra Ruddera, ale słysząc tak wiele o nim, odwiedziłem go przez ciekawość. Choroba jego wydała mi się nadzwyczajną i nieuleczalną. Dr. Affenaer używał wszystkich środków, założył nieruchomy bandaż na nogę i trzymał go tak przez pięć tygodni, lecz ponieważ chory narzekał na dolegliwości straszne, zdjęto więc bandaż i ujrzano ropiącą ranę. Po doktorze Affenaer wezwano Dra Verriert,

który miał zasłużoną sławę, ale i ten opuścił Ruddera, pomimo zapewnionego honoraryum od rodziny Dubus.

»Rudder miał straszną otwartą ranę — widać w niej było dwa odłamy kości, odległe na 3 ctm. jeden od drugiego tak, że nie było nadziei ich zrośnięcia. Taki stan rzeczy trwał przez lat osiem. Dolna część nogi była zupełnie ruchomą i na wszystkie strony można ją było obracać... W tym stanie noga była nieuleczalną, a rana niemożliwą do wygojenia. I oto po pielgrzymce nastąpiło wyzdrowienie zupełne, bez śladu rany, bez skrócenia nogi. W dodatku chory miał drugą wielką ranę na pięcie, którą ropa ściekała. Rana ta została również nagle uleczoną. Gdybym był miał jakie jeszcze wątpliwości, to rozprószyłyby się one wobec świadectwa Jana Houtsaeger'a ze Stalhille. Jest to człowiek inteligentny, a wcale nie przesadnie pobożny, nie można zatem wątpić w wiarogodność jego zeznania.«

II. Zeznania Jana Houtsaegera, bednarza w Stalhille.

»Przypominam sobie dokładnie — mówi on — że 27 kwietnia 1875 będąc na drodze, zauważyłem niezwykły ruch wśród mieszkańców w Jabbeke. Zapytałem więc o przyczynę i odpowiedziano mi, że Piotr Rudder wrócił zupełnie uzdrowiony.

— Jakto? — zawołałem — Rudder uzdrowiony? Toż w przeszłym jeszcze tygodniu widziałem złamaną jego nogę. — Wtem pośród tłumu widzę Ruddera, wracającego ze stacyi, a idącego doskonale i bez kul.

— A cóżeś pan przedtem widział na jego nodze?

— Widziałem ranę wielkości dłoni.

— Czy bielizna była wilgotną?

— Tak, skutkiem krwawej ropy, która się sączyła z rany, wydając woń bardzo niemiłą.

— A czyś dobrze widział, że noga była złamaną?

— Tak, Piotr ręką zgiął nogę w ten sposób, że dwa końce kości w ranie widzieć było można.

— Czy dotykałeś pan kości?

— Nie.

— Czy kości te były białe czy czarne?

— Ani białe, ani czarne...

— A czy końce kości były zaokrąglone?

— Nie, miały kształt przedmiotu złamanego. Piotr pokazywał mi, jak może poruszać dolną częścią nogi naprzód i w tył.

»Świadectwo to zostało złożone w obecności wielu osób«.

III. Zeznania Edwarda Van Hooren, sąsiada Ruddera.

— Czy znasz pan Ruddera?

— Tak, jestem jego sąsiadem.

— Czyś pan podpisywał to świadectwo?

»Dr. ze Stalhille przetłumaczył mu świadectwo, ogłoszone już w publicznej broszurze przez księdza Le Couvreur, proboszcza z Saint-Laurent, w Bayeux (Calvados), które brzmi jak następuje:

»Niżej podpisani poświadczają, że dnia 6 kwietnia 1875 widzieli jeszcze nogę Ruddera, złamaną na dwie części, i kości rozdzielone raną w odległości 3 ctm. Oświadczamy również, że dnia 7 kwietnia Rudder wrócił z pielgrzymki do M. B. z Lurd w Oostacker — zupełnie już uzdrowionym. Kość była zrośnięta, rana znikła tak, że Rudder mógł sam chodzić i pracować jak dawniej przed wypadkiem.«

Juliusz Van Hooren, Edward Van Hooren, Maria Wittizacle.

Jabbeke dnia 25 kwietnia 1875.

— Tak, podpisałem to świadectwo.

— A czyście wiedzieli, coście podpisywali?

— Tak, z pewnością.

— Czy rzeczywiście w wilię dnia tego widziałeś pan Ruddera?

— Tak, w dniu poprzedzającym byłem u Piotra z moim synem i Maryą Wittizacle.

— I cóżeście widzieli?

— Piotr odkrył nogę, aby ją obandażować, i pokazał nam dwa końce złamanej kości.

— Czy kość nie była złączoną?

— Nie, była taka, jaką widziałem i przedtem. Kości były rozdzielone, a dolna część nogi była ruchoma i można było nią obracać na wszystkie strony.

— Kiedyście zobaczyli Ruddera uzdrowionego?

— Nazajutrz po owym dniu, w którym widziałem jeszcze złamaną jego nogę. Stałem we drzwiach domu, gdym zobaczył Piotra powracającego z pielgrzymki, a idącego doskonale i bez kuli.

»Po tem zeznaniu zapytałem ks. proboszcza:

— Czy są teraz w Jabbeke ludzie niewierzący lub niepraktykujący?

— Nie, teraz już niema takich, ale jeden z tych, co podpisywali świadectwo, był wolnomyślnym, a nazywał się de Sorge.

— Czy się nawrócił?

— Nie, umarł tego samego roku i był pogrzebany bez posługi kościelnej. Prawda, że umarł prawie nagle i nie mógł pojednać się z Bogiem, bo stracił przytomność od początku choroby. — Był też jeden

niewierzący i nazywał się de Veisch, ale ten od czasu słynnego uzdrowienia Ruddera zupełnie się nawrócił.

»Świadectwo to zostało potwierdzonem przez wiele osób obecnych«.

IV. Zeznania Baltazara de Jacgher, budnika kolejowego w Jabbeke.

»Baltazar de Jacgher, zapytywany przezemnie, oświadczył, że pomagał przy wsadzaniu Ruddera do pociągu w chwili jego wyjazdu do Oostacker.

— Czyś pan przy odjeździe widział nogę złamaną? Czy widziałeś, że wisiała i obracała się na wszystkie strony?

— Nie, tego dnia jej nie widziałem, alem ją widział obnażoną na osiem dni przed pielgrzymką.

— A cóżeś pan wtedy zauważył?

— Widziałem dwie rany, a dolną część nogi ruchomą i obracającą się we wszystkich kierunkach. Piotr pojechał koleją około 6 rano, a wieczór widziałem go już uzdrowionego i idącego zupełnie bez pomocy«.

V. Zeznania 75-letniego Piotra Blomme z Jabbeke, byłego strażnika przy rogatce kolejowej.

»Złożył on świadectwo, że z kilkoma innemi osobami pomagał Rudderowi wsiadać do wagonu, gdy tenże udawał się na pielgrzymkę. Rudder, mieszkający daleko od stacyi kolei, wypoczywał nawet w jego domku. Blomme zauważył także niezwykłą ruchomość nogi Ruddera i rzekł do niego: »co ty tam będziesz robił w Oostacker? Zostań lepiej w domu«.

»Blomme opowiadał, że zdziwienie jego nie miało granic, gdy wieczorem zobaczył go zdrowym, schodzącym z wagonu bez pomocy kul. Zapytany, czy pamięć go przypadkiem nie myli, odpowiedział z oburzeniem, że wybornie wszystko pamięta i po raz drugi powtórzył to samo ze wszelkimi szczegółami«.

VI. Świadectwo Piotra Ruddera.

»Piotr opowiada o swym wypadku z r. 1876, o złamaniu nogi, bandażowaniu przez Dra Affenaer'a, leczeniu przez Dra Verriert'a, potem mówi o ranie, o boleściach i tp. Opowiadał też o wyginaniu się obu części złamanej nogi, powtarzając to wszystko, co inni już mówili.

— A więc to nie było złudzeniem, tylko uzdrowieniem prawdziwem?

— Tak, noga moja była nie do wyleczenia, byłem już opuszczonym przez wszystkich lekarzy.

— Czy były osoby, które widziały nogę przed samą pielgrzymką?

— Tak, były we wilię odjazdu, a między niemi i Edward Van Hooren.

— Opowiedz mi o pielgrzymce.

— Pojechałem z żoną, która mię podtrzymywała. Innych pielgrzymów z Jabbeke w tym dniu nie było. Długo musiałem iść na dworzec. Tam jeden ze strażników żartował sobie ze mnie, mówiąc: »Co tam będziesz robił w Oostacker z taką nogą, zostań lepiej w domu«.

— Kto był tym strażnikiem?

— Piotr Blomme — kilku innych pomagało mi przy wsiadaniu. Woźnica, który mię wiózł z Gandawy do Oostacker, tęgi chłop, sam zniósł mię z wozu, a widząc chwiejącą się nogę, zawołał: »Oto człowiek, który gubi nogę po drodze«. Przybywszy do groty, napiłem się wody i odpocząłem. Potem obszedłem grotę dwa razy, za trzecim razem usiadłem naprzeciw statuy Matki Najświętszej i modliłem się. Prosiłem Boga o odpuszczenie grzechów i o uzdrowienie, abym mógł pracować dla rodziny. Następnie całkiem straciłem przytomność, wstałem, i bez kul zacząłem chodzić, upadłem na kolana, nie wiedząc co czynię, i nie zważając na brak kul. Nagle, przyszedłszy do zmysłów — poznałem na klęczkach, że jestem uzdrowionym. Na ten widok żona moja zemdlała. Tłum ludzi zebrał się koło mnie. Noga, przedtem spuchnięta, przybrała zwykłe swe rozmiary, a szmaty będące na niej, same opadły.

— I odtąd mogłeś już sam chodzić bez kul?

— Tak, byłem zupełnie zdrów, rany się zabliźniły, kości się zrosły, w ten sposób, że swobodnie odtąd sam mogłem chodzić, ale przez osiem dni nie nosiłem obuwia, albowiem noga była tak wydelikaconą, żem niczego na niej znieść nie mógł.

»Na moje życzenie Piotr obnażył nogę prawą i lewą. Na lewej nodze widzieć można było bliznę niebieskawą, długą na parę centymetrów, której niema na prawej. Noga lewa była tak prosta, jak i druga i nie była wcale od niej krótszą.

»Piotr jest silnym jeszcze starcem, jego żona i dzieci są zupełnie zdrowe, obecnie pracuje on jako ogrodnik u wicehrabiny Dubus de Ghisignies«.

* * *

Opisana powyżej ankieta tak pod względem metody jak i bezstronności, odbyła się bez zarzutu.

Naprzód zapytano lekarzy, których świadectwa są najdokładniej sformułowane. Głoszą oni nietylko, że Rudder został uzdrowionym w jednej chwili, ale dodają, że uzdrowionym został w sposób nadprzyrodzony, tj. bez skrócenia nogi i bez innych następstw widocznych.

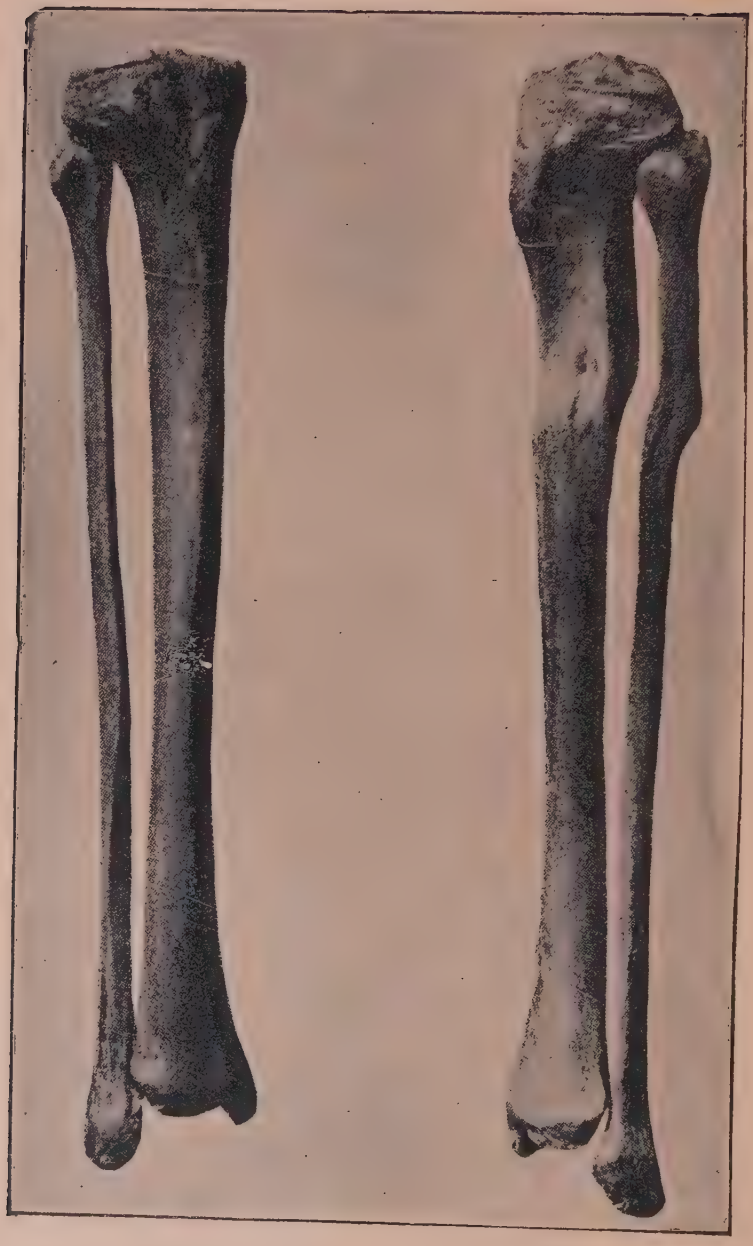

Kości obu nóg Piotra Ruddera.
(Po prawej stronie kości nogi uzdrowionej cudownie).

Następnie rozpoczęło się przesłuchiwanie świadków. Naprzód złożył zeznanie sąsiad bednarz, następnie trzej inni sąsiedzi, o których była już mowa, potem dwaj urzędnicy kolejowi, dawny strażnik Blomme, który pomagał Rudderowi przy wsiadaniu do wagonu. — Po tych wywodach pan Taffeniers, niewierzący towarzysz Dra Royer'a, uznał się za zwyciężonego i oddał hołd prawdzie. — Następnie czytano świadectwa notaryusza, burmistrza, oraz ks. proboszcza. Wreszcie Dr. Royer zapytywał jeszcze rozmaite osoby z ulicy, kawiarń, słowem wszystkich, którzy Ruddera widzieli. Świadectwo samego Ruddera zamyka ankietę. Po latach ośmiu pamięć jego była tak wierną, jak i dnia pierwszego.

Uzdrowienie Ruddera nie daje się w sposób naturalny wytłumaczyć, ani najmniejszej nie ulega wątpliwości. Zwracamy jeszcze uwagę na jedno: każdy lekarz wie, ile czasu kość złamana i rany kilkucentymetrowe potrzebują do zrośnięcia się i wyleczenia zwykłą drogą przyrody... Tu nastąpiło całkowite i zupełne zgojenie w jednej chwili!!

Dnia 24 maja 1899 r., w czternaście miesięcy po śmierci Ruddera, zwłoki jego zostały wyjęte z grobu. Dr. Van Hoestenberghe, ze Stalhille, odjął obie nogi zmarłego i zabrał ze sobą, by je poddać ścisłemu badaniu. Fotografia, którą tu umieszczamy w odbiciu, oddaje najdokładniej obie kości uzdrowionej nogi i ich krzywiznę, pozostałą jako ślad po cudownem zrośnięciu.

ROZDZIAŁ V.

Rok 1876—1882.

TREŚĆ: 1. X. GUILMIN: (PRÓCHNIENIE ŻEBRA), ŚWIADECTWA DRA COCHET Z AVRANCHES I DRA FLEURY. — 2. ŁUCYA FRAITURE: (RANA), ŚWIADECTWO DRA SARRES. — 3. ŚWIADECTWO DRA KONSTANTEGO JAMES O CUDACH W LURD. — 4. MARYA MOREAU: (SKIR W PIERSIACH), ŚWIADECTWO DRA MARTELA. — 5. PANI DUVAL: (PUCHLINA), ŚWIADECTWO DRA COTTIN. — 6. JOACHIMA DEHANT: (RANA), ŚWIADECTWO DRA FROIDEBISE. — 7. LEKARZE PROTESTANCCY WOBEC UZDROWIEŃ W LURD.

1. Dr. Cochet opowiada, że przez lat osiem leczył X. Guilmin na próchnienie żebra, na które cierpiał on od lat wielu. Potworzyły się skutkiem tego rozliczne fistuły, z których wypływała ropa. Stan chorego był już tak groźny, że on sam stracił wszelką nadzieję wyzdrowienia, a śmierć była lada chwila oczekiwaną.

Dr. Cochet tak pisze:

»Dnia 26 marca 1876 roku X. Guilmin przyszedł do mnie, mówiąc, że został zupełnie i całkowicie za przyczyną N. Maryi Panny

w Lurd uzdrowionym. I w rzeczy samej rany były zagojone... Tylko na kości dotkniętej chorobą widać było jeszcze niewielką nabrzmiałość bez objawów chorobliwych... Zresztą stan zdrowia X. Guilmin nic nie pozostawiał do życzenia. Żywo tem zaciekawiony, dopytuję się o szczegóły tego uzdrowienia. X. Guilmin, mający lat już 67, opowiada mi, że po trzydziestu latach cierpień i osłabienia, które wynikło z tyloletniego ropienia i fistuł, przyszła mu wreszcie myśl, aby odprawić nowennę do Matki Boskiej z Lurd. Przy końcu nowenny uczuł się zupełnie zdrowym tak, że mógł tego samego dnia odbyć czterdzieści kilometrów drogi. Oświadczam więc z całą otwartością, że to uzdrowienie zaszło w takich okolicznościach, iż nie może być wytłumaczone na podstawie żadnej teoryi naukowej, nie zgadza się bowiem wcale ze zwykłemi prawami patologii«.

podp. *Dr. Cochet.*

Avranches, dnia 6 marca 1876 r.

Dr. Fleury z Durcey, który codziennie śledził przebieg choroby X. Guilmin'a, potwierdza świadectwo swego kolegi. Jest to fakt bardzo wielkiej wagi. Próchnienie żeber jest łatwem do zbadania, czasem nawet da się uleczyć ale tylko w początkach choroby, lecz skoro trwa lat trzydzieści, a do tego u starca, mającego lat sześćdziesiąt siedem, wówczas w jednej chwili żadną ludzką siłą wyleczonem być nie może. Tembardziej jest to rzecz niebywała, aby starzec, na śmierć pewną już skazany, nagle jakby zmartwychwstał i kwitnącem cieszył się zdrowiem! Zresztą, czy świadectwa doktorów Cochet i Fleury nie są dostateczną tego rękojmią?...

2. »Widziałem w Lurd pannę Łucyę Fraiture; — pisze dr Boissarie — historya jej jest bardzo zajmującą.

»Lekarzem jej był Dr. Sarret, członek Zgromadzenia narodowego i biura dobroczynności. Dr. Sarret nie wierzył w cuda, lecz wrodzona prawość charakteru kazała mu publicznie ogłosić fakt, który za nadzwyczajny uważa:

»Łucya Fraiture, z natury skrofuliczna, miała na piersi ranę, która przybrała charakter raka. Przez lat pięć wszystkie środki pozostawały bez skutku. Zrozpaczony lekarz, nie mogąc chorej w niczem już pomódz, bardzo rzadko ją odwiedzał. W maju wezwano mię, abym zatamował krwiotok, który nagle z rany począł się sączyć.

»Dnia 30 lipca przełożona przyprowadziła do mnie Łucyę. Ujrzawszy ją, byłem uderzony jej twarzą rozpromienioną i dobrym wyglądem. Zbadałem ją — i w miejscu, gdzie dawniej była rana na 11 cm. długa i na 6 cm. szeroka, znalazłem małą tylko bliznę

o połysku masy perłowej. Uzdrowienie nastąpiło nagle i to przed grotą, po polaniu rany wodą z Lurd«.

»Jakeśmy wyżej powiedzieli, Dr. Sarret nie należał wcale do wierzących, a nawet po dokładnem zbadaniu nie chciał z początku wydać swego sądu.

»Na zakończenie niniejszego sprawozdania — mówi on — muszę dodać, że pomimo całego zaufania w prawdomówność Łucyi, żałuję, że nie widziałem jej rany tuż przed wyjazdem do Lurd«.

»Próżna ta ostrożność nie zmniejsza wcale doniosłości cudu. Mimo to w umyśle dra Sarret'a nie zatarło się nigdy głębokie wrażenie, jakie ten fakt na nim wywarł.

3. Dr. Konstanty James, zwiedziwszy wszystkie znaczniejsze miejsca kąpielowe nietylko we Francyi, ale i w całej niemal Europie, chciał też zwiedzić Lurd i wyrobić sobie zdanie o wartości tamtejszej wody. Słyszał bowiem o niezliczonej ilości uzdrowień, a nie mógł zrozumieć, skąd takowe pochodzą. Przyjechał więc nie jako wierzący katolik ale jako lekarz i uczony badacz. Zdumiony widokiem tak nowym, a tak niespodziewanym, nie mógł zapanować nad uczuciem szczerego zdziwienia. Zrozumiał też od pierwszego rzutu oka, że się znalazł nie na zwykłym i codziennym gruncie. W ciekawem swojem studyum, ogłoszonem w *Paris-Journal,* przedstawił on z całą prostotą i otwartością wrażenia, które Lurd na zawsze pozostawiło w jego duszy.

»Zacząłem zwiedzać Lurd z wytężoną uwagą, z jaką zwiedzałem zwykłe miejsca kąpielowe. Postanowiwszy mówić tu tylko o faktach, blizko i osobiście mię obchodzących, to jest o moich własnych pacyentach, twierdzę, żem widział chorych, którzy wracali zupełnie uzdrowionymi wówczas, gdy ja i moi koledzy uznaliśmy ich choroby za nie dające się uleczyć za pomocą jakichkolwiek środków sztuki lekarskiej.

»Wystarczy zresztą rzucić okiem na długą listę uzdrowień, ogłaszaną przez dziennik, aby dojść do przekonania, że wiele z nich zasługuje istotnie na nazwę cudów.

»Mówię »wiele«, bo nie wszystkie zasługują na tę nazwę. Pod tym bowiem względem ludzie w ogólności są złymi sędziami, brak im bowiem podstaw naukowych i zdrowego sądu o rzeczach. Według mego zdania, cud o tyle jest autentycznym, o ile wytrzyma krytykę naukową. Ale tu nie o to nam chodzi, czy rzeczywiście jakiś fakt jest cudem w pojęciu medycznem lub kanonicznem. Tu zależy najbardziej na tem, czy fakt ten jest nam blizki i osobiście nas obchodzi. Dla człowieka, który cierpiał, a teraz pozbył się swych cierpień, który nie słyszał, a teraz słyszy, który nie widział i naraz widzi, sam ten fakt zupełnie wystarcza — ale obcego to nie zadawalnia. Lecz poco się ty, obcy

człowieku, wtrącasz tu ze swem zdaniem?... Jeśli tamtemu podoba się nazwać uzdrowienie swe cudem, cóż tobie, obojętny widzu, to szko-

Chore, uzdrowione podczas pielgrzymki narodowej w r. 1896.

dzi?... Idę jednak dalej i mówię: Gdyby nawet źródło w Lurd nie działało na nic innego, jak tylko na wyobraźnię, — (czego jednak bynajmniej nie twierdzę), — to już przez to samo oddawałoby rzeczywiste usługi

ludzkości! Bo przypuśćmy nawet, że źródło czyjejś choroby leży tylko w wyobraźni; jeżeli więc skutkiem jakiegokolwiek działania na wyobraźnię, chory zostanie uzdrowiony — to przestaje tem samem odczuwać swe dolegliwości, których przedtem rzeczywiście doznawał.

»Cóż na te uzdrowienia mówią materyaliści i ateusze?... Oto, że każdy pielgrzym jest nabożnisiem i klerykałem, że ich choroby są udaniem, a uzdrowienia oszustwem, że Lurd jest widownią tych komedyi, powstałych z udanych chorób i udanych uzdrowień. Nie będę odpowiadał na cały ten paszkwil, ale tylko na zawarte w nim słowa o chorobach udanych. Proszę mi wytłumaczyć, jak można udać chorobę skira na piersi lub na języku? — jak próchnienie kości, puchlinę i wogóle wszystkie te choroby, które w ostatnich czasach w Lurd zostały wyleczone? — Otóż, jeśli choroby te były rzeczywistemi, co nie ulega wątpliwości, to uzdrowienia tychże muszą być uważane za cuda, bo z takich chorób nikt na świecie nagle wyleczonym być nie może!«

4. Dr. Martel z Béziers w świadectwie noszącem datę dnia 10 września 1876 r., mówi nam, że leczył pewną zakonnicę, nazwiskiem Maryę Moreau, mającą opuchnięcie prawej piersi, które stopniowo się zwiększało, wywołując dotkliwy ból w całem ramieniu. Nabrzmiałość ta poczęła się jątrzyć, a żółtawa cera chorej i rozmaite innę oznaki wyraźnie wykazywały, że choroba zamieniła się na skira w piersi. Lekarz nie namawiał nawet zakonnicy na operacyę, bo osłabienie stało temu na przeszkodzie. Od tego czasu uznano chorobę za niewyleczalną, a śmierć za nieuniknioną i blizką. Lekarz nie przepisywał już nawet żadnych lekarstw, prócz zwykłych środków niezbędnych dla utrzymania rany w czystości.

Dnia 14 sierpnia 1876 r. chora przedstawiła się Dr. Martel'owi mówiąc, że jest zupełnie uzdrowioną. I rzeczywiście skir znikł całkowicie, a z nim i boleści; na miejscu rany widać było tylko świeżą bliznę. Chora, która jeszcze w dniu poprzedzającym nie mogła prosto się trzymać, odzyskała naturalną postawę i rzeczywiście, jak sama mówiła, była zupełnie wyleczoną. Dnia 3 sierpnia całe zgromadzenie wraz z chorą zaczęło nowennę do Matki Boskiej z Lurd. W ostatnią noc nowenny położono na ranie kompres z wody cudownej. Zakonnica zasnęła, a gdy się po dwóch godzinach obudziła i dotknęła ręką chorego miejsca, poznała, że nabrzmiałość i rana znikły zupełnie. Słusznie z tego powodu powiedział Dr. Martel: »Natychmiastowość uzdrowienia wystarczy za dowód, że to się nie stało w zwykłych warunkach, zastosowanych do praw natury, — i że można bez obawy omyłki fakt ten zaliczyć do liczby faktów nadprzyrodzonych«.

5. Do roku 1879 i w następnych aż do r. 1882, prócz rozlicznych innych uzdrowień, znajdujemy następujące świadectwa, które dla lekarza szczególną posiadają wagę.

Dr. Cotin, z Paryża, wystawia pani Duval świadectwo, noszące datę dnia 6 sierpnia 1878 roku, w którem oświadcza, że jest chorą na opuchnięcie lewego łokcia *(tumor albus)*, objawiające się znacznem obrzmieniem, na tle gruźliczem. Choroba ta zwiększała się coraz bardziej w przeciągu lat pięciu, a spowodowaną była uderzeniem. Przez lat dwa trwało ropienie rany tak głębokiej, że mógł się w niej zmieścić średniej wielkości orzech. Kilku lekarzy dokładało wszelkich usiłowań w celu wyleczenia chorej, ale napróżno. W drugiem świadectwie oznaczonem datą dnia 13 września 1878 r., a zatem napisanem w miesiąc później, ten sam lekarz stwierdza, że pani Duval przyszła do niego bez rany dawniejszej, na której miejscu miała tylko małą bliznę i dodaje: »Rozwój poprzedniej choroby nietylko odbierał wszelką nadzieję wyzdrowienia, ale groził stanowczo odcięciem ręki. Nic nie tłumaczy nagłego zniknięcia rany, która wymagałaby w najlepszym razie całych tygodni i miesięcy zagojonia, jeźliby nawet kiedykolwiek to mogło nastąpić«. (Tembardziej, że już przez 5 lat była bezskutecznie leczoną!)

Dr. Cotin, ulica de Grenelle 89.

5. Uzdrowienie Joachimy Dehant w sadzawce cudownej dnia 7 września 1878 r. było jednem z największych uzdrowień.

Dr. Froidebise zeznaje w świadectwie, skreślonem dnia 6 września 1878 r. co następuje:

»Panna Dehant, mająca lat 29, a zamieszkała w Gesves w Belgii, ma wrzód, który pokrywa dwie trzecie prawej nogi«.

Dr. Froidebise, Gesves 6. września 1878.

Ten sam lekarz, w świadectwie noszącem datę dnia 29 września, we trzynaście dni później oświadcza, że znowu zbadał pannę Dehant po powrocie jej z Lurd i że wszystkie objawy choroby, wymienione w poprzedniem świadectwie, znikły prawie bez śladu tak, że tylko małe zaczerwienienie oznacza miejsce dawnej rany.

Dla dokładności musimy powtórzyć opis tego zdarzenia podług opowiadania samej Joachimy, przytoczonego przez jej lekarza Dra Marique:

»Byłam chorą od lat dwunastu — mówi Joachima — kiedy dnia 23 sierpnia 1878 r. pani hrabina de Limminghe zapytała mię, czy chciałabym pojechać do Lurd?

— Jeżlibym mogła tam pojechać — odparłam — z pewnościąbym wyzdrowiała. Jestem tego tak pewną, że w dniu wyjazdu wezmę sobie

trzewik, pończochę i podwiązkę, w celu obucia chorej nogi, czego już od lat dwunastu nie czyniłam.

»Zdumiona tą ufnością pani hrabina telegramem zapewniła dla mnie miejsce w pielgrzymce z Liège. — Nie zdołam opisać mej radości.

»Niepodobna było wziąć miary na chorą nogę, gdyż rana na 30 centymetrów długa, ciągnąca się od kolana aż do kostki, pokrywała mą nogę, a prawa stopa była chudszą i mniejszą od lewej. Trzeba się więc było zadowolnić tylko miarą nogi zdrowej. Szewc odchodząc, rzekł: »Ta dziewczyna chyba szalona, skoro zamawia trzewik na nogę, która nie była obuta już od lat dwunastu«.

»Opiekę nade mną powierzono X. Devos, proboszczowi z Hattinnes.

»Wyjechaliśmy dnia 10 września o 3 godzinie rano. Na dworcu w Namur pożegnałam się z ojcem i matką. Byłam tak osłabioną, tak bladą, że widok mój łzy im wyciskał. Uścisnęli mnie na pożegnanie, i ojciec mi pobłogosławił, a matka w chwili, gdy pociąg ruszał, rzekła do mnie: »Joachimo, jeźli zostaniesz uzdrowioną, wyślij do nas telegram«.

»Jesteśmy już w drodze. Na francuskiej granicy wszyscy wysiadają. Ja tylko nie mogę się ruszyć. Urzędnik cłowy wchodzi do wagonu, ale uderzony nieznośną wonią, wydzielającą się z mej nogi, cofa się z odrazą. — Niebawem moi towarzysze podróży wracają do wagonu, ale także nie mogą znieść tej wstrętnej woni, niedobrze im się robi i poczynają mieć nieprzyjemne skutki... Co do mnie, to czułam się tak upokorzoną, że nie śmiałam podnieść oczu.

»W Paryżu ksiądz, któremu zostałam poleconą, zaczął mnie namawiać, abym wysiadła i nie jechała dalej. »Umrzesz w drodze« — mówił on — lecz ze łzami w oczach błagałam go, aby mi pozwolił dokonać pielgrzymki. Łzy moje wzruszyły go; X. Médot, proboszcz z Scholtin, wstawiał się także za mną. Przejechaliśmy przez Paryż koleją lokalną. W nocy, kiedy towarzysze podróży spali, zmieniłam sobie płótno na nodze, ale obmyć rany nie mogłam. O 7 godzinie rano przybyliśmy do Paray-Le-Monial. Pielgrzymi poszli do kościoła Serca P. Jezusa, a ja zostałam na dworcu. Potem zaniesiono mnie do hotelu, gdzie podczas tego gdy pielgrzymi byli na obiedzie — opatrzyłam sobie ranę. Zajęło to przeszło godzinę czasu, poczem udałam się do kościoła Najświętszego Serca. Zakonnice za Zgromadzenia Sióstr Nawiedzenia dały mi nowy zapas płótna na bandaże, które położono poprzednio na relikwiach błogosławionej Małgorzaty Maryi Alacoque, radząc mi, abym szukała uzdrowienia u Boskiego Serca Jezusa.

»Ja oczekuję uzdrowienia od Najświętszej Panny z Lurd — odpopowiedziałam — a Boskie Serce prosić będę, aby mi dało cierpliwość

do zniesienia wszystkich cierpień, które się Bogu na mnie zesłać podoba«. — Wieczorem w dalszą puściliśmy się podróż. Miałam jeszcze przed sobą 26 godzin jazdy koleją. O godzinie 9 rano przybyliśmy do Agen, gdzie trzeba jeszcze się przesiąść. Siadłam więc na dworcu i tam poczęłam przewijać sobie nogę. Kilku księży, ulitowawszy się nad mym

Joachima Dehant.

stanem, przyniosło mi wody. Otoczyło mię wielu podróżnych, wiodąc ze sobą głośno takie i tym podobne rozmowy:

— Ta osoba musi mieć wyrodnych rodziców, skoro jej w tym stanie pozwolili wyjechać do Lurd.

— Ale w takiem powietrzu dostać się może do naszego pociągu cholera! — dodają inni.

»Nie potrzebuję mówić, jak te słowa mię upokarzały. Na domiar złego musiałam zostawić na miejscu przesiąknięte bandaże, których w przeciągu 22 godzin nie zmieniałam — wraz z kawałkami zepsutego ciała, które się odłączyły od rany. Podczas dalszej jazdy w przeciągu jednej godziny bandaże znowu były przesiąknięte, chociaż ranę kilkadziesiąt razy naokoło płótnem obwinęłam — i materya kroplami ściekała na podłogę. O godz. 7-ej wieczorem przybylismy do Lurd i po krótkim odpoczynku z wielką biedą i trudem udałam się do groty.

»Tam przedewszystkiem złożyłam modły dziękczynne Matce Najśw., że mi dozwoliła szczęśliwie dojechać a następnie wyłuszczyłam Jej kilkoma słowy cel mej podróży, mówiąc: »Przychodzę do Ciebie, Najświętsza Panno, z prośbą o wyleczenie mię na większą chwałę Boga i na zbawienie grzeszników«. — Spędziliśmy w grocie około dwóch godzin. Polałam nogę wodą, odpływającą kurkiem z basenu, a wróciwszy do hotelu, rozpoczęłam oczyszczenie mej rany i dopiero około 11-ej godziny w nocy udałam się na spoczynek. Przez całą noc cierpiałam straszliwie, gdyż stan mej choroby, z powodu umęczenia w drodze jeszcze bardziej się pogorszył. O wpół do 3-ej nad ranem nie mogąc spać, wezwałam kogoś na pomoc, prosząc, aby mnie podniesiono. »Ależ to dopiero wpół do trzeciej« — odpowiedziano mi na to. — »Cóż mię to obchodzić może, skoro spać nie mogę i chciałabym jak najprędzej pójść do groty!« Znowu więc zabrałam się do bandażowania nogi, co mi zajęło całą godzinę czasu, bo musiałam wyjmować strupieszałe części kości oraz zgangrenowane kawałki ciała, które zostawiłam na podłodze.

— To ostatni opatrunek — rzekłam do otaczających mię osób — bo noga będzie niedługo uzdrowiona. — Z litości zaprowadzono mię aż do drogi mówiąc: »Możesz dalej iść sama prosto aż do groty«. Posuwam się więc powoli i z trudnością. Na moście nad Gawą jedna kula, którą się podpierałam, utkwiła w szparze pomiędzy dwiema deskami i stanęłam jakby uwięzioną, nie mogąc kuli wyjąć i ani się poruszyć naprzód ani się cofnąć.

»W tak krytycznem położeniu pozostałam przez cały kwadrans, który mi się wiekiem wydawał. W dodatku słyszałam ciągle turkot kół i bałam się, aby mnie nie przejechano, bo było ciemno. Wreszcie rozlega się odgłos kroków, nie wiedziałam więc co zrobić. Lecz osoba która się zbliża cofa się, aby mnie nie uderzyć. »Proszę się nie bać — mówię — ale przez litość proszę mi dopomódz!«

»Nieznajomy się zbliża; — rozpoznaję w nim księdza. Zaraz więc wydobył on z uwięzienia moją kulę, za co mu serdecznie podziękowałam i podążyłam dalej. Miałam ze sobą koszyczek, a w nim trzewik, pończochę i podwiązkę, aby je włożyć po wyzdrowieniu, bo wierzyłam go-

rąco, że będę zdrową po pierwszej kąpieli. Przy grocie spotkałam pannę Leonię Dorval, która mnie zaprowadziła do sadzawki i pomogła się rozebrać, ale mi zrobiła uwagę, że w takim stanie, w jakim jestem, kąpiel to rzecz niebezpieczna. Ja nalegam, błagam, a ona mi mówi: »Joachimo, słuchaj, jestem od ciebie starszą i mam więcej doświadczenia, wierzaj mi, że tę nieostrożność przypłacisz życiem«. To powiedziawszy, chce mi włożyć moje ubranie, ale ja się odzywam: »Posadź mię na ziemi, a sama wejdę do sadzawki«. — »Nie — odpowiada mi — bo cię to może o śmierć przyprawić«. — »Nie mogę, Matka Najświętsza z Lurd wie, żem tutaj przyjechała, abym została uzdrowioną, — i nie dopuści, abym tu właśnie umarła«.

Na moje prośby Leonia sadza mię na ziemi, a ja wchodzę sama do sadzawki. Wszedłszy do wody, proszę towarzyszkę moją, aby mię zanurzyła tak, żeby woda dochodziła mi po szyję. Gdy woda przesiąkła przez bandaż na nodze, uczułam niezmierny ból, lecz jednocześnie byłam nad wszelki wyraz szczęśliwą, iż znajduję się w tej cudownej wodzie. Pozostałam w sadzawce przez pół godziny. Leonia widząc, że nie mogę już modlić się głośno, spytała mnie, czy chcę wyjść, lecz ja nie słyszałam jej, bo byłam prawie omdlałą. Wtedy ona wyciągnęła mnie z wody, położyła na ziemię i zaczęła ubierać. Lecz naciskając bandaż, będący na nodze, taki mi ból tem sprawiła, że zostałam nagle otrzeźwioną z omdlenia.

— Moja biedna Joachimo — mówi Leonia — nie zostałaś więc uleczoną.

— Nie traćmy ufności, Leonio, jeźli mą matkę o co proszę, nie zawsze mi to daje od razu... Wrócę więc jeszcze do sadzawki.

»Rzeczywiście o 9-ej wzięłam drugą kąpiel i zostałam w niej przez dwadzieścia siedem minut. Powtórne to zanurzenie było jeszcze boleśniejsze od pierwszego. Uczułam ból tak straszny, żem musiała aż zgrzytać zębami i gryźć sobie język. Gdym wyszła z sadzawki Leonia, chcąc wycisnąć wodę z bandażów, którymi rana była obwinięta, zaczęła cisnąć nogę we wszystkich kierunkach, lecz ja nic tego nie czułam. W pierwszej kąpieli uczułam przy tej samej czynności ból niesłychany, a teraz nic zgoła. Leonia przyciska mocniej, lecz ja nie odczuwam żadnego bolu. Wtedy Leonia zdejmuje bandaż, którym rana była obwinięta i woła:

— Joachimo! rany niema ani śladu! jesteś uzdrowioną!

»Wówczas sama poczęłam oglądać nogę i z piersi mojej radośny wydarł się okrzyk: »Niech żyje Matka Najśw. z Lurd! Patrz, jak Ona mnie wyleczyła...! Nietylko, że odnowiła mi skórę na nodze, lecz nadto całe ciało na niej i łydkę«.

Aby zrozumieć całą doniosłość tego uzdrowienia, trzeba sobie przypomnieć, że Joachima weszła do wody z raną zgangrenowaną, na 30 centym. długą, na 13 szeroką, sięgającą od kolana aż do kostki, a dochodząca aż kości. Rana ta zniszczyła ścięgna i muszkuły, wykręcając stopę na wewnątrz.

»Na widok cudu Leonia chciała on nim zawiadomić wszystkich pielgrzymów, lecz prosiłam ją aby zaczekała...

»Podczas gdy się modliłam przy grocie, pielgrzymi otoczyli mię pytając, czy już nie mam rany, a proboszcz z Haltinnes w imieniu wszystkich rzekł:

— Czy to prawda, że już nie masz rany?

— Zupełnie nie mam, tak jak ksiądz proboszcz nie ma jej na swej ręce.

»Wtedy ksiądz proboszcz chciał odprowadzić mię do hotelu, a każdy się cisnął, aby zobaczyć moją nogę, która tego samego dnia rano była zgniłą i wydzielała woń niemożliwą do zniesienia.

»Na widok tej zagojonej rany, tak czystej i gładkiej, wzruszenie świadków wzrosło do najwyższego stopnia. Żaden język nie wypowie ich uczuć. Pod wpływem tego wrażenia zasypano mnie pytaniami.

»Miałam jeszcze w kąciku mego pokoju kawałki ciała, które rano oderwałam z nogi, mogłam więc naocznie przekonać świadków o różnicy, jaka zachodziła między dawnym, a teraźniejszym jej stanem. Telegram, który donosił o mem uzdrowieniu, przyszedł do Gesves nazajutrz. Zbytecznem byłoby mówić, jakie wywarł on wrażenie na mojej rodzinie. Ojciec mój, dowiedziawszy się o cudownem mem uzdrowieniu, dostał takich nerwowych drgawek, że musiano go odprowadzić do domu.

»Wyjechawszy z Lurd w poniedziałek w południe, przybyliśmy do Namur we czwartek o 2 godzinie popołudniu. Cała rodzina oczekiwała mię na dworcu kolejowym. Matka, widząc mnie chodzącą, zawołała: »Mój Boże, Joachima idzie obuta« — i rzuciwszy mi się w objęcia, płakała z radości. Wzruszenie mego ojca było tak silne, że stracił świadomość wszystkiego i nie mógł w pierwszej chwili mnie poznać.

»Pierwsze me kroki skierowałam do kościoła w Gesves. Zmuszono mnie tam do zajęcia miejsca u stóp ołtarza, umyślnie na ten cel urządzonego, na którym postawiono statuę Najśw. Panny z Lurd, otoczoną najpiękniejszymi kwiatami. Cały ołtarz tonął wśród powodzi światła. Odmówiono publicznie dziękczynne modlitwy; poczem ks. proboszcz opowiadał zgromadzonym szczegóły mego uzdrowienia. Nigdy kościół w Gesves nie widział takich tłumów. Tego samego dnia Dr. Froidebise przyszedł, aby stwierdzić moje uzdrowienie.

»W sobotę wróciłam do rodzinnej wioski. Na stacyi w Tamines służący, który mię w chwili odjazdu zaniósł do wagonu, był teraz także

obecnym, a zobaczywszy mnie zdrową, nie mógł zapanować nad wzruszeniem i ściskając mnie za obie ręce, rzewnie się rozpłakał.

»Aby się chwilowo uwolnić od ciekawości tłumów, pojechałam do ks. proboszcza z Malonne. Po dwóch tygodniach nieobecności wróciłam na łono rodziny do zwykłych zajęć domowych..

»W chwili odjazdu do Lurd miałam lat 29, a ważyłam tylko 27 kilo; dziś już ważę 75 kilo i cieszę się zupełnem zdrowiem«.

Dr. Marique, przesyłając powyższe opowiadanie, tak pisze:

»Chcecie zwołania ankiety co do uzdrowienia Joachimy, — lecz badanie to od dawna zostało już dokonanem, a rezultat jest wszystkim wiadomym. Wszyscy ludzie poważni i uczciwi wierzą, że uzdrowienie to było cudowne.

Dr. Marique.

»Wolnomyślni twierdzą, że była ona już wyleczoną przed wyjazdem do Lurd (?!). Twierdzenie to sprzeciwia się zupełnie świadectwuDra Froidebise, który badał Joachimę w chwili jej wyjazdu do Lurd. Niektórzy utrzymują także, że Joachima grała komedyę przez lat dwanaście, aby potem uchodzić za uzdrowioną w Lurd, — lecz mamy całe setki autentycznych świadectw, z których widzimy, że tak nie było.

»Jeżeli to uzdrowienie nie da się wytłumaczyć ani za pomocą działania nerwów ani przez suggestyę, wówczas przeciwnicy zaprzeczają poprostu istnieniu choroby i wyzdrowieniu! Lecz gdy fakt jest zanadto w oczy bijący, wtedy chcąc nie chcąc muszą skłonić głowę i uznać wyzdrowienie za niedające się niczem wytłumaczyć, ale któremu także zaprzeczyć niepodobna«.

Dr. Royer i Deploige, profesor w uniwersytecie katolickim w Lowanium ogłosili doskonale streszczone wyniki badań, które usuwają wszelką wątpliwość, a które tu przytaczamy:

»Dwaj młodzi Belgijczycy, Dr. Royer i p. Szymon Deploige, profesor prawa społecznego w uniwersytecie katolickim w Lowanium postanowili dokonać raz jeszcze szczegółowego badania cudownego uzdrowienia p. Dehant i uczynili to z systematycznością, nie pozostawiającą nic do życzenia, a zarazem z niezrównaną dokładnością i ścisłością.

»Badanie swe ograniczyli wyłącznie do rany na prawej nodze. Opierając się na świadectwie, wydanem dnia 6 września przez dra Froidebise, śledzili oni istnienie tej rany, że się tak wyrazimy, z godziny na godzinę, aż do chwili jej zagojenia i zniknięcia.

»Zapytywali też sami lub polecili innym zapytywać: 1^0 sąsiadów Joachimy Dehant, którzy widzieli ranę przed samym wyjazdem chorej do Lurd; 2^0 towarzyszy podróży; 3^0 właściciela hotelu, w którym Joachima Dehant w Lurd zamieszkała.

»Żaden z tych świadków nie jest ani krewnym, ani sprzymierzeńcem Joachimy. Obaj badacze mogli też zadawać pytania i członkom rodziny Dehant, lecz nie uczynili tego umyślnie, chcąc usłyszeć tylko zeznania obcych zupełnie osób.

»Wszyscy świadkowie składali zeznania we własnem mieszkaniu, nie będąc zawczasu o tem zawiadomionymi i nie mogąc przedtem porozumiewać się pomiędzy sobą. Wszyscy też odczytali następnie swoje zeznania i stwierdzili swym podpisem, że złożone w nich sprawozdanie było wiernem i dokładnem«.

Dr. Deploige.

I. Sąsiedzi

1. Zeznania p. J. B. Martin, byłego burmistrza w Gesves.

Panna Joachima Dehant mieszkała w Gesves, zanim się udała do Lurd w r. 1878. — P. Szymon Deploige, profesor uniwersytetu w Lovanium i p. Jerzy Legrand, adwokat w Namur, zwrócili się więc naprzód do byłego burmistrza w Gesves, p. Martin. Zadawali mu oni pytania dnia 15 września 1893 roku w obecnem jego mieszkaniu w Jambes, plage de la Meuse, Nr. 3.

— Czy pan znasz pannę Joachimę Dehant, która twierdzi, że została uzdrowioną w Lurd, we wrześniu 1878 roku?

— Tak, wybornie. Byłem w r. 1878 burmistrzem w Gesves i stamtąd właśnie panna Dehant pojechała do Lurd we wrześniu. Dowiedziawszy się, że zamierza odbyć pielgrzymkę do Lurd, pospieszyłem do niej. Było to na parę dni przed jej wyjazdem. Powiedziała mi wtedy: »Pokażę Panu brzydką moją nogę«.

— I cóżeś pan zobaczył?

— Okropną ranę. Wydawała ona woń tak straszną i niemiłą, że się starałem wyjść stamtąd jak najprędzej!

— Jakiej wielkości była ta rana?

— Ciągnęła się stąd — aż dotąd. (To mówiąc, p. Martin wysunął prawą nogę i przesunął ręką po zewnętrznej jej stronie od kolana aż do stopy).

— Jakie były charakterystyczne cechy tej rany, a zwłaszcza jej głębokość?

— To tylko mogę powiedzieć, że robiła ona na mnie wrażenie gangreny.

— Czy widziałeś pan Joachimę Dehant po jej powrocie z Lurd?

— Tak, wyszedłem na jej spotkanie. Nie zdołam nawet opisać panom wrażenia, jakiego doznałem, zobaczywszy ją wysiadającą z powozu! Nigdy tego nie zapomnę!...

— Czy chodziła?

— Tak.

— A rana?

— Znikła bez śladu.

— Czy widziałeś pan nogę?

— Tak, w parę dni po powrocie Joachimy Dehant. Nie było już rany, skóra się się ściągnęła, wydawała się tylko trochę zaczerwienioną, różową, jak bywa często po zabliźnieniu się rany.

Sprawozdanie z rozmowy pp. Deploige i Legrand z panem Martin przedłożono temu ostatniemu dnia 8 października 1893 roku. Odczytawszy je, p. Martin dopisał co następuje: »Ja niżej podpisany Jan Chrzciciel Martin, były burmistrz w Gesves, stwierdzam, po przeczytaniu tego sprawozdania, zupełną dokładność powyższej rozmowy oraz zeznań, złożonych pp. Legrand i Deploige« [1]).

2. *Zeznania p. de Limminghe.*

Dnia 6. października 1893 roku Dr. Royer, lekarz w Lens-Saint-Rémy, udał się wraz z panem Deploige do zamku w Gesves, do pani hrabiny de Limminghe, która w roku 1878 wysłała Joachimę Dehant do Lurd. Oto kilka ustępów ze złożonych przez nią zeznań:

»...Postarawszy sią o bilet pielgrzymki dla Joachimy Dehant, wezwałam ją do zamku dnia 23 czy 24 sierpnia i sama bardzo starannie

---

[1]) Inni świadkowie, którzy podpisywali swe zeznania, takiej samej używali formuły. Uważamy jednak za zbyteczne powtarzać ją za każdym razem.

Oryginały, opatrzone podpisami, zostały wręczone przez obu badaczy Doktorowi Boissarie.

ją zbadałam. Od kolana aż do stopy ciągnęła się olbrzymia rana o brzegach pomarszczonych, jąk papier prążkowany; rana ta wydzielała jakąś ciecz i woń bardzo niemiłą; nad stopą znajdował się wrzód czarniawej barwy...

»W takich więc warunkach Joachima Dehant wyjechała do Lurd dnia 10 września; ranę jej widziałam jeszcze w wigilię wyjazdu, a w ogólnym stanie chorej żadnej nie dostrzegłam zmiany.

»Dia 15 września otrzymałam z Lurd telegram od pana Raikem'a, dyrektora pielgrzymki, który mi donosił o uzdrowieniu Joachimy«[1]).

3. Zeznania Siostry Joanny (Hortensya d' Aoust).

Dnia 6 października 1893 roku pp. Royer i Deploige zadali pytania Siostrze Joannie, przełożonej Sióstr Opatrzności i Niepokalanego Poczęcia w Gesves.

— Czy widziała Siostra ranę, którą Joachima Dehant miała na prawej nodze?

— Widziałam ją dobrze cztery lub pięć razy.

— Jaką była ta rana?

— Zajmowała całą prawie nogę od kolana aż do stopy. Skóry nie było wcale; rana była otwartą i czerwoną; wydzielała też ropę białą i żółtą, o bardzo niemiłej woni; bandaże zdejmowane z rany bywały zawsze przesiąkłe tą ropą.

— Kiedy po raz ostatni widziała Siostra tę ranę?

— W dniu, w którym Dr. Froidebise badał Joachimę Dehant. Badanie to odbywało się u nas rano. Skończywszy je, Dr. Froidebise rzekł: »Jeżeli ta chora wyzdrowieje, to będzie prawdziwym cudem!«

— Czy Siostra sama to słyszała?

— Tak, na własne uszy.

— Widziała więc Siostra ranę kilka razy? Czy pomiędzy jednem jej oglądaniem a drugiem nie zauważyła Siostra nigdy jakiegokolwiek polepszenia?

— O, nie!

— Czy widziała Siostra Joachimę Dehant po jej powrocie z Lurd?

— Nie zaraz po powrocie, ale dopiero dnia 20 września (w tydzień po uzdrowieniu). Nie było już ani rany, ani wysiąku, tylko skóra na tem miejscu była jeszcze bardzo cienką«.

4. Zeznania Dra Froidebise.

Dnia 12 lipca 1893 roku p. Deploige miał w Lowanium następującą rozmowę z doktorem Froidebise co do uzdrowienia Joachimy Dehant:

[1]) Oryginał tego telegramu pani hrabina de Limminghe wręczyła panu Deploige.

— Czy pan badałeś pannę Joachimę Dehant dnia 6 i 19 września?

— Tak.

— Czy dnia 6 września zauważyłeś pan u panny Dehant istnienie rany na prawej nodze?

— Tak, stwierdziłem istnienie ogromnej rany.

— A kiedy pan powtórnie dnia 19 września badałeś pannę Dehant czy rana ta znikła?

— Tak, zupełnie.

— Czy sądzisz pan, że rana ta mogła zostać wyleczoną jakimkolwiek sposobem naturalnym od dnia 6 do dnia 19 września?

— Nie, dnia 6 września widać było krwawiące się ciało, a dnia 19 września cała powierzchnia rany była już pokryta suchą i zdrową skórą.

— Czy to prawda, że po badaniu dnia 6 września powiedziałeś pan do Siostry Joanny z Gesves, że jeżeli rana Joachimy Dehant zostanie uleczoną w Lurd, w takim razie to uzdrowienie należy uważać za cudowne?

— Tak.

Dnia 11 października 1893 roku p. Deploige przesłał doktorowi Froidebise kopię sprawozdania z tej rozmowy i otrzymał od niego z Lowanium, dnia 12 października tegoż roku, następującą odpowiedź: »Nie mam nic a nic do zarzucenia sposobowi, w jaki pan przytoczyłeś naszą rozmowę. Wszystko jest zupełnie ścisłem i dokładnem«.

5. Zeznania p. Henryki Henrion.

Wreszcie dnia 6 października 1893 roku dr. Royer i pan Deploige zapytywali jeszcze w Gesves pannę Henrykę Henrion.

— Czy to prawda, że panna Joachima Dehant mieszkała u pani przez kilka tygodni przed swoim wyjazdem do Lurd we wrześniu 1878 r.?

— Tak.

— Czy miała ranę na prawej nodze?

— O tak! widywałam często tę ranę.

— Kiedy widziałaś ją pani po raz ostatni?

— Tegoż samego rana, przed wyjazdem Joachimy do Lurd. Rana była jeszcze wówczas tak jak zawsze prawdziwie wstrętną.

— A czy widziałaś pani Joachimę niezwłocznie po jej powrocie z Lurd?

— Tak, nawet w sam dzień powrotu. Rana znikła i skóra się zeszła, tak że można było głaskać ją ręką.

— Na nodze nie było już wtedy bandaży?

— Nie.

— A pończocha nie była wilgotną?

— Nie, skóra była zupełnie suchą.

II. Towarzysze podróży.

6. Zeznania p. Huberta Michaux.

Dnia 5 października 1893 roku pp. Deploige i Royer udali się do Jemelle, do pana Huberta Michaux, byłego sekretarza gminnego w Schaltin i następującą mieli z nim rozmowę.

— Czy jeździłeś pan z pielgrzymką belgijską do Lurd we wrześniu 1878 roku?

— Tak.

— Czy to prawda, że Panna Joachima Dehant została uzdrowioną w Lurd podczas pańskiego tam pobytu?

— Tak. Joachima Dehant odbyła podróż do Lurd w tym samym przedziale wagonu, co i ja. Zobaczyłem ją po raz pierwszy w poczekalni w Namur, w dzień naszego wyjazdu, to jest 10 września. Była blada i wydawała się bardzo cierpiącą. Kiedy pociąg ruszył, niektóre osoby, siedzące w tym samym przedziale, zaczęły się uskarżać na niemiłą woń, jaką wydzielała noga Joachimy Dehant.

— Skąd pochodziła niemiła ta woń?

— Z rany, którą Joachima miała na prawej nodze.

— Czy widziałeś pan tę ranę?

— Widziałem ją wieczorem w dniu naszego przybycia do Lurd, we czwartek dnia 12 września, w hotelu.

— Czy mieszkałeś pan w tym samym hotelu, co i Joachima Dehant?

— Tak jest, w hotelu pana Latapie.

— O której godzinie widziałeś pan ranę dnia 12 września?

— Między dziewiątą a dziesiątą godziną wieczorem. Pokój Joachimy Dehant znajdował się obok mojego. Przed udaniem się na spoczynek chciała zabandażować sobie ranę. Nagle zawołała mię do siebie! Siedziała na podłodze i gdy wszedłem, rzekła, że potrzebuje parę sztuk czystego płótna dla obwiązania rany, lecz że nie może sama wstać, aby pójść po nie. Podałem jej wówczas torbę podróżną, w której znajdowało się płótno.

— Czy wówczas widziałeś pan ranę?

— Tak.

— Jakiej wielkości była ta rana, czy takiej jak dłoń?

— O nie kilka razy większa. Tak, tak, kilka razy większa. Była z pewnością taka... (To mówiąc, pan Michaux przesunął ręką po prawej nodze od kolana aż do stopy).

— Czy się z rany sączyła krew?

— Nie — ropa.

— Czy rana była głęboką?

— O tak, miała wygląd rany głębokiej.

— Czy nazajutrz rano Joachima Dehant znowu opatrywała swą nogę?

— Tak, przypominam sobie, że nazajutrz bardzo rano, opuszczając hotel, powiedziała mi, iż założyła właśnie nowy opatrunek na ranę.

— Czy widziałeś pan jeszcze Joachimę w ciągu dnia 13 września?

— Tak, w kościele. Później wieczorem, po powrocie naszym do hotelu, zostaliśmy wezwani do jej pokoju, gdyż chciano nam pokazać, że rana Joachimy była już zupełnie wyleczoną.

— A cóż było na nodze?

— Oto rany nie było wcale. Na miejscu jej ujrzałem nową skórę, trochę tylko bardziej czerwoną niż dokoła.

— Kiedy pan to widziałeś?

— W piątek dnia 13 września, między dziewiątą a dziesiątą godziną wieczorem.

7. *Zeznania ks. Devos.*

Tegoż samego dnia pp. Deploige i Royer udali się jeszcze do Emines, aby tam zasięgnąć informacyj u ks. proboszcza Devos.

— Pan Michaux powiedział nam, że ks. proboszcz był jednym ze świadków uzdrowienia Joachimy Dehant. Czy to prawda?

— Tak, rzeczywiście.

— Czy Joachima Dehant, przybywszy z ks. proboszczem w roku 1878 do Lurd, miała ranę na prawej nodze?

— Tak.

— Jakie szczegóły o tej ranie ks. proboszcz jeszcze pamięta?

— Pokrywała ona całą tę część nogi od kolana aż do stopy, wydzielała ropę i woń tak niemiłą, że wciągu całej podróży jadące w naszym przedziale niektóre osoby uskarżały się na mdłości. Przypominam sobie także, że widziałem parę sztuk szmatek, używanych do bandażowania nogi, i że były one splamione ropą.

— Co ks. proboszcz wie o uzdrowieniu Joachimy?

— Nazajutrz wieczorem, wróciwszy do naszego hotelu, Joachima opowiadała mi, że rana została uleczoną tegoż samego dnia przed południem, podczas drugiej kąpieli.

— Czy ksiądz proboszcz widział zamkniętą ranę?

— Widziałem ją na dworcu w Lurd dnia 16 września, w chwili naszego odjazdu do Belgii. Joachima Dehant pokazywała ją wówczas

pewnemu lekarzowi z Belgii, który powiedział: »Najświętsza Panna nadzwyczajnych dokonywa rzeczy!« Na miejscu uleczonej rany pozostało tylko lekkie zaczerwienienie. Odwołuję się zresztą co do wszystkiego, o czem mógłbym zapomnieć, do opisu tego uzdrowienia, ogłoszonego przezemnie w *Annales de Lourdes* z dnia 30 grudnia 1878 roku.

— Na podstawie jakich materyałów osnuł ksiądz proboszcz to opowiadanie?

— Co do podróży i uzdrowienia opisałem po prostu wszystko, co sam widziałem i słyszałem.

— Ten artykuł księdza skreślonym został niezwłocznie po powrocie z pielgrzymki. Czy późniejsze wskazówki lub informacye nie wykazały jakiej niedokładności w tem, co się dotyczy rany i rozmaitych okoliczności, w jakich uzdrowienie nastąpiło?

— Nie, bynajmniej. Jestem przekonany o tem, że rana ta istniała i że została uleczoną podczas drugiej kąpieli; potwierdziła to nawet Leonia Dorval, która kąpała Joachimę. Była to osoba bardzo świątobliwa, niezdolna do kłamstwa lub obłudy, i podług tego więc, co mi ona niezwłocznie wówczas opowiedziała, skreśliłem moje sprawozdanie.

8. Zeznania Panny Devos.

Następnie pp. Royer i Deploige zwrócili się do panny Adelaidy Devos, siostry księdza proboszcza z Emines, która nie była obecną przy poprzedniej rozmowie ze swym bratem.

— Czy widziałaś pani ranę, którą Joachima Dehant miała na prawej nodze, kiedy jechała z państwem do Lurd we wrześniu 1878 r.?

— Widziałam ranę w Paray-Le-Monial, nazajurz po naszym wyjeździe z Namur. Było to w hotelu. Joachima Dehant, usiadłszy na podłodze w pokoju hotelowym, prosiła mię o wodę dla obmycia nogi. Pomogłam jej, ale po niejakim czasie zrobiło mi się niedobrze z powodu okropnej woni i na widok ogromnej rany tak, że nie mogłam dłużej być chorej pomocną.

— Czy w Paray-Le-Monial widziałaś pani tę ranę zupełnie odkrytą?

— Tak. Ciągnęła się ona od kolana aż do stopy; w miarę posuwania się ku dołowi rana ta rozszerzała się stopniowo, u góry jednak, na zewnętrznej stronie nogi, był jeszcze kawałek zdrowego ciała.

— Czy rana wydzielała ze siebie ropę?

— Tak; ropa ta miała kolor białawo-żółty; całe płótno, używane do bandażowania, było nią splamione.

— Czy rana zamknęła się w Lurd?

— Tak, nazajutrz po naszem przybyciu do Lurd wieczorem, w hotelu, Joachima powiedziała mi, że jej noga została uzdrowioną.

9. Świadectwo Leonii Dorval.

Śmierć zabrała, niestety, z tego świata jednego ze świadków uzdrowienia, Leonię Dorval z Haltinnes, której hrabina de Limminghe poleciła opiekę nad Joachimą w ciągu jej całej podróży. Za życia jednak Leonia Dorval rozmawiała bardzo często z hrabiną de Limminghe o uzdrowieniu Joachimy i podług wspomnień z tych rozmów pani de Limminghe skreśliła wobec pp. Royer i Deploige zeznania Leonii Dorval, zawarte w następujących słowach:

»Leonia Dorval widziała ranę, którą Joachima Dehant miała na prawej nodze, i ropę, która się z niej sączyła. Sądzę, że w drodze, a mianowicie w Paray-Le-Monial, Leonia Dorval oglądała tę ranę po raz ostatni. O uzdrowieniu Joachimy Leonia Dorval nieraz mi opowiadała. Nie wiedziała, kiedy mianowicie rana została uleczoną, Joachima bowiem weszła do sadzawki, nie zdejmując płótna, którem noga była obandażowaną. Dnia 13 września około dziewiątej godziny rano, po drugiej kąpieli, Leonia rzekła do Joachimy: »Ależ Joachimo, zdaje mi się, że ci już ból w nodze wcale nie dokucza. Co myślisz? Gdybyśmy zdjęły opatrunek!« Uczyniły to istotnie i bardzo się zdziwiły, ujrzawszy ranę zupełnie zabliźnioną. Noga była niebieskawo-różową, jakby marmurozywaną, i dopiero później stopniowo zbielała«.

10. Zeznania Ks. Sosson.

Przytoczmy jeszcze świadectwo jednego z towarzyszów podróży Joachimy Dehant, ks. Sosson, dziekana, zamieszkałego w Châtillon, którego dnia 14 października 1893 roku odwiedzili p. Iuliusz Poncelet, adwokat z Arlon oraz Dr. Jan Eischen, lekarz również z Arlon, i następujące zadali mu pytania:

— Słyszeliśmy, że X. dziekan był w Lurd w roku 1878 razem z panną J. Dehant. Czy to prawda, że jadąc do Lurd, panna Joachima Dehant miała ranę na prawej nodze?

— Nie ulega wątpliwości, że miała okropną ranę. Mówiła sama i wszyscy dokoła niej powtarzali to w ciągu całej podróży, że ciało na nodze było zgniłe. Towarzysze pielgrzymki opowiadali, że ranę obwijano siedemdziesiąt razy wkoło bandażem i że po upływie godziny cały tak gruby bandaż przesiąknął już ropą. Uskarżali się także, że ropa ta wydawała nieznośną woń, i tak dalece zanieczyszczała powietrze w całym przedziale wagonu, że prawie niepodobna było tam wytrzy-

mać. Przypominam też sobie, że widziałem pannę Dehant w Agen, zajętą obmywaniem swej rany.

— Czy raną ta została uleczoną w Lurd?

— Tak, bez wątpienia, bo natychmiast po tem uzdrowieniu wieść o niem rozeszła się wszędzie z nadzwyczajną szybkością i ogólne wywołała wrażenie.

— Kiedy Joachima Dehant została uzdrowioną?

— W piątek, jak mówili wszyscy, którzy nas otaczali. Panna Dorval z Haltinnes, która kąpała chorą, opowiadała mi, że sama zdjęła z niej bandaż i że ku wielkiemu swemu zdziwieniu znalazła na miejscu rany ciało zupełnie zdrowe, tylko trochę zaczerwienione.

III. Zeznania właścicieli hotelu Latapie, w Lurd.

11. Zeznania pani Latapie.

Dr. Royer, będąc w Lurd we wrześniu 1893 roku, udał się na ulicę de Pau Nr. 25, do hotelu Latapie, gdzie Joachima Dehant zatrzymała się w roku 1878, i zawiązał z panią Latapie następującą rozmowę:

— Czy pamiętasz pani, że Joachima Dehant została tu niegdyś wyleczoną z rany, którą miała na prawej nodze?

— Tak, bezwątpienia. Joachima zamieszkała tutaj we wrześniu 1878 roku wraz z kilkoma innymi pielgrzymami belgijskimi. Wieczorem w dniu swego przybycia bandażowała ranę, którą miała na nodze. Ja i siostra męża widziałyśmy tę ranę; ropa płynęła z niej obficie, tak że cały bandaż był nią przesiąknięty. Nazajutrz rano przekonałyśmy się, że nawet pościel na łóżku splamioną była ropą, która się przesączyła przez bandaż. Tegoż samego dnia ujrzałam ranę zupełnie już zamkniętą i pokrytą różową, bardzo cienką blizną. Ropa już się wcale nie sączyła.

12. Zeznania panny Maryi Latapie.

Panna Marya Latapie nadeszła w chwili, gdy Dr. Royer rozmawiał z jej bratową.

— Co przypomina sobie pani uzdrowienie Joachimy Dehant?

— Pamiętam wybornie chwilę przybycia Joachimy i to, że stękała za każdym krokiem. Jeden kapłan, który jej towarzyszył, polecił umieścić ją osobno, mówiąc, że ma ona gangrenę i skutkiem tego wydziela woń niemiłą. Było tak rzeczywiście. Widziałam sama ranę na nodze wieczorem, w dzień przybycia, a mianowicie, gdy Joachima odsłoniła chorą swą nogę, aby ją zabandażować. Rana była szkaradną,

bandaże przesiąknięte były ropą, która w nocy splamiła nawet prześcieradła na łóżku tak, że nazajutrz musiano je zmienić.

— Czy rana była wielką?

— O tak, przynajmniej taką... (To mówiąc, panna Latapie wyciągnęła prawą rękę, lewą zaś posunęła po niej od dłoni aż do łokcia). Nazajutrz wieczorem Joachima wróciła i pokazała nam nogę: rana znikła zupełnie, pozostała po niej tylko czerwonawa blizna.

— O której godzinie zobaczyłaś pani uzdrowioną nogę?

— Wieczorem dopiero, bo Joachima cały dzień przepędziła przy grocie.

13. Zeznania Pana Latapie.

— Czy mógłbyś nam pan opowiedzieć jakie szczegóły o uzdrowieniu Joachimy Dehant?

— Pamiętam wybornie to uzdrowienie. Nie widziałem wprawdzie rany, lecz słyszałem, że przybyła do nas chora jakaś osoba z okropną ranę na nodze. Nazajutrz po jej przybyciu widziałem ranę już zabliźnioną w chwili, gdy Joachima pokazywała ją rozmaitym osobom, które były wówczas w hotelu.

Pp. Deploige i Royer skreślili wyniki swych badań następującemi słowy:

»Dwa fakta zdają się być przez to badanie należycie stwierdzone.

»Pierwszy, że u panny Joachimy Dehant od dziewiątej godziny wieczorem do dnia 12 września 1878 roku, ewentualnie do rana dnia 13 września, istniała rana, która pokrywała całą prawie nogę, od kolana aż do stopy. Rana ta była czerwona, krwawa, tu i ówdzie wpadająca w kolor czarny, przedstawiała widok prawdziwie wstrętny, wydzielała obficie ropę, a wraz z nią i woń bardzo niemiłą. — Podług świadectwa lekarzy nie mogła ona zostać wyleczoną w przeciągu dni trzydziestu, tembardziej, że nie zdradzała żadnych oznak polepszenia.

»Drugim faktem jest to, że powyżej opisana rana znikła zupełnie, a na jej miejscu utworzyła się skóra nowa, sucha i zdrowa. Nastąpiło to już dnia 13 września 1878 rano, a przynajmniej najdalej między 9 a 10 godziną wieczorem«.

S. Deploige. Dr. Royer.

Uzdrowienie to wszędzie zostało ogłoszonem i nikt nie wystąpił przeciwko niemu.

»Kiedy Dr. Charcot w artykule pod tytułem: »Wiara która uzdrawia«, chciał nam objawić tajemnicę uzdrowień w Lurd, opowiedział o uzdrowieniu panny Coirin, jakie zaszło już przed ośmdziesięciu laty, a które opisał tylko na podstawie jakiejś starej ryciny. Był to najsil-

niejszy argument, zaczerpnięty z przeszłości, na jaki mógł się zdobyć. Odpowiedziałem mu na to — kończy Dr. Boissarie — opisem uzdrowienia Joachimy i zaproponowałem, aby ze swej strony przytoczył podobny przykład. Ani on jednak, ani nikt inny nie uczynił zadość temu żądaniu«.

Joachima dwa razy w przeciągu każdego roku udaje się do Lurd i odbyła już prawdopodobnie czterdziestą dziękczynną pielgrzymkę!

Jeśli ten fakt dla kogoś nie jest dostatecznie dowiedzionym — i przekonywającym, to powtórzyć można o nim słowa P. Jezusa: *By też kto z martwych powstał, nie uwierzą.* (Łuk. 16. 31.)

* * *

Nietylko jednak lekarze katoliccy, za przykładem Dra Vergez, uznają uzdrowienia w Lurd za wypadki nadzwyczajne.

Doktor Thorens, protestant, lekarz w biurze dobroczynności, i Dr. Mac Geven, również protestant, — stwierdzają uzdrowienie James'a Tonbridge. Był on dotknięty tak zwaną chorobą Pott'a, połączoną z wrzodami i ranami. — Po długich cierpieniach płuca także zostały zajęte, a ciągły kaszel świadczył o zaatakowaniu organicznem, które rzeczywiście miało miejsce i kazało się obawiać rychłego końca.

Przyjechawszy do Lurd dnia 20. sierpnia 1879 roku został on przeniesiony na noszach do groty, a następnie do sadzawki. Tam uczuł jakby ogień, który go całego przenikał; jakaś moc niezwykła wstrząsła nim tak, że się podniósł, ubrał się sam i zaczął chodzić bez niczyjej pomocy.

Tonbridge przyjechał leżąc w wagonie, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, a odjeżdżał, idąc pieszo na kolej i niosąc sam swe rzeczy. Chód jego był już pewny i śmiały. Na jego widok żona zemdlała; ci, co go widzieli jadącego w stanie blizkim śmierci, a teraz ujrzeli zdrowego — biegli za nim przez całą ulicę de la Reine-Hortense, aby się przekonać, czy sami nie ulegli złudzeniu.

Jeden z członków tej pielgrzymki, opisując powyższe uzdrowienie, dodaje:

»W parę miesięcy po tem zdarzeniu, powróciwszy ze wsi, poszedłem z panią H. odwiedzić Tonbridge'a. Żona jego była sama z dziećmi, pięknie ubranemi, które koło niej radośnie skakały. Dom cały wskazywał, że tu panuje szczęście i dostatek. Żona Tonbridge'a poznała panią H. i zawołała:

— Ach! czy pani pamięta, jak to ja nie chciałam mężowi pozwolić na podróż do Lurd? Jakże pani byłaś dobrą, żeś ustąpiła mu swego miejsca w wagonie!

— A gdzież jest mąż pani?

— Jest zarządcą hotelu Avenue Friedland nr. 36.

— Pójdźmy więc go zobaczyć!

»Wybiła właśnie szósta godzina wieczorem. Zimno było straszliwe. Tonbridge w ubraniu zarządcy hotelowego, z głową odkrytą, wybiegł na nasze spotkanie.

— Czy poznaje go pani? zapytałem się pani H.

— To nie do uwierzenia! — rzekła.

Potem prosiłem Tonbridge'a, aby mi opowiedział historyę swego uzdrowienia. Uczynił on chętnie zadość naszemu życzeniu mówiąc:

»Kiedy wróciłem do Paryża, ci którzy mnie widzieli blizkim śmierci, a potem ujrzeli chodzącego i zdrowego, biegli za mną przez całą ulicę de la Reine-Hortense. Poszedłem do kaplicy św. Józefa, aby tam złożyć Bogu jak najgorętsze dzięki. Zdawało mi się ciągle, że obraz Najświętszej Panny do mnie się uśmiechał.

— A lekarze co na to? — zapytałem.

— Dr. Thorens, protestant, lekarz biura dobroczynności, który mi dał świadectwo, rzekł: »Jesteś uzdrowionym, tem lepiej dla ciebie«. Był on zawsze bardzo dobrym dla mnie. Dr. Mac Geven, także protestant, również bardzo się ucieszył mojem wyzdrowieniem. Inny jednak lekarz, którego nazwisko wolę zamilczeć, był bardzo zdziwiony i niezadowolony. Zapytał mię — czem się wyleczyłem, a ja mu na to: »Matka Najświętsza mię uzdrowiła«!

— To niepodobieństwo! — zawołał,— cudów niema, to są tylko głupstwa. Przyznaj się, żeś używał jakichś lekarstw.

— Wiesz pan dobrze odrzekłem, żem już żadnych lekarstw nie zażywał — Sama Najświętsza Panna mię uzdrowiła i to w jednej chwili.

— Jesteś oszustem! — idź sobie ze swoją Matką Boską! — zawołał z gniewem i wyrzucił mnie za drzwi.

»Rozpłakałem się z powodu takiego postępowania ze mną, — tembardziej, że wiele osób było świadkami tej sceny. — Jeden z nich, pastor protestancki, zbliżył się do mnie, a zapytawszy o szczegóły mego uzdrowienia, odpowiedział: »Wiara twoja cię uzdrowiła«!

W przytoczonych powyżej przykładach, fakta są tak bijące w oczy, że zamiast bawić się w ogólniki, trzeba je przyjąć wraz z ich całą niewytłumaczoną logiką. Trzeba uznać, że wszystkie te choroby, jak: puchlina, rany, fistuły itp. nie mogły być naturalnym sposobem wyleczone w jednej chwili. Takie zjawiska przechodzą rozum ludzki i sprzeciwiają się wszystkim naukowym teoryom. Żaden lekarz nie może wobec takich faktów pozostać obojętnym widzem. Zupełnie więc dla nas

zrozumiałą rzeczą jest to, że dr. Vergez, który był częstym świadkiem tych, rzec można, zmartwychwstań, — rzekł:

»Jeżeli mię kto zapyta, co widziałem w Lurd, odpowiem: po zbadaniu faktów autentycznych, stojących ponad potęgą nauki i sztuki, widziałem, dotykałem się dzieła Bożego — cudu«!

ROZDZIAŁ VI.

Rok 1882—1885.

UZDROWIENIE X. BUURMANS'A, ŚWIADECTWO Dra SCHMITZ'A. — JÓZEF VIANE, ŚWIADECTWO Dra VAN DROMME. — CZEŚĆ N. MARYI P. Z LURD W KONSTANTYNOPOLU, UZDROWIENIE MUSTAFY. — HRABIA DE MUN W LURD. — STOWARZYSZENIA KATOLICKICH RZEMIEŚLNIKÓW.

Belgia może się słusznie poszczycić szczególnemi łaskami Matki Boskiej, a cześć ku Najświętszej Pannie z Lurd jest tam najbardziej rozpowszechnioną. Najliczniejsze i najznaczniejsze pielgrzymki do Lurd wychodzą corocznie z Belgii. Inicyatywa pielgrzymek nie zawsze wychodzi od księży — bardzo często podejmuje je sam lud.

1. W roku 1882 pielgrzymi belgijscy dostąpili największej ilości uzdrowień, które i pod względem rodzaju pierwsze zajmują miejsce. Dr. Schmitz, lekarz z Antwerpii, w sposób najdokładniejszy zbadał stan zdrowia X. Buurmans'a i stwierdził różnicę, jaka była w stanie choroby tegoż, dnia 27 stycznia 1882 — na 3 dni przed wyjazdem jego do Lurd — a po powrocie. Rzeczywiście, oddech krótki i urywany, niemożność mówienia i przyjmowania pokarmów, nierówne bicie serca, opuchnięcie nogi, nadzwyczajne schudnięcie, ciągły kaszel — wszystko to zniknęło! Natomiast oddech stał się spokojnym, głos czystym i łatwym, trawienie i czynności żołądka regularnemi, serce wróciło do normalnego stanu i wogóle cały stan zdrowia nic już nie pozostawiał do życzenia. Nawet opuchnięcie nogi zniknęło, a normalne przybieranie tuszy było widocznem.

Nagły ten powrót do zdrowia został wywołany nie jakiemś lekarstwem, lecz jednym aktem wiary w moc Maryi Dziewicy, oraz trzema zanurzeniami w wodzie groty Najświętszej Panny w Lurd.

Oto świadectwo o tem lekarza, Dra Schmitz'a:

»Nadzwyczajna szybkość i doskonałość uzdrowienia, a w szczególności zniknięcie natychmiastowe i zupełne takich zaburzeń, jak opuchnięcie nóg, które trwało oddawna, nadają temu uzdrowieniu szczególną cechę, każąc je zaliczyć do rzędu tych, co mają swój początek w mocy wyższej«. *Dr. D. Schmitz.*

Antwerpia dnia 29 marca 1882 roku.

X. Buurmans przybył do Lurd dnia 1 stycznia, prawie umierający. Biedny chory z trudnością zawlókł się do Bazyliki, zstąpił do groty i tam się pomodlił, a wreszcie wszedł do sadzawki. Tam pełen głębokiej wiary zanurzył się w wodzie po trzykroć. Za trzecim razem piersi jego rozszerzyły się tak, że zaczął swobodnie oddychać; wszelki ból, wszelkie nabrzmienie znikły, słowem został uzdrowionym. Twarz jego uległa jakby nagłemu przeistoczeniu, a siły z zadziwiającą wróciły szybkością. Powrót owego księdza był istnym tryumfem. Proboszcz w Paryżu przy kościele Notre-Dame des Victoires, dowiadywał się dwukrotnie o szczegóły jego uzdrowienia.

Zakonnica Niepok. Pocz. w Lurd, uzdrowiona ze suchot.

W Belgii miasta Tournai i Antwerpia przyjmowały go z entuzyazmem. Kardynał z Malines przyjął księdza Buurmans'a jak syna i okazał szczególną radość z powodu, że taka łaska spotkała właśnie kapłana z jego dyecezyi.

2. Dr. Van Dromme z Brygi *(Bruges)*, w świadectwie noszącem datę 16 października 1882, oświadcza:

»Józef Viane, liczący lat dwadzieścia, miał przez cztery lata rany, wynikłe z próchnienia kości biodrowej, oraz wrzody w górnej części uda. Po pielgrzymce do Lurd i zanurzeniu się w sadzawce zniknęły wszystkie rany w przeciągu 48 godzin.

»Uzdrowienie to dokonanem zostało w zbyt krótkim czasie, aby je czemu innemu przypisać było można, jak sile nadnaturalnej, bo rany, spowodowane próchnieniem kości, nie mogą być usunięte w tak krótkim czasie«.

3. Lecz nie w samych tylko krajach katolickich kwitnie cześć Maryi Dziewicy cudami słynnej w Lurd.

Jeśli w Polsce, we Włoszech, Hiszpanii, Austryi, znajdujemy figury Najświętszej Panny z Lurd w prywatnych kaplicach, kościołach i katedrach, jeźli tam wznoszą na cześć Jej ołtarze lub groty i obchodzą Jej święta, — to narody niewierne nie są również wydziedziczone pod tym względem. Dzięki staraniom misyonarzy czczą Ją już mieszkańcy Indyi, Chin, Ameryki i Oceanii, a nawet Afryki środkowej.

Cześć publiczna Najświętszej Panny z Lurd w Konstantynopolu sięga roku 1881. Nieustanne uzdrowienia w kaplicy Ojców Georgianów ściągają tam tłumy pielgrzymów. Setki świec palą się dnia każdego, a wodę z Lurd zakonnicy bezustannie rozdają. Nabożeństwo do Najświętszej panny z Lurd rozszerza się daleko poza granicami państwa Ottomańskiego. Z Mekki i Medyny żądają ludzie wody z Lurd. Składają przez to jakby pełne znaczenia wyrazy swej wiary w dobroć i potęgę Bogarodzicy!

Zresztą wobec coraz bardziej wzrastającej czci Najświętszej Panny w Lurd, kardynał Vanutelli ustanowił osobną komisyę, badającą kanonicznie zdziałane tam cuda. Sprawozdania ze swoich badań składa komisya ta w Rzymie. Całe ściany kaplicy w Konstantynopolu są pokryte wotami. Wybór miejscowości, gdzie się dzieją te cuda, jest dla uważnego badacza przedmiotem podziwu. Nigdzie może sprawa katolicka nie doznaje mocniejszej podpory, jak tam właśnie, gdzie się zbierają przedstawiciele wszystkich wyznań i narodowości. Najśw. Panna z Lurd jakby wskrzesiła Kościół katolicki na wschodzie. Turcy widząc tę nadziemską moc, skłaniają głowę i uznają wyższość religii katolickiej, a patrząc na cuda, zdziałane przez Matkę Najświętszą, dochodzą do przekonania, że takich łask nie mogą się spodziewać od swego proroka Mahometa — nawet w jego »świętych« miastach.

Zresztą pomimo surowych zakazów, zawartych w Koranie, Turcy ze wszystkich sfer, nawet najwyższych, modlą się nieraz przed statuą Dziewicy Maryi. Między pielgrzymami widzieć można w Konstantynopolu wszystkie narodowości i warstwy społeczne z cesarstwa Ottomańskiego. Obok żony ambasadora francuskiego, widzimy nieraz wdowę paszy, dawnego ministra, siostrę wielkiego wezyra, które przychodzą tu, aby się razem modlić. Widzieć też można Greków, Żydów, Muzułmanów i Armeńczyków. Świeżo zamianowany pasza przychodzi tu nieraz przed objęciem swego urzędu.

Za przedmiot swych łask obrała sobie Najświętsza Panna Muzułmanina Mustafę, dostawcę pałacowego, który po dziewięciu miesiącach strasznych cierpień stracił prawe oko. Osiemnaście dni upłynęło od czasu utraty oka, gdy w tem jakaś pani, ubrana biało, pokazuje mu się we śnie i mówi: »Jestem Dziewicą czczoną w kaplicy Ojców Georgianów, i rozkazuję ci iść tam natychmiast, aby się pomodlić i złożyć ofiary dziękczynne!« Po obudzeniu się Mustafa uczuł się zupełnie zdrowym! Natychmiast więc opuszcza swe zajęcia i nie znając miejscowości, jedzie na wskazane miejsce, gdzie słucha Mszy świętej i opowiada Ojcu Przełożonego u swojem uzdrowieniu. Zapewnienia jego jednak nie są dostateczne, żądają więc od niego świadków i dowodów. W parę dni potem

Mustafa wraca z wielu Muzułmanami, swymi przyjaciółmi. Wszyscy dają świadectwo o chorobie, o utracie oka, o natychmiastowem uzdrowieniu. Powyższe zeznania złożone zostają wobec jednego urzędnika Melchity; spisują protokół, podpisany następnie przez wszystkich obecnych.

Naturalnie nie mamy tu świadectwa znanych lekarzy, dyagnozy dokładnej, technicznej terminologii, obserwacyi szczegółowej choroby. Lecz jesteśmy w Turcyi, wobec zagorzałego, bogatego Muzułmanina, którego słowa i świadectwa jego przyjaciół tem głębsze posiadają znaczenie, jako wyraz prawdziwego, niezachwianego przekonania.

Im bardziej nabożeństwo do Najświętszej Panny z Lurd po całym świecie się rozszerza, tem bardziej mnożą się pielgrzymki nad brzegi Gawy, a wraz z niemi i przykłady nowych uzdrowień i nowych łask.

Wynikiem trzydniowej pielgrzymki narodowej z roku 1884 było 62 protokołów z wypadków tego rodzaju, spisanych pod okiem pięciu lekarzy, którzy byli przy tem obecni i badali sumiennie wszystkich chorych. — Tego samego roku hrabia de Mun przyprowadził stowarzyszenie katolickich robotników, w liczbie 2.500 ludzi ze 169 sztandarami, którymi otoczono grotę. Na sztandarach jaśniały znane napisy: Belleville, Saint-Antoine, Batignolles, nąsuwające różnorodne wspomnienia i budzące rozmaite na przyszłość nadzieje. Ci robotnicy byli prawdziwymi przedstawicielami Francyi katolickiej i wszyscy przystępowali przy grocie do Komunii św.

Od r. 1884 wszystkie uzdrowienia badano już z jak największą dokładnością i surowością, mogącą wytrzymać najnieprzychylniejszą krytykę. Stały lekarz, będący wyłącznie na usługach chorych, bada i sprawdza każdy fakt uzdrowienia, wywiązując sie ze swego zadania z sumiennością i systematycznością, która powinna służyć za wzór tym wszystkim, co zechcą wstąpić w jego ślady. Niepodobna jednak nieraz dokładnie zaznaczyć granicę oddzielającą siły fizyczne od sił nadnaturalnych. Nawet lekarze nie mogą tu być dość kompetentnymi i musieliby spędzić czas dłuższy w Lurd, aby sprawdzając wszystkie wypadki poszczególne, zwłaszcza wypadki podczas wielkich pielgrzymek, przygotować tym sposobem swój umysł do rozmaitych, płynących z tego wniosków i wskazówek.

CZĘŚĆ IV.

UZDROWIENIA W OSTATNICH CZASACH.

ROZDZIAŁ I.

Klinika w Lurd.

300 ŚWIADECTW LEKARSKICH. — CZEMU NIEKTÓRZY NIE CHCĄ PRAWDY UZNAĆ? — BIURO LEKARSKIE. — SPOSÓB BADANIA CHORYCH I ICH UZDROWIEŃ. — PIELGRZYMKI NARODOWE. — STATYSTYKA DOROCZNYCH DOCHODZEŃ I UZDROWIEŃ. — PIERWSZY CUD, KTÓREGO ŚWIADKIEM BYŁ Dr. BOISSAIRE: CELESTYNA DUBOIS Z IGŁĄ W DŁONI.

Z Rocznikami *(Les Annales de Lourdes)* w ręku,' których wydawnictwo trwa od roku 1868, — pisze Dr Boissarie — zaczęliśmy przebiegać dzień za dniem protokóły ważniejszych uzdrowień w Lurd. Co tu materyału nazbieranego w tem wydawnictwie, które wynosi już trzydzieści kilka tomów! Szczególny nacisk położyliśmy na 300 świadectw, opatrzonych podpisami różnych najsławniejszych lekarzy, którzy zdali sprawę z tego, co widzieli i sami badali. Najbardziej znani lekarze byli wzywani tu na konsultacye i dawali wyraz swych przekonań, tak o rodzaju choroby, jak o jej nieuleczalności. Lecz nie 300, ale przeszło tysiąc lekarzy było świadkami i sędziami cudów w Lurd. W tych okolicznościach powinno się dojść do przekonania, że we wszystkich stwierdzonych cudownych uzdrowieniach należało uważać siłę nadprzyrodzoną za czynnik jedyny. Lecz dalekimi jesteśmy od tego. Lekarze niektórzy, słysząc o uzdrowieniach w Lurd, odwracali głowy z uśmiechem niedowierzania i wzgardy, a niektórzy wreszcie odrzucili wszystko ryczałtem i bez sprawdzenia, do którego byli z zawodu powołani. Lecz minęło to, — fakta były faktami; wprost im zaprzeczyć jest niepodobieństwem.

»Nadchodzi chwila, w której po za obrębem doktryn materyalistycznych, pozytywistycznych, spirytualistycznych, musimy wypowiedzieć nasze zdanie, zamykając się w granicach ściśle określonej krytyki. Będziemy wtedy musieli zstąpić z wyżyn samej tylko teoryi lub doktryny, a wejść

na drogę rozumowego badania i dyskusyi przy każdem uzdrowieniu z osobna. Jeźli nam mówią o ranie zgojonej w jednej chwili, o ropieniu organicznem, które jedna kąpiel usunęła natychmiastowo, nie możemy wtedy mówić o zaburzeniu tylko funkcyi organicznych, o objawie choroby czysto nerwowej, którą jedno przemijające wrażenie może usunąć lub uśmierzyć. Na razie nie pytam o przyczynę tego zjawiska, nie żądam, aby nazwano to cudem, zdziałanym przez siłę nadprzyrodzoną. Wystarczy nam na razie, aby tylko uznano, że zasady naszej lekarskiej wiedzy i sztuki zostały pogwałcone i że wszelkie tłumaczenie, tylko czysto fizyologiczne, jest niedostatecznem do wyjaśnienia otrzymanych wyników. Wszyscy lekarze, którzy oceniali te uzdrowienia podług swoich materyalistycznych zapatrywań, potępili je z góry — bez badania. Natomiast wszyscy ci, którzy wzięli bezpośredni udział w tych wypadkach, jako świadkowie lub sprawozdawcy, zapomnieli o dawnych swych teoryach i doktrynach, opowiedzieli i osądzili je bezstronnie, wiernie i sumiennie.

»W »Rocznikach« znajdujemy na każdej niemal stronicy nazwiska sławnych naszych kolegów z Francyi, Belgii, Anglii, Ameryki. Mamy więc i liczbę dostateczną i należytą powagę świadków. Fakta przez nas przytoczone przesunęły się przed naszemi oczyma, największa część z osób, działających w tych wypadkach, dotąd jeszcze żyje tak, że możemy je o to zapytać i zażądać od nich wszelkich potrzebnych nam szczegółów. Czyż można żądać większej pewności?...

»A czemu to przypisać, że przeciwnicy wszystkiego, co nadnaturalne i cudowne, tak rzadko przyjeżdżają do Lurd?

»Czemu poważne świadectwa, tylu profesorów i lekarzy, nie mogą zniweczyć albo choćby zachwiać nieufności wydziałów lekarskich do Lurd, lub przynajmniej wzbudzić w nich prostą choćby tylko ciekawość?

»Ach! — dałem już na to odpowiedź, — mówiąc, że: człowiek wierzy w to tylko, w co chciałby wierzyć, na co dobrowolnie oczu nie zamyka! Niewierzący w cuda w Lurd należą do ludzi takich, co nie chcą wierzyć, mimo wszystkich danych, — co z raz powziętym zamiarem niewierzenia bez badania sąd swój wydają o faktach, których świadkami nie byli.

»Tym jednak, co odrzucają wszelkie świadectwa, jak n. p. zeznania osób chorych, a potem uzdrowionych, — lekarzy, którzy ich leczyli, lub zapewnienia rodziców i przyjaciół tychże uzdrowionych — śmiało powiedzieć możemy, że jest jeszcze ostatnia dla nich próba do zrobienia: gdy nie wierzycie słowom innych, czyż wierzyć nie będziecie sobie samym?... swoim własnym uszom, oczom i wszystkim zmysłom?

»Przyjedźcie do Lurd podczas wielkich pielgrzymek! przypatrzcie się sami, badajcie, pytajcie chorych, przychodźcie do kliniki i biur do-

świadczalnych, znajdziecie tam kolegów podobnych do was, którzy z jak najściślejszą, najgruntowniejszą metodą badają wszystko i z wielką ostrożnością wypowiadają swe zdania, a może nawet znajdziecie kolegów surowszych od was samych, którzy musieli się jednak przekonać, że te zdarzenia i uleczenia są prawu natury wprost przeci-

Walentyna Rousseau. (*Coxalgia.*) Irma Legrand. (*Coxalgia* z ropieniem.) Marya Leconteux. (Skrzywienie kręgosłupa.)

Chore, uzdrowione cudownie w Lurd.

wne albo przynajmniej przekraczają zwykłe ich, a nam znane granice!

»Jeźli z tych biur nie wyjdziecie przekonani, że to, co się tu dzieje, ma w sobie coś nadnaturalnego, — (bo cuda nie dzieją się zawsze

i o każdej chwili), — to przynajmniej wyjdziecie z przekonaniem, żeście spotkali lekarzy o zamiarach uczciwych, którzy mają chociażby tyle otwartości, co i wy, że są oni badaczami sumiennymi, uważającymi za swój cel: obronę prawdy, narażanej często na szwank przez zaślepienie tłumu, albo przez doktryny i przesądy szkoły. Zobaczycie tu uzdrowienia, które nie dają się wytłumaczyć za pomocą żadnej znanej nam teoryi fizyologicznej!«

* * *

»Już od lat kilku założono w Lurd »Biuro sprawdzań lekarskich« zawsze otwarte i czynne podczas pielgrzymek. Jest to rzeczywista klinika, umieszczona obok groty Matki Boskiej. Dzieło to, jedno z najdziwniejszych naszej epoki, zaczęło się i rozwinęło samo przez się, bez naprzód obmyślanego programu. Dr. de Sain-Maclou, który najpierwszy niem kierował, nie mógł zaiste ani marzyć nawet, że z tak skromnych początków powstanie kiedyś dzieło tak wielkiej doniosłości!

»Skromny budynek pierwotny z desek sklecony, (patrz str. 67) którego nawet trudno było gdzieś umieścić pośród wspaniałego lasu świętych gmachów, wszędzie w Lurd się wznoszących, już sam dostatecznie świadczy, iż nie był przeznaczonym na to, aby miał kiedyś mieścić w swych ścianach najpoważniejszych przedstawicieli nauki. Ciekawą bardzo jest i ta okoliczność, że to nie katoliccy i wierzący lekarze odpowiedzieli pierwsi na uczynione im wezwanie; pierwsi bowiem przybyli lekarze raczej obojętni, ciekawi, oraz wielu niewierzących, którzy mieli zamiar wytłumaczyć nam w sposób naturalny i racyonalistyczny wszystkie te uzdrowienia, a którzy wprost spotkali się z faktami, zadającymi kłam wszystkim ich dotychczasowym teoryom.

»Lekarze katoliccy przybyli później; ale i oni nie byli wolnymi od różnych myśli sceptycznych i pełnych krytyki i chcieli stawiać różne zastrzeżenia; sądzili bowiem, że Opatrzność skąpą tylko ręką rozdziela cuda swoje, i że rozum ludzki bardzo jest słabym i nieudolnym na punkcie pojęcia i wytłumaczenia tych cudów. Tymczasem klinika w Lurd to biuro sprawdzań lekarskich, stało się dla nich jakoby nieustającą szkołą rzeczy nadprzyrodzonych, w której Przenajświętsza Dziewica chciała niemal przed ich oczyma powtórzyć cuda Odkupienia, jakie się działy za życia Zbawiciela na ziemi.

»Corocznie, na początku narodowej pielgrzymki francuskiej, gdy się otwierają podwoje kliniki tak dla chorych, jako i dla lekarzy, nigdy nie wiemy naprzód, którzy z naszych kolegów zasiądą obok nas, ani też jacy będą chorzy, mający się poddać badaniom i odpowiadać na zadane przez nas pytania. Wszystko w naszym programie jest

nieprzewidziane i niespodziewane. Tak chorzy jak i lekarze przybywają ze wszystkich niemal krajów i znajdują się w najrozmaitszych warunkach życia. Jest to klinika, w której niema ani nauczycieli, ani uczniów, w której hierarchia naukowa znika, a pragnienie dojścia do prawdy i stwierdzenia takowej panuje nad wszelkimi innymi względami. Klinika ta, to chyba jedyna w swoim rodzaju, której rozum ludzki nie mógłby obmyśleć, ani też wola ludzka sama z siebie nie byłaby w stanie urzeczywistnić, a która na chwilę zbliża do siebie ludzi o najsprzeczniejszych nawet dążeniach.

»Z pierwotnej budy z desek skleconej, biuro sprawdzań lekarskich zostało z czasem przeniesione do wspaniałego lokalu, urządzonego umyślnie pod tarasem budynku Różańcowego, po prawej jego stronie. (patrz str. XVI). Są tam cztery ubikacye, nawiedzane codziennie przez licznych lekarzy i niezliczoną liczbę chorych, albo już uzdrowionych. Od 8-ej do 11-ej rano i od 1-ej do 6 popołudniu, lekarze tam się gromadzą, pracują, badają, dyskutują i studyują. Pomiędzy lekarzami widzimy przedstawicieli różnych wydziałów lekarskich nietylko z całej Francyi, ale i innych krajów, jak np. z Belgii, Anglii, a nawet z Ameryki. Różnorodność składu tych zebrań naukowych znakomicie odpowiada celowi tej instytucyi; zapewnia bowiem bezstronność, która ma być cechą sumiennych badań, — i miarkuje zbyt gorących entuzyastów, rozprasza też przesądy, a zostawia wolne pole dla badania podniesionych zarzutów. W godzinach poświęconych sprawozdaniom, klinika jest pełną spokoju, a zarazem i życia; wszyscy pracują w milczeniu pod kierunkiem prezesa. Pierwsza sala służy za poczekalnię tak dla chorych, jak i dla uzdrowionych. Tam to chorzy przybywają, aby się poddać badaniom lekarskim, zanim dopuszczeni zostaną do sadzawki, napełnionej wodą cudowną. Sami nawet uzdrowieni przez Przenajświętszą Dziewicę idą szukać tam schronienia przed zapałem rozentuzyazmowanych — i poddać się stwierdzeniu doznanej łaski.

»Dwie sale następne służą do tego, jak najsumienniejszego badania uzdrowionych. Komisye lekarskie, złożone z kilku a nieraz i kilkunastu lekarzy, badają przedewszystkiem każdego z osobna i usuwają z porządku dziennego wszelkie mniej zajmujące i wątpliwe wypadki. Natomiast wypadki uzdrowień nadzwyczajnych bywają badane z nadzwyczajną drobiazgowością; a wszelkie akta i dowody piśmienne, dotyczące poprzedniej choroby tych cudownie uzdrowionych, jako to: świadectwa lekarskie, wszelkie pisma objaśniające dany wypadek, dokumenta tożsamości osoby itd. zostają jak naściślej sprawdzone. Wreszcie komisya bada r z e c z y w i s t o ś ć uzdrowienia, o którem chory zawiadomił biuro sprawdzań.

»Wszystko to stanowi dopiero pracę przygotowawczą, po której lekarze wprowadzają uzdrowionego do wielkiej trzeciej sali, zdając zarazem sprawę z tego wszystkiego, co dotychczas stwierdzili, i wtenczas dopiero następuje otwarcie dyskusyi ogólnej i formułowanie rozmaitych wątpliwości i zarzutów. Zdania wszelkie bywają wyrażane z wielką swobodą, metody najróżniejsze bywają stosowane; tak chorzy uzdrowieni, jako i świadkowie tych uzdrowień muszą odpowiadać na cały szereg szczegółowych pytań. Lekarze zwykle zapisują wszystko skrzętnie, stawiają pytania, podnoszą zarzuty, robią wnioski, wywołując tem samem krytykę kolegów albo w swoich twierdzeniach ostrożniejszych, albo też śmielszych. Zestawienie czyli ostateczny rezultat rozpraw bywa zwykle streszczonym przez prezesa, który głośno i pod kontrolą swoich kolegów lekarzy dyktuje protokół każdej części, czyli każdego poszczególnego wypadku, badanego na tem posiedzeniu. Często się zdarza, że uzdrowieni otrzymują wezwanie czyli zaproszenie, aby zechcieli się stawić jeszcze dnia następnego, i bywają poddawani nowym badaniom. Zawsze też zapada decyzya, aby uzdrowiony został jeszcze dodatkowo zbadanym w ciągu następnych kilku miesięcy, — i zwykle bywa to powierzonem jednemu z lekarzy.

»Z tego wszystkiego widzimy, jak bezpodstawnemi są krytyki pisarzy niedowiarków, zarzucających pewną, zbyt przychylną stronniczość tym powagom lekarskim, które w Lurd orzekają o rzeczywistości cudownych uzdrowień. Wszyscy bowiem lekarze, jacy tylko zgłosili się do kliniki, bywali jak najchętniej przyjęci, bez względu na ich sposób myślenia lub na wyznanie religijne, do którego należeli, i wszyscy też jednomyślnie składali hołd uznania dla bezstronności prawdziwie naukowej, która podczas tych badań lekarskich bywa zawsze przestrzeganą«.

* * *

»Przed niewielu jeszcze laty Dr. de Saint-Maclou, prawie sam tylko zasiadał w tem biurze sprawdzań, któremu dał początek. Tam też poznałem go po raz pierwszy — pisze Dr. Boissarie — podczas pielgrzymki narodowej w roku 1886. Było nas przy jego boku tylko kilku lekarzy i podziwialiśmy jego roztropność w studyowaniu tak trudnych kwestyi. Nie miał on wówczas ani współpracowników, ani pomocy i cały ciężar tych pierwszych badań na nim tylko spoczywał.

»W roku 1887 podczas pielgrzymki narodowej, dwunastu już lekarzy kolejno pracowało w biurze sprawdzań i przez trzy dni badało cudowne uzdrowienia. W r. 1888 zebrało się nas już lekarzy dwudziestu; w r. 1889 dwudziestu dwóch; w r. 1890 trzydziestu. Dr. Gros, dawny lekarz szpitala w Boulogne, mający osiemdziesiąt lat wieku, stanął

w szeregu ochotników, opiekujących się chorymi, i jako taki przejechał całą Francyę, od cieśniny Kaletańskiej aż do Pirenejów, towarzysząc swoim chorym.

»W r. 1892 w miesiącach sierpniu i wrześniu, przeszło stu pięćdziesięciu lekarzy następowało po sobie w biurze sprawdzań. W tej liczbie było dwudziestu lekarzy z Paryża, jak również przedstawiciele naszych Akademii i wydziałów lekarskich, uniwersytetów, lekarze ze szpitali wielkich miast, prymaryusze i sekundaryusze, a nawet członkowie zagranicznych wydziałów lekarskich.

»Obok lekarzy mieliśmy w naszem audytoryum przedstawicieli wszystkich gałęzi wiedzy i rozmaitych zawodów: adwokatów, literatów, dziennikarzy; a podczas trzech posiedzeń był obecny i powieściopisarz, będący wówczas najwięcej w modzie, Emil Zola, który przynosił z sobą głośne echo swojej popularności. Tych wszystkich gości uważaliśmy poniekąd za nowych, nieoczekiwanych współpracowników, a może i pomocników naszych w przyszłości. Lurd bowiem i cuda, które się tam dzieją, są rzeczą zbyt wielką i potężną, aby nie mogły wytrzymać próby jakichkolwiek rozumnych zarzutów.

»Wobec publiczności tak różnorodnej, jak ta, która zapełnia biuro sprawdzań, to, co mówią chorzy sami, więcej trafia do przekonania słuchaczy, aniżeli wywody lekarzy, choćby najoczywistszy cud stwierdzających. Wywodów tych słuchają nieraz z pewnem roztargnieniem; natomiast gdy chory uzdrowiony sam przemówi, słuchacze nie umieją się oprzeć uczuciom gorącej, rzewnej wiary, która ich opanowuje, często też twarz odwracają, aby ukryć łzy, cisnące im się do oczu.

»Gdy pani Gordet, z Henrichemont, opowiadała nam o długiej chorobie, która przez lat cztery przykuwała ją do łoża boleści i na uleczenie której nie było innego środka oprócz operacyi, mogącej prawdopodobnie przyspieszyć śmierć, a w najlepszym razie zostawić ją kaleką na resztę życia: gdy nam ta pani opowiadała, jak w ciągu jednej sekundy odzyskała cudownie życie, zdrowie i siły, które uważała już jako stracone na zawsze, — o! wtedy najmniejszym szmerem niezakłócone milczenie panowało na sali, słuchaliśmy jej wszyscy, nie przerywając żadnem zapytaniem. Żadna trudność, żadna wątpliwość nam się nie nasuwała. To opowiadanie pełne prostoty, nie obmyślone naprzód, przedstawiające wiernie boleści odczute, było tak nacechowane wymową, płynącą z głębokiego przekonania, i prawdą, że i nam to przekonanie mimowoli się udzieliło. Widziałem, jak oko Zoli, który obok nas zasiadał, spoczęło na tej kobiecie; on także nie mógł się oprzeć czarowi jej wymowy, on także odczuł wrażenie prawdy, która przebijała,

w jej słowach, — a jeżeli na razie nie chciał się jej poddać w zupełności, to jednak chwila ta niezawodnie była dla niego światłem, które niezatartem piętnem odbiło się w jego wspomnieniach.

»W ciągu dwóch miesięcy sierpnia i września 300,000 pielgrzymów lub turystów odwiedziło świętą grotę w Lurd, a wśród nich mieliśmy cztery do pięciu tysięcy chorych. Gdzież jest na świecie klinika, któraby w ciągu dwóch miesięcy miała tylu chorych do zbadania i 150 lekarzy do prowadzenia i kontrolowania tych badań?... Jest to coś wprost dotychczas na świecie niewidzianego i niesłychanego!

Amerykanka z Chicago, uzdrowiona z ciężkiej choroby nerwowej.

»Każdy chory przynosi zwykle z sobą świadectwo od swego zwyczajnego lekarza; świadectwa te wystawione z wielką sumiennością, zawierają częstokroć całkowite monografie i opisy chorób, kreślone nieraz z największą dokładnością. Podczas organizacyi pielgrzymek komisye lekarskie badają wszystkich chorych: stąd powtórne sprawdzenia i powtórne świadectwa. Kilku lekarzy wsiada wraz z chorymi do pociągu i towarzyszy im aż do Lurd, gdzie następuje trzecie badanie w tamtejszej klinice przez licznych lekarzy tamże asystujących.

»W wypadku uzdrowienia badania rozpoczynają się na nowo, ale w kierunku odwrotnym: i tak pierwsze sprawdzenie odbywa się zaraz na miejscu w Lurd, a następne dokonywane bywają przez tych wszystkich lekarzy i w obec tych samych świadków, którzy przedtem znali stan chorego, przed jego uzdrowieniem, i w miejscu jego zwykłego zamieszkania. Trudno chyba o dokładniejsze badanie i sprawdzenie, o lepszą i pewniejszą rękojmię prawdy.

»Wreszcie dodać trzeba, że Ojciec św. Leon XIII, niejednokrotnie pochwalał starania i ostrożności przedsięwzięte, tak przez duchownych, jak i przez lekarzy w Lurd, aby nic niepewnego lub wątpliwego nie było nigdy przyjętem, jako uzdrowienie rzeczywiste«.

* * *

»Minęły już czasy, w których żądano od nas jednego tylko jakiegokolwiek przykładu uzdrowienia poza obrębem chorób czysto nerwowych i suggestywnego tylko wpływu takiego, jak naprzykład: uzdrowienia natychmiastowego z rany lub skira, opartego na badaniach, którymby nic zarzucić nie można.

»Od lat czterdziestu najbardzej zdumiewające uzdrowienia następują po sobie bez przerwy, mnożą się z dniem każdym fakta, dowody, świadectwa. Mogliśmy nawet dokonać syntezy tych uzdrowień i złożyć statystykę, której i najsurowszy krytyk nicby zarzucić nie zdołał.

»Mamy przed sobą nazwiska wszystkich chorych, którzy się zgłaszali do naszego biura, tudzież wszystkich tych, którzy ich pielęgnowali, a zarazem wiemy, ile w każdym roku dokonało się uzdrowień, z rozmaitego rodzaju chorób. Wiemy też dokładnie ilu uzdrowionych było paralityków, suchotników, niewidomych, głuchych, lub dotkniętych wrzodami i ranami.

»W archiwach naszych, od lat przeszło czterdziestu, przesuwa się jakby przed oczyma historya tego niesłychanego dotąd ruchu, jaki się w pobliżu nas odbywa.

»W roku ubiegłym zredagowaliśmy dwieście trzydzieści protokołów, lecz powinniśmy byli mieć daleko więcej, z powodu znacznie większej ilości uzdrowień.

»Kierownicy pielgrzymki z Lugdunu ogłaszają corocznie czterdzieści lub pięćdziesiąt uzdrowień, z których zaledwie dziesięć w protokołach naszych znajdujemy. We wszystkich pielgrzymkach zdarzają się uzdrowienia następujące dopiero po powrocie. Niektórzy uzdrowieni nie zgłaszają się wcale do naszego biura, tak że owych 230 protokołów zawiera zaledwie połowę, albo nawet trzecią część uzdrowień, dokonywających się podczas pielgrzymek!«

»W ogóle ilość uzdrowień w Lurd przewyższa znacznie wszelkie inne przeciętne cyfry uleczeń; cyfra śmierci natomiast jest tak nieproporcyalnie nizką, że nie pozostaje w żadnym stosunku ani z ilością, ani z jakością chorób, stwierdzanych przez nas w Lurd.

»Jeżeli weźmiemy nasze regestra z ostatnich tylko lat dziesięciu, to znajdujemy podczas samej tylko narodowej pielgrzymki:

W roku 1889: 28 protokołów z uzdrowień
» 1890: 45 » »
» 1891: 36 » »
» 1892: 48 » »
» 1893: 45 » »
» 1894: 42 » »
» 1895: 49 » »
» 1896: 64 » »
» 1897: 67 » »
» 1898: 95 » »

»Aż do roku 1895 cyfra przeciętna jest prawie ciągle jedna i ta sama, bo różni się zaledwie o kilka jednostek, w następnych trzech latach coraz bardziej wzrasta, a wreszcie w roku 1898 zwiększa się prawie o $^1/_3$, chociaż pielgrzymka ta trwała trzy dni zaledwie.

»W roku 1898 pomiędzy owemi 95 uzdrowieniami znajdują się następujące:

Suchoty	37	Choroby nerwowe	8
Choroba Pott'a	11	Katar żołądka	4
Ruptura	1	Ataxya (paraliż częściowy)	3
Ślepota	1	Paraliż	3
Neurastenia	2	Astma	1
Wrzody w żołądku	5	Epilepsya	1
Reumatyzm	4	Lupus (wilk)	2
Zapalenie otrzewnej	4	Rachityzm	2
Traumatyzm	2	Rozmaite inne choroby	4
		Suma ogólna	95

* * *

»Dnia 20 Sierpnia 1886 roku — pisze Dr Boissarie — byłem po raz pierwszy świadkiem cudownego uzdrowienia, które według mnie bezwarunkowo nie da się wytłumaczyć na drodze naukowej. Fakt sam jest zresztą bardzo prosty i nie nastręczał żadnej trudności w sprawdzeniu.

»Pewna kobieta, imieniem Celestyna Dubois, miała przez lat siedem kawałek złamanej igły, głęboko w dłoni tkwiący. Następstwem tego stały się ciągłe cierpienia; ręka była spuchnięta, palce skurczone i silnie podgięte. Próbowano niejednokrotnie wyciągnąć z ręki ten kawałek igły; robiono nacięcia, rozszerzano sztucznie ranę w ten sposób utworzoną, wszystkie jednak te wysiłki pozostały bez skutku.

»Otóż ta kobieta zanurzyła rękę w szadzawce i po upływie kilku minut igła, nagle poruszona, przebiegła w kilku minutach przestrzeń

około ośmu centymetrów i wyszła na wierzch przy końcu dużego palca. Droga, którą igła, w ten sposób wychodząc nakreśliła, tworzyła jakoby bruzdę czerwoną, zrazu głębszą, a w ostatniej części swego przebiegu już tylko podskórną. Droga ta, badana drobiazgowo przez szkło powiększające, przedstawiała ujście na samym końcu, ale nie było tam widać żadnego wejścia. Jakim więc sposobem igła, od lat siedmiu głęboko tkwiąca w tkankach mięśniowych ręki, mogła się tak nagle uwolnić i z taką szybkością przejść pod skórą, bez zatrzymania bez przeszkody, torując sobie drogę na osiem centymetrów długą? Fakt ten, który według mnie absolutnie nie da się naturalnym sposobem wytłumaczyć, niezatarte w umyśle moim zostawił wrażenie!

»Opowiadałem go w kilka dni później jednemu z moich kolegów w zawodzie lekarskim i pytałem go, czyby mógł mi to w jakikolwiek sposób wytłumaczyć. Był w wielkim kłopocie, szukając nadaremnie jakiej wymijającej odpowiedzi; a w końcu dał mi odpowiedź wielce charakterystyczną: »Poco mamy dłużej szukać? dlaczego koniecznie przypuszczać siłę nadprzyrodzoną?.., Przecież Pan Bóg nie zadawałby sobie tyle trudu dla marnej igły?!«.

»Odpowiedzią taką niedowiarek, sprytnie się wykręcił ale bynajmniej nie rozwiązał zadanego mu pytania. Uzdrowienie powyższe stało się bardzo głośnem.

»Pisano wtenczas dużo o widelcu, który Dr. Lablé drogą operacyi wyjął z żołądka jednego ze swoich pacyentów. Gazeta antykatolicka *Le XIX Siècle* (Wiek XIX) chwyciła się w tej sprawie genialnego zaiste zestawienia, mówiąc: »Mieliśmy niedawno mężczyznę z widelcem, a teraz mamy kobietę z igłą«. Oto wszystko, na co się mogła zdobyć prasa liberalna dla wyjaśnienia tej zagadki! Fakt sam zresztą był przedmiotem długich badań. Lekarze zewsząd zasypywani pytaniami, ogłosili piśmienne sprawozdanie, które także i w »Rocznikach Lurd« we właściwym czasie było drukowanem.

»Do stwierdzenia faktu tak prostego, tak bijącego w oczy, jak to uzdrowienie, które każdy mógł sprawdzić, nie potrzebując do tego żadnych specyalnych studyów, ani fachowych wiadomości, wezwano aż sześciu lekarzy, a mianowicie czterech z Lurd, dwóch ze szpitala głównego w Troyes. Osobna komisya zebrała i roztrząsała wszystkie te świadectwa, badała dostarczone dokumenta i po roku ogłosiła poważnie uzasadnione sprawozdanie co do charakteru tego uzdrowienia.

»Komisya ta, nie rozstrzygając kwestyi co do cudowności tego faktu, zadowolniła się podniesieniem okoliczności bardzo wyjątkowych i osobliwych, zbadanych przez Drów Viardin'a i Forest'a.

»Otóż prawda, że cudu samego nie można widzieć tak, jak np. obraz jaki; nie możemy zobaczyć zmian, które następują w organizmie, w chwili, gdy nań działa woda cudowna... Pod zmysły i badanie nasze podpada tylko różnica stanu chorego, jaki był przedtem i jaki jest potem, po uzdrowieniu; a i tu samo widzenie nie wystarcza, tu musi przyjść rozum w pomoc, który porównywając te oba stany, wyrokuje za pomocą rozumowania i wnioskowania, czy to uzdrowienie jest rzeczywiście cudownem, czy nie. I dlatego takie zawyrokowanie nie zawsze jest łatwe i nie zawsze pewne. — W niektórych poprzednich wypadkach, jak np. w uleczeniu Piotra Ruddera i Joachimy Dehant, a i w wielu następnych mamy, dowody niezbite przedstawiając kolejno najważniejsze uzdrowienia suchotników, cierpiących na skira (raka), ślepych i innych najrozmaitszych chorych, u których zarówno choroba, jak i jej nadprzyrodzone uleczenie były jak najpewniej zbadane i stwierdzone.

ROZDZIAŁ II.

Suchotnicy w Lurd.

SUCHOTNICY PODCZAS PIELGRZYMKI NARODOWEJ W R. 1890. – CUDOWNE UZDROWIENIA: 1. SIOSTRA JULIANNA. – 2. AURELIA HUPRELLE. – 3. LUDWIKA GOFFETTE. — 4. MAGDALENA JULLIAN.

Podczas wielkiej francuskiej pielgrzymki narodowej, od dnia 21-go do dnia 25-go sierpnia roku 1890 pomiędzy chorymi, zebranymi w liczbie 1000 czy 1500 osób około cudownej groty w Lurd, najważniejsze i najliczniejsze uzdrowienia miały miejsce u suchotników.

Codziennie przychodzili do kliniki chorzy, zaopatrzeni w świadectwa lekarskie, stwierdzające u nich suchoty w trzecim stopniu, to jest w ostatnim swego rozwoju, u których, po zanurzeniu w cudownej wodzie, nie można było już przy badaniu nic dostrzedz, żadnych oznak suchot i zmian w płucach, — oprócz jakichś nieznacznych śladów lekkiej kongestyi, a i te z czasem, jak następnie sprawdzono, zupełnie ustępowały!

Że suchotnicy trzeciego stopnia nie mają żadnych widoków wyzdrowienia, to jest rzeczą aż nadto znaną; gdy płuca są już tuberkułami stoczone, zniszczone, mające wewnątrz głębokie kawerny, — wówczas ani natura, ani sztuka lekarska już nic poradzić nie mogą: śmierć jest nieunikniona, i to w terminie, który zwykle bardzo łatwo lekarz może przewidzieć i oznaczyć. Ta właśnie łatwość w rozpoznaniu stopnia tej choroby sprawia, że uzdrowienia suchotników w Lurd są faktem godnym szczególniejszej uwagi.

1. Takiem było uzdrowienie Siostry Julianny, Urszulanki z klasztoru w Brive, które nastąpiło w Lurd dnia 2-go września 1889 roku. Sześciu lekarzy stwierdziło jej chorobę i orzekło jej nieuleczalność;

Siostra Julianna Urszulanka z Brive.

siedmiu lekarzy sprawdziło jej uzdrowienie, które nastąpiło w sposób nagły, zgoła nie dający się po ludzku wytłumaczyć, — a stan dobrego jej zdrowia trwa nieustannie już od lat wielu.

Siostra Julianna urodziła się w roku 1864, we wsi La Roque, w kantonie Sarlat. W tej to wiosce wychowywała się przez pierwszych jedenaście lat swojego życia. W dwunastym roku Julianna została umieszczoną w zakładzie sierot w Sarlat, zostającym pod opieką zakonnic. Dziewczynka ta, jak nam mówiły zakonnice, odznaczała się szczególniejszem nabożeństwem do Najświętszej Panny; codziennie też odmawiała różaniec i godzinki do Niepokalnego Poczęcia, które na pamięć umiała. »W chwili mojej pierwszej Kommunii — mówiła ona sama o sobie — uczułam powołanie do życia zakonnego« Odtąd myśl poświęcenia się Bogu stale się w niej rozwijała. Mając lat dziewiętnaście, Julianna wstąpiła do klasztoru Urszulanek w Brive. Gdy ukończyła czas wstępnej próby, biskup z Tulle, główny przełożony tego klasztoru, zażądał od niej, aby zrobiła ofiarę z klauzury, a zechciała załatwiać zewnętrzne sprawy klasztoru. Objęła więc urząd furtyanki, który bez przerwy do dziś dnia piastuje.

Siostra Julianna — to osobistość dobrze znana w mieście Brive; jest bowiem jakby uprawnionym i stałym łącznikiem między 68-mioma zakonnicami klasztoru, ukrytemi zawsze za kratami, — a rodzicami i krewnymi pensyonarek, oraz z całym światem kupców i dostawców klasztoru. Jej uzdrowienie miało więc rozgłos wyjątkowy. Cała ludność miasta śledziła z najżywszem zajęciem przebieg jej długiej choroby, a odjazd siostry Julianny do Lurd wywołał najrozmaitsze zdania i zapatrywania. Ogólnie uważano tę podróż tylko jako ostatnią pociechę, której odmówić nie chciano umierającej.

Siostra Julianna była już od trzech lat u Urszulanek, gdy w miesiącu sierpniu 1886 r. uczuła pierwsze objawy choroby; było to zrazu zapalenie oskrzeli, połączone z ogólnem osłabieniem. Dolegliwości te, które powinny były rychło przeminąć, przeszły powoli w stan stały, który się ciągle przez cały sierpień i wrzesień pogarszał, tak że w październiku chora zmuszoną była położyć się do łóżka i w niem przez dwa miesiące pozostać. Gdy pomimo użycia wszelkich środków, choroba coraz groźniejszy przybierała charakter, okazując wszelkie objawy suchot płucnych, na początku grudnia lekarz skorzystał z chwilowego polepszenia i zażądał odesłania chorej w strony rodzinne, aby tam swojskiem odetchnęła powietrzem. Powróciła więc do zakładu sierot w Sarlat, gdzie ją Dr. Boissarie widział osłabioną, bladą, wychudłą. Pomimo tego stan jej polepszył się nieco; wypoczynek, hygiena, młody wiek zresztą zdawały się zwyciężać te pierwsze objawy choroby. W styczniu więc wróciła napowrót do klasztoru Urszulanek i objęła znowu swoje obowiązki a chociaż energia jej i siły dawniejsze nie wróciły, pozostała jednak czynną na swojem stanowisku aż do pierwszych dni października 1887 r.

Wtedy nastąpiła recydywa choroby, o wiele groźniejsza, niż był stan poprzedni; chora bowiem zaczęła obficie pluć krwią. Dr. Pomarel objął nad nią opiekę po doktorze Lagorce. Dzięki wielkim staraniom Siostra Julianna w listopadzie znów wstała z łóżka i pokaszlując wprawdzie ciągle kaszlem suchym, uporczywym, trzymała się jednak na nogach aż do maja 1888. Wówczas atoli nastąpiło znaczne pogorszenie.

W miesiącu lipcu złożyła śluby zakonne. Lekarz klasztorny, choć widział, że nad nią w niedalekiej przyszłości zawisła groźna chmura śmierci, dał jednak właśnie dlatego świadectwo dość przychylne o stanie jej zdrowia, przez współczucie i życzliwość dla niej, chcąc jej tym sposobem oszczędzić najboleśniejszej z ofiar, t. j. odmówienia jej ślubów zakonnych.

Nareszcie w styczniu 1889 nastąpiła ostatnia kryzys i ostateczne pogorszenie, po którem chora już nie powstała z łoża. Liczni lekarze, w liczbie sześciu, kolejno do niej wzywani, stwierdzili suchoty w trzecim stopniu rozwoju i o wyzdrowieniu już ani mowy być nie mogło. Chora, trawiona nieustanną gorączką, nie była w stanie ani chwili utrzymać się na nogach. Gdy matka przyszła ją na Wielkanoc odwiedzić, wyniesiono Siostrę Juliannę na fotelu do rozmownicy; ale chora nie miała nawet siły mówić ze swoją matką i musiano jak najrychlej odnieść ją do łóżka. W tym stanie przebyła całe miesiące, przyjmując jedynie trochę mleka lub rosołu.

Dr. Pomarel opowiedział jej raz o jakiejś chorej z Saintes, która będąc przez długi czas zupełnie sparaliżowaną, odzyskała odrazu zdrowie w Lurd. Ten wyraz Lurd wymówiony w obecności Siostry Julianny, wywołał w jej duszy wewnętrzne przeświadczenie, że tamże zostanie uzdrowioną. Ale rzecz dziwna i niepojęta, dla ogółu ludzi światowych, — oto nie pragnęła ona bynajmniej tego uzdrowienia. Dusze prawe i proste, jak ona, a Bogu zupełnie oddane i dążące przez całe życie do jednego tylko celu — do wieczności szczęśliwej, z zupełnem zaparciem się siebie, inaczej się na te rzeczy zapatrują. Bo i po cóż, będąc tak blizko upragnionego celu, cofać się wstecz? po cóż dłużej pozostawać na tej ziemi, kiedy niebo otwarte na nich już czeka?... Siostra Julianna w prostocie swojej mówiła: »Wolę przecież przechadzać się po raju, niż biegać za różnymi interesami po ulicach miasta Brive«. Dopiero, gdy inne siostry i przełożona poczęły na nią nalegać, Siostra Julianna w imię posłuszeństwa uległa, mówiąc: »Pojadę do Lurd i jestem pewna, że będę uzdrowioną«. Wola przełożonej była dla niej jakby wyraźnym znakiem woli Najwyższego.

Poprzednio jeszcze, jeden z Ojców Jezuitów, O. Duponchel z Rouen, który dawał rekolekcye w klasztorze i spowiadał tamże naszą chorą,

oświadczył jej, że powinna się zastosować do życzenia przełożonej i jechać do Lurd.

— Ależ, jeżeli tam pojadę, to wyzdrowieję — rzecze na to Siostra Julianna.

— Jedź, Siostro, — odparł ojciec duchowny — i podróż została postanowioną.

W Sobotę dnia 1 września zniesiono Siostrę Juliannę do kaplicy. O 4-tej rano przyjęła Komunię świętą, podtrzymywana przez swoje dwie towarzyszki podróży, to jest drugą Siostrę furtyankę i jedną panią z Brive, która dobrowolnie ofiarowała się towarzyszyć jej do Lurd. Komunię tę wiele osób uważało jako ostatni wiatyk — gdyż według ludzkiego sposobu zapatrywania się na rzeczy, Siostra Julianna, udając się w podróż w takim stanie choroby i ostatecznego wycieńczenia, zdawała się po prostu iść na pewną śmierć! Tego zdania między innymi był konduktor kolejowy, który bezwładną Siostrę przeniósł na własnych rękach do wagonu i widząc ją tak chorą, głośno zawołał: »Zwaryowały chyba, biorąc w drogę osobę w takim stanie. Władze powinnyby zabronić takiego szaleństwa. Z pewnością trupa nazad przywiozą«.

Podczas całej podróży z Brive do Tuluzy Siostra Julianna nie mogła wcale mówić i pozostawała jakby w omdleniu. W Tuluzie zniesiono ją do poczekalni; nadjechała tam właśnie pielgrzymka z Marsylii. Arcybiskup z Albi, zdjęty litością nad tą Siostrą tak chorą, zatrzymał się, aby ją pobłogosławić; wszyscy pielgrzymi rozstąpili się przed nią z uszanowaniem i współczuciem. Jedna pani zwilżyła jej usta wodą z Lurd i to ją znacznie wzmocniło tak, że podróż z Tuluzy do Lurd była dla niej nieco mniej uciążliwą. Gdy jednak wysiadano z pociągu, Siostra furtyanka klasztoru Karmelitanek Bosych, która wyszła naprzeciwko zakonnic, ujrzawszy Siostrę Juliannę, cofnęła się przerażona, mówiąc: »Gdybyśmy wiedziały, że taka chora, nie byłybyśmy jej przyjęły«. Po przybyciu do klasztoru zaraz dano znać kapelanowi, aby go uprzedzić, że prawdopodobnie w ciągu nocy trzeba będzie opatrzyć chorą ostatnimi Sakramentami. Rzeczywiście noc była bardzo bolesna i chora co chwila się dusiła.

Nadeszła niedziela d. 2 września. Chora nic przyjąć nie mogła; dano więc jej zaledwie kilka łyżek rosołu, poczem furtyanka SS. Karmelitanek wzięła ją na ręce i wyniosła do powozu; a wyprawiając do Groty w towarzystwie trzech innych osób, rzekła: »Z pewnością nie powróci ona żywą«. W Grocie posadzono Siostrę Juliannę na ławce, podtrzymując ją zewsząd; nie mogła już ona ani się modlić, ani nawet myśleć. Zaledwie tylko okiem rzuciła na statuę Najświętszej Panny.

Po chwili wsadzono ją do ręcznego wózka i zawieziono do cudownej sadzawki; tu znowu niespodziewana czekała ją przeszkoda. Panie, które się zajmują kąpaniem chorych, nie chciały jej przyjąć. »Ona jest suchotnicą, mówiły, i to w najwyższym stopniu; my takich nie kąpiemy, a tylko gąbką zwilżoną ocieramy. Aby ją kąpać, musimy mieć formalne pozwolenie od lekarza«. — Przypomniano tym pąniom, że lekarz klasztoru Urszulanek w Brive zgodził się na to i proszono usilnie o kąpiel dla chorej. »Jeżeli koniecznie chcecie, to dobrze, odpowiedziano; ale zostańcie tutaj z nami i niech na was spadnie cała odpowiedzialność za to, co się stać może«.

Marya Lebranchu,
uzdrowiona ze suchot rozwiniętych w najwyższym stopniu.

Rozebrano więc Siostrę Juliannę, która była nieruchomą, bez mowy, prawie bez przytomności i cała jakby śmiertelnym potem zroszona. Podniesiono ją, aby zanurzyć w sadzawce. W chwili, gdy się tylko wody dotknęła, usta jej się otworzyły i pozostały otwarte, dech zamarł na jej wargach, a twarz trupia pokryła bladość. Wszystkim zdawało się, że już nie żyje, i natychmiast wyniesiono ją z wody, (która zaledwie była dotknęła jej ciała), i złożono na stopniu przy sądzawce. Straszny niepokój ogarnął osoby obecne, które szukały u chorej choćby śladu życia.

W tej właśnie chwili wystąpił lekki rumieniec na jej policzki, oczy się roztworzyły, pierś się poczęła rozszerzać... chora się podniosła... i w końcu sama stanęła zupełnie na nogach!

— Czy ci lepiej? — mówią do niej.

— Ależ tak, czuję się lepiej. — I oto oczy jej zabłysły, a twarz dotychczas apatyczna, nieruchoma i jakoby martwa, zajaśniała nagle nowem życiem. Siostra Julianna nie chciała nawet usiąść; poczęła ubierać się sama i bez niczyjej pomocy udała się piechotą do cudownej Groty.

»Czułam, — mówiła ona później — że siły mi wróciły, a jednak chodzić nie umiałam; patrzałam na posuwające się moje nogi, a jednocześnie trudno mi było uwierzyć, że to są nogi moje własne. Zresztą wszystko, co się koło mnie działo, było mi jakoby zupełnie obcem. Gdy wyszłam z sadzawki, tłum mnie zewsząd otoczył i cisnął się za mną tak, że trudno mi było iść naprzód. Byłam jednak pełną spokoju

i mogłam dojść do groty, gdzie pół godziny przepędziłam klęcząc na modlitwie. Kaznodzieja, który był na ambonie, rzekł do tłumu wskazując na mnie: »Miałem wam mówić o potędze Maryi; patrzcie na tę, która tu przechodzi, jej widok więcej wam powie, aniżeli ja wam powiedzieć mogę«.

»Zaintonowano hymn *Magnificat* i wkrótce, chcąc mnie uchronić przed zapałem tłumu, przed ciekawością pielgrzymów, kazano mi wsiąść do powozu i wracać do klasztoru Karmelitanek. Wsiadłam więc żwawo do tego powozu, w którym przed chwilą byłam konającą. W klasztorze otoczyły mnie furtyanki; niebawem wszystkie zakonnice zeszły do rozmownicy i poszłam z niemi do kaplicy na półgodzinną modlitwę. — Była już dwunasta, a ponieważ nic jeszcze nie jadłam, siadłam więc do stołu i po raz pierszy od roku prawie przyjęłam posilny pokarm. Od stycznia bowiem nic już nie przyjmowałam, oprócz trochę rosołu lub mleka.

»W godzinach popołudniowych poszłam pieszo do świętej groty, ale znowu musiano odwieźć mnie powozem, aby mnie uchronić przed tłumem, który szedł za mną i tworzył wokoło mnie jakby zaporę.

»Nazajutrz byłam u lekarza Dra de Saint-Maclou, który mnie bardzo dokładnie wypytywał, badał i obsłuchiwał. Miał on przy sobie lekarza z Béziers i obydwaj orzekli, że nie pozostało u mnie ani śladu poprzedniej choroby!«

Gdy się to działo w Lurd, w klasztorze w Brive modlono się dzień i noc, odmawiając Różaniec w kaplicy, z rękoma na krzyż rozłożonemi. W niedzielę o dwunastej w południe otrzymano pierwszy telegram, z którego można było domyśleć się uzdrowienia, a wieczorem Dr. Pomarel przyniósł drugą depeszę, która rozproszyła do reszty wszelkie wątpliwości. Lekarz bowiem z Lurd telegrafował do swego kolegi: »Wiadomości jak najlepsze; proszę przysłać sprawozdanie o chorobie«.

W następny piątek Dr. Pomarel wyjechał do najbliższej stacyi na spotkanie Siostry Julianny; śpieszno mu było sprawdzić osobiście to uzdrowienie, zgoła przez niego nieoczekiwane i niedające się wytłumaczyć. Badał siostrę, macał puls, kazał jej postąpić kilka kroków w wagonie... i wobec rzeczywistości nie mógł zapanować nad swem wzruszeniem, łzy mimowoli cisnęły mu się do oczów.

»Zaprawdę, my lekarze — dodaje Dr. Boissarie — nie możemy być obojętnymi świadkami tego, co się nieraz przed oczyma naszemi dzieje; owszem odczuwamy to głęboko i część siebie samych zostawiamy w naszem życiu zawodowem«.

Przy wysiadaniu z pociągu w Brive, lekarz sprowadził konduktora, który był obecnym przy wyjeździe Siostry Julianny. Ten aż się cofnął zdumiony, widząc teraz zakonnicę pełną życia i sił!

Liczny tłum ludzi napełnił wnet dworzec i dojazdy i witał ją z zapałem. U wjazdu do klasztoru dziedziniec i kaplica zapełnione były zbitą masą ludzi, pomiędzy którymi zaledwo przecisnąć się zdołano.

Nareszcie Siostra Julianna weszła do kaplicy i przed odśpiewaniem *Magnificat*, podczas błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem, odsłonięto firanki, osłaniające klauzurę, (które zwykle tylko we dnie uroczystych ślubów albo obłuczyn odsłaniane bywają). Gdyby tych firanek nie odsłonięto, rozentuzyazmowany tłum byłby je sam zerwał. Siostra Julianna klęczała na klęczniku, przed zakonnicami, i płakała z rozrzewnienia. Po skończonem nabożeństwie zebrano się we wielkiej sali klasztornej. Wobec wszystkich Sióstr, lekarza i kapelana, cudownie uleczona opowiadała raz jeszcze o swojem uzdrowieniu. Dopiero o dziewiątej godzinie wieczorem pomyślano nareszcie o posiłku i wypoczynku dla niej.

Irma Montreuil,
suchotnica, uzdrowiona cudownie w Lurd 1892 r.

Jakaż różnica pomiędzy wyjazdem a powrotem! między chorą, która jechała do świętego miejsca — a uzdrowioną, która stamtąd wróciła! Zresztą ileż to w dziejach Lurd naliczyć można uzdrowień takich, jak Siostry Julianny, cudownych, natychmiastowych, a stwierdzonych świadectwami najpoważniejszych lekarzy!

»Czy Siostra Julianna mogła naturalnym sposobem wyzdrowieć, zapytuje Dr. Boissarie? — Jeżeli staniemy sami na gruncie absolutnej, matematycznej niemożebności, to musimy uznać, że dowiedzenie tego byłoby nader trudną rzeczą. Może z czasem, dzięki tro-

skliwemu pielęgnowaniu i zmianie otoczenia, mogłoby nastąpić częściowe jakieś polepszenie.

»Nie jesteśmy jednak matematykami, ale lekarzami, — i mówiąc, jako ludzie doświadczeni i praktyczni, którzy przy chorych większą część życia spędzili, musimy wyznać, że udrowienie to wychodziło po za zakres wszelkich możliwych przewidywań. Choroba piersiowa, która zajęła stopniowo cały organizm i od trzech lat coraz większe czyniła postępy, pomimo wszelkich możliwych zabiegów lekarskich, nie daje się powstrzymać sama przez się.

»Co więcej, bez względu na zajmowane przez nas stanowisko w tej mierze, to jest, czy mówimy o możliwości względnej lub bezwzględnej, czy mówimy jako matematycy, czy jako lekarze, nie wątpimy, że zupełne, natychmiastowe uzdrowienie, któreby w przeciągu kilku sekund zatarło wszelkie ślady choroby, jest rzeczą absolutnie niemożliwą!«

2. Corocznie w ostatnich dniach sierpnia przybycie pociągu z niebezpiecznie chorymi stanowi jeden z najbardziej rozrzewniających szczegółów pielgrzymki narodowej.

Jest to jakby olbrzymi ambulans, ruchomy, posuwający się na szynach. Zawiera on: wagon dla kuchni, aptekę, pokój dla lekarzy, księży i zakonnic, dla dobrowolnie posługujących chorym, przechodzących z jednego wagonu do drugiego, aby nieść wszystkim pomoc i pociechę, a przedewszystkiem mieści on mnóstwo chorych, których stan żadnej prawie nie pozostawia już nadziei. W żadnym szpitalu nie podobna znaleźć takiej ilości chorób rozmaitego rodzaju.

Skoro tylko pociąg zatrzyma się na dworcu, zakonnice Wniebowzięcia Najśw. Panny wychodzą na powitanie, rozbrzmiewają śpiewy, otwierają się wagony, a z nich wychodzą suchotnicy, o błędnem wejrzeniu chorzy na raka lub na serce, z trupią sinością na twarzy, lub nieszczęśliwe dzieci, okryte ranami i wrzodami, albo jakiemkolwiek dotknięte kalectwem. Większa część tych nieszczęśliwych doszła już do krańcowego punktu cierpienia, poza którym już tylko czeka ich śmierć niechybna.

Jak zdołali tu przybyć i jak wrócą do rodzinnego ogniska?... To także cud nie mały, na który corocznie patrzymy!

Z chorobą łączą się jeszcze trudy kilkudniowej nieraz podróży koleją żelazną, wśród dokuczliwego skwaru i ciasnoty w wagonach. W dodatku przynajmniej połowa chorych nie może należycie się odżywiać. Nie dziw więc, że wyglądają okropnie i budzą litość dokoła.

Atoli w chwili przybycia do Lurd najsłabsi nawet otwierają oczy, radość opromienia ich twarze, lica zabarwiają się lekkim rumieńcem i resztka energii budzi się w ich duszach. Rzadko zdarza się spotkać

osoby tak schorzałe, żeby wśród ogólnego wzruszenia nie mogły się otrząsnąć z apatyi, a nawet nie zdawały sobie sprawy z tego, co się dokoła nich dzieje.

W takim właśnie stanie dnia 21 sierpnia r. 1895 przybyła do Lurd Aurelia Huprelle. W ciągu całej podróży piła tylko wodę z kilkoma kroplami rumu. Od Poitiers straciła przytomność i nic do ust już nie wzięła. Suchoty rozwinęły się u niej do najwyższego stopnia, tak, że myśleli wszyscy, iż umrze w drodze, a lekarz, który w chwili jej odjazdu znalazł się przypadkiem na dworcu, nie taił bynajmniej swych obaw.

Wyniosłszy chorą z wagonu, złożono ją przy ścianie na materacu. Na czole jej perliły się krople zimnego potu, oczy miała zamknięte, a twarz trupio-bladą. Pierś jej podnosiła się nierówno, z wysiłkiem, gdyż nieszczęśliwa z coraz większą trudnością wciągała powietrze. Był to jakby początek konania.

Po chwili zbliżyli się do niej tragarze i z jak największą ostrożnością ponieśli ją na materacu w kierunku sadzawki. Aurelia nie odzyskała przytomności. Ani wstrząśnienia przy jej dźwiganiu, ani świeży wietrzyk poranny, słowem nic zgoła nie zdołało jej ocucić.

Wprzód, niż ujrzymy to dziewczę przy sadzawce, przypatrzmy się charakterowi i przebiegowi tej choroby, która ją postawiła nad grobem. W r. 1889 po gorączce tyfoidalnej oba szczyty płuc zajęła kongestya, która odtąd już nie ustąpiła. Aurelia miała wtedy 21 lat, dziś ma 27. Od tego czasu bardzo często, zwłaszcza w zimie, chorowała na silne zakatarzenie płuc (*bronchitis*) i pomimo troskliwej opieki wszystkich prawie lekarzy z Beauvais stan jej pogarszał się z dniem każdym. W przeciągu ostatnich ośmiu miesięcy, przed pielgrzymką do Lurd wyszła zaledwie dwa razy z domu, a wstawała codzień tylko na parę godzin około południa.

Dr. Hardivilliers z Beauvais, który był domowym lekarzem jej rodziny, oświadczył w swem świadectwie, że Aurelia miała chorobę piersiową o bardzo ostrym charakterze. Płuca psuły się coraz bardziej, gorączka była ciągłą i silną, śmierć więc szybkim zbliżała się krokiem.

Od dnia 20 kwietnia Dr. Hardivilliers prowadził jakby dziennik, w którym opisywał każdą swoją wizytę u Aurelii i zastosowywane względem niej środki, jak n. p. kreozot, wizykatorye itp. W połowie maja nastąpił u chorej gwałtowny krwiotok, po którym oddech jeszcze bardziej został utrudnionym. Po raz ostatni widział ją na dworcu w Goincourt, w chwili jej wyjazdu do Lurd. Była ona wówczas okropnie wychudłą i bladą, oraz uskarżała się ciągle na dokuczliwy ból w piersiach.

Dr. Hardivilliers oświadczył otwarcie jej matce, iż wątpi, ażeby chora wróciła żywą z tej podróży. To też odjazdowi jej towarzyszyły łzy całej

rodziny i licznych przyjaciół. Że obawy lekarza były uzasadnione, o tem przekonano się w ciągu podróży, która w okropnych odbyła się warunkach. Od Poitiers do Lurd chora pozostawała ciągle w stanie omdlenia, graniczącego ze śmiercią. W takim też stanie przybyła do Lurd, gdzie wszyscy obecni uznali, że kilka zaledwie godzin żyć może. Dopiero znalazłszy się przed Grotą, po raz pierwszy otworzyła oczy i we wzroku jej dostrzeżono wtedy pierwszy błysk przytomności. Wkrótce potem mogła już przyjąć Komunię świętą i swobodniej nieco zaczęła oddychać. Wówczas tragarze przenieśli ją na materacu do sadzawki, nie zważając na kaszel, połączony z silnym krwiotokiem. O siódmej godzinie rano zanurzono ją wraz z prześcieradłem w wodzie, podtrzymując ze wszystkich stron, sama bowiem nie mogła wykonać żadnego ruchu i leżała jak bezwładna bryła.

Chora nagle uczuła, że jej piersi przeszywa jakiś okropny, niewysłowiony ból, poczem natychmiast znikło wszelkie cierpienie i nowe wstąpiły w nią siły. W przeciągu kilku sekund Aurelia została uleczoną zupełnie, bez żadnego przejścia.

Po krótkiej dziękczynnej modlitwie wróciła do szpitala, spożyła z apetytem posiłek, czego od dawna już nie czyniła, a wreszcie sen spokojny, dawno również jej nieznany, pokrzepił jej siły.

»W biurze sprawdzań — pisze Dr. Boissarie — zbadaliśmy ją z jak największą skrupulatnością i nie znaleźliśmy w płucach żadnego uszkodzenia. Zupełnie normalny stan płuc i brak wszelkich objawów suchotniczych stwierdził także profesor Soulier z Lugdunu, członek Akademii lekarskiej.

»Dodać należy, że w zwykłym porządku rzeczy nie zdarzają się nigdy uleczenia z chorób tak zadawnionych, niszczących tak niezbędne do życia organa, jakimi są płuca! Nie podobna w takich razach omylić się w rozpoznaniu choroby, jak również nie podobna przypisać uzdrowień tego rodzaju jakimkolwiek wpływom nerwowym.

»W chwili przybycia swego do Lurd Aurelia Huprelle znajdowała się już w takim stanie choroby, w którym o wyleczeniu jej po ludzku nie mogło już być mowy!«

To też Dr. Hardivilliers, ujrzawszy dnia 30 sierpnia tę chorą, której się już nie spodziewał zobaczyć na tym świecie, nie mógł zapanować nad wzruszeniem. W świadectwie przez niego wydanem, czytamy, co następuje:

»Dnia 30 sierpnia 1895 roku zostałem wezwany do panny Huprelle, po jej powrocie z Lurd, i przekonałem się ze zdumieniem, że wszystkie objawy suchotnicze, (opisane powyżej) całkowicie znikły«.

Nietylko zresztą Dr. Hardivilliers sprawdził to uzdrowienie, stwierdzone już przedtem przez Dra Boissarie i Dra Soulier, — sami nawet niedowiarkowie, których nie brakło i w rodzinnym zakątku Aurelii, nie przeczyli temu faktowi, lecz tylko mówili: »Ta młoda dziewczyna nie miała już płuc, w Lurd więc dano jej »płuca drewniane«. Odtąd w całej okolicy znają wszyscy Aurelię pod nazwą »dziewczęcia o drewnianych płucach«.

Fakta takiej doniosłości nie często się zdarzają. Tam, gdzie płuca tak dalece zostały zniszczone, uzdrowienie znaczy to samo, co nowe stworzenie zniweczonych już tkanek i płuc! O tem zaś, jak dalece były one zniszczone, poświadczył ks. proboszcz z Beauvais, mówiąc, iż sam widział nieraz, jak Aurelia podczas ataków kaszlu wyrzucała kawałki zgniłych płuc.

Aurelia Huprelle.

»Następnej zimy widzieliśmy — pisze Dr. Boissarie — pannę Huprelle w Paryżu. Przybrała ona dwadzieścia funtów wagi i wszystko tchnęło w niej zdrowiem, siłą i życiem. Cerę zabarwił świeży rumieniec, świadczący o wybornem zdrowiu. Od chwili swego uzdrowienia Aurelia ani jednego dnia nie spędziła w łóżku i podczas ostrej zimy, gdy wszędzie epidemicznie panowała influenza, nie nabawiła się nawet lekkiego kataru!«

3. Jednym z najwybitniejszych faktów, jakie zaszły w Lurd, a który obok cudownego wyzdrowienia Ruddera i J. Dehant, może być zaliczonym do największych cudownych dzieł Maryi w Lurd, jest uzdrowienie Ludwiki Goffette, które ze względu na liczniejsze, niż kiedykolwiek, dowody i świadectwa, na tem większą zasługuje uwagę. Sześciu lekarzy pielęgnowało pannę Goffette podczas jej długiego i strasznego cierpienia, a w Lurd coraz to nowe powagi lekarskie badały jej chorobę jak najgruntowniej, aż do chwili zniknięcia tejże w sadzawce.

»Panna Goffette, pisze Dr. Boissarie, przesłała nam szczegółowy opis swojej choroby wraz ze wszystkimi dotyczącymi jej dokumentami, z których widzimy, jak silne wrażenie wywarło jej uzdrowienie na wszystkich pielgrzymów.

»P. Raikem, kierownik pielgrzymki narodowej pisze do nas w roku 1896 co następuje:

»Widziałem pannę Goffette na dworcu w Longdoz, gdy ją nawpół umarłą przyniesiono na materacu: wyglądała ona wtedy tak okropnie, że jeden z urzędników kolejowych wyrzucał nam jako okrucieństwo, iż ją wieziemy do Lurd.

»Za powrotem, w chwili nadejścia pociągu, wszyscy urzędnicy pośpieszyli na powitanie tej, którą na kilka dni przedtem widzieli umierającą, a która teraz lekko i wesoło wyskoczyła na peron, mówiąc: »Tak, to ja!«

Leodyum d. 9 października 1896 r. *Raikem,*
kierownik pielgrzymki.

»Ks. proboszcz z Leodyum, z parafii, w której mieszka panna Goffette, oświadczył ze swej strony:

»Mogę zaręczyć, że to uzdrowienie nietylko jak najlepsze wrażenie wywarło w całej mej parafii, ale nawet nawróciło kilka osób, przedtem zobojętniałych dla religii i nakładanych przez nią obowiązków.

»Uzdrowienie panny Goffette było również szybkiem, jak zupełnem. Dowodzi tego fakt, że wkrótce po powrocie z Lurd pielęgnowała przez dwa tygodnie dwie chore zakonnice w mojej parafii, sypiając wówczas zaledwie po trzy lub cztery godziny na dobę.

»Dla mnie uzdrowienie panny Goffette jest jednym z najpiękniejszych i najbardziej zdumiewających cudów w Lurd«.

Leodyum, dnia 12 października 1896 roku.

N. Habay,
proboszcz kościoła Najśw. Panny.

»Wreszcie Dr Marique, który się znajdował w Lurd w chwili uzdrowienia, następujące przesyła nam świadectwo:

»Po raz pierwszy widziałem pannę Goffette podczas jej pielgrzymki do Lurd dnia 10 września 1896 roku.

»Odwiedzając chorych w szpitalu Matki Boskiej Bolesnej, znalazłem w sali Niepokalanego Poczęcia młodą dziewczynę, której nadzwyczajna chudość i chorobliwy wygląd zwróciły moją uwagę. Świadectwo jej lekarza, Dra Coheur z Leodyum stwierdzało istnienie nabrzmiałości we wnętrznościach, o której przy badaniu sam się przekonałem. Nadto panna Goffette była dotknięta gruźlicą, która zajęła nietylko jej płuca, ale także i wnętrzności. W ciągu kilku dni następnych wraz z innymi lekarzami widywałem tę chorą w biurze sprawdzań, lecz w stanie jej żadnej nie dostrzegliśmy zmiany. Wreszcie dnia 14 września, w wigilię odjazdu pielgrzymki, wieczorem zobaczyłem tę chorą siedzącą na łóżku, z twarzą rozpromienioną radością i szczęściem.

Ludwika Goffette (przed uzdrowieniem).

Ludwika Goffette (po uzdrowieniu).

Zapewniała mię ona, że od chwili zanurzenia w sadzawce nie czuje już żadnego bolu. Z początku wziąłem to za złudzenie z jej strony, ale niebawem się przekonałem, że wszelkie ślady gruźlicy i nabrzmiałości znikły zupełnie.

»Nazajutrz w biurze sprawdzań stwierdzili to oprócz mnie czterej inni jeszcze lekarze. Panna Goffette, która z powodu wielkiego wycieńczenia od kilku lat już nie chodziła, mogła bez trudu po wyjściu z sadzawki brać udział we wszystkich pobożnych ćwiczeniach, odprawianych przez uczestników pielgrzymki. Dr. Coheur nie chciał nawet wierzyć własnym oczom, ujrzawszy dawną swą pacyentkę w takim stanie zdrowia, w jakim już nigdy nie spodziewał się jej widzieć. Od chwili swego uzdrowienia panna Goffette nie doświadczyła już nigdy żadnych symptomów przypominających dawną jej chorobę. Od tego czasu upłynęło lat dziesięć i uzdrowiona ma się zawsze wybornie.

Vottens, dnia 18 lutego 1897 r. *Dr. L. Marique.*

Panna Goffette była już od lat kilku suchotnicą, gdy wywiązał się u niej wrzód tuberkulicznej natury, który uciskał wnętrzności, tamował krążenie soków i doprowadził ją do okropnego stanu. W trzydziestym piątym roku życia wyglądała ona tak, jak gdyby miała lat pięćdziesiąt, a ważyła zaledwie czterdzieści funtów. W łóżku leżała przez lat cztery i lekarze, zbadawszy jak najdokładniej położenie i objętość wrzodu, oświadczyli, że konieczną jest operacya, która może być śmiertelną, lub jak najgorsze za sobą pociągnąć następstwa. W Lurd sześciu lekarzy stwierdzało przez 3 dni istnienie owego wrzodu, który zniknął prawie w ich oczach podczas kąpieli w sadzawce. Młoda ta dziewczyna bez żadnej rekonwalescencyi odrodziła się nagle do nowego życia. Wynik ten leży niezaprzeczenie poza obrębem praw natury i sztuki lekarskiej.

4. W uzdrowieniach suchotników zdarzają się niekiedy wypadki jakby nagłego, natychmiastowego zmartwychwstania, sprzeciwiające się wszelkim przewidywaniom, i wobec których lekarze nie umieją nawet ukryć swego zdumienia. Za dowód tego niech posłuży następujący list Dra Romant, który opisuje w nim wrażenie, odniesione z uzdrowienia panny Jullian.

»Fakt ten — pisze on między innymi — nastąpił z błyskawiczną szybkością. Młoda ta dziewczyna była już zgubioną i nagle zakwitła zdrowiem. Widziałem osoby, które, słuchając prostych a prawdziwych szczegółów jej uzdrowienia, nie mogły od łez się powstrzymać. Protestanci nawet, którzy znali tę chorą i opłakany stan, w jakim się znajdowała, muszą chcąc nie chcąc złożyć hołd prawdzie. Za pomocą ludz-

kich środków niepodobna było wyleczyć tego młodego dziewczęcia, którego organizm wyczerpała już gruźlica do takiego stopnia, że chorą można było uważać prawie za umarłą. Tymczasem dnia 27 lipca 1896 r. Najświętsza Panna uzdrowiła ją w sadzawce zupełnie doskonale, co stwierdzają jednogłośnie wszyscy naoczni świadkowie«.

W świadectwie, skreślonem na żądanie uzdrowionej, Dr. Romant napisał, co następuje:

Remoulins (Gard), dnia 19 grudnia 1897 r.

»Czyniąc zadość żądaniu, abym ogłosił całą prawdę, co do uzdrowienia panny Jullian z Meynes, oświadczam stanowczo, iż została ona rzeczywiście uzdrowioną w Lurd.

»Po raz pierwszy ujrzałem tę panienkę w Meynes dnia 20 lipca 1897 roku. Przedtem nie znałem wcale jej rodziny. Chociaż zawód nasz czyni nas do pewnego stopnia obojętnymi na cierpienia ludzkie, jednak na widok tej nieszczęśliwej uczułem się do głębi wzruszonym.

»Wyobraźcie sobie szkielet, poruszający się nerwowo, z twarzą trupią i zapadłemi oczyma, w których zdawał się dogasać ostatni promyk życia, a będziecie mieli pojęcie o biednej Magdalenie, która wówczas stała już poprostu nad krawędzią grobu. Ze wzruszeniem uścisnąłem wychudłą, rozpaloną jej rękę, poczem ulegając prośbom strapionych rodziców, zacząłem ją badać. Niebawem też przekonałem się, że w zakresie mego zawodu nic już dla niej nie zdołam uczynić.

»Magdalena uśmiechała się z mego zakłopotania. »Nie chcę umrzeć, doktorze — rzekła — wiem, że pan mnie nie uleczysz, lecz możesz mi pan oddać wielką przysługę, nakłaniając mych rodziców, by mię zawieźli do Lurd, gdzie Najświętsza Panna mię uzdrowi«.

»Ojciec, matka i brat zaprotestowali stanowczo przeciw temu żądaniu, mówiąc mi, że chora umrze w drodze. Tegoż samego zdania był i tamtejszy ks. proboszcz, który oświadczył bez ogródki, że taki szkielet nie może wziąć udziału w pielgrzymce. »Będą z nas wszyscy szydzili — dodał — bo czyż podobna zabierać ze sobą chorą, która już od kilku miesięcy nic prawie nie jadła?«

»Księże proboszczu — odparłem — nie sprzeciwiaj się życzeniu tego dziewczęcia. Czy tu, czy w Lurd, umrzeć ona musi, nie odmawiaj jej więc tej ostatniej pociechy«.

»Zdecydowano się zatem na podróż i w kilka dni później chora przybyła do Lurd. Przy sadzawce panie, trudniące się kąpaniem chorych, cofnęły się z przerażeniem na jej widok. »Nie możemy, rzekły, zanurzyć w wodzie takiego szkieletu! Jak mogliście nam przywieźć taką chorą, która z pewnością nie wyjdzie żywą z wody?«

»Pomimo tego Magdalena Jullian zaczęła nalegać ze łzami, aby ją zanurzono, a gdy spełniono jej prośbę, skutek nastąpił z szybkością błyskawicy i Magdalena zawołała: »Jestem uzdrowioną!« Było to dnia 27 lipca 1897 roku.

»Od tej chwili wrócił apetyt, ogólny stan zdrowia nic nie pozostawiał do życzenia i młoda dziewczyna z dniem każdym czuła się silniejszą. Czuwałem nad nią w Meynes przez cały sierpień i wrzesień i przekonałem się, że uzdrowienie jej było zupełnem. Dziś panna Jullian wybornem cieszy się zdrowiem. Odwiedziła mię ona wczoraj, dnia 18 grudnia, i prosiła, abym jej dał świadectwo choroby i uleczenia, co czynię z przyjemnością, gdyż winienem ten hołd prawdzie. Zresztą ani w Meynes, ani w okolicach, nikt nie może zaprzeczyć istnieniu tego nadprzyrodzonego faktu, nie podlegającego żadnej wątpliwości«.

Magdalena Jullian (przed uzdrowieniem).

Dr. Romant,
były lekarz w szpitalach.

Ze swej strony ks. proboszcz z Meynes pisał co następuje:

»Oświadczam, że obecnie panna Magdalena jest zupełnie zdrową i że nie pozostał u niej najmniejszy nawet ślad choroby, którą Dr. Romant uznał za nieuleczalną. Cudownie uzdrowiona ta dziewczyna, pełna wdzięczności ku Najświętszej Pannie, nie szczędzi czasu i pracy, aby przyozdobić jak najładniej kapliczkę, poświęconą przez nas na cześć Matki Boskiej z Lurd, a zarazem na pamiątkę tego przedziwnego uzdrowienia. Anielska jej pobożność wywiera wpływ dodatni na wszystkich mieszkańców mojej parafii, którzy ją prawdziwym otaczają szacunkiem«.

ROZDZIAŁ III.

Suchotnice z Villepinte.

DWADZIEŚCIA CZTERY SUCHOTNIC UZDROWIONYCH W LURD. – STATYSTYKA UZDROWIEŃ. – JULIA FORÊT.

Villepinte jest przytuliskiem, założonem dla młodych suchotnic przez prywatne, litościwe osoby, w starym zamku Villepinte, leżącym o 18 kilometrów od Paryża.

W tem spokojnem, cichem i malowniczem ustroniu Zakonnice ze Zgromadzenia Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki od lat dwudziestu toczą, że się tak wyrazimy, zaciętą walkę z suchotami, starając się uleczyć nietylko dzieci zarażone już tą chorobą, ale także i starsze wybrane przez nią ofiary, których nie zdołała ona jeszcze zabrać z tego świata. W zakładzie tym jest corocznie kilkaset chorych suchotnic.

Magdalena Jullian
(po uzdrowieniu).

Biegli i doświadczeni lekarze, obsługujący chorych, opieka Sióstr, a wreszcie świeże powietrze, hygiena i odpowiednie pożywienie, składają się jako główne czynniki na to, że w Villepinte ilość kuracyi uwieńczonych pomyślnym skutkiem jest znacznie większą, niż w szpitalach, a wyniki pielęgnowania są nawet daleko pomyślniejsze, niż u zamożnych osób pielęgnowanych w domu. Na kilka tysięcy chorych, które w przeciągu lat dwunastu spędziły tam czas dłuższy lub krótszy, (jak pisał w roku 1893 sprawozdawca tamtejszy, hrabia d'Haussonville) zmarło zaledwie 334 osób.

Od pierwszego maja 1897 do 1 maja 1898 roku 67 chorych rozstało się z tym światem. Były to wyłącznie suchotnice, które już w trzecim, ostatnim okresie swej choroby, przybyły do tego zakładu, a mianowicie do pawilonu przeznaczonego dla nieuleczalnych. Nikt chyba nie może przekroczyć progu tego pawilonu bez bolesnego wzruszenia, na myśl, że wszystkie nieszczęśliwe te istoty, w obec których nauka ludzka musiała broń złożyć, niechybnie na śmierć są skazane. Tym właśnie chrześcijańska miłość potrafiła rzucić promyk nadziei wbrew wszelkim ludzkim przewidywaniom.

Najbardziej atoli godnemi podziwu są w Villepinte nie same tylko uzdrowienia, ale także wzniosłe niebiańskie pociechy, jakie młode chore tam znajdują. »Dla każdego, zapatrującego się na rzeczy z chrześcijańskiego punktu widzenia, — pisał sprawozdawca z roku 1895 p. Thureau-Dangin — szpital jest nietylko miejscem pielęgnowania i leczenia chorych, jest to także miejsce, w którem chorzy po chrześcijańsku uczą się umierać«. W Villepinte śmierć nikogo nie przestrasza, jest bowiem dla tych młodych dusz jakby przejściem do nieba.

»Któżby zdołał należycie ocenić wartość usługi, oddawanej tym biednym dzieciom Paryża, wychowanym często w duchu pogańskim, niekiedy nawet bez chrztu świętego, a częstokroć bez pierwszej Komunii św., z których wiele nie słyszało nigdy o Bogu i umierało w ubogich swych mieszkaniach bez promyka nadziemskiej nadziei, któryby rozjaśnił ostatnie chwile ziemskiego ich żywota. Niktby nie uwierzył, z jakim zapałem dusze te, znające w życiu tylko cierpienia, otwierają się dla światła łaski. Rozumieją one i przyjmują wszystko z zupełną rezygnacyą, a nawet jakby lotem ptaka wzbijają się niekiedy do szczytów najwznioślejszego bohaterstwa! Inne znowu, zepsute już skutkiem zetknięcia się ze złymi ludźmi, z duszą również chorą, jak i ciało, znajdują w Villepinte wiarę, miłość, spokój, a nawet radość w chwili śmierci.

»Przypatrzmy się jednak faktom, które same przez się są wymowne, a które napotykamy na każdej niemal karcie corocznych sprawozdań.

»Oto naprzykład piętnastoletnia dziewczynka Janina, mówiąca o śmierci, jakby o krótkiej podróży. Otrzymała ona piękną niebieską wstęgę Dzieci Maryi i przez noc całą chce ją mieć na piersiach, »Jestem pewną, że umrę, — mówi z zupełnym spokojem — i pragnę, aby mnie znaleziono ze wszystkiemi honorowemi odznakami Dzieci Maryi«.

»Inna chora uczuwa niespodziewane polepszenie. — »Moja droga, mówi do niej siostra infirmarka, prośmy teraz Najświętszą Pannę, aby cię zupełnie uzdrowiła«. — »Aby wrócić do świata?« — odpowiada dziewczę. »O nie! Wolę raczej pójść do nieba, do Boga!«

»Moja matko, odzywa się do przełożonej jakaś nowo przybyła, chciałabym wiedzieć, czy jestem tu po to, żeby się wyleczyć, czy też, żeby umrzeć«. — Przełożona waha się z odpowiedzią. »Ależ moja matko, nie bój się, bo wszak chodzi mi jedynie o to, jak się mam przygotować«. — Widząc taką energię w charakterze biednej chorej, przełożona już bez wahania wyznaje jej całą prawdę. — »Dobrze — odpowiada odważna suchotnica — w takim razie przygotuję się jak najlepiej, o ile możności«. Odtąd myślała tylko o śmierci i zbliżała się do niej coraz bardziej z niczem niezamąconym spokojem.

»Emilia K., której życie upływało dotychczas wśród dostatków i przyjemności, przybywa do Villepinte z rozpaczą i niewiarą w sercu, odosabnia się od swych towarzyszek i opłakuje niepowrotną przeszłość! Inne wszakże czuwają nad nią, przynajmniej zdaleka, i wkrótce ich modlitwy zostają wysłuchane. Emilia bowiem zwraca się do Boga, błagając, aby w jej serce wlał trochę spokoju. Rzeczywiście do duszy jej wraca nietylko spokój, ale nawet uczucie jakiejś błogiej radości, które trwa już niezmiennie do ostatniej chwili jej życia. »Gdy przybyłam, mawiała nieraz, byłam prawdziwym szatanem! Teraz zmieniłam się, Bogu dzięki, a chociaż ciało jest chorem, dusza moja jednak ma się bardzo dobrze. U Boga będę szczęśliwą; jednego więc tylko pragnę, to jest umrzeć bez szemrania«.

»Czując zbliżającą się śmierć, biedne chore starają się jak najdłużej przebywać w kościele. Zakonnice to widzą i uważają za oznakę, że Pan Bóg wkrótce powoła je do Siebie. Oto jedna z tych nieszczęśliwych wstępuje z trudnością na schody wiodące do kaplicy, poczem zadyszana, zmęczona, ale pogodna, siada jak najbliżej P. Jezusa, utajonego w Najświętszym Sakramencie. Oczy jej, otoczone czarnemi obwódkami, wznoszą się ku Hostyi z niemą modlitwą, której żaden język wysłowić nie zdoła. Jezus jest jedyną jej nadzieją. Chora mówi Mu to w długiej, rzewnej modlitwie, w której łzy skruchy łączą się z radością z powodu oderwania się od świata i z uczuciami najgorętszej miłości. A Jezus odpowiada na to tajemniczem i głębokiem dotknięciem swej łaski, która rozpala serce ogniem miłości Bożej i roznieca w niem gorące pragnienie zjednoczenia się na zawsze z nieskończoną Bożą pięknością. To też chora kończąc tę modlitwę, odchodzi z duszą gotową na wszelkie cierpienia i rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie na Przenajświętszą Hostyę, wraca na łoże boleści, aby go już więcej nie opuścić«. (*Villepinte* przez X. Théloz).

Tak się przedstawia to przytulisko w Villepinte, które gorliwe i pełne poświęcenia Zakonnice ze Zgromadzenia Najświętszej Panny Wspomożycielki, z pomocą szlachetnych prywatnych dobroczyńców, otwarły dla nieszczęsnych ofiar nieubłaganej klęski, dziesiątkującej w wielkich miastach uboższe warstwy ludności. W samym tylko Paryżu umiera corocznie przeszło jedynaście tysięcy suchotników, co dowodzi, że straszne to cierpienie pochłania daleko więcej ofiar, aniżeli wszystkie inne zakaźne choroby!

Atoli pomimo troskliwej pieczy, jaką Zakonnice otaczają te chore, pomimo całej umiejętności lekarzy i zastosowywania najnowszych metod leczenia, wyzdrowienia są nader rzadkiemi, a w sali przeznaczonej dla najbardziej dotkniętych tą chorobą, prawie się nigdy nie zdarzają. Łatwo

więc można odgadnąć, jak rozkosznie sama nazwa Lurd rozbrzmiewa w duszy biednych tych dziewcząt. O pielgrzymce do tego cudownego miejsca rozmawiają one ze sobą przez rok cały, podczas długich bezsen-

Suchotnice z Villepinte uzdrowione podczas pielgrzymki narodowej w r. 1899.

nych nocy. Myśl ta dodaje im odwagi wówczas, gdy gorączka je trawi, a wszelka nadzieja czysto ludzka zdaje się być straconą. Łączą się też one ze sobą w modlitwach i ofiarach, aby zjednoczone ich zasługi

stały się milszemi Bogu. W tem też zapewne należy upatrywać przyczynę nadzwyczajnych, wyjątkowych łask, jakie chore z Villepinte otrzymują w Lurd.

Zresztą, czyż to nie słuszne, że te dzieci Maryi, które od lat najmłodszych niemal zaczęły cierpieć i nie zaznały żadnych uciech ziemskich, oprócz tej smutnej pociechy, jaką daje ofiara, są przedmiotem szczególnej opieki tej Matki boleści? Czyż dusza ich pełna wiary i rezygnacyi nie jest gruntem, przygotowanym wybornie na przyjęcie łask?... Wreszcie przybywają one do Lurd wspierane modłami wszystkich swych towarzyszek, które od chwili ich wyjazdu bez przerwy za nie się modlą. To też wypadki uzdrowienia wśród suchotnic z Villepinte zdarzają się daleko częściej, niż wśród innych kategoryi chorych.

Od dawna już, od czasu do czasu, po kilka chorych dziewcząt z Villepinte brało udział w pielgrzymkach narodowych i stopniowo zakład ten zaczął wysyłać do Lurd coraz większą ilość swych suchotnic. W roku 1896 przybyło ich 14, w 1897 roku 20, a w 1898 roku 24. Oto wyniki tych pielgrzymek:

Rok 1896.

14 chorych przybyło z Villepinte.

Zostały uzdrowione następujące 8:

1. Estera Brackmann
2. Berta Burgère
3. Herminia Jumeau
4. Małgorzata Ménand
5. Alicya Chaigneau
6. Karolina Triboudeau
7. Ludwika Chéradame
8. Eugenia Griffe.

Sześć wróciło bez żadnej zmiany.

We trzy lata później powyższe uzdrowione zostały:

1. Estera Brackmann — komisantką handlową,
2. Berta Burgère — wstąpiła do klasztoru,
3. Herminia Jumeau — mężatką,
4. Małgorzata Ménand — pokojówką w Londynie,
5. Alicya Chaigneau — wstąpiła do klasztoru,
6. Karolina Triboudeau — nauczycielką w Rosyi,
7. Ludwika Chéradame — nauczycielką gimnazyalną,
8. Eugenia Griffe — służącą.

Z sześciu chorych nieuzdrowionych: cztery umarły; dwie pozostały jeszcze przy życiu, lecz chore, a mianowicie:

Ernestyna de Groulard poddała się amputacyi ręki z powodu gruźliczego zaburzenia i jest bardzo chorą, — Julia Forêt, o której później będzie jeszcze obszerna wzmianka.

Tak więc we trzy lata później 8 suchotnic, uzdrowionych w roku 1896, cieszyło się dobrem zdrowiem i zajmowało rozmaite posady; z pomiędzy sześciu nieuzdrowionych cztery zmarło, a dwie pozostały niebezpiecznie chore.

Rok 1897.

20 chorych przybyło z Villepinte.

Doznały zupełnego uzdrowienia lub częściowej ulgi:

1. Fanny Pepper
2. Armandyna Pincot
3. Anna Krupper
4. Regina Sénac
5. Siostra Augustyna
6. Julia Testard
7. Małgorzata Pichot
8. Klara Godeau.

12 wróciło bez żadnej zmiany.

We dwa lata później chore uzdrowione zostały:

1. Fanny Pepper — komisantką handlową,
2. Armandyna Pincot — komisantką handlową,
3. Anna Krupper — nauczycielką w Paryżu,
4. Regina Sénac — zakonnicą,
5. Siostra Augustyna — zakonnicą Zgromadzenia Najświętszej Panny Wspomożycielki,
6. Julia Testard — wróciła do rodziny,
7. Małgorzata Pichot — wróciła do rodziny,
8. Klara Godeau, uzdrowiona częściowo — wróciła do rodziny, zupełnie uzdrowioną została w roku następnym.

O 12 chorych nieuzdrowionych wiemy, że: 5 zmarło; 5 pozostało bardzo chorych w Villepinte; o 2 wiadomości niema.

Rok 1898.

24 chorych przybyło z Villepinte pod opiekę zakonnic. Nadto wiele innych przyjechało osobno, na własny koszt. Będziemy tu jednak mówili tylko o pierwszych.

Doznało zupełnego uzdrowienia lub ulgi chorych 14, a mianowicie:

1. Genowefa Rohmer
2. Joanna Bertrand
3. Ludwika Périer
4. Anna-Marya Becquet
5. Klara Godeau
6. Siostra Marya Mathieu
7. Ewelina Grandcour
8. Teresa Meichtry
9. Augustyna Baron
10. Zuzanna Chopinet
11. Amelia Gonthier
12. Marya Abrial
13. Marya Jourboule
14. Amelia Baumann.

Odjechało bez żadnej zmiany chorych 10.

W kilka miesięcy później następujące osoby zupełnie lub częściowo zostały uzdrowione:

1. Genowefa Rohmer — zupełnie zdrowa,
2. Joanna Bertrand — zupełnie zdrowa,
3. Ludwika Périer — dostała recydywy,
4. Anna Marya Becquet — zupełnie zdrowa,
5. Klara Godeau — uzdrowiona częściowo w roku 1896, a zupełnie w roku 1898,
6. Siostra Marya Mathieu ma się zupełnie dobrze,
7. Ewelina Grandcour — jest jeszcze chorą,
8. Teresa Meichtry — przybrała 30 funtów na wadze, lecz znowu zachorowała,
9. Augustyna Baron — znowu zachorowała,
10. Zuzanna Chopinet — ma się znacznie lepiej,
11. Amelia Gonthier — ma się znacznie lepiej,
12. Marya Abrial — zawsze jeszcze chora,
13. Marya Jourboule — ma się znacznie lepiej,
14. Amelia Baumann — zawsze chora, ale się jeszcze trzyma, chociaż oddawna już powinna była umrzeć.

Tak więc na 14 chorych, uzdrowionych całkowicie lub częściowo, sześć znowu zachorowało, a 8 ma się zupełnie dobrze.

Z pomiędzy 10 chorych nieuzdrowionych osiem zmarło, a dwie są blizkiemi śmierci.

Wogóle przeto zakład w Villepinte wysłał do Lurd w przeciągu lat trzech 58 suchotnic, z których większa część znajdowała się już w ostatnim okresie swej choroby. Z pomiędzy nich 24 zostało uzdrowionemi lub doznało znacznej ulgi, a polepszenie to trwa stale, z wyjątkiem kilku chorych.

Z pomiędzy 30 chorych, nieuleczonych w Lurd, szesnaście już zmarło, siedem znajduje się w stanie blizkim śmierci, a u reszty suchoty dokonywają powoli dzieła zniszczenia organizmu.

Chore uzdrowione, były nie mniej niż inne dotknięte straszną tą chorobą i takiemu samemu miały uledz losowi. Uzdrowienie ich nastąpiło podczas trzydniowej pielgrzymki; w przeciągu chwil kilku płuca ich, pokryte przedtem głębokiemi ranami, zupełnie się zagoiły! zdrowie widocznie wróciło do wycieńczonych organizmów, a waga ich w przeciągu kilku tygodni albo miesięcy powiększyła się o 10, 20 lub 30 funtów. Nagłe te uzdrowienia okazały się całkowitemi i trwałemi!

Nigdy jeszcze w leczeniu suchotników nie osiągnięto tak znacznej ilości uzdrowień i takich wyników! Prawie połowa biednych tych dziewcząt odzyskała zdrowie wówczas właśnie, gdy już były skazane na śmierć niechybną i bardzo jej blizkie. W chwili przybycia do Lurd każda z nich przywiozła ze sobą jakby pewien rodzaj dziennika, zawierającego jak najdokładniejszy opis przebiegu swej choroby. Przed wyjazdem ich ze szpitala zważono je, oraz zbadano jak najtroskliwiej stan ich płuc, tudzież wydzielane przez nie bakcyle. Za powrotem lekarz znowu je badał, porównywając osiągnięte wyniki. Wiedza zatem stwierdziła tym sposobem fakta tak widoczne, że najbardziej nawet uprzedzeni lub niechętni, muszą uchylić czoła wobec oczywistych danych, nie pozostawiających już żadnego pola do krytyki lub wątpliwości.

Fanny Pepper
z Villepinte, uzdrowiona w r. 1898.

Julia Forêt była ostatnią z pomiędzy sześciu chorych z Villepinte, które nie zostały uzdrowionemi w Lurd w roku 1896. Patrzała ona kolejno na śmierć wszystkich swych towarzyszek, i na łożu szpitalnem oczekiwała zgonu, który szybkim zbliżał się krokiem. Niekiedy jednak ostatni promyk nadziei budziła w niej myśl: »Gdybym mogła jeszcze pojechać do Lurd, zostałabym przecież uzdrowioną!«

W takiem właśnie usposobieniu jej umysłu odwiedził ją pewnego razu jeden młody lekarz z Paryża w towarzystwie swego brata inżyniera, protestanta. Lekarz ten bardzo starannie badał Julię Forêt, zatrzymał się długo przed jej łożem i przyrzekł, że niebawem znowu ją odwiedzi.

Wszystkie te dowody współczucia młodego lekarza zdziwiły biedną Julię, tak, że w liście do swej dobrodziejki pisała, co następuje:

»W tych dniach odwiedził mię jakiś lekarz z Paryża, mający własną aptekę dla ubogich. Wizyta jego bardzo mię zaniepokoiła«.

W dalszym ciągu tego samego listu czytamy: »Cieszę się bardzo, że pojadę do Lurd, bo się spodziewam, że Najświętsza Panna

okaże Swą potęgę, lecząc mię z okropnej mej choroby. Gdybym miała i nadal pozostać chorą, byłabym niepocieszoną, lecz ofiarowałabym chętnie własne zdrowie i wszystko za nawrócenie p. X., tego protestanta, który mię odwiedził«.

Wkrótce potem Julia wzięła udział w pielgrzymce narodowej w roku 1899 i podczas procesyi wstała zupełnie uzdrowiona z nieuleczalnej piersiowej swej choroby!

Lekarz ów, dowiedziawszy się o tem uzdrowieniu, napisał ze swej strony dnia 26 sierpnia 1899 roku, co następuje:

»Z głębokiem wzruszeniem dowiedziałem się o prawdziwie nadzwyczajnem i cudownem uzdrowieniu Julii Forêt, jak również o przedziwnym akcie jej poświęcenia się dla nas. Mam nadzieję zobaczyć ją wkrótce za powrotem do Paryża, aby jej osobiście powinszować i podziękować«

Najświętsza Panna, uzdrawiając tę chorą, raczyła zarazem spełnić wszystkie jej pragnienia. Wkrótce potem ów lekarz wstąpił do Zgromadzenia Ojców Redemptorystów, a brat jego się nawrócił.

Zapytywano nas niekiedy o tajemnicę uzdrowień w Lurd. Chore z Villepinte posiadają, że się tak wyrazimy, klucz do tej zagadki. Znoszą cierpienia bez przerwy, w słodkiej nadziei, modlą się przez długie lata, aby się przygotować do swojej pielgrzymki, poddają się zupełnie woli Bożej, a nawet znajdują w swem sercu dość wspaniałomyślności, aby ofiarować własne życie za nawrócenie niedowiarków lub heretyków. Cóż więcej jeszcze mogłyby uczynić?...

ROZDZIAŁ IV.

Rany i wrzody.

1. AMELIA CHAGNON. — 2. MARYA LEMARCHAND. — 3. ANTONINA PÉCANTET. — 4. KLEMENTYNA TROUVÉ. — 5. MARYA BRIFFAUT. — 6. ELISA LESAGE.

Amelia Chagnon urodziła się 17-go września 1874 roku. Wychowana przez pobożną matkę, oddana później pod kierunek Sióstr zakonnych w Montmorillon, zachowała z lat dziecinnych jedno tylko wspomnienie: wielkiej miłości dla Najświętszej Panny.

»Kochałam Ją, mówiła, jakby z naturalnego popędu. Nie byłabym w stanie Jej nie kochać; było to uczucie płynące z duszy i napełniające ją wielką słodyczą. Moja matka i ja codziennie odmawiałyśmy modlitwę przed bardzo starożytną statuetką Matki Boskiej, która stanowiła jedyne moje dziedzictwo. Statuetkę tę oddałem później mojej ciotce, która też ją przechowuje jako skarb najdroższy«.

Matka umierając poleciła Amelię siostrze swojej, Augustynie Doucelin, która umieściła jedenastoletnią dziewczynkę w szwalni Sióstr

Serca Jezusowego w Poitiers. Nazajutrz po przyjęciu pierwszej Komunii św. uczuła mała Amelia wyraźnie swoje powołanie zakonne, zdawało jej się, że Pan Bóg chce ją mieć w Zgromadzeniu Sercanek.

Amelia Chagnon.

W roku 1887, gdy Amelia miała lat trzynaście i pół, rozpoczęła się jej choroba. Noga się zaczerwieniła i zaczęła ją boleć. Ciotka Amelii wzięła ją do siebie i przez cały rok otaczała staraniem i opieką.

Ból jednak nie ustępował. Sądząc tedy, że zmiana powietrza i sposobu życia może sprowadzić jakie polepszenie, Augustyna umieściła swoją siostrzenicę u panny Mounier, osoby bardzo pobożnej i pełnej dobroci, która, o ile to było w jej mocy, osładzała temu dziewczęciu jej cierpienia. Amelia przez ośmnaście miesięcy pozostała u panny Mounier. Dr. Gaillard leczył chorą nogę dziewczęcia, ale pomimo wszystkiego cierpienie się wzmagało, Amelia z trudnością tylko mogła się poruszać i stała się zupełnie niezdolną do pracy. Musiała więc ostatecznie udać się do szpitala, co też nastąpiło 28 października 1890 roku.

Po trzech miesiącach, do cierpienia spowodowanego psuciem się kości w nodze, przyłączyła się nowa choroba, a mianowicie złośliwy wrzód w kolanie. Wstępując do szpitala Sióstr w Poitiers, Amelia rzekła do swojej ciotki: »Zdaje mi się, że ta choroba to jakby upomnienie Boże; byłam w pobożnych moich ćwiczeniach bardzo opieszałą, potrzebnem więc było ostrzeżenie. To dla mojego dobra tak mnie Pan Bóg doświadcza«.

W szpitalu przez rok cały zastosowywano chorej wszelkie środki w podobnych wypadkach używane. Z lekarzy pierwszy Dr. de Lamardière orzekł, że choroba jest nieuleczalną, ponieważ tkwi w wadliwem usposobieniu całego organizmu; po nim Dr. Dupont używał najenergiczniejszych środków, ale nadaremnie. Kość nogi psuła się wciąż dalej, wydzielając materyę; próchnienie rozszerzało się stopniowo, kawałki kości wychodziły na zewnątrz, a cała ta kość stała się tak ruchomą, że przy naciskaniu jednego końca poruszał się drugi i chwiał się w każdym kierunku. Już Dr. Gaillard poprzednio mówił: »Kość tę nieraz ujmowałem w szczypczyki i miałem ją wyjąć, ale za każdym razem krew tak się obficie puszczała, że wolałem, aby tej operacyi dokonano w szpitalu«. Oprócz nogi kolano także było objęte złośliwym wrzodem; aby więc zaradzić tak jednemu jak i drugiemu, ujęto całą nogę w przyrząd chirurgiczny stale przytwierdzony, wskutek czego młoda dziewczyna mogła się z trudem na kulach przesuwać z miejsca na miejsce.

Po kilku miesiącach takiej ochrony zbolałej nogi za pomocą przyrządu zdjęto go, widząc, że nie przyniósł żadnego dodatniego wyniku. Ból stał się nieznośnym, wszelki ruch niemożliwym. Na trzy miesiące przed pielgrzymką do Lurd chora już nie opuszczała wcale łóżka. Podczas tej długiej choroby odbywały się modlitwy, nowenny, ale myśl młodej dziewczyny zwracała się nieustannie do Lurd. Czuła zupełną pewność, że tam będzie uzdrowioną.

Oczekiwała więc z upragnieniem czasu wyznaczonego na pielgrzymkę i prosiła usilnie lekarzy, aby do tej pory wstrzymywali się ze wszystkiemi dalszemi próbami. »Na cóż — mówiła — stosować nowe środki, kiedy

będę uzdrowioną w Lurd?« Gdzie biedaczka zaczerpnęła tę niezachwianą ufność?...

Już na parę lat przedtem, bo w r. 1889, była w Lurd z ciotką swoją podczas narodowej pielgrzymki; już wtenczas była chorą na nogę, z trudem tylko chodzić mogła, lecz polepszenia żadnego nie doznała. Ta pierwsza próba nie była więc zachęcającą, — a jednak teraz Amelia nie wątpiła i wobec wszystkich twierdziła, że będzie uzdrowioną. — Ze stanowiska ludzkiego prawdopodobieństwa, to twierdzenie było na pozór nieuzasadnionem. Ale to, co się stało, usprawiedliwiło w zupełności ufność dziewczęcia; przeczucie jej nie zawiodło.

Nareszcie nadszedł dzień wyruszenia pielgrzymki. Dnia 20 sierpnia zrobiono na nodze ostatni opatrunek, obmyto ranę całą, namaszczono waseliną, odmieniono bandaże. Siostry Marya od Krzyża i Marya od świętego Augustyna, czuwające nad tą salą szpitala, w której leżała Amelia, załatwiły te ostatnie względem niej czynności. Po południu ułożono ją na materacu i zniesiono do ręcznego wózka, który ją zawiózł na dworzec. Amelia głośno zapowiadała swoje wyzdrowienie, obiecując przysłać depeszę zawiadamiającą o tem i zabiera ze sobą nowe buciki, które umyślnie kazała zrobić, aby je włożyć za powrotem. Buciki! od czterech lat już ich nie miała na nogach.

W wagonie położono ją na materacu; panie Rigaud i Audibert wsiadły do jednego z nią przedziału. Podczas podróży pani de Roederer, pani de la Salinière i wiele innych pań, które ją znały, przychodziły do niej, dowiadywały się o jej stanie, nie traciły jej z oczu oni na chwilę; w Lurd towarzyszyły jej następnie do szpitala i do świętej sadzawki.

Pociąg przybył do Lurd w piątek d. 21 sierpnia o 9 rano. Amelię wprost z wagonu złożono na noszach i zaniesiono do groty. Dopiero po południu mogła dostać się do świętej wody; prosiła więc panią de la Salinière, aby ją tam zanurzyła, o godzinie 3 popołudniu. Rozwinięto jej opatrunek; wszystkie kompresy i bandaże, któremi jej nogę opatrzono, były przesiąknięte ropą, sączącą się z rany; pończocha nawet była nią poplamiona, gdyż podczas podróży ropa płynęła obficiej, niż zwykle. Biedną dziewczynę złożono na prześcieradle, bo na nogach ustać nie mogła i podniesiono z prześcieradłem w górę, aby zanurzyć w wodzie. Opanowało ją silne wzruszenie tak, że częściowo straciła przytomność, jednak gwałtowne bole, które odczuwała w nodze, rychło ją ocuciły. Pomimo tego chora odpowiadała na modlitwy, które inni nad nią odmawiali. Po chwili wyniesiono ją z kąpieli.

»Ależ nie jestem jeszcze uzdrowioną, — odzywa się Amelia; zanurzcie mnie znowu w wodę«. Stosownie więc do jej życzenia, znoszą ją powtórnie do sadzawki. Zrazu cierpienia się zwiększają, kolano trze-

szczy, a z nogi zdaje się wypływać jakaś ciecz paląca; potem nagle nastaje spokój. »Jestem uzdrowioną!« — woła do pań, które ją otaczają: i natychmiast wstaje z prześcieradła, na którem leżała: wzrok jej patrzy na wizerunek Najświętszej Panny, który był naprzeciw niej, i długo na nim spoczywa, a myśl uzdrowionej wznosi się do swej Dobrodziejki z uczuciem głębokiej wdzięczności.

Oczy wszystkich zwracają się na chorą nogę. Rany niema już żadnej, tylko blizna; kolano także przedstawia się w stanie normalnym, bez spuchnięcia, dziewczyna z łatwością wspiera się na niem bez najmniejszego bolu. Próchnienie i tuberkuły kości, kość ruchoma, rany, zniszczone części ciała, — wszystko to ustąpiło! — i zostało uleczonem w przeciągu kilku chwil!...

Pani de la Salinière udzieliła bardzo dokładnych szczegółów do całego przebiegu tego cudownego uzdrowienia.

»Było nas sześć osób, — mówi — do podtrzymywania tej młodej dziewczyny w wodzie na prześcieradle: panna de Chabot i ja od strony głowy; pani de Ricard i inna dama, której nazwiska nie pamiętam, od strony nóg; a w dodatku pomagały nam jeszcze dwie Siostry zakonne. Pomiędzy pierwszem a drugiem zanurzeniem w chwili, gdyśmy to dziewczę podniosły w górę na prześcieradle, aby je wynieść z wody, widziałam bardzo dokładnie ranę, która się jeszcze w tenczas znajdowała na jej obnażonej nodze. Później, kiedy Amelia zaczęła nas prosić i błagać, — mówiąc: »Zechciejcie mnie zanurzyć jeszcze w wodę, a jestem pewną, że wyzdrowieję« — zeszłyśmy znowu po trzech stopniach, które prowadzą do zbiornika, i zanurzyłyśmy ją powtórnie. Podczas tej drugiej kąpieli Amelia modliła się głośno, własnemi słowy, płynącemi z głębi duszy, a my łączyłyśmy się z jej modłami. Jakież było naszo zdumienie, gdy, po upływie paru minut, dziewczyna wyskoczyła z prześcieradła, na którem ją podtrzymywałyśmy i wyszła sama ze świętej sadzawki, — mówiąc do mnie: »Już nic nie czuję, Matka Boska mnie uzdrowiła!«... »W tej chwili uklękłam, aby się dobrze przypatrzeć jej nodze i ujrzałam bardzo dokładnie powierzchnię różową, która wydawała się świeżo zagojoną; miała ona kształt wklęsły, wielkość srebrnej sztuki dwufrankowej i dokoła krążek nieco wydatniejszy: wszystko to jednak wyglądało zdrowo i czysto. Patrzymy na kolano: nie było na niem ani śladu wrzodu lub rany«.

Tak więc uzdrowienie Amelii odbyło się rzeczywiście w obecności sześciu osób, które w chwili tej otaczały młodą dziewczynę. Bezpośrednio po niem Amelia udała się do Groty, klękła na to kolano, które było dla niej źródłem tylu boleści i pozostała długo na dziękczynnej modlitwie przed swoją najukochańszą Matką.

»Po upływie pół godziny — pisze Dr. Boissarie — przyszła do lekarskiego biura sprawdzań, niosąc z sobą płótna i bandaże, przesiąknięte ropą ze swoich ran; pokazała świadectwa lekarskie, stwierdzające, że miała złośliwy wrzód w kolanie i ranę połączoną z próchnieniem kości w nodze. My lekarze szukamy jednak nadaremnie śladu tych ciężkich przypadłości! Niema nic na nodze, ani na kolanie; blizna już nawet nie ma wokoło siebie tego krążka, który miała zrazu, bezpośrednio po wyjściu z sadzawki. Uzdrowienie, które co do swojej istoty było natychmiastowem, w ostatnich szczegółach postąpiło i udoskonaliło się prawie w oczach patrzącego. Co stwierdziliśmy na razie w Lurd, to po nas za powrotem Amelii do Poitiers stwierdzili i poświadczyli lekarze tamtejsi, którzy przez lat cztery, przed podróżą do Lurd, leczyli rany na jej nodze.

»Za powrotem w rodzinne strony Amelia przez trzy miesiące pozostała u swej ciotki i tam przyjmowała codziennie liczne odwiedziny, pokazując uzdrowioną nogę wszystkim osobom, które do niej przychodziły. Z końcem listopada 1891 roku Amelia została przyjętą jako postulantka do zakonnic Serca Jezusowego w Poitiers, gdzie przebywała aż do miesiąca sierpnia 1893 roku. Przez dwa lata tedy, życie jej upływało pod okiem tych samych osób, tych samych świadków, którzy widzieli jej chorobę w latach poprzednich, a teraz patrzali na jej zdrowie. Niema ani śladu dawnych ran i cierpień, owszem nawet ogólny stan zdrowia świadczy o zupełnem odrodzeniu. Nabrała tuszy, rumieńce zdrowia ożywiają jej lica. Pani de la Salinière, która była obecną przy jej obłóczynach w dniu 8-go listopada 1892, tak do nas o tem pisała: »Byłam obecną w kaplicy klasztoru Serca Jezusowego przy dziwnie wzruszającym obrzędzie: Amelia Chagnon, jedna z cudownie uzdrowionych roku zeszłego w Lurd, przywdziała habit zakonny. Matka Boska niczego połowicznie nie robi; kochane to dziewczę oddycha zdrowiem«.

»Od sierpnia 1893 Amelia została przeniesioną do klasztoru Sercanek w Mans. Tam ją odwiedziłem i nie mogłem w pierwszej chwili uwierzyć moim oczom, że osoba, pełna życia i zdrowia, którą miałem przed sobą, to ta sama dziewczyna, którą widziałem i badałem bezpośrednio po jej wyjściu z cudownej kąpieli, uzdrowioną wprawdzie zupełnie, ale bladą jeszcze i wychudłą skutkiem czteroletnich cierpień. Musiałem też powtórzyć za panią de la Salinière, że Matka Boska niczego połowicznie nie robi!

»Kilka przynajmniej z pomiędzy uzdrowień cudownych w Lurd corocznie pociąga za sobą niezwykłe nawrócenia. Chciałbym wiedzieć — rzekłem pewnego razu do Amelii, — czy to uzdrowienie pani nie zwróciło ku Bogu choćby jednego niedowiarka?

»Owszem, odparła, opowiadano mi, że pewien lekarz, który przybył do Lurd jako człowiek w nic niewierzący, dowiedziawszy się o nadzwyczajnej łasce, jaką otrzymałam od Najświętszej Panny, zupełnie się nawrócił. Podczas całej mojej pielgrzymki widywałam go ciągle obok siebie; pytał mię, badał i zajmował się wszystkimi podawanymi przezemnie szczegółami«.

Liczne listy, otrzymywane przez lekarzy z Poitiers od swoich kolegów, świadczą również o ogólnem zajęciu, które wydać musiało owoce.

Zresztą uzdrowienie to tem większą posiada doniosłość, że czas uświęcił wszystkie jego wyniki. Odtąd Amelia wyśmienitem cieszy się zdrowiem i zawsze z wdzięcznością wspomina chwilę, która jej tak cudowną przyniosła zmianę.

Marya Lemarchand.

2. Zdaniem Dra Le Nëele, który miał w lekarskiej opiece Maryę Lemarchand, choroba jej była nieuleczalną.

Po zanurzeniu chorej w zbiorniku wody ze świętego źródła dnia 21 sierpnia 1892, sprawdzono, że rana policzka, ust i warg odrazu zagojoną i osuszoną została. Dr. d'Hombres, który widział chorą bezpośrednio przed samą kąpielą, pochwycił, że się tak wyrazimy, na gorącym uczynku tę cudowną zmianę.

Nadto badania płuc chorej, przedsięwzięte przed jej uzdrowieniem w biurze sprawdzań lekarskich w Lurd, wykazało istnienie tuberkulozy w płucach. Tymczasem uzdrowienie rany lupusowej na twarzy rozciągnęło się i na płuca, które od tej pory do dziś dnia są zupełnie normalnemi i zdrowemi. Chora cieszy się obecnie kwitnącym stanem zdrowia i znacznie nabrała tuszy. Ten sam Dr. Le Nëele, który chorą znał i leczył w rodzinnem jej miejscu czas długi przed jej podróżą do Lurd, napisał z Caen w kilka miesięcy później, co następuje:

»Uzdrowienie Maryi Lemarchand było zupełnem pod każdym względem, i stale się utrzymuje. Zawsze uważałem tę chorą za nieuleczalną: miała bowiem na twarzy rany ropiące natury tuberkulicznej, to jest wilka (*lupus*). Jestem jeszcze pod wrażeniem tego uzdrowienia, które było bezsprzecznie nadprzyrodzonem. Marya Lemarchand miała oprócz tego suchoty płuc rozwinięte w wysokim stopniu, co żadnej nie ulegało wątpliwości.«

Ze swej strony Dr d'Hombres, który był świadkiem natychmiastowego uzdrowienia Maryi Lemarchand, tak napisł do Dra Boissarie:

»Gdy Marya Lemarchand czekała przy zbiornikach, aż przyjdzie na nią kolej do kąpieli, byłem przedewszystkiem uderzony nadzwyczajnie wstrętnym jej wyglądem. Obydwa policzki, dolna część nosa, górna warga, wszystko to było pokryte wrzodem, natury tuberkulicznej, wydzielającym nader obfitą ropę. Szmatki płócienne, które okrywały to zeszpecone oblicze, przesiąkły również ropą. Gdy w parę godzin potem zawołano mnie do szpitala, pani margrabina de Palaminy rzekła do mnie: »Chodź doktorze i zobacz cudownie uzdrowioną z naszej sali«. Natychmiast udałem się do tej kobiety i poznałem ją na pierwszy rzut oka, chociaż twarz jej już zupełnie inaczej wyglądała. Zamiast wstrętnej rany, którą widziałem przed paru godzinami, była powierzchnia równa, czysta, sucha, pokryta naskórkiem, którego czerwoność wskazywała, że się niedawno dopiero utworzył. Szmatki, które przed cudowną kąpielą okrywały te rany, leżały jeszcze obok niej, ropą poplamione.

»Przed kąpielą miała ta biedna chora i na nodze taką samą ranę, która również, jak i rana na twarzy, w cudownej kąpieli zagojoną została.

»Wyznaję szczczerze, dodaje Dr d'Hombres, że zmiana tak nagła, która nastąpiła jedynie przez zanurzenie w zimnej wodzie, nadzwyczajne na mnie zrobiła wrażenie, tembardziej, że rana, wilkiem zwana, jak to zresztą wszystkim lekarzom wiadomo, okazuje się odporną wobec wszelkiego leczenia. Uzdrowienie tak nagłe leży zupełnie po za obrębem zwykłych praw przyrody! Nie moją rzeczą jest, jako lekarza, orzekać o cudach, ale podług mego zdania to uzdrowienie nie może być przypisanem jak tylko sile nadprzyrodzonej«!

To tak jasne i ścisłe oświadczenie doktora d'Hombres ma szczególniejsze znaczenie i mimowoli różne nasuwa myśli. Koniec dziewiętnastego i początek bieżącego stulecia, opromieniają bądź co bądź szczególne blaski. Od stu lat wolnomyślni i nieprzyjaciele Kościoła chcą koniecznie święcić obrzęd pogrzebowy Francyi katolickiej: a tymczasem jakoś im to nie idzie. Ciasny racyonalizm uważają jako bożka, jako ideał konieczny obecnej doby. Próżne usiłowania, żywioł chrześcijański nadprzyrodzony zewsząd Francyę otacza! Głos Boży coraz silniej, coraz wyraźniej rozbrzmiewa w społeczeństwie i w tych wszystkich cudownych uzdrowieniach widzimy coraz wyraźniej dzieło ręki Bożej.

3. X. Menvielle zawdzięczamy następujące opowiadanie:

»W ubogim pokoiku przy ulicy długiej, w Bagnères, pod Nr 57, mieszka czterdziestoczterc-letnia wdowa Pécantet, matka czworga dzieci.

»Biedna ta kobieta, oddawna już chora, była w przeciągu lat kilku przykutą do łoża boleści. Po długich cierpieniach zdawało się jej, że nastąpiło pewne polepszenie, mogła bowiem wstać, a nawet chodzić. Była to wszakże chwilowa tylko ulga; choroba wkrótce nawiedziła ją znowu i to w nowej okropnej formie. Na wardze nieszczęśliwej utworzył się złośliwy *lupus* (wilk) i zajął niebawem całą dolną część twarzy. Nadto pewien rodzaj czarnej narości, najeżonej jak krzak kolczasty, pokrył całe jej usta, prawdziwie wstrętny przedstawiając widok.

Wdowa Pécantet (przed uzdrowieniem).

»Tak upłynęło osiem miesięcy, w ciągu których leczył ją bardzo inteligentny i gorliwy lekarz, ale bez żadnego skutku. Choroba nietylko nie ustępowała, lecz coraz większe nawet czyniła postępy.

»Wówczas właśnie trzeci syn wdowy Pécantet przygotowywał się do pierwszej Komunii świętej. Biedna kobieta z boleścią myślała o tym dniu, wiedząc że szczęście syna nie byłoby zupełnem, gdyby matka nie przystąpiła z nim razem do Stołu Pańskiego. Czyż mogła jednak w takim stanie udać się do kościoła i przyjąć Komunię św.?

Wdowa Pécantet (po uzdrowieniu).

»Wreszcie rzekła do siebie: »Odprawię nowennę i pójdę do Lurd«. W przeciągu dni czterech połączyła się z dziećmi w modlitwie na tę intencyę, poczem wyruszyła w drogę bez towarzyszki, a nawet bez pieniędzy tylko z listem polecającym do dyrektora szpitala Saint-Frai.

»Do Lurd przybyła cierpiąca i wycieńczona do najwyższego stopnia, z jedną tylko myślą, aby jak najprędzej pójść do Groty, z jedynem pragnieniem obmycia się

w cudownej wodzie i jedną tylko potrzebą: modlitwy do Najświętszej Panny.

»Pomimo namów Sióstr ze szpitala, widzących jej osłabienie, wlecze się sama do Groty, na drodze pada kilkakrotnie napół zemdlała, lecz wreszcie dosięga celu.

»Było już późno i panie kąpiące zwykle chorych, miały właśnie zamknąć wejście do sadzawki, radząc biednej wdowie, aby zaczekała do jutra. Zapytały ją także o chorobę i odpowiednie świadectwo lekarskie. Świadectwo to nieszczęśliwa miała na sobie!... ale nieśmiała go pokazać, oddawna bowiem nosiła przepaskę na twarzy, aby nie przerażać innych swym widokiem! Teraz jednak odsłoniła twarz, dając przez to jakby poznać swe prawo do użycia cudownej wody. Ze względu jednak na osłabienie, nie pozwolono biedaczce zanurzyć się w wodzie, lecz tylko obmyto jej ranę.

»Po tem pierwszem obmyciu, uzdrowienie wprawdzie jeszcze nie nastąpiło, atoli skutek wody cudownej, chociaż nie natychmiastowy, miał być niechybnym i trwałym.

»W ciągu ostatnich dni nowenny chora codziennie obmywała ranę z niezachwianą wiarą i ufnością. W miarę tego strupy spadały stopniowo z jej twarzy, a w ostatnim dniu nowenny rana już zupełnie była uleczoną. Chorobliwa narość znikła bez śladu, puchlina z wargi zeszła i skóra naturalnej nabrała barwy. Uszczęśliwiona, parta pragnieniem podzielenia się swą radością z pozostałemi w domu dziećmi, opuszcza wdowa Pécantet Lurd, mimo iż ją Siostry ze szpitala Saint-Frai chcą dni parę jeszcze zatrzymać.

»Łatwo można sobie wyobrazić radość całej rodziny w chwili powrotu uzdrowionej matki do Bagnères!

»Krótką miała być wszakże ta pociecha, bo już w kilka dni później nastąpiła recydywa...

»Któż zna tajniki duszy... i tajniki darów bożych?... Może wiara i ufność wdowy zostały zachwiane?... Może nie dowierzała dziełu Maryi?... W każdym razie było to dla niej jakby przestrogą i upomnieniem.

»Zrozumiała ona, że spiesząc zanadto z powrotem, chciała jakby kusić niebo, gdyż nie dała mu dokończyć swego dzieła. Wróciła się więc do Lurd napowrót i rozpoczęła na nowo modlitwy i obmycia rany.

»Po drugiej tej pielgrzymce wróciła do domu zupełnie już uzdrowioną i dnia 29 maja przystąpiła wraz z synem do Stołu Pańskiego, dziękując gorąco Bogu za tak wielką łaskę, jaka przypadła jej w udziale.«

Fotografia, zdjęta przed wyjazdem do Lurd daje nam poznać, jak wówczas jej twarz wyglądała.

Oto sprawozdanie Dra Cox z Lurd z choroby i uzdrowienia tej kobiety.

»Dnia 13 czerwca 1895 roku zgłosiła się do biura sprawdzań wdowa Antonina Pécantet. Podług świadectwa Dra Gandy z Bagnères została całkowicie uzdrowioną z lupusa, który zajmował całą dolną wargę i w przeciągu sześciu miesięcy nadaremnie był leczonym. Pokazała nam też fotografię, zrobioną przed samym jej wyjazdem do Lurd, przez Dra Lafforgue z Bagnères, który ją pielęgnował i u spodu fotografii stwierdził własnoręcznym podpisem uzdrowienie swej pacyentki, pod datą dnia 17 maja 1895 roku. Ja sam także mogę sprawdzić uzdrowienie tej osoby, którą podczas jej pobytu w Lurd bardzo często widywałem.

»Warga znacznie spuchnięta, pokrytą była wrzodami i strupami, z których płynęła gryząca ropa, zaczerwieniając dokoła skórę. Nadto z rany bardzo często sączyła się krew. Chora z trudnością otwierała usta i żywiła się wyłącznie płynami, wpuszczanemi jej do gardła zapomocą rurki. Stan taki trwał aż do Wielkiej Środy, to jest dnia przybycia pani Pécantet do Lurd. Odtąd zaczęła ona obmywać sobie wargę wodą z Groty i czyniła to aż do swego wyjazdu, który nastąpił w Przewodnią Niedzielę.

»W tym dniu zauważyłem z radością widoczne polepszenie jej stanu. Puchlina znacznie się zmiejszyła, warga nie nosiła już na sobie żadnych zewnętrznych oznak wrzodu i prawie zupełnie dawną odzyskała formę. Niemiła woń z rany i wszelkie fizyczne cierpienia znikły, tylko gruczoły pod szczęką były jeszcze nieco spuchnięte i zbolałe.

»Polepszenie rozpoczęło się w dzień Wielkiejnocy, zaznaczając się odpadaniem strupów, które pokrywały wargę. Pani Pécantet twierdzi, że nie zastosywała żadnego innego środka oprócz obmywania wodą z Groty. Dziś warga jej jest już zupełnie zdrowa«.

4. Klementyna Trouvé przybyła do Lurd z próchnieniem kości w stopie, na które od lat trzech cierpiała; nogę miała spuchniętą, bezkształtną, a z kilku ran ciągle sączyła się ropa.

Lekarz jej Dr. Cibiel, wydał świadectwo, w którem opisawszy dokładnie chorobę dodał, iż wymaga ona radykalnej operacyi lub długiego leczenia z bardzo wątpliwym skutkiem.

Dnia 1 września, to jest w tydzień po pielgrzymce chorej do Lurd, tenże sam lekarz skreślił drugie świadectwo zawarte w następujących słowach:

»Ja niżej podpisany, oświadczam że Klementyna Trouvé z Rouillé, która miała fistułę w pięcie, połączoną z pruchnieniem kości tuberkulicznej natury, jest obecnie całkowicie uzdrowioną i jedynym śladem

dawnej jej choroby są niewielkie blizny, pomimo których dziewczynka ta staje bez najmniejszego bolu na chorej niegdyś nodze«.

Lusignan, dnia 1 września 1891 roku. *Dr. Cibiel.*

Bardziej jeszcze dobitnemi, energicznemi słowy odmalował swe wrażenie Dr. Cibiel w rozmowie z proboszczem w Rouillé, mówiąc: »Czy Pan Bóg, czy dyabeł uzdrowił to dziecię, nic mię to nie obchodzi, wiem tylko, że jest uzdrowionem«. Wypowiedziawszy takie zdanie, złożył chyba wymowny dowód, że niepodobna go posądzić o stronniczość na korzyść nadprzyrodzonych uzdrowień.

Klementyna Trouvé.

Klementyna Trouvé wyjechała z Rouillé dnia 18-go sierpnia, aby się połączyć w Poitiers z pielgrzymką narodową, zaopatrzywszy się w spory zapas płótna dla bandażowania rany, z której ciągle sączyła się ropa, a ponieważ podczas podróży płynęła ona obficiej niż kiedykolwiek, bała się aby w ostatniej chwili nie brakło jej bandażów.

Później też z właściwą sobie naiwnością mówiła: »Dobrze, iż Najświętsza Panna zaraz pierwszego dnia raczyła mię uleczyć, nazajutrz bowiem zapas mego płótna byłby się już wyczerpał«.

Podobnie, jak i Amelia Chagnon, zanurzyła ona w sadzawce nogę obandażowaną i bandaże pozostały w wodzie! Rana zabliźniła się zupełnie i trwale w przeciągu kilku sekund. Klementyna, która już od lat trzech chodziła z trudnością, wspierając się na lasce i boso, pozostawiła laskę przy grocie i przywdziała natychmiast nowe obuwie, darowane jej przez jakąś panią. Patrząc na swe buciki, nie posiadała się z radości i skakała wesoło, jak dziecko po schodach szpitala.

W kilka dni po powrocie do domu pisała do dyrektorki sali szpitalnej. »Nie może pani sobie wyobrazić radości mych rodziców i zdziwienia wszystkich mieszkańców Rouillé, gdy mię ujrzeli, wracającą już bez laski. Noga moja ma się coraz lepiej i za dni kilka blizna nawet zniknie«.

»Do biura sprawdzań — pisze Dr. Boissarie — Klementyna Trouvé przyszła wówczas właśnie, gdy się tam znajdował Zola, który w swej powieści nazwał ją Zofią Couteau. Ujrzawszy zabliźnioną jej ranę, Zola

zmieszał się na chwilę. »Ależ to prawdziwy cud pokazujecie mi! — zawołał. Żałuję, że obok was nie widzę tu przynajmniej kilku profesorów z Paryża!« — »I ja również tego żałuję, odparłem, gdyż podwoje nasze na oścież by się dla nich otwarły.«

»Po chwili jednak wracając do zwykłego swego programu, Zola dodał: »Czy widziano tę ranę przed uzdrowieniem?«

»Naturalnie, że widział ją lekarz, który tę chorą od lat trzech pielęgnował, jak również rodzice, sąsiedzi i zakonnice, które przed samym nawet wyjazdem bandażowały jej nogę.

»To mię nic nie obchodzi — odparł, ponieważ sami nie widzieliście rany, nie zdołacie mię przekonać o tem uzdrowieniu«.

»Zaproponowałem mu wtedy, aby zbadał ten fakt jak najgruntowniej za pomocą autentycznych świadectw, któreby na samo uzdrowienie właściwe rzuciły światło, — Zola jednak uchylił się od tego, kończąc swoją rozmowę śmiesznemi prawdziwe słowy:

»Gdybym miał źródło, gojące rany w mgnieniu oka, poruszyłbym świat cały, wezwałbym wszystkie ludy i przyszłyby na me wezwanie. Kazałbym sprawdzić cuda w sposób tak przekonywający, że stałbym się panem ziemi. Cała kula ziemska widziałaby to i wierzyła«!

»Podczas swego badania Klementyna wypowiedziała to proste, lecz prawdziwe zdanie: »Gdy wyjeżdżałam do Lurd, wszyscy, a zwłaszcza protestanci mówili: Jedź, jedź, wrócisz tak, jak wszystkie, które się tam udały — i wymieniali mi jedną dziewczynę z sąsiedztwa, która w roku ubiegłym nie została uzdrowioną. Kiedy jednak wróciłam zupełnie zdrową, chodząc bez kuli i laski, ciż sami ludzie wołali: »Ona nigdy nie była chorą«!

»Zwykła to zresztą taktyka niedowiarków, twierdzić w chwili odjazdu, że chory nie zostanie uzdrowionym, — a za powrotem jego utrzymywać, że nigdy nie chorował«!

5. Marya Briffaut opisała sama swoją chorobę. Jest to opis pozbawiony wszelkiej literackiej wartości, niezupełnie nawet wolny od błędów ortograficznych, ale będący wiernym obrazem osobistych jej wspomnień i cierpień. Ona sama jedynie mogła nas wtajemniczyć we wszystkie szczegóły bolesnego dramatu, który się rozwijał u niej w przeciągu lat pięciu od dnia 6 sierpnia 1888 do dnia 1. września 1893 r.

Dr. Boissarie ujrzał po raz pierwszy młodą tę dziewczynę w Lurd, w skrzyni, przechowywanej dotąd jeszcze w tamtejszym szpitalu, gdzie każdy może ją widzieć. Prostokątna ta skrzynia z białego drzewa podobną była do trumny. Leżąca w niej chora ogólną budziła litość, tem bardziej, że z piersi jej wydzierały się ciągle bolesne jęki i skargi. W takim stanie biedna Marya Briffaut pozostawała już od lat czterech, nie opuszczając wcale łóżka i znosząc straszne katusze.

Przez ranę, która się utworzyła na biodrze, wyszło mnóstwo drobnych kawałeczków spróchniałej kości, a dokoło niej powstało ogromne nabrzmienie, obejmujące całe biodro i nogę. Cierpienia przy tem były tak okropne, że chora tylko od czasu do czasu pozwalała obmywać sobie ranę i skutkiem tego materya, nie usuwana dość rychło, zatruwała jej krew.

»W przeciągu dwóch lat — pisze ona — miałam język prawie czarny, usta zawsze suche i oddawałam prawie wszystko, co piłam, — a nie jadłam nic zgoła. Pewnego razu chciano mi zmienić bandaże, ale te tak się przylepiły do mych pleców i nogi, że mi je zerwano prawie ze skórą i cała wówczas krwią się zalałam.

Marya Briffaut.

»W maju 1892 r. dziadek mój, czując się bliskim śmierci, wezwał mię, aby po raz ostatni ze mną się zobaczyć. Chciałem usiąść, aby go ujrzeć przynajmniej zdaleka przez otwarte drzwi pokoju, — ale nie mogłam. — Niebawem lekarze przestali mię odwiedzać, — mówiąc, że jedynie śmierć może mię uwolnić od cierpień«.

Marya Briffaut przez cały rok przygotowywała się do pielgrzymki, ofiarując na tę intencyę wszystkie swe modlitwy i cierpienia.

»Na parę tygodni przed wyjazdem — pisze dalej — zrobiono dla mnie tę skrzynię! Kiedy mię po raz pierwszy do niej przeniesiono, zdawało mi się, że się znalazłam w trumnie i wszyscy też mówili, że w drodze do Lurd, lub najdalej za powrotem ztamtąd, posłuży mi ona do tego użytku!

»Długa podróż (1,200 kilometrów!) była dla mnie niezmiernie uciążliwą: cierpiałam okropnie i ciągle się odwracałam aby ukryć łzy, które z bolu gwałtem niemal cisnęły mi się do oczu«.

Ani pierwsza kąpiel w cudownej wodzie, ani procesya, którą chora spotkała po drodze, żadnego na stan jej nie wywarły wpływu. Nazajutrz powtórnie zaniesiono ją źródła.

»Niebawem, na prześcieradle — jak sama dalej opowiada — spuszczono mię do wody. To, co wycierpiałam w tej chwili, nie da się

opisać. Nagle jednak ból ustał i doznałam wrażenia, jak gdyby ze mnie zdjęto wielki ciężar. Złożono mię na ziemi, gdzie leżałam nieruchoma, z zamkniętemi oczyma, tak, że mię wzięto za umarłą. Nagle atoli zerwałam się gwałtownie, wołając: »Jestem uzdrowioną!« — Wówczas panie, które mię kąpały, zbadały stan mojej nogi. Nie była już ona ani czarną, ani spuchniętą, a dotykanie jej, nie sprawiało już bolu. Byłam uzdrowioną! Panie opiekujące się chorymi radziły mi zamilczeć o mojem uzdrowieniu mówiąc, że jestem zbyt osłabioną i mogłabym zemdleć, gdybym została oblężoną przez ciekawych i musiała odpowiadać na ich pytania. Złożono mię więc znowu w skrzyni i podczas procesyi przeniesiono do Groty. Tam usiadłam w mojej skrzyni i zerwawszy się nagle, chciałam upaść na kolana przed Najświętszym Sakramentem. Zatrzymano mię jednak, przypominając, że nie jestem ubraną, — oddawna bowiem nie nosiłam już odzieży. W szpitalu siostra ks. proboszcza pożyczyła mi suknię i zaczęłam stawiać pierwsze kroki, opierając się na ramieniu tragarzy. Byłam wprawdzie uzdrowioną, ale nie umiałam już chodzić. Nie mogłam z początku się przyzwyczaić do braku wszelkiego cierpienia i myślałam sobie: »Gdyby jaki lekarz mię uleczył, zapłaciłabym mu sowicie, ale czemże zdołam się wywdzięczyć Najświętszej Pannie!«

Eliza Lesage.

6. Eliza Lesage odznaczała się bardzo wątłym organizmem i od dzieciństwa często chorowała. W siedemnastym roku życia w marcu 1891 roku, bez żadnej widocznej przyczyny zaczęła uczuwać ból w lewem kolanie, które w krótce potem nabrzmiało. Musiała więc położyć się do łóżka i po użyciu rozmaitych domowych środków, które żadnego nie wydały rezultatu, zaniepokojona rodzina zawezwała dra de Saint Germain z Paryża. Ten zbadał starannie chorą nogę i znalazł znaczne nabrzmienie zarówno w dołku pod kolanem, jak w samem kolanie. Muszkuły wewnętrzne zwyrodniały, zgrubiały i straciły właściwą sobie elastyczność. Po sześcio-tygodniowej, nader energicznej kuracyi, w której główną rolę odgrywało przypalanie kolana rozpalonem żelazem

i smarowanie jodem, stan chorej jeszcze bardziej się pogorszył. Chwycono się więc energiczniejszych, jak dotąd środków, zapuszczając na półtora centymetra w głąb kolana czterdzieści igieł platynowych rozgrzanych do białości za pomocą elektrycznego prądu. Bolesna ta kuracya trwała aż do lutego, poczem nastąpiło niewielkie polepszenie, lecz o zupełnem wyzdrowieniu nie było mowy.

W lecie zawieziono chorą do kąpielowego miejsca Saint-Amand. Wróciła wprawdzie z mniejszemi cierpieniami, mogła nawet przejść kilka kroków o kuli, lecz noga zawsze jeszcze musiała być nieruchomą w przyrządzie i nie mogła stanąć na ziemi.

Wkrótce zorganizowała się pielgrzymka norodowa. Eliza zapisała się także na listę jej uczestników. Oddawna już myślą zwracała się do Lurd z nadzieją, że tam jedynie zostanie uzdrowioną, przestała już bowiem wierzyć we wszelkie ludzkie środki.

Wyruszyła więc w podróż ze swemi kulami, z nogą zawsze jeszcze zamkniętą w przyrządzie. Cierpienie jej było tak zwaną »chorobą Pott'a«, na tle gruźliczem.

W Poitiers, przy grocie świętej Radegundy, mogła stać przez chwil kilka na chorej nodze. Nie było to jednak zupełne spodziewane uzdrowienie, ale pierwszy promyk nadziei, jakby zapowiedź ostatecznego całkowitego uleczenia.

W Lurd weszła do sadzawki zawsze jeszcze ze swoim przyrządem, którego nie pozwolono jej zdejmować. Wyszedłszy z wody stanęła z łatwością na nodze i przyszła wprost do biura sprawdzań, prosząc o zdjęcie przyrządu. Dr. Boissarie wydobył biedną tę nogę z przyrządu zamkniętą oddawna jakby w twardem pudle. Nie była już ona sztywną, jak przedtem, nie nosiła na sobie żadnych śladów gruźlicznego nabrzmienia i swobodnie mogła się poruszać. Biodro powyżej kolana było wprawdzie o trzy centymetry któtszem od drugiego, ale wieczorem przedłużyło się już o dwa centymetry. Nie było to więc tylko polepszenie, ale zupełne uzdrowienie. Za powrotem Elizy wszyscy jej lekarze wyznali szczerze, iż podobny wynik obala wszystkie ich przewidywania i sprzeciwia się wszelkim prawom natury.

»Raz jeszcze widzieliśmy pannę Lesage — pisze Dr. Bossaire — podczas pielgrzymki narodowej w roku 1893. Nie była to już ta sama osoba. Poznaliśmy ją przedtem opartą na kulach, bladą i wychudłą, a teraz zwracała ona na siebie uwagę wesołością i swobodą. Na twarzy jej malowały się uczucia radości i wdzięczności, które napełniały duszę uzdrowionej. Słowem konstrat był zupełny.«

Ponieważ uzdrowienie to należy niezaprzeczenie do jednego z najważniejszych, jakie zaszły w Lurd, potrzeba więc przedstawić je we

właściwem świetle i przytoczyć świadectwo Dra de Saint-Germain, który chorą przedtem miał pod swą opieką.

Dr. Boissarie będąc w Paryżu, prosił pana Lesage, aby przyprowadził doń swą córkę. I rzeczywiście dnia 24 stycznia odwiedzili go oboje, uszczęśliwieni tem, że mogą złożyć jeszcze jeden dowód wdzięczności względem Najświętszej Panny z Lurd.

Po krótkiej rozmowie zaproponował Dr. Boissarie pannie Lesage wizytę u Dra de Saint-Germain, który chorą przedtem leczył i o drugiej godzinie po południu byli już w gabinecie znakomitego chirurga. Posłuchajmy jak Dr. Boissarie opowiada przebieg swojej rozmowy z Drem de Saint-Germain:

— Kochany kolego, rzekłem, chcę ci dać poznać fakt, jedyny może w twojej praktyce lekarskiej.

— O cóż chodzi? zapytał Dr. de Saint-Germain z uśmiechem.

— Czy przypominasz pan sobie pannę Lesage, która miała nabrzmiałość tuberkuliczną na kolanie i którą odwiedzałeś w Amiens?

— Pamiętam ją wybornie.

— Otóż ta osoba, której chorobę wszyscy lekarze uznali za nieuleczalną, została uzdrowioną w przeciągu kilku minut.

»Doktor de Saint-Germain bada kolano, dotyka go z rozmaitych stron, a wreszcie zgina je, mówiąc:

— Ależ to świetne! Niema najmniejszego śladu zesztywnienia lub nabrzmienia i wszystkie muszkuły są zdrowe. Jakże się to stało?

— Uzdrowienie nastąpiło w sadzawce w Lurd. Miałem zapewne słuszność mówiąc, że nie widziałeś pan jeszcze takiego przykładu.

— Widziałem inny, w takich samych warunkach, odparł znakomity lekarz. Leczyłem przez czas dłuższy jedną młodą dziewczynę chorą na skrzywienie kości. Wszystkie nasze środki okazały się daremnymi. Chora została uzdrowioną w Lurd natychmiastowo i radykalnie. To mówiąc, Dr. de Saint-Germain wymienił mi nazwisko swej chorej, której uzdrowienie nie zostało wcale ogłoszonem.

— Widziałem tę młodą dziewczynę, odparłem, lecz sądziłem, że było to skrzywienie nerwowe.

— Ależ nie, było to skrzywienie rzeczywiste, połączone ze znacznem uszkodzeniem kości.

»Nieraz nam już zarzucano, że bierzemy choroby nerwowe za organiczne, a my tymczasem tak ważne uzdrowienia, jak powyższe, pomijamy milczeniem, jeżeli dostatecznych nie posiadamy dowodów.

— A zatem, zakończyłem naszą rozmowę, mogę kochany Kolego polegać na pańskiem świadectwie co do uzdrowienia p. Elizy Lesage?

— Z pewnością, nie mam nic przeciwko temu. Uzdrowienie to nie da się wytłumaczyć i leży poza obrębem naszej wiedzy.

»Co do mnie, to jestem tego zdania, że uzdrowienie Elizy Lesage, ma takie samo znaczenie, jak i uzdrowienie Amelii Chagnon, o której wyżej była mowa.«

ROZDZIAŁ V.

Uleczenia raka (skira).

PANI DROSSIN. — PANNA MOREAU. — KATARZYNA LAPEYRE. — KONSTANCYA PIQUET.

W »Rocznikach« czytamy o uzdrowieniu wielu osób ze skira (raka), — z choroby bardzo ciężkiej i wedle dotychczasowej wiedzy lekarskiej nieuleczalnej, która nieraz pomimo chirurgicznej operacyi ponownie powraca. Dr. Boissarie naliczył 10 podobnych uzdrowień. Wspomnę tu krótko tylko o kilku:

1. I tak np. pani Drossin 44-to letnia, miała od 6-ciu lat raka w piersiach i pod pachą. Po dwóch kąpielach w cudownej sadzawce nie pozostało z tej choroby ani śladu! Lekarz jej, Dr. Teuven, tak się o tem wyraża: »Gdybym zobaczył, że komuś noga odrosła, nie byłbym bardziej zdumiony!«

2. Panna Moreau, zakonnica, miała również raka na prawej piersi. Dr. Martel z Béziers opisuje w »Rocznikach« dokładnie jej chorobę ze wszystkimi szczegółami i pisze, że wprawdzie radził jej operacyę, lecz z powodu wielkiego wycieńczenia sił chorej, operacyę tę odłożył. Panna Moreau zaczęła nowennę do Najświętszej Panny z Lurd, położyła na chorą swą pierś okład z wody z cudownego źródła, zasnęła... i w półtrzecia godziny potem kładzie rękę na piersiach... nabrzmiałość znikła zupełnie, rany ani śladu, a na miejscu rany, wydającej przedtem wstrętną woń, pozostała tylko mała, regularna blizna! Dr. Martel na końcu swego świadectwa pisze:

»Uwzględniając natychmiastowe to uzdrowienie z takiej choroby, można bez obawy zaliczyć je do liczby tych, które w sposób najbardziej widoczny noszą na sobie charakter nadprzyrodzony«!

3. Podczas narodowej francuskiej pielgrzymki z r. 1897 zgłosiła się do biura sprawdzań pewna uboga kobieta Katarzyna Lapeyre, i opowiedziała wszystkie szczegóły cudownego swego uzdrowienia:

»Przed kilku laty — rzekła — zostałam uzdrowioną z raka w języku. Rak ten odnowił się po pierwszej operacyi, ale w kilka miesięcy później zostałam uzdrowioną i to nie w Lurd, ale w moim pokoju.

Nie pozwolono mi się przyłączyć do pielgrzymki narodowej; przy końcu nowenny, którą poczęłam odprawiać, po kilkakrotnem obmyciu wodą z groty choroba moja znikła bez śladu«.

Wypadek ten nie został z początku ogłoszony. Opiszemy więc go wraz z wynikami śledztwa, które Dr. Boissarie odbył na miejscu w Tuluzie, przy ulicy Świętej Anny Nr. 2, w tymże samym pokoju, w którym owa kobieta uzdrowioną została i w obecności głównych świadków tego uzdrowienia.

»Wszedłszy do biura sprawdzeń Katarzyna Lapeyre pokazała nam fotografię, zrobioną w szpitalu przed operacyą i przedstawiającą dokładnie jej chorobę. »Był to rak złośliwy, poszarpany jakby na strzępy, który się utworzył na języku. Uzdrowienie nastąpiło w roku 1886, od tego czasu znikła już wszelka obawa recydywy i było to uzdrowienie zupełne, ostateczne.

»Jakeśmy wyżej powiedzieli, biedna ta kobieta nie w Lurd została uzdrowioną. Przybyła tam wprawdzie w roku 1887 z nabrzmiałością na języku, lecz nadaremnie obmywała go sobie cudowną wodą i zanurzała w sadzawce; nie odniosło to żadnego skutku.

»W styczniu 1889 roku X. proboszcz parafii świętego Stefana umieścił ją w tuluzkim szpitalu. Po zastosowaniu rozmaitych środków leczniczych bez żadnego polepszenia, chirurg tamtejszy zdecydował się wyciąć tę nabrzmiałość. Już Dr. Boutet, w świadectwie wydanem dnia 13 czerwca 1887 roku, oświadczył, że bez operacyi o uzdrowieniu nie może być mowy. Wycięto więc nabrzmiałość, po upływie jednak trzech miesięcy niespełna rak pokrył znowu całą jedną stronę języka. Katarzyna mówiła bardzo niewyraźnie, nie jadła nic zgoła, a napoje przyjmowała za pomocą rurki. Skutkiem tego chora doszła do stanu okropnego wycieńczenia. Pomimo tak niepomyślnych warunków profesor chciał powtórzyć operacyę, ale Katarzyna stanowczo oparła się temu.

»W lipcu na liście pielgrzymów do Lurd zaczęli się zapisywać rozmaici chorzy. Biedna kobieta chciała także się do nich przyłączyć, ale niestety, lista była już zapełnioną. Ponieważ zresztą w roku 1887 odbyła już pielgrzymkę i nic nie wyjednała, rozmyślała więc sobie: pocóż mam zabierać miejsce innej, szczęśliwszej może chorej?

»Uspokój się — mówiły panie de Roquemaurel, de Bourdès i Lacroix. które ją pielęgnowały — odpraw tylko nowennę z innymi pielgrzymami, a my będziemy także modliły sią za ciebie. Najświętsza Panna i tutaj może cię uzdrowić«. Rzeczywiście biedaczka wyrzekła się pielgrzymki i rozpoczęła nowennę, obmywając codziennie usta wodą z Groty.

»W ostatni dzień nowenny spostrzegła nagłe polepszenie, nabrzmiałość bowiem zmniejszyła się, a wkrótce potem znikła. Katarzyna mogła

już jeść i mówić, jak dawniej. W przeciągu kilku godzin, choroba uznana przedtem za nieuleczalną i śmiertelną, i odnawiająca się zwykle po operacyach, ustąpiła zupełnie, pozostawiając tylko niewielką bliznę, jako jedyny ślad po sobie. Uzdrowienie nastąpiło wbrew wszelkim przewidywaniom, wówczas właśnie, gdy dla chorej już się tylko śmierci spodziewano. Nigdy zaiste medycyna takich nie daje nam wyników. O udawaniu lub wprowadzeniu w błąd mowy w tym wypadku być nie mogło, gdyż podczas śledztwa około stu świadków autentyczność jego stwierdziło.

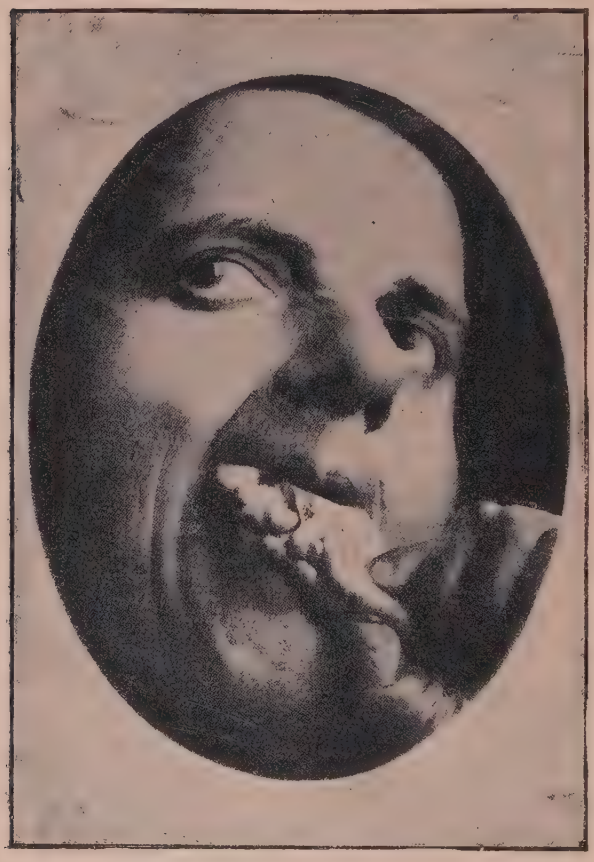

Katarzyna Lapayre (przed uzdrowieniem).

»W dzielnicy rodzinnego swego miasta Tuluzy Katarzyna Lapeyre wszystkim dobrze była znaną. Pięćdziesiąt lat spędziła ona w jednym i tym samym domu, a nawet w jednym i tym samym pokoju, w którym się urodziła. Życie jej całe upływało przed oczyma sąsiadów, którzy wiedzieli o zdaniu lekarzy i o wyniku operacyi, śledzili z przerażeniem postęp choroby, a wreszcie cieszyli się z jej uzdrowienia. Tak liczni więc świadkowie ani się mylić, ani oszukiwać nie mogli.

»Katarzyna należy do Kongregacyi Dzieci Maryi w parafii świętego Stefana. Panie z Towarzystwa Dobroczynności często ją odwiedzają, a jedna z nich, panna Lacroix pisze: »Biedna ta kobieta pracuje przez cały tydzień, aby zarobić trzy franki, i z tej kwoty odkłada jeszcze każdej niedzieli dwadzieścia pięć centymów, aby uzbierać trochę pieniędzy na dziękczynną pielgrzymkę do Lurd«.

»W prostem i cichem jej życiu kulminacyjnym punktem są dwa wspomnienia: Cała jej dusza przejęta jest wyłącznie uczuciem miłości i wdzięczności ku Najświętszej Pannie za tak wielki cud, spełniony nie w Lurd, gdzie całe tłumy pobożnych szturmują do nieba, ale na ubogiem poddaszu, nad biedną chorą, opuszczoną już przez lekarzy. Istnienia jej choroby nikt zaprzeczyć nie może, bo świadczy o niem blizna, pozostała na języku, a uzdrowienie to wytłumaczyć się nie da za pomocą żadnego naukowego przypuszczenia. W warunkach, w jakich się ono dokonało, niepodobna nawet mówić o «suggestyi nerwowej« i sama Opatrzność zdaje się tu obalać wątłe zapory, stawiane przez wiedzę na nienależącym do niej gruncie«.

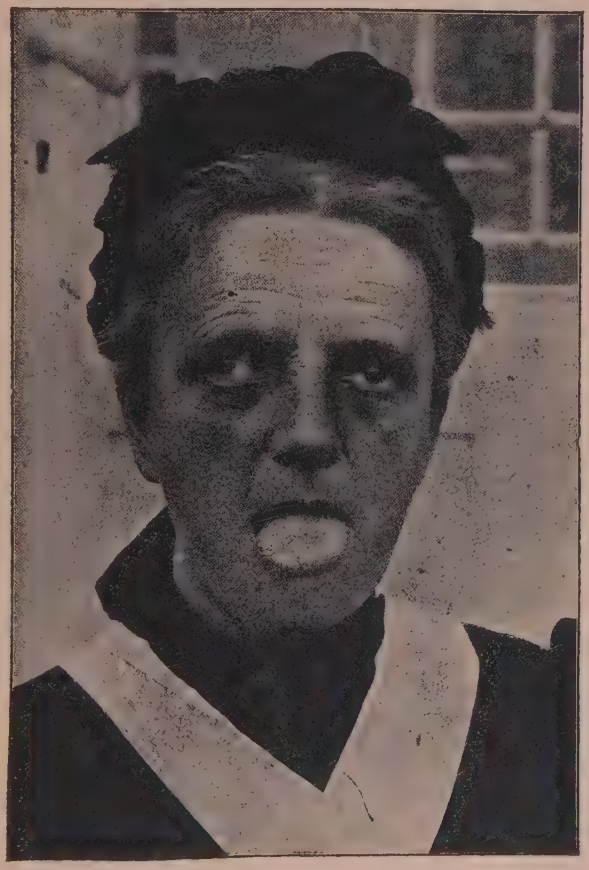

Katarzyna Lapayre (po uzdrowieniu).

4. »Dnia 24 sierpnia 1894 r. panna Konstancya Piquet z Soulaires (departament Eure-et-Loir) prosiła nas — pisze Dr. Boissarie — abyśmy sprawdzili jej uzdrowienie ze skira. Jednocześnie wręczył nam świadectwo Dr. Martin, w którem oświadczał, że chora dotknięta jest skirem i że nie uznał za właściwe dokonać operacyi, ponieważ choroba ta jest nieuleczalną i wywołuje zwykle recydywę.

»Najściślejsze badanie, dokonane przez kilkunastu lekarzy, którzy mię otaczali, nie wykryło najmniejszego śladu choroby, uleczonej nagle w sadzawce. Można było tylko namacać ręką pod skórą kilka niewielkich gruczołków, ale i te nawet wieczorem tegoż samego dnia znikły.

»Nazajutrz rano dzienniki ogłosiły świadectwo Dra Martin, zeznania uzdrowionej i wyniki naszego badania. Wywołało to tak wielkie wrażenie, że nietylko z Francyi, ale nawet z Portugalii i innych krajów zaczęto zasypywać Dra Martin'a listami, pytając go, co sądzi o tem uzdrowieniu. Dr. Martin nie należy bynajmniej do tych, którzyby wierzyli w cuda w Lurd zdziałane, pomimo tego jednak oświadczał bez żadnych zastrzeżeń, że pacyentka jego w cudowny sposób tam właśnie zupełnie uleczoną została. Wkrótce atoli znużony tą korespondencyą, przestał na listy odpowiadać. Wówczas wielu ciekawych osobiście się do niego zgłosiło.

Konstancya Piquet.

»Przytaczamy tu list jednego chirurga wojskowego, zawierający sprawozdanie z jego rozmowy z Drem Martin, z badania chorej i z nader ważnych zeznań, których sami nie mogliśmy zebrać. Chirurg ów pisał do nas dnia 7 listopada 1893 r. co następuje:

»Rozmawiałem z Konstancyą Piquet w obecności ks. proboszcza z Soulaires, a następnie z Drem Martin z Lèves, który uznaje bez wahania cudowny charakter tego uzdrowienia.

»Konstancya Piquet ma czterdzieści dwa lata. W roku 1891 uczuła ona dotkliwy ból z lewej strony piersi i wkrótce ukazała się tam nabrzmiałość wielkości włoskiego orzecha. W marcu 1892 r. chora zasięgnęła rady lekarza, ale przepisana jej kuracya żadnego nie odniosła skutku.

»W lipcu Konstancya udała się znowu do lekarza z powodu pojawienia się jakby twardych sznurków, ciągnących się pod skórą od owej nabrzmiałości aż do gruczoła, który się utworzył pod pachą. Cierpienia się zwiększyły, chora schudła i wybladła do niepoznania, straciła zupełnie apetyt i doszła do takiego stopnia wycieńczenia, że się stała niezdolną do pracy.

»W marcu 1893 r. Dr. Martin widząc stopniowe pogorszenie się jej stanu nadmienił o operacyi, ale sam nie śmiał jej wykonać, obawiając się recydywy. Oprócz lekarzy widziały tę nabrzmiałość i dotykały

jej i inne także osoby, a mianowicie panie Petit i Guyon, tudzież panna Augustyna Masson, wszystkie trzy z Soulaires. Ta ostatnia widziała chorą kilkakrotnie, po raz ostatni przed samym jej wyjazdem do Lurd, podobnie jak pani Bigot i Siostra Augustyna od Krzyża z Chartres«.

»Panna Piquet przybyła do Lurd dnia 22 sierpnia 1893 r. z pielgrzymką narodową. W tym samym dniu i nazajutrz udała się do cudownego źródła, lecz w stanie jej zdrowia żadna nie zaszła zmiana. Trzeciego dnia wpuszczono ją do sadzawki o dziesiątej godzinie rano. Podczas kąpieli nabrzmiałość znikła bez najmniejszego bolu lub wewnętrznego wstrząśnienia. Spostrzegła to naprzód sama Katarzyna, a potem jedna pani, która przed kąpielą widziała tę nabrzmiałość, a teraz przekonała się o jej zniknięciu. Tegoż samego dnia panna Piquet przyszła do biura sprawdzań, gdzie stwierdzono jej uzdrowienie.

»Wreszcie za powrotem do Soulaires badaną była trzykrotnie przez dawnego swego lekarza Dra Martin'a, który nie znalazł już żadnego śladu skira, czyli raka w piersiach.«

ROZDZIAŁ VI.

Choroby żołądka.

1. MARYA JARLAND. – 2. SIOSTRA MARYA STEFANIA. – 3. SARA ARTER.

Badaniu lekarskiemu w Lurd poddawane bywają choroby żołądkowe wszelkiego rodzaju, począwszy od zaburzeń w funkcyach tego organu, a skończywszy na ciężkich wrzodach wewnętrznych i raku żołądka. Częstokroć chorzy wyglądają jak trupy chodzące; uzdrowienie w takich wypadkach równa się poprostu zupełnemu jakoby zmartwychwstaniu chorego! Przykłady, które tu przytaczamy, mogą dać pewne wyobrażenie o tem, jakiego znaczenia i doniosłości jest wyzdrowienie w takich warunkach, należycie zbadane i stwierdzone.

1. W r. 1873 Marya Jarland skończyła rok 31. Była to kobieta silna, wychowana na wsi od dzieciństwa, zatrudniona robotami w polu. Nigdy nie chorowała; owszem wyjątkowo nawet dobrem cieszyła się zdrowiem. Później była służącą w domu pana de Lavelle, prezydenta trybunału w Sarlat i do śmierci swego pana, to jest przez lat 17 czy 18, pozostawała w tem samem miejscu.

W marcu 1873 r. Marya Jarland przez pomyłkę wypiła szklankę kwasu siarczanego, zmieszanego z rosołem. Natychmiast uczuła w ustach wielką gorycz i palące pieczenie w żołądku, wymiotów jednak nie miała. Nazajutrz czuła ogólne zmęczenie i łamanie we wszystkich członkach.

Po upływie miesiąca nastąpiły częste wymioty; dwa lub trzy razy dziennie żołądek oddawał wszelkie przyjęte pokarmy. W miejscach głębiej uszkodzonych odbywał się proces zniszczenia, naczynia krwionośne były naruszone, a następstwem tego były obfite krwiotoki. W ciągu pierwszych trzech lat choroby, Marya Jarland miała dwadzieścia dziewięć krwiotoków i wtedy wyrzucała całe miednice krwi czarnej i skrzepłej. Po trzech latach krwiotoki te wprawdzie ustały, zdawało się więc, że rozpocznie się gojenie i polepszenie. Ale ogólny stan zdrowia doznał zbyt głębokiego wstrząśnienia, aby to w rzeczywistości mogło nastąpić. Żołądek nie mógł należycie spełniać swych czynności, trawienie stało się nadzwyczaj trudnem; wymioty trwały w dalszym ciągu i chora mogła zaledwie spożywać trochę mleka i to w małych tylko ilościach.

Marya Jarland.

Aż do pielgrzymki swojej do Lurd w r. 1887, to jest przez lat czternaście, Marya Jarland pozostawała w tak opłakanym stanie zdrowia. Leczyło ją trzech lekarzy; nie ulega wątpliwości, że wskutek poparzenia kwasem siarczanym miała ona wrzody w żołądku, a powstałe ztąd opuchnięcie tegoż było widocznem, dotykalnem i niesłychanie bolesnem tak dalece, że nawet ubrania na sobie ani zapiąć, ani zawiązać nie była w stanie. Ostatnie cztery czy pięć miesięcy przed podróżą do Lurd, były najgorsze; obrzmienie żołądka stało się jeszcze boleśniejszem, całe pożywienie Maryi stanowiło zale-

dwie pół litra mleka dziennie. W sam dzień wyjazdu nic już przyjąć nie mogła, podróż odbyła prawie na czczo, to też osłabioną była tak dalece, że co chwila mdlała.

Dnia 26 września o godzinie 7 rano przybyła do Lurd. Po wysłuchaniu Mszy świętej w Grocie poszła do kąpieli w sadzawce, ale bez żadnego skutku. Wieczorem wzięła kąpiel drugą, a rano dnia 27 po raz trzeci, polepszenia jednak żadnego nie odczuła.

Ostatnią kąpiel wzięła wieczorem dnia 27 września o godzinie 5-tej popołudniu. Gdy się zanurzyła w wodzie, uczuła gwałtowne wstrząśnienie w żołądku, a wychodząc, już nie miała ani śladu obrzmienia! Ubiera się i może zapiąć suknie na sobie bez trudności, bez cierpienia. Tego samego dnia o 8 wieczorem zaledwo wsiadła do pociągu kolejowego, którym miała wrócić do domu, uczuła głód i niepohamowany apetyt, którego już od długiego szeregu lat nigdy nie miewała. Spożyła więc natychmiast skrzydło kurczęcia; w ciągu nocy wypiła cały litr mleka, a rano o 5-tej na dworcu w Bordeaux kazała sobie podać na śniadanie filiżankę czekolady. Żołądek jej chory od lat czternastu, spuchnięty, ranami i nabrzmiałościami pokryty, będący ustawicznie w stanie zapalnym, w jednej chwili odzyskał zupełne zdrowie i jędrność swoich tkanek! Uzdrowienie to, jak było natychmiastowem, tak pozostało też i trwałem w skutkach.

»Marya Jarland pozostaje obecnie w służbie u mnie — pisze Dr. Boissarie — tak, że mam sposobność codziennie ją obserwować. Jest to osoba, której całe życie upłynęło w zgodzie i harmonii z głosem rozsądku i sumienia; dwadzieścia lat z rzędu pozostawała w obowiązku u jednych i tych samych chlebodawców. Ani śladu nerwowości, histeryi, przywidzeń; jest to świadek żywy i ze wszech miar wiarogodny (oprócz bardzo wielu innych, obecnych podczas choroby i uzdrowienia). Pobożność jej była i jest zawsze prostą i szczerą; odznacza się szczególnem nabożeństwem do Matki Boskiej z Lurd i zanim danem jej było osobiście odwiedzić świętą Grotę, często bardzo myślą i sercem odbywała tę pielgrzymkę«.

2. Dnia 18 sierpnia 1896 pielgrzymka narodowa wyruszyła z Paryża do Lurd i rano odjechał naprzód pociąg przeznaczony dla niebezpiecznie chorych. Pomiędzy niemi ogólną na siebie uwagę zwracała zakonnica, w czarnym habicie i welonie, z białym kornetem i bladoniebieską wstęgą na piersiach. Leżała ona nieruchomo na noszach, z zamkniętemi oczyma, bardziej podobna do trupa, niż do żyjącej istoty. Świadectwo, wydane tej chorej przez stałego jej lekarza, Dra Malhéné, głosiło co następuje:

»Siostra Marya Stefania ma wrzód w żołądku, połączony z częstymi krwawymi wymiotami i nie może znieść żadnego pokarmu, tak że obaj z drem Labadie-Lagrave uważamy ją za nieuleczalną«.

Przed opisem pielgrzymki tej zakonnicy rzućmy okiem na jej przeszłość aż do owego dnia 18 sierpnia, który stał się epoką w jej życiu.

Siostra Marya Stefania urodziła się w Marsylii i straciwszy wcześnie rodziców, pozostawała aż do osiemnastego roku życia pod opieką zakonnic. W dniu pierwszej Komunii świętej uczuła w sobie zakonne powołanie i odtąd wszystkie jej pragnienia w tym jedynie kierunku się zwracały. Długo jednak musiała walczyć z oporem rodziny, aż wreszcie, zwyciężywszy wszelkie przeszkody, wstąpiła dnia 23 maja 1889 roku do Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek w Auteuil. Dotąd była zawsze

Siostra Marya Stefania
(w chwilę po uzdrowieniu).

Siostra Marya Stefania
(w miesiąc później).

silną i zdrową, lecz teraz nagle zdrowie jej stopniowo coraz więcej poczęło pozostawiać do życzenia. Podczas epidemicznej influenzy w roku 1891 Siostra Stefania została wezwaną do hrabiny d'Eu, która widząc jej wycieńczenie, po raz pierwszy wysłała ją do Lurd. Stan jej wszakże tym razem wcale się nie polepszył; cierpienia żołądkowe stawały się coraz gwałtowniejszemi i częstszemi; pomimo tego gorliwie zakonnica wypełniała, o ile tylko mogła, wszystkie swoje obowiązki.

Przy końcu listopada 1895 roku skutkiem nadmiaru pracy, biedna Siostra uczuła się znacznie gorzej i musiała położyć się do łóżka, aby — jak powszechnie mniemano — już więcej z niego nie powstać. Coraz mniej też mogła przyjmować pożywienia, które składało się wyłącznie z mleka.

Dowiedziawszy się o tem, hrabina d'Eu przysłała do niej własnego lekarza, Dra Labadie-Lagrave, który z powodu coraz bardziej pogarszającego się stanu chorej zwołał konsylium lekarskie. Wynikiem jego była jednogłośna decyzya, że dla Siostry Maryi Stefanii niema już żadnego środka ocalenia.

Wówczas to myśl jej ponownie zwróciła się do Lurd. Jednocześnie całe Zgromadzenie rozpoczęło nowennę za dusze w czyścu cierpiące, ażeby poznać wolę Bożą. Przy końcu nowenny przełożona, wszedłszy raz do infirmeryi, zaczęła mówić o pielgrzymce. Oprócz Siostry Maryi Stefanii była tam jeszcze druga zakonnica, chora na suchoty. Bojąc się trudów podróży, ta ostatnia nie zdecydowała się na odbycie pielgrzymki, czego później bardzo żałowała. Natomiast Siostra Marya Stefania przyjęła z zapałem tę propozycyę. Lekarz, zapytany o zdanie w tym względzie odpowiedział: »Niema dla niej i tak nadziei, śmierć jest już tylko kwestyą czasu, nie odmawiajcie więc biednej chorej tej ostatniej pociechy«.

Nadeszła wreszcie chwila odjazdu. Ogrodnik Sióstr, odznaczajacy się niezwykłą siłą, zaniósł nieszczęśliwą do powozu, a woźnica ujrzawszy ją zawołał: »Jeżeli ta zakonnica nie umrze w drodze to będzie cud prawdziwy«. Rzeczywiście stan jej był taki, że Matka Przełożona rzekła do towarzyszącej jej Siostry Teresy: »Jeżeliby Siostra Stefania umarła przed przybyciem na dworzec orleański, to przywieź mi jej zwłoki, a druga chora Siostra niech odprawi pielgrzymkę«.

Łatwo można się domyśleć, czem była podróż w takich warunkach. W Poitiers przewieziono chorą do szpitala, gdzie stan jej tak wielkie obudził obawy, że bano się wieźć ją dalej. Wreszcie biedna zakonnica przybyła do Lurd i zaniesiono ją naprzód do Groty, a ztamtąd do cudownego zródła, gdzie na usilne jej nalegania zdecydowano się ją wykąpać.

Gdy ją wydobyto z wody, była zsiniałą, zziębniętą tak, że robiła wrażenie trupa. Zaniesiono więc ją co rychlej do szpitala, ogrzano za pomocą flaszek z wodą gorącą i podano jej łyżeczkę mleka, którego jednak przyjąć nie mogła.

Tegoż samego dnia, to jest w piątek o trzeciej godzinie po południu, przybyła znowu do sadzawki. Z początku nie chciano jej kąpać, potem wszakże polecono jej odmówić akt skruchy i na prześcieradle spuszczono ją znów do wody. Tam uczuła nagły, przeszywający ból, połączony z dreszczem na całem ciele, zbladła, zmieniła się do niepoznania, a nawet na chwilę przestała oddychać tak, że mniemano, iż kona. Potem z ust jej wydarł się okrzyk: »Puśćcie mię, puśćcie, jestem uzdrowioną!« Następnie bez niczyjej pomocy wyszła sama

z sadzawki, ubrała się sama, zażądała posiłku i zaspokoiwszy nieco głód, pospieszyła piechotą do Groty. Tam uklękła i przez godzinę całą klęczała na modlitwie. Tegoż samego dnia rano nie mogła przemówić ani słowa i tylko rzewnem spojrzeniem powitała statuę Najświętszej Panny, a teraz jak gorące dzięki, jak płomienne akty miłości i wdzięczności wydzierały się z jej serca ku niebu!

Z Groty Siostra podążyła do biura sprawdzań, gdzie stwierdzono jej zupełne uzdrowienie, o czem zapewniły towarzyszące jej przy sadzawce przed godziną zakonnice.

Uzdrowienie to wywołało wśród pielgrzymów nader silne wrażenie. Pewien niedowiarek, który wraz z Siostrą Maryą Stefanią znajdował się w Grocie, zawołał: »To uzdrowienie rozproszyło wszelkie moje wątpliwości«. Inny ateusz odwiedził ją nawet w szpitalu i słuchając jej opowiadania, zalewał się łzami. Lekarze również uczestniczyli w tem ogólnem zdumieniu i zapale, a Dr. Malhéné skreślił następujące świadectwo:

Siostra Hubertyna Zgromadz. Zbawiciela, uzdrowiona z wrzodu w żołądku 8 września 1893 r.

»Ja niżej podpisany, b. lekarz w szpitalach paryskich, oświadczam niniejszem, że widziałem Siostrę Maryę Stefanię ze Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek (ul. La Fontaine Nr. 78), która wróciła z Lurd i stwierdzam cudowną zmianę w jej stanie. Zamiast bowiem chorej tak blizkiej już śmierci, że się obawiano, aby nie umarła w drodze, znalazłem osobę zupełnie zdrową, wolną od wszelkich cierpień, jakich poprzednio doświadczała. Je chleb, jaja, mięso, chociaż od roku nie mogła znosić żadnego pożywienia, prócz mleka, a nawet pije wodę z winem czerwonem, chociaż poprzednio najmniejsza nawet ilość tego napoju wywoływała nudności lub wymioty. Na dowód tego wydałem jej niniejsze świadectwo, zupełnie zgodne z prawdą«.

Paryż dnia 26 sierpnia 1896 roku. *Dr. Malhéné*
ulica d'Auteuil.

Tenże sam doktor Malhéné zapewniał innych lekarzy, że w chwili wyjazdu Siostry Stefanii do Lurd nie pozostawało już dla niej najmniejszej nadziei ocalenia. Wprawdzie przewidywania ludzkie bywają niekiedy zwodniczemi i chory, skazany na śmierć może niekiedy jeszcze

wyzdrowieć, lecz uzdrowienie to w takim razie musiałoby być powolnem i stopniowem, jako wynik odpowiedniego systemu leczenia, a nigdy nie mogłoby nastąpić w jednej chwili, bez żadnego przejścia po użyciu tylko zimnej kąpieli!

Siostra Stefania należy do Zgromadzenia Niepokalenek w Auteuil założonego w roku 1858 to jest w tymże samym czasie, kiedy Najśw. Marya Panna objawiła się w Lurd. Zakonnice te przyjęły pas niebieski, wówczas jeszcze, gdy nie wiele o objawieniach w Lurd wiedziano, tak, że dziwny ów zbieg okoliczności pod względem ich nazwy i ubioru był jakby widocznem zrządzeniem Opatrzności Boskiej.

3. Uzdrowienie *Sary Arter* nietylko we Francyi, ale także i w Anglii wielki zyskało rozgłos. Opis jego umieszczamy podług odnośnego artykułu, podanego przez angielskie czasopismo *Tablet*.

»Trzydziestopięcioletnia Sara Arter cierpiała już od lat osiemnastu na chorobę żołądka. Od lat pięciu leżała nawet w łóżku, prawie wcale z niego nie wstając. Co do natury choroby, to zdania lekarzy pod tym względem były podzielone; jedni bowiem utrzymywali, że to był rak, a drudzy, że we wnętrznościach chorej utworzyły się wrzody.

»Leczono chorą w rozmaitych szpitalach, a zwłaszcza w szpitalu Świętego Jerzego i w szpitalu dla chorych, dotkniętych rakiem. Tam właśnie uznano ją za chorą na raka, gdyż symptomata choroby zdawały się to potwierdzać.

»Zwykle dokuczały jej okropne boleści i w przeciągu lat całych nieszczęśliwa nie mogła przyjmować żadnego pokarmu, ponieważ natychmiast dostawała wymiotów. Od czasu do czasu wyrzucała też czarną, spieczoną krew o niemiłej woni.

»Lekarze szpitalni oświadczyli, że nie mogą nic już dla niej uczynić, gdyż na próżno najrozmaitszych próbowali środków. Przed trzema laty Dr. Foulerton wprowadził jej przez gardło rurkę do żołądka, by go oczyścić, poczem w przeciągu trzech tygodni kazał odżywiać chorą wyłącznie tylko sztucznym sposobem, przez zastrzykiwania. Chora dowiedziawszy się wreszcie od lekarzy, że niema dla niej ratunku, zwróciła się do tego, który jedynie mógł przywrócić jej zdrowie i postanowiła odbyć pielgrzymkę do Lurd. Gdy wyjeżdżała z Londynu, musiano ją nieść na krześle do pociągu, a potem z wagonu na statek. Towarzyszyła jej zakonnica Siostra Julianna. Chora była tak okropnie osłabioną i wycieńczoną, że wszyscy wątpili o tem, czy zdoła dotrzeć do celu swej pielgrzymki. Tegoż samego dnia przybyły obie do Paryża. Sara czuła się tak źle, że przez cały dzień następny przeleżała w łóżku i pozostała w niem aż do chwili, gdy pociąg przeznaczony wyłącznie dla ciężko chorych, miał do Lurd wyruszyć. Pociąg ten zatrzymał się w połowie drogi

w Poitiers i pozostał tam przez całą niedzielę, aż do poniedziałku rano, aby pielgrzymi mogli trochę odpocząć i nabrać nowych sił do dalszej wędrówki.

»W chwili przybycia do Poitiers Sara w tak okropnym znajdowała się stanie, że musiano przenieść ją na noszach do klasztoru Sióstr Sercanek, gdzie znajoma jej pani Münster zamówiła dla niej i dla Siostry Julianny mieszkanie. W niedzielę rano przyjęła Komunię świętą, jako Wiatyk, bojąc się, aby w drodze do Lurd nie pożegnała się ze światem.

Sara Arter.

»Tymczasem cierpienia żołądkowe tak dalece się wzmagały, że chora przybyła do Lurd we wtorek o piątej godzinie rano prawie konająca. Tam zawieziono ją zaraz do Groty i do sądzawki. Skoro tylko znalazła się w wodzie, boleści żołądkowe natychmiast znikły i uczuła się zupełnie uleczoną. Matka Sary dowiedziawszy się o uzdrowieniu córki, omal nie zemdlała z radości. Ta, która na kilka godzin przedtem nie mogła przyjąć żadnego posiłku, zaraz prawie po swem uzdrowieniu uczuła głód niemal nienasycony i dla zaspokojenia go, zjadła w restauracyi dwie porcye kurczęcia wraz ze sporą ilością chleba i fasoli, poczem wypiła cztery filiżanki herbaty. Następnie Sara udała się do Groty, a ztamtąd do biura sprawdzań, aby się przedstawić lekarzom, którzy przeczytawszy przywiezione przez nią świadectwo jednego

z londyńskich lekarzy i zbadawszy ją dokładnie uznali za uzdrowioną. Świadectwo wręczone przez nią lekarzom, brzmiało jak następuje:

»Znałem i leczyłem Sarę Arter w przeciągu lat trzech, podczas których, podobnie, jak i w latach poprzedzających była ona ciągle przykutą do łóżka. Ma wrzody w żołądku, sprawiające jej okropne bole i niestety jest nieuleczalną«.

Aleksander Foulerton, 122, Brompton Road, Londyn.

»Po powrocie do domu Sara nie czuła się wcale zmęczoną tak długą stosunkowo podróżą; od tego też czasu wróciła do dawnego czynnego i ruchliwego życia i nietylko z dniem każdym nabierała sił, ale nawet i tuszy.

»Kończąc to opowiadanie, oświadczam, że skreśliłem w niem samą prawdę bez najmniejszej przesady. Niech sobie każdy myśli o tem uzdrowieniu co mu się podoba, dla mnie jest ono cudownem«.

ROZDZIAŁ VII.

Ślepi, głusi i niemi w Lurd.

1. HENRYK LASSERRE. — 2. FRANCISZEK VION-DURY. — 3. JERZY TILLARD. — 4. ALFRED AUBERT. — 5. EMILIA PÉNOT. — 6. SIOSTRA ŁAZARA. — 7. MARYA MÉHEUST.

Cudowna działalność wody z Lurd w chorobach ocznych stanowi jeden z najbardziej zajmujących rozdziałów »Kroniki Lurd.«

1. Pierwszym, który doznał zbawiennych skutków tej wody cudownej był Henryk Lasserre, literat i publicysta dobrze znany we Francyi, który będąc zagrożony nieuchronną ślepotą, użył za poradą i namową przyjaciela swego, jednego z ministrów francuskich i do tego protestanta, wody z Lurd i natychmiast, z szybkością, którą on sam do błyskawicy porównywa, w całej pełni został uzdrowionym. Uzdrowienie to utrzymywało się przez całe długie życie jego, przez lat kilkadziesiąt niezmiennie, pomimo ciągłej pracy umysłowej, pisania i czuwania po nocach, połączonego z jego literackim zawodem. Temu uzdrowieniu zawdzięczamy prześliczną książkę, którą p. Lassere napisał pod tytułem: *Notre Dame de Lourdes,* do której odsyłamy czytelników naszych, o ile takowej jeszcze nie znają.

2. Z pomiędzy innych licznych uzdrowień, przytoczymy tutaj uzdrowienie Franciszka Vion-Dury, który straciwszy wzrok podczas służby wojskowej, po siedmiu latach zupełnej ślepoty odzyskał takowy w dniu 2 sierpnia 1890 r. Oto są jego słowa:

»Około połowy listopada 1882 r. przeznaczony zostałem do patrolu nocnego po mieście, począwszy od godziny 6-tej wieczór. Padał deszcz ulewny tak, że wkrótce i ja i towarzysze moi przemokliśmy do nitki. W ciągu nocy powstał pożar w kawiarni obok ratusza; odkomenderowano więc nas do akcyi ratunkowej. Na piętrze znajdowały się cztery osoby, które należało wyrwać z płomieni; pobiegliśmy na ich ratunek i szczęśliwie ocaliliśmy wszystkich. Przy otwieraniu drzwi, płomień buchnął na mnie i objął mi całą twarz. Od tej chwili oczy moje tak zostały osłabione, że po upływie trzech miesięcy nie widziałem już nic wcale. Nadaremnie w szpitalu w Dijon próbowano różnych sposobów leczenia; ostatecznie 24 maja 1883 odesłano mnie do mojej rodziny, jako nieuleczalnego, z jednorazową zapomogą 180 franków.

Franciszek Vion-Dury.

»Wszyscy się nademną litowali; musiałem czynić długo rozmaite zabiegi, aby otrzymać stałą pensyę. Nareszcie dnia 11 lipca 1884 r. uzyskałem 600 franków pensyi wraz z ostatecznem zwolnieniem od służby wojskowej. Wkrótce potem namówiono mnie, abym się starał o większą pensyę; w tym celu otrzymyłem następujące świadectwo lekarskie:

»Ja niżej podpisany doktor medycyny, zamieszkały w mieście Lugdunie, oświadczam, że Franciszek Vion-Dury, żołnierz dymisyonowany ze wsi Lalleyriat, kantonu Nantua, departamentu Ain, jest dotknięty oderwaniem się siatkówek. Oko lewe nic nie rozróżnia dnia od nocy; okiem prawem pan Vion-Dury zaledwo jest w stanie policzyć palce u ręki badającego na odległość 30 centymetrów. Nie może więc żadnej zgoła wykonywać roboty i musi być uważany jako zupełnie ślepy, a kalectwo to jest całkowicie nieuleczalnem«.

Lugdun 16 września 1884. *Dr. Dor.*

Świadectwo to przytoczyliśmy w całej rozciągłości, jako jeden z licznych zresztą dowodów stanu pacyenta przed jego uzdrowieniem. W dalszym ciągu Vion-Dury tak opowiada swoje koleje:

»Następnie udałem się jeszcze do Lozanny w Szwajcaryi, aby tam zasięgnąć rady słynnego okulisty Dra M. Dufour. Jego samego nie zastałem, ale asystent jego Dr. Verret, zbadawszy mnie, oświadczył, że niema dla mnie żadnego zgoła ratunku. Wobec tego rozpocząłem starania, aby, jako nieuleczalnie ślepy, być przyjętym do przytułku w Confort (koło Bellegarde w departamencie Ain). Przybyłem tam 16 lipca 1890 r.

»W parę dni po mojem przybyciu Siostra Ludwika, jedna z zakonnic, które się opiekowały chorymi rzekła do mnie: »Mój biedny panie, jesteś jeszcze zbyt młodym (miałem wówczas lat 30), aby na zawsze ślepym pozostać. Jeżeli masz wiarę i bardzo kochasz Najświętszą Pannę, będziesz mógł otrzymać za Jej przyczyną tę łaskę, abyś choć tyle przejrzał, ile potrzeba do kierowania swoich kroków«.

»Codziennie tę samą radę powtarzały mi Siostra Ludwika, a szczególnie Siostra Marta; przy czem ta ostatnia dodawała jeszcze: »Słuchaj pan, każemy się modlić dzieciom, a modlitwa dzieci jest skuteczną. Dam panu wody z Lurd: przemyjesz nią sobie oczy trzy razy i jeżeli przytem będziesz miał szczerą ufność, to cię Matka Boska uzdrowi«. Na to odpowiadałem zawsze: »Nie jestem tego godny!«

»Rozpocząłem jednak nowennę, która miała się zakończyć w piątek d. 1 sierpnia. Tego dnia żadnego polepszenia w stanie oczu moich nie zauważyłem. Nazajutrz w sobotę rzekłem do Siostry: Mówiła mi Siostra o wodzie z Lurd; może mi więc Siostra zechce nieco jej użyczyć? Rzeczywiście po chwili weszła Siostra Marta, przynosząc mi flaszeczkę wody z Lurd i postawiła ją na stolę, mówiąc: »Franciszku, oto woda na twoim stole«.

— Ależ Siostro, rzekłem, jakżeż to trzeba tej wody z Lurd używać? czy może szmatkę płócienną nią zwilżyć i przyłożyć do oka?

— Nie, tylko palec zamaczać i po oczach przeciągnąć.

— A co przytem mówić trzeba?

— Trzeba mówić: Matko Boska z Lurd, albo — O Maryo, bez grzechu poczęta módl się za mną!

— Ach Siostro, przerwałem, gdybyś wiedziała... ja nie jestem godnym! Coś dziwnego we mnie się dzieje... sam nie wiem, co mi jest?... Proszę mnie zostawić samego!

»Położyłem się na łóżku, tak się czułem znużonym... Brałem flaszeczkę z wodą do ręki i znów ją stawiałem: ale ręka moja zatrzymywała ją na stole... Wahałem się... Jakaś nieokreślona walka toczyła się w mej duszy! Czyż to być może?... nikczemniku! — mówiłem sam do siebie — czyż djabeł zawsze będzie twoim panem? Nie!... I ruchem nerwowym złamałem korek, a pozostały kawałek, który w szyjce uwiązł, z trudnością zaledwie wydobyłem.

»Błogosławiony Chanel'u! — zawołałem — nie jestem godzien!.. uproś mi u Matki Boskiej, abym wzrok odzyskał!

»Potem trzy razy, maczając palec wskazujący prawej ręki w wodzie z Lurd, przeciągnąłem go trzykroć szybko po obydwu oczach. Po trzeciem przeciągnięciu uczułem ból gwałtowny, jakby mi kto wbił nóż

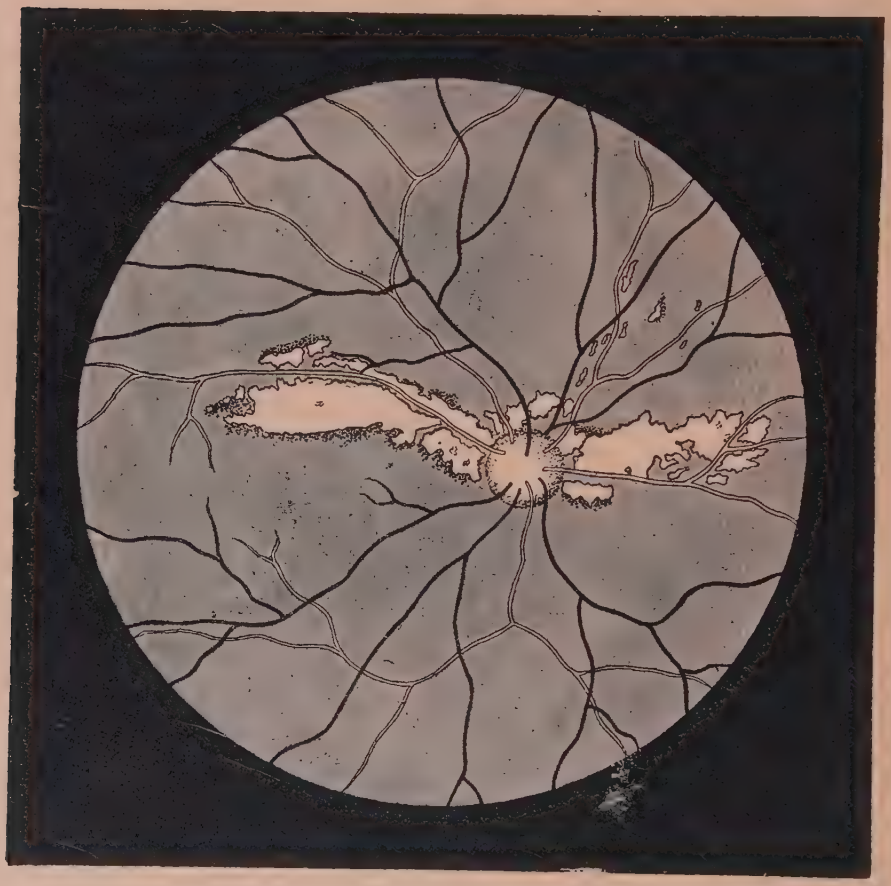

Siatkówka lewego oka Franciszka Vion-Dury.

w oczy. Siostra z pewnością się omyliła pomyślałem sobie; zamiast wody dała mi amoniaku. Aby się o tem przekonać, przyłożyłem flakonik do ust; zaledwo woda warg moich dotknęła, odzyskałem wzrok od razu, w jednej chwili, tak szybko, jak wystrzał karabinowy! Widziałem firanki, okna itd... — Szymonie, Szymonie, widzę!... zacząłem wołać. (Szymon był to mój najbliższy sąsiad w przytułku). — Idź i prędko

przywołaj Siostry. Inny towarzysz, który jeszcze nie był rozebranym, przybliżył się mówiąc:

— Jeżeli widzisz, — powiedz, jak jestem ubrany?

— Masz na sobie kaftan trykotowy, krawatkę i kapelusz.

— Ależ to prawda, on widzi! — zawołał — i szybko pobiegł dać znać Siostrom, które natychmiast przybyły.

»Tymczasem wstałem z mego posłania. Siostry wchodząc, zastały mnie opartego o łóżko, trzymającego w ręku flaszkę z wodą z Lurd i mówiącego: — Czy to możliwe, czy to do uwierzenia?... O mój Boże, mój Boże! Nareszcie! O Najświętsza Maryo Panno, moja dobra Matko, jakaś Ty dobra! Gdyby moja biedna matka, która mi zawsze to polecała, zobaczyła mnie teraz, o jakżeż byłaby szczęśliwą! Jakież to szczęście dla mnie, że się do tego domu dostałem! Potem ukląkłem na oba kolana, mówiąc: Módlcie się, módlcie się, moje Siostry! I razem odmówiliśmy modlitwę dziękczynną.

— Zasłońcie lampę, — rzekła Siostra Ludwika — światło mogłoby go razić.

— Nie, nie, zostawcie ją; nic mnie nie razi, nic mi nie szkodzi. Podano mi książkę, w której cały ustęp z łatwością przeczytałem. — Siostro Marto, oto są moje okulary [1]), już ich nie potrzebuję; zanieś je do kaplicy, idźmy tam wszyscy o wpół do szóstej podziękować Panu Bogu.

»W niedzielę o wpół do szóstej rano byłem już w kaplicy, aby wysłuchać Mszy świętej i przyjąć Komunię świętą. Poprosiłem o książkę do nabożeństwa, z której chciałem odmówić akty przygotowawcze. Gdy wstałem z ławki, aby się zbliżyć do Stołu Pańskiego, Brat, kierownik Szkół Chrześcijańskich w Confort, nie wiedząc jeszcze nic o tem, co zaszło, podał mi rękę i chciał mnie tam poprowadzić, ale dałem mu do zrozumienia, że tego już nie potrzebuję. Po skończonych aktach dziękczynnych ksiądz Proboszcz zarządził odśpiewanie hymnu *Magnificat.*

»Od tego czasu widzę zawsze tak dobrze, jak gdybym miał lat dwadzieścia. W sobotę dnią 16-go sierpnia towarzyszyłem księdzu proboszczowi do Bourg. Z dworca kolejowego w Châtillon-de-Michaille doskonale rozróżniałem krzyż, który stoi na górze Mentières i zwróciłem uwagę księdza proboszcza na kosiarzy, którzy kosili łąki powyżej Confort, to jest w odległości trzech do czterech kilometrów«.

Na zakończenie dodać musimy, że to uzdrowienie, o którego cudowności nikt nigdy nie wątpił, było omawiane na kongresie okulistycznym w Paryżu, zwołanym w dniach 1—4 maja 1903-go roku. Re-

---

[1]) Nosił czarne okulary, nie, żeby przez nie coś miał widzieć, był bowiem zupełnie ślepym, ale dla ochrony organów wzrokowych, które są bardzo wrażliwe.

ferentem był Dr. Dor, znakomity okulista z Lyonu, protestant. Dodać należy, że Dr. Dor z zadania swego wywiązał się z uznania godną bezstronnością i rzecz całą najzupełniej przedmiotowo zbadał i przedstawił.

3. »Podczas pielgrzymki narodowej z r. 1887 widzieliśmy w Lurd — pisze Dr. Boissarie — jedenastoletniego chłopca, Jerzego Tillarda z Paryża, prawie zupełnie niewidomego. Lewe oko nie rozróżniało już żadnego światła, a prawe mogło zaledwie odróżnić dzień od nocy. Musiano prowadzić biednego chłopca za rękę i podawać mu nawet jedzenie. W takim stanie znajdował się on już od lat paru.

»Matka, która go przyprowadziła do nas, opowiadała nam, że straciła pięcioro dzieci w niemowlęcym jeszcze wieku, a mąż jej znajduje się w domu obłąkanych. Pozostało więc jej jedno tylko dziecko i to — prawie niewidome!

»Obie rogówki straciły swą przezroczystość; powierzchnia ich była chropowatą, pozbawioną połysku tak, że wyglądały jak kuleczki marmurowe. Słowem szczególny rodzaj tej choroby z łatwością dawał się określić: była to tak zwana *keratitis interstitialis.*

»Po wyjściu z sadzawki dziecię to nagle odzyskało wzrok. Wszystkie obecne tam osoby stwierdziły ten fakt i liczny tłum odprowadził małego uzdrowionego aż do lekarskiego biura. Dziecię nietylko mogło iść samo, ale odróżniało najdrobniejsze nawet przedmioty, jak naprzykład ruch wskazówki oznaczającej sekundy w małym zegarku kieszonkowym. Badając oczy jego za pomocą lupy, spostrzegliśmy, że odzyskały one swą gładkość i połysk.

»Jeżeli choroba ta daje się niekiedy usunąć za pośrednictwem długiej kuracyi, trwającej przez całe miesiące, a nawet latą, to natomiast nigdy w przeciągu jednej chwili uleczoną być nie może!

»Widzieliśmy później tego samego chłopaka w przytulisku świętego Karola przy ulicy de Sèvres, gdzie czytał i pisał bez żadnej trudności, mając wzrok zupełnie już normalny!«.

4. Alfred Aubert urodził się w Châtillon (w departamencie Indre). Historya jego mogłaby nosić tytuł: »Nawrócenie i uzdrowienie«. Był on garbarzem w Moulins-Engilbert, ożenił się i miał już dziecko, gdy stał się ofiarą wypadku, który pozbawił go wzroku. Mianowicie bania napełniona kwasem saletrzanym, wymknęła mu się z rąk i stłukła się na podłodze, a płyn rozpryskując się na wszystkie strony, dosięgnął jego oczu. Z początku ślepota jego nie była zupełną, mógł nawet sam jeszcze chodzić i udał się pieszo z żoną i dziećmi do Bordeaux, gdzie sławny specyalista chorób ocznych, Dr. Guépin udzielił mu porady le-

karskiej, ale bez pomyślnego skutku. W osiemnaście miesięcy po owym wypadku, oko prawe zupełnie mu wypłynęło, a na lewe nie widział nic zgoła, tylko gdy je zwrócił ku słońcu, mógł jeszcze dostrzedz trochę światła. Wzrok więc tego nieszczęśliwego należało już uważać za stracony.

Wyczerpawszy wszystkie materyalne środki, a między nimi i odszkodowanie, udzielone mu przez fabrykę w Moulins-Engilbert, a pragnąc pomimo swego kalectwa zarabiać na życie dla żony i dzieci, Aubert postanowił zostać wędrownym śpiewakiem i przez lat czternaście przebiegał rozmaite departamenta w południowej Francyi.

Alfred Aubert.

Nie od razu jednak nieszczęśliwy pogodził się ze smutnym swoim losem. Z początku nieraz szemrał i narzekał tak, że dopiero w kilka lat później doszedł do pewnej rezygnacyi. Zawdzięczał to, podobnie jak wiele innych rzeczy, jednemu czcigodnemu kapłanowi, który stał się dla niego prawdziwem narzędziem Opatrzności.

Na pięć lat przed swojem uzdrowieniem niewidomy z żoną i dziećmi przybył pewnego wieczoru do Blandyles-Tours i ustawiwszy swój wózek na placu przed kościołem, zaczął modlić się głośno z żoną i dziećmi, odmawiając różaniec i »Pomnij, o Maryo«. Nagle ujrzeli przed sobą czcigodnego kapłana, ks. Le Guillou, ówczesnego proboszcza w Blandy. Ten udzielił im naprzód pieniężnego zasiłku, mówiąc: »Widzicie ile warta czasem modlitwa«. Potem odszedł, aby niebawem wrócić, niosąc im bochenek chleba i butelkę wina.

Odtąd zacny ten kapłan stał się opiekunem i dobroczyńcą nieszczęśliwej rodziny, którą nakłonił do osiedlenia się w swojej parafii i wspierał materyalnie.

Wreszcie pewnego razu ks. Le Guillou, widząc głęboką pobożność Auberta, zaproponował swemu protegowanemu, aby z wielką ufnością odbył pielgrzymkę do Lurd, a tam go Najświętsza Panna uzdrowi;

poczem wraz z kilkoma innemi miłosiernemi osobami dostarczył mu funduszów na podróż.

Przybywszy do Lurd w piątek dnia 20 sierpnia, Aubert został umieszczonym w przytulisku dla pielgrzymów, zamienionem prowizorycznie na szpital. Pewien chory, który mu w drodze towarzyszył i oddawał rozmaite usługi, miał służyć mu teraz za przewodnika do Groty. Tegoż samego dnia przed południem Aubert po raz pierwszy zanurzył się w cudownej wodzie i doznał silnego wstrząśnienia, połączonego z uczuciem, jak gdyby jakaś obręcz ściskała mu głowę.

Nazajutrz dnia 21 sierpnia, pomiędzy ósmą a dziewiątą rano, Aubert wysłuchał Mszy świętej w Grocie i przystąpił do Stołu Pańskiego. Potem modlił się bardzo długo, podłożywszy sobie dla większego umartwienia swój kij pod kolana, a gdy mu już sił zabrakło wstać, zdawało mu się, że ujrzał w obłoku jakby jakieś kształty, w których rozpoznał po chwili białą postać Najświętszej Panny. Z każdą chwilą widział coraz wyraźniej statuę Niepokalanej Dziewicy w głębi Groty i zaczął iść ku niej, gdy jedna z obecnych tam pań, wiedząc że jest ciemnym, rzekła: »Ależ ostrożnie, możesz upaść mój kochany i skaleczyć się na ławkach«.

Usłyszawszy te słowa, Aubert zwraca się na prawo i na lewo, zdumiony tem, że widzi wszystko, co go otacza. »Nie wiedziałem gdzie jestem i co się ze mną działo — opowiadał później — nie mogłem z początku zdać sobie sprawy z tego, iż rzeczywiście widziałem ludzi, drzewa, góry, doliny«!... Wreszcie obudził się jakby ze snu i ukląkłszy nad rzeką Gave, zaczął się modlić, zalewając się ciągle łzami radości i wdzięczności. Następnie wrócił do przytuliska dla pielgrzymów; wszyscy towarzysze, którzy tak niedawno jeszcze, bo zaledwie przed godziną widzieli go ślepym, powitali go okrzykiem radosnego zdziwienia, a sam Aubert z rozrzewnienia znowu się rozpłakał. Uzdrowienie jego przewyższało wszelkie, najśmielsze nawet oczekiwania. »Prosiłem Najświętszą Pannę — opowiadał sam później — abym tylko mógł sam bez niczyjej pomocy chodzić, a tymczasem teraz widzę zupełnie dobrze. Matka Boska dała mi przeto daleko więcej, aniżeli to, o co błagałem«.

Następnie Aubert udał się do biura sprawdzań, gdzie się przekonano, że mógł on czytać z łatwością nietylko duże, ale nawet małe litery. Jednocześnie uzdrowiony okazał świadectwo, skreślone przez Dra Collignon z Maubert-Fontaine (depart. Ardennów), w którem tenże lekarz oświadczał, że »nieszczęśliwy był od lat wielu pozbawiony wzroku«. Świadectwo to nosiło datę dnia 12 lipca 1897 roku.

Wiemy, w jakim stanie przybył Aubert do Lurd. Był on wówczas zupełnie ciemnym i wszyscy lekarze, którzy go badali, uważali

chorobę jego za nieuleczalną. Nikt nie przypuszczał nawet, aby po czternastu latach mógł on odzyskać wrok, skoro prawe jego oko skutkiem wyżej opisanego wypadku oddawna było wypłynęło, a lewe także było już straconem, gdyż wszystkie jego tkanki zostały uszkodzone i samo oko utraciło właściwy sobie połysk.

Tymczasem dnia 21 sierpnia, podczas modlitwy w grocie, oko to odzyskało całą siłę wzroku, a wyraz twarzy Aubert'a uległ zupełnej zmianie, nabrał bowiem nieznanej już oddawna energii i życia. Aubert, nietylko widział wszystko, co go otaczało, ale mógł czytać z łatwością najdrobniejsze nawet litery. Taki wynik kąpieli w sadzawce nie wchodzi zaiste w zakres medycyny i wszelkie fizyologiczne tłumaczenie byłoby tu nie na miejscu.

Emilia Pénot.

5. Pani Emilia Pénot miała zawsze wzrok tak krótki, że jak mówiono, nigdy samej siebie nie widziała w zwierciedle [1]). Było to bardzo niemiłe kalectwo, nie poznawała bowiem nikogo, ani na ulicy, ani w salonie, ani nawet przy stole, jeżeli z blizka się nie przypatrzyła. Ponieważ jednak do wszystkiego można się przyzwyczaić, więc i ona z czasem także przyzwyczaiła się do swego stanu.

Nie możemy ściśle oznaczyć daty początku jej choroby; wiemy tylko, że już w roku 1882 wzrok jej był bardzo osłabiony, a w roku 1887 prawem okiem nawet z blizka nic nie widziała.

W roku 1890, po stracie ukochanej córki, wzrok jej coraz bardziej zaczął gasnąć. Zaniepokojono się bardzo o nią i skłoniono ją do zasięgnięcia rady pewnego okulisty z Tours. Ten, po zbyt powierzchownem badaniu oświadczył, że chora została dotknięta kataraktą, lecz przed upływem lat trzech lub czterech o operacyi mowy być nie może.

Pani Pénot poddała się temu wyrokowi i czekała cierpliwie przez lat cztery. Wreszcie w lipcu 1894 roku, przed wyjazdem do Tours na

[1]) Według opisu X. Verger, proboszcza przy kościele św. Juliana w Tours.

operacyę, zwróciła się naprzód do swego domowego lekarza, Dra Mourruau z Preuilly, który, nie dając jej poznać prawdziwego stanu rzeczy, radził udać się przedewszystkiem do słynnego okulisty, Dra Sauvineau z Paryża tembardziej, iż tenże każdego niemal tygodnia przyjeżdżał do Tours.

Dotąd nikt jeszcze nie powiedział chorej o niebezpieczeństwie zupełnej utraty wzroku, jakie jej groziło, i biedaczka ciągle łudziła się nadzieją, iż ma tylko kataraktę. Dopiero Dr. Sauvineau wyprowadził ją z błędu, a w kilka dni później napisał do jednego ze swych kolegów list następujący:

Paryż, dnia 25 lipca 1894 roku.

Drogi mój Przyjacielu!

»Pani Pénot ma wzrok niezmiernie krótki, połączony z ogromnemi *stafylomami* czyli skazami obrączkowatemi, otaczającemi tarczę wzrokowych nerwów na każdem oku, i z wysychaniem znacznej części *choroidy* w okolicy »plamy ocznej« również na każdem oku, skąd wynika znaczne osłabienie siły wzroku, pomimo użycia odpowiednich szkieł [1]). Natomiast nerwy optyczne zupełnie są zdrowe«.

Kuracya, przepisana przez Dra Sauvineau, chociaż wykonywana z jak największą skrupulatnością, żadnego nie odniosła skutku. Wreszcie, ulegając namowom rodziny i przyjaciół pani Pénot pojechała do Paryża, aby zasięgnąć rady trzeciego okulisty, najznakomitszego ze wszystkich, Dra Gałęzowskiego, który potwierdził dyagnozę Dra Sauvineau.

»Nie miałaś pani nigdy katarakty — rzekł — prawe oko pani jest zupełnie stracone, bez ratunku, starajmy się więc, o ile możności ocalić oko lewe«.

Pani Pénot, jak zwykle, przyjęła tę decyzyę bez skargi, zastosowała się jak najściślej do wszelkich lekarskich przepisów, próbowała wszystkich wskazanych sobie środków bez najmniejszej dla siebie ulgi, a wreszcie z chrześcijańską rezygnacyą poddała się woli Bożej.

W lipcu 1897 roku ostatnie badanie lekarskie wykazało pogorszenie jej stanu. Prawem okiem nieszczęśliwa odróżniała tylko o tyle dzień od nocy, o ile każdy z nas może to uczynić z zamkniętemi oczyma, a oko lewe dostrzegało jedynie fantastyczne jakieś widziadła, jak naprzykład latające muszki, motyle, węże itp. tak, że lekarz nie ukrywał tego nawet przed nikim, iż wkrótce jego pacyentka zupełnie wzrok postrada.

---

[1]) *Choroida* jest to cieniutka tkanka, wyścielająca dno oka, a »plamy oczne«, czyli »żółta plama«, stanowią najważniejszą i najdelikatniejszą część siatkówki.

Wówczas właśnie ks. Verger, jako gorliwy kapłan, zachęcił swych parafian do odbycia dwudziestej piątej z rzędu pielgrzymki do Lurd. Na liście pielgrzymów zapisała się także i pani Pénot, wraz z jedną młodą dziewczyną, która jej miała towarzyszyć i służyć za przewodniczkę.

Z początku jednak nie myślała nawet prosić Najświętszą Pannę o uzdrowienie. Przyzwyczajona do zapominania o sobie, wśród ciągłej troski o innych, pragnęła tylko znaleźć dla siebie w Lurd trochę rezygnacyi i odwagi, tudzież polecić Najświętszej Pannie rodzinę i przyjaciół. Chcąc atoli zrobić przyjemność matce, przyrzekła jej, że obmyje sobie oczy wodą z cudownego źródła.

Panna de Pontbriant, ociemniała od lat dwóch, uzdrowiona 30 sierpnia 1882 r.

Rzeczywiście rano dnia 8 września dotrzymała tej obietnicy, poczem, około dziewiątej udała się do bazyliki, aby wysłuchać pontyfikalnej Mszy świętej. O trzeciej godzinie po południu znalazła się przed grotą wśród niezliczonego tłumu, siedząc na jednej z najdalszych ławek i modląc się za innych chorych, gdy nagle srebrny odgłos dzwonka zapowiedział zbliżanie się Przenajświętszego Sakramentu, który jeden z kapłanów niósł z kościoła Matki Boskiej Różańcowej na ołtarz w Grocie. Wszyscy padli na kolana i dokoła uroczysta zaległa cisza.

W tej chwili kornie pochylona przed Boskim Mistrzem, który jej prawie dotykał, pani Pénot uczuła nagle gwałtowny ból w prawem oku i instynktownie podniosła dłoń ku niemu. Po upływie kilku sekund, gdy ból nieco się zmniejszył, otworzyła oczy... i — o cudo! ujrzała przed sobą kaznodzieję na kazalnicy i ks. Arcybiskupa z Avignon w pontyfikalnym stroju, a przedewszystkiem to, czego nigdy jeszcze nie widziała, a tak pragnęła widzieć, to jest Grotę w Lurd ze wszystkimi szczegółami i białą, prześliczną statuę Niepokalanie Poczętej!

Czy to sen, czy rzeczywistość?...

Pod wpływem wzruszenia pani Penót zbladła tak bardzo, że to aż zaniepokoiło młodą jej towarzyszkę.

— Czy się pani czuje niedobrze? — zapytała.

— Nie — odparła pani Pénot, starając się ukryć swoje wzruszenie. Jednocześnie wzięła z rąk dziewczęcia niewielką książeczkę do nabożeń-

stwa, przerzuciła kilka kartek, przekonała się, że może czytać i oddała ją, nie zdradziwszy swojej tajemnicy. Nie było już wątpliwości, została uzdrowioną!

Odtąd pobyt jej w Lurd stał się jakby jednem, długiem, ciągłem dziękczynieniem. Nazajutrz po tym pamiętnym dniu, to jest dnia 9 września, pani Pénot na żądanie swego pasterza udała się do biura sprawdzań. Tam lekarze wysłuchali prostego i krótkiego jej opowiadania, przekonali się, zakrywając to jedno oko, to drugie, że pani Pénot może czytać druki rozmaitej wielkości, lecz oświadczyli zarazem, że wówczas dopiero zajmą się poważnie faktem jej uzdrowienia, skoro otrzymają autentyczne dowody przebytej choroby. Z tego więc powodu stały jej lekarz, Dr. Mourruau napisał świadectwo, w którem powtórzywszy wiadome już nam zdanie Drów Gałęzowskiego i Sauvineau, dodaje:

»Obecnie, to jest dnia 13 września, we trzy dni po powrocie pani Pénot z Lurd, nie mogąc zaznaczyć widocznego polepszenia we właściwych uszkodzeniach jej oczu(?) niepodobna jednak zaprzeczyć znacznego zwiększenia siły wzroku w oku prawem, jak również tego nadzwyczajnego i po prostu paradoksalnego faktu, jakim jest widzenie dalekich przedmiotów i opisywanie ich jak najdokładniejsze przez chorą, u której nie można przypuścić żadnego nerwowego lub psychicznego wpływu, zdolnego wywołać podobny rezultat, gdyż była dotkniętą poprzednio nadzwyczajną krótkością wzroku, połączoną z najniebezpieczniejszemi komplikacyami.

»Co się tyczy widzenia z blizka przez oko jej prawe, które od lat dziesięciu nic już nie widziało, to zaznaczyć musimy, że pani Pénot czyta teraz i piszę z największą łatwością.

»Oświadczam wreszcie, że wszystkie te spostrzeżenia zrobiłem w sposób, zdolny wytrzymać wszelką krytykę i w stanie umysłu zarówno dalekiego jak od nierozsądnego zapału, tak i od absolutnego sceptycyzmu«.

Podpisano: *Dr. Mourruau.*

Tak więc dnia 13 września przyczyna choroby jeszcze nie znikła, uszkodzenia jeszcze istniały i zostały stwierdzone przez lekarza, a jednak pani Pénot widziała, i to lepiej, niż kiedykolwiek! Odtąd wzrok jej wzmacniał się z dniem każdym tak, że nawet przestała należeć do krótkowidzących. Niech nam kto teraz wytłumaczy ten fakt, nadzwyczajny i paradoksalny! Nauka przez usta uczciwego człowieka, a zarazem znakomitego lekarza, nie cofającego się przed prawdą, uznaje swoją nieudolność w tej mierze. Jedynie więc wiara i Kościół święty, jak zaznaczył słusznie ks. Verger, może nam tę zagadkę rozwiązać.

6. Dr. Boissaire opowiada obszernie wiele wypadków uzdrowień głuchoniemych od urodzenia, jak np. Aurelii Bruneau, (o której wspo-

minaliśmy już powyżej); cudowne uzdrowienie Róży Évrard jakie miało miejsce 28 sierpnia 1897 r., a które poświadczyli lekarze Drowie Delforge, Lurquin, Delvaux, Rutten, Ks. proboszcz Haversin i dwudziestu kilku świadków; dalej Maryi Person, również głuchoniemej od urodzenia, uleczonej dnia 13 września 1898 r.; co stwierdzili liczni świadkowie, a najdokładniej Dr. Le Forestier. Pomijamy te obszerniejsze opisy, przytaczając tylko uzdrowienie głuchej Siostry Łazary.

Siostra Łazara jest zakonnicą Zgromadzenia Matki Boskiej Wspomożycielki, trudniącego się pielęgnowaniem chorych. Miłość ku Bogu i chęć podobania Mu się przez poświęcenie się na usługi cierpiących bliźnich, skłoniły ją do wstąpienia w młodocianym wieku do zakonu, a po skończeniu nowicyatu, w dwudziestym drugim roku życia, została ona wysłaną do domu swego Zgromadzenia w Saint-Marcellin.

Ludwika Charlier ociemniała, odzyskała wzrok 1895 roku.

W sześć miesięcy później, dnia 20 kwietnia 1862 r. w pierwsze święto Wielkiejnocy, jakiś posłaniec zadzwonił do furty klasztornej. Był to znany w całej okolicy poczciwy Frandon, który prosił o dozorczynię chorych dla umierającej żony naczelnika gminy, odległej stamtąd o mil kilka.

Przełożona wyznaczyła natychmiast Siostrę Łazarę, jako świeżo przybyłą i ta ostatnia wraz z posłańcem natychmiast puściła się w podróż. Musiano iść pieszo. Dzień był słotny, a na domiar złego w dniu poprzedzającym w całej okolicy szalała gwałtowna burza, połączona z ulewą, która popsuła wszystkie drogi. Dwoje naszych wędrowców szło już dość długo, gdy stanęli nakoniec nad brzegiem rzeki Izery. Do przebycia tej rzeki służyła tylko prosta kładka, złożona z dwóch pni drzewnych, przerzuconych z jednego brzegu na drugi, a które skutkiem deszczu stały się okropnie ślizkimi. Frandon, żywy i nieostrożny z natury, wstąpił bez wahania na kładkę i przeszedłszy kilka kroków, wpadł w wodę, która skutkiem niedawnej ulewy była głębszą, niż kiedykolwiek. Nieszczęśliwy nie umiał pływać, tak, że niebawem, pomimo rozpaczliwych wysiłków z jego strony, prąd uniósł go ze sobą. Widząc to młoda zakonnica, posłuszna temu instynktowi poświęcenia, który ją zawsze ożywiał, bez wahania sama rzuciła się w wodę i dopłynęła do biednego

tonącego wówczas właśnie, gdy miał już zniknąć pod falami. Schwyciwszy go więc naprzód zębami, a potem rękami za ubranie, przyciągnęła szczęśliwie do brzegu i położyła na piasku. Nieszczęśliwy nie dawał już wtedy żadnego znaku życia. Siostra Łazara, nie tracąc jednak odwagi, przypomniała sobie wszystkie sposoby ratowania topielców, o jakich kiedykolwiek słyszała, i zaczęła, o ile możności, takowe zastosowywać. Usiłowania jej niebawem uwieńczone zostały szczęśliwym wynikiem. Po niejakim czasie usłyszała westchnienie i słaby oddech Frandona, który powoli odzyskiwał przytomność. Wreszcie otworzył oczy, spojrzał dokoła siebie i zdawszy sobie należycie sprawę z tego, co się stało, zawołał: »Ach, moja Siostro, ocaliłaś mi życie«!

Dopiero w parę godzin później nasi wędrowcy w dalszą puścili się drogę i przybyli do celu wówczas właśnie, gdy z mieszkania chorej wychodził kapłan, udzieliwszy jej ostatnich św. Sakramentów. Naturalnie Siostra Łazara natychmiast nią się zajęła, zapominając zupełnie o sobie, i nikt też nie troszczył się o to, by zapobiedz, o ile możności, szkodliwym skutkom doznanego przez nią wypadku.

Nazajutrz chora, którą Siostra Łazara pielęgnowała, uczuła się lepiej i polepszenie to stopniowo stawało się coraz widoczniejszem. Natomiast sama Siostra ciężko zachorowała, — dostała puchliny na całem ciele i nie mogła już usługiwać swej pacyentce. »Nie mogę już nic zrobić dla chorej, — rzekła do naczelnika gminy — musicie już teraz sami ją pielęgnować, a mnie dajcie jaki wózek wyścielony słomą i odwieźcie do Saint-Marcellin.«

— Nie, odparł poczciwy wieśniak, od chwili, w której ty, Siostro, weszłaś do naszego domu, żona moja ma się coraz lepiej, sam więc będę pielęgnował i ją i ciebie«.

Siostra Łazara położyła się zatem na drugiem łóżku, które się znajdowało w ciasnym pokoiku chorej. Wezwany niebawem lekarz znalazł stan Siotry bardzo groźnym. »O przeniesieniu jej — rzekł — nie może być mowy, a przynajmniej nie przyjąłbym za to odpowiedzialności.« Atoli po upływie paru tygodni Siostra była już na nogach i wraz z żoną wójta, która również przyszła już była do zdrowia, wysłuchała dziękczynnej Mszy świętej.

Niestety jednak wyzdrowienie biednej zakonnicy nie było zupełnem, już bowiem drugiego dnia choroby została dotknięta głuchotą, co przeszkadzało jej nie mało w wypełnianiu powierzonych sobie obowiązków.

Za powrotem Siostry Łazary do Zgromadzenia zaczęto ją leczyć z jak największą starannością, lecz wszelkie rodzaje kuracyi, jakim ją poddawano, wywoływały tylko lekkie i nietrwałe polepszenie. Niebawem znowu wracała głuchota w większym nawet stopniu, niż przedtem.

Atoli, jak wielka część głuchych, Siostra Łazara nauczyła się czytać z ruchu warg mówiących do niej osób, zwłaszcza wówczas, gdy ich słowa poparte były odpowiednimi wymownymi gestami. Powierzano więc jej często opiekę nad chorymi tem bardziej, że biedna Siostra była doskonałą w posługiwaniu takowym. Tym sposobem Siostra Łazara znalazła się pewnego razu w domu jednej świątobliwej pani w Lugdunie, aby jej pomagać w pielęgnowaniu chorej córki. Ponieważ ta ostatnia potrzebowała szczególniej powietrza i rozrywek, odbywano więc często bliższe lub dalsze wycieczki; w ten sposób matka, córka i Siostra infirmarka przybyły do Lurd.

Julia Delmotte.
niewidoma od lat dwóch, odzyskała wzrok 31 sierpnia 1898 r.

Nazajutrz rano wszystkie trzy udały się do Groty i matka chciała, żeby jej córka zanurzyła się w sadzawce. Zajmując się jednak własnem dzieckiem, nie zapomniała także i o biednej zakonnicy, owszem zarówno słowami, jak i gestami postarała się dać jej do zrozumienia, że powinna skorzystać ze sposobności, która sama jej się nastręcza. Siostra Łazara zstąpiła więc do sadzawki i zaczęła się modlić, — nie o własne jednak wyzdrowienie, lecz o to, aby się stała doskonałą zakonnicą — a co się tyczy uzdrowienia, to błagała o nie tylko dla »swojej małej«, to jest dla młodej chorej, której towarzyszyła. Lecz widać modlitwa ta podobała się Matce Najświętszej...

Podczas tej gorącej modlitwy uczuła bowiem nagle gwałtowny ból, który zdawał się rozsadzić jej czaszkę i wywoływać zawrót głowy. »O mój Boże, jakże cierpię!« — zawołała — podnosząc dłoń do czoła. Natychmiast jednak przyjęła to cierpienie jako łaskę, ofiarując je na wymienione powyżej intencye i jak gdyby została już wysłuchaną, poczyna odmawiać *Magnificat* tak donośnie, że aż panie, pielęgnujące chorych, wołają: »Nie tak głośno, Siostro, nie tak głośno!«

Następnie zakonnica wychodzi z sadzawki, ubiera się i podąża ku Grocie, doznając ciągle takiego samego okropnego bolu głowy. Nagle staje zdumiona, gdyż zdaje się jej, że słyszy czyjś głos i słowa.

Rzeczywiście do uszu jej dolatują wybornie słowa kaznodziei z dość odległej kazalnicy, a jednocześnie Siostra Łazara przekonywa się, że słyszy również dobrze prowadzone półgłosem w pobliżu siebie rozmowy. Została więc uleczoną z głuchoty i to w chwili, gdy ani o to prosiła, ani się tego spodziewała!

Uszczęśliwiona zakonnica podziękowała naprzód z głębi serca Najświętszej Maryi Pannie za udzieloną sobie łaskę. Nie chciała jednak mówić o niej, aby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, tak, że musiano prawie przemocą zaprowadzić ją do biura sprawdzań. »Ach, — mówiła później — wszyscy ci ludzie zasypywali mię gradem pytań i gdybym nie wiedziała, że zeznanie moje przyczyni się do chwały Pana Boga i Najśw. Maryi Panny, nic bym im nie powiedziała«.

Janina Jourdan z Nantes,
ociemniała, uzdrowiona 28 sierpnia 1895 r.

W biurze sprawdzań przekonano się, że Siostra Łazara słyszała zupełnie dobrze, gdy mówiono do niej, nie podnosząc nawet głosu, a nawet słyszała ruch zegarka w odległości piętnastu lub dwudziestu centymetrów od prawego ucha.

Możemy także przytoczyć inny jeszcze fakt, jako dowód zniknięcia jej głuchoty. Od lat przeszło trzydziestu Siostra Łazara nie spowiadała się już przy zwykłych konfesyonałach, ale osobno, — a po zanurzeniu się w sadzawce z największą łatwością wyspowiadała się w Lurd przy konfesyonale, otoczonym licznem gronem pobożnych.

Przytaczamy jeszcze świadectwo Dra Rougier z Lugdunu, dotyczące choroby i uzdrowienia Siostry Łazary.

Lugdun, dnia 4 października 1897 r.

Szanowny Kolego!

»Przesyłam chętnie wszelkie szczegóły, jakie posiadam o chorobie Siostry Łazary, ze Zgromadzenia Zakonnic pod wezwaniem Matki Boskiej Wspomożycielki. W tych dniach bowiem sam ją badałem i prosiłem

o upoważnienie do przesłania Panu niniejszego świadectwa. Pielęgnowałem ją w r. 1893 i 1894 w przeciągu kilku miesięcy. Wiem, że na początku swojej kuracyi słyszała prawem uchem na odległość dwóch centymetrów, a lewem nie słyszało już nawet przyłożonego blisko ogromnego genewskiego zegarka, którego używam zawsze przy badaniu mych chorych. W normalnych warunkach tykotanie tego zegarka słychać z odległości dwunastu, a nawet czternastu metrów. — Po przepisanej przezemnie kuracyi słuch chorej wzmocnił się o tyle, że ucho lewe słyszało ruch zegarka, przyłożonego do samej konchy usznej, a prawe w odległości siedemnastu centymetrów mogło go odróżnić. Po pielgrzymce do Lurd, odbytej przez Siostrę Łazarę, przekonałem się przed czterema dniami, że prawe jej ucho słyszało ruch tegoż samego zegarka w odległości $3^1/_2$ metrów, a lewe w odległości 2 metrów! O żadnem oszustwie lub udawaniu w tym względzie nie może nawet być mowy. Słowa, mówione po cichu, słyszy ona z odległości jednego metra, a przedtem musiałem krzyczeć z całej siły do jej prawego ucha, ażeby zostać usłyszanym.

»Co się tyczy samej natury choroby, to pamiętam, że leczyłem Siostrę Łazarę na tak zwaną *otitis sclerosa*, zadawnioną już od lat kilku. Przy ostatniem mojem badaniu, przed czterema dniami, na bębenku nie było już żadnych plam nieprzezroczystych, ani zmiany kierunku młoteczka, a kowadełko na właściwem znajdowało się miejscu.

»Nie mogę dać Panu dokładniejszych wskazówek, lecz muszę stwierdzić uzdrowienie, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem, jako wyniku zwykłej tylko zimnej kąpieli.

»Chciej przyjąć, Szanowny Kolego, wyrazy najgłębszego mego poważania«.

Dr. Rougier,
lekarz kliniki chorób usznych w szpitalu powszechnym w Lugdunie.

W przeciągu lat trzydziestu sześciu Siostra Łazara była głuchą i wszelkie zastosowywane względem niej środki lecznicze okazywały się daremnymi. Niezmiernie delikatne kosteczki uszne, drgające za najlżejszym nawet powiewem, zesztywniały, znieruchomiały i głuchota stała się nieuleczalną. Po zanurzeniu się chorej w cudownej wodzie nietylko funkcye ucha zostały przywrócone, ale znikło też bez śladu zapalenie, które już trwało od lat tylu! Młoteczek i bębenek wróciły do normalnego stanu i na właściwem znalazły się miejscu.

Na zakończenie więc możemy tylko powtórzyć z Drem Rougier, że nigdy podobne uzdrowienie nie było skutkiem zimnej kąpieli, tembardziej, że i rezultat jego nietylko się nie zmniejsza, lecz owszem coraz bardziej uwydatnia się i utrwala.

7. »Pewnego razu — pisze Dr. Boissarie — rozmawiałem w biurze sprawdzań z jednym z naszych kolegów, który twierdził, że w wielu uzdrowieniach niemałą rolę odgrywa suggestya. Ostatecznie każdy z nas pozostał przy swojem zdaniu i już mieliśmy się rozejść, gdy do biura przywieziono na wózku jakąś bladą, wychudłą osobę. »Zaczekaj pan trochę — rzekłem do mego towarzysza — oto mamy nowy, nieznany mi przykład, zbadajmy go razem«.

»Nowo przybyła, trzydziestopięcioletnia panna Marya Méheust z Sain-Brieuc, opowiedziała nam, że przed chwilą właśnie odzyskała mowę, utraconą już od roku. Podczas pierwszej kąpieli w sadzawce głos jej nabrał nagle dawnej siły i dźwięku.

Marya Méheust,
(przed uzdrowieniem).

— Mowa musiała pani wrócić skutkiem nagłego okrzyku, który usunął jakąś przeszkodę, paraliżującą przedtem język — odezwał się mój kolega.

— O nie — odparła uzdrowiona — nie krzyknęłam ani razu i nie byłam wcale wzruszoną, lecz od razu zaczęłam mówić tak, jak teraz.

»Wówczas towarzysz mój, zdobywając się na jak największą energię suggestyjną, — zawołał: »Wstań pani!«

— Ależ nie mogę — odrzekła.

— Owszem, możesz pani, wstań natychmiast! powtarzam to pani.

»Chora nie ruszyła się z miejsca, tak, że ta próba suggestyi pozostała zupełnie bezowocną.

»Może w przywiezionem przez nią świadectwie lekarskiem znajdziemy przyczynę tej nieruchomości«, zauważyłem. — Rzeczywiście ze świadectwa Dra Ménard'a dowiedzieliśmy się, że chora miała tuberkuliczne zapalenie stawów w kolanie, oraz, że w ostatnich czasach płuca jej zostały też zaatakowane. Miała również wszelkie objawy suchot gardlanych, z powodu których straciła głos. Ponieważ nie chodziło tu wcale o chorobę nerwową, żadna więc suggestya na chorą nie mogła mieć wpływu. Widząc, że dalsze badanie nie poprze bynajmniej jego

teoryi, kolega mój wstał i pożegnał się z nami, obiecując wrócić niebawem; aleśmy go już więcej nie widzieli.

»Panna Marya Méheust opuściła Lurd, tym razem niezupełnie jeszcze uzdrowiona. W rok później zgłosiła się jednak znowu do naszego biura. Nie była to już ta nieszczęśliwa istota, widziana przez nas za pierwszym razem, wieziona na wózku, a trawiona ciągłą suchotniczą gorączką. Miała ona teraz nietylko pozory zdrowia, ale także rzeczywiste jego oznaki. Nie była już tak przeraźliwie chudą, jak przedtem, cerę miała naturalną, głos silny, a nawet donośny. Nie poznaliśmy jej wcale i nie wierzyliśmy, że to ta sama osoba, dopóki nam nie pokazała lekarskiego świadectwa. Wtedy dopiero przypomnieliśmy sobie, żeśmy ją widzieli dnia 11 września 1895 i że na niej to właśnie lekarz paryski nadaremnie próbował suggestyi«.

Cóż zaszło od tego czasu?...

Oto, co w tej mierze pisze Dr. Ménard:

»W roku 1895 panna Meheust pojechała do Lurd i odzyskała tam nietylko głos, ale także wyborny apetyt. Od chwili powrotu z pielgrzymki stan jej zdrowia tak szybko zaczął się polepszać, że wszyscy, którzy ją znali, nie chcieli temu wierzyć. Głos jej odtąd był zawsze czysty i dźwięczny, oddech regularny, a poprzednie duszności, kaszel, rzężenie w płucach i wymioty, znikły bez śladu. Siły fizyczne wróciły całkowicie, a dolne kończyny nabrały grubości odpowiedniej do reszty ciała. Uzdrowienie to dokonało się podczas pierwszej do Lurd podróży z nadzwyczajną szybkością. Niema też panna Méheust w kolanie ani zapalenia stawów, ani spuchnięcia, ani osłabienia lub sztywności, chociaż przy zginaniu kolana pewien chrzęst jeszcze daje się słyszeć. Przedtem chora chodziła z trudnością, opierając się na kulach, ale odrzuciła je natychmiast po pierwszej kąpieli w sadzawce, a podczas ostatniej pielgrzymki uzdrowienie jej uzupełniło się prawie w naszych oczach«.

Wreszcie Dr. Ménard podaje nazwiska lekarzy, którzy pielęgnowali pannę Méheust, twierdząc jednogłośnie, że była dotkniętą tuberkulicznem zapaleniem stawów.

Fakta powyższe z taką dokładnością stwierdzone zostały, że nie podlegają już najmniejszej wątpliwości. Siedmiu lekarzy leczyło tę chorą w przeciągu lat dziesięciu, ośmiu widziało ją dnia 11 września 1895 roku w biurze sprawdzań w Lurd, gdy choroba jej jeszcze istniała w całej pełni, i ciż sami lekarze stwierdzili w roku 1896 zupełne jej uzdrowienie.

ROZDZIAŁ VIII.

Choroby nerwowe.

CUD DOSWIADCZALNY ZA POMOCĄ SUGGESTYI I UZDROWIENIA W LURD. — 1. CELESTYNA MÉRIEL, SIEDMIOLETNI JEJ POBYT W SALPÊTRIÈRE I UZDROWIENIE W SADZAWCE. — 2. MORFINISTKA, NADAREMNIE LECZONA PRZEZ DWA LATA I JEJ UZDROWIENIE W LURD. — 3. CELINA FERRY. — 4. BRAT ADOLF. — 5. EUGENIA BRON.

Obok niebezpiecznych chorób, połączonych z wewnętrznem uszkodzeniem pewnych części organizmu, napotykamy także choroby nerwowe, nie noszące na sobie cech żadnego wewnętrznego rozstroju w organizmie, a uzdrowione za pomocą wody z Lurd. Uzdrowienia te posłużyły nieraz niedowiarkom za temat do rozmaitych zarzutów, w których głoszono między innemi, że dokoła cudownej Groty zbierają się tylko tłumy osób, cierpiących na histeryę lub na zaburzenia nerwowe w czynnościach fizyologicznych swego organizmu.

Byli i tacy, co utrzymywali, że i w szpitalach także czyniono wiele cudów. Tak na przykład słynna Etcheverry, pielęgnowana w szpitalu Salpêtrière, otrzymała suggestyjny rozkaz wyzdrowienia z paraliżu nerwowego podczas pewnego nabożeństwa w miesiącu Maryi. Paraliż znikł istotnie w oznaczonej godzinie. Tak, czyniono tam niby cuda; lecz gdyby takie tylko cudowne uzdrowienia dokonywały się w Lurd, tobym się nie zabrał wcale do pisania o nich tego dzieła i nie poświęciłbym im z pewnością najmniejszej nawet wzmianki.

Wszelkie rodzaje paraliżu, dające się usunąć za pomocą hypnotyzmu lub suggestyi, wskazują jakby ostatni stopień potęgi natury lub sztuki lekarskiej. Tam dopiero, gdzie się kończy działalność ludzka, rozpoczyna się działanie nadprzyrodzone. W szpitalach dochodzi się niekiedy do krańcowej granicy sił fizycznych, ale się jej nie przekracza nigdy.

1. Uzdrowienie Celestyny Mériel daleko bardziej niż wyleczenie Etcheverry zasługuje na uwagę. Wobec tego zdumiewającego faktu cud doświadczalny jest po prostu igraszką, a jednak fakt poniżej opisany przytaczamy tu tylko dla przypomnienia, żadnych z niego nie wysnuwając wniosków.

Trzydziesto-czteroletnia Celestyna Mériel przybyła ze szpitala Salpêtrière i przywiozła ze sobą świadectwo Dra Falret, w którem czytamy, »że jest ona głucho-niemą i że stan jej zdrowia nie staje na przeszkodzie do poruszania się i chodzenia«. Dziwne zaiste świadectwo, dane przez lekarza! Świadectwo to jest chyba jedynem w swoim rodzaju; czyż bowiem potrzeba aż takiego dyplomu,

aby się przekonać, że jakaś chora jest głuchą i niemą, a jednak może wsiąść do wagonu bez narażenia swego życia na niebezpieczeństwo?

Posłuchajmy teraz, co sama chora opowiada nam o sobie, a co poświadczyli liczni świadkowie.

Celestyna Mériel opowiada, że wyszła za mąż w r. 1878. W parę lat później znaleziono ją pewnego poranku w łóżku nieprzytomną, ze sparaliżowaną całą lewą połową ciała i z wykrzywionemi ustami. Nie zdradzała ona poprzednio żadnych objawów histeryi, a dzieje jej życia są takie same, jak wielu innych kobiet, wydanych za mąż w Paryżu. Wkrótce po zawarciu małżeńskiego związku ciągłe troski i niedostatek stały się jakby codziennymi gośćmi u rodzinnego jej ogniska, mąż ją opuścił, siły się wyczerpały, a wreszcie atak apoplektyczny sprowadził paraliż, który od samego początku wydawał się nieuleczalnym. Przez dwa lata nieszczęśliwa pielęgnowaną była w szpitalu Necker'a, zostającym pod kierunkiem Dra Rigal'a.

Celestyna Mériel.

Wszystkie środki lecznicze, jakie jej zastosowywano okazały się daremnymi; tak, że wreszcie, jako nieuleczalnie chorą, umieszczono ją w Salpêtrière, w oddziale Dra Charcot, w październiku 1782 roku. Nowy atak, który nastąpił we dwa lata, odebrał jej mowę. Niebawem z obu uszu zaczęła sią sączyć materya, świadcząca o wewnętrznem nadwerężeniu organizmu, które coraz bardziej się wzmagało. Skutkiem tego sączenia się ropy w bębenkach usznych utworzyły się otwory i nastąpiła zupełna niemal głuchota. W takim właśnie stanie chora przybyła do Lurd ze sparaliżowaną całą lewą połową ciała, a zarazem pozbawiona słuchu i mowy. W szpitalu, do którego została przyjętą, wzięto ją za idyotkę. Rzeczywiście była ona jakby zupełnie obcą i obojętną dla wszystkiego, co się dokoła niej działo, nie mogła prawie się poruszyć, a błędny wyraz jej oczu, pozbawiony wszelkiego przebłysku inteligencyi, nie zdradzał żadnych wrażeń.

Nazajutrz po przybyciu do Lurd zaniesiono chorą do groty i do sadzawki. Po pierwszej kąpieli Celestyna stanęła mocno na nogach, odrzuciła kule, na których dotąd zwykle się opierała, i zaczęła chodzić bez żadnej podpory, poczem wróciła do sali chorych, lecz tylko jeszcze za pomocą odpowiednich gestów mogła okazać radość z tego początko-

wego swego uzdrowienia. Dokoła niej wszakże to uzdrowienie nie wywołało żadnego wrażenia lub zapału, tak dalece była ona dotąd obcą całemu swemu otoczeniu, nie biorąc nigdy żadnego udziału w ogólnym ruchu, jaki panował na sali.

»Za drugą bytnością w grocie i sadzawce, opowiada dr. Boissarie, chora odzyskała mowę i przyszła sama do biura sprawdzań, aby nam zdać sprawę z pomyślnej zmiany, jaka się w niej dokonała, opowiadając nam obszernie o wszystkich swych cierpieniach. Z powodu zupełnej głuchoty nie mogliśmy zadawać jej pytań. Porozumiewaliśmy się z nią tylko piśmiennie, kreśląc od czasu do czasu po kilka wyrazów. Ponieważ w takim wypadku nie mogliśmy sprawdzić jej uzdrowienia, zwłaszcza wobec lekkomyślnego świadectwa lekarskiego, (któreśmy powyżej dosłownie przytoczyli) — odłożyliśmy więc dalsze badanie do dnia następnego.

»Nazajutrz chora przyszła rzeczywiście, ciesząc się, że nietylko mogła swobodnie chodzić i mówić, ale także słyszeć już tak dobrze, jak niegdyś, przed chorobą. W przeciągu dni paru, od wtorku do czwartku, dokonało się w niej dzieło zupełnego odrodzenia, a ostatnie uleczone jej kalectwo pozostawiło po sobie nadto ślady, będące niezaprzeczonym dowodem istoty i przyczyny choroby.

»Gdy Celestyna Mériel stanęła przed nami we środę zupełnie jeszcze głucha, znajdował się tam także Dr. Henryk Martin z Orleanu, były dyrektor kliniki dla głuchoniemych w Paryżu, specyalista chorób usznych. Badał on długo oba przewody słuchowe tej kobiety i stwierdził istnienie ranek w bębenkach, tudzież spuchnięcie ich krawędzi. Zresztą Celestyna Mériel, przyzwyczajona do badań tego rodzaju, sama zatkawszy sobie nos i usta, zaczęła mocno oddychać, a powietrze przez nią wydzielane, z szumem przechodziło przez uszy. Nazajutrz taż sama osoba słyszała już wybornie ruch zegara, odległego od niej o 30 centymetrów, i to wśród gwaru, panującego w klinice. Odpowiadała też bez trudności i wysiłku na wszelkie pytania, które dokoła niej się krzyżowały. A chociaż anatomiczny stan jej uszu nie uległ żadnej zmianie i bębenki były, jak przedtem, przedziurawione, lecz narzędzia słuchu już działały normalnie!

»Nowe jakby życie ożywiało twarz tej kobiety dotąd tak smutnej, posępnej i pozbawionej prawie wyrazu. Na wszystkie zadawane jej pytania odpowiadała ze zdumiewającą jasnością i ścisłością tak, iż widocznem było, że niezliczone cierpienia, zniesione przez nią w przeciągu lat ośmiu, nie wywarły żadnego ujemnego wpływu na jej umysł. Wkrótce po swem wyjściu za mąż, opuszczona przez męża, rozłączona z dzieckiem, znalazła się ta nieszczęśliwa na łożu szpitalnem w Salpê-

trière. Tam zastosowywano względem niej wszelkie środki lecznicze, ale napróżno. Kilkakrotnie nawet próbowano ją uleczyć za pomocą hypnotyzmu, lecz zawsze bez żadnego skutku. Straciwszy mowę, słuch i zdolność ruchu, biedna tą istotą zachowała tylko dawną inteligencyę, która służyła jej jedynie do zrozumienia całej doniosłości swego nieszczęścia. W sercu jej zgasł ostatni promyk czysto ludzkiej nadziei i wówczas właśnie przybyła ona do Lurd, bez przyjaciółki, bez słowa zachęty lub pociechy, złożona na łożu, jak bezmyślna istota, aby tu nagle odzyskać zdrowie, siły, młodość, nadzieję, słowem nawiązać zerwaną już nić swojego istnienia.

Pani Broussin z Arcachon, uzdrowiona cudownie po nieudanej operacyi wewnętrznej. Przez lat 4 nie opuszczała łóżka. Synek jej, który matki nie widział nigdy chodzącej, nie poznał jej, gdy powróciła z Lurd uzdrowiona.

»Historya jej jest bardzo ciekawą, nietylko dla lekarza, ale i dla tych wszystkich, którzy wznosząc się po nad materyalne warunki życia, umieją dostrzedz także nadprzyrodzone działanie łaski.

»Jak widzimy, uzdrowienie Celetyny Mériel przewyższa znacznie wszelkie pomyślne wyniki kuracyi, osiągnięte w szpitalach. Rezultat jego jest po prostu zdumiewającym. Gdyby podobne zmartwychwstanie tej chorej nastąpiło podczas jej pobytu w Salpêtrière, pisanoby o niem niechybnie we wszystkich czasopismach lekarskich«.

2. »Wśród osób, dotkniętych histeryą, — pisze dalej Dr Boissarie — załuguje na uwagę młoda dziewczyna, której stan posiadał pewne cechy chorób nerwowych. Słuchając jej opowiadania, mimowoli przypomnieliśmy sobie następującą zasadę: »Kiedy kobieta przemawia do ciebie, słuchaj dobrze tego, co mówi, lecz przedewszystkiem staraj się odgadnąć to, co przed tobą ukrywa«. Podług jej zeznań od lat dwóch przeszło zastrzykiwała ona sobie codziennie sporą dozę morfiny, od 50 do 60 centygramów. Każdy lekarz wie, co to za straszny i zgubny nałóg! Nieszczęśliwa ta namiętność opierała się wszelkim środkom zaradczym. W Lurd dopiero nałogowa morfinistka znalazła nieznaną sobie dotąd siłę tak, że w przeciągu dni paru ani razu nie zastrzyknęła sobie morfiny. Postanowienie jej zdawało się niezłomnem, przyszłość jednak dopiero miała okazać, czy takiem było rzeczywiście.

»Zwolennicy hypnotyzmu wyznają, że stosunkowo niewielki wywierają wpływ na morfinistów. Dr. Luys twierdzi, że u takich osób reakcya systemu nerwowego bywa zwykle nieobliczalną, a suggestya nietrwałą. Chory posłusznym jest tylko dopóty, dopóki pozostaje w szpitalu; wyszedłszy z niego, wraca znowu do zgubnego swego nałogu, a nawet nieraz jeszcze w szpitalu potrafi oszukać osoby najtroskliwiej nad nim czuwające.

»Jakeśmy wyżej powiedzieli, postanowienie naszej morfinistki wydawało się niezachwianem, nie bardzo wszakże ufaliśmy jej słowu, sądząc, że nie podobna odnieść w jednej chwili zwycięstwa nad zakorzenionym tak głęboko nałogiem.

»W sześć miesięcy później, dnia 16 marca 1890 roku, dziewczyna ta pisała do nas, co następuje:

»Morfinistka, którąście widzieli w Lurd dnia 22 sierpnia roku zeszłego, z radością dziś wam donosi, że uzdrowienie jej jest zupełnem, i że Najświętsza Panna z Lurd raczyła całkowicie oswobodzić ją z więzów tak zgubnej namiętności. Zastrzyknięcie zrobione przezemnie dnia 19 sierpnia, przed wyjazdem mym z Bordeaux, było ostatniem. Od tego czasu dziękuję ciągle Bogu za to, że mię tak cudownie raczył ocalić, wówczas gdym już stanęła nad brzegiem przepaści. Jako *corpus delicti* przesyłam panu strzykawkę Pravaza, której zwykłe używałam, i proszę o umieszczenie jej jako »votum« w Grocie. Najświętsza Panna z Lurd uzdrowiła mię z tego, co było najtrudniejszem do usunięcia, lecz nie uwolniła mię bynajmniej od innych cierpień, a zwłaszcza od pewnej choroby wewnętrznej, która z dniem każdym się pogarsza i z powodu której będę musiała poddać się niebawem bardzo niebezpiecznej operacyi«.

»Należy dodać, że pierwotne, nieznośne fizyczne cierpienia zmusiły chorą do użycia morfiny, i że wówczas właśnie jej się wyrzekła, gdy dolegliwości jej z dniem każdym powiększać się zaczęły! — Oto jak mi sama panna X. opowiadała o swej długiej i niezwykłej chorobie:

»W roku 1885, z powodu częstej i gwałtownej newralgii, lekarz rozpoczął kuracyę za pomocą morfiny. W roku następnym musiałam wyjechać na wieś, a lekarz nie mogąc codziennie mnie odwiedzać, poradził mi, abym w razie zbyt dokuczliwych cierpień sama sobie robiła zastrzykiwania.

»Przypominam sobie, że w lutym 1887 roku zaczęłam codziennie zastrzykiwać morfinę, a nawet niekiedy po kilka razy na dzień. Niekiedy wprawdzie myślałam, że za dużo używam morfiny i wówczas próbowałam zmniejszać dawki, lecz nie mogłam w takim razie utrzymać się na nogach.

»W ostatnich dniach maja 1888 roku siostra moja Gabryela przekonała mię o szkodliwości zgubnej tej trucizny. Uznałam słuszność tych przestróg i wręczyłam jej wszystko, co mi służyło do zastrzykiwań, to jest morfinę, przepis użycia i strzykawkę. Było to rano. Po powrocie ze Mszy św. zastrzyknęłam już sobie była pierwszą dawkę morfiny w ilości 18 centygramów, ale około południa uczułam się tak osłabioną, że musiałam się położyć, gdyż nogi zupełnie wypowiedziały mi posłuszeństwo. Noc była okropną. Nigdy nie zapomnę, com wycierpiała tego dnia i nazajutrz. Proszę też Boga, aby wszystkim oszczędził takich cierpień. — Trzeciego dnia rano, po daremnem błaganiu o morfinę, potrafiłam oszukać czujność mojej siostry, prosząc ją, aby mię zostawiła samą, gdyż chcę sobie zastrzyknąć trochę wody z Lurd! Teraz, niestety, wstydzę się tego podstępu! Znalazłszy więc trochę morfiny na dnie jakiejś szuflady, zrobiłam kilka zastrzyknięć, które chwilową przyniosły mi ulgę. Odtąd umiałam zawsze zdobyć sobie w jakikolwiek sposób strzykawkę i morfinę, którą potajemnie zastrzykiwałam. Wszystkich mych najbliższych stan mój niezmiernie niepokoił, tembardziej, że doszłam jakby do pewnego stanu zezwierzęcenia i zobojętniałam na wszystko.

»Wówczas, to jest dnia 24 kwietnia 1889 roku, starsza moja siostra odwiozła mię sama do pewnego znakomitego lekarza specyalisty i powierzyła jego opiece. Nie uznał on jednak za właściwe, abym natychmiast od razu zaniechała całkiem morfiny. Pozostałam w jego zakładzie przez kilka miesięcy, nie mogąc ani jeść, ani spać, ciągle bardzo osłabiona i okryta bolesnymi wrzodami.

»W sierpniu zażądałam, aby mię zawieziono do Lurd. Lekarz obrócił to w żart, mówiąc, że wziętoby go za waryata, gdyby mi po-

zwolił to uczynić w takim stanie, w jakim się wówczas znajdowałam. Potem widząc, do jakiej rozpaczy doprowadziła mię jego odmowa, pozwolił mi wyjechać, ale polecił zabrać ze sobą pewien zapas morfiny, gdyż nagłe zaprzestanie wstrzykiwań mogłoby, jak twierdził, nader smutne pociągnąć następstwa.

»Postanowiono więc, że przed samym wyjazdem zastrzyknę sobie 3 centygramy morfiny. Pomimo tego podróż była tak okropną, że ledwie żywa przybyłam do celu. Po trzygodzinnym odpoczynku udałam się do Groty i jak najrychlej, o ile tylko mogłam, wykąpałam się w sadzawce, ale bez żadnego polepszenia.

Marya Bauvelot
cudownie uzdrowiona z choroby wewnętrznej.

»Byłam już blizką rozpaczy, tembardziej, że i przez całą noc następną okropnie cierpiałam. O świcie więc prawie, nie spotkawszy po drodze żadnego powozu, pieszo, chociaż z niemałym trudem, udałam się znów do Groty. Po przyjęciu Komunii świętej uczułam się nieco silniejszą i zeszłam do sadzawki. Tam wykąpałam się i wyszedłszy, uczułam się tak silną, że odrzuciłam laski, na których przedtem ciągle się opierałam. Następnie w przeciągu dwóch przeszło godzin usługiwałam w łazienkach, nietylko rozbierając chorych, ale także pomagając im się kąpać, a nawet dźwigając nosze. Nie posiadałam się z radości! Dnia 22 sierpnia, to jest w ostatnim dniu mego pobytu w Lurd, spędziłam jeszcze osiem godzin na usługiwaniu chorym przy sadzawce, nie czując ani dawnych cierpień, ani nawet zmęczenia. Odzyskałam zupełnie siły i równowagę organizmu i byłam taką, jaką pan Doktor wówczas mię widział. Od owej chwili nie wzięłam już nigdy morfiny do ręki i ogólny stan mego zdrowia znacznie się poprawił. Charakter mój także uległ zupełniej zmianie, stałam się bowiem wesołą, śmiejącą się często, a zarazem czynną, pracowitą i energiczną«.

»Co do nas — dodaje Dr. Boissarie — to, podobnie, jak twierdził Dr. de Saint Maclou, uzdrowienia naszej morfinistki nie uważamy za cud w ścisłem tego słowa znaczeniu, jest ono bowiem tylko może szczególną łaską Bożą, która się objawiła za pomocą natural-

nego zjawiska. W szpitalach jednak naszych zjawisko takie zostałoby zaliczone do najbardziej zdumiewających wypadków. Nietylko bowiem młoda ta dziewczyna zwyciężyła w jednej chwili zgubny nałóg, oddawna już zakorzeniony, ale po zaniechaniu go, które mogło za sobą jak najgorsze pociągnąć następstwa, spostrzeżono w niej jakby odrodzenie pod względem fizycznym tak, że po kilku latach zupełnego niedołęstwa, naraz mogła ona dźwigać i kąpać chorych, oraz oddawać im w przeciągu dnia całego najcięższe i najbardziej męczące usługi«.

Oba już powyższe przykłady świadczą, że uzdrowienia z chorób nerwowych, jakie nastąpiły w Lurd, przewyższają znacznie zwykły zakres wyleczeń, stwierdzonych w szpitalach, i wielce się od nich różnią. Ale zobaczmy jeszcze kilka innych przykładów, bardziej zdumiewających, a przekonamy się o tem lepiej.

3. Opis uzdrowienia panny Celiny Ferry, z Bazegney, w departamencie Wogezów, nie mniejszem zdumieniem przejąć musi każdego, kto się nad tym faktem głębiej zastanowi.

Panna Ferry przybyła do Lurd w roku 1891-ym. Chorą była od lat trzydziestu. W siedemnastym roku życia odczuła pierwsze objawy n e w r o z y organicznej i ogólnej, która życie jej całe zmieniła w jedno nieustające męczeństwo.

Moralny jej stan był niemniej politowania godnym, jak fizyczny. Żyła w nieustającym smutku i niepokoju; sumienie miała niesłychanie czułe i bojaźliwe i to przyczyniało się wielce do powiększenia drażliwości całego jej ustroju nerwowego, który najmniejszą rzecz boleśnie odczuwał. Proboszcz tamtejszy mawiał o niej: »To męczennica, fizycznie i moralnie udręczona«. Żadne środki lecznicze nie zdołały uleczyć tej nieszczęśliwej! mogły tylko, co najwyżej, jej cierpienia nieco złagodzić.

Natomiast w chwili wyjazdu z Lurd była już zupełnie uwolnioną od tych dolegliwości, które ją dręczyły przez lat trzydzieści! Ale co najwięcej na uwagę zasługuje, b y ł a s p o k o j n ą, w e s o ł ą, s i l n ą, j a k b y o d r o d z o n ą, a za powrotem do domu zabrała się zaraz do gospodarstwa i objęła cały jego zarząd. Od tej chwili do dziś dnia pracuje, jest czynną i ruchliwą, zadziwia wszystkich swoją energią: jednem słowem n i e j e s t j u ż t ą s a m ą, c o d a w n i e j, — o s o b ą!

»Takie zmiany i wyniki — kończy Dr. Boissarie — przechodzą stanowczo zakres działania zwykłej sztuki lekarskiej. Nigdy nie będziemy w możności naprawić w j e d n e j c h w i l i spustoszenia, wywołanego trzydziestoletniem cierpieniem. Nigdy nie zdołamy dokonać tego, aby kobieta nieśmiała, zawsze niespokojna, pozbawiona umysłowej równowagi, przemieniła się — i to odrazu — w niewiastę silną, mężną, o zda-

niu rozsądnem i pewnem, w osobę pełną życia i energii, która odtąd przez całe życie już jej towarzyszy«.

»Nietylko też na miejscu, w Lurd, osiągnięto takie wyniki, owszem nawet zdala od tego cudownego miejsca trochę wody przyniesionej ze świętej groty, prosta modlitwa, wywoływały nieraz te same lub podobne skutki, jak o tem wymownie świadczy następny przykład«.

4. »Dnia 31-go sierpnia 1891-go roku otrzymaliśmy z Lugdunu następujące zawiadomienie:

»Pragnąc wysławić potęgę i dobroć Najświętszej Panny z Lurd, pozwalam sobie przesłać opowiadanie faktu rzeczywiście nadzwyczajnego i po ludzku nie dającego się wytłumaczyć, jeżeli nie już wprost cudownego, który miał miejsce w naszym klasztorze, zakonników Św. Jana Bożego, w Lugdunie, a mianowicie o nagłem i zupełnem uzdrowieniu młodego nowicyusza za przyczyną Potężnej Dziewicy, śród skał Massabielskich zjawionej. Proszę z opowiadania tego zrobić użytek, jaki się podoba; ale najściślejsza jego wiarogodność może być stwierdzoną przez ośmdziesięciu zakonników naszego klasztoru. Oto są fakta:

»Brat Adolf liczy 21 lat wieku. Jest zdrowia wątłego i jako taki nie bez wahania został przyjętym przez przełożonych do przywdziania habitu zakonników Św. Jana Bożego, poświęcających się obsłudze chorych. Dnia 20-go grudnia roku zeszłego dostał zapalenia oskrzeli i wówczas także sprawdzono u niego zaburzenia w funkcyach naczyń sercowych, które się ujawniały zarówno w oddechu jak i w nieprawidłowości poruszeń samego serca.

»Przebieg choroby był długi i uporczywy; nie będziemy go tu szczegółowo opisywali. Dość powiedzieć, że od dnia 7 czerwca, roku następnego, rozpoczęły się u niego częste wymioty, które doszły do tego stopnia, że nie mógł już znosić żadnego posiłku. Nie można było nic na to poradzić; nawet kawałeczki lodu, które mu dawano do połykania, mrożone wino szampańskie, zamiast usunąć wymioty, wywoływały takowe. Już w pierwszych dniach sierpnia odżywianie stało się zupełnie niemożliwem; a zjawiska, zwykłe przy wycieńczeniu głodowem, coraz silniej występowały.

»Dnia 15 sierpnia można było sądzić, że już nadeszła ostatnia chwila; chudość i osłabienie były nadzwyczajne, oczy bez wyrazu i zamglone, pulsu już lekarz nie mógł się domacać, a kończyny stygły. O godzinie 3 popołudniu chory przyjął ostatnie Sakramenta święte.

»O godzinie $8^1/_2$ wieczorem oddech stawał się z każdą niemal chwilą coraz rzadszym i trudniejszym, ostatnie objawy konania ukazały się już w całej pełni, gdy choremu wpuszczono do ust łyżeczkę wody z Lurd, a niedługo potem drugą łyżeczkę. W tejże chwili uczuł on nagłą ulgę;

oznaki konania ustąpiły, a niebawem chory oświadczył, że się czuje zdrowym, — chciał zaraz wstać i bez trudności przyjmował różne napoje. Około 4-tej rano zażądał posiłku, naprzód płynnego, potem stałego, i przyjął takowy bez żadnej trudności.

»Siły, które powróciły od razu, objawiały się szybko na zewnątrz. Od tej chwili uzdrowienie trwa w zupełności. Brat Adolf pełni nadzwyczaj uciążliwe obowiązki przy bardzo niespokojnych umysłowo chorych oraz przy sparaliżowanych, a bynajmniej nie widać, aby go te obowiązki zbyt utrudzały; nie czuje żanych dolegliwości, owszem cieszy się zdrowiem takiem, jakiem nigdy dotychczas nie mógł się poszczycić!

»Oto fakta, których byliśmy świadkami i które podajemy wiernie. Podziw musi w nas wzbudzić nietylko ustąpienie natychmiastowe choroby, ale również usunięcie zupełne objawów głodowego wycieńczenia, które chorego doprowadziło już do rzeczywistego konania. Że siły powróciły od razu, jest to jakby rodzajem zmartwychwstania, przechodzącego ludzką możność i ludzkie pojęcie«!

Dr. Carrier.

5. Pielgrzymka burgundzka i wschodnio-południowo francuska, przywiozła w liczbie swych chorych młodą dziewczynę, która w dziwnych zaiste znajdowała się warunkach.

Eugenia Bron, rodem z Corban, z tej części gór Jura, która należy do kantonu Berneńskiego w Szwajcaryi, miała od trzech już lat szczęki tak kurczowo zaciśnięte i zęby tak szczelnie zwarte, że było wprost niemożliwem otworzyć jej usta. Aby jej nie dać umrzeć z głodu, musiano spiłować jeden ząb i przez ten otwór wpuszczać rurkę gumową lub szklaną; tą drogą jedynie zasilano ją małemi dawkami kawy albo herbaty. Mleko i rosół wywoływały u chorej wymioty, które, przy szczelnie zamkniętych ustach i zaciśniętych zębach, stanowiły groźną komplikacyę: sprawiały bowiem okropne cierpienia i mogły wprost stać się przyczyną uduszenia.

Tak długie pozbawienie posilnego pokarmu pociągnęło za sobą znaczne schudnięcie: Eugenia straciła na wadze około 50 funtów! Osłabienie jej było nadzwyczajne tak, że nie będąc już w stanie chodzić, nie opuszczała wcale łóżka.

Co ją doprowadziło do tak nędznego stanu?... Oto nieprzerwany szereg cierpień i chorób wszelakich, które od lat przeszło sześciu nie dały jej chwili spokoju. Należała do licznej rodziny; było w niej dziesięcioro rodzeństwa, a z tych siedmioro dotąd jeszcze żyjących. Życie było dla nich niezwykle trudnem. »Nieraz — mówiła ich matka — widziałam dzieci moje płaczące z głodu i musiałam zbierać dla ich wyżywienia resztki chleba wyrzucane po drogach«. — »Co do mnie, doda-

wała Eugenia, to nie mając innego pożywienia, napełniałam żołądek wodą, aby nie czuć tortur głodowych«.

W takich warunkach szpital był wskazanem miejscem pobytu dla Eugenii; to też przepędzała długie miesiące w szpitalach w Bernie i Bazylei, gdzie ją leczyli najznakomitsi szwajcarscy lekarze. Z ciała jej zrobiono odlew gipsowy, a fotografię chorej także zachowano.

Jakaż ją choroba trapiła? czy choroba Pott'a? czy ropienie kręgów pacierzowo-mózgowych, jakby na to wskazywała forma gipsowa? To pytanie było jeszcze nie wyświecone. Ale jakimkolwiek był początek złego, nieunikniony koniec szybko się zbliżał; niepodobna bowiem żyć długo, posilając się wyłącznie odrobiną kawy albo herbaty.

Eugenia Bron.

Eugenia Bron, przybywszy do Lurd d. 31-go sierpnia, udała się natychmiast do zbiorników cudownej wody. Nazajutrz rano przybyła tam znowu, żadnego jednak nie doznała polepszenia.

W piątek około godziny $3^1/_2$ popołudniu leżała na swojem posłaniu koło świętej Groty. Procesya właśnie wracała do kościoła i fala pielgrzymów płynęła w tymże kierunku tak, że około Eugenii zrobiło się stosunkowo dosyć pusto. Pragnęła ona bardzo podczas całej podróży módz ucałować błogosławioną skałę, w której znajduje się Grota; w tej chwili pragnienie to stało się jeszcze żywszem i gorętszem. Zaklina więc osoby, które się jeszcze w pobliżu niej znajdowały, aby ją przeniosły do wnętrza Groty. Wahano się: jedna z bram do niej prowadzących była już zamkniętą. Nareszcie jeden z tragarzy, wzruszony prośbami chorej, bierze ją na ręce i przybliża do skały. Biedna dziewczyna obejmuje rękoma głazy i przyciska do nich usta, modląc się w duszy: »O Matko Boska z Lurd, o zechciej, błagam Cię! niech Twoja święta wola się stanie, uzdrów mnie! jestem dzieckiem Twojem, a Tyś Matką moją! Tobie się oddaję na wieki!«

Jednocześnie matka Eugenii modliła się ze swej strony: »O Przenajświętsza Dziewico! Ty widzisz nędzę moją, uzdrów mi moje dziecię«! I obie kobiety zraszały ziemię rzewnemi łzami...

Nareszcie tragarz odrywa od skały Eugenię i odnosi na miejsce, z którego ją zabrał. Ale oto, gdy Eugenia znalazła się za ołtarzem, nagle wyrywa się z jej piersi przerażający okrzyk. Ból straszny nawskróś ją przeszywa. Czy to życie?... czy śmierć?...

To życie!

Eugenia swobodnie wyrywa się z rąk tragarza, który ją niósł, staje na nogach, a usta jej, od trzech lat zamknięte, nagle się otwierają! Jakby błyskawica oświetla jej twarz, przemieniając ją w jednej chwili, w oczach wszystkich osób, ktore ją otaczają. I oto następuje wylew radości! Obecni padają na kolana, całują ziemię, biegną nareszcie, zapominając o zostawionem posłaniu, i młoda dziewczyna, już otoczona licznym tłumem, przychodzi do biura sprawdzań lekarskich. Ale jej wzruszenie jest zbyt wielkiem, aby była w stanie spokojnie zebrać myśli i opowiedzieć całe przeszłe życie. Badanie jej więc odłożonem zostaje na dzień następny.

Wyszedłszy, Eugenia podążyła za procesyą i weszła z nią do chóru kościoła Matki Boskiej Różańcowej. Wzruszenie i osłabienie wywołały chwilowe omdlenie, ale wkrótce odzyskała przytomność. Nazajutrz przyjęła w Grocie Komunię św., której już od trzech lat była pozbawioną, nie mogąc w żaden sposób ust otworzyć.

»Codziennie przez te trzy lata, opowiadała potem, przyjmowałam o północy Komunię duchową. Zasypiając, odmawiałam trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś Marya za dusze w czyścu cierpiące, z tą intencyą, abym się na odgłos bijącego zegaru o północy obudziła; a wtenczas długo się modliłam. Przez cały też rok prosiłam w modlitwie o to, aby się znalazł ktoś, coby mi zapłacił koszta pielgrzymki do Lurd i rzeczywiście zrządzeniem Opatrzności w chwili stosownej znalazła się taka osoba«.

Eugenia przybyła do Lurd w stanie wielkiego opuszczenia; ale co ją obchodziło ubranie albo pokarm, kiedy miała nareszcie ujrzeć Lurd! Od chwili jej uzdrowienia osoby dobroczynne zaopatrzyły ją we wszystko: kapelusz, chustka, nawet pończochy, słowem wszystko zostało jej danem.

Eugenia w niewielkich wprawdzie ilościach przyjmuje posiłek, bo żołądek jej był długoletnim postem ścieśniony, ale jeść może wszystko i wolną jest od wszelkich cierpień fizycznych. Chodzi przez dzień cały, ale dopóki jej skóra nie zgrubiała na nogach, dopóty była nader wrażliwą i w pierwszych chwilach, gdy mogła stanąć, zdawało

się jej, że stąpa po szpilkach. — Uzdrowienie jej wywarło głębokie wrażenie na pielgrzymów z Burgundyi i z Franche-Comté, do których się przyłączyła; a fakt ten, stawszy się przedmiotem specyalnych studyów, znacznie przerzedził szeregi tych, którzy względem cudów, dokonywających się w Lurd od lat przeszło czterdziestu, zachowywali dotąd stanowisko upornego i bezmyślnego przeczenia.

ROZDZIAŁ IX.

Uzdrowienia z paraliżu.

1. ŁUCYA I KAROLINA RENAULD. — 2. ADELA GOFFETTE. — 3. IWONKA AUMAÎTRE. — 4. X. DUMAS, OTRUTY PRZEZ CZAROWNIKÓW. — 5. X. SONNOIS.

Rodzina Renauld mieszkała w dzielnicy Mouffetard, a składała się z ojca, matki i dziewięciorga dzieci.

Łucya Renauld.

Łucya Renauld przybyła z pielgrzymką narodową w r. 1891 i przywiozła ze sobą świadectwo swego lekarza, który twierdził: »że była dotkniętą wyschnięciem mięśni w lewej nodze, które wynikło z częściowego paraliżu«.

Biedna ta dziewczyna miała lewą nogę cieńszą i krótszą od prawej, musiała chodzić w trzewiku z obcasem na trzy centymetry wysokim i zginała pomimo tego jeszcze nogę prawą, aby módz jednocześnie stanąć na obu nogach.

Po piątej kąpieli w cudownem źródle, wziętej dnia 24 sierpnia, obie nogi zrównały się zupełnie pod względem długości i objętości! Uzdrowiona zaczęła chodzić boso bez najmniejszego [utykania, a skoro tylko włożyła obuwie, wówczas, z powodu niezwykle wysokiego obcasa, utykała w odwrotny niż przedtem sposób, to jest na prawą nogę. Jeden z lekarzy z biura sprawdzań zaprowadził ją do szewca, który zrównał obcasy w jej trzewikach, i Łucya chodziła odtąd normalnie z największą łatwością. Uzdrowienie to w żaden sposób naturalnie nie da się wytłumaczyć.

Roku następnego, dnia 21 sierpnia zgłosiła się do biura sprawdzań ośmn astoletnia dziewczyna, nazwiskiem Karolina Renauld i wrę-

czyła tam świadectwo Dra Deleschamps, głoszące, »że była ona chromą skutkiem paraliżu prawej nogi.«

Była to siostra Łucyi Renauld i miała przedtem prawą nogę krótszą od lewej, poczem podobnie, jak i jej siostra, wyszła z kąpieli nie kulejąc już wcale, a obuwie jej musiano także doprowadzić do równego poziomu.

»Wyznaję szczerze, — dodaje Dr. Boissarie — że dziwny ten zbieg okoliczności nasunął mi mimowolne podejrzenie oszustwa. Uzdrowiona odpowiadała nam z pewnem zakłopotaniem, starała się jak najrychlej opuścić nasze biuro i nie zdawała się wcale zdziwioną swojem uzdrowieniem, uważając je jakby za rzecz zupełnie naturalną.

»Wszystko to wydawało mi się bardzo podejrzanem, a koledzy moi także podzielali to zdanie. Trudno bowiem było przypuścić zupełnie takie same uzdrowienie dwóch sióstr, w przeciągu jednego roku z jednej i tej samej choroby. Łamałem sobie właśnie nad tem głowę, gdy dzięki widocznemu zrządzeniu Opatrzności spotkałem Dra Monnier, chirurga przy szpitalu świętego Józefa, a zarazem ortopedystę z zawodu, na którego słowach śmiało mogłem polegać.

Karolina Renauld.

»Mam ciekawą rzecz panu do opowiedzenia, — rzekł on — a mianowicie uzdrowienie Karoliny Renauld. Badałem ją bardzo starannie przed wyjazdem jej do Lurd, widziałem ją po powrocie, mierzyłem obie nogi pod względem długości i objętości, należałem bowiem do komisyi lekarskiej, badającej chorych, którzy uczestniczyli w pielgrzymce narodowej, i twierdzę bez wahania, że uzdrowienie Karoliny Renauld jest jednym z najciekawszych faktów, jakie mi się spotkać zdarzyło«.

»Wogóle zresztą choroba sióstr Renauld należała do wyjątkowych, i rozumiem, w jakim kłopocie musieli nieraz się znajdować lekarze, którzy je leczyli. Mówiono wprawdzie o paraliżu dziecinnym; lecz cierpienie to rozpoczyna się zwykle już w pierwszych latach życia, gdy tymczasem u sióstr Renauld pierwsze objawy choroby zaczęły się u jednej dopiero w trzynastym, a u drugiej w czternastym roku ich

życia. Przyczyna zdawała się mieć główne siedlisko w szpiku i odzywać się także w odnośnych nerwach. Skutkiem tego noga nagle przestawała rosnąć i stawała się cieńszą, a zarazem i krótszą.

»Czemu to u obu sióstr w jednakowy następowało sposób? Oto dlatego, że cierpienia takiego rodzaju dziedzicznemi były w ich rodzinie. Dowiedzieliśmy się, że stryj ich był również niem dotknięty i umarł w trzydziestym piątym roku życia, zmuszony opuścić służbę wojskową z powodu tego kalectwa. Cioteczna ich siostra także chorowała w podobny sposób, a wreszcie jeden z ich braci utyka również na nogę.

»Najlepsze jednak światło na tę sprawę rzuca następujące świadectwo Dra Monnier:

»W czternastym roku życia Karolina Renauld uczuła pewną trudność w chodzeniu, a nawet zaczęła kuleć i przechylać się ciągle na prawą stronę.

»Po raz pierwszy badaliśmy ją dnia 12 lipca 1892 r. Wydała nam się dobrze zbudowaną. Kazaliśmy jej położyć się i stwierdziliśmy prawie trzycentymetrową różnicę długości na prawej stronie. Nadto łydka tejże nogi była o dwa centymetry chudszą od lewej, a natomiast, rzecz dziwna, prawe biodro było o jeden centymetr dłuższem od lewego. Zresztą nie dostrzegliśmy ani skrzywienia ani jakiejkolwiek innej ułomności.

»Nowe badanie, dokonane dnia 28 października 1892 r., dało następujące wyniki:

1. Wszelkie ślady skrócenia znikły. Noga prawa zdaje się być nawet o trzy lub cztery milimetry dłuższą od lewej.

2. Łydka prawa jest zaledwie o jeden centymetr chudszą od lewej.

3. Wreszcie obwód prawego biodra jest tylko o pół centymetra większym od lewego.

»Dla zmierzenia długości kazaliśmy Karolinie położyć się tak, aby oba jej biodra na tej samej leżały linii. Stojąc, ma ona kręgosłup zupełnie prosty, a biodra i łopatki po obu stronach znajdują się na tym samym poziomie. Dodajmy, że od dnia 12 lipca do dnia 28 października Karolina Renauld urosła o dwa lub trzy centymetry.

»Wogóle u Karoliny Renauld, bez jakichkolwiek innych chorobliwych objawów, nastąpiło przedłużenie się dolnej części prawej nogi, o 28 mm.! Takie przedłużenie się członka należy niezaprzeczenie do nadzwyczajnych wypadków«.

Paryż d. 28 października 1892. *Dr. Monnier*,
chirurg przy szpitalu św. Józefa.

»Po takiem świadectwie, jak powyższe, nie mogliśmy podejrzywać rodziny Renauld o odgrywanie komedyi cudu. Niezwłocznie po swem

wyzdrowieniu Karolina wróciła do zwykłych zatrudnień, starając się, o ile tylko mogła, unikać powszechnej ciekawości, której była przedmiotem.

»Jeżeli jednak choroby dzieci państwa Renauld i cudowne ich uzdrowienie nastręczały lekarzowi sposobność do wielu ciekawych studyów, to z drugiej strony moralne życie tej rodziny gotowało nam nowe niespodzianki i wyjaśnienia.

»Sama pani Renauld była zawsze prawdziwą strażniczką i kapłanką rodzinnego ogniska. Dnia 20 listopada roku zeszłego przyprowadziła ona do mnie swą córkę Karolinę i opowiedziawszy o chorobie i uzdrowieniu obu córek, dodała:

— Młodsza Łucya kształci się w szkole przemysłowej, zostającej pod opieką Sióstr św. Wincentego a Paulo, i pozostanie tam do dwudziestego drugiego roku życia; Karolina wróciła do rodziny, aby się trudnić szyciem i gospodarstwem domowem.

— Musiałaś pani bardzo się ucieszyć z powodu uzdrowienia swych córek? zapytałem. — Czy mogę wiedzieć, co zjednało wam tak wielką łaskę?

»Po tych słowach na twarzy pani Renauld widoczne odmalowało się wzruszenie. Zapewne w tej chwili przed oczyma jej duszy przesunęło się jakoby w obrazie całe jej minione życie, tudzież wszystkie usiłowania, którym przynajmniej do pewnego stopnia tak wyjątkowe zawdzięczała łaski. Po chwili wahania rozpoczęła wreszcie następujące opowiadanie, któregc z należytą wysłuchaliśmy uwagą:

»Matka moja była zupełnie niewierzącą i umieściła mnie wraz z moją siostrą w szkole świeckiej. Ojciec nasz, który był Belgijczykiem, zachował jeszcze trochę wiary, zaszczepionej mu w dzieciństwie, i on to nauczył nas modlitwy. Potem przygotowałam się bardzo dobrze do pierwszej Komunii świętej i przyjęłam ją z wielką pobożnością. Ważny ten dzień wywarł wpływ zbawienny na całe moje życie.

»Odtąd w przeciągu lat dziesięciu modliłyśmy się z moją siostrą o nawrócenie naszej matki i Bóg nareszcie wysłuchał naszych próśb. Do dwudziestego roku życia znajdowałam się u zakonnic w Clignancourt i stamtąd wyszłam za mąż. Mąż mój z początku przynajmniej w niedzielę pozwalał mi słuchać Mszy świętej, później jednak chciał mi i tego zabronić, lecz, ulegając mu we wszystkiem, w tym jednym tylko względzie okazałam niespodziewaną stanowczość tak, że musiał ustąpić. Rodzice jego byli zupełnymi niedowiarkami i nawet nie pozwalali swym dzieciom na przyjęcie pierwszej Komunii świętej; ale mąż mój, służąc w wojsku, chodził do kościoła i to był najlepszy okres w jego życiu. Później niestety zaniechał wszelkich praktyk religijnych. Teraz wszakże codziennie modlimy się już oboje wraz z dziećmi, a nawet

sam ojciec najmłodsze uczy pacierza. Mamy też zięcia, który przed czterema laty został uzdrowionym w Lurd z choroby sercowej«.

»Wszystko więc w życiu tej kobiety było owocem osobistych usiłowań. Dzieckiem jeszcze będąc, musiała walczyć w obronie wiary, aby módz spełniać religijne obowiązki, wyszedłszy za mąż, napytykała również trudności w tej mierze, lecz w sercu miała święty płomień, który oświecił nakoniec dusze jej najbliższych i opromienił rodzinne jej ognisko. Uchylmy więc czoła przed tym wzniosłym przykładem, który nietylko piękną daje nam naukę, ale zarazem świadczy, że cześć i nabożeństwo ku Matce Boskiej z Lurd nie jest wyłącznym przywilejem nielicznych dusz wybranych, ale przenika wszędzie, do najuboższych nawet rodzin robotniczych, do najbardziej niedostępnych dzielnic, przynosząc zawsze ze sobą łaski i błogosławieństwo«.

2.[1]) Wysoka i silnie zbudowana Adela Goffette była córką właściciela posiadłości ziemskiej w prowincyi Luksemburskiej i do dwudziestego czwartego roku życia zawsze wybornem cieszyła się zdrowiem.

Dnia 6 lutego 1894. Adela wraz z dzieckiem swego brata wsiadła w Paryżu o jedenastej godzinie wieczorem na dworcu północnym na pociąg jadący do Belgii. Podróż odbywała się pomyślnie aż do Compiègne. Nagle olbrzymi pożar oblał tor kolejowy jakby morzem światła, potem lampa w wagonie zgasła, a nasza podróżna, siedząc sama w swoim przedziale, z niemowlęciem tylko na kolanach, zadawała sobie pełne niepokoju pytania, co jeszcze stać się może — gdy nastąpiło pierwsze gwałtowne wstrząśnienie. Potem dał się słyszeć okropny łoskot. Wagon, rzucony jakby w próżnię, upadł na drogę. Lokomotywa tego pociągu napotkała na swej drodze trzy ogromne skrzynie ze szkłem, które spadły na kilka minut przedtem z pociągu towarowego, i upadając sama, pociągnęła za sobą trzy najbliższe wagony. Łatwo można sobie wyobrazić przerażenie nieszczęsnych podróżnych. Na domiar złego w tejże samej chwili nadjechał drugi pociąg towarowy i zgruchotał obalone już wagony. Czterech ludzi poniosło śmierć na miejscu, a z pod gruzów wydobyto dwudziestu siedmiu rannych. Szczęściem, że tego wieczora nie wiele jechało osób.

Co się stało z panną Goffette i wiezionem przez nią niemowlęciem, o tem ona sama nie umiała dokładnie powiedzieć. Znalazłszy się pod szczątkami wagonu, uczuła tylko wstrząśnienie, słyszała łoskot i rozmaite okrzyki. W takim stanie, nawpół żywa, oszołomiona i ogłuszona tem, co zaszło, spędziła całe dwie godziny. Taką jednak troskliwością otaczała ciągle dziecko, że lekarze znaleźli u niego tylko złamanie pra-

[1]) Podług *Annales de Belgique.*

wego obojczyka. Była już druga godzina, gdy ich oboje wydobyto z pod gruzów roztrzaskanych wagonów.

Panna Goffette wyleczyła się nader prędko z ran na głowie i złamania paru żeber, tudzież z dotkliwego potłuczenia łopatki i lewego boku, ale lewe jej biodro i lewa noga tak zostały uszkodzone, że w przeciągu lat trzech przeszło — bo aż do pielgrzymki w maju 1897 roku — nie mogła prawie opuszczać łóżka, a tembardziej chodzić. W jej imieniu rodzina wytoczyła kompanii kolei żelaznej proces, żądając odszkodowania za wypadek, którego Adela stała się ofiarą. Proces odbył się w Compiègne, przed trybunałem, który mianował trzech lekarzy, polecając im zbadać doniosłość i rodzaj kalectwa, jakie wynikło z owego wypadku. Świadectwo wydane przez nich dnia 5 września 1895 roku brzmiało jak następuje:

Adela Goffette.

»Nadwerężenie nogi wynikło z silnego stłuczenia biodra i miednicy. Z powodu zadawnienia choroby, niepodobna obecnie postawić ścisłej dyagnozy chirurgicznej, lecz bądź co bądź uważamy to kalectwo za ciężkie i nieuleczalne. Co do zaburzeń w funkcyach organicznych, skrócenia nogi i znieczulenia mięśni, to uważamy je za dalsze następstwo licznych uszkodzeń fizycznych i gwałtownego wstrząśnienia, doznanego podczas wypadku. Wszystkie te dolegliwości razem wzięte składają się na kalectwo, którego wyleczenie w przyszłości nie wydaje nam się wcale możliwem. Uszkodzone biodro ma znacznie zwiększoną normalną objętość. Kręgosłup powyżej lewego biodra, zamiast przedstawiać linię prostą, wygiął się znacznie ku lewej stronie, zakreślając prawie półkole.

»Na pierwszy rzut oka — dodają lekarze — spostrzedz można, że lewe biodro znajduje się znacznie wyżej od prawego, a po dokła-

dnem zmierzeniu widzimy, że różnica ta wynosi cztery centymetry. Takaż sama różnica istnieje naturalnie i w niższych członkach, tak, iż wogóle prawa noga jest o cztery centymetry krótszą od lewej.«

Powyższe świadectwo podpisali trzej lekarze, a mianowicie: Dr. Gustaw Peltier, główny chirurg szpitala cywilnego w Sedanie; Dr. Lapierre, również jeden z tamtejszych lekarzy, i Dr. Chevalier z Compiègne, lekarz północnej kolei żelaznej i przedstawiciel jej przy lekarskiem badaniu Adeli Goffette.

Sprawozdanie to potwierdzają we wszystkich szczegółach świadectwa innych lekarzy: Dra Doms'a, z dnia 12 czerwca 1894 i 23 kwietnia 1894 r.; Dra Eschweiler'a i Demélinne'a z dnia 2 lutego 1896 r. i Dra Demélinne'a z dnia 24 kwietnia 1897 r. To ostatnie świadectwo, skreślone na trzy dni przed wyjazdem do Lurd, stwierdza jeszcze niemożebność użycia dolnej części lewej nogi, z powodu silnego uszkodzenia miednicy. Na początku 1897 roku chora, od dwóch lat już przykuta do łoża boleści i opuszczona przez lekarzy, uczyniła ślub, że odbędzie pielgrzymkę do Lurd, skoro tylko stan zdrowia na to jej pozwoli. Rzeczywiście niebawem nastąpiło niewielkie polepszenie, tak, że Adela mogła codziennie wstawać na parę godzin i chodzić, chociaż z trudnością i opierając się na kulach.

Pojechała więc do Lurd. W kąpieli panie, opiekujące się choremi, podtrzymywały ją z wielką troskliwością, aby jej oszczędzić cierpienia. W drugiej kąpieli woda, która w dniu poprzedzającym wydała jej się zimną jak lód, nie zrobiła już na niej tego wrażenia, uczuła jednak ona w biodrze gwałtowny ból, a wyszedłszy z wody, była już uzdrowioną! Przedtem lewa jej noga wisiała bezwładnie, nie mogąc wcale się zginać i tylko końcem palców dotykając ziemi, a teraz uszczęśliwiona dziewczyna, ze łzami radości w oczach, odrzuciła kule, zdając sobie wybornie sprawę z tego, że noga jej normalną odzyskała długość, że się cała opiera o ziemię i że wszelkie bole już znikły. Zaczęła więc chodzić, chociaż z początku chwiejnym nieco krokiem, gdyż podczas trzyletniej swej katuszy, odzwyczaiła się zupełnie od chodzenia. Z każdą chwilą jednak wracały jej siły i chód stawał się coraz pewniejszym. Dr. Boissarie i lekarze z biura sprawdzań, po dokładnem kilkudniowem badaniu, nie znaleźli już u uzdrowionej ani utykania, ani trudności w ruchu, ani też śladu poprzednich cierpień fizycznych.

3. »Dnia 7 lipca 1897 roku, trzecia moja córeczka, Iwonka, pisze Dr. Aumaître, urodziła się w Gourmalou, w pobliżu Pornic. Jakaż jednak była moja boleść, gdy przekonałem się, że biedne dziecię przyszło na świat z okropnem kalectwem, to jest z zupełnie wykrzywionemi nóżkami. Był to cios dla mnie podwójny, jako dla ojca i lekarza; wiedziałem bowiem,

że medycyna bywa częstokroć bezsilną wobec takiego kalectwa. W dodatku, przynajmniej w przeciągu pierwszych dni kilku, musiałem ukrywać przed matką tę bolesną prawdę. Po niejakim czasie jednak trzeba było ją wyznać i oboje zalewaliśmy się łzami na widok opłakanego stanu biednej naszej dzieciny. Kochaliśmy ją jeszcze bardziej od innych naszych dzieci, dlatego właśnie, że była tak upośledzoną, i zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, dla jej uleczenia.

Iwonka Aumaître.

»Badało ją kolejno kilku zaprzyjaźnionych ze mną lekarzy, lecz wszyscy twierdzili, że w najlepszym nawet razie Iwonka bardzo długo nie będzie mogła chodzić. Wreszcie, gdy dziecię liczyło już piętnaście miesięcy, zdecydowaliśmy się na operacyę, której miał dokonać zacny mój przyjaciel, Dr. Boiffin z Nantes.

»Uśpiono biedne dziecię za pomocą chloroformu, poczem oboje z żoną, z łatwem do zrozumienia wzruszeniem, przypatrywaliśmy się operacyi, która polegała na wycięciu dwóch tak zwanych ścięgn Achillesa, w celu wyprostowania nóżek. Operacya bardzo zręcznie została wykonaną, lecz po niej musiano jeszcze założyć Iwonce dwa wielkie odpowiednie aparata, sięgające prawie aż do bioder, dla utrzymania stóp i całych nóżek, gdyż kolana także były skrzywione. Kuracya ta wszakże nie przyniosła żadnego dodatniego wyniku, a nawet z powodu niej nogi dziecka zaczęły chudnąć.

»Pragnąc temu zapobiedz, zawiozłam moją córeczkę do Dra Saquet'a w Nantes, który zaczął zastosowywać systematyczny masaż mięśni i nóg, ale bez żadnego niemal skutku. Jednocześnie kazałem spo-

rządzić dla biego maleństwa dwie drewniane podeszwy, opatrzone po bokach żelaznymi pręcikami, w celu prostowania nóżek.

»Pomimo tych przyrządów i trzymania z obu stron za rączki Iwonka nie mogła ani stać długo, ani uczynić sama choćby kilku kroków, bo nóżki uginały się pod nią.

»W takim stanie zawiozłem ją do Lurd, dokąd przybyłem dnia 24 czerwca z żoną, dwiema córeczkami i teściem. Wszyscy pragnęliśmy jak najrychlej upaść do stóp Najświętszej Panny w Lurd i błagać Ją o uzdrowienie, które było jedynym przedmiotem naszych myśli i pragnień. To też w sam dzień przybycia z gorącą wiarą i niewysłowionem wzruszeniem podążyliśmy do Groty. Nazajutrz miała się odbyć pierwsza kąpiel w cudownem zródle.

»Wysłuchawszy Mszy św. o ósmej godzinie rano i przystąpiwszy podczas niej do Stołu Pańskiego, postanowiliśmy zanurzyć dziecię w cudownej wodzie. Podczas pierwszej kąpieli Iwonka bardzo płakała i wyrywała się z niej prawie. Tegoż samego dnia odbyła się druga kąpiel, lecz nie dostrzegliśmy jeszcze po niej żadnej zmiany na lepsze.

»Dnia 26 czerwca rano, po trzeciej kąpieli w sadzawce, Iwonka zaczęła chodzić sama, z zupełną pewnością siebie, chociaż przed samą kąpielą nie mogła jeszcze utrzymać się na nogach, które uginały się pod nią, jak gdyby były z waty.

»Łatwo można sobie wyobrazić naszą radość i zdumienie wobec tak szybkiego uzdrowienia. Teść mój, pan Pergeline, były prezes trybunału handlowego w Nantes, był także wzruszonym. Nie wahaliśmy się uznać tego uzdrowienia za szczególną, nadzwyczajną łaskę Najświętszej Panny z Lurd i gorące jej za to składaliśmy dzięki.

»Nazajutrz rano, po Mszy św., dziecię raz jeszcze zanurzonem zostało w sadzawce, po czem w biurze sprawdzań Dr. Boissarie kazał chodzić Iwonce samej, już bez żadnego przyrządu. Chód jej, tudzież położenie kolan i stóp były już zupełnie normalne.

»Zasługuje na uwagę, że dziewczątko nasze nie ma jeszcze lat dwóch i że nagła zdolność do chodzenia w sposób naukowy wytłumaczyć się nie da. Suggestya jest tu (u dziecka tak małego) niemożliwą, a o działaniu wiary lub wyobraźni również w tym wypadku mowy być nie może. W takim wieku dziecko nie może jeszcze zostać zahypnotyzowanem. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak złożyć broń przed rzeczywistością faktów, których wytłumaczyć nie zdołamy. Możemy tylko czuć całem sercem, jak wielką jest potęga Najświętszej Panny z Lurd i jak cudowne łaski zjednywa ludziom Jej wstawienie się do Boga.

»Opisując to uzdrowienie, tak blizko i żywo mię obchodzące, pragnąłem tylko przyczynić się do pomnożenia hołdów czci i wdzięczności dla Matki Boskiej z Lurd«.

Dr. Aumaître.

Lurd, dnia 27 czerwca 1896 roku.

4. Dnia 5 września 1895 r. ks. Dumas, młody kapłan z Haiti, przybył do Lurd, chcąc błagać Najświętszą Pannę, aby go uzdrowiła. Mając sparaliżowane nogi, ręce i wszystkie niemal członki, nie mógł on ani chodzić, ani się ubrać o własnej sile, słowem był zupełnym kaleką. Towarzyszyła mu siostra i wszędzie musiano go albo nieść na noszach, albo przewozić na wózku.

Ks. Leon Dumas.

Mówił też powoli, cicho, z widoczną trudnością; stracił pamięć, a i umysł jego bardzo był przytępiony. Jadał niezmiernie mało i znajdował się w stanie takiego wycieńczenia, że budził litość wszystkich, którzy go znali. Choroba jego była tak dziwną, że lekarze nie umieli jej sobie wytłumaczyć. Wszyscy tylko, którzy go otaczali, mówili, że stał się on ofiarą zemsty czarowników, którzy go otruli.

Oto, co sam ks. Dumas opowiadał o sobie:

»Po kilkuletniej pracy na wyspie Haiti, na stanowisku wikarego, powierzono mi administracyę jednej parafii. Wśród ludności tamtejszej niewielu jeszcze liczyłem katolików, a na resztę mieszkańców również silny, jak zgubny wpływ wywierali pogańscy czarownicy.

»Pewnego razu wszedł do mego mieszkania jakiś nieznajomy, którego powierzchowność nie wydała mi się bynajmniej sympatyczną, a oczy, unikające starannie mego wzroku, nie budziły również zaufania.

— Mój ojcze, — rzekł nieznajomy — jutro przyniosą ci do chrztu dziecię i przyszedłem, aby cię uprzedzić, że będę jego ojcem chrzestnym.

— Zanim ci odpowiem — odrzekłem — musisz mi powiedzieć, czemu nie zdjąłeś kapelusza?

»Na te słowa przybysz zawahał się nieco, poczem bardzo niechętnie odkrył głowę i wówczas spostrzegłem, że miał włosy splecione tak, jak je noszą tylko tamtejsi czarownicy. Oświadczyłem mu wtedy, że jako czarownik nie może wziąć udziału w żadnej religijnej naszej ceremonii;

radziłem, aby nazajutrz nie przychodził do kościoła, jeżeli nie chce się narazić na publiczne upokorzenie. Gdy jednak pomimo tego przyszedł z całą swą rodziną, zmuszony byłem nie przyjąć go na ojca chrzestnego, co go doprowadziło do takiego rozjątrzenia, że wychodząc z kościoła, zawołał: »Popamiętasz mię, ojcze Dumas, — zobaczysz, jak się zemszczę!«

»W kilka dni później służąca moja spotkała go na targu. Sprzedawał on kurę i kilku osobom odmowną dał odpowiedź, a zobaczywszy moją kucharkę, ucieszył się widocznie, zgodził się natychmiast na ofiarowaną przez nią cenę i oddał jej kurę. Nazajutrz, dnia 1 października 1894 r., podano mi tę kurę na obiad i w smaku jej nie zauważyłem nic nadzwyczajnego.

»Wieczorem rozpocząłem miesięczne nabożeństwo różańcowe i właśnie wszedłem na kazalnicę, aby wygłosić naukę, gdy nagle zrobiło mi się nie dobrze. Słowa i myśli zaczęły mi się plątać, w oczach mi się ściemniło, nogi uginały się podemną. Zaniesiono mię na plebanię, gdzie natychmiast dostałem dreszczów, wymiotów i innych objawów otrucia. Mały mój służący, który jadł także ową nieszczęsną kurę, również ciężko zachorował. Pies nawet, który zjadł z niej kości, wkrótce potem żyć przestał. Ocalała tylko kucharka, która nie skosztowała nawet kury i której całe zachowanie się dawało wiele do myślenia.«

Ks. Dumas był więc ofiarą zemsty czarowników i podobnie, jak kilku innych kapłanów, miał umrzeć skutkiem działania bardzo gwałtownej trucizny. W pierwszych dniach choroby, jakeśmy już wspomnieli, miał wymioty, dreszcze i silną gorączkę, poczem nastąpiły objawy paraliżu, który owładnął naprzód nogi, a następnie i ręce. Biedak nie mógł na swem łóżku żadnego wykonać ruchu, a wycieńczenie jego niezmiernie szybkim postępowało krokiem. Ucierpiał również bardzo na umyśle, stracił pamięć, szczególniej o rzeczach najświeższych, a kiedy mu zadawano jakie pytanie, zapomniał o niem wprzód, niż zdołał odpowiedzieć, lub urywał na pierwszych paru słowach rozpoczęte przez siebie zdanie. Widok tego biednego kapłana był prawdziwie okropnym; wychudłe jego rysy i błędne oczy zupełnie pozbawione były wyrazu. W lutym, t. j. w pięć miesięcy po opisanym powyżej wypadku, spróbowano posadzić chorego na łóżku, lecz o tem, by się mógł on jeszcze utrzymać na nogach, nie było mowy. Wreszcie w maju, widząc, że nie będzie mógł już nigdy po dawnemu wypełniać obowiązków kapłańskich, postanowiono odwieźć go do Francyi i wikaryusz generalny przylądka Haiti miał mu towarzyszyć w tej podróży. Lekarze, którzy go pielęgnowali, dali mu następujące świadectwo:

»Niżej podpisani, Dr. Ulpiano Dellundi z Barcelony i Dr. Achilles Hamon z Paryża, lekarze na przylądku Haiti, stwierdzamy, że leczyliśmy

ks. Leona Dumas'a, kapłana tutejszej dyecezyi, od dnia 6 października 1894 do dnia 10 kwietnia 1895 r. Jest on dotknięty paraliżem nerwów, który przeszedł już w stan chroniczny i odznacza się następującymi objawami, zwłaszcza w dolnych kończynach: bolami rozmaitego rodzaju w mięśniach, wywoływanymi za najlżejszem nawet ciśnieniem, porażeniem prawie zupełnem i wysychaniem muszkułów, przy czem skóra jest zawsze lśniącą, pomarszczoną, zwłaszcza, gdy nogi wiszą; utratą pamięci i brakiem jasności myślenia«.

Przylądek Haiti dnia 16 października 1895 r.

Dr. Dellundi, Dr. Hamon.

We Francyi Dr. Chavanis, z Saint-Etienne, napróżno próbował wszelkiego rodzaju kuracyi, zastosowywanej w podobnych wypadkach, jak naprzykład elektryzowania, nacierania, masażów i t. p.

W chwili przybycia do Lurd, dnia 5 września, Ks. Dumas znajdował się w opłakanym stanie.

Zawieziono go na wózku do Groty, a potem do sadzawki. Po pierwszej kąpieli uczuł się nieco zdrowszym i uszedł kilka kroków. O drugiej godzinie popołudniu wziął drugą kąpiel, po której natychmiast się wyprostował, zaczął chodzić z łatwością i udał się naprzód do Groty, a następnie do biura sprawdzań.

»Tam właśnie — dodaje Dr. Boissarie — usłyszeliśmy z ust jego umieszczone już powyżej opowiadanie. Uzdrowienie jego, że tak powiem, »uzupełniło się« w naszych oczach. Chód jego był jeszcze z początku trochę chwiejny, ruchy niezręczne, jak u człowieka, który oddawna od nich się odzwyczaił, a na twarzy, obok niewysłowionej radości, malowały się ślady przebytych cierpień. Pamięć i bystrość umysłu wracały ze zdumiewającą szybkością. Rzecby można, że nagle jakaś chmura rozdarła się przed oczami jego duszy, a myśl przenosiła się do tej krainy, w której omal nie umarł męczennikiem, a dokąd apostolska wzywała go praca«.

Nazajutrz ks. Dumas, po raz pierwszy od dnia 1 października 1894 r. t. j. od jedenastu miesięcy, odprawił Mszę świętą. Wkrótce potem wyjechał, a dnia 23 listopada pisał do Dra Boissarie, co następuje:

»Uzdrowienie moje jest zupełnem. Codziennie odprawiam Mszę świętą bez najmniejszego zmęczenia. Lekarz z Saint-Etienne zdziwił się niezmiernie, ujrzawszy mię chodzącym. Mam nadzieję, że niebawem będę mógł wrócić do Haiti, lecz nie wiem jeszcze, kiedy to nastąpi«.

Wreszcie X. Ribault, protonotaryusz apostolski i wikaryusz generalny przylądka Haiti, napisał do Dra Boissarie dnia 9 listopada list następujący:

Szanowny Panie Doktorze!

»W przeciągu sześciu miesięcy widziałem ks. Dumas'a przykutego do łoża boleści. Z dyecezyi przylądka Haiti przywiozłem go do Francyi, jako paralityka, nie mogącego wcale chodzić, i w takim stanie ujrzałem go w rodzinnem jego mieście Saint-Etienne przed samym wyjazdem młodego tego kapłana do Lurd, a po powrocie stamtąd zobaczyłem go już zupełnie uzdrowionego z tej choroby. Bardziej, niż ktokolwiek inny, mogę ocenić nadzwyczajną i cudowną łaskę, jaką Najświętsza Panna z Lurd wyświadczyć mu raczyła. Zawiadomiłem o tem uzdrowieniu ks. Biskupa z przylądka Haiti i otrzymałem od niego świadectwo, podpisane przez dwóch lekarzy, którzy w przeciągu pół roku chorego tam pielęgnowali. Przesyłam panu to świadectwo, sądząc, że może mu się przydać [1]). Obaj ci lekarze sądzili, tak jak i ja, że choroba X. Dumas'a wynikła z otrucia go przez jednego z członków niecnej, szatańskiej sekty »Wodów« — co pozwalało mi się spodziewać, iż Najświętsza Panna raczy uzdrowić biednego tego kapłana.«

E. Ribault,
protonotaryusz apostolski na przylądku Haiti.

»Dodać jeszcze musimy — kończy Dr. Boissarie — pewien nader ważny, a zarazem wzniosły szczegół. Oto gdy ks. Dumas opowiadał nam o długich swych cierpieniach, pewien człowiek słuchał go z najżywszem wzruszeniem. Odtąd nie opuszczał prawie ani na chwilę młodego uzdrowionego kapłana, ciągle się w niego wpatrywał i niezliczone zadawał mu pytania. I on również otrzymał nadzwyczajne łaski, lecz później pomimo tego wpadł w zniechęcenie i zwątpienie. Na widok tego kapłana, odrodzonego niemal w jego oczach, w sercu nieszczęśliwego zmartwychwstała dawna wiara i pobożność, a oczy napełniały się co chwilę łzami serdecznej skruchy. Czy przybył on podobnie, jak ks. Piotr Froment Zoli, aby znaleźć w Lurd rozstrzygnięcie swoich wątpliwości?... Prawdopodobnie, lecz był o tyle szczęśliwszym od tego urojonego księdza z powieści, że upadł do nóg kapłana i w trybunale pokuty wyznał mu swoje błędy, poczem odrodził się do życia nadprzyrodzonego i wysławiał głośno miłosierdzie Boże, którego był nietylko świadkiem, ale i przedmiotem«.

Czemże są zaiste uzdrowienia fizycznych dolegliwości wobec tych uzdrowień duszy, w których ani ręka ludzka, ani siły przyrody nic zdziałać nie mogą, gdyż są one wyłącznie wynikiem tajemniczego działania łaski!

5. We wrześniu 1890 roku ks. Sonnois, biskup w Saint-Dié, przybył do Lurd na czele pielgrzymki alzacko-lotaryngskiej. O jeden dzień

[1]) Świadectwo to przytoczyliśmy już powyżej.

wcześniej, to jest dnia 4 września, przyjechał tam także ks. Albert Sonnois, brat i wikaryusz jeneralny biskupa, zbyt cierpiący, aby mógł dzielić wspólnie z pielgrzymami wszystkie trudy podróży.

Ks. Albert Sonnois.

Był on chorym już od lat piętnastu. Pierwsze objawy choroby okazały się na wiosnę 1877 roku, a polegały na bolach w karku, wzdłuż kolumny pacierzowej, jak również w nogach i stawach. Ból ten dotkliwy i przeszywający, jak ostrze włóczni, zagnieżdżał się powoli wszędzie,

a przedewszystkiem w dolnych kończynach. Podczas ostatniego wielkiego postu ks. Sonnois przebywał często na zimnie i wilgoci, to więc stało się głównem zródłem jego choroby. Sięgając atoli myślą w przeszłość, przypomniał sobie, że już w dwudziestym pierwszym roku życia, podczas studyów filozoficznych w seminaryum, doświadczał podobnych cierpień, które zmusiły go nawet do przerwania na czas pewien nauki.

Okres ciągłego niemal bolu trwał przez lat siedem, od 1877 do 1884 roku, poczem chód stał się utrudnionym i chwiejnym, chory nie mógł stać z zamkniętemi oczyma, aby natychmiast nie upaść, a nawet pisał z trudnością, gdyż ręka źle kierowała piórem. Na domiar tego dolne kończyny tak dalece straciły czucie, że zimno i gorąco jednakie na nie wywierały wrażenie. Wzrok również słabł stopniowo tak, że chory coraz mniej mógł czytać.

Wobec tak ciężkiej choroby, której ciągłe postępy zdawały się nader smutny zapowiadać koniec, bracia ks. Sonnois, słusznie zaniepokojeni, uznali za właściwe zawieźć go do Paryża. Tam umieścili go u Braci świętego Jana Bożego i powierzyli lekarskiej pieczy profesora Potain.

Dr. Potain uznał różnorodne, powyżej opisane cierpienia za objawy reumatyzmu w całym organizmie. Przepisał więc salicylę i kąpiele parowe, ale niebawem żołądek przestał znosić lekarstwa, a kąpiele pogorszyły jeszcze stan chorego, który w chwili wyjazdu z Paryża, po półtrzeciamiesięcznym pobycie, czuł się daleko bardziej cierpiącym, niż przedtem.

Afazya czyli wadliwość mowy, która wówczas dopiero się objawiła, zwiększała się z dniem niemal każdym. Ks. Sonnois nie znajdował już często właściwego wyrażenia i mówił coraz niewyraźniej. Stracił także zupełnie sen, a myśli bardzo często mąciły mu się w głowie. W przeciągu lat trzech nie mógł ani odprawiać Mszy świętej, ani nawet odmawiać brewiarza. Taki stan zdrowia doprowadził go nieznacznie do melancholii, a nawet w przeciągu kilku miesięcy biedny kapłan ulegał pokusom samobójstwa, których daremnie starał się pozbyć.

Lekarz i przyjaciel ks. Sonnois, który go przez czas długi pielęgnował w Auxonne, napisał do Dra Boissarie obszerny list i odmalowawszy w nim szczegółowo cały przebieg i rozwój choroby, zakończył następującemi słowy:

»Wszystkie powyższe objawy, jak również następstwo ich po sobie doprowadziły mię do wniosku, że pacyent mój dotknięty został ataksyą [1])

[1]) Tak się nazywa zaburzenie w organiźmie, wywołujące zanik harmonijnego współdziałania muszkułów przy dobrowolnych ruchach, pomimo zachowania ich siły, przy czem wszystkie ruchy bywają zwykle niepewne, nieodpowiednie swemu celowi, ociężałe i powolne.

i żadne zastosowane względem niego środki lecznicze nie zdołały powstrzymać postępów tego kalectwa«.

Ks. Sonnois przybył do Lurd dnia 4 września, we czwartek wieczorem. Wówczas właśnie jego cierpienia doszły do najwyższego stopnia. Przyczyniły się do tego i trudy podróży.

Dnia 5 września udał się on do sadzawki, lecz kąpiel żadnej nie przyniosła mu ulgi. Tegoż samego dnia wieczorem był u swego brata biskupa, gdy ks. Nöel przyszedł do niego z zapytaniem, kto odprawi nazajutrz Mszę dziękczynną dla pielgrzymów. »Ja!« — odparł nasz chory. — Spojrzano nań ze zdziwieniem, biorąc słowa jego po prostu za kaprys; a kiedy ks. Sonnois zaczął nalegać, dano mu wymijającą odpowiedź.

Nazajutrz dnia 6 września ks. Sonnois, podtrzymywany przez dwóch służących, z trudnością doszedł do groty i usiadł na krześle, aby wysłuchać Mszy św., odprawianej tam właśnie przez jego brata. Po skończonej Mszy świętej, na jego naleganie, podniesiono go, ubrano w szaty kapłańskie i zaprowadzono do ołtarza.

»Chciałem uklęknąć — opowiada sam ks. Sonnois — i uczyniłem to z łatwością, potem również łatwo wstąpiłem na stopnie ołtarza, wykonywałem wszystkie przepisane ruchy i dopełniłem wszelkich ceremonii, połączonych z ofiarą Mszy św., bez najmniejszej trudności lub znużenia. Nagle, w przeciągu jednej chwili, znikły wszelkie objawy choroby. — Stałem prosto, jak dawniej, odzyskałem wzrok, oddawna już do najwyższego stopnia osłabiony, a trzęsące się przed tem ręce nabrały siły, swobody i pewności ruchów. Byłem uzdrowionym!

»W przeciągu całego tego dnia chodziłem bardzo dużo. Wieczorem doznałem silnego bolu w lędźwiach, lecz był to już ostatni ślad mojej choroby. Odtąd pędziłem nader czynne życie. Nie potrzebowałem się uchylać od wypełnienia jakiegokolwiek obowiązku i nie uczuwałem już nigdy żadnych cierpień, przypominających dawną chorobę«.

Natychmiast po powrocie do Saint-Dié, gdzie brat jego wówczas był biskupem, ks. Sonnois zaczął odbywać jeszcze wycieczki w góry, przebywając po dziesięć kilometrów na dobę, a obecnie, na stanowisku wikaryusza generalnego, pracuje conajmniej po osiem godzin codziennie. W jednym z ostatnich swych listów pisze jeszcze: »Sen, który w przeciągu lat całych nie chciał skleić mych powiek, wrócił mi zupełnie, wzrok mam wyborny, a zasób sił większy, niż kiedykolwiek. Pod względem fizycznym jestem pełen życia, a pod względem moralnym pełen zapału i energii, tak, że śmiało z najwyższą radością i wdzięcznością mogę twierdzić, iż u stóp Najświętszej Panny z Lurd całkowicie odzyskałem zdrowie«.

Należy jeszcze dodać, że sam ks. Sonnois nie śmiał ani się spodziewać swego uzdrowienia, ani też o nie błagać. «Przybyłem — opowiadał później sam — w celu wyjednania sobie łaski szczęśliwej śmierci lub przynajmniej pewnego polepszenia w stanie mego umysłu, niczego bowiem nie obawiałem się tak bardzo, jak obłąkania«.

Również śmiało twierdzić możemy, że uzdrowienie to nie mogło być przewidzianem przez lekarzy, należy bowiem do faktów nadzwyczajnych, przewyższających zakres ich wiedzy. Wogóle dla wytłumaczenia podobnych faktów wynaleziono bardzo wygodne wyrażenie, przypisując je działaniu tak zwanej »autosuggestyi«. — Autosuggestya jest to absolutny wpływ ducha na ciało, wpływ mogący usunąć niekiedy w jednem mgnieniu oka najcięższe nawet i najbardziej zadawnione zaburzenia w organiźmie. Gdyby tak było istotnie, to wpływ ten spostrzegalibyśmy na każdym kroku. Ale w istocie tak nie było. Suggestya wymaga do swego działania przygotowanego lub odpowiedniego pola, a takiego usposobienia nie znajdujemy bynajmniej u ks. Sonnois. Dzięki swej oświeconej wierze wiedział on dobrze, iż może w Lurd zostać uzdrowionym, lecz o tem nie marzył, nie myślał, tego się nie spodziewał... poddał się zupełnie w tym względzie woli Bożej.

Zapytany przez Dra Boissarie, czy w jego rodzinie nie było jakich cierpień nerwowych lub dziedzicznych, któreby mogły przynajmniej do pewnego stopnia wytłumaczyć jego chorobę, — »Nie, — odparł — rodzice moi umarli w bardzo podeszłym wieku, bo mając przeszło lat ośmdziesiąt, a trzej bracia, z których jeden jest arcybiskupem w Cambrai, a dwaj generałami, wybornem cieszą się zdrowiem«.

Zresztą w takich rodzinach nie zdarzają się owe szczególne objawy, w których rozum i wola podlegają na oślep wrażeniom, a tembardziej niepodobna tu zastosować teoryi o suggestyi, działającej tylko na jednostki pod względem umysłowym upośledzone lub anormalne.

Pewien paralityk, którego już od lat kilku napotykamy w Lurd na wózku pomiędzy innymi pielgrzymami, rzekł raz, wskazując na ks. Sonnois i na uzdrowioną również Siostrę Juliannę: »Co zrobili ci szczęśliwi wybrańcy losu, żeby zostać uzdrowionymi? Jeżeli to tajemnica, niech mi ją powiedzą, gotów bowiem jestem do wszelkich ofiar, aby odzyskać zdrowie i potrafię utrzymać sekret. Kąpię się tak, jak oni, ufam w dobroci i miłosierdziu Matki Boskiej, ciągle prawie się modlę, a jednak nic wyjednać dla siebie nie mogę«... Dlaczego?... Czy dlatego, że nie miał autosuggestyi?... Na pytanie jego Siostra Julianna odpowiedziała: »Przybyłam tu z rozkazu mojej przełożonej, umierającą zanurzono mię w źródle, a wyszłam z niego uzdrowioną. Więcej nic nie

wiem«. — Co się tyczy ks. Sonnois, to na pytanie owego paralityka odpowiedziałby zapewne następującemi słowy jednego z późniejszych swych listów: »Któż zdoła zgłębić zamiary Opatrzności Boskiej«!

ROZDZIAŁ X.

Uzdrowienia podczas procesyi z Najśw. Sakramentem.

PIERWSZE PROCESYE Z NAJŚW. SAKRAMENTEM. – UZDROWIENIE NINY KIN. – STOSUNEK UZDROWIONYCH PODCZAS PROCESYI WZRASTA Z 16 NA 60 PROCENT. – GŁÓWNE UZDROWIENIA PODCZAS PROCESYI: 1. MARYA HOREAU. – 2. PANI FACQ. – 3. AMELIA GIMARD. – 4. JOANNA GASTEAU. – 5. MAŁGORZATA SAVOYE. – 6. KAROL BRON. – 7. JOANNA TULASNE. — 8. BENEDYKTA CROZET. – 9. URZĘDNIK POCZTOWY GARGAM. – WNIOSKI. — SUGGESTYA W LURD.

Nowoczesna nauka wyszukuje już od dawna rozwiązania tajemnicy tak licznych, a przedziwnych uzdrowień w Lurd: »Czy my wiemy — mówi śmiało, nie lekarz, lecz »romansopisarz« Zola, — że w pewnych warunkach zimna, lodowata woda nie może uzdrowić suchotnika?« Lecz w Lurd wielka, a nawet większa część uzdrowień ma miejsce nie w cudownej wodzie, w sadzawce, w »tajemniczem« odosobnieniu, — lecz w jasny dzień, w oczach tysięcy świadków, podczas procesyi z Najśw. Sakramentem, gdzie, wedle nauki naszej katolickiej wiary, przebywa utajony Pan Jezus, Nasz Bóg i Zbawca — i niesiony w rękach kapłana przechodzi pośród licznej rzeszy, uzdrawia chorych na ciele i duszy, czyni cuda uzdrowień, cuda nawróceń, które oczom ciała niewidzialne, nieraz są większym dowodem działania siły nadprzyrodzonej, aniżeli nawet nagłe uzdrowienia chorób cielesnych!

Procesye te z Najśw. Sakramentem rozpoczęły się w roku 1888 i co roku przybierają coraz większe i wspanialsze rozmiary.

»Gdym pierwszy raz zobaczył tę procesyę — pisze Dr. Boissarie — zrobiła na mnie wrażenie ogromne! Pielgrzymi stali po obu stronach z zapalonemi świecami w rękach, a pomiędzy nimi szli chorzy w liczbie 500 do 600 powoli, krok za krokiem, podtrzymywani przez innych. Tu matka niesie chore dziecię, tam dzieci prowadzą chorą matkę, innych, nie mogących chodzić, niosą na noszach. Wszyscy ci chorzy grupowali się koło Najśw. Sakramentu, mając oblicze rozpromienione nadzieją, z oczyma utkwionemi w Boga utajonego, z gorącą modlitwą na ustach. Widok i wrażenie były nie do opisania. Nawet nie wierzący byli pod ogromnym wpływem tego widoku«.

W r. 1888 liczba uzdrowień podczas procesyi wynosiła 16 procent czyli na 40 uzdrowień w sadzawce było 7 uzdrowień podczas procesyi.

W r. 1898 było już na 75 uzdrowień w źródle — czterdzieści pod czas procesyi; tak więc liczba uzdrowień w przeciągu lat 10 wzrosła z 16% na 60%. Nieraz uzdrowienie rozpoczęło się w sadzawce, a dokonało podczas procesyi, nieraz i odwrotnie, ale rzadziej. W bardzo wielu wypadkach, gdy kąpiel w cudownej wodzie nie przyniosła najmniejszego polepszenia, uzdrowienie nastąpiło nagle podczas procesyi.

Pierwszem było uzdrowienie Niny Kin, panny 22 letniej, ze szpitala paryskiego. Butla zawierająca 25 litrów kwasu siarczanego wylała się na nią i poparzyła ją w straszny sposób. Skutkiem tego, choć wyle-

Chorzy w Lurd, oczekujący na procesyę z Przenajśw. Sakramentem.

czona z ran, ale mając nerwy i muszkuły zniszczone, chora nie mogła od 10 miesięcy chodzić. Napróżno próbowano wszelkich sposobów leczenia, jak masażów, elektryzacyi, polepszenia nie było żadnego. Wtedy wybrała się ona do Lurd. Zanurzono ją dwukrotnie w sadzawce bez najmniejszego skutku. 22 sierpnia leżała ona na swem posłaniu przed Grotą wtedy, gdy koło niej przechodziła procesya z Najśw. Sakramentem. Czuje w sobie nagle silny jakiś popęd, jakaś siła potężna podnosi ją z posłania, chora wyskakuje z łoża, przełazi przez liczne nosze, które ją otaczają, i idzie za procesyą krokiem zupełnie pewnym.

Liczba uzdrowień podczas tych procesyi rośnie z roku na rok coraz bardziej; w roku 1898 na 60 cudownych uzdrowień było 40 podczas procesyi. Skutkiem tego i wiara i nabożeństwo ku Najśw. Sakramentowi wzrastały coraz bardziej. W roku 1888 było w Lurd dwieście trzydzieści trzy tysięcy Komunii św., a w roku 1896 było już czterysta tysięcy!

Opowiemy tu kilka najwybitniejszych natychmiastowych uzdrowień, podczas procesyi z Najśw. Sakramentem.

1. W r. 1889, między innymi odzyskała wzrok ślepa 19 letnia panna Marya Ludwika Horeau. Prosiła ona swą przyjaciółkę, która ją przyprowadziła, aby jej powiedziała, kiedy Pan Jezus w Przenajśw. Sakramencie będzie koło niej. Procesya się zbliża. Przyjaciółka zwraca uwagę ślepej. Ta upada na kolana i woła: »Panie! jeśli chcesz, możesz mnie uzdrowić! Panie! spraw to, abym przejrzała!« W tej chwili jasność wielka uderzyła ją w oczy, uczuła w nich ból bardzo ostry... i p r z e j r z a ł a! Ujrzała grotę, liczną rzeszę ludu klęczącego i samego Pana Jezusa w Przenajśw. Sakramencie, promieniejącego blaskiem chwały, który jej błogosławił. Od tej chwili miała wzrok doskonały. »Badałem jej oczy — mówi Dr. Boissarie — miały jasność i czystość zupełną«.

2. Pani Facq z Pont-à-Mousson, matka dziesięciorga dzieci, licząca czterdzieści cztery lata, była od lat pięciu sparaliżowaną. Zaniesiono ją do sadzawki zemdloną, prawie umierającą. Czyż miano ją kąpać w takim stanie?... Rozebrano jednak biedną chorą i zanurzono w wodzie, poczem nieszczęśliwa dostała już przedśmiertnej czkawki i wargi jej zsiniały. Było to konanie — początek końca. Zaczęto już nawet odmawiać modlitwy za konających.

W tejże samej chwili srebrny odgłos dzwonka zapowiedział procesyę ze zbliżającym się Przenajświętszym Sakramentem. Z największym więc pośpiechem wywieziono chorą nawpół ubraną, na drogę, którą miał przechodzić Pan nasz Jezus Chrystus, utajony w Hostyi. Pomimo ulewnego deszczu panie, pielęgnujące chorych w szpitalu, uklękły w błocie obok konającej. Jedna z zakonnic zawołała ją po imieniu i próbowała podnieść jej głowę. Daremne usiłowania, głowa opadła bezwładnie i oczy się nie otwarły.

W tejże chwili nadszedł kapłan z Przenajświętszym Sakramentem. Nagle chora się wyprostowała, otworzyła oczy i utkwiła w monstrancyi. Po chwili podniosła się, wstała i podążyła na spotkanie Przenajświętszej Eucharystyi, przed którą upadła na kolana. Kapłan oparł na chwilę monstrancyę na jej głowie, poczem uzdrowiona wstała i boso, brnąc w błocie, zaczęła iść za procesyą, chcąc jej towarzyszyć aż do bazyliki. Z trudnością zdołano uzdrowioną od tego powstrzymać i odprowadzić do przytuliska dla pielgrzymów.

3. Panna Amelia Gimard z Bordeaux brała udział w pielgrzymce narodowej francuskiej r. 1890. Uzdrowioną została w niedzielę d. 24 sierpnia w chwili, gdy przechodziła procesya z Przenajświętszym Sakramentem. Sparaliżowana od lat siedemnastu i trzech miesięcy, nie będąc w stanie od lat wielu znieść jakiegokolwiek pokarmu stałego i żywiąc się jedynie niewielkiemi dawkami rosołu lub mleka, była tak wycieńczoną, że wogóle fakt utrzymania jej się przy życiu podziw wzbudzić musiał: miała ona skórę tylko i kości, muszkułów nie było ani śladu, a nogi jej były wychudłe, jak u szkieletu.

Amelia Gimard.

W takich to warunkach fizycznych powstała ona nagle z noszów podczas procesyi z Najśw. Sakramentem i pewnym krokiem podążyła za procesyą, wbrew wszelkim podstawom fizyologicznej wiedzy: okazało się bowiem wobec wszystkich, że muszkuły i ścięgna w porządku nadprzyrodzonym nie są jakoby rzeczą konieczną i że bez nich chodzić i poruszać się można.

Lekarze, którzy leczyli pannę Gimard, nie byli w stanie zapanować nad zdumieniem, w jakie ich wprawiło to uzdrowienie nagłe i nie dające się wytłumaczyć. Paraliż, który trwał lat siedemnaście, któremu towarzyszyły ciężkie organiczne komplikacye i zupełny zanik muszkułów, to nie jest rzecz, którąby się w jednej chwili dała usunąć!

Panna Gimard miała lat czterdzieści, gdy w r. 1873 musiała się położyć do łóżka z powodu choroby, którą na razie jej lekarz poczytał za chorobę szpiku pacierzowego. Zaraz od początku okazał się paraliż,

to jest niemożność chodzenia; chora zrazu mogła jeszcze siedzieć w fotelu na kółkach, w którym przesuwano ją z jednego pokoju do drugiego, ale po niedługim czasie i ten sposób stał się dla niej trudnym, uciążliwym, tak, że musiano go zaniechać.

W ostatnich latach, chcąc przenieść chorą z jednego łóżka na drugie, trzeba było podsunąć pod nią prześcieradło i na tem prześcieradle ostrożnie ją przenosić. Wzrok jej osłabł tak, że musiała zaniechać nietylko wszelkiej pracy, ale nawet wszelkiej rozrywki. Godziny wlokły się powoli, pośród nieustannych cierpień, bez żadnej ulgi. Na domiar nieszczęścia i siostra panny Gimard, która się nią opiekowała, prawie zupełnie wzrok utraciła. »Nieraz, — jak opowiadała panna Amelia Gimard — zdawało mi się w nocy, że słyszę kroki i szelest w sąsiednich pokojach; sądziłam więc, że złoczyńcy zakradli się do naszego domu. Nie śmiałam jednak prosić siostry, aby się o tem przekonała, bo widzieć już nie mogła: i tak spędzałyśmy noc obie w śmiertelnej trwodze, zamknięte w naszym pokoju«.

W r. 1884 panna Gimard przybyła do Lurd wraz z pielgrzymką z Bordeaux. Modliła się, kąpała się w cudownej wodzie, żadnej jednak nie doznała ulgi. »Zdaje mi się, — powiada ona, że wtenczas złe poruszenie wewnętrzne mojej miłości własnej stanęło na przeszkodzie działaniu łaski nademną, a to z powodu następnego:

»No! no! moja biedna kobiecino, jakoś to będzie!«, rzekli do mnie tragarze, gdy mnie wprost z wagonu kładli na nosze.

»Moja biedna kobiecino!« — ten sposób mówienia dotknął mnie niemile; nie chciałam bowiem być stawianą na równi z ubogimi. Nazajutrz zażądałam, aby mię ubrano i przystrojono w rozmaite resztki moich niegdyś pięknych toalet. Z wielkim trudem spełniono to moje życzenie, bo sama nie mogłam się poruszać. Wszystkie te starania i zabiegi okazały się niepożytecznemi, a nawet szkodliwemi, bo odwracały myśl moją od głównego celu i przedmiotu mojej podróży.

»Powróciłam tedy do Bordeaux, zawsze w tym samym stanie, a w latach następnych stan mój jeszcze bardziej pogorszył się pod każdym względem. Przez ostatnie trzy lata przed uzdrowieniem żołądek mój zaprzestał trawienia; odżywiano mnie wyłącznie rosołem i mlekiem, nie mogłam bowiem znieść żadnego stałego pokarmu. Wychudłam strasznie; skóra i kości tylko na mnie zostały, tak, że stałam się prawdziwym szkieletem«.

Proboszcz panny Gimard, widząc jej stan beznadziejny, poradził jej, aby się zapisała do liczby uczestników pielgrzymki narodowej z roku 1890. Ale czy będzie miała siłę do zniesienia trudów tej podróży? Lekarz jej, Dr. Aumont, oświadczył, że można się na to odważyć, — i wy-

dał jej świadectwo, stwierdzające cały przebieg choroby, które dołączyliśmy do dokumentów, dotyczących jej uzdrowienia.

Siostra panny Amelii i jedna zakonnica z zakładu Dobrego Pasterza, towarzyszyły chorej: dwie towarzyszki, to nie za wiele do czuwania nad osobą, tak ciężko dotkniętą. W Lurd chora została umieszczoną w szpitalu Siedmiu-Boleści w sali św. Kamilla. Dnia 22 i 24 sierpnia zaniesiono chorą, po dwa razy dziennie, do cudownej sadzawki; ale polepszenia nie było żadnego.

W niedzielę d. 24 wybierali się wszyscy chorzy na procesyę z Przenajświętszym Sakramentem. Panna Gimard, zniechęcona, nie chciała wcale ruszyć się ze swego łóżka w szpitalu. Po cóż narażać się bezowocnie na nowe trudy? Ale pan Blavignac, aptekarz z Bordeaux, nalegał na nią i wpół dobrowolnie, wpół przemocą, kazał ją położyć na noszach i zanieść do świętej Groty. W tym pośpiechu zaledwo zdołano ją ubrać i upiąć jako tako jej suknie. Potem złożono ją przed Grotą, gdzie wzięła udział w modlitwach chorych, którzy ją otaczali.

W chwili, gdy się zbliżał do niej Przenajświętszy Sakrament, niesiony w monstrancyi przez ks. Gouzot'a, arcybiskupa z Auch, ogarnęło ją dziwne wrażenie: »Zdawało mi się, — opowiadała sama potem — że zostałam podniesioną w górę z moich noszów. Doznawałam takiego uczucia, jak gdybym leżała na fali, która mnie w górę wznosiła. To uczucie trwało około pięciu minut.

»Zaczęłam się modlić na nowo, i starałam się zapomnieć o tem, co uczułam, aby odzyskać trochę skupienia ducha. Tymczasem procesya postępowała dalej. Przenajświętszy Sakrament przechodził po raz drugi pomiędzy szeregami chorych, a gdy już do mnie się zbliżył, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, podniosłam się z mojego łoża, wstałam i poszłam za Nim pewnym, śmiałym krokiem.

»Suknie moje, które się na mnie ledwie trzymały, poczęły opadać; osoby, które mnie otaczały, zatrzymały mnie i starały się upiąć je na mnie; na nogach miałam tylko liche pantofle i brnęłam w błocie aż po kostki, idąc po ziemi rozmokniętej od nieustannych deszczów. Ale nic nie było w stanie mnie powstrzymać; szłam naprzód, bez żadnego wahania, przebywając w ten sposób przestrzeń od groty aż do środka placu przed kościołem Matki Boskiej Różańcowej, to jest przeszło dwieście metrów. W około rozbrzmiewała pieśń hymnu *Magnificat!*

»Moja siostra i zakonnica, które w owej chwili nie były przy mnie i nie mogły mnie widzieć, bo tłum nas rozdzielał, słysząc ten śpiew, rzekły jedna do drugiej: »A może to Amelia uzdrowioną została?« Przedzierają się więc wśród ciżby i spostrzegają mnie, z ubraniem w nieładzie, ale z twarzą promieniejącą, a dokoła mnie rozentuzyazmowane

tłumy. Na ten widok nadzwyczajne ogarnęło je wzruszenie. Po chwili zatrzymały mnie i zaprowadziły do kościoła Matki Boskiej Różańcowej, gdzie na nowo zaczęto śpiewać *Magnificat*. Po wyjściu z kościoła poszłam znowu pieszo i bez niczyjej pomocy, aż do środka wielkiej ulicy, a stamtąd na wózku ręcznym wróciłam do szpitala.

»Już od trzech lat nie przyjmowałam żadnego stałego pokarmu. Pewna pani w szpitalu rozdawała ciastka pomiędzy chorych i mnie niemi poczęstowała. »Ja nic przyjąć nie mogę, odrzekłam, bo mój żołądek znosi tylko rosół i mleko«. Na to rzekł pewien ksiądz, który się tam znajdował. »Ależ w Lurd każdy wszystko jeść może«. Biorę tedy ciastko i jem z przyjemnością; potem proszę o drugie, a wreszcie kazałam sobie ich więcej nakupić, odczułam bowiem głód, którego zaspokoić nie mogłam, tak że sobie nawet chleba do rosołu nakłaść kazałam. To uczucie głodu, które mi od dawna było nie znanem, przebudziło się nagle w całej pełni tak, że nie mogłam się nasycić.

»Nazajutrz pojechałyśmy. Chciałam iść pieszo, ale zdawało mi się, że stąpam po szpilkach. Nogi moje, które lat siedemnaście ani razu nie stanęły na ziemi, stały się nadzwyczajnie wrażliwe, pod podeszwami była tylko skóra tak cienka, że naskórka na niej zgoła nie było. Jednak po przybyciu do Bordeaux, do klasztoru Pań Kongregacyi Dobrego Pasterza, mogłam się pieszo udać do kaplicy i od chwili mojego uzdrowienia ani jednego dnia nie przeleżałam w łóżku. — (Niechby ktoś i najzdrowszy przymusowo leżał 17 lat na łożu, to z pewnością potem i kroku zrobićby nie mógł!)

»Gdy w Lurd dnia 24 sierpnia po procesyi wróciłam do szpitala, panie, które na godzinę przedtem mnie ubierały, zdumione były przemianą natychmiastową, jaka zaszła w stanie moich nóg. Nabrały one życia, naturalnej barwy i nawet wyraźnie przybrały ciała. W dniach następnych skutek ten stał się jeszcze widoczniejszym«.

Dr. M. Mesnard, profesor wydziału lekarskiego w Bordeaux, w tych słowach wyraził swoje zdumienie wobec faktu, który zdaje się urągać wszelkim zasadom fizyologii:

»Ja, niżej podpisany, profesor wydziału lekarskiego i lekarz szpitali w Bordeaux, ponownie stwierdzam w niniejszem świadectwie to, co już poprzednio sprawdziłem u panny Amelii Gimard, z zakładu zostającego pod opieką zakonnic Dobrego Pasterza, w Caudéran. Osoba ta podlegała *paraplegii*, której towarzyszył zupełny zanik muszkułów w dolnych kończynach ciała. Gdy ją, po powrocie z Lurd, widziałem znowu, panna Gimard chodziła dosyć dobrze, a ilość zdrowych ścięgn i muszkułów w nogach okazała się wystarczającą dla wprawiania ich w ruch. Opowiadała mi, że podczas pielgrzymki narodowej w Lurd, zdołała po-

wstać z posłania, oraz iść za procesyą z Przenajświętszym Sakramentem na przestrzeni dwustu metrów. Ten fakt, że mogła iść, będąc tak długo przedtem w stanie zupełnego zaniku ścięgn i muszkułów, zasługuje ze wszech miar na to, aby być stwierdzonym w świadectwie lekarskiem. Dodaję, że panna Gimard przez lat siedemnaście i trzy miesiące nie mogła wcale chodzić, leżała wciąż w łóżku, nie będąc nawet w stanie siedzieć na fotelu, — a po powrocie z Lurd przyszła pieszo do mojego gabinetu lekarskiego, przebywając przestrzeń około trzech kilometrów, poczem również pieszo odbyła tę drogę wracając do klasztoru, przy którym mieszka.

»Na dowód tego wydaję jej niniejsze świadectwo«.

Bordeaux, d. 2 października 1891 r. *Dr. Mesnard.*
Profesor wydziału lekarskiego.

Mamy więc tutaj chorą sparaliżowaną przez lat siedemnaście i trzy miesiące, której wszelkie możliwe środki, stosowane w podobnych wypadkach, nic nie pomogły i u której wycieńczenie organizmu doszło do takich granic, że po nich już tylko śmierć nastąpić może. Wzrok nawet u niej był osłabiony, a żołądek trawić zaprzestał. A oto w jednej chwili wszystkie te objawy choroby nikną; chora wstaje z posłania, chodzi o własnej sile, odczuwa głód i zupełne odzyskuje zdrowie.

Uzdrowienie to, tak nagłe, trwa już szereg lat i utrzymuje się w jednakowej mocy. Cudu tak oczywistego zaprzeczyć nie może nikt, chyba ten, którego zła wola skłania do przeczenia prawdzie.

4 Joanna Gasteau mieszkała w Paryżu, na placu des Petits-Pères naprzeciwko kościoła Panny Maryi Zwycięskiej i prawie pod osłoną tej świątyni. Zmuszona leżeć od wielu miesięcy, kazała sobie łóżko postawić koło okna, tak, aby módz patrzeć na kościół i mieć przed oczyma nieustający ruch wiernych, którzy tam uczęszczają, a oko jej sięgało aż do progu kościoła; stamtąd łączyła się z modlitwami pobożnych i obecną była myślą na wszystkich nabożeństwach.

Ci, którzy stale bywają w kościele Panny Maryi Zwycięskiej, często bardzo zauważyli tę, leżącą zawsze na tem samem miejscu przy oknie młodą dziewczynę, o twarzyczce trawionej gorączką, o oczach dziwnie błyszczących. Była ona jakby żywym obrazem owych młodych suchotnic, które śmierć już musnęła swojem skrzydłem i które krokiem mniej lub więcej przyśpieszonym podążają do nieuniknionego końca.

Joanna miała zaledwo lat siedemnaście, a chorą była już od lat pięciu; w roku 1887-ym, w którym przystąpiła do pierwszej Komunii św., odczuła początkowe objawy choroby. Pomimo bardzo starannego

leczenia przez kilku lekarzy i zastosowywania wszelkich znanych środków, choroba wciąż się rozwijała i nareszcie w listopadzie 1891 chora położyła się do łóżka, aby już nie powstać z niego, aż dopiero na skutek cudu Matki Boskiej w Lurd!

Do suchot płucnych przyłączyła się inna, bardzo ciężka choroba. Na wysokości bioder kość pacierzowa stała się nader wrażliwą na każde dotknięcie; wkrótce utworzył się w tem miejscu wrzód i zaznaczył się wypukłością na prawym boku. Była to, skutkiem tuberkuł stosu pacierzowego, tak zwana choroba Pott'a, która pogorszyła jeszcze bardziej stan zdrowia biednej pacyentki. Nieszczęśliwa była wygietą jakby w łuk, jedno biodro miała znacznie wyższe od drugiego, jedną nogę o wiele krótszą od drugiej: słowem musiała być podtrzymywaną z obu stron, aby z wielkim trudem uczynić choć parę kroków, gdy potrzeba jej było na chwilę wstać z łóżka. Osłabienie zwiększało się z dniem każdym.

W tych to warunkach życia, a właściwie bolesnego konania, Joanna zwróciła myśl swoją ku Najświętszej Pannie w Lurd. W rodzinie Gasteau kwitnęło zawsze nabożeństwo ku Maryi i na cześć Królowej niebios matka wszystkie swe dzieci do lat siedmiu ubierała w barwę niebieską. Dla Joanny zrobiła więcej jeszcze pod tym względem, gdyż w czwartym roku życia poświęciła ją w sposób szczególny na służbę Bogarodzicy i odtąd dziewczę miało przez całe życie nosić barwy Maryi. Sam pan Gasteau był także dobrym katolikiem i w ostatnich latach życia darował swym dzieciom piękną statuę Najświętszej Panny z Lurd.

Joanna więc zapisała się do grona chorych, mających wziąć udział w pielgrzymce narodowej. Chwila odjazdu się zbliżała... Ale jak tak daleko przewieźć chorą, wycieńczoną do najwyższego stopnia? Każdy utrzymywał, że było to zbyt ryzykowne przedsięwzięcie. Atoli Joanna wierzyła tak mocno, że jedynie w Lurd zostanie uzdrowioną, iż nic nie mogło jej odwieść od wykonania tego zamiaru.

Z największą przeto ostrożnością przewieziono ją na kolej i wsadzono do wagonu, gdzie każde wstrząśnienie wywoływało okropne cierpienia w zbolałem jej ciele. Podczas trzydniowej podróży chora wypiła tylko pół litra bulionu. Jakim sposobem mogła w takim stanie żywą dojechać do Lurd?... Sto razy raczej umrzeć była powinna w tej, tak uciążliwej podróży! A jednak w sobotę dnia 20 sierpnia rano szczęśliwie przybyła do Lurd. Z dworca zaniesiono ją wprost do Groty, gdzie przyjęła Komunię św., poczem udała się do szpitala Siedmiu Boleści Najświętszej Panny. Około trzeciej godziny popołudniu przywieziono chorą do sadzawki, lecz była tak osłabioną, że zemdlała w wodzie i po kąpieli uczuła się jeszcze bardziej cierpiącą, niż przedtem.

Wówczas właśnie rozpoczęła się zwykła procesya z Przenajświętszym Sakramentem, której codziennie towarzyszą chorzy, siedząc w wózku lub spoczywając na noszach, ustawionych w kilku szeregach. Spóźniwszy się nieco z powodu kąpieli, Joanna zaledwie w trzecim czy czwartym rzędzie znalazła dla siebie miejsce i w niebieskiej sukni, na której jaśniał medal »Dzieci Maryi«, bardziej jeszcze blada niż kiedykolwiek, leżała tam bez ruchu, bez słowa.

W chwili zbliżania się Przenajświętszego Sakramentu podniosła nieco głowę i otworzyła oczy, a nawet z pomocą matki usiadła podczas błogosławieństwa udzielanego przy Grocie.

»Gdy kapłan niosący Przenajświętszą Hostyę przechodził z powrotem pomiędzy szeregami chorych, — jak opowiadała sama Joanna, — wówczas usłyszałam jakiś głos wewnętrzny, który mi mówił: »Wstań! wstań!« Gorączkowe dreszcze przebiegły wszystkie moje członki, poczem uczułam zupełny spokój. Ból w boku, który mi przedtem ciągle dokuczał, ustał nagle; olbrzymi wrzód znikł bez śladu, wstałam więc z mego materaca i przeszedłszy z łatwością pomiędzy noszami, które przedemną się znajdowały, podążyłam do Groty.

»Matka moja miała wtedy głowę odwróconą, patrzała bowiem w stronę młodej suchotnicy, której losem podczas podróży bardzo byliśmy zajęci, a która w tej samej chwili także wstała i poszła za Przenajświętszym Sakramentem. Gdy matka moja po chwili zwróciła wzrok znowu ku mojemu posłaniu i zobaczyła je opróżnione, opanowało ją nieopisane wzruszenie. Niebawem spostrzegła mnie pomiędzy szeregami chorych, zdążającą swobodnie, raźno, i połączyła się ze mną w pochodzie ku Grocie. Tam upadłam na kolana z rozkrzyżowanemi rękoma i przez pół godziny pozostałam na modlitwie, nie czując najmniejszego zmęczenia, chociaż po trzydniowej podróży nie odpoczywałam jeszcze wcale i chociaż, oprócz kilku łyżek rosołu, żadnego innego nie przyjęłam posiłku. Podtrzymywała mię jakaś nieznana siła i niewysłowiona radość zalewała mą duszę.«

Uzdrowienie to było połączone ze szczególnym zbiegiem okoliczności, nastąpiło bowiem w rocznicę urodzin chorej i w dniu jej imienin, to jest w uroczystość świętej Joanny de Chantal; w dniu tym dziewczę rozpoczęło osiemnasty rok życia, które dla niej teraz jakby na nowo zaczęło się otwierać. Podczas tej pierwszej modlitwy powstała u niej pierwsza myśl poświęcenia się P. Bogu w zakonie, którą też później urzeczywistniła, wstępując do klasztoru Dominikanek.

Nazajutrz, to jest w niedzielę i potem znów w poniedziałek przyszła do biura sprawdzań, gdzie lekarze badali ją z jak największą skrupulatnością i przekonali się że wrzód znikł bez śladu, a kręgosłup, choć trochę jeszcze skrzywiony, wrócił do normalnego stanu.

Po powrocie do Paryża Joanna pierwsze swe kroki skierowała do kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej. W parę dni później odbyła dwugodzinną pieszą wędrówkę z Auteuil do Vaugirard i zdjęła bandaż, którego od lat już pięciu nie zdejmowała.

W tydzień później przebiegła cały park w Saint-Cloud i przez resztę dnia była ciągle na nogach, nie czując zmęczenia. W chwili wyjazdu do Lurd nie mogła znieść trzęsienia powozu, potrzebowała całych dziesięciu minut, aby przejść z jednego łóżka do drugiego, stojącego o parę kroków, i nie mogła ani wyprostować się, ani stanąć. Jakaż więc cudowna dokonała się w niej zmiana!

Od tego czasu nie spostrzeżono u niej żadnych objawów recydywy. Przez całą zimę nie przepędziła ani jednego dnia w łóżku i podczas epidemicznej influenzy sama jedna tylko pozostała zdrową, pielęgnując całą swą rodzinę.

»Co do mnie, — dodaje Dr. Boissarie — to słuchając opowiadania o jej chorobie, myślałem sobie, że medycyna nie może nic zdziałać w podobnych wypadkach. Nie możemy usunąć tuberkuł, gdy opanowały one już wszystkie organa, oraz gdy chorzy, trawieni gorączką, przestają się już odżywiać. Nigdy nie będziemy mogli wywołać zmian natychmiastowych i przywrócić w jednej sekundzie biednym umierającym całej pełni sił i zdrowia. Osiągnięcie takich wyników nie leży w naszej mocy.«

Klara Brun

W ciągu ośmiu miesięcy musiała się poddać czterem ciężkim operacyom chirurgicznym; chora śmiertelnie, przyjąwszy Komunię św. w cudownej grocie, została uzdrowioną natychmiast.

5. Gdy niezliczone tłumy pielgrzymki narodowej w r. 1893 zdawały się modlitwami zadawać gwałt niebu, by ubłagać uzdrowienie dla swoich chorych, gdy pięćdziesięciu kilku lekarzy śledziło i starało się pochwycić, że tak powiem, dowód nadprzyrodzonego działania, — koło groty klęczała młoda dziewczyna, Małgorzata Savoye, zatopiona w modlitwie. Nie mogła ona bowiem dość podziękować za dobrodziejstwo, jakie otrzymała na tem miejscu, tu bowiem w roku poprzednim odzyskała zdrowie w całej pełni. W chwili przybycia do Lurd, dnia 16-go września 1892 roku, była ona według wyrażenia pana Pouvillon, »tylko nędzną wiązanką kości i muszkułów, nawpół strupieszałych, zebranych razem i złożonych w koszyku«. Dość powiedzieć, że mając wtedy lat

dwadzieścia pięć, ważyła tylko 40 funtów! — tyle, co małe dziecko. — Gdy dzieci w zaraniu życia z jakiegokolwiek powodu przestają się należycie odżywiać, popadają w stan tak zwany kachetyczny, który w medycynie bywa zwanym także athrepsyą; stają się podobnemi do mumii, usychają, skóra ich wygląda jak pergamin, a tylko oczy zachowują jeszcze jakieś ślady życia.

Takim był stan panny Savoye. Była ona jak trup, którego niesiono na noszach: blada, pozbawiona głosu, okropny przedstawiała widok. Od sześciu lat nie opuściła łóżka ani na chwilę i nie przyjęła żadnego pokarmu stałego: woda z cukrem, parę łyżek rosołu, od czasu do czasu pastylka czekolady, oto, co stanowiło jej pożywienie przez tak długi przeciąg czasu.

Teresa Doxler,
uleczona z choroby Pott'a.

W chwili wyjazdu do Lurd lekarz jej orzekł, że więcej niż piętnaście dni nie pożyje. Lekarze, którzy ją widzieli w biurze sprawdzań, nie śmieli nawet jej ani badać, ani dotknąć, gdyż już zaledwie oddychała. O zanurzeniu jej w zbiorniku cudownej wody nie mogło być mowy; nikt byłby się na to nie odważył.

W takich to warunkach Małgorzata została złożoną na swoich noszach przed świętą grotą, w piątek dnia 16-go września 1892 r. o godzinie 9-tej rano.

W chwili, gdy przechodziła procesya z Przenajświętszym Sakramentem, jakaś siła wielka, nieprzeparta, podniosła ją z łoża i rzuciła nią gwałtownie o ziemię. Małgorzata spadła z noszow, na których leżała, z wysokości mniej więcej 60 centymetrów, a po chwili znalazła się obok na klęczkach. Wówczas wstała sama i poczęła iść o własnych siłach.

»Jestem uzdrowioną! — powtarza Małgorzata — i chcę iść do cudownej sadzawki.« W jednej sekundzie siły jej powróciły i nowe w nią wstąpiło życie. Bierze więc kąpiel, wraca do szpitala, gdzie natychmiast zasiada do wspólnego stołu. Nie może głodu swego nasycić; i co godzina muszą jej dawać jakiś posiłek, a nadzwyczajny ten apetyt trwa następnie przez cały miesiąc.

Przed uzdrowieniem ważyła tylko 20 kilogr., w rok później waga jej wynosiła 55! W dwudziestym piątym roku życia przebieg jej wzrostu, dotąd wstrzymywany, rozpoczął się na nowo

tak, że w przeciągu kilku miesięcy urosła o siedem czy osiem centymetrów!

Tego dnia, w którym uzdrowioną została, stawiła się powtórnie w biurze sprawdzań lekarskich, już nie na pościeli i na noszach, ale na własnych nogach, idąc prosto i silnie. Naturalnie była jeszcze bladą i wychudłą, ale płomień życia i zdrowia błyszczał w jej oczach i wszystko zdawało się w niej odradzać. Radość bez granic zalewała jej duszę.

Gdy Małgorzata Savoye po raz pierwszy przywiezioną została do Lurd, wręczono w biurze sprawdzań jednocześnie świadectwo jej lekarza, Dra Guichard, dyrektora szpitala w Lons-le-Saunier, cieszącego się ogólnie czcią i poważaniem całej okolicy. W świadectwie tem stwierdza on fakt, że od lat pięciu czy sześciu chora nie przyjmowała żadnego stałego pokarmu. »Woda z cukrem, kilka łyżeczek rosołu, nieco wina peptonowego, oto całe jej pożywienie w tym okresie. Tak długi brak odżywiania się przechodzi wszystko, cokolwiek w tym kierunku kiedykolwiek usłyszano. W dniu ostatnim przed odjazdem, chora wypiła przez cały dzień zaledwie kilka łyżek wody«. Tak twierdzi Dr. Guichard, który za powrotem Małgorzaty, już uzdrowionej, znowu sprawdził i pisemnie poświadczył, że: »Małgorzata Savoye, która przez lat sześć z łóżka nie wstawała, podczas swojej pielgrzymki do Lurd została uzdrowioną w sposób rzeczywiście cudowny«!

Już po tych wszystkich wypadkach, któreśmy przytoczyli, otrzymał Dr Boissarie dnia 15 października list od Małgorzaty, która tak pisze:

Panie Dyrektorze!

»Mając zamiar usunąć się całkowicie od świata, chciałam pierwej Pana pożegnać i przesłać Mu wyrazy prawdziwej wdzięczności. Otrzymawszy tak nadzwyczajną łaskę uzdrowienia, powinnam usłuchać głosu Pana Boga i dobrej naszej Matki, Niepokalanej Maryi. — W dniu mojej pierwszej Komunii błagałam niebo o łaskę powołania do życia zakonnego. Później przez lat sześć byłam przykutą do łoża boleści. Gdy mnie złożono przy Grocie u stóp Przenajświętszej Dziewicy, błagałam Ją, aby mnie uzdrowiła, jeżelibym mogła być pożyteczną na tej ziemi; w razie przeciwnym, prosiłam o łaskę dobrej śmierci.

»Ponieważ odzyskałam o tyle siły i zdrowie, że mogę wypełniać regułę św. Franciszka z Assyżu, przeto przełożona Sióstr Franciszkanek zgodziła się na przyjęcie mnie do tego Zgromadzenia. Z mojej strony czuję się najszczęśliwszą, że mogę zupełnie poświęcić się Panu Bogu. Już w pierwszej połowie listopada mam zamiar opuścić moją rodzinę i wszystkie drogie mi osoby.

»Ukochani moi rodzice smucą się na myśl o tem rozstaniu, ale zanadto dobrymi są chrześcijanami, aby stawiali przeszkody moim zamiarom. Poddają się więc i godzą się z wolą Bożą.

»Jeżeli nie będzie mi już danem wrócić do Lurd i Pana tam zobaczyć, możesz Pan być pewien jednak, że nigdy, przenigdy, nie zapomnę o Grocie błogosławionej«...

Od chwili uzdrowienia Małgorzata Savoye znosi bez żadnego wysiłku wszystkie obowiązki i trudy zakonnego życia.

6. W sierpniu 1896 r. Karol Bron, dotknięty wrzodem na biodrze, skutkiem czego nie mógł stanąć na chorej nodze, został przyjętym do szpitala w Bernie szwajcarskim, gdzie profesor Girard przeciął mu wrzód, wycisnął ropę i wydobył kilka kawałeczków spróchniałej kości.

To ostatnie odkrycie zaniepokoiło go tak dalece, że w parę dni później postanowił dokonać nowej operacyi, w celu wydobycia reszty spróchniałych cząstek kości. Nieszczęśliwy Bron zapytał, czy ta operacya zapewni mu uzdrowienie. Odpowiedziano jednak, że nie jest to rzeczą pewną, lecz że na razie nie pozostaje nic innego do zrobienia przy tak okropnym stanie, w jakim się wówczas znajdował.

Wobec tych smutnych widoków na przyszłość — Bron złożył swój los w ręce Najświętszej Panny z Lurd, prosząc o łaskę uzdrowienia i o to, aby, jeżeli operacya ma być bez skutku, dała mu to poznać jakimkolwiek sposobem...

W dniu na operacyę oznaczonym Bron był na czczo, oczekując z niepokojem chwili, w której miano go zanieść do sali operacyjnej. Wkrótce jednak powiedzieli mu lekarze, że operacyę jego odłożyli na dzień następny. Wtedy dozorca chorych podał mu obiad. Zaledwie jednak chory spożył posiłek, gdy lekarze, zmieniwszy zamiar, przyszli go zabrać, by operacyi dokonać. Ponieważ jednak nie był już na czczo, niepodobna go było usypiać; znowu więc czekać musiano. We wszystkich tych okolicznościach chory widział dla siebie jakby wskazówkę, że nie powinien operacyi się podjąć! — »Najświętsza Panna — rzekł — sprzeciwia się temu«.

Tegoż samego wieczora napisał do żony i brata, żeby go zabrali ze szpitala, a w kilka dni później wrócił już do rodzinnego ogniska. W chwili opuszczenia przez niego szpitala lekarz oświadczył rodzinie, że jeżeli chory nie zdecyduje się na operacyę, to zdoła przeżyć zaledwie trzy lub cztery tygodnie.

Za powrotem do domu stan pogorszył się jeszcze bardziej, z powodu bowiem okropnego osłabienia chory nie mógł już opuszczać łóżka. Nie zachwiało to wszakże jego ufności w Najświętszej Pannie z Lurd; modlił się też ciągle, wyspowiadał się z całego życia i przyjął ostatnie

Sakramenta święte. Przyrzekł również, iż w razie uzdrowienia odbędzie corocznie pielgrzymkę do Einsiedeln, przez dwa lata codziennie będzie słuchać Mszy św. i przystąpi każdego miesiąca do Stołu Pańskiego.

»Nie odradzałem mu wcale pielgrzymki do Lurd, — opowiadał jego proboszcz — gdyż byłem przekonany, że na wiosnę nie będzie już pomiędzy żyjącymi. Dr. Vermeille, który go pielęgnował, twierdził, iż choroba piersiowa wtrąci go wkrótce do grobu«.

Było to w marcu 1897 r.; chwila wyruszenia pielgrzymki zbliżała się z dniem każdym. Ze względu na ubóstwo chorego miłosierdzie publiczne musiało mu dostarczyć niezbędnych środków. Jakaś dziewczyna z jego wioski podjęła się więc zbierać dla niego składkę. Musiano także urządzić dlań odpowiednie nosze, ponieważ z otwartem swem biodrem nie znosił on żadnego wstrząśnienia i każdy ruch niewysłowione sprawiał mu boleści.

Karol Bron.

Z początku zamierzano przewieźć go w dużym koszu z wikliny, lecz ponieważ tenże nie zmieścił się we drzwiach wagonu, musiano więc zadowolnić się deską, do której przytwierdzono materac.

Naczelnik stacyi w Delemont, nie chcąc brać na siebie żadnej odpowiedzialności, pozwolił choremu odjechać dopiero wtedy, gdy mu ten że pokazał świadectwo lekarskie, upoważniające go do tej podróży. Umieszczono więc Karola Bron w wagonie, służącym do przewożenia bydła i w takich warunkach przybył on do Montbéliard dnia 10 maja wieczorem. Ponieważ nie chciano go przyjąć do żadnego hotelu, noc tę więc przepędził w szpitalu — i nazajutrz w dalszą puścił się drogę.

W Lurd do szpitala zaniesiono go na noszach. W przeciągu dwóch pierwszych dni chory tak był osłabionym, że nie odważono się go kąpać, obmywano mu tylko biodro i całą nogę, bardzo spuchniętą i zaczerwienioną. Wreszcie w sobotę po raz pierwszy Karol wszedł do cudownej sadzawki, a nazajutrz wziął trzy kąpiele. Każda z nich przyniosła pewne polepszenie, lecz o zupełnem uzdrowieniu nie było jeszcze mowy. Bron nie mógł stanąć na chorej nodze i rana jeszcze istniała.

W niedzielę wieczorem, po trzeciej kąpieli, prosił, aby się bardzo za niego modlono, spodziewa się bowiem zostać uzdrowionym podczas procesyi.

Gdy kapłan z Przenajświętszym Sakramentem zatrzymał się przed nim, Bron jeszcze żarliwiej zaczął się modlić, ściskając w prawej ręce niewielką statuetkę Najświętszej Panny z Lurd.

Po chwili procesya poczęła się oddalać i nadzieja chorego zdawała się już być zawiedzioną. Pomimo tego Bron nie przestawał gorąco się modlić. Nagle, w zimnem, zlodowaciałem jakby biodrze, uczuł niezwykłe gorąco; choroba, która go przykuwała do łoża, znikła, Karol uczuł się rzeźkim, lekkim, wstał i zaczął chodzić; — i tak, opierając się jeszcze na ramieniu dwóch panów, trudniących się przenoszeniem chorych, przybył do biura sprawdzań.

»Zdaje mi się — pisze Dr. Boissarie — że widzę go jeszcze przed sobą, bladego, z błyszczącemi oczyma, drżącego pod wpływem najsilniejszego chyba wzruszenia, jakiego człowiek doznać może. Szedł on teraz prawie o własnej sile, chociaż od sierpnia na łóżku nawet nie mógł się poruszyć. Obok niego, również jak on wzruszony, stanął p. Soulé, który mu towarzyszył, — mówiąc: »Widziałem go w sadzawce, miał on na biodrze tak głęboką ranę, że wielki mój palec mógł się w niej zmieścić; z rany tej obficie sączyła się ropa, a całe biodro było spuchnięte, czarne, zbolałe. Teraz niema już ani śladu rany, ropienia lub nabrzmiałości; skóra nawet zwykłą odzyskała barwę!«

Niepodobna opisać wzruszenia i zapału całego tłumu wiernych, gdy Karon Bron wyszedł z biura sprawdzań. Towarzyszono mu aż do Groty, gdzie ze wszystkich piersi popłynęło radosne *Magnificat!*

W dodatku chory stracił był przedtem sen i apetyt tak dalece, że całodzienne jego pożywienie stanowiło surowe jajo i trochę mleka. Teraz razem z innymi zasiadł do stołu i jadł niemal wszystko z łatwością, — a wieczorem, od dawna po raz pierwszy, zasnął snem głębokim i spokojnym.

We środę dnia 19 maja Karol przybył do rodzinnej wsi Corban. Na dziewięć dni przedtem odjechał stamtąd, leżąc na desce z materacem; naczelnik stacyi Delemont nie chciał go puścić w drogę, — a teraz Bron wracał, siedząc już na ławie, zupełnie zdrów, z twarzą rozpromienioną i tryskającą zdrowiem!

Wszyscy mieszkańcy, zawiadomieni o jego uzdrowieniu, wyszli na spotkanie tego, który się stał przedmiotem tak wielkiej łaski niebios, i odprowadzili go procesyonalnie do kościoła, gdzie odprawiało się właśnie nabożeństwo majowe.

7. »Pierwsze objawy choroby Joanny Tulasne sięgały roku 1895.[1]) W czerwcu owego roku uczuła ona ból, który wzięto z początku za cierpienie newralgiczne lub reumatyczne, a który z dniem każdym się powiększał. Wreszcie w październiku lekarze spostrzegłszy skrzywienie kręgosłupa i niezwykłą wypukłość trzech kręgów, uznali to za tuberkuliczną chorobę Pott'a i oświadczyli, że trzeba chorej włożyć koniecznie gorset gipsowy i wywieźć ją nad morze.

»Joanna włożyła gorset dnia 21 kwietnia 1896 r. i wyjechała nad morze do Pornic. Ani gorset wszakże, ani kilkumiesięczny pobyt w nadmorskiej okolicy żadnego nie przyniosły jej polepszenia. Za powrotem z Pornic zrozpaczeni rodzice wezwali piątego już z kolei lekarza, który kazał chorej położyć się do łóżka. Było to dnia 27 września 1896 roku. Biedna Joanna znalazłszy się w łóżku, miała je opuścić dopiero... w Lurd! Od września stan jej pogarszał się z dniem każdym; chora uczuwała ciągle w plecach ostry, przeszywający ból, a rodzina straciła już nadzieję jej ocalenia. Sama tylko Joanna ufała niezachwianie, nie w sztukę i wiedzę ludzką, ale w dobroć i potęgę Boga, i prosiła Najświętszą Pannę, aby raczyła ją uzdrowić w uroczystość Swego Narodzenia, to jest dnia 8 września. Ufność ta była tak wielką, że mię przerażała, i wyznaję, że w przeciągu ostatnich miesięcy nie odwiedzałem, jak przedtem, Joanny, nie chcąc jej ani zachęcać, ani zniechęcać.

Joanna Tulasne.

»Lekarz, który pielęgnował chorą, zabronił jej stanowczo wyjazdu, a nawet nie chciał napisać odpowiedniego świadectwa, chociażby przez nie najmniejszej nie ściągnął na siebie odpowiedzialności. Ponieważ jednak takie świadectwo dla komisyi lekarskiej w Lurd koniecznie było potrzebnem, gdyż lekarze w Lurd nie przywiązują żadnej wagi do uzdrowień z chorób przez powagi lekarskie nie sprawdzonych i nie stwierdzonych — wezwano więc do panny Tulasne Dra Lieffring'a, zamieszkałego również w Tours, a ten, zbadawszy dokładnie jej stan, napisał, co następuje:

---

[1]) Szczegółowy, ciekawy i rozrzewniający ten opis podaje ks. Verger, proboszcz przy kościele świętego Juliana w Tours.

Tours, dnia 27 sierpnia 1897 roku.

»Ja, niżej podpisany, doktor medycyny, stwierdzam, że panna Joanna Tulasne, licząca lat dwadzieścia, zamieszkała w Tours, przy ulicy Ragueneau 8, jest dotknięta lędźwiową chorobą Pott'a, z przypadłościami neuropatycznemi w okolicach lewego biodra i wyschnięciem muszkułów w tem miejscu. Przewieźć ją można do Lurd tylko pod warunkiem, żeby o ile możności była nieruchomą. Na dowód tego wręczyłem jej niniejsze świadectwo«.

Dr. Lieffring, 16 ulica Rapin.

»Dnia 6 września rano złożono chorą, leżącą na materacu, w długim koszu z wikliny, umyślnie w tym celu uplecionym, i prawie nieprzytomną z osłabienia, przewieziono na dworzec. Niektórzy uznawali to za okrucieństwo i żądali nawet wdania się policyi. »To okropne — mówili — z pewnością za powrotem przywiozą ją w trumnie!«

»Chorą wniesiono nie bez trudności do przedziału trzeciej klasy w towarzystwie jej ojca, matki, oraz wielu krewnych i przyjaciółek, a nazajutrz o świcie, spostrzegliśmy już wieżę bazyliki w Lurd. Pannę Tulasne zaniesiono na noszach do szpitala. We wtorek wieczorem zanurzono ją po raz pierwszy w sadzawce, lecz bez żadnego skutku, a nazajutrz uczyniono to samo po dwakroć, rano i popołudniu. Wszyscy, którzy ją znali, a nawet ks. arcybiskup z Tours i jego wikaryusz generalny wraz z innymi kapłanami, modlili się głośno o jej uzdrowienie, ale w załzawionych oczach rodziców coraz mniej było nadziei; sama tylko chora nie traciła jej ani na chwilę.

»Po nowych modłach przy Grocie zaniesiono chorą przed kościół Matki Boskiej Różańcowej, gdyż tamtędy miała z powrotem przechodzić procesya z Przenajświętszym Sakramentem. Sam ks. arcybiskup niósł monstrancyę i zatrzymał się na chwilę przed drogą naszą chorą, na którą oczy wszystkich były zwrócone. Wszyscy zdawali się oczekiwać ze wzruszeniem cudotwórczych słów Zbawiciela: »Wstań i chodź«! — ale Pan nie powiedział jeszcze tego słowa i Przenajświętszy Sakrament powoli zaczął się oddalać.

Wówczas biedna dziewczyna, nie spuszczając ani na chwilę z oka utajonego w Najświętszej Hostyi Zbawiciela, zebrawszy resztę sił, zawołała: »Panie, jeżeli zechcesz, możesz mię uzdrowić, spraw więc, bym chodziła!« Nie zdołam opisać wyrazu jej twarzy w owej chwili i błagalnej prośby, malującej się w oczach. Jednocześnie ks. arcybiskup, usłyszawszy jej słowa, odwrócił się znowu ku niej z Przenajświętszym Sakramentem, a chora nagle, nie podniesiona, ani nie podtrzymywana przez nikogo, usiadła na swym ma-

teracu. Wówczas ze wszystkich niemal ust wydarł się okrzyk: »Uzdrów, uzdrów ją Panie«!

»W rzeczywistości Joanna była już uzdrowioną! Chciała wstać, przejść pomiędzy chorymi i upaść na kolana przed Boskim Mistrzem, lecz nie pozwolono jej na to i odwieziono co rychlej do szpitala, gdzie chcąc oszczędzić jej wzruszeń i owacyi ze strony paru tysięcznego tłumu, przytrzymano ją w kaplicy. Gdy państwo Tulasne tam się znaleźli, córka ich już, jak dawniej, stała i chodziła. Nie będę wam opisywał głębokiego wzruszenia wszystkich świadków tej wstrząsającej sceny.

»Nazajutrz uzdrowiona udała się do biura sprawdzań, gdzie, po odczytaniu przywiezionego przez nią świadectwa lekarskiego, ośmiu lekarzy, pod przewodnictwem Dra Boissarie, zaczęło ją badać. Obecny tam wówczas ks. arcybiskup z Avignon, jak również kilka innych wybitnych osób, słuchało z wielkiem zajęciem narady uczonych lekarzy, którzy jednogłośnie oświadczyli, że mieli przed sobą jeden z najrzadszych wypadków: kręgosłup bowiem wrócił zupełnie do normalnego stanu, a choroba znikła bez śladu. Przed wyjazdem z Lurd rozmawiałem jeszcze na osobności z jednym z lekarzy, którzy badali Joannę. Udzieliwszy mi uprzejmie wszelkich objaśnień, jakich od niego zażądałem, lekarz ten zakończył naszą rozmowę następującemi słowy: »Uzdrowienie panny Tulasne jest prawdziwym cudem!« —

Tenże sam ks. Verger, od którego mamy powyższe szczegóły, w liście do jednego ze swych przyjaciół pisze, co następuje:

»Mówiąc o uzdrowieniu panny Tulasne, muszę dodać jeden jeszcze nader ważny fakt. Oto razem z rodziną Tulasne przybyła do Lurd niejaka pani Catay z Tours, uboga hafciarka, której ojciec Joanny, na prośbę córki, dostarczył materyalnych środków na odbycie tej pielgrzymki. Pani Catay, wzruszona tą dobrocią, modliła się ciągle tylko o uzdrowienie Joanny, chociaż sama była również dotknięta nieuleczalną chorobą. Gdy podczas procesyi ks. arcybiskup zbliżył się do nich z Przenajświętszym Sakramentem, pani Catay, po raz setny może, zawołała z głębi duszy: »Mój Boże, jeżeli jedna tylko z nas ma być uzdrowioną, to niech nią będzie Joanna«! Rzeczywiście ta ostatnia w tejże samej chwili uczuła nagłe wstrząśnięcie i usiadłszy o własnej sile oddawna po raz pierwszy, zawołała: »Mamo! jestem uzdrowioną, nie cierpię już wcale i chciałabym wstać!« Tak więc uzdrowienie jej było jak gdyby nagrodą za akt miłości bliźniego i zaparcia się siebie.«

8. Sześćdziesięcio-dziewięcioletnia Benedykta Crozet z Gumières (departament Loary) zwana »Błękitną« *(la Bleue)* [1]) nie miała już ani rodziców, ani krewnych i była zupełnie samą na świecie.

Po przebyciu silnego tyfusu została ona dotkniętą paraliżem w nogach i w przeciągu lat trzydziestu pięciu nie mogła opuszczać łóżka. Przytem nie mogąc jeść mięsa ani chleba, żywiła się tylko kawą, czekoladą i jajami. Miewała we wszystkich członkach częste i dokuczliwe bole, lecz nigdy żadna skarga z ust jej nie wyszła. Czas zapełniała sobie zwykle odmawianiem różańca za zmarłych krewnych i przyjaciół lub za żyjących dobroczyńców, do których należała przedewszystkiem rodzina de Meaux, z Montbrison, nietylko bowiem dostarczała jej mieszkania i środków utrzymania, ale nawet opłacała osobę, która ją pielęgnowała. Nawzajem Benedykta Crozet uważaną była przez pp. de Meaux jakby za anioła stróża rodziny i gdy potrzebowano jakiejś szczególnej łaski niebios, zawsze mówiono: »Prośmy »Błękitną«, aby nam to wyjednała u Boga«!

W ostatnich latach biedna chora pragnęła gorąco pojechać do Lurd, ujrzeć błogosławioną Grotę i zanurzyć się w cudownej wodzie. »Ależ taka podróż — mówili wszyscy — byłaby szaleństwem z twej strony«. Zdanie to podzielał nawet i poczciwy, czcigodny proboszcz. Wewnętrzny jednak głos, wzywający ją do Lurd, przemawiał silniej do duszy chorej, niż wszystkie te perswazye.

W tym roku ks. Descombes, wikary w Gumières, (idąc zapewne za głosem natchnienia Bożego), oświadczył pewnego dnia »Błękitnej«, że ponieważ tak pragnie udać się do Lurd, pojedzie więc tam, a przynajmniej on ze swej strony uczyni wszystko, co będzie mógł, ażeby odbyła tę pielgrzymkę.

W dniu więc oznaczonym przeniesiono Benedyktę na materacu z Gumières do Saint-Etienne, gdzie wsadzono ją do wagonu przeznaczonego dla chorych uczestników pielgrzymki.

Wkrótce po przybyciu do Lurd przeniesiono ją na noszach do cudownego źródła, lecz wahano się jeszcze zanurzyć ją w zimnej wodzie, która jednak jej samej wydała się »rozkoszną«. Znalazłszy się w niej »Błękitna« uczuła, że jej siły wracają. Z kąpieli przeniesiono ją tam, gdzie się właśnie odbywała procesya z Przenajśw. Sakramentem.

Z piersi całego zebranego tłumu wydzierały się pełne wiary i miłości okrzyki: »O Jezu, uzdrów naszych chorych«! A sami chorzy, leżący w wózkach lub na noszach, podnosili błagalny wzrok ku Przenajśw.

---

[1]) Tak nazwana, ponieważ od siedemnastego roku życia nosiła zawsze kolory Najświętszej Panny, to jest biały i niebieski, a zwłaszcza ten ostatni.

Benedykta Crozet, tak zwana »Błękitna« *(La Bleu)*.

Hostyi, z niemą, lecz wymowną prośbą: »Panie, jeżeli zechcesz, możesz mię uzdrowić«!

Jezus przechodzi i zdaje się wzywać wszystkich chorych do tego, aby całą swą ufność położywszy w Nim, który jest Zmartwychwstaniem i Życiem, szli za Nim i tryumfalny dla Niego utworzyli orszak.

Benedykta Crozet usłyszała i uczuła to wezwanie; jakaś tajemnicza siła ją przenikła, tak że gotowa była zerwać się ze swego barłogu, ale się wahała i opierała temu popędowi. Tymczasem kapłan niosący Przenajśw. Sakrament, przeszedł i zniknął jej z oczu.

Nazajutrz Benedykta prosiła znowu, by ją zaniesiono do sadzawki. Tym razem również doznała, jak w dniu poprzednim, wrażenia nagłego polepszenia, zdawało się jej, że sparaliżowane członki odzyskują władzę i czucie tak, że zrobiła nawet już kilka kroków.

Podczas procesyi z Przenajświętszym Sakramentem Benedykta uczuła silniejszy jeszcze, niż wczoraj, popęd i pociąg do wstania i chodzenia. Jakaś pani, stojąca obok niej, podała jej rękę, którą Benedykta chwyciła bez wahania i natychmiast wstała. Miała ona na sobie tylko chustkę i spódnicę, a na nogach pończochy. Pomimo tego jednak zaczęła iść sama za Przenajświętszym Sakramentem i towarzyszyła Mu aż do kościoła Najświętszej Panny Różańcowej.

Któż zdoła opisać powszechne zdumienie, gdy ta, która od lat trzydziestu pięciu nie stanęła nogą na ziemi, wróciła do szpitala pieszo, o własnej sile! Uzdrowienie jej nie ulegało wątpliwości; paraliż znikł bez śladu. Zaczęła jeść wszystko, co jej podano, i nabierać sił ze zdumiewającą szybkością, odpowiadając zarazem bez najmniejszego znużenia na mnóstwo pytań, któremi ją obsypywano. Między innemi zapytano ją, czy się cieszy, że została uzdrowioną. »O tak, bardzo się cieszę, ale jeszcze bardziej z tego, że przybyłam do Lurd«.

Na zakończenie przytoczymy jeszcze słowa pewnego obecnego tam lekarza. »Jestem katolikiem — mówił on — lecz oddawna już nie praktykuję. Otóż uzdrowienie to wzrusza mnie niewypowiedzianie tak, że składam broń, zaczynam wierzyć i modlić się po dawnemu i wołam: Cześć Najświętszej Pannie z Lurd, która tak wielkie czyni cuda dla nawrócenia takich, jak ja, niedowiarków«!

9. Dnia 17 grudnia 1899 r. urzędnik pocztowy Gargam znajdował się na służbie w ostatnim wagonie pociągu pospiesznego, który o jedenastej godzinie wieczorem wyjeżdża z Bordeaux. Pomiędzy Bordeaux a Angoulême pociąg zwolnił nieco biegu, gdyż okazało się, że lokomotywa była zepsutą, a wreszcie pod Livernant, o kilka kilometrów od Angoulême, musiał się zatrzymać. W dziesięć minut po tym pociągu

wyszedł z Bordeaux drugi pociąg pospieszny i jechał za nim w pewnej odległości.

»Zaledwieśmy się zatrzymali, opowiada Gargam, usłyszeliśmy głuchy łoskot, zbliżający się ku nam z szybkością błyskawicy. Był to pociąg, który pędził z przerażającą chyżością i lada chwilę miał nas zdruzgotać! Rzeczywiście w kilka sekund później najechał on na nasz wagon i zamienił go w kupę gruzów. Jak źdźbła słomy zostaliśmy wyrzuceni na obie strony toru kolejowego. Ja leżałem o dziesięć metrów od niego, głęboko zakopany w śniegu. Jeden z mych towarzyszy, który się grzał przy piecu, znikł pod gruzami tegoż i stosem węgli. Co do mnie, to z całej katastofy pamiętam tylko okropny łoskot, wstrząśnienie bowiem było tak gwałtownem, że natychmiast straciłem przytomność.

»Było nas tam czterech urzędników pocztowych; jeden poniósł śmierć na miejscu, a dwaj inni są dotychczas chorzy. Mnie znaleziono dopiero o siódmej godzinie rano w śniegu, lecz nie dawałem żadnego znaku życia. Około dziesiątej godziny przewieziono mię wraz z innymi rannymi do szpitala w Angoulême, ale w jakim stanie! Wszędzie miałem rany i silne potłuczenia, tak, że wcale nie mogłem się poruszyć. Dopiero wieczorem odzyskałem przytomność i w przeciągu trzynastu dni nie mogłem jeść nic innego, oprócz kilku kawałeczków pomarańczy. Dnia 1 stycznia zjadłem jedno jajo i odtąd mogłem znowu przyjmować pożywienie, lecz tylko w takiej ilości, aby nie umrzeć z głodu, ale nie w takiej, aby módz odzyskać utracone siły. Wkrótce się okazało, że od bioder aż do stóp byłem zupełnie sparaliżowanym, nie mogłem także podnieść głowy, lecz Bogu dzięki, przynajmniej umysłowe me władze nic nie ucierpiały«.

Dr. Decressac, lekarz szpitala w Angoulême, codziennie odwiedzał rannego. Po długim namyśle przepisał mu kąpiele, które jednak tylko pogorszyły stan chorego, gardło bowiem tak się u niego zwęziło, że nie mógł nic przełykać. W sierpniu, to jest w osiem miesięcy po katastrofie, musiano już żywić Gargama za pomocą sondy (rurki). Ponieważ sprawiało mu to wielką męczarnię i raz tylko dziennie mogło się odbywać, chory więc posilał się zaledwie jeden raz na dobę. Naturalnie w takich okolicznościach osłabienie i wycieńczenie nader szybkie czyniły postępy. W ciągu ostatnich czterech miesięcy utworzyły się rany na nogach, grożące gangreną.

Chory doświadczał także silnego bolu w okolicy drugiego żebra, zwłaszcza przy najlżejszym choćby nacisku. Z tego więc powodu jeden z lekarzy szpitalnych, Dr. Tessier, mniemał, że paraliż nóg pochodzi z jakiegoś nacisku, wywieranego na szpik, i aż do ostatniej chwili pro-

ponował trepanacyę[1]) kręgosłupa. Wreszcie kilku lekarzy było tego zdania, że chory nie poniósł żadnego organicznego uszkodzenia, ale że został skutkiem silnego potłuczenia, dotknięty jakiemś cierpieniem »traumatycznem«; choroby takie jednak, doszedłszy do pewnego stopnia swego rozwoju, bywają zwykle nieuleczalne i po większej części śmiertelne. Chociaż co do natury choroby Gargama zdania lekarzy były wogóle podzielone, wszyscy atoli jednogłośnie zgadzali się na to że był nieuleczalnie chorym, że mu groziła prędka śmierć. Każdy też uznawał, że wobec jego cierpienia medycyna jest zupełnie bezsilną. I jeżeli orleańskie Towarzystwo kolejowe wyznaczyło mu dość wysoką stosunkowo pensyę, w kwocie 3000 franków rocznie, to dlatego jedynie, że się spodziewało przez czas niedługi ją wypłacać.

Nieszczęśliwy zdawał sobie zupełnie sprawę ze swego stanu. Miał zaledwie lat 31, a musiał już się wyrzec wszelkich nadziei i zamiarów na przyszłość. Otrzymał on bardzo staranne wykształcenie i spodziewał się zrobić świetną karyerę, gdy choroba zniweczyła wszystkie jego plany i zupełnie zniechęciła go do życia.

Kształcąc się w szkołach państwowych, stracił on był powoli wiarę i od piętnastu lat już nie bywał w kościele! Często przełożona szpitala klękała przy jego łożu i modliła się za niego, on jednak przyjmował to obojętnie, a nawet z widocznem znudzeniem. Często też mówiono choremu o Lurd, lecz wszystkie te opowiadania wydawały się mu tylko zabobonem i przesądem.

W sierpniu 1901 r. choroba jego rozwinęła się do najwyższego stopnia. Rany na nogach przybrały nader niebezpieczny charakter i Dr. Tessier zachęcał go coraz bardziej do wykonania trepanacyi. Pragnąc jej uniknąć, chory postanowił opuścić szpital i wrócić na łono rodziny. Wówczas właśnie zaczęto znowu mówić mu o Lurd; tym razem więc dał się nakłonić do odbycia tam pielgrzymki, jedynie dlatego, aby jak najrychlej opuścić salę szpitalną, w której tak smutne przeżył chwile.

Nie mając już czasu na odprawienie nowenny przygotowawczej, modlono się przez trzy dni ciągle za niego i on sam także brał już udział w tych modłach, a wreszcie po raz pierwszy, od lat wielu, wyspowiadał się i przyjął Komunię świętą.

Podróż do Lurd liczne przedstawiała trudności. Do wagonu wniesiono go na noszach, na których leżał nieruchomo, w towarzystwie trzech blizkich jemu osób. Zabrano ze sobą sondę, za pomocą której udzielano mu pożywienia. W takich warunkach przybył on dnia 20 sierpnia o siódmej godzinie rano z pielgrzymką narodową do Lurd.

---

[1]) Otwarcie jednego z kręgów za pomocą przewiercenia kości.

Zawieziono go wprost do Groty, a ponieważ był jeszcze na czczo, przyjął przeto Komunię świętą w malutkim kawałeczku Hostyi, nic bowiem jeszcze nie mógł przełykać. Uczuł on wtedy jakby lekki ból w swych od tak dawna sparaliżowanych nogach, lecz był to przejściowy objaw, który nie pociągnął za sobą żadnego polepszenia. W chwili przybycia do Lurd matka pokazała mu krucyfiks, prosząc, aby się pomodlił, on wszakże z niechęcią odwrócił głowę, udając, że tego nie słyszał. Atoli po przyjęciu Komunii świętej niepojęte ogarnęło go wzruszenie. Chciał się modlić, ale nie mógł, bo łzy tamowały mu słowa. Co się z nim stało? Oto pod wpływem łaski Bożej obudziła się nagle w jego duszy wiara i nadzieja, napełniły ją i uniosły na niedościgłe dlań przedtem wyżyny. Z jakąż ufnością i miłością wpatrywał się teraz w statuę Matki Boskiej! W chwili tej dokonał się w nim cud działania łaski Bożej i przemiany duszy, bardziej jeszcze zdumiewający, niż późniejsze uzdrowienie schorzałego ciała.

Anaïs Nugier z Lugdunu, uzdrowiona w jednej chwili z wrzodu na nodze, w maju 1894 r.

Wkrótce jednak musiał się on ocknąć z tego niebiańskiego zachwytu i wrócić do szpitala, aby wzmocnić fizyczne swe siły pożywieniem, przyjętem za pomocą sondy. O drugiej godzinie po południu zaniesiono go do sadzawki i wraz z noszami spuszczono do wody, gdyż nie mógł się jeszcze poruszyć. Podczas kąpieli modlił się głośno i uczuł w sercu niezwykły spokój, nie wybiła jednak dlań jeszcze godzina uzdrowienia.

O czwartej godzinie Gargam znalazł się na drodze, którą przechodziła procesya, lecz był on bledszym i słabszym niż kiedykolwiek, gdyż trudy podróży i doznane w ciągu dnia wzruszenia wyczerpały zupełnie jego siły. Wreszcie stracił zupełnie przytomność, rysy jego zmieniły się, twarz zsiniała i jakby zastygła. Wszyscy myśleli, że skona lada chwila, i chciano go już odnieść do szpitala, z powodu jednak natłoku ludzi na placu było to niepodobieństwem. Nagle Gargam otworzył oczy i przyszedł do siebie, a sądząc, że procesya już przeszła, uczuł głęboki smutek. Wkrótce jednak zdaleka usłyszał odgłos śpiewów, spróbował więc oprzeć się na łożu, ale natychmiast opadł na poduszkę. Po chwili znowu starał się podnieść, lecz go od tego powstrzymano. »Dość już na dzisiaj, powie-

dziano mu, jutro będziesz szczęśliwszym i zostaniesz uzdrowionym«. Chory wszakże po raz trzeci starał się podnieść, mówiąc do otaczających: »Pomóżcie mi«! Wkrótce potem stanął już na nogach o własnej sile, a nawet przeszedł kilka kroków za Przenajświętszym Sakramentem, lecz, nie mając na sobie ani ubrania ani obuwia, musiał wrócić na nosze. — Został uzdrowionym — paraliż znikł bez śladu!

»Ukazanie się Gargama w biurze sprawdzań — pisze Dr Boissarie — było jednym z najbardziej rozrzewniających wypadków, jakie nam się widzieć zdarzyło. Prócz nas świadkami tej chwili było sześćdziesięciu przeszło lekarzy, profesorów uniwersytetów francuskich i zagranicznych, dziennikarzy, wierzących i niedowiarków. Gargam, ubrany w długi szlafrok, został wniesiony na noszach. Towarzyszyła mu matka i kilka pań ze szpitala. Był okropnie wychudły, a na bladej twarzy jaśniały duże, dziwnie smutne oczy. Cała jego postać nosiła jeszcze na sobie ślady wszystkich przebytych cierpień. Wyglądał też jak starzec, prawie zupełnie łysy, chociaż miał zaledwie 31 lat. Dokoła nas posypał się prawdziwy grad pytań i wszczęła się taka wrzawa, że niepodobna było rozpocząć systematycznego badania. Nazajutrz biuro nasze nie mogło pomieścić lekarzy, którzy się do niego cisnęli, wstępując nawet na ławki i stołki. Niebawem ukazał się Gargam, już nie w szlafroku i na noszach, ale w nowem, eleganckiem ubraniu. Szedł bez trudności, opowiadał jasno i dokładnie wszystkie szczegóły swej choroby, a wreszcie dodał, że wczoraj po raz pierwszy mógł się posilić bez sondy, jak wszyscy ludzie, i noc miał wyborną. Wprawdzie był jeszcze przerażająco chudym tak, że nogi jego miały zaledwie 20 centymetrów obwodu, ale w parę dni później objętość ich powiększyła się o dwanaście centymetrów, a ogólna jego waga o dwadzieścia funtów! Od pierwszej też niemal chwili po jego uzdrowieniu podziwialiśmy odporność organizmu tego człowieka, który będąc ciągle otoczonym przez liczny tłum reporterów i ciekawych, odpowiadał na wszystko z zupełnym spokojem bez najmniejszego znużenia.

»Przez czas dłuższy badał go i wypytywał profesor Desplat z Lille, poczem podyktował o nim nader obszerny protokół, zaznaczając w nim, że Gargam w przeciągu kilku sekund przeszedł jakby ze śmierci do życia, oraz że nagłe to uzdrowienie przewyższa siły natury i sprzeciwia się wszelkim naukowym teoryom, a sposób, w jaki się ono odbyło, jest po prostu zdumiewającym«.

Powrót do rodzinnego zakątka wywołał niezwykłe wrażenie. Od chwili rozejścia się pogłoski o uzdrowieniu Gargama, nazwisko jego przechodziło na wszystkich stacyach kolei żelaznej z ust do ust. Jeden inspektor kolejowy, który przedtem wzruszał ramionami, widząc w jakim

stanie wynoszono chorego z wagonu, długo niechciał wierzyć w to uzdrowienie.

Wreszcie uzdrowienie to zostało także stwierdzonem przez lekarza, którego o uprzedzenie posądzać niepodobna. Oto, co napisał o tem sam Gargam: »Główny zarząd poczt w Paryżu otrzymał wiele świadectw lekarskich o beznadziejnym mym stanie. Nazajutrz więc po mojem cudownem uzdrowieniu doniosłem mu o niem i zarząd odesłał mię do swego zaprzysiężonego lekarza. Sprawozdanie o mojem uzdrowieniu rozgniewało go do najwyższego stopnia, jest on bowiem jednym z najbardziej radykalnych członków socyalistycznej rady miejskiej. Przekonawszy się jednak, żem już zdrów zupełnie, oświadczył ze złością, że powinienem niezwłocznie stawić się do służby. Udało mi się wszakże wyjednać u zarządu poczt przedłużenie mego urlopu. Dowiedziałem się także, iż wszyscy moi koledzy byli przekonani, że dni moje są już policzone, a choroba absolutnie nieuleczalną«.

Pani Gordet z Henrichemont, uzdrowiona w cudownej sadzawce od razu, po dwunastoletnich cierpieniach.

Opisany powyżej wypadek wywarł wszędzie głębokie wrażenie i zwrócił ogólną uwagę na nadprzyrodzoną stronę uzdrowień w Lurd. Wogóle rok 1901 otoczył Lurd niezwykłą aureolą. Rozpoczął się pielgrzymką około sześćdziesięciu tysięcy ludzi, a zakończył się wspaniałym obchodem konsekracyi kościoła Najśw. Panny Różańcowej, w którym wzięło udział 26 Biskupów, Patryarchów i Kardynałów. W odezwie apostolskiej Ojciec święty wezwał świat cały do uczestnictwa w tych uroczystościach i nigdy jeszcze pielgrzymki nie były tak licznemi, jak wtedy.

»W biurze sprawdzań — kończy Dr Boissarie — liczyliśmy 390 lekarzy, pomiędzy którymi co do charakteru uzdrowień nie było nigdy różnicy zdań. Wydział lekarski z Lille przysłał nam nawet trzech lekarzy asystentów do pomocy, a profesorowie tamtejsi przewodniczyli naszym naradom i dyktowali protokoły«.

* * *

Chcąc, aby głęboka nauka, wypływająca z tych uzdrowień, wywarła na nas należyte wrażenie, przypatrzmy się jeszcze raz temu

wzniosłemu widokowi, jaki przedstawiają procesye, i rzućmy pobieżnie okiem na ostatnie uzdrowienia.

Podczas procesyi zdarzało się niekiedy jednego dnia po sześć lub osiem uzdrowień. Procesya jubileuszowa narodowej pielgrzymki z roku 1897 pozostawiła niezatarte wspomnienie i dowiodła, że podobne uzdrowienia nie leżą w mocy człowieka! Wszystko w nich wskazuje nam, że wyższa wola kieruje niemi podług swego upodobania; widzieliśmy bowiem inne pielgrzymki wybornie zorganizowane, pomiędzy uczestnikami których znajdowało się 300 do 350 chorych, a żaden z nich nie został uzdrowionym!

Pielgrzymka np. narodowa, złożona wyłącznie z samych mężczyzn, najwspanialsza manifestacya, jakiej Lurd było widownią, przyniosła jako wynik jedno tylko uzdrowienie, które w dodatku nie wytrzymało krytyki tak, że musieliśmy je z naszych roczników wykreślić. Dlaczego? Bóg jeden to wie, Jego to tajemnica!

Przeciwnie pielgrzymce jubileuszowej z roku 1897 towarzyszyły liczne łaski i zdumiewające uzdrowienia, a ceremonie odprawiane w dniu ostatnim pobytu jej w Lurd, przewyższały nieskończenie wszystko, cośmy dotychczas widzieli.

Już w dniu poprzedzającym ogólny zapał wzrastał z każdą chwilą, aż nareszcie doszedł do najwyższego punktu. Pomimo ulewnego deszczu i gwałtownego wichru procesya posuwała się tak spokojnie, jak wojsko podczas parady, a śpiew radosny, tryumfalny, przytłumiał odgłosy burzy. Mnóstwo stowarzyszeń, zakonów, setki kapłanów w komżach, poprzedzało lub kroczyło za uzdrowionymi, na których oczy całego tłumu ciągle były zwrócone. Oni tymczasem szli spokojni, uśmiechnięci, pod strugami ulewnego deszczu. Pomiędzy nimi byli dawni suchotnicy, limfatyczne dzieci, starzy mężczyźni i kobiety, tudzież ludzie przyzwyczajeni do jak największych wygód. Wszyscy przemokli aż do nitki. »Będzie to wielkim cudem, mówiono, jeźli żaden z nich nie dostanie recydywy«. Nie dostał jej wszakże nikt i nazajutrz w szeregach uzdrowionych nie było ani jednej luki.

W tym dniu pod złocistymi promieniami słońca miała się odbyć jeszcze bardziej majestatyczna i imponująca manifestacya. Gdy procesya uszykowała się na placu przed kościołem Matki Boskiej Różańcowej, wówczas niezrównany widok przedstawił się naszym oczom. Tysiąc pięciuset chorych, siedzących lub leżących, tworzyło w pośrodku długi, podwójny szpaler. W głębi trzystu pięćdziesięciu uzdrowionych, [1]) z chorągwią na czele, stanowiło jakby tło tego obrazu.

[1]) Zobacz rycinę na str. 38.

Wreszcie liczne tysiące wzruszonych, nieruchomych widzów, oczekiwały z biciem serca tego, co nastąpi. Chorzy z wyrazem trwogi i nadziei wpatrywali się w uzdrowionych i jakby jakiś prąd elektryczny przebiegał od jednych do drugich.

Wówczas O. Picard, przewodniczący pielgrzymce, zawołał głośno do chorych, wskazując im uzdrowionych: »Oto wasi bracia, wasze wzory, które powinniście naśladować! Byli oni takimi, jak wy, teraz wy z kolei uczyńcie to, co oni uczynili! Oni byli przykuci do łoża

Grota i koło niej porozwieszane kule cudownie uzdrowionych.

boleści i wstali, cóż więc wam stoi na przeszkodzie«?... Poczem tonem bardziej rozkazującym dodał: »Wstańcie«!

W tejże samej chwili wielu chorych wstało, opuściło nosze i podążyło do kościoła Matki Boskiej Różańcowej, wśród pełnych radości i zapału okrzyków niezliczonego tłumu!

»Widzieliśmy już wiele rozmaitych manifestacyi — pisze Dr Boissarie — i przyzwyczailiśmy się do wszelkiego rodzaju wzruszeń towarzyszących pielgrzymkom, a jednak wzniosły i niezwykły ten widok wzruszył nas do głębi. Niektórzy chorzy wstali, lecz powinni byli wstać wszyscy; czemuż więc tylu ich jeszcze pozostało na swych barłogach?... To ogólne wstrząśnienie, jakie się dokoła nich dokonywało, okrzyki rozbrzmiewające w powietrzu, cudownie uzdrowieni, którzy się przesuwali przed ich oczyma, niby jakaś wizya niebiańska, wszystko to

zdolnem było zelektryzować i wskrzesić tych umierających. Dosięgliśmy ostatecznych granic wzruszeń ludzkich i wszystkiego, co ziemskie, — mieliśmy przed sobą jakby ostatni wyraz »suggestyi« religijnej.

»Ośmiu czy dziesięciu chorych zgłosiło się do nas następnie w celu stwierdzenia ich uzdrowienia, a przeciętna cyfra naszych protokołów pozostała taką samą, jak i w latach poprzednich.

»W pierwszym dniu pielgrzymki ani jeden chory nie przyszedł do naszego biura, chociaż stanąwszy na gruncie Lurd, ujrzawszy przed sobą wymarzoną, upragnioną już od dawna Grotę, czuli oni jakby spotęgowanie wszelkich władz swej duszy, a wzruszenie ich dosięgło najwyższego stopnia naprężenia.

»Pomiędzy chorymi, którzy wtedy zostali uzdrowieni, widzieliśmy pannę Pepper z Villepinte, suchotnicę niemal w ostatnim okresie tej choroby; Helenę Duval, dotkniętą tuberkuliczną *peritonitis;* — Filomenę Albrecht z Armentières, która miała chorobę Pott'a i próchnienie kości; — Józefinę Grosset, także dotkniętą tuberkuliczną *peritonitis;* — Irmę Jacquart, chorą na próchnienie kręgosłupa, połączone z paraliżem; — Felicyę Serreau, *peritonitis;* — Jana Lacombe'a z chorobą Pott'a i t. d. Wszyscy jednak ci, tak ciężko chorzy, nie mogli zostać uzdrowionymi przez samą tylko suggestyę!

»Cóż więc pod wpływem tego nieprzezwyciężonego prądu, jakiśmy wyżej widzieli, stało się z chorobami nerwowemi, mającemi największy z suggestyą związek? Wśród podwójnego szpaleru chorych, zapełniającego plac przed kościołem Naświętszej Panny Różańcowej, było przynajmniej trzysta osób, dotkniętych nerwowemi chorobami. Czemuż więc one nie wstały i nie zostały uleczonemi?...

»Jeżeli Lurd — jak twierdzi szkoła lekarzy z Salpêtrière — jest zbornym punktem wszelkich chorób tylko nerwowych, jeżeli rozporządzamy wszechpotężnymi suggestywnymi środkami, to musielibyśmy przypuścić w tym wypadku pewien odwrotny rodzaj cudu, nie pozwalający naszym chorym na odzyskanie zdrowia. Byłaby to zaiste nader dziwna igraszka Opatrzności, prawdziwe szyderstwo!...

»Czemuż, mając do czynienia z tylu domniemanemi chorobami nerwowemi i posiadając tak niezawodne środki ich leczenia, liczymy wśród naszych uzdrowień szczególniej uzdrowienia z chorób piersiowych lub uszkodzeń organicznych, takich, jak próchnienie kości rak i t. d., w których suggestya nie ma i nie może mieć wcale pola do działania?

»Sprzeczność jest aż nadto widoczną. W rzeczywistości jesteśmy świadkami jakby bankructwa suggestyi i wynik ten nader łatwym był do przewidzenia.

»Powyższe uwagi częściej, niż kiedykolwiek, przychodziły mi na myśl podczas ostatniej pielgrzymki narodowej. Przekonałem się wtedy, jak marną bronią jest »suggestya« w rękach naszych przeciwników!

»Tajemnicy tych licznych uzdrowień w Lurd nie znaleziono ani w chemicznym składzie wody z cudownego źródła, ani w atmosferze religijnego entuzyazmu, jaka nas otacza. Uzdrowienia te dokonywają się poza obrębem wszelkich prawideł, w zaciszu domowego ogniska, podczas podróży do Lurd lub za powrotem, nieraz na dzieciach nie zdających sobie z tego sprawy, a natomiast rzadziej zda-

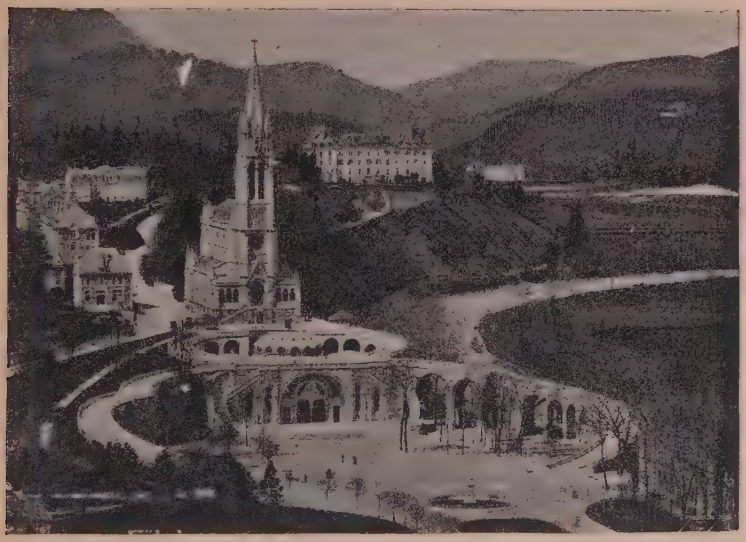

Lurd i oba jego kościoły.

rzają się podczas ceremonii religijnych, odznaczających się największą wspaniałością. W istocie program tych uzdrowień nie ręką ludzką jest pisany, każde z nich stanowi jakby poemat Boży, w którym wszystko się wiąże i łączy ze sobą podług Bożego zamiaru i planu.

»Jednem z najbardziej zasługujących na uwagę było uzdrowienie młodego Guy z Montpellier. Leczył się on długo w szpitalu bez żadnego wyniku. Miał jedną rękę zupełnie sparaliżowaną, uschniętą, bez życia, z której bezbarwny naskórek kawałkami dawał się odrywać. Podczas procesyi podniósł on zdrową ręką deseczkę, na której chora ręka była oparta, tak, że ta ostatnia dotknęła monstrancyi. W tejże samej chwili uczuł gwałtowne wstrząśnienie, a ciepło i życie wró-

ciły natychmiast do sparaliżowanej ręki, która w jednej chwili zupełnie została uzdrowioną!

Obok niego uwagę naszą zwracał na siebie dwunastoletni chłopak, który nigdy nie chodził i musiał wciąż nieruchomo leżeć, gdyż był dotknięty skrzywieniem tuberkulicznem kości, połączonem z wrzodami, z których ciągle sączyła się ropa. W chwili, gdy kapłan z Przenajświętszym Sakramentem przechodził obok niego, chory obiema rękami chwycił welon, otaczający monstrancyę, i zatrzymał księdza. Naprożno nakłaniano go do tego, aby puścił welon. »Nie, nie ustąpię, — zawołał — dopóki nie zostanę uzdrowionym«! — I rzeczywiście po kilku sekundach wewnętrznej jakby walki wstał uzdrowiony wobec zdumionego tłumu, który go tryumfalnie zaniósł do świątyni.

»Wyżej już powiedziałem, żeśmy doszli do 60% uzdrowień podczas procesyi z Przenajświętszym Sakramentem. Niekiedy jednak cyfra uzdrowień przewyższała nawet ten stosunek. Tak naprzykład w roku ostatnim wszyscy chorzy, którzy byli uczestnikami pielgrzymki z Arras, zostali uzdrowieni!

»Chorzy uzdrowieni w sadzawce czują zwykle w swych członkach, oddawna już cierpiących lub sparaliżowanych, dotkliwy, gwałtowny ból, będący niejako zapowiedzią powrotu życia i ruchu. Również i podczas procesyi z Przenajśw. Sakramentem widzimy podobne wstrząśnienia, świadczące o działaniu wyższej, nadziemskiej potęgi.

»Panna Gimard z Bordeaux, o której mówiliśmy w tym rozdziale, sparaliżowana od lat siedemnastu, w chwili, gdy obok niej przechodził kapłan z Przenajświętszym Sakramentem, doznała nieokreślonego wrażenia, jak gdyby jakaś fala wzniosła ją w górę i kazała jej opuścić nosze. »Wrażenia tego, opowiadała później uzdrowiona, nie mogę ani zapomnieć, ani sobie wytłumaczyć, lecz pochodziło ono z pewnością od jakiejś siły obcej, wyższej od mej natury«. Podobnie rzecz się miała i z Małgorzatą Savoye.

»Wszystkie te przykłady przypominają nam, w jaki sposób podoba się nieraz Bogu wynagradzać składane Mu hołdy; jest to odpowiedź nieba dla ziemi, w której sam Bóg daje nam bezpośredni dowód Swojej wszechmocy i miłości.

»Najświętsza Panna z Lurd nietylko raczyła nam okazać, że pielgrzymka do tego miejsca jest najmilszym dla Niej hołdem, ale chciała przedewszystkiem przywieść całe tłumy do stóp Swego Boskiego Syna, utajonego w Przenajśw. Sakramencie, bezpośredniego Dawcy wszelkich łask i Sprawcy wszelkich cudów«.

ZAKOŃCZENIE.

Rzucimy raz jeszcze okiem na wszystkie wydarzenia w Lurd: Marya sama zstąpiła z nieba i osiemnaście razy ukazała się Bernardecie w Grocie cudownej. W jakim uczyniła to celu?

Oto przedewszystkiem chciała Ona zwrócić uwagę rozproszonego i roztargnionego świata na życie nadziemskie, nadprzyrodzone... poleciła wybudować tam dla Siebie cudowny przybytek, który miał stać się celem pobożnych pielgrzymek, zwołała lud, wzywała go do pokuty... kazała źródłu wytrysnąć ze skały i poleciła całej ludzkości odmawianie różańca i modlenie się za grzeszników. Po tych zdarzeniach, stanowiących jakby wstęp do wielkiego dzieła, pozostawiła świat przez dni dwadzieścia w gorączkowem oczekiwaniu. Potem objawiła się znowu uśmiechnięta i promienna, w całym blasku niebieskiej chwały. Nie była już tylko »bez grzechu poczętą«, ale utożsamiła się jakby z przedziwnym swym przywilejem i rzekła: »Jestem Niepokalane Poczęcie«. Było to utożsamienie przymiotu z podmiotem. Protestanci kładli wielki nacisk na to nieprawidłowe, jak mówili, wyrażenie, utrzymując, że Najświętsza Panna tak błędnie z pewnościąby się nie wyraziła. Nazwałaby Siebie, jak twierdzili, »Niepokalaną Dziewicą, Maryą bez grzechu poczętą«, ale nigdyby nie powiedziała: »Jestem Niepokalane Poczęcie«. Zapominają oni jednak, że jak Bóg rzekł do Mojżesza: »Jam Jest, którym jest« (czyli Samym Bytem), tak i Najświętsza Panna utożsamiła się za pomocą tych słów z nowym Swym przywilejem, przyznanym Jej jako dogmat przez Kościół. Aby świeżo wówczas ogłoszonej uchwale tem większą nadać siłę, Marya za nazwę wzięła sobie sam dogmat, którym Pius IX uszczęśliwił wtedy cały świat katolicki. Śmiałe to wyrażenie przewyższało atoli zakres pojęć Bernadety, tak, że mogła ona tylko powtórzyć je z pamięci, nie rozumiejąc wcale jego znaczenia.

Objawienie się to Najśw. Maryi Niepokalanie Poczętej wprowadza nas w jakąś nadprzyrodzoną sferę, ale to »c o ś« nadprzyrodzonego daje

się dowieść i ściśle wykazać, tak, że Lurd wprzód, niż się stanie przedmiotem pobożnej naszej wiary, imponuje i naszemu rozumowi. Gdybyśmy dla uwierzenia w rzeczywistość objawień mieli tylko słowa Bernadety, to moglibyśmy wątpić o doniosłości jej świadectwa. Mamy tu jednak następnie także bezpośrednie działanie tych objawień na nieżyjące przedmioty; mamy urzeczywistnienie słów Najświętszej Panny, liczne cuda, przekraczające wszelkie prawa przyrodzone, a wreszcie olbrzymie wrażenie, jakie te wypadki wywołały nietylko we Francyi, lecz i na całym świecie.

Dowiedliśmy już powyżej, że Bernadeta miała przed oczyma rzeczywistą, żyjącą istotę. Wystarczy przypomnieć, że ani potęga wyobraźni, ani jakiekolwiek wizye nie mogą zmienić fizycznych warunków i stosunków ciał nas otaczających. Suggestya nie odbiera płomieniowi jego gorąca, nie powstrzymuje niszczących skutków ognia i nie jest w stanie rozkazać aby wytrysło źródło, przedtem nie istniejące i nieznane, głęboko ukryte w ziemi. Z jednej strony mamy odkrycie źródła podług wskazówek, udzielonych przez Objawioną, jak również fakt, że płomień w przeciągu całego kwadransa obejmował palce Bernadety, nie paląc ich wcale, a z drugiej mamy urzeczywistnienie słów Najświętszej Panny.

Dzięki tym słowom Maryi na skałach Massabielskich powstała naprzód ta śliczna bazylika, której wysmukła wieżyca zdaje się już zdaleka witać przybywających pielgrzymów, a następnie u stóp jej kościół Najświętszej Panny Różańcowej, ze wspaniałemi arkadami i alejami, po których odbywają się procesye; wreszcie te liczne klasztory, które zupełnie naturalnie powstały na cudownym tym gruncie, gdzie działy się i dzieją niezliczone cudowne uzdrowienia. Gdybyśmy chcieli zbadać każdy z tych faktów z osobna i starali się je wytłumaczyć za pomocą naturalnych przyczyn, tobyśmy nigdy nie natrafili na prawdziwe jądro kwestyi. Słusznie też mówi Dr. Goix: »Gdyby nawet możliwą była przyczyna każdego z tych faktów z osobna, to i wówczas jeszcze musielibyśmy szukać właściwej przyczyny, która je w jedną połączyła całość. Tajemnica Lurd nie jest wcale prawdą wiary lub objawienia Bożego, ale jedną z prawd opartych na rozumie i nauce.«

Wiek nasz, który wszelkie cuda uznał za niemożliwe, znajduje tu cały szereg prawdziwie cudownych faktów.

W r. 1858 zwiedzali Lurd jedynie niezbyt liczni turyści lub chorzy, jadący w góry Pirenejskie. Dziś jest to najbardziej znany zakątek na kuli ziemskiej, do którego napływają corocznie całe setki tysięcy pielgrzymów i ciekawych. Niezwyciężony prąd porywa ze sobą w tym kierunku całe masy ludu, tak, że obok Rzymu i Jerozolimy niema

chyba na całej kuli ziemskiej słynniejszego i liczniej nawiedzanego ogniska religijnego życia!

Materyalne te zmiany dają nam zaledwie słabe pojęcie o przewrotach, jakie się dokonały w duszach ludzkich, w tych licznych nawróceniach, jakie się w Lurd działy i ustawicznie dzieją. Ci, którzy zaprzeczają objawieniom, niech spróbują zaprzeczyć zmianom, nader doniosłym i głębokim, jakie widzimy od owego czasu w pojęciach i wierzeniach. W czasie tych objawień panował wszędzie materyalizm, uczono bowiem, że oprócz tego, co się da widzieć, zważyć, zmierzyć i obrachować, i oprócz materyi i faktów ściśle materyalnych, wszystko inne jest złudzeniem. Nauka miała rozstrzygnąć wszelkie zagadnienia, nie wyłączając tego, co nadprzyrodzone, i obalić nieubłagalnie wszelkie mrzonki i piosnki, któremi starano się uśpić i ukołysać biedną, łatwowierną ludzkość. Littré, Renan, Bertholet i Charcot uprawiali kult »czystej wiedzy«. Zamiarem ich było zniszczenie wszelkich prawd od Boga objawionych, zniszczenie Jezusa Chrystusa, Jego Kościoła, zniszczenie nawet Boga samego, a na miejscu Jego postawienie tylko »samej natury«!! Ale z pomiędzy ludu, dumnego ze swych uczonych i ich odkryć, odezwał się głos słabego dziecka, który przypomniał nowy dogmat, a zarazem upadek człowieka i tajemnice Odkupienia.

Jak przyjęto te objawienia?... Z początku głośnym, szyderczym śmiechem, który niebawem zamienił się w pogardę. Nazwa Lurd stała się jakby wyrazem przesądu, ciemnoty i powrotu do barbarzyństwa. Pierwszych pielgrzymów wyszydzano, wyśmiewano, a niekiedy nawet i znieważano czynnie.

W kilka lat później dowiedziano się, że wiedza zbankrutowała i miejsce dawnych »uczonych« zajęli nowi mężowie nauki. Claude Bernard i Pasteur na drodze samej wiedzy poznali i ogłosili, że w naturze istnieje »c o ś« stojącego ponad nią i czego żadne doświadczenia naukowe, fizyczne lub chemiczne nigdy rozstrzygnąć nie zdołają. Pasteur rozwinął tę myśl w prześlicznej przemowie, gdy zostawszy członkiem Akademii francuskiej, rzekł między innemi: »Co się znajduje za gwiaździstem sklepieniem niebios?... Odpowiedzą mi zapewne na to pytanie, że rozpościerają się tam nieskończone przestworza; każdy jednak, kto uznaje istnienie nieskończoności — a któżby go nie uznawał — przyzna, że w samem tem pojęciu jest więcej cech czegoś nadprzyrodzonego, niż we wszystkich znanych nam cudach — i że pojęcie o Bogu jest tylko jedną z form pojęcia nieskończoności«. Cóż możemy dodać do tych słów najznakomitszego przedstawiciela nowożytnej wiedzy? Są one najwymowniejszem obaleniem materyalistycznych poglądów, którym zbyt długo, niestety, ludzkość hołdowała.

»Cóż się stało z uczniami Charcot'a?... — pisze Dr. Boissarie. — Z początku lekarze z Lurd zaprotestowali w imię wiedzy, domagając się zamknięcia Bernadety w domu zdrowia, jako osoby niepoczytalnej z powodu swych hallucynacyi; — a ten właśnie, który to głosił, podpisuje obecnie w biurze sprawdzań świadectwa uzdrowienia! W biurze tem sam nawet Charcot znalazłby swych kolegów z Akademii lub uniwersytetu, którzy stali się naszymi współpracownikami. Ujrzałby też tu corocznie od 200 do 300 lekarzy i świadectwa co najmniej kilku tysięcy, najpewniejszych i najbardziej udowodnionych nadprzyrodzonych uzdrowień, przeciwnych wszelkim prawom przyrody; słusznie więc możemy twierdzić: »Jeżeli ktoś nie chce uwierzyć w samo objawienie Maryi, to niechże przynajmniej uwierzy faktom, które po nich nastąpiły«.

»Nie przeczymy, że pomiędzy przybywającymi do nas lekarzami niektórzy chwieją się jeszcze w swoich przekonaniach, ale i oni nie mogą się oprzeć pewnemu wzruszeniu. Są i nieprzejednani, wyobrażający sobie, że oni jedni mają trafny sąd o rzeczach, podobnie jak, podług słów Brunetière'a, »są ludzie, którzy ani o niczem zapomnieć ani niczego nauczyć się nie mogą«. Zesztywnieli oni w swej nietolerancyi, każącej im wierzyć, jak w dogmat, w postępy oświaty, ducha Woltera i niebezpieczeństwo ze strony klerykalizmu. Zegarek ich, że się tak wyrazimy, wskazuje przez lat trzydzieści jedną i tę samą godzinę. Ale też u wielu lekarzy, nieprzystępnych dla wszelkich religijnych idei, widzimy pod tym względem wielki przewrot, obejmujący coraz szersze sfery. U wielu także naszych pisarzy znajdujemy nie małe zmiany w poglądach i zapatrywaniach. Zdaje się również, iż inny, niż dotąd, nieznany jakiś prąd porwał i unosi ze sobą uczonych, filozofów i powieściopisarzy. Jeden z głównych przedstawicieli szkoły naturalistycznej przybywa do Lurd, aby studyować objawy, których znaczenia sobie wytłumaczyć nie umie, biorąc przez to czynny udział w ogólnym ruchu, którego Lurd jest ogniskiem, i popularyzując nazwę cudownego tego miejsca wśród sfer najbardziej dotąd nieprzystępnych.

»W umysłach otaczającej nas masy ludu wrażenia, w Lurd doznawane, ryją się trwale i głęboko. Uprzedzeni dotychczas ludzie przyglądają się zdaleka tym manifestacyom, lecz niedługo mogą się opierać ich wpływowi, wkrótce bowiem oczy ich się zwilżają, wnet wydziera się modlitwa, a wreszcie zaczynają oni błogosławić chwilę, w której odzyskali wiarę i nadzieję. Ileż nieznanych przedtem uczuć budzi się wówczas w ich duszach! Taki zapał religijny, z jakim całe tłumy padają na kolana, wydawał się większej części ludzi współczesnych niemożliwym; widzimy jednak, jak potężnem jego źródłem stało się Lurd, nietylko dla Francyi, ale i dla całego świata.

»Nazwa »Lurd« niegdyś szyderczy uśmiech wywoływała na usta, a teraz zdaje się zawierać w sobie jakiś czar, budzący najgłębsze i najbardziej niespodziewane wrażenia, przekonania i uczucia. Od lat pięćdziesięciu przeciąga nad naszemi głowami jakby prąd z nieba i wszystkie ludy z najwyższą czcią zginają kolana na miejscu, gdzie niegdyś klęczała Bernadetą. Usłyszeliśmy słowa Najświętszej Panny, jesteśmy świadkami cudownych uzdrowień i wzniosłego religijnego nastroju, przypominającego pierwsze wieki chrześcijaństwa. Nigdy może dłoń Opatrzności nie objawiła się wyraźniej w kierowaniu losami rodzaju ludzkiego. Świat zwraca się ku wierze i praktykowaniu jej przepisów w czasie, który »Niepokalanie Poczęta« napełniła Swymi cudami«.

Jakież prawdy przypomina i stwierdza nam to wszystko, co się w Lurd działo i dzieje, a zwłaszcza te niezliczone cudowne uzdrowienia?

1. Że ponad tak zwaną przyrodą i jej siłami i prawami jest »Ktoś«, który jest od tych sił i praw wyższym, który te prawa ma w Swej mocy, który je może powstrzymać — który jest wstanie chorych nieuleczalnych w jednej chwili mocą Swą uleczyć — czyli, że jest Bóg!

2. Cuda w Lurd dowodzą nam dalej istnienia Maryi żyjącej, wiedzącej o prośbach naszych, Maryi w Bogu potężnej i działającej. Marya żyjąca Bernardecie się objawiła, Ona z nią rozmawiała, Ona dawała jej polecenia, Ona wskazała cudowne źródło i ze skały, gdzie przedtem żadnego źródła nie było, kazała mu wytrysnąć. — Ona wreszcie próśb tylu nieuleczalnie chorych wysłuchuje i tych chorych cudownie leczy — czego ta cała książka dowodem...

3. Liczne cuda w Lurd są dalej dowodem istnienia i potężnego działania Jezusa Chrystusa i Jego obecności w Najśw. Sakramencie, tej największej tajemnicy naszej św. wiary. Tego Jezusa Matką jest Marya, która wszystką Swą moc i potęgę ma, jako Matka Jezusowa, od Boskiego Swojego Syna!... Dowodem na to są i owe liczne cuda zdziałane przez Samego Jezusa podczas procesyi z Przenajśw. Sakramentem, którym osobny, ostatni poświęciliśmy rozdział.

4. Lurd i jego cuda są dalej dowodem prawdziwości Kościoła katolickiego, bo Najśw. Marya Panna objawiła się jako »Niepokalane Poczęcie«, po ogłoszeniu dogmatu Niepokalanego Poczęcia przez Głowę Kościoła katolickiego Papieża Piusa IX.; objawiła się w kraju i mieście katolickiem, dziecięciu katolickiemu, posłała je do kapłana katolickiego, poleciła wybudować kościół katolicki i tamże odprawiają się nabożeństwa przez katolickich kapłanów. Najśw. Marya Panna poleciła odmawiać Różaniec, który jest praktyką nabożną właściwą wyłącznie Kościołowi katolickiemu; a skutków cudownych w Lurd doznają na

sobie dzieci katolickiego Kościoła, i przeważnie dusze szczególniej pobożne, żyjące wedle ducha tegoż Kościoła.

5. To wszystko jest też pośrednio stwierdzeniem wszystkich prawd i nauk Kościoła katolickiego, a szczególniej istnienia życia pozagrobowego i duszy — a względnie człowieka — po śmierci; bo i Marya jest człowiekiem, a dziś istnieje, żyje i działa! Objawiwszy się Bernardecie, zapowiada i obiecuje jej, że ją uczyni szczęśliwą, ale nie tu, lecz dopiero po śmierci! I rzeczywiście Bernarda nie była tu, po ludzku mówiąc, szczęśliwą, bo żadnego szczęścia ziemskiego nie zaznała; tu była przez całe życie biedną, chorowitą i cierpiącą; wstąpiwszy do klasztoru, żyła w nim pod posłuszeństwem, w ubóstwie i czystości, nie długo nawet ciesząc się tem życiem, bo młodo umarła. Marya miała dla innych cuda — Bernadety nie uzdrowiła!... A to wszystko wskazuje nam, że nie tu cel życia naszego i szczęście nasze — lecz dopiero po śmierci!

6. Słowa Maryi wskazują nam wreszcie i drogę do tego szczęścia po śmierci, — przez życie niewinne, jakie prowadziła Bernadeta, — lub przez pokutę, którą Marya poleciła, mówiąc po trzykroć: »Pokuty! pokuty! pokuty«! W tem poleceniu idzie Marya za nauką Boskiego Syna Swego, który również podczas pierwszego kazania Swego pokutę polecił i pokutą drogę do przyjęcia Boskiej swej nauki torował. A jak nie wszyscy za tem poleceniem P. Jezusa poszli i, pomimo tylu cudów, Boskiej nauce Jego nie uwierzyli, — (bo grzeszne życie ich stało temu na przeszkodzie), — tak podobnie i w Lurd, pomimo licznych cudów, nie wszyscy wierzą, bo na drogę pokuty wejść nie chcą! Pokuta, porzucenie grzesznego życia, prawdziwy powrót do Boga i na drogę zachowania przykazań, torują drogę do poznania i przyjęcia prawdy i do łaski otrzymania cudów!

7. I to jest powodem i rozwiązaniem tej jakby zagadki, czemu nie wszyscy doznają na sobie cudownych skutków wody z Lurd, gdyż grzesznych ani Bóg ani Marya nie wysłuchają! Wielu chorych na ciele szukają uleczenia swych chorób ciała, a nie szukają naprzód uleczenia strasznych chorób duszy, których przedewszystkiem szukaćby powinni, i dlatego bez wysłuchania swych próśb i bez uleczenia swych chorób odchodzą! — Tu jest też rowiązanie i tej zagadki, czemu przeważnie płeć niewieścia doznaje na sobie cudownych skutków wody z Lurd, bo swą głęboką wiarą i szczególniejszą pobożnością bardziej na łaskę cudów zasługuje.

* * *

Obym tą książką u wszystkich, co ją czytać będą, przyczynił się do utwierdzenia i pomnożenia wiary, obym niejedną duszę zbłąkaną, co tę wiarę straciła, pobudził do pojednania się z Bogiem za przyczyną Maryi, i tem jej dopomógł, aby kiedyś w niebie na wieki oglądała tę Najświętszą Pannę, która się Bernardzie w Lurd chwilowo objawiła.

Uproś nam to, jako owoc pracy niniejszej, Maryo Niepokalanie Poczęta, w Lurd zjawiona!

Chorzy w Lurd.

Dr. Boissarie, udzielając pozwolenia na polskie wydanie tej książki, uprasza wszystkich Czytelników o odmówienie różańca na jego intencyę.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa VII

WSTĘP.

1. Pojęcie cudu 1
2. Czy cuda są możebne? 3
3. Czy zjawiska cudowne można na pewno poznać i jako takie uznać? . . . 5
4. Czyjem dziełem są cuda? 10

CZĘŚĆ I.

LURD I BERNADETA.

Rozdział I. Historya a legenda.

Historycy Lurd. — Niewierzący i wierzący. — Choroby i uzdrowienia. — Łaski i cuda. — Choroby organiczne i choroby nerwowe. — Każdy pisze według swego zdania historyę Lurd. — Nieuniknione omyłki. — Podział treści. . . 11

Rozdział II. Pierwsi świadkowie w Lurd.

Lekarze, którzy byli pierwszymi świadkami faktów w Lurd. — Historya Lurd opiera się na fundamencie naukowym. — Bernadeta. — Lekarze badają jej stan umysłowy. — Ich sprzeczne zdania. — Objawy nadprzyrodzone. . . 14

Rozdział III. Objawienia.

Pierwsze zjawienia się Najśw. Maryi Panny w Lurd. — Zachwycenia. — Tajemnicze wezwanie. — »Jestem Niepokalane Poczęcie«. 17

Rozdział IV. Prześladowania.

Bernadeta po objawieniach. — Przedmiot ogólnej ciekawości. — Opowiadania Bernadety wobec niezliczonych świadków. — Jej ubóstwo. — Jej bezinteresowność. — Prześladowania. — Komisarz. — P. Estrade. — Prokurator. — Ks. proboszcz w Lurd. 41

Str.

Rozdział V. Bernardeta wobec lekarzy.

Lekarze w Lurd. — Dr. Dozous odłącza się od swych kolegów. — Sprawozdania lekarskie. — Lekarze z początku mówią o hallucynacyi i ekstazie. — Nie przypuszczają jednak obłąkania. — Hallucynacya i Dr. Diday. — Insynuacye i fantastyczne zestawienia. — Hallucynacya naukowa. — Jej prawa i zasady. — Historyk i rzeźbiarz. — Najświętsza Panna, Jej słowa i rozkazy. — Słabość narzędzia. — Wielkość wyniku. — Hallucynacya u wielkich ludzi. — Rozum i szaleństwo 49

Rozdział VI. Bernadeta wobec lekarzy. (Ciąg dalszy).

Dr. Voisin. — Dr. Voisin twierdzi, że została ona zamkniętą w szpitalu dla obłąkanych. — Wykazują mu, że to fałsz. — On jednak nie chce cofnąć swego twierdzenia. — Dr. Robert Saint-Cyr oświadcza, że Bernadeta jest wzorem zdrowego rozsądku. — Dr. Voisin nie widział nigdy Bernadety. — Dr. Robert Saint-Cyr widywał ją codziennie w przeciągu ostatnich dziesięciu lat jej życia. — Dr. Dozous i Dr. Balencie. — Lekarze z Lurd i lekarze zagraniczni 63

CZĘŚĆ II.

UZDROWIENIA.

Rozdział I. Chorzy w Lurd.

Do Lurd przejeżdżają chorzy na najrozmaitsze cierpienia fizyczne i moralne. — Nie wszystkie uzdrowienia są jednakowego rodzaju i zarówno cudowne — Lekarze mogą się czasami mylić. — Ich świadectwa nie zawsze wiarygodne. — Nie osłabia to jednak prawdziwości rozpoznania choroby i cudownego uzdrowienia. — Wystarcza jeden fakt niezbicie udowodniony . . . 71

Rozdział II. Pierwsze uzdrowienia.

Nadzwyczajne uzdrowienia, potwierdzające rzeczywistość i charakter nadprzyrodzony uzdrowień. — Komisya śledcza i Dr. Vergez. — Błażejka Soupenne. — Henryk Busquet: (rana limfatyczna). — Teorya tworzenia się tkanek. — Dr. Diday szuka naturalnego wyjaśnienia. — Jego zakłopotanie. — Choroby organiczne i nerwowe. — Dr. Diday uznaje, że te uzdrowienia przechodzą zakres naturalnych środków. — Woda z Lurd. — Jej rozbiór. — Hypnotyzm. — Dr. Vergez. 75

Rozdział III. Ogólny rzut oka na dalsze uzdrowienia w Lurd w pierwszych latach.

Trzy główne kategorye: 1. Nabrzmiałości i rany: Panna Montagnon, chora na wodną puchlinę. — Piotr Rudder, mający złamaną nogę, uleczony nagle po ośmiu latach choroby. — Marya Marcellin, mająca olbrzymią nabrzmiałość. — 2. Choroby organiczne: Panna Coupel, suchotnica. — Panna Laverrie z Nantes. — 3. Zaburzenia w funkcyach organicznych i choroby nerwowe: Chouat, paralityczka. — Jakób Tonbridgue, cierpiący na chorobę Pott'a. — Marya Souchet, wrzód w żołądku. 93

Str.

Rozdział IV. Świadectwa lekarskie.

Lekarze nie chcą wypowiedzieć swego zdania ani o chorobach, ani o uzdrowieniach, ani o tem wszystkiem, co się działo w Lurd. — Konstanty James i Charcot. — Świadectwa sprzeczne i udzielane przez grzeczność. — Rozsądek lekarzy w Lurd 100

CZĘŚĆ III.

ROCZNIKI LURD.

Rozdział I. Lurd od roku 1869 do 1871.

O. Herman Cohen: (choroba oczu). — Pani Klotylda De La Rivière: (suchoty). — Franciszek Macary: (wrzód pochodzący z nabrzmienia żył). — Hanquet z Leodyum: (choroba szpiku). 107

Rozdział II. Rok wielkich pielgrzymek (1872).

1. Leonia Chartron: (choroba kości pacierzowej). — 2. Rajmund Caral: (rak). — 3. Aurelia Bruneau: (głucho-niema). — 4. Panna Gilbert: (paraliż). — 5. Ludwika Delpon: (angielska choroba). — 6. Filomena Simonneau: (obrzęk gruźliczy). — 116

Rozdział III. Rok 1873 – 1874.

1. Karolina Esserteau: (paraliż). — 2. Pani Ancelin: (choroba serca). — 3. Pani de Lamberterie: (choroba przewodów pokarmowych). — 4. Dr. Gallison. — 5. Trzej lekarze z Milhau. 122

Rozdział IV. Rok 1875.

Piotr Rudder. — Noga złamana a niezrośnięta od lat ośmiu. — Zrośnięcie jej natychmiastowe. — Świadectwa. — Ostatnie badania. 127

Rozdział V. Rok 1876–1882.

Treść: 1. X. Guilmin: (próchnienie żebra), świadectwa Dra Cochet z Avranches i Dra Fleury. — 2. Łucya Fraiture: (rana), świadectwo Dra Sarres. — 3. Świadectwo Dra Konstantego James o cudach w Lurd. — 4 Marya Moreau: (skir w piersiach), świadectwo Dra Martel'a. — 5. Pani Duval: (puchlina), świadectwo Dra Cottin. — 6. Joachima Dehant: (rana), świadectwo Dra Froidebise. — 7. Lekarze protestanccy wobec uzdrowień w Lurd . . 139

Rozdział VI. Rok 1882–1885.

Uzdrowienie X. Buurmans'a, świadectwo Dra Schmitz'a. — Józef Viane, świadectwo Dra Van Dromme. — Cześć N. Maryi P. z Lurd w Konstantynopolu, uzdrowienie Mustafy. — Hrabia de Mun w Lurd. — Stowarzyszenia katolickich rzemieślników. 163

CZĘŚĆ IV.

UZDROWIENIA W OSTATNICH CZASACH.

Str.

Rozdział I. Klinika w Lurd.

300 świadectw lekarskich. — Czemu niektórzy nie chcą prawdy uznać? — Biuro lekarskie. — Sposób badania chorych i ich uzdrowień. — Pielgrzymki narodowe. — Statystyka dorocznych dochodzeń i uzdrowień. — Pierwszy cud, którego świadkiem był Dr. Boissarie: Celestyna Dubois z igłą w dłoni. . . 167

Rozdział II. Suchotnicy w Lurd.

Suchotnicy podczas pielgrzymki narodowej w r. 1890. — Cudowne uzdrowienia: 1. Siostra Juliana. — 2. Aurelia Huprelle. — 3. Ludwika Goffette. — 4. Magdalena Jullian. 178

Rozdział III. Suchotnice z Villepinte.

Dwadzieścia cztery suchotnic uzdrowionych w Lurd. — Statystyka uzdrowień. — Julia Forêt. 195

Rozdział IV. Rany i wrzody.

1. Amelia Chagnon. — 2. Marya Lemarchand. — 3. Antonina Pécantet. — 4. Klementyna Trouvé. — 5. Marya Briffaut. — 6. Eliza Lesage. 203

Rozdział V. Uleczenia raka (skira).

1. Pani Drossin. — 2. Panna Moreau. — 3. Katarzyna Lapeyre. — 4. Konstancya Piquet. 220

Rozdział VI. Choroby żołądka.

1. Marya Jarland. — 2. Siostra Marya Stefania. — 3. Sara Arter.. 225

Rozdział VII. Ślepi, głusi i niemi w Lurd.

1. Henryk Lasserre. — 2. Franciszek Vion-Dury. — 3. Jerzy Tillard. — 4. Alfred Aubert. — 5. Emilia Pénot. — 6. Siostra Łazara. — 7. Marya Méheust. . 233

Rozdział VIII. Choroby nerwowe.

Cud doświadczalny za pomocą suggestyi i uzdrowienia w Lurd. — 1. Celestyna Mériel, siedmioletni jej pobyt w Salpêtrière i uzdrowienie w sadzawce. — 2. Morfinistka, nadaremnie leczona przez dwa lata i jej uzdrowienie w Lurd. — 3. Celina Ferry. — 4. Brat Adolf. — 5. Eugenia Bron.. 252

Rozdział IX. Uzdrowienia z Paraliżu.

1. Łucya i Karolina Renauld. — 2. Adela Goffette. — 3. Iwonka Aumaître. 4. X. Dumas, otruty przez czarowników. — 5. X. Sonnois. 264

Rozdział X. Uzdrowienie podczas procesyi z Najśw. Sakramentem.

Pierwsze procesye z Najśw Sakramentem. — Uzdrowienie Niny Kin. — Stosunek uzdrowionych podczas procesyi wzrasta z 16 na 60 procent. — Główne uzdrowienia podczas procesyi: 1. Marya Horeau. — 2. Pani Facq. — 3. Amelia Gimard. — 4. Joanna Gasteau. — 5. Małgorzata Savoye. — 6. Karol Bron. — 7. Joanna Tulasne. — 8. Benedykta Crozet. — 9. Urzędnik pocztowy Gargam. — Wnioski. — Suggestya w Lurd. 281

Zakończenie 313